

DAWID

GROSMAN

Kto ze mną pobiegnie

przełożył LESZEK KWIATKOWSKI

Moim dzieciom -Jonatanowi, Uriemu i Ruti

mój cień i ja wyruszyliśmy w drogę.

Ulicami pędzi pies, za nim pędzi chłopak. Łączy ich długi sznurek, płaczący się pod nogami przechodniów, którzy narzekają i złością się, toteż chłopiec co chwila mruczy: „Przepraszam, przepraszam”. Pomiedzy przeprosinami krzyczy na psa: „Stój! Stop!”, raz nawet - co za wstyd - wrywa mu się „Prrr!”. Pies biegnie dalej. Pędzi, przecina ruchliwe ulice, przebiega na czerwonych światłach. Jego złociste futro co chwila znika chłopakowi z oczu, by wynurzyć się znów pośród nóg przechodniów, niczym tajemny sygnał. „Wolniej!”, krzyczy chłopak. Gdyby chociaż znał imię psa, zawołałby go, a ten może by się zatrzymał lub przynajmniej trochę zwolnił. W głębi duszy chłopak jednak wie, że i wtedy pies biegłby dalej i nawet jeśli obroża zaciśnie mu się ciasno wokół szyi, będzie biegł, póki nie znajdzie się w miejscu, do którego tak pędzi. Dobrze by było, gdybyśmy tam wreszcie dotarli i żeby zostawił mnie w spokoju.

To wszystko dzieje się w nieodpowiednim czasie. Chłopak, Asaf, biegnie przed siebie, ale jego myśli wloką się daleko za nim. Nie chce się nimi zajmować, musi przecież skupić się całkowicie na pogoni za psem, czuje jednak, że ciągnie je za sobą, niczym sznur grzechoczących puszek. Jedna z puszek to podróż rodziców. W tej chwili przelatują nad oceanem, pierwszy raz w życiu lecą samolotem. Właściwie dlaczego musieli wyjechać tak nagle? Jego starsza siostra - druga puszka - o której w ogóle boi się myśleć, bo mogą być z tego same kłopoty. Tłuką mu się po głowie

jeszcze inne puszkę, małe i duże, a na końcu całego ich sznura toczy się ta jedna, która płacze się za nim już od dwóch tygodni. Jej blaszany łomot doprowadza do szału, brzęczy natarczywie, że Asaf musi wreszcie zakochać się na dobre w Dafi, bo w końcu ile można czekać. Asaf zaś wie,

8

że musi na chwilę się zatrzymać, uporządkować choć trochę ten irytujący korowód; pies ma jednak wyraźnie inne plany.

„Do licha”, jęknął Asaf, gdyż chwilę wcześniej, nim otworzyły się drzwi i wezwano go, żeby przyszedł obejrzyć psa, był o krok od tego przełomowego momentu, kiedy już, już miał się w niej zakochać, w niej, to znaczy w Dafi. Czuł to wprost fizycznie, że wreszcie pokonuje jakiś opór w głębi brzucha, ucisza spokojny głos, który stamtąd szepcze nieustannie: „Ta Dafi nie jest dla ciebie. Ona nic, tylko drwi i szydzi ze wszystkich, a już najbardziej z ciebie. Po co masz co wieczór ciągnąć to głupie przedstawienie”. I kiedy już niemal udało mu się stłumić ten drażniący głos, otworzyły się drzwi do pokoju, w którym przesiadywał przez ostatni tydzień codziennie od ósmej do szesnastej, i stanął w nich chudy, śniady i zgorzkniały Awram Danoch, wicedyrektor Wydziału Sanitarnego Zarządu Miasta (przyjaciół ojca, człowiek, który załatwił mu tę robotę na cały sierpień). Powiedział mu, żeby przestał zbijać baki i zszedł z nim na dół, do schroniska dla psów, bo wreszcie znalazło się dla niego zajęcie.

Danoch szedł szybkim krokiem, wyjaśniając mu sprawę jakiegoś psa, lecz Asaf nie słuchał. Zwykle potrzebował dłuższej chwili, żeby przejść z jednej sytuacji do drugiej. Włókł się za Danochem wzdłuż korytarzy urzędu miejskiego, między ludźmi, którzy przyszli popłacić rachunki za wodę i podatki, albo donieść na sąsiadów, którzy dobudowali sobie werandę bez zezwolenia. Idąc za nim drogą ewakuacyjną na tylne podwórze, próbował zdecydować, czy udało mu się już stłumić ostatni punkt oporu wobec Dafi, obmyślał też, co powie wieczorem Roiemu, który wciąż kładzie mu do głowy, żeby dał już spokój z wątpliwościami

9

i zaczął zachowywać się jak mężczyzna. Już z daleka posłyszał natarczywe, donośne

ujadanie i zdumiał się, bo zazwyczaj wszystkie psy szczekały naraz - czasami ich chór nie dawał mu spać na trzecim piętrze - teraz jednak szczekał tylko jeden pies. Danoch otworzył drugą furtkę z drucianej siatki i ruchem ręki polecił Asafowi wejść na wąską ścieżkę pomiędzy klatkami.

Mowy nie było o pomyłce. Mowy nie było, żeby Danoch sprowadził tu Asafa do innego psa. Było ich osiem albo dziewięć, każdy w oddzielnej klatce, ale tylko jeden był ożywiony, jakby wyssał energię z wszystkich innych, pozostawiając je milczące i nieco spłoszone. Nie był bardzo duży, ale miał w sobie siłę i dzikość, przede wszystkim zaś desperację. Asaf nigdy nie widział takiej rozpaczy u psa. Raz za razem rzucał się na siatkę swego boks, aż reszta psów wzdrygała się i popiskiwała, on zaś wydawał z siebie przeraźliwy, wysoki głos, przedziwne połączenie skowytu z rykiem. Pozostałe psy stały albo leżały, przypatrując mu się w milczącym zdumieniu, a nawet z poważaniem. Asaf miał dziwne uczucie, że gdyby zobaczył tak zachowującego się człowieka, musiałby natychmiast pospieszyć mu z pomocą albo też wyjść, by zostawić go sam na sam z jego rozpaczą.

W krótkich przerwach między ujadaniem i szturmowaniem ścian klatki Danoch cicho i pośpiesznie wyjaśniał: jeden z inspektorów znalazł przedwczoraj psa biegającego po śródmieściu, koło placu Syjońskiego. Początkowo weterynarz myślał, że to wczesne stadium wścieklizny, ale nie było żadnych oznak, i nie licząc brudu i kilku powierzchniowych skaleczeń, pies jest w świetnym stanie. Asaf zwrócił uwagę, że Danoch mówił półgębkiem, jakby próbował ukryć przed psem, że to o nim mowa.

10

- On tak już od czterdziestu ośmiu godzin - bąknął Danoch cicho - i jeszcze mu się bateria nie kończy. Kawał bydlaka, co? - dodał i wyprostował się nieco, gdy pies na moment utkwiał w nim spojrzenie. - To nie jest jakiś tam uliczny pies.

- Bezpański? - spytał Asaf i odskoczył, bo pies znów rzucił się na siatkę, aż zatrzęsł się cały boks.

- Ano właśnie. - Danoch pociągnął nosem i podrapał się po głowie. - To już ty będziesz musiał ustalić.

-Jak to ja? - Asaf wpadł w panikę. - Gdzie ja znajdę właściciela?

Danoch zaproponował, by zapytać psa - tu użył arabskiego słowa kalb - gdy tylko trochę się uspokoi. Asaf spojrział na niego zmieszany, Danoch wyjaśnił zatem, że trzeba zrobić to, co zawsze w podobnych przypadkach: wziąć psa na sznurek i pozwolić mu iść. Chodzi się za nim godzinę, dwie, a on sam prowadzi prosto i bezbłędnie do swojego pana.

Asaf uznał to za dowcip - kto słyszał coś podobnego? - ale Danoch wyjął z kieszeni koszuli złożoną kartkę i uczulił go, by przed przekazaniem psa dał właścicielowi do podpisania ten formularz, druk 76.

- Włóż go do kieszeni, Asaf, i uważaj, żeby nie zgubić, bo widzę, że jesteś nieprzytomny. A przede wszystkim wyjaśnij wielce szanownemu właścicielowi psa, o co chodzi: albo płaci mandat, sto pięćdziesiąt nowych szekli, albo ma sprawę w sądzie. Płaci po pierwsze za to, że nie upilnował swojego psa, może wyciągnie z tego jakąś nauczkę na przyszłość, a po drugie jako sym-bo-licz-ne zadośćuczynienie (Danoch ze zjadliwą przyjemnością cedził każdą sylabę) za zawracanie głowy i kłopot, jaki sprawił zarządowi miasta oraz za marnowanie czasu jego do-bo-ro-we-mu personelowi!

11

Klepnął Asafa w ramię nieco zbyt mocno i dodał, że jak już odszuka właściciela psa, będzie mógł wrócić do swojego pokoju w Wydziale Gospodarki Wodnej i dalej wałkonić się tam na koszt podatnika aż do końca wakacji.

- Ale jak... - próbował się bronić Asaf. - Niech pan na niego popatrzy, on jest szalony...

I wtedy stało się: pies usłyszał głos Asafa i nagle stanął. Przestał biegać po boksie, zbliżył się powoli do siatki i wbił spojrzenie w chłopaka. Nadal gorączkowo dyszał, ale jego ruchy stały się wolniejsze, a ciemne oczy patrzyły w jeden punkt. Pies przekrzywił głowę na bok, jakby chciał się dobrze przyjrzeć Asafowi, on zaś pomyślał, że zwierzę zaraz otworzy pysk i najzupełniej ludzkim głosem powie: „Sam jesteś szalony”.

Pies zgiął przednie łapy i położył się na brzuchu, pochylił głowę i zaczął przebierać przednimi łapami pod drucianym ogrodzeniem, jakby bardzo o coś prosił, po czym

wydobył z siebie nowy głos, cienki i delikatny, niczym skomlenie szczeniaka albo płacz dziecka.

Asaf pochylił się do niego z drugiej strony siatki. Zrobił to bezwiednie. Nawet Danoch, który był człowiekiem bezdusznym i bez większego entuzjazmu załatwił mu pracę, uśmiechnął się z lekka, widząc, jak Asaf przyklęka koło klatki. Chłopak patrzył na psa, przemawiając do niego spokojnym głosem.

- Czyj ty jesteś? - pytał go. - Co ci się stało? Czemu tak szalejesz?

Mówił powoli, robiąc pauzy na odpowiedzi, i nie wprawiał psa w zakłopotanie zbyt długimi spojrzeniami prosto w oczy. Wiedział - nauczył go tego chłopak Reli, jego siostry - na czym polega różnica między mówieniem do psa a rozmową z psem.

Zwierzę leżało, dysząc niespokojnie.

12

Teraz wydawało się mniejsze niż przedtem, po raz pierwszy widać było po nim znużenie. W schronisku zrobiło się wreszcie spokojnie. Inne psy zaczęły kręcić się po klatkach i wracać do życia. Asaf włożył palec przez jedno z oczek siatki i dotknął głowy psa. Ten ani drgnął. Chłopak podrapał posklejaną, utyłaną sierść. Pies zaczął skamleć szybko i niespokojnie, bez przerwy, jakby musiał komuś szybko opowiedzieć o czymś, czego nie może już dłużej w sobie trzymać. Czerwony język drgał, oczy były wielkie i pełne wyrazu.

Ta krótka chwila sprawiła, że Asaf nie opierał się już dłużej prośbie Danocha, który korzystając z okazji, wszedł prędko do klatki i przywiązał długi sznurek do pomarańczowej obroży ukrytej w gęstej sierści psa.

- Jazda, zabieraj go - rozkazał Danoch. - Teraz pójdzie z tobą jak ta lala.

Cofnął się nieco, gdy pies, znalazłszy się nagle poza klatką, natychmiast otrząsnął się ze zmęczenia i potulności, spojrzał w lewo, spojrzał w prawo i znów ożywiony, zaczął węszyć, nasłuchując jakiegoś dalekiego głosu.

- Toście się już jakoś dogadali - Danoch próbował przekonać Asafa i samego siebie. - Tylko uważaj na mieście, obiecałem twojemu ojcu...

Ostatnie słowa uwięzły mu w gardle. W tym bowiem momencie pies stał się uważny i czujny. Pysk mu się jakby wyostrzył i przez chwilę w jego postaci było coś niemal

wilczego.

- Na pewno można cię tak z nim wysłać? - wymamrotał Danoch z nutą zwątpienia w głosie - Co?

Asaf nie odpowiedział. Obserwował tylko ze zdumieniem zmianę, jaka nastąpiła w zwierzęciu, gdy wydostało się na wolność. Danoch klepnął go znów po ramieniu:

13

-Jesteś chłop na schwał, popatrz no na siebie, wyższy ode mnie i od własnego ojca, poradzisz sobie z nim, prawda?

Asaf chciał zapytać, co ma zrobić, jeżeli pies nie zaprowadzi go do właściciela, i jak długo ma tak z nim chodzić (w szufladzie biurka czekały na niego trzy kanapki), i co będzie, jeśli pies, na przykład, pokłócił się ze swoim panem i nie ma zamiaru wracać do domu...

Te pytania nie padły ani w tej chwili, ani w żadnej innej. Asaf nie wrócił i nie spotkał Danocha ani tego dnia, ani żadnego z następnych. Czasami tak łatwo jest precyzyjnie ustalić moment, w którym coś - na przykład życie Asafa -zmienia się zupełnie i nieodwracalnie.

Ledwie bowiem ręka Asafa zacisnęła się na sznurku, pies poderwał się z miejsca potężnym susem i pociągnął chłopca za sobą. Przestraszony Danoch machnął ręką, zdążył zrobić krok czy dwa za porwanym Asafem, wybiegł nawet za nim - lecz wszystko na próżno. Chłopak wyleciał już z urzędu miejskiego i stoczył się po schodach. Wypadł na ulicę, potrącił zaparkowany samochód, kubek ze śmieciami, przechodniów. Biegł...

Wielki kudłaty ogon tuż przed Asafem energicznie zmiata na boki ludzi i pojazdy, a chłopak gna za nim jak zahipnotyzowany. Pies zatrzymuje się niekiedy na chwilę, podnosi pysk, wietrzy, po czym skręca w boczną uliczkę i pędzi nią na złamanie karku. Wygląda na to, że wie dokładnie, dokąd zmierza, jest zatem nadzieja, że ta gonitwa zakończy się już wkrótce. Zwierzę odnajdzie swego pana - Bogu niech będą dzięki. Jednakże biegnąc tak, Asaf zaczyna się zastanawiać, co robi, jeżeli właściciel psa nie zechce zapłacić

14

kary. Powie mu wtedy: „Proszę pana, moja funkcja nie upoważnia mnie do żadnych pertraktacji. Albo pan płaci, albo pan idzie do sądu”. Człowiek próbuje oponować, Asaf zaś wysuwa w odpowiedzi miażdżące argumenty, biegnie dalej, mamrocząc, zaciska wargi stanowczo, choć dobrze wie, że nic mu to nie pomoże. Spory nigdy nie były jego mocną stroną, zawsze w końcu wolał ustąpić, niż robić aferę. W końcu z tego, a nie innego powodu ulega co wieczór Roiemu w sprawie Dafi Kapłan - tylko po to, żeby uniknąć afery. Myśli tak, a przed oczyma ma wysoką, szczupłą sylwetkę Dafi i nienawidzi sam siebie za własną słabość. Wtem dostrzega, że wysoki mężczyzna o krzaczastych brwiach w kucharskiej czapce na głowie o coś go pyta. Asaf przygląda mu się trochę zdezorientowany. Niebawem jasna twarz Dafi, z nieodłącznym szyderyczym spojrzeniem i powiekami przezroczytymi jak u jaszczurki, momentalnie zlewa się z inną twarzą, puciołowatą i zniecierpliwioną. Przestraszony Asaf skupia wzrok i zauważa ciasne, jakby wykute w murze pomieszczenie z rozpalonym piecem w głębi. Z jakiegoś powodu pies postanowił zatrzymać się przy małej pizzerii, a sprzedawca przechyla się przez ladę i pyta Asafa, chyba już drugi albo może trzeci raz, o jakąś młodą damę.

- Gdzie ona się podziewa? Zniknęła nam z oczu. Nie widzieliśmy jej już od miesiąca. Asaf ostrożnie rozgląda się na boki, bo może kucharz mówi do kogoś innego, kto stoi za nim, ale nie. Mówi do niego i chce wiedzieć, czy to jego siostra, czy dziewczyna, więc Asaf zmieszany kiwa głową, chcąc zyskać na czasie. W ciągu tygodnia spędzonego w urzędzie miejskim nauczył się już, że ludzie pracujący w śródmieściu miewają czasami osobliwe zwyczaje i styl mówienia, no i dziwne

15

poczucie humoru. Może stykając się wciąż z bardzo różnymi klientami i turystami z dalekich krajów, przyzwyczaili się mówić trochę jak ze sceny-jakby mieli przed sobą niewidzialną publiczność, która przez cały czas obserwuje rozmowę. Chciałby odejść i pobiec dalej za psem, tyle że ten akurat siada i patrzy na sprzedawcę pizzy z nadzieją w oczach i z wyciągniętym językiem. Kucharz gwizdże na niego przyjaźnie, jakby byli starymi znajomymi, po czym szybkim ruchem, jak w siatkówce - zza pleców, na wysokości biodra - rzuca w jego stronę gruby plaster żółtego sera, a pies

łapie go w locie i połyka.

To samo dzieje się z następnym plastrem. I jeszcze jednym, i z kolejnym.

Mężczyzna z pizzerii ma brwi nastroszone niby dwa dzikie krzewy, co wprawia Asafa w niepokój i rozdrażnienie. Mówi, że jeszcze nigdy nie widział, żeby była taka głodna. „Ona?” - szepcze Asaf zdumiony. Wcześniej nie przyszło mu do głowy, że to może być suka, myślał o niej jak o psie, sądząc po prędkości, sile i stanowczości ruchów. Wszak podczas tego szalonego biegu, wśród złości i zakłopotania, zdarzały się też chwile, w których miło było sobie wyobrazić, że stanowią zespół: on i jego pies, takie milczące męskie porozumienie. Teraz wydaje mu się jeszcze dziwniejsze, że biegł tak za suką.

Sprzedawca, ściągawszy krzaczaste brwi, patrzy na Asafa badawczym, może nawet podejrzliwym wzrokiem i pyta:

- To jak, zamiast sama przyjść, postanowiła tym razem posłać ciebie?

I zaczyna obracać w powietrzu latający talerz z cienkiego ciasta, fachowym ruchem podrzuca go i łapie. Asaf potakuje niezdecydowanie, tak trochę na ukos, coś między 16

„tak” a „nie”, nie chcąc kłamać. Kucharz dalej rozsmarowuje przecier pomidorowy po cieście, chociaż Asaf nie widzi tam prócz siebie żadnych klientów. Rzuca na ciasto oliwki, cebulę, grzyby i anchois, dodając szczyptę sezamu i cząbrku, i od czasu do czasu, nie odwracając wzroku, ciska zza pleców małe skrawki sera, a suka, która jeszcze przed chwilą była psem, łapie je w powietrzu, jakby z góry wiedziała, że kucharz to robi.

Asaf stoi i patrzy osłupiały na tych dwoje, na ich idealnie zgrany taniec, próbując zrozumieć, co tu robi i na co właściwie czeka. W głowie kołacze się mu jakieś pytanie, powinien je chyba zadać sprzedawcy pizzy, zapytać o młodą damę, która widocznie pojawiała się tutaj ze swoją suką, ale każde, jakie przychodzi mu do głowy, wydaje mu się komiczne i oznacza szczegółowe wyjaśnienia na temat sposobów odszukiwania właścicieli zaginionych psów, wakacyjnej pracy w urzędzie miejskim. Asaf powoli uświadamia sobie, jakie skomplikowane zadanie na nim ciąży. No bo co - zacznie pytać każdego napotkanego na ulicy człowieka, czy nie zna

właściciela tej sukki? Czy to w ogóle należy do niego, do jego obowiązków? Jak to się stało, że zgodził się bez słowa, by Danoch posłał go w takiej sprawie, że nawet nie próbował zaprotestować? Szybko przypomina sobie wszystko, co powinien był powiedzieć Da-nochowi, gdy byli w schronisku: niczym adwokat, bystry i wygadany, a nawet nieco arogancki, wytacza błyskotliwe argumenty przeciwko niewykonalnemu zadaniu, a przy tym - jak to się mu zawsze zdarza w takich sytuacjach - kuli się nieznacznie, wciska głowę między szerokie ramiona i czeka. Czuje, że wszystkie mniejsze i większe złości, które kipiały w nim sprężone pod wielkim ciśnieniem, wytryskują

17

na zewnątrz niczym struga lawy. Czuje, że zastygają na jego brodzie w bolesny wyprysk gniewu na Roiego, za to że znów zdołał go nakłonić, by wieczorem poszli gdzieś razem we czwórkę, po raz nie wiadomo który, a do tego jeszcze mu wytłumaczył, jak to stopniowo zacznie odkrywać, że Dafi jest dokładnie w jego typie, biorąc pod uwagę jej świat wewnętrzny „i tak w ogóle”. To powiedziawszy, Roi wlepił w Asafa skupione i przeciągłe spojrzenie, nie-znoszące sprzeciwu, a Asaf przypatrywał się poświacie bijącej mu z oczu, złotej, delikatnej poświacie drwiny, otaczającej jego źrenice, i myślał z przygnębieniem, że z biegiem lat ich przyjaźń zmieniła się w coś innego. Tylko jak się to coś innego nazywa? W nagłym popłochu obiecał, że dziś wieczorem też przyjdzie, a Roi poklepał go znów po ramieniu, mówiąc: „Takiego cię lubię, bracie”. Asaf chciałby znaleźć w sobie dość odwagi, aby odwrócić się i rzucić Roiemu w twarz ten caty „świat wewnętrzny”, bo przecież wszystko, czego tamten potrzebuje, to żeby Asaf i Dafi byli lustrzanym odbiciem, które uwydatni blask i lekkość jego i tej jego Meital, gdy idą razem, całując się co dwa kroki, podczas gdy Asaf i Dafi wloką się za nimi w milczeniu i wzajemnej pogardzie.

- Co z tobą? - złości się sprzedawca. - Mówię do ciebie!

Asaf widzi, że pizza jest już zapakowana w białe kartonowe pudło, pokrojona na osiem kawałków, a sprzedawca mówi z naciskiem, jak gdyby sprzykrzyło mu się już powtarzanie w kółko tego samego:

- Przypatrz się dobrze, jest jak zwykle: dwa razy z grzybami, raz anchois, raz kukurydza, dwa razy zwykła i dwa z oliwkami. Tylko jedź szybko, żeby dotarła ciepła. Czterdzieści szekli.

18

- Dokąd mam jechać? - pyta Asaf szeptem.

- Nie masz roweru? - dziwi się kucharz. - Twoja siostra kładzie to na bagażniku. Jak ty to poniesiesz? Najpierw pieniądze!

Wyciąga w stronę Asafa długie, włochate ramię. Oślupiały Asaf sięga ręką do kieszeni, czując ogarniający go gniew: rodzice zostawili mu przed wyjazdem dość pieniędzy, ale on szczegółowo zaplanował swoje wydatki. Codziennie opuszczał lancz w bufecie urzędu miejskiego, żeby wystarczyło mu na dodatkowy obiektyw do canona, którego rodzice obiecali przywieźć z Ameryki. Niespodziewany wydatek, w który się tutaj wmotał, doprowadza go naprawdę do szału, nie ma jednak wyboru. Jasne, że ten człowiek przygotował pizzę specjalnie dla niego, to znaczy dla osoby, która przychodzi tutaj z tą suką. I gdyby Asaf nie był taki wzburzony, z pewnością zapytałby w końcu, kim jest ta dziewczyna od suki, ale czy to przez złość, czy przez rozsadzające go poczucie, że zawsze ktoś decyduje za niego, płaci kucharzowi i oddała się gwałtownie, chcąc okazać obojętność wobec pieniędzy, które mu właśnie podstępem zrabowano. Suka zaś nie czeka, aż właściwe uczucie dojrzeje na twarzy chłopca. Znowu zrywa się do galopu, momentalnie napręża sznurek na całą długość, a Asaf szybuje za nią z bezgłośnym krzykiem, twarzą wykrzywioną wysiłkiem, jedną ręką usiłując utrzymać w równowadze karton z pizzą, drugą trzymając sznurek. Cudem unika kolizji z przechodniami. Trzyma karton wysoko na wyciągniętej ręce i zdaje sobie sprawę - nie ma co do tego żadnych złudzeń - że wygląda teraz identycznie jak kelner z karykatury. Na domiar złego z kartonu zaczyna dochodzić zapach pizzy, a Asaf od rana zjadł tylko jedną kanapkę. Ma, oczywiście, pełne prawo skosztować pizzy, którą niesie nad głową.

19

w końcu zapłacił za każdą oliwkę i grzybek, ale z drugiej strony czuje, że mimo wszystko nie należy całkiem do niego, że w pewnym sensie kupił ją ktoś inny, dla

kogoś jeszcze innego, a on nie zna żadnej z tych osób.

Zatem owego ranka z pizzą na ręku mijał kolejne zaułki, ulice i czerwone światła. Jeszcze nigdy nie biegał w ten sposób, nigdy też nie złamał za jednym razem tylu przepisów. Ludzie zewsząd trąbili na niego, potykali się o niego, przeklinali i wrzeszczeli, ale wkrótce przestał się nimi przejmować, i z każdym krokiem wyzbywał się też złości na samego siebie. Nieoczekiwanie poczuł się zupełnie wolny, daleko od dusznego i nudnego biura, uwolniony od wszelkich małych i wielkich kłopotów doskwierających mu w ostatnich dniach, nieujarzmiony niczym planeta, która zerwawszy się ze swej orbity, przecina nieboskłon, zostawiając za sobą welon iskier. Potem przestał myśleć, a nawet słuchać huku otaczającego świata. Stał się odgłosem swoich kroków na jezdni, biciem serca i miarowym oddechem, i chociaż nie był z natury poszukiwaczem przygód - wręcz przeciwnie - wypełniało go coraz bardziej tajemnicze, nowe uczucie: przyjemność biegu w nieznaną. Głęboko w nim, jak porządna piłka, elastyczna i dobrze napompowana, zaczęła podskakiwać radosna myśl, że byłoby wspaniale, gdyby to się nigdy nie skończyło.

Miesiąc przed spotkaniem Asafa z suką - dla ścisłości, trzydzieści jeden dni przed tym zdarzeniem - na krętej bocznej szosie ponad jedną z dolin w okolicach Jerozolimy wysiadła z autobusu dziewczyna. Była niska i wątła. Prawie nie było widać jej twarzy spod grzywy czarnych, kędzierzawych włosów. Zeszła po schodach, słaniając się pod ciężarem

20

olbrzymiego plecaka uczeplonego jej grzbietu. Kierowca zapytał niepewnie, czy nie potrzebuje pomocy, a ona, przestraszona tym, że się do niej odezwał, skuliła się lekko, zacisnęła usta i potrząsnęła głową.

Później czekała na przystanku, aż autobus się oddali. Czekala nadal, gdy zniknął już za zakrętem szosy. Stała, prawie bez ruchu, kilkakrotnie rozglądając się to w lewo, to w prawo, a za każdym razem niebieski kolczyk w jej uchu skrzył się srebrzyście w promieniach popołudniowego słońca.

Tuż obok przystanku leżała zardzewiała, podziurawiona beczka po paliwie. Do słupa energetycznego przywiązana była tekturowa tabliczka „Na wesele Sigi i Motiego”

oraz strzałka skierowana w niebo. Dziewczyna rozejrzała się po raz ostatni na wszystkie strony, upewniając się, że nikogo nie ma. Na wąskiej szosie nie widać było również samochodów. Obróciła się powoli i minęła wiatę przystanku. Patrzyła teraz w dolinę roztaczającą się pod jej nogami. Pilnowała się, by nie poruszyć głową, ale oczy biegały jej na boki, przeczesując krajobraz.

Ktoś, kto rzuciłby na nią przelotne spojrzenie, pomyślałby, że dziewczyna wybiera się na wycieczkę. Tak właśnie chciała wyglądać. Gdyby wszakże przejeżdżał tamtędy samochód, kierowca mógłby przez ułamek sekundy zastanowić się, dlaczego właściwie samotna dziewczyna schodzi w tę dolinę. A może przyszłaby mu do głowy jeszcze jedna niepokojąca myśl - dlaczego dziewczyna, która wybiera się na krótką popołudniową wycieczkę w dolinie położonej tak blisko miasta, taszczy na grzbiecie ogromny plecak, jak gdyby wypływała w długi rejs? Jednakże żaden kierowca tamtędy nie przejeżdżał, a w dolinie nie było nikogo. Przedarła się w dół poprzez żółte gorczyce, wśród

21

gorących w dotyku skal, po czym zniknęła w gęstwinie drzew pistacjowych i ciemnych zarośli.

Szła szybko, przez cały czas slaniając się pod ciężarem plecaka, który co rusz przechylał ją to do przodu, to znów do tyłu. Potargane włosy powiewały jej wokół twarzy. Usta miała nadal ściągnięte w tym samym stanowczym i twardym grymasie, którym przedtem odpowiedziała kierowcy autobusu. Po paru minutach zaczęła ciężko dyszeć. Serce biło jej szybko, a dookoła wirowały czarne myśli. Po raz ostatni przychodzi tutaj sama. Następnym razem, następnym razem...

Jeżeli w ogóle będzie następny raz.

Dotarła wreszcie na dół, na dno wadi*. Co jakiś czas rzucała roztargnione spojrzenia na zbocza doliny, jakby podziwiała krajobraz. Z zachwytem podążała oczami za przelatującą sójką, dzięki niej ogarniając wzrokiem cały łuk widnokregu. Na tamtym odcinku drogi, na przykład, jest zupełnie odsłonięta. Jeśli przypadkiem ktoś stoi na górze, na szosie, obok przystanku, może ją dostrzec.

Może też przypadkiem zwrócić uwagę, że schodziła tędy także wczoraj i

przedwczoraj.

Co najmniej dziesięć razy w tym miesiącu.

I będzie mógł ją tutaj schwytać, kiedy przyjdzie następnym razem...

„Będzie, będzie następny raz” - cedziła przez zęby, starając się nie myśleć, co do tej pory będzie się z nią działo.

Gdy po raz ostatni usiadła, niby po to, żeby poprawić sobie sprzączkę u sandała, nie poruszyła się przez całe

* Wadi - (arab.) sucha dolina, którą w porze deszczowej przepływa strumień lub rzeka (przyp. tłum.).

22

dwie minuty. Zlustrowała każdą skałę, każde drzewo i krzak.

A potem, jakby za sprawą jakichś czarów, zniknęła. Po prostu rozplynęła się w powietrzu. Nawet gdyby ją ktoś śledził, nie zdołałby pojąć, co się stało: przed chwilą jeszcze tam siedziała, zdjęła wreszcie plecak z ramion, oparła się o niego i odetchnęła głęboko. Teraz tylko wiatr poruszał gałęziami krzewów, a w dolinie było pusto.

Zbiegała głębokim, schowanym korytem, próbując dogonić plecak, który staczał się przed nią jak miękki głaz, tratując chwasty i kolczaste krzaki. Zatrzymał się dopiero na pniu pistacji, a drzewko zatrzęsło się, rozrzucając wkoło suche narośla, które rozsypały się w brązowowiśniowy pył.

Z bocznej kieszeni plecaka wyjęła latarkę. Wprawnymi ruchami odgarnęła na bok kilka uschniętych, wyrwanych z ziemi krzaków, odsłaniając niskie wejście, jakby do domku skrzatów.

Dwa, trzy kroki na ugiętych kolanach. Oczy i uszy szeroko otwarte na wszelki cień i szelest. Węszyła jak zwierzę. Każdą komórką skóry próbowała czujnie wyczytać z ciemności, czy od wczoraj kogoś tu nie było. Czy któryś z cieni nie oderwie się nagle od czarnego tła, by ją zaatakować.

W pewnej chwili jaskinia nagle się rozszerzyła, stała się wysoka i przestronna, można się już było wyprostować, a nawet zrobić kilka kroków od ściany do ściany. Ze znajdującej się gdzieś pod sklepieniem szczeliny, zasłoniętej gałęziami krzaków, sączyło się do środka słabe światło.

Szybko wysypała zawartość plecaka na matę. Konserwy, paczka świeczek, plastikowe kubki, talerze, zapalki, baterie, dodatkowa para spodni i koszula, którą w ostatniej chwili zdecydowała się dorzucić, bidon obity styropianem, rolki papieru toaletowego i zeszyty krzyżówek, tabliczki

23

czekolady, papierosy Winston... w plecaku robiło się pusto. Konserwy kupiła po południu. Pojechała aż do Ramot Eszkol, żeby nie natknąć się na kogoś znajomego, a mimo to spotkała kobietę, która pracowała kiedyś z jej matką w sklepie jubilerskim, w hotelu King David. Kobieta zamieniła z nią kilka zdań i po przyjacielsku spytała, po co kupuje aż tyle, na co ona odparła, nawet się nie rumieniąc, że następnego dnia wybiera się na wycieczkę.

Pośpiesznie posegregowała przyniesione przedmioty. Przeliczyła butelki wody mineralnej. Woda jest najważniejsza. Miała już ponad pięćdziesiąt litrów. Wystarczy. Musi wystarczyć na cały ten czas. Na wszystkie dni i noce. Noce będą najtrudniejsze, potrzeba będzie mnóstwa wody. Jeszcze raz, już ostatni, zmiotła piasek z kamiennej podłogi. Próbowwała poczuć się w tym miejscu jak w domu. Kiedyś, milion lat temu, była to jej ulubiona kryjówka. Teraz skręcało ją na samą myśl o tym, co ją tu czeka. Ułożyła ten grubszy materac pod ścianą i położyła się na nim, żeby sprawdzić, czy jest wygodny. Nawet leżąc, nie pozwoliła sobie na odprężenie - wciąż miała szum w głowie - jak to będzie, kiedy go tutaj sprowadzi, do jej Stumilowego Lasu, do Restauracji na końcu wszechświata. I co przyjdzie jej przeżyć w tym miejscu. Z nim, sam na sam.

Tuż nad nią na ścianie uśmiechali się radośnie zawodnicy Manchester United, tuż po zdobyciu pucharu Ligi Mistrzów. Chciała mu sprawić miłą niespodziankę. Tylko czy on w ogóle zwróci na to uwagę? Uśmiechnęła się sama do siebie z roztargnieniem, a w ślad za tym uśmiechem powróciły złe myśli i strach znów zacisnął pięść w jej brzuchu.

A jeśli to wszystko jest jedną wielką pomyłką? - pomyślała.

Wstała i zaczęła chodzić od ściany do ściany, mocno przyciskając dłonie do piersi. Na tym materacu będzie leżał, a tu, na składanym plastikowym krzeselku, będzie

siedzieć ona. Przygotowała też cienki materac dla siebie, ale nie miała złudzeń: przez wszystkie te dni i noce ani na chwilę nie zmruży oka. Trzy, cztery, pięć takich nocy. Bezzębny mężczyzna z Parku Niepodległości ostrzegał ją: „Wystarczy, że na chwilę spuścisz go z oczu - zaraz ci ucieknie”. Zniechęcona przyglądała się pustym ustom, które się do niej uśmiechały, i oczom, które wprost pożerały jej ciało, a jeszcze łapczywiej patrzyły na dwudziestoszekłowy banknot, który trzymała w ręku. „Jak to? - dopytywała, starając się opanować drżenie w głosie. - Co to znaczy, że mi ucieknie? Dlaczego miałby to robić?” On zaś, w długiej ubrudzonej szacie w paski, opatulony mimo upału kosmatym, zmierzwionym kocem, zarechotał, rozbawiony jej naiwnością: „Słyszałaś kiedyś, siostró, o takim magiku? O tym, co uciekał z każdego miejsca, gdzie tylko go zamknęli? Z tym twoim będzie dokładnie tak samo. Wsadź go do puszeki i zamknij na sto kłódek, wsadź do sejfu w banku, w brzuch jego matki - on po prostu musi uciec. Nie ma rady! On nad tym nie panuje, tu żaden sąd nie pomoże!”

Nie miała pojęcia, jak to wytrzyma. Może kiedy tu z nim będzie, obudzą się w niej nowe, nieznane pokłady energii. Tylko na tym może się teraz oprzeć, na takich właśnie nikłych nadziejach. Ale i tak wszystko jest pisane palcem po wodzie - jeśli teraz zacznie się zastanawiać, jakie są szanse powodzenia, to się załamie. Panika nosiła ją po wnętrzu małej jaskini - byleby tylko nie myśleć, nie myśleć logicznie, teraz musi być odrobinę szalona, jak żołnierz, który wyruszając na samobójczą misję, nie myśli o tym, co może go spotkać. Znowu, już chyba po raz dzie-

24

25

siaty, sprawdziła zapasy żywności. Znowu obliczała, czy wystarczy jedzenia na wszystkie te dni i noce. Usiadła na plastikowym krześle naprzeciwko materaca i próbowała sobie to wyobrazić: co będzie do niej mówił, jak z godziny na godzinę będzie jej coraz bardziej nienawidził i co będzie próbował jej zrobić. Na tę myśl znów poderwała się z miejsca. Podbiegła do niszy wgłębi jaskini, żeby sprawdzić, czy są bandaż, plastry i jodyna. To jej nie uspokoiło. Odsunęła leżący na podłodze wielki kamień, odsłaniając drewnianą płytę. Pod nią, w dołku wykopanym w ziemi,

leżały obok siebie mały elektryczny paralizator oraz kajdanki, które kupiła w sklepie ze sprzętem turystycznym.

Jestem kompletnie stuknięta - pomyślała.

Zanim wyszła, przystanęła, by ogarnąć wzrokiem miejsce, które przez cały miesiąc przygotowywała i urzędowała. Kiedyś, być może setki lat wcześniej, mieszkali tutaj ludzie. Znalazła ślady. Mieszkały tu także zwierzęta. Teraz będzie to ich mieszkanie, jej i jego, dom wariatów i szpital zarazem, pomyślała. A przede wszystkim więzienie. Wystarczy. Pora iść.

Miesiąc później chłopak i suka pędzili ulicami Jerozolimy, obcy sobie, ale złączeni sznurkiem, jakby wciąż jeszcze niezdolni uznać, że naprawdę są razem. Mimo to, niejako mimochodem, zaczęli powoli uczyć się czegoś o sobie nawzajem: jak podnoszą się uszy w chwilach podniecenia, jak mocno uderzają buty o asfalt, jak pachnie pot, jakie uczucia można wyrazić ogonem, ile siły jest w ręce trzymającej sznurek, ile tęsknoty w ciele, które ciągnie ją dalej, do przodu... Zeszli już z głównej, ruchliwej ulicy i zapuścili się w wąskie, kręte zaułki, suka jednak nadal nie zwalniała

26
biegu. Asaf miał wrażenie, że przyciąga ją jakiś potężny magnes. Ogarnęło go dziwne uczucie, że jeśli tylko przestanie myśleć, jeśli całkowicie wyrzeknie się własnej woli, wtedy on także, tak jak suka, zdoła poddać się sile przyciągania tego miejsca, do którego tak jej spieszo. Po dłuższej chwili ocknął się niespodziewanie, bo suka zatrzymała się przed zieloną bramą osadzoną w wysokim kamiennym murze, po czym stanęła z gracją na tylnych łapach, przednimi zaś nacisnęła żelazną klamkę i otworzyła. Asaf spojrział w prawo i w lewo. Ulica była pusta. Zdyszana suka parła do przodu, a on wszedł za nią, i natychmiast otoczyła go głęboka cisza, jak w morskiej głębinie.

Przestronny dziedziniec.

Pokryty śnieżnobiałym zwirem.

Posadzone w równych rzędach drzewa owocowe.

Okrągły kamienny dom, wielki i przysadzisty.

Asaf szedł powoli, ostrożnie. Żwir chrzęścił mu pod stopami. Zdumiewało go, jakim

sposobem tak piękny i przestronny teren uchował się niemal w samym centrum miasta. Minał okrągłą studnię. Do sznura przywiązane było błyszczące wiadro, a na pniu ściętego drzewa stało kilka glinianych kubków, jakby czekały na kogoś, kto by się z nich napił. Asaf zjrzał do studni, wrzucił do niej kamyk i dopiero po dłuższej chwili usłyszał cichy, podobny do czkawki chlupot. Kawałek dalej stała opleciona bujną winoroślą altana, a w niej pięć rzędów ławek, przed każdą z nich zaś stało po pięć dużych kamieni ociosanych w kształt poduszek, aby można było na nich oprzeć zmęczone nogi.

Asaf zatrzymał się, by obejrzeć kamienny dom. Ściany porastało pnącze o fioletowych kwiatach, pięło się na wysoką wieżę i rozkładało płasko u stóp krzyża na jej szczycie.

27

Kościół - pomyślał zaskoczony. - Suka jest własnością kościoła. Widocznie to kościelna suka. Starał się w to uwierzyć, a nawet zdołał sobie wyobrazić ulice Jerozolimy wypełnione stadami rozszalałych kościelnych psów.

Suka bez wahania zaciągnęła go na tyły domu, jakby rzeczywiście była u siebie. U szczytu wieży znajdowało się łukowate okienko, niby otwarte oko między gałązkami bugenwilli. Suka podniosła łeb i zaszczekała kilka razy, krótko i donośnie.

Przez chwilę nic się nie działo. Później z góry, ze szczytu wieży, dobiegło szurnięcie krzesłem. Ktoś się tam poruszył. Okienko się otworzyło i rozległ się głos kobiety, a może mężczyzny - trudno powiedzieć, był ochrypły, jak gdyby nieużywany od dłuższego czasu. Pojedynczy okrzyk, jedno słowo, być może imię suki, bo znów zaczęła szczekać, a głos z góry ponownie zawołał, ostry i pełen zdumienia, jakby nie dowierzając szczęściu, jakie go właśnie spotkało. Asaf pomyślał, że tutaj kończy się jego mała eskapada z suką. Zwierzę wraca do domu, do kogoś, kto mieszka na szczycie tej wieży. Tak szybko się to skończyło. Cekał, aż ktoś wyjrzy przez okno i poprosi, żeby wszedł na górę, ale w oknie zamiast twarzy ukazała się drobna, śniada ręka - przez chwilę sądził, że dziecięca - a potem mała drewniana skrzynka z przywiązanym do niej sznurkiem, który spuszczał się coraz niżej, a skrzynka na jego końcu kołysała się jak kosz z małym Mojżeszem na falach Nilu. Wreszcie zatrzymała

się dokładnie na wysokości jego oczu.

Sukaomal nie oszalała z podniecenia. Przez cały czas, gdy sznurek się opuszczał, szczykała, kopała w ziemi, podbiegała do drzwi kościoła, po czym wracała do Asafa. W skrzynce Asaf znalazł wielki i ciężki żelazny klucz. Przez chwilę się wahał. Klucz oznacza drzwi: co go za nimi czeka?

28

(Z pewnych względów był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Miał za sobą setki godzin treningu, który przygotował go na taką właśnie sytuację: wielki żelazny klucz, wysoka wieża, tajemniczy zamek... do tego zaczarowany miecz, czarodziejski pierścień, szkatuła skarbów i strzegący jej żarłoczny smok. I prawie zawsze troje drzwi, spośród których trzeba wybrać te właściwe, pamiętając, że za dwojgiem z nich czają się najwymyślniejsze rodzaje śmierci w męczarniach.) Tu jednak był tylko jeden klucz i jedne drzwi, więc Asaf podążył za suką i otworzył je. Stał w progu wielkiej, ciemnej sali, z nadzieją, że gospodarz tego domu zejdzie do niego z wieży, lecz nikt się nie zjawiał, nie było też słyhać kroków. Asaf wszedł do środka, a drzwi powoli zamknęły się za nim. Czekał. Po chwili zaczął rozróżniać kształty przedmiotów we wnętrzu ciemnej sali: kilka wysokich szaf, komody, stoły i książki. Tysiące książek. Wzdłuż wszystkich ścian, na półkach, na szafach, na stołach i usypane w sterty na podłodze. Leżały tam też ogromne paczki gazet powiązane cienkimi sznurkami, a do każdej doczepiona była kartka z cyframi: 1955, 1957, 1960... Suka znów zaczęła ciągnąć, a on postępował krok w krok za nią. Na jednej z półek zobaczył książki dla dzieci i przez chwilę poczuł się zagubiony, a nawet nieco wystraszony. Co tu robią książki dla dzieci? Od kiedy to księża i mnisi czytają bajki? Pośrodku sali stała wielka skrzynia, Asaf ominął ją. Może jakiś stary sarkofag, może ołtarz. Zdawało mu się, że słyszy, jak na górze ktoś się porusza, że dochodzi stamtąd odgłos miękkich, pośpiesznych kroków, a nawet brzęk widelców i noży. Na ścianach wisiały portrety odzianych w habity mężczyzn, nad ich głowami unosiły się świetliste aureole. Wpatrywali się oni w Asafa oczami pełnymi wyrzutu.

29

Po wielkiej sali niosło się echo, podwajając odgłos każdego ruchu, każdego oddechu,

każdego skrobnięcia pazurami po posadzce. Suka ciągnęła go ku drewnianym drzwiom w końcu sali, a on próbował ją od nich odciągnąć. Miał wyraźne przeczucie, że to ostatnia chwila, żeby się stąd wymknąć, być może nawet przed czymś się ratując. Suka nie miała już cierpliwości do jego lęków, poczuła zapach bliskiej osoby, zapach, który miał się stać ciałem, dotykiem, a ona tęskniła za tym całą swoją psią duszą. Sznurek naprężył się i zaczął drżeć. Podeszła do drzwi, stanęła, zaczęła skrobać w nie pazurami i skowy-czeć. Kiedy tak stała na tylnych łapach, prawie dorównywała Asafowi wzrostem, a wtedy chłopak znów zobaczył, jakie piękne i zwinne zwierzę kryje się pod tą ubrudzoną, zmierzwioną sierścią, i poczuł ukłucie w sercu, bo właściwie nie zdążyli się dobrze poznać. Przez całe życie chciał mieć psa i błagał, żeby mu na to pozwolili, jednakże wiedział, że to wykluczone ze względu na astmę mamy. Teraz zaś w pewnym sensie miał psa, chociaż tylko na krótko, i to w biegu.

Co ja tu robię? - pytał sam siebie, naciskając dłonią na klamkę. Drzwi się otworzyły. Stał w korytarzu, który zakręcał i prawdopodobnie biegł wokół całego kościoła. Nie powinno mnie tu być - pomyślał i pobiegł za suką, która natychmiast wyskoczyła do przodu, mijając troje zamkniętych drzwi. Przemknął jak wiatr między grubymi, pobielonymi ścianami, aż dotarł do szerokich kamiennych schodów. Jeśli coś mi się stanie - myślał, widząc już oczyma wyobraźni kapitana, który z grobową miną wychodzi z kabiny pilota, zbliża się do jego rodziców i szepcze im coś na ucho - nikt na świecie nie wpadnie na to, żeby mnie tutaj szukać.

30

U szczytu schodów, na samej górze, były jeszcze jedne niebieskie drzwiczki. Suka ujadła i skamlała, nieomal mówiła, węsząc pod drzwiami i skrobiąc pazurami o próg, a zza drzwi dochodziły radosne wołania, które przypominały Asafowi gdakanie kury, po czym ktoś w środku zawołał dziwną hebrajszczyzną, z archaicznym akcentem:

-Jużci, moja duszko, wnet otworzą się podwoje, już, już!

Klucz obrócił się w zamku, a kiedy drzwi lekko się uchyliły, suka wpadła jak strzała i

rzuciła się na człowieka stojącego wewnątrz, zostawiając Asafa za drzwiami, które zamknęły się z powrotem. Zawsze tak się kończy - pomyślał z goryczą. Zawsze tak się jakoś składa, że na końcu to on zostaje za zamkniętymi drzwiami. Ale właśnie dlatego tym razem zebrał się na odwagę, popchnął lekko drzwi i zajrzał do środka. Zobaczył czyjeś pochylone plecy i długi warkocz wystający spod czarnego, okrągłego beretu z wełny, i przez chwilę zdawało mu się, że ta niska, szczupła osoba ubrana w długą szarą suknię to dziecko, dziewczynka, ale to była dorosła kobieta - drobna staruszka, która ze śmiechem wtuliła twarz w szyję suki, głaskała ją drobnymi dłońmi i przemawiała do niej w nieznanym języku. Asaf czekał, nie chcąc im przeszkadzać, aż wreszcie kobieta, wciąż się śmiejąc, odepchnęła sukę i zawołała:

- No, wystarczy! Dość już, moja ty skandaliariso, pozwólże mi się przywitać wreszcie z Tamar!

Po czym odwróciła się i szeroki uśmiech w jednej chwili zamarł jej na ustach.

- Ale kim... - cofnęła się - kim ty jesteś? - krzyknęła, chwytając się rękami za kołnierz habitu, a jej twarz wykrzywiła się w grymasie rozczarowania i lęku. - I czego tu szukasz?

31

Asaf zastanowił się, a po chwili odpowiedział: - Nie wiem.

Mniszka cofnęła się jeszcze bardziej i przywarła do ściany, wypełnionej regałami książek. Suka stała między nią a Asa-fem i oblizując się, spoglądała to na nią, to na niego, wyraźnie zagubiona i nieszczęśliwa. Asaf miał wrażenie, że ona też jest rozczarowana; że nie tego spotkania oczekiwała, ciągnąc go tutaj.

- Przepraszam, eee... Naprawdę nie wiem, co ja tu robię - powtórzył i poczuł, że zamiast cokolwiek wyjaśnić, jeszcze bardziej wszystko gmatwał, jak zawsze, kiedy trzeba było rozwiązać jakiś problem za pomocą słów. Nie wiedział, jak ma uspokoić mniszkę, żeby tak nie dyszała, żeby z jej czoła znikły zmarszczki świętego oburzenia.

- Oto pizza - powiedział łagodnie, wskazując wzrokiem pudło, które trzymał w dłoni. Miał nadzieję, że chociaż tym ją uspokoi, bo pizza to rzecz prosta i jednoznaczna. Ale mniszka jeszcze mocniej przyłgnęła do półek z książkami i Asaf ze swoją posturą poczuł się groźnym olbrzymem, którego każdy ruch był niewłaściwy. Widok mniszki

opartej o regał ścisnął go za serce, wyglądała jak mały przerażony ptaszek, który stroszy piórka, aby odegnać drapieżnika.

W tym momencie zauważył nakryty stół: dwa talerze i dwie filiżanki, duże metalowe widelce. Mniszka spodziewała się gościa. Asaf nie wiedział jednak, czym wytłumaczyć tak wielki strach i takie rozczarowanie, wręcz rozgoryczenie.

- To ja już pójdę - powiedział ostrożnie. Została jeszcze kwestia formularza. I mandatu. Nie miał pojęcia, jak

32

się mówi coś takiego. Jak prosi się kogoś o zapłacenie mandatu.

-Jak to pójdziesz? - krzyknęła kobieta. - A gdzie Tamar? Dlaczego nie przysłała?

-Kto?

- Tamar, Tamar! Moja Tamar, jej Tamar! Zniecierpliwiona, trzykrotnie wskazała palcem na

sukę, która z szeroko otwartymi oczami śledziła rozmowę, przenosząc wzrok to na jedną, to na drugą stronę, jakby obserwowała mecz ping-ponga.

- Nie znam jej - wymamrotał Asaf, uważając, by nie palnąć jakiegoś głupstwa. - Po prostu jej nie znam. Naprawdę.

Zapadło długie milczenie. Asaf i mniszka spojrzeli po sobie jak dwoje cudzoziemców, którzy pilnie potrzebują tłumacza. Nagle suka zaszczekała i oboje zamrugali oczami, jak przebudzeni, jakby prysnął rzucony na nich czar. Asaf rozważał z wolna snującą się myśl: Tamar to widocznie ta młoda dama, o której mówił sprzedawca pizzy, ta z rowerem. Pewnie zajmuje się dostawami dla kościołów. Teraz już wszystko jasne - pomyślał, chociaż wiedział, że nic nie jest jasne. Ale to już naprawdę nie jego sprawa.

- Proszę pani, ja tylko... - położył białe pudło na stole i natychmiast się cofnął, żeby broń Boże nie pomyślała, że zamierza tu również jeść-ja tylko przyniosłem pizzę.

- Pizza, pizza! - rozzłościła się mniszka. - Skończ wreszcie tą pizzą! Ja go pytam o Tamar, a ten mi o pizzy! Gdzieś ją spotkał? Mówże wreszcie!

Asaf spuścił głowę między ramiona, a wtedy jej strach przed nim nagle stopniał, pytania mniszki spadały na chłopca, jak gdyby okładała go piąstkami:

- Co to ma znaczyć „nie znam jej”? Nie jesteś jej kolegą, przyjacielem, krewnym? Spójrz no mi w oczy! - Asaf podniósł wzrok na mniszkę i z jakiegoś powodu pod jej świdrującym spojrzeniem poczuł się tak, jakby skłamał. - Czy ona cię tutaj nie przysłała, żeby sprawić mi przyjemność? Żebym się o nią tak nie troskała? Chwileczkę! List! Ach, jaka ja jestem niemądra, oczywiście, list!

Przypadła do kartonu z pizzą, otworzyła go i zaczęła w nim szperać, podniosła pizzę, zajrzała pod spód, z dziwną tęsknotą przeczytała reklamę pizzerii, jakby szukając między wierszami jakiejś wskazówki, i coraz bardziej rzedła jej mina.

- Nawet krótkiego liściku? - wyszeptała, nerwowo poprawiając srebrne włosy, które wysunęły się jej nad uszami spod czarnego wełnianego beretu. - A może chociaż przekazała jakąś wiadomość? Może prosiła, żebyś coś zapamiętał? Spróbuj sobie przypomnieć, bardzo proszę, to dla mnie ważne: na pewno cię prosiła, żebyś mi coś przekazał, prawda? - Utkwiła wzrok w jego ustach, jakby siłą woli próbowała odczytać z nich upragnione słowa: - Może chociaż tyle, że wszystko układa się pomyślnie? Co, mam rację? Że niebezpieczeństwo minęło? Tak ci powiedziała? Asaf wiedział, że stojąc w taki sposób, przybiera minę, o jakiej Reli, jego siostra, powiedziała kiedyś: „Co do jednego masz szczęście, Asafi - że z taką miną możesz tylko miło zaskoczyć”.

-Ale czekaj, czekaj! - Mniszka zmrużyła oczy. - Może ty w ogóle, nie daj Boże, jesteś jednym z nich, z tych łobuzów? Mówże, mów, jesteś od nich? Trzeba ci wiedzieć, mój panie, że ja się wcale nie boję! - W tym momencie tupnęła na niego drobną nóżką, aż Asaf zrobił krok do

^{\u0440} _ Co, czyżbyś połknął język? Zrobiłeś jej coś? Tymi rekami rozedrę cię na strzępy, jeśli choć dotknąłeś dziewczynki!

W tym momencie suka nagle zaskowyczała, a Asaf, zakłopotany, klęknął koło niej i zaczął ją głaskać obiema rękami. Nie przestawała jednak skomleć i szlochać, drżąc na całym ciele. Wyglądała przy tym trochę jak dziecko, które przypadkiem stało się świadkiem kłótni między rodzicami i nie może już dłużej tego znieść. Asaf położył

się obok niej na podłodze, głaskał ją, tulił, obejmował, mówił jej coś na ucho, jakby zupełnie zapomniał, gdzie jest, jakby zapomniał o tym miejscu i o mniszce. Z całą delikatnością i czułością starał się ukoić wystraszonego, przygnębitego psa.

Mniszka z kolei umilkła, patrząc zdumionym wzrokiem na wysokiego chłopaka. Przyglądała się badawczo jego jeszcze dziecięcej, ale poważnej twarzy, czarnym włosom opadającym mu na czoło, policzkom obsypanym trądzikiem - i zadrżała, widząc w chłopaku tyle ciepła, które bez żadnych oporów emanowało z niego ku suce.

W tym momencie dotarło do Asafa to, co usłyszał wcześniej. Podniósł głowę i spytał:

- To jest dziewczynka?

- Co? Kto? Tak, dziewczynka... Nie, dziewczyna. Mniej więcej w twoim wieku... -

Mniszka zdawała się szukać głosu, który gdzieś jej zginął. Pocierając lekko twarz palcami, patrzyła, jak Asaf pociesza sukę, stara się ją utulić, delikatnie i cierpliwie łagodzi wzburzone fale jej płaczu, aż w końcu uspokoił ją zupełnie, przywracając iskierkę światła jej brązowym oczom.

- Dość, wystarczy, widzisz, że wszystko w porządku -mruknął Asaf, po czym wstał, a kiedy zobaczył, gdzie się znajduje, i przypomniał sobie, w jakim się znalazł kłopotcie,
35

jego wzrok przygasł i chłopiec znów pogрузzył się we własnych myślach.

- Ale chociaż wyjaśnij - westchnęła staruszka, lecz tym razem było to zupełnie inne westchnienie, miało w sobie coś jeszcze prócz bólu i rozczarowania. - Skoro jej nie znasz, to jak wpadłeś na to, żeby przynieść tutaj niedzielną pizzę? I jak się to stało, że suka pozwoliła ci się prowadzić na sznurku? Przecież nie ma na świecie człowieka, prócz Tamar, rzecz jasna, któremu pozwoliłaby się tak uwiązać! A może ty jesteś takim małym królem Salomonem i znasz język zwierząt?

Wysunęła drobną, spiczastą brodę, domagając się odpowiedzi. Asaf z wahaniem zaprzeczył: to nie jest język zwierząt. To jest, jak by to wytłumaczyć... Prawdę mówiąc, nie do końca rozumiał, co mniszka mówiła do niego wzburzonym tonem, ową przedziwną hebrajszczyzną. Wyraźnie podkreślała gardłowe głoski, tak jak je wymawiają starzy je-rozolimczycy, poza tym podwajała litery, o których Asafowi nie

przyszłoby nawet do głowy, że należy je podwoić, i przeważnie nie czekała na odpowiedź, tylko dalej zasypywała go pytaniami.

- Ale może byś wreszcie otworzył buzię? - dyszała zniecierpliwiona. - Panagija mu! Jak długo można milczeć?

Wtedy wreszcie zebrał myśli i opowiedział jej, krótko i rzeczowo, swoim zwyczajem, że pracuje w urzędzie miejskim...

- Ależ chwileczkę, zatrzymaj się! - gwałtownie weszła mu w słowo. - Czemuś się tak nagle zerwał do galopu? Nie rozumiem: przecież jesteś za miody, by pracować!

Asaf uśmiechnął się w duchu i wytłumaczył jej, że to taka wakacyjna praca, a wtedy mniszka znowu mu przerwała:

36

- Wakacyjna? Coś podobnego, to wakacje mogą być pracą? Opowiedz mi prędko, gdzie się znajduje to cudowne miejsce?

Chłopak wyjaśnił zatem, że po prostu ma teraz wakacje od szkoły i w tym czasie postanowił sobie trochę zarobić.

- Ach, pojęłam! To wspaniale, mów dalej, tylko przedtem powiedz jeszcze, jak dostałeś taką niezwykłą pracę?

Asaf był trochę zdziwiony: co to ma wspólnego z odnalezieniem suki i dlaczego staruszka chce wiedzieć, co się działo, zanim tutaj dotarł, ale najwyraźniej naprawdę ją to interesowało. Przysunęła sobie niewielki bujany fotel, usiadła w nim i zaczęła się kołysać z lekko rozstawionymi nogami i dłońmi złożonymi na kolanach. Spytała, czy bardzo mu się podoba jego zajęcie, na co Asaf odparł, że nieszczególnie; jego praca polega na wpisywaniu do rejestru skarg mieszkańców dotyczących pękniętych rur wodociągowych na ulicach i w miejscach publicznych, ale większość czasu po prostu przesypia...

- Przesypiasz? - Mniszka podskoczyła, jak gdyby spotkała bratnią duszę w tłumie obcych ludzi. - Naprawdę siedzisz tam sobie i śpisz? Opowiadaj! - I radośnie uderzyła kolanem o kolano.

Asaf bardzo zmieszany wyjaśnił, że niezupełnie śpi, tylko tak, buja w obłokach, rozmyśla o różnych rzeczach...

- Ale o czym rozmyślasz, oto jest pytanie! Mniszka szeroko otworzyła oczy, w których teraz zablęślała iskra demoniczna, a jej twarz wyrażała tak głęboką powagę i zainteresowanie, że Asaf zmieszał się do reszty i zamilkł; bo co jej miał powiedzieć? Że rozmyśla o Dafi i o tym, jak się ma od niej wreszcie uwolnić, nie narażając się na Roiemu? Spojrzał na nią. Jej ciemne oczy

37

wpatrywały się w jego usta, w oczekiwaniu na odpowiedź. Nagle naszała go szalona myśl, żeby rzeczywiście uchylić jej rąbka tajemnicy. Co mi szkodzi - pomyślał - tylko tak, dla hecy, przecież ona i tak nic z tego nie zrozumie. Tysiące lat świetlnych dzielą jej świat od mojego.

- Tak? Znów zamilkłeś, mój drogi? - odezwała się mniszka. - Nagle odebrało ci mowę? Nie daj Boże, byś miał tak zakończyć opowieść, która dopiero co się narodziła!

Asaf bąknął, że to zwyczajna, głupia historia.

- Nie, nie, nie! - Staruszka klasnęła w dłonie. - Nie ma czegoś takiego jak głupia historia. Powinieneś wiedzieć, że każda opowieść kryje w sobie, gdzieś w głębi, wielką prawdę, nawet jeśli dla nas pozostaje ona niezrozumiała!

- Ale to naprawdę głupia historia - zapewnił ją Asaf z powagą, po czym zaraz zaczął się uśmiechać, widząc, jak usta mniszki rozciągają się w przebiegłym, dziecięcym uśmiechu.

- Dobrze - powiedziała z teatralnym westchnieniem i splotła ręce na piersiach. - Opowiedz mi w takim razie tę swoją głupią historię. Ale dlaczego stoisz? Słyszał kto coś podobnego? - Zdumiona rozejrzała się dookoła. - Gospodyni siedzi, a gość stoi! - Zerwała się z miejsca i podsunęła mu wysokie krzesło z prostym, solidnie wyglądającym oparciem. - Siadźże, a ja przyniosę dzbanek wody i mały poczęstunek. Co byś powiedział, gdybym pokroiła dla nas obojga świeżego ogórka i pomidora? - Powiedziała „pomidora”, przez dwa „m”! - Bądź co bądź nie co dzień zachodzi tu taki dostojny gość z urzędu miejskiego! Siedz, Dinko, spokojnie. Wiesz, że ty też dostaniesz.

- Dinka? - spytał Asaf. - Tak się wabi?

- Tak, Dinka. Tamar mówi na nią Dineczka, a ja... - Pochyliła się nad suką i potarła nosem o jej nos. -Jaja nazy-

38

wam psotnicą, diabelskim nasieniem, mówię do niej ser-deńko, mój złoty kudłacz, i skandaliariso, mam na nią sto dwadzieścia jeden imion, prawda, moje złotko?

Suka patrzyła na nią z miłością i strzygła uszami za każdym razem, gdy padło jej imię. Asaf poczuł, że w nim również odzywa się coś nieznanego, jakby lekkie, ledwo wyczuwalne łaskotanie: Dinka i Tamar - pomyślał. - Tamar i jej Dinka, Dinka i jej Tamar. Przez moment stanęły mu obie przed oczami, przytulone do siebie, tworzące razem pełną ciepła, doskonale harmonijną całość. Lecz wtedy Asaf przypomniał sobie, że to w gruncie rzeczy nie jego sprawa, i stanowczo odepchnął od siebie ten widok.

-A ty jak?

- Co ja jak?

-Jak masz na imię?!

- Asaf.

- Asaf, Asaf, „Psalm Asafowy” - zanuciła pod nosem, po czym żwawym krokiem, niemal biegiem, podreptała do kuchni.

Asaf słyszał zza kwiecistej zasłony, jak mniszka coś kroi, podśpiewując. Po chwili wróciła i postawiła na stole wielki szklany dzban z wodą, w której pływały kawałki cytryny i listki mięty, oraz talerz z plasterkami ogórka, pomidora i cebuli, do tego oliwki i pokrojony w kostkę biały ser, a wszystko zatopione w gęstej oliwie. Wtedy usiadła naprzeciw niego, wytarła dłonie w fartuszek, który włożyła sobie na habit, po czym podała mu rękę:

- Teodora. Pochodzę z wyspy Liksus w Grecji. Ostatnia córka tej nieszczęsnej wyspy zasiada właśnie z tobą do stołu. Jedz, synku.

39

Tamar stała dłuższą chwilę przed wejściem do małego zakładu fryzjerskiego w dzielnicy Rechawia, nie mając odwagi wejść do środka. Zbliżał się wieczór, jeden z

pierwszych lipcowych dni leniwie dobiegał końca. Tamar chyba z godzinę chodziła w tę i z powrotem przed zakładem. W wielkim oknie widziała własne odbicie oraz starego fryzjera, który strzygł jednego po drugim trzech mężczyzn, równie starych jak on. Zakład fryzjerski dla emerytów - pomyślała Tamar. - Dla mnie jak znalazł. Tutaj nikt mnie nie rozpozna. Dwóch klientów czekało na swoją kolej. Jeden z nich czytał gazetę, a drugi, prawie całkiem łysy (czego on w ogóle tu szuka?), o wodnistych, wyłupiastych oczach, wciąż zagadywał fryzjera. Włosy przytuliły się jej do pleców, jakby błagały o litość dla siebie i dla niej samej. Nie obcinała ich od sześciu lat, od dziesiątego roku życia. Nawet w czasach, kiedy chciała całkowicie zapomnieć, że jest dziewczyną, nie potrafiła się ich wyrzec. Były dla niej wygodną zasłoną, czasami wręcz namiotem, w którym mogła się schować, czasami zaś, rozwiane na wietrze, stawały się jej okrzykiem wolności. Co kilka miesięcy, kiedy nachodziła ją potrzeba, by zadbać o wygląd, zaplatała je w grube warkocze, a następnie obwiązywała sobie wokół głowy. Czowała się wtedy dorosła, kobieca, zrównowazona i niemal piękna. Wreszcie pchnęła drzwi i weszła do środka. Opadły ją natychmiast zapachy mydła, szamponu i spirytusu oraz spojrzenia wszystkich, którzy tam siedzieli. Zaległa grobowa cisza. Tamar usiadła śmiało, nie zwracając na to uwagi. Ciężki plecak postawiła sobie przy nodze. Wielki czarny magnetofon na sąsiednim krześle.

- No więc, niech pan sobie wyobrazi... - mężczyzna z wytrzeszczonymi oczami na próżno próbował wrócić do rozmowy z fryzjerem - co ona mi mówi, ta moja córka?
40

7e córce, która im się właśnie urodziła, postanowili dać na imię Beverly! Dlaczego? Bo tak, i już. Tak chciały jej starsze siostry...

Lecz jego słowa zawisły nieruchomo i zgęstniały niczym para, kiedy nagle natrafia na zimne powietrze. Umilkł zmieszany i pomacał się po łysinie, jakby coś mu na nią kapnęło. Mężczyźni spojrzeli ukradkiem na dziewczynę, a potem po sobie. Ich spojrzenia błyskawicznie zaplotły pajęczne nici porozumienia. „Coś tu nie gra - mówiły. - Ona tu nie pasuje, ba, z nią w ogóle jest coś nie w porządku”. Fryzjer

pracował w milczeniu, co jakiś czas spoglądając w lustro. Zobaczył jej błękitne, spokojne oczy i nagle palce odmówiły mu posłuszeństwa.

- Starczy już, panie Szymku - powiedział dziwnie zmęczonym głosem do mężczyzny, który i tak przestał już mówić. - Później mi pan wszystko opowie. Tamar zebrała włosy. Przybliżyła je sobie do nosa i ust, by poczuć ich smak i zapach, pocałowała je na pożegnanie i już na zapas zaczęła tęsknić za ich ciepłym, nieraz łaskoczącym dotykiem, za ich ciężarem, kiedy były upięte, i za poczuciem, że przydają jej wzrostu, podkreślają jej istnienie, jej realną obecność w świecie.

- Proszę ściąć wszystko - powiedziała, kiedy przyszła jej kolej.

- Wszystko? - Głos fryzjera aż załamał się ze zdumienia.

- Wszystko.

- Nie szkoda?

- Prosiłam, żeby pan ściął wszystko.

Dwaj starsi panowie, którzy weszli do zakładu po niej, stanęli jak wryci. Trzeci, Szymek, zakrztusił się w nagłym ataku kaszlu.

41

- Kochanieńka - westchnął fryzjer, przy czym okulary lekko mu zaparowały. - Może lepiej, żebyś poszła wpierw do domu i spytała taty i mamy?

- Proszę mi powiedzieć - odcięła się natychmiast, sprężona do ataku - jest pan fryzjerem czy doradcą pedagogicznym?

Ich spojrzenia skrzyżowały się w lustrze jak szable. Ta stanowczość też była u niej czymś nowym, czego Tamar nie lubiła, ale było bardzo przydatne tam, gdzie się ostatnio obracała.

- Prosiłam ściąć wszystko i tyle. Za to chyba płacę?

- Ale to jest zakład dla mężczyzn. - Fryzjer próbował oponować.

- W takim razie niech mnie pan ogoli - powiedziała ze złością. Splotła ręce poniżej piersi i zamknęła oczy.

Bezsilny fryzjer powiódł wzrokiem po mężczyznach siedzących na krzesłach z tyłu sali. Jego spojrzenie mówiło: „Biorę was na świadków, że próbowałem jej to wyperswadować. Od tej chwili cokolwiek się stanie - będzie to na jej wyłączną

odpowiedzialność". Klienci przytaknęli mu wzrokiem. Pogładził dłonią własne przerzedzone włosy i wruszył ramionami. Następnie ujął w dłoń wielkie nożyce i kilka razy zaszczeakał nimi w powietrzu. Czuł, że wyszło mu to dość niezdecydowanie, głucho i słabo. Powtórzył więc jeszcze kilka razy, coraz mocniej, aż nożyce wydały właściwy dźwięk, taki, jak zawsze, kiedy z radością przystępują do dzieła. Wtedy ujął między kciuk a palec wskazujący pukiel jej włosów, gęstych, kręconych, czarnych jak węgiel, westchnął i wreszcie zabrał się do pracy.

Tamar nie otworzyła oczu, nawet kiedy zamienił nożyce na nieco mniejsze, ani później, kiedy włączył elektryczną golarkę, ani też na końcu, kiedy ostrą brzytwą

42
uSuwał ostatnie ździebełka. Nie widziała osłupienia, z jakim patrzyli na nią mężczyźni. Jeden po drugim odkładali gazety i pochyleni lekko do przodu patrzyli, to z zaciekawieniem, to z niesmakiem, na jej nagą czaszkę, zbyt różową, jak nieopierzone pisklę, która ukazywała się stopniowo spod czarnych fal jej włosów. Obcięte pukle leżały na podłodze i fryzjer bardzo uważał, żeby na nie nie nadepnąć. W pomieszczeniu zrobiło się już gorąco i tłoczno, Ona jednak czuła powiew chłodnego powietrza wokół głowy. Może nie jest tak strasznie - pomyślała i uśmiechnęła się do siebie, słysząc w duszy panią Halinę, swoją nauczycielkę emisji głosu, która wyrzuca jej czasami, że się zaniedbuje: „Włosy też potrzebują troski, Tamile. Jak o nie troszeczkę zadbasz, to sama będziesz odrobinę szczęśliwsza, mam rację? W czym problem? Trochę odżywki, trochę szamponu, może być krem - być piękną to żaden wstyd...”

- Gotowe - mruknął fryzjer i poszedł wytrzeć brzytwę w wacik nasączony spirytusem, potem zajął się pokrowcem na nożyczki, byleby tylko stać do niej tyłem, kiedy otworzy oczy.

Otworzyła je natychmiast i zobaczyła małą, brzydką dziewczynkę, wystraszoną, a nawet przerażoną. Zobaczyła dziewczynkę z poprawczaka, dziecko ulicy, wariatkę. Dziewczynka miała zbyt spiczaste uszy, za długi nos i wielkie, dziwnie szeroko rozstawione oczy. Nigdy przedtem nie zauważyła, że są takie dziwne. Teraz przeraziły ją swoim nagim, porażającym spojrzeniem. Pierwsza myśl była taka, że

nagle stała się bardzo podobna do swojego ojca, i to akurat w tych rysach jego twarzy, które uwidoczniły się dopiero ostatnio, kiedy zaczął się starzeć. Drugą myślą było, że dzięki temu, w odpowiednim ubraniu, które zatrze

43

podobieństwo, jest szansa, że nie rozpoznają jej nawet rodzice, gdyby przypadkiem przeszli na ulicy koło niej.

Zakład fryzjerski zastygł w bezruchu. Tamar długo i bezlitośnie przypatrywała się sama sobie. Goła głowa wydała się jej odsłoniętym kikutem. Miała poczucie, że teraz każdy może odczytać jej myśli.

- Przyzwyczajasz się - usłyszała dobiegające z oddali mamrotanie fryzjera. - W twoim wieku włosy szybko odrastają.

- Niech się pan o mnie nie martwi - zaprotestowała od razu, odrzucając wszelką łagodność, która mogłaby ją złamać. Bez włosów nawet własny głos brzmiał w jej uszach inaczej, był wyższy, jakby rozszczepiony na kilka barw, i zdawało się, że dochodzi do niej z innego miejsca niż zwykle.

Kiedy zapłaciła fryzjerowi, ten wziął od niej pieniądze koniuszkami palców. Miała wrażenie, że obawia się jej dotyku. Szła powoli, wyprostowana, jakby niosła dzban na głowie. Każdy ruch wywoływał w niej nowe doznania, i to się jej nawet podobało. Powietrze wirowało wokół jej głowy w dziwnym tańcu, jak gdyby przybliżało się, żeby zobaczyć, kim ona jest, i zaraz się cofało, po czym znów zbliżało się, by jej dotknąć.

Zarzuciła plecak na ramię, wzięła magnetofon i skierowała się do wyjścia. W drzwiach przystanąła na chwilę. Była obyta ze sceną i wiedziała, że poza wszystkim odbył się tu także mały występ. Ludzie obejrzeni przedstawienie, które być może napędziło im trochę strachu, ale z pewnością było również wciągające. Nie mogła oprzeć się pokusie: wyprężyła się, odrzuciła głowę do tyłu, jakby potrząsając ogromną, operową koroną włosów, i w artys-tokratycznym, pełnym dramatyzmu geście, uniosła rękę,

44

niby Tosca w finale, tuż przed skokiem z tarasu, przytrzymała ją chwilę w powietrzu,

i dopiero wtedy wyszła, trzaskając drzwiami.

Pieczarki czy oliwki?

Asafnie wiedział, w jakim właściwie momencie to się stało: kiedy Teodora przestała być wobec niego podejrzliwa, i jakim cudem siedzi teraz naprzeciw niej z wielkim widelcem w ręku i zabiera się do pizzy. Miał tylko niejasne przeczucie, że była taka przełomowa chwila, że kilka minut wcześniej coś się wydarzyło w tym pokoju.

Mniszka spojrzała na niego innym wzrokiem, jakby otwierając w sobie małe drzwiczki dla Asafa.

- Znów zasnąłeś?

- Pieczarki i cebulka - odparł, a mniszka zaśmiała się pod nosem:

- Tamar woli oliwki, a ty pieczarki. Ona żółty ser, a ty cebulkę. Ona jest mała, a tyś jest wielki jak Og, król Basza-nu. Ona mówi, a ty milczysz.

Zarumienił się.

- Ale teraz opowiadaj, opowiedz mi wszystko! Siedziałeś tam i marzyłeś...

- Gdzie?

- Wurzędzie miejskim! A gdzież by! Nie powiedzialesz tylko, o kim.

Asafwlepił w nią wzrok. Zdumiewały go kształty, w jakie układały się zmarszczki na jej twarzy. Jej czoło było nimi pokryte niczym kora drzewa, podobnie jak broda.

Kreski zmarszczek ciągnęły się wokół jej warg, z których dolna była nieco wystająca.

Policzki za to miała zupełnie gładkie,

45

okrągłe i białe; dopiero teraz, pod jego spojrzeniem, nieco się zaczerwieniła.

Ten rumieniec wprowadził Asafa w zakłopotanie. Wyprostował się i czym prędzej skierował rozmowę na oficjalne tory:

- Więc mogę tu zostawić sukę, a pani przekaże ją Tamar?

Było dla niego oczywiste, że mniszka spodziewała się usłyszeć coś zupełnie innego, o jego snach na jawie, na przykład. Pokiwała głową i natychmiast mu przerwała:

- Ależ nie, nie! To niemożliwe!

- Dlaczego nie? - spytał zaskoczony, na co ona odparła z lekką irytacją:

- Nie, nie. Ach, gdybym tylko mogła! Nie goń za tym, co przerasta twe siły!

Posłuchaj. - Jej głos złagodniał, gdy zobaczyła jego rozczarowanie. - Z miłą chęcią przechowałabym tutaj kochaną Dinkę. Ale czy nie trzeba od czasu do czasu jej wyprowadzić? Czy nie trzeba pospacerować z nią trochę po podwórku, po ulicy? Poza tym ona na pewno zechce wyruszyć dalej na poszukiwanie Tamar, a ja, co ja zrobię? Wszak nie ruszam się stąd na krok!

- Dlaczego?

- Dlaczego? - Pokręciła powoli głową, jak gdyby nad czymś się zastanawiała. - Naprawdę chcesz wiedzieć?

Asaf przytaknął. Może ma grypę - pomyślał. - Może jest wrażliwa na słońce.

- A co będzie, jeśli ni stąd, ni zowąd, przybędą tutaj pielgrzymi z Liksus? Co, twoim zdaniem, się stanie, jeśli mnie tu nie będzie, aby ich przywitać?

Studnia - przypomniał sobie Asaf- drewniane ławki, gliniane kubki i kamienne podnóżki.

- A widziałeś, idąc na górę, salę noclegową dla utrudzonych drogą pielgrzymów?
46

- Nie. - Nie widział, bo Dinka zbyt szybko biegła, ciągnąc go za sobą.

Teraz z kolei mniszka Teodora wstała i chwyciła go za dłoń swoją drobną, ale mocną ręką. Pociągnęła go, wołając także Dinkę, i kiedy wszyscy troje schodzili szybkim krokiem po schodach, Asaf zauważył na jej serdecznym palcu dużą, żółtą jak wosk bliznę.

Zatrzymała się przed szerokimi i wysokimi drzwiami.

- Stój tutaj i czekaj. Zamknij, proszę, oczy. Zamknął, zastanawiając się, kto ją uczył hebrajskiego,

i w którym to było wieku. Usłyszał skrzypienie drzwi.

- Teraz otwórz.

Oczom Asafa ukazało się ciasne, okrągłe pomieszczenie z dziesiątkami wysokich żelaznych łóżek ustawionych w dwa rzędy. Na każdym z nich leżał gruby materac, a na nim starannie złożone prześcieradło, koc i poduszka. A na tym wszystkim, niczym kropka nad „i”, spoczywała czarna książeczka.

- Wszystko jest gotowe na ich przyjazd - wyszeptwała Teodora.

Asaf poczuł się wessany do wnętrza sali. Przeszedł wolno między łózkami, każdym krokiem wzbijając w powietrze obłoczek kurzu. Światło sączyło się do środka przez wysokie okna. Otworzył jedną z książeczek i zobaczył litery nieznanego alfabetu. Próbował sobie wyobrazić tę salę wypełnioną tłumem rozemocjonowanych pielgrzymów, lecz powietrze było tu chłodniejsze i bardziej wilgotne niż w pokoju mniszki, można go było niemal dotknąć. Asaf poczuł nieokreślony niepokój. Kiedy uniósł oczy, zobaczył Teodorę stojącą w progu ' na ułamek sekundy doznał dziwnego wrażenia, że nawet jeśliby ruszył w tamtą stronę, nie dotarłby do niej. Że został

47

uwięziony w czasie, który przestał płynąć. Zerwał się z miejsca i wrócił do niej niemal biegiem. Zadał cisnące mu się na usta pytanie:

- A oni, ci pielgrzymi...? - Lecz widząc wyraz jej twarzy, uświadomił sobie, że musi starannie dobierać słowa.

- Właściwie... kiedy mają tu przybyć? To znaczy, kiedy pani ich się spodziewa? Dzisiaj? W tym tygodniu?

Powiało od niej chłodem. Odwróciła się od niego jak cyrkiel na ostrej igle.

- Chodź, mój drogi. Wracamy. Pizza stygnie. Poszedł za nią na górę, zmieszany i niespokojny.

- Moja Tamar - powiedziała, kiedy szli po schodach, a jej rzemienne sandały stuknęły mu przed oczami - ona sprząta tam, w dormitorium. Przychodzi raz w tygodniu i dokładnie wszystko szoruje. Ale teraz, sam widziałeś

- wszystko zakurzone.

Znów zasiedli do stołu, lecz coś między nimi się zmieniło, przygasło, Asaf sam nie wiedział, co. Był zaniepokojony czymś, co unosiło się w powietrzu, jednak nie zostało powiedziane. Mniszka też była rozkojarzona i nie patrzyła na niego. Kiedy tak pograżyła się w sobie, jej policzki zaokrągliły się jeszcze bardziej i ze szparkami swoich oczu przypominała mu starą Chinę. Przez chwilę jedli w milczeniu - albo udawali, że jedzą. Asaf co jakiś czas rozglądał się dookoła, widział małe łóżko, zawalone stertami książek. Na stole w rogu stał przedpotopowy aparat telefoniczny z

okrągłą tarczą. Później oczy Asafa zatrzymały się na pewnym przedmiocie, który wyglądał jak figurka osła wykonana z poskręcanych i zardzewiałych żelaznych drutów.

- Nie, nie, nie! - zezłościła się nagle mniszka i uderzyła oburącz o stół, aż Asaf przestał żuć. - Jak tak można? Jeść, nie rozmawiając? Przeżuwać jak te krowy? Nie rozma-

48

wiać o tym, co leży na sercu? Jaki smak ma cała ta pizza, mój drogi panie, bez rozmowy! - I odepchnęła od siebie talerz.

Asaf przełknął szybko to, co miał w ustach, ale nie wiedział, jak wybrnąć z sytuacji: - Az tą Tamar... - Zakrztusił się lekko, wymawiając jej \m\ę. - Z nią pani rozmawia, tak? - Własny głos wydał mu się zbyt donośny i sztuczny.

Oczywiście zauważyła jego nieporadną próbę wywinienia się od rozmowy o sobie i utkwiła w nim drwiące spojrzenie. Tymczasem on zaczął już coś mówić i nie wiedział, jak się z tego wycofać, zachowując twarz. W ogóle nie był mistrzem lekkiej konwersacji (czasami w rozmowach z Roim, Meital i Dafī, kiedy wskazana była lekkość i błyskotliwość albo po prostu trzeba było pogawędzić wesoło o niczym, czuł się tak, jakby miał zawrócić czołgiem w ciasnym pokoju).

- Znaczą się ona... Tamar, przychodzi do pani co tydzień, tak?

Widział, że mniszka nie pali się, żeby mu odpowiedzieć, a mimo to, kiedy wspomniał o Tamar, jej oczy znowu rozbłysły.

- Przychodzi tu do mnie już rok i dwa miesiące - powiedziała jakby z dumą, gładząc warkocz. - Pracuje tu trochę, bo potrzebuje pieniędzy, ostatnio nawet dużo. A od rodziców, oczywiście, nie bierze.

Asaf zauważył, że mniszka, mówiąc o rodzicach dziewczyny, pokręciła lekko nosem, ale o nic nie pytał - bo czy to jego sprawa?

- U mnie jest mnóstwo roboty, sam widziałeś: zamiatanie w dormitorium, odkurzanie łóżek, w kuchni raz na tydzień trzeba wypucować te wielkie garnki...

49

- Ale po co - przerwał jej gwałtownie - wszystkie te łóżka i garnki? Kiedy oni mają się tu zjawić? Kiedy ci pielgrzymi mają... - przezornie zamilkł.

Poczuł, że teraz musi poczekać. Ogarnęło go znajome uczucie: jest taka chwila w ciemni, kiedy fotografia wyłania się powoli pod wpływem wywoływacza i zaczynają się na niej zarysowywać kontury. Teraz podobnie - to, co usłyszał, i to, czego się tylko domyślał, zaczęło powoli nabierać określonych kształtów. Za minutę, dwie wszystko będzie jasne.

- A po pracy siadamy sobie we dwie, zdejmujemy fartuchy, myjemy ręce i zabieramy się do pizzy - zachichotała. - Pizza! Tylko dzięki Tamar polubiłam pizzę... I wtedy rozmawiamy, oczywiście, do woli. Ta mała rozmawia ze mną o całym świecie i wszystkim, co go wypełnia. - Znow Asaf miał wrażenie, że słyszy nutkę dumy w jej głosie. Zastanawiał się, co jest w tej Tamar, jego rówieśniczce, że Teodora tak się szczeni jej przyjaźnią. - A czasami się spieramy, tak że aż iskry lecą, ale zawsze z życzliwością. - Przez chwilę wydało mu się, że mniszka też jest młodą dziewczyną. - Jak to bliskie przyjaciółki.

- A o czym tak wiele rozmawiacie? - To pytanie wyrwało mu się z zawstydzającym pośpiechem i Asaf poczuł w sercu ukłucie zazdrości. Być może na wspomnienie tego, co powiedziała mu Dafi zaledwie dwa dni temu: że kiedy tylko Asaf zaczyna opowiadać jakąś historię, ona zawsze ma taki dziwny odruch, żeby spojrzeć na zegarek. - O Bogu? - zapytał z nadzieją. Bo jeśli by rozmawiały tylko o Bogu, byłoby to logiczne i do zniesienia.

- O Bogu? - zdumiała się Teodora. - Dlaczego... naturalnie... oczywiście, Bóg też przewija się od czasu do czasu, czy można inaczej? - Założyła ręce na piersi i przyglądała

50

- Asafowi ze zdziwieniem, próbując dociec, czy nie pomyliła się grubo co do niego. Znał to spojrzenie, znał je aż za dobrze, i gotów był wyskoczyć ze skóry, byleby tylko wymazać je z jej oczu. - Prawdę mówiąc, mój drogi, o Bogu nie lubię rozmawiać... Nie jesteśmy już na takiej przyjacielskiej stopie jak kiedyś, Bóg i ja. Ja sobie, a on sobie. Ale czy brakuje ludzi na świecie, o których można by

porozmawiać? A dusza? A miłość? Miłość już się dla pana nie liczy, młody kawalerze? A może samodzielnie rozwikłał pan już wszystkie jej zagadki? - Asaf zarumienił się i energicznie pokręcił głową. - I żebyś sobie nie myślał: tu, przy pizzy, poruszamy również kwestie filozoficzne. Po po! - wydała krótki okrzyk, zdaje się po grecku, wymachując drobną ręką. - I wciąż zażarcie się spieramy, tak że aż wieża drży w posadach! O czym rozmawiamy, pytasz? - Asaf zrozumiał, że powinien zapytać, więc energicznie przytaknął. - O czym my rozmawiamy? O dobru i złu, czy mamy wolność, tę naprawdę wielką wolność... - rzuciła mu lekki, prowokacyjny uśmiech - by obrać własną drogę, czy też ta jest nam dana z góry, a my jesteśmy nią tylko prowadzeni? Rozmawiamy też o piosenkach Jehudy Polikera, Tamar przynosi mi zawsze wszystkie jego nagrania, każdą nową piosenkę! Wszystko mam nagrane na magnetofonie Sony! A jeśli, na przykład, leci w kinie jakiś piękny film, ja zaraz mówię: „Tamar, idź, proszę, za mnie! Masz tu pieniądze, może zaprosisz też jakąś koleżankę, i przyjdź tutaj, żeby mi wszystko opowiedzieć, kadr po kadrze”. Tym sposobem i ona ma przyjemność, i ja mam pożytek. Nagle naszła go nieoczekiwana myśl:

- A pani sama? Oglądała pani kiedyś film?

- Nie. I tego nowego... telewizji, też nie. Części zaczęły się układać w całość:

51

- I powiedziała pani, że nigdy nie wychodzi, prawda? Pokiwała głową i spojrzała na niego z uśmiechem,

śledząc zaążek myśli, jaka zaczęła w nim kiełkować.

- To znaczy... że nigdy pani stąd nie wychodzi? - dopytywał zdumiony.

- Od dnia, kiedy przybyłam do Ziemi Świętej - potwierdziła z pewną dumą. - Byłam wtedy młodą, dwunastoletnią kózką. Od tego czasu upłynęło już pięćdziesiąt lat.

- I przebywa tu pani już pięćdziesiąt lat? - Głos Asafa zabrzmiał w jego uszach jak głos małego dziecka. - I ani razu pani nie... Zaraz, zaraz, nawet na podwórko?

Znów pokiwała głową. Dalsze pozostawanie w tym miejscu stało się dla niego nie do zniesienia. Chciał wstać, otworzyć wielkie okno i wyskoczyć na gwarną ulicę.

Zszokowany popatrzył na mniszkę i pomyślał, że właściwie nie jest taka stara. W

sumie jest tylko trochę starsza od jego ojca. Wygląda tak tylko dlatego, że żyje w zamknięciu. Jak dziewczynka, która w jednej chwili zmieniła się w staruszkę, nie przemierzając całej drogi życia.

Poczekala cierpliwie, aż Asaf pomyśli o niej wszystko, co ma do pomyślenia, po czym odezwała się cicho:

-Tamar znalazła dla mnie w jakiejś książce takie przepiękne zdanie: „Szczęśliwy, kto umie pozostawać zamknięty sam ze sobą w pokoju”. W takim razie jestem szczęśliwym człowiekiem. - Ściągnęła lekko wargi. - Bardzo szczęśliwym.

Asaf szurnął krzesłem. Wzrokiem szukał drzwi. Świerzbily go stopy. Nie o to chodzi, żeby nie mógł zostać sam w pokoju, mógł siedzieć sam całymi godzinami. Ale pod warunkiem, że będzie tam miał dobry komputer, nowego „Questa”, i że nie będzie przy nim nikogo, kto by mu podpowiadał rozwiązania. Tak, to by mu pozwoliło

52
nozostać w pokoju cztery, pięć godzin, nawet bez jedzenia. Ale żeby tak zawsze? Całe życie? Dzień i noc, tydzień po tygodniu, rok za rokiem? Pięćdziesiąt lat?

- Dziękuję, że nic nie mówisz - powiedziała mniszka. _ „Milczenie przystoi mędrcom”.

Asaf nie wiedział, czy może teraz o cokolwiek zapytać, Czy też powinien uchodzić za mędrca aż do końca wizyty.

- A teraz... - wzięła głęboki oddech - teraz twoja kolej. Opowieść za opowieść. Ale nie zatrzymuj się co chwila i nie bądź przez cały czas taki ostrożny. Panagija mu! Dlaczego tak się boisz opowiadać o sobie? Taka z ciebie ważna figura?

- Ale co? Co mam powiedzieć? - spytał zmartwiony, bo o Bogu mówić nie miał ochoty, o Jehudzie Polikerze nie wiedział zbyt wiele, a jego życie było takie zwyczajne, zresztą w ogóle nie lubił mówić o sobie. Co ma jej powiedzieć?

- Jeśli opowiesz mi historię prosto z serca -westchnęła -ja też ci taką opowiem. To powiedziawszy, uśmiechnęła się, jakby z bólem. Naraz stało się to możliwe. Dwadzieścia osiem dni wcześniej, nim Asaf poznał Teodorę, zanim jeszcze zaczął pracować w urzędzie miejskim, kiedy jeszcze nie zdawał sobie sprawy, że jest na świecie ktoś taki jak Teodora, ani nawet nie domyślał się istnienia Tamar -

dziewczyna wyszła na ulicę. Jak zawsze w czasie wakacji Asaf spał tego dnia do dwunastej w południe. Potem wstał i przygotował sobie lekkie śniadanie - trzy, cztery kanapki, jajecznica z dwóch jajek - przeczytał gazetę, wysłał e-mail do holenderskiego kibica Houston Rockets, i przez bitą godzinę uczestniczył w burzliwej dyskusji na

53
forum Questfor Glory. W tym czasie zadzwonił do niego Roi, a może inny kolega z klasy (on sam zwykle do nikogo nie dzwonił), i próbowali zaplanować wspólny wieczór, ale nic im z tego nie wyszło, więc odłożyli rozmowę na później. Zadzwoniła też mama z pracy i przypomniała mu, żeby zdjął pranie i wyjął naczynia ze zmywarki, a o drugiej odebrał Moki z półkolonii. Potem popatrzył na program National Geographic, wykonał, jak co dzień, kilka ćwiczeń gimnastycznych i wrócił do komputera. Godziny ciągnęły mu się leniwie i nic się nie działo.

W tym właśnie czasie Tamar zamknęła się w małej kabinie z ordynarnymi napisami i rysunkami na ścianach, w publicznej toalecie na dworcu autobusowym. Szybko zdjęła ubranie - dżinsy i indyjską bluzkę z cienkiego materiału, którą rodzice kupili jej w Londynie, zdjęła sandały i stanęła na nich. Została w samych majtkach i staniku. Wypełniająca kabinę ciężkie powietrze, które wprost kleiło się do skóry, budziło jej obrzydzenie. Z wielkiego plecaka wyjęła mniejszy, a za nim trykotową koszulkę i niebieski niezgrabny kombinezon, drapiący, cały poplamiony i podarty. Przyzwyczajasz się - pomyślała, wkładając go na siebie. Po chwili wahania zdjęła z ręki cienką srebrną bransoletkę, którą dostała na bat micwę. Ona też była niebezpieczna: wygrawerowano na niej jej imię i nazwisko. Wyjęła z plecaka parę adidasów i włożyła na nogi. Wolałaby sandały, ale coś jej mówiło, że w nadchodzących tygodniach będzie bardzo potrzebowała zakrytych butów, zarówno po to, by mieć poczucie, że coś ją obejmuje, utrzymuje jej ciało we właściwym kształcie, jak i po to, by szybciej biegać, gdyby ją gonili.

Był też dziennik. Sześć brulionów, szczelnie owiniętych w papierową, nieprzemakalną torbę. Pierwszy, od

54

dwunastego roku życia, był cieńszy niż pozostałe i ozdobiony kolorowymi

rysunkami storczyków, Jelonka Bambi, raszków i serc przebitych strzałą. Ostatnie, w gładkich okładkach, były dużo grubsze i gęsto zapisane. Mocno obciążały plecak i tylko przysparzały kłopotu, lecz musiała wynieść je z domu, bo wiedziała, że rodzice zaraz by przeczytali te zapiski. Teraz zagrzebała je głęboko w przepastnym plecaku, lecz po chwili, nie mogąc się powstrzymać, wyjęła pierwszy zeszyt i przekartkowała go z uśmiechem, przyglądając się własnemu dziecinnemu pismu. W roztargnieniu usiadła na muszli klozetowej. O, tutaj jest w siódmej klasie, a to jej pierwsza ucieczka z domu, kiedy pojechała z dwiema koleżankami do Cemach, na koncert Teapacks. Co to była za szalona noc! Wertowała dalej. „Liat zjawiała się na imprezie w czarnej sukni z cekinami i wyglądała szałowo”. „Liat tańczyła z Gilim Papuszado i była taka piękna, że chciało mi się płakać”. Jak to jest, że dawne rany nigdy tak naprawdę się nie goją, że w każdej chwili mogą się otworzyć na nowo (ale teraz musi już stąd wyjść i ruszyć w drogę). Wzięła inny brulion, sprzed dwóch i pół roku: „Stresuje ją to, że akurat teraz dojrzewa. «Rozwija się» (Nienawidzi!!! Tych ich słów!). Komu to teraz potrzebne?” Zatrzymała się. Próbowwała sobie przypomnieć, dlaczego pisała o sobie w trzeciej osobie. Uśmiechnęła się z bólem: no jasne. To ten czas, kiedy narzuciła sobie idiotyczny trening, żeby się zahartować, żeby jej skóra stała się mniej wrażliwa. Tresura, która miała ją uodpornić na łaskotki. W najchłodniejsze dni zdejmowała wtedy sweter i kurtkę, a nawet koszulę, albo chodziła boso po ulicach, po polach. Pisanie w trzeciej osobie też było z tym związane: „Uwielbia ciasne zakamarki, jak na przykład przestrzeń między szafą a ścianą w jej pokoju, gdzie jeszcze miesiąc temu

55

mogła wejść i przesiadywać skulona całymi godzinami, a teraz dostaje szału na samą myśl, że już nigdy wżyciu nie będzie się mogła tam wcisnąć!!!”

A na następnej stronie, nie wiadomo dlaczego napisała, jak za karę w szkole, dokładnie sto razy: Jestem pusta i próżna. Jestem pusta i próżna”.

Boże - pomyślała, opierając głowę o rezerwuar nad sedesem - nie mogę uwierzyć, że byłam taka stuknięta.

Jednakże zaraz potem znalazła swoje pierwsze spotkanie z książką Jehudy Amichaja

Nawet pięść była kiedyś otwartą dłonią i palcami i ze współczuciem pomyślała o dziewczynce, która napisała: „Wszystkie nowo narodzone rybki mają pęcherzyk z białkiem. Wiem, że ta książka będzie takim moim pęcherzykiem na całe życie”. A tydzień później stanowczo stwierdziła: „Aby mieć W.O., ślubuję uroczyście, że od dzisiaj przez resztę życia zawsze będę patrzeć na świat ze zdumieniem”.

Uśmiechnęła się gorzko. Ostatnimi czasy świat rzeczywiście zmusił ją, by patrzeć na niego ze zdumieniem, potem z wściekłością, a wreszcie z zupełnym zniechęceniem. A jedną z rzeczy, za których sprawą naprawdę zrobiła Wielkie Oczy, była wizyta u fryzjera.

Szybko przerzucała kartki do przodu i do tyłu, trochę się podśmiewając, a trochę wzdychając. Co za szczęście, że postanowiła przejrzeć ten dziennik, nim wyruszy w drogę! Zobaczyła samą siebie jak na dłoni, jak gdyby ktoś puszczał cały film, złożony z pojedynczych kadrów, przedstawiający jej życie dzień po dniu. Musiała już wychodzić, Lea czekała na nią w restauracji - były umówione na pożegnalny obiad, ostatni wspólny posiłek, ale nie umiała wyjść, nie chciała wychodzić na ulicę i wystawiać się znów na te spojrzenia. Jak oni wszyscy się na nią gapią, odkąd ogoliła głowę! Tutaj

56

zynajmniej jest osłonięta. Jest sama, odgradzona ścianami od świata. A tutaj ma czternaście lat, zaczęła już od cza-m do czasu używać pisma lustrzanego, kiedy chciała coś zachować w szczególnej tajemnicy: „Biedna mama, tak bardzo chciała mieć córkę, żeby móc z nią o wszystkim porozmawiać, dzielić się z nią swoimi tajemnicami, odsłaniać przed nią kobiece sekrety i ukazać jej, jak cudownie jest być kobietą. Istny dar Niebios. I co dostała? Mnie”.

Moja mama. Mój tata. Zamknęła oczy, odpychając ich od siebie, lecz oni wciąż powracali. „Są takie sytuacje w życiu, kiedy każdy jest zdany sam na siebie” - powiedział jej ojciec w czasie ostatniej kłótni. Dość, niechże już stąd idzie! Kiedy wszystko się skończy, będzie mogła o nich myśleć. Jeśli o mnie chodzi, to sprawa jest zamknięta i więcej już nie zamierzam kiwnąć palcem” - powiedział, po czym spojrzął na nią z udawaną obojętnością i tylko prawa brew drgała mu nieustannie, jakby była

stworzeniem obdarzonym własnym życiem. Powoli, z wielkim wysiłkiem, odegnała myśli o rodzicach. Nie wolno jej teraz zaprzętać sobie nimi głowy. Oni ją osłabiają i przyprawiają o zniechęcenie. Teraz dla niej nie istnieją. Rozgorączkowana wyjęła z plecaka na chybił trafił inny zeszyt, sprzed mniej więcej półtora roku. Tutaj już w jej życiu pojawili się Idan i Adi, i wszystko zaczęło zmieniać się na lepsze. Tak przynajmniej sądziła. Czytając, nie mogła uwierzyć, że jeszcze kilka miesięcy temu tak bardzo zajmowały ją sprawy tego rodzaju. Idan powiedział to, zrobił tamto; poszedł się ostrzyć na Franciszka Józefa, a ją i Adi zabrał ze sobą, żeby pilnowały fryzjera: „Bo ty jesteś bardziej praktyczna” - powiedział, a ona nie wiedziała, czy w jego ustach to komplement, czy obelga, i była zdumiona, że ktoś w ogóle tak o niej myśli. I wyjazd na festiwal do Aradu - ktoś ukradł

57

plecak ze wszystkimi portmonetkami. Zostało im w sumie dziesięć szekli. Idan objął przywództwo: w sklepie papier-j niczym kupił za dziewięć szekli bloczek pokwitowań. Następnie wysłał je obie, żeby zbierały datki na rzecz „Stowarzyszenia Walki z Dziurą Ozonową”.

Jak jej się wtedy kręciło w głowie ze szczęścia - popełnić takie oszustwo, takie przestępstwo, żeby potem przynieść mu zdobyte pieniądze. A jaką urządzili sobie wyżerkę, zostało im jeszcze dość pieniędzy, żeby kupić trawę, ona paliła i nic nie czuła, a Idan i Adi wciąż się wygłupiali i mówili, jaki to mają odłot, a w drodze powrotnej, w autobusie, Adi siedziała z Idanem dwa siedzenia przed nią i przez całą drogę zanosili się histerycznym śmiechem.

Między głupstwami zaś zaczęły się pojawiać niepozorne, jakby rzucone mimochodem uwagi, strzępy relacji o sprawach, do których nie przywiązywała wtedy najmniejszej wagi. Było to jak cichy szept, przechodzący stopniowo, powoli, w krzyk: mama i tata odkryli, że zniknął wiszący za drzwiami afgański kilim. Natychmiast zwolnili pomoc domową, która pracowała u nich od siedmiu lat. Później zniknęło też kilkaset dolarów z szuflady taty, a wtedy wyrzucili arabskiego ogrodnika. Wreszcie była ta sprawa z samochodem, kiedy licznik wskazywał na bardzo daleką podróż, a rodzice byli w tym czasie na wakacjach za granicą. I jeszcze

inne cienie, które przemykały się pod ścianami domu, a nikt nie miał odwagi rzucić na nie zbyt jasnego światła.

Ktoś załomotał w drzwi. Babcia klozetowa. Nakrzy-czała na nią, że siedzi tam już godzinę. Tamar odkrzyknęła ostro, że zostanie tam, jak długo będzie chciała.

Oddychała nerwowo, przestraszona brutalną interwencją kobiety.

58

Kiedy zaczęła czytać ostatni brulion, zdumiała się, bo wSzystko tam było opisane, w szczegółach, czarno na bia-lyrn: plan, jaskinia, spis potrzebnych artykułów, wszelkie prawdopodobne i nieprawdopodobne niebezpieczeństwa. Zdała sobie sprawę, że musi zniszczyć ten zeszyt. Nie może go zostawić nawet w schowku. Jeszcze raz go przewerto-wała. Znalazła dokładnie to miejsce, do którego pozwalała sobie cokolwiek odczuwać - nocne spotkanie pod Rif-Raf z tamtym kędzierzawym chłopakiem o łagodnym spojrzeniu. Pokazał jej swoje połamane palce, a potem uciekł, jakby i ona mogła zrobić mu coś podobnego. Odtąd zakuła się w zbroję, stała się małowówna i pisała jak urzędniczka w tajnej jednostce wojskowej: zadania, problemy, niebezpieczeństwa. Co wykonano, a co zostało do zrobienia.

Zamknęła zeszyt. Jej wzrok zatrzymał się na ordynarnym rysunku na drzwiach kabiny, oczyjej się zaszklify. Gdyby tylko mogła zabrać ze sobą ten dziennik. Nie może tego zrobić. Ale co pocznie bez niego? Jak zrozumie sama siebie, nie pisząc go? Bez czucia w palcach wyrwała pierwszą kartkę i wrzuciła między nogami do muszli. A potem kolejną, i jeszcze jedną. Zaraz, a to co? „Kiedyś wiele płakałam, ale byłam pełna nadziei. Dzisiaj ciągle się śmieję, a jestem zrozpaczona”. Do wody. „A ja chyba zawsze będę się zakochiwać w kimś, kto akurat kocha inną. Dlaczego? Bo tak i już. Bo jestem świetna w stwarzaniu beznadziejnych sytuacji. Każdy w czymś jest dobry”. Podarła. „Moja sztuka? Jak to, nie wiesz? Nie żyć chwilą”. Darła, darła z wściekłością. Wstała i zastygła na chwilę, oszołomiona. Zostały strony z kilku ostatnich dni. Nieustanne sprzeczki z rodzicami, jej krzyki, błagania, i to potworne, rozdzierające serce uczucie, kiedy zdała sobie sprawę, że oni naprawdę nie są w stanie nic zrobić, że nie mogą ani jej

59

pomóc, ani jej powstrzymać. Że są całkowicie obezwładnię-! ni nieszczęściem, które na nich spadło, jakby magiczne zaklęcie pozbawiło ich duszy, zostawiając same wydmusz-1 ki. Teraz tylko Tamar może cokolwiek zdziałać. O ile star-1 czyjej odwagi.

Jednakże tam, dokąd chce się udać, mogą ją przeszukiwać; być może zostanie zrewidowana albo ktoś będzie grzebać w jej rzeczach, by się dowiedzieć, kim jest. Kim jestem? Co ze mnie zostało? Spuściła wodę i patrzyła, jak wraz z nią spływają wirujące strzępy kartek: nic.

Bez dziennika i bez Dinki. Ogarnęło ją przygnębienie.

Szybko wmieszała się w tłum ludzi przetaczający się przez dworzec. Widziała własne odbicie w oknie restauracji, w okienku sprzedawcy hot dogów, w spojrzeniach ludzi. Widziała, jak krzywią się na jej widok. Do wczoraj patrzyli na nią zupełnie inaczej. Do wczoraj w pewnym sensie prowokowała nawet takie spojrzenia - strojem i wyglądem zawsze sprawiała wrażenie kogoś, kto puszcza do nich oko, albo wysyła dyskretne, uwodzicielskie zaproszenie. Tamar wiedziała: to przesadna śmiałość typowa dla zbyt nieśmiałych. Śmiałość paniczna, która wrywa się z niej i wybucha w niekontrolowany sposób, jak nieopatrzne beknięcie: chociażby ta jej ażurowa bluzka, którą włożyła na przyjęcie z okazji ukończenia gimnazjum. Albo jaskrawo-czerwone buty, buty Dorotki z Czarnoksiężnika z krainy Oz, które włożyła na galowy recital w Akademii. Można by znaleźć jeszcze więcej przykładów. I to jej ciągle przechodzenie ze skrajności w skrajność: albo zupełnie się zaniedbywała (pani Halina nakrzyczała na nią kiedyś, że odtąd zabrania jej się ubierać „jak jakaś ortodoksyjna dziewczucha z Bne Brak”), albo nosiła się elegancko i stylowo, aż do przesady. Jej okres fioletowy, okres żółty, okres czarny...

60

Zostawiła duży plecak w przechowalni bagażu, a mały przycisnęła do piersi. Odtąd będzie jej domem. Pracujący chłopak popatrywał na nią i podobnie jak fryzjer starał się nie dotykać niczego, co do niej należy. Podniosła z lady metalowy żeton z numerem bagażu, który zostawiła na przechowanie.

No tak, tego nie przewidziała: „A gdzie teraz włożysz, na przykład, ten żeton?” Omal się nie ucieszyła z własnej porażki, uświadomiwszy sobie, że nie wszystko udało jej się przewidzieć i z góry zaplanować: I co powiesz, jeśli znajdą go u ciebie? A jeśli któryś z nich pójdzie odebrać plecak z przechowalni, zajrzy do portfela i do dziennika? Idiotka, nedorajda zapatrzona w czubek własnego nosa!

Odeszła, z satysfakcją strofując samą siebie, aby zahartować się przed tym, co ją czeka. Ale kto może wiedzieć, co jeszcze tam się wydarzy i jakie jeszcze nieprzewidziane okoliczności - których nawet nie mogłaby wziąć pod uwagę - złożą się na jej nowe życie? Jak rzeczywistość znowu ją zaskoczy i zdradzi?

I wtedy Asaf opowiedział, opowiedział znów wszystko od początku, od pracy w urzędzie miejskim, którą ojciec załatwił dzięki znajomości z Danochem - bo Danoch był mu winien trochę pieniędzy za prace przy instalacji elektrycznej, jakie ojciec wykonał u niego w domu, ale...

Teodora znów przerwała mu rozkazującym gestem, bo chciała wpieryw dowiedzieć się czegoś o tacie i mamie Asafa. Chłopak musiał zatem przerwać, aby powiedzieć, że jego rodzice z młodszą siostrą prawdopodobnie wylądowali już w Arizonie, w Stanach Zjednoczonych, po czym

61

dodał, że wybrali się w tę podróż dość niespodziewanie, bo jego starsza siostra, Reli, prosiła, żeby przyjechali natychmiast. Mniszka zainteresowała się historią o Reli, chciała wiedzieć, dlaczego przebywa tak daleko od domu, Asaf musiał jej zatem opowiedzieć, ku swojemu zaskoczeniu, również o Reli. Opisał ją ogólnikowo, mówił, jaka jest wyjątkowa, niezwykła, i że zajmuje się jubilerstwem. Artystycznym. I że zaprojektowała specjalną kolekcję srebrnej biżuterii, która zaczyna się świetnie sprzedawać za granicą. Wyrecytował wszystko, posługując się fachowymi terminami Reli, i czuł, jak bardzo są mu obce - może dlatego, że cały jej sukces był dla niego czymś obcym, a może dlatego, że coś w jej wyjeździe napawało go strachem - po czym z żalem dodał, że ona, to znaczy Reli, bywa czasami naprawdę nieznośna. Rzucił też mimochodem uwagę na temat zasad, jakimi siostra kieruje się we

wszystkim, począwszy od potraw, które jada, a przede wszystkim, których n i e jada, aż po jej poglądy na stosunki między Arabami a Żydami i w ogóle na to, jak jej zdaniem powinno wyglądać i postępować nasze państwo. Tak więc koniec końców opowiedział co nieco o Reli i o tym, jak w gruncie rzeczy uciekła rok temu z kraju, bo potrzebowała tej swojej przestrzeni -Asaf po prostu nie cierpiał tego słowa i dlatego szybko zastąpił je innym, wyjaśniając, że Reli się tutaj po prostu dusiła. Na to Teodora uśmiechnęła się pod nosem, a on w lot zrozumiał ten uśmiech, fala porozumienia przebiegła między nimi bez słów: istnieją ludzie, którym nie robi się duszno nawet po pięćdziesięciu latach spędzonych w jednym pokoju, a są też tacy, którym nie wystarcza cały kraj. Potem chciała się czegoś dowiedzieć również o Moki, która poleciała z rodzicami, bo naprawdę nie można było jej tu zostawić. Asaf zaczął mówić także o niej i uśmiechnął się, a jego zwykle rumiane policzki zaczerwie-

62

niły S'C Jeszcze bardziej, tak że nawet pokrywający je trądzik stał się mniej widoczny, bo gdy tylko wypowiedział imię „M°ki”. natychmiast poczuł zapach jej włosów po kąpiel'- Zaśmiał się i przyznał, że nigdy nie mógł się nadziwić, jak to możliwe, że już od trzeciego roku życia stanowczo domagała się takiego, a nie innego szamponu i upierała się PΓ2Y specjalnej zmiękczającej odżywcze do włosów. Naprawdę, już kiedy miała trzy latka. A przecież te jej blond włosy i tak były miękkie jak mgła - zaśmiał się, a i Teodora się uśmiechnęła. Ta mała potrafi godzinami wystawać przed lustrem. Uwielbia siebie i jest pewna, że cały świat jest w niej zakochany, a kiedy jego albo Reli zaczynał irytować ten „kult jednostki”, ich mama mówiła, żeby nie ważyli się tego psuć - niech się mała cieszy, niech chociaż jedna osoba w tym domu kocha samą siebie bez żadnych oporów. W tym momencie Asaf, który uzmysłowił sobie, że mówi już bez przerwy od dobrych paru minut, przestraszył się i powiedział:

- No i tyle. Zwyczajna rodzina, naprawdę nic szczególnego.
- Masz wspaniałą rodzinę, mój drogi, musicie być bardzo, bardzo szczęśliwi - odparła Teodora, a Asaf zauważył, że mniszka znów zatopiła się we własnych myślach, a jej

wewnętrzne światło jakby przygasło. Nie mógł pojąć, jak to możliwe, że rozmawiał z nią tak swobodnie: „No dobrze, to pewnie dlatego, że ona jest tutaj taka samotna i chyba od dłuższego czasu nie miała z kim zwyczajnie porozmawiać, tak szczerze, od serca”. Ale zaraz potem pomyślał: Coś podobnego. A ty? Kiedy ty ostatnio z kimś tak porozmawiałeś?

Oczywiście przypomniał sobie, co go czeka wieczorem z Roim i Dafi, a wtedy mniszka przechyliła się w jego stronę i rzuciła:

63

- Szybko, szybko, o czym teraz pomyślałeś? Bo twoja mina, mój drogi, po pol
Położyła się na niej wielka chmura! j

- Nieważne - wymknęło mu się.

- Ależ ważne! - odparła natychmiast. Była ogromnie zaciekawiona jego „głupimi” historiami, chociaż może wca-! le nie były takie głupie, skoro mogły wzbudzić w kimś takie zainteresowanie?

-Ja tylko tak... - zaśmiał się i zmieszany poruszył się na krześle.

Naprawdę nie chciał, żeby doszło do takiej rozmowy; kto by w ogóle przypuszczał, że to możliwe, zanim wszedł do tego klasztoru? Przecież prawie się nie znają. Zupełniej jakby tu, w tym miejscu, coś w niego wstąpiło i odmieniło go nagle. Mniszka jednak odrzuciła głowę do tyłu, śmiejąc się serdecznie, a Asaf odniósł wrażenie, że chociaż wygląda staro, to jednak kilka rzeczy pozostało w niej młodych, jak u dziewczyny, może dlatego, że nigdy nie robiła z nich użytku. Nagle pomyślał: Właściwie co mi szkodzi? Jest miła, jest samotna, poza tym mam ochotę z nią porozmawiać.

Zaczął zatem opowiadać o Dafi Kapłan, o Roim i jego dziewczynie Meital, mniszka zaś cała zamieniła się w słuch. Patrzyła na jego usta, a jej wargi bezgłośnie powtarzały słowa, które wypowiadał. Już od samego początku, po mniej więcej pięciu zdaniach, zrozumiała, że historia o Dafi nie jest tutaj najważniejsza. Asaf był zdumiony, że tak błyskawicznie odgadła, co go naprawdę gnębi:

- Och, zostaw na chwilę tę nieszczęsną dziewczynę -machnęła dłonią ze zniecierpliwieniem. - To mnie ani[^] ziębi, ani grzeje, ja chcę się dowiedzieć tego, co

naj-

64

ważniejsze: opowiedz mi o tym chłopaku, o twoim Roim, Irtóryjuż nie jest twój, o ile się nie mylę.

Asaf zamknął na chwilę oczy, bo dotknęła tego, co najbardziej go bolało. Wziął głęboki oddech, jak gdyby miał zanurkować, po czym opowiedział o swojej przyjaźni z Roim, trwającej od czwartego roku życia, o tym, że byli dla siebie jak bracia i że nocami sypiali na zmianę raz u jednego, raz u drugiego w domu, i o chatce na drzewie. Roi był wtedy tym mniejszym i słabszym, a Asaf bronił go przed starszymi chłopcami. Przedszkolanki mówiły, że jest jego ochroniarzem.

- I tak to było mniej więcej do siódmej klasy - mruknął zdawkowo Asaf, przeskakując jednym susem osiem lat, Teodora jednak zawróciła go łagodnie, choć stanowczo:

- Tak, to znaczy j a k?

Asaf musiał zatem opowiedzieć o czasach szkoły podstawowej, kiedy to Roi nie odstępował go na krok i nie pozwalał mu się przyjaźnić z nikim innym, a nawet karał go na przeróżne sposoby, ilekroć podejrzewał, że Asaf próbuje zdradzić ich przyjaźń. Najgorsza była kara milczenia: potrafił całymi tygodniami nie odzywać się do Asafa, a mimo to chodzić za nim jak cień; zdarzyło się też, że po prostu wpadał w furję, jak wtedy, kiedy Asaf chciał się zapisać do skautingu, z czego z bólem serca musiał w końcu zrezygnować. Jednakże nawet wtedy, mimo wszystko miło było wiedzieć, że ktoś go potrzebuje i tak bardzo lubi. Zamilkł na chwilę. Przełknął ślinę i zamyślił się.

- I tak to się ciągnęło, aż przeszliśmy do gimnazjum - mówił dalej - wtedy wszystko się zmieniło, mniejsza o szczegóły.

- One są bardzo ważne - powiedziała mniszka.

65

Asaf wiedział, że to powie, i nawet uśmiechnął się prowokacyjnie - to już był element ich malej gry. Teodora poszła do kuchni wstawić wodę na kawę i zawołała stamtąd, żeby mówił dalej, więc Asaf opowiedział, jak to w siódmej klasie, mniej więcej trzy lata temu, dziewczyny zaczęły zwracać uwagę, że Roi jest taki przystojny. W tym czasie rzeczywiście nagle wyrósł i wyprzystojniał, a one zaczęły się w nim

podkochiwać. Roi też je lubił, wszystkie, i prawdę mówiąc, grał na ich uczuciach - mówił Asaf, starając się pokazać, że wbrew pozorom nie jest niewiniątkiem. Mniszka uśmiechnęła się w kuchni, patrząc przed siebie na niebiesko-czerwoną tapetę.

- Ale dziewczyny nie miały mu tego za złe - stwierdził Asaf ze zdziwieniem. Oparł się o stół i przez chwilę mówił sam do siebie. - Przeciwnie, niech pani sobie wyobrazi, że one wręcz rywalizowały o jego sympatię, siadały na przerwach i rozmawiały o tym, jak Roi wygląda, w czym mu do twarzy i jaką nosi fryzurę, i jak się porusza jego ciało, kiedy Roi gra w siatkówkę. - Asaf usiadł kiedyś, zupełnie przypadkiem, za drzewem, pod którym zwykle siadały dziewczyny, i nie mógł uwierzyć własnym uszom: mówiły o Roim tak, jakby był jakimś bogiem albo co najmniej gwiazdą filmową. Jedna z dziewczyn powiedziała nawet, że zamierza z premedytacją przenieść się o jedną grupę niżej na matematyce, żeby być w tej samej, co on. Inna z kolei powiedziała, że czasami modli się, żeby Roi lekko zachorował, tylko po to, żeby pójść za nim do przychodni i położyć się na tym samym łóżku, na którym był badany!

Asaf popatrzył na mniszkę i czekał, aż ta zaśmieje się razem z nim nad głupotą tej dziewczyny, lecz Teodora się nie roześmiała. Poprosiła tylko, żeby nie przerywał, podczas gdy on chciałby wreszcie zamilknąć, ale nie mógł już

66

zapanować nad tym, co wymknęło się z niego jak swobodnie rozwijająca się szpulka nici. Od lat już nie zdarzyło mu się rozmawiać tak z obcym człowiekiem - ani nawet z kimś bliskim. To chyba za sprawą tego klasztoru - zaświtała mu niejasna myśl - albo przez ten ciasny pokoik, podobny trochę do konfesjonału, jaki widział kiedyś w kościele w En Kerem. Potem znów stanie się sobą i zapomni zupełnie, że pewnego dnia siedział w pokoju na szczycie wieży, opowiadając nieznanym mniszce te wszystkie głupstwa. Teodora zaś powiedziała:

- Asafie, ja czekam!

Zaczął więc mówić o tym, jak to w ósmej klasie Roi za sprawą dziewczyn stał się, jak to pani wytłumaczyć, takim, powiedzmy, królem klasy? Asaf zamierzał wyjaśnić mniszce, co to znaczy, ona jednak ze zniecierpliwieniem machnęła ręką, po czym

powiedziała:

- Tak, tak, królem klasy, oczywiście, że wiem, o co chodzi. Mów, proszę, dalej.

Asaf zgadywał, że mniszka słyszała już od Tamar podobne rzeczy, takie opowieści o chłopakach i dziewczynach, i pomyślał, że słuchanie go chyba sprawia jej przyjemność, bo przypomina nieco spotkania z Tamar. Wtedy poczuł się mile połączony, co było dla niego czymś nowym, i wyobraził sobie, że Tamar rzeczywiście jest w jakiś sposób obecna w tym pokoju i patrzy na nich, choć pozostaje niewidoczna. Załóżmy, że siedzi na podłodze koło śpiącej Dinki i powoli głaszcze ją po głowie. A może on sam zwraca się teraz również do niej, opowiadając, jak to Roi zaczął chodzić z Rotem i stali się pierwszą parą królewską w klasie.

- Od tego czasu minęły już lata - mamrotał Asaf. - Po Rotem Roi miał jeszcze cztery czy pięć dziewczyn, dzisiaj

67

jest z Meital. - I to właśnie z jej powodu Roi nalega, żeby Asaf zakochał się w Dafi. Bo tego chce Meital. Roi dał mu nawet do zrozumienia, że od tego zależy, czy będą się nadal przyjaźnić. - Ale nie będę zanudzał, nieważne - otrząsnął się Asaf. - Takie tam głupoty, drugorzędne szczegóły. - I znów poczuł się zakłopotany tym, że tak wszystko z siebie wylewa.

- Ważne, bardzo ważne - odparła łagodnie Teodora. - Jeszcze nie rozumiesz, agorimu? Jak mogę ciebie poznać bez tych drobnych szczegółów? Jakże opowiem ci własną historię? - Widząc jednak, że Asaf nie do końca jest przekonany, próbowała spojrzeć mu w oczy i wręcz zmusiła go, żeby uniósł wzrok. - Tamar też z początku nie chciała opowiadać wszystkiego, bo czy to ważne i kogo to interesuje, a ja z wielkim wysiłkiem nauczyłam ją, że nie ma nic ważniejszego od tych drobiazgów, tych naszych guzików i grosików, a ona, powinieneś to wiedzieć, jest jeszcze większym uparciuchem od ciebie!

I oto, kiedy Asaf to usłyszał, w jednej chwili przestał się jej opierać i jakby spadł jakiś ciężar zalegający mu w gardle, a jego głos zmienił się, jak gdyby pękły kępujące go więzy. Opowiedział więc mimo wszystko o Dafi. Mówił, że nie ma takiej rzeczy, której nie potrafiłaby przeliczyć, przekalkulować, czy to na pieniądze,

czy na prestiż, czy na powodzenie. A gdy tak mówił, uświadomił sobie wreszcie z całą wyrazistością, dlaczego tak nie lubi jej towarzystwa: bo ona ciągle ze wszystkimi rywalizuje, z każdym, kimkolwiek by był, i wszystko waży na szalach powodzenia i porażki, zysku i straty, a kiedy jej uważnie posłuchać, można odnieść wrażenie, że w gruncie rzeczy wszyscy tylko czekają, żeby coś uknuć, rzucić się jeden na drugiego i go rozszarpać, przy pierwszej chwili słabości...

68

- Są na świecie i tacy ludzie - rzekła mniszka, widząc, że Asaf nieco przygasł. - Ale są też inni, prawda? A czy właśnie nie dla tych innych warto żyć?

Asaf uśmiechnął się i wyprostował, jak gdyby za pomocą tego prostego stwierdzenia mniszka rozwiązała nader pogmatwany problem, który gnębił go od dłuższego czasu. Potem dorzucił, że nawet gdyby Dafi była całkiem inna, i tak by się w niej nie zakochał, a w ogóle sądzi, że nie zakocha się nigdy, przynajmniej nie przed końcem wojska. Gdy to powiedział, zdziwił się własną śmiałością, bo takie rzeczy był w stanie powiedzieć tylko jednemu człowiekowi na świecie, Nosorożcowi, chłopakowi Reli, i to wyłącznie w wyjątkowych wypadkach, a tę mniszkę zna niecałą godzinę. Co się z nim dzisiaj dzieje?

Umilkł i oboje przypatrywali się sobie, jakby nagle otrząsnęli się z jakiejś wspólnej halucynacji. Teodora pogładziła się oburącz po głowie, jakby chciała upchnąć coś do środka. Na serdecznym palcu jej dłoni błyszczała wielka, żółta blizna po oparzeniu. Przez dłuższą chwilę w pokoju panowała zupełna cisza. Słyszeć było tylko oddech śpiącej Dinki.

- A teraz - wyszeptała Teodora z nieco zmęczonym uśmiechem - po tych wszystkich historiach może opowiedziałbyś mi wreszcie, w jaki sposób trafiłeś do mnie?

Dopiero wtedy wyjaśnił jej wszystko, zwięźle i rzeczowo. Opowiedział, jak Danoch przyszedł tego ranka i wezwał go do schroniska dla psów i o druku 76, i o pizzy, • nagle wydało mu się to śmieszne, że tak biegł na złamanie karku, nie wiedząc nawet, dokąd. Uśmiechnął się, usta Teodory również rozciągnęły się w uśmiechu, spojrzeli po sobie i głośno się roześmiali. Zbudzona suka uniosła głowę, zaczęła merdać ogonem.

-Ależ to niezwykle -westchnęła mniszka, kiedy nieco] ochłonęła. - Suka przyprowadziła cię tutaj... - Przyjrzała się ■ chłopcu, jak gdyby zobaczyła go w zupełnie nowym świetle. - A ty mimo woli stałeś się posłańcem, zupełnie nic o tym nie wiedząc... -Jej oczy zaświeciły jasnym blaskiem. - Któż inny byłby gotów iść za tą niesforną suką, kupić pizzę za własne pieniądze i przez tego zwierzaka zrezygnować zupełnie z własnych planów? Co za serce, agori mu, jakie ty masz ciepłe i niewinne serce...

Asaf zakłopotany poruszył się na krześle. Prawda była taka, że przez większość czasu czuł się dość idiotycznie, biegając za suką, a to nowe wytłumaczenie jego postępowania trochę go zaskoczyło.

Mniszka objęła ramionami swoje drobne ciało i aż zadrżała z zadowolenia:

- Teraz rozumiesz, dlaczego cię prosiłam, abyś opowiedział całą historię? Widzisz, teraz jestem już spokojniejsza, bo serce mi podpowiada, że jeśli ktokolwiek odnajdzie moją kochaną dziewczynkę, będziesz to właśnie ty.

Asaf odparł, że od rana usiłuje to zrobić, i że jeśli da mu adres Tamar, znajdzie ją natychmiast.

- Nie - odpowiedziała, zrywając się. - Bardzo mi przykro, nie mogę tego zrobić.

- Nie? Dlaczego?

- Bo Tamar kazała mi przysiąc.

I chociaż próbował to zrozumieć, chociaż zadawał jej dalsze pytania, mniszka nie chciała nic powiedzieć. Krążyła] po pokoju, dość spięta i niespokojnie powtarzała wciąż po swojemu „po po”, potrząsała głową i bezradnie rozkładała ręce.

- Uwierz mi, mój miły, gdybym tylko mogła, chciałabym nawet, żebyś... Nie! Sza! - Uderzyła się ze złością po palcach. - Cicho bądź, staruszko! Sza!

Dysząc niespokojnie, mniszka obeszła jeszcze raz pokój dookoła, po czym obracając się gwałtownie jak miniaturowa trąba powietrzna, stanęła naprzeciw Asafa.

- Bo Tamar wyraźnie mnie prosiła. Posłuchaj, nie nalegaj, tylko tyle mogę ci powiedzieć: ostatni raz, kiedy tu była, prosiła, a nawet kazała mi przysiąc, że jeśli w

najbliższych dniach ktoś przyjdzie i spyta, gdzie ona mieszka, albo na przykład, jak się nazywa i kim są jej rodzice, słowem, jeśli ktoś będzie o nią wypytywał, choćby był nadzwyczaj miły i przyjacielski - tego już ona nie mówiła, to dodałam od siebie - będę milczeć jak grób.

- Ale dlaczego, dlaczego?! - zachnął się Asaf i wstał z miejsca. - Dlaczego w ogóle coś takiego powiedziała? Co może jej się stać, jeśli...

Mniszka dalej kręciła głową, jakby w obawie, że będzie ją ciągnął za język. Oboje podnieśli głos, wymachiwali rękami, aż Teodora rozkazującym gestem przyłożyła mu palec do ust:

- Teraz milcz.

Asaf usiadł zdumiony.

- Posłuchaj, mówić o niej mi nie wolno. Złożyłam przysięgę i język mam związany. Ale pozwól, że coś ci opowiem, a na podstawie tej opowieści być może czegoś się domyślisz.

Asaf usiadł i zaczął klepać się dłonią po kolanie. Złościło go, że będzie musiał zacząć poszukiwania od początku. A w ogóle, może lepiej, żeby zaraz sobie poszedł i nie marnował tu więcej czasu. Jednak słowo „opowieść” zawsze działało na niego jak czarodziejskie zaklęcie, a na samą myśl, że usłyszy opowieść z jej ust, przy jej minach, przy iskrach sypiących z jej oczu...

- Ho, ho! Uśmiechnąłeś się, mój panie! Mnie nie oszukasz, ta staruszka wie, co oznacza taki uśmiech! Jesteś

71

dzieckiem opowieści, wystarczyło spojrzeć. Zupełnie jafl moja Tamar! To będzie prezent w zamian za to, co ty mój opowiedziałeś.

To za co pijemy? - spytała Lea, siląc się na uśmiech.

Tamar spojrzała na wino i wiedziała, że jeśli wypowie na głos swoje życzenie, przestraszy się własnych słów.

Lea powiedziała za nią:

- Wypijmy za to, żeby ci się udało i żebyście wrócili cali i zdrowi. Oboje.

Stuknęły się kieliszkami, potem wypily, patrząc sobie prosto w oczy. Wentylatory pod

sufitem obracały się po cichu i rozsiewały wkoło chłód, jednak wiejący od niedaw-j na chamsin* i tak zaczął się wdzierać do wnętrza.

- Nie mogę się doczekać, aż to się wreszcie zacznie

- powiedziała Tamar - bo wszystkie te dni przygotowań...']

- Wzięła głęboki oddech, a jej oczy, osadzone w ogolonej głowie, nagle wydały się jeszcze większe. - Od tygodnia już nie śpię, na niczym nie mogę się skupić. To napięcie mnie dobija.

Lea wyciągnęła swoje mocne ręce ponad stołem. Splotły dłonie.

- Kochana Tami, naprawdę, możesz się jeszcze rozmyślić, nikt cię za to nie będzie winił, a ja na pewno nikomu nie powiem, że miałaś taki zwariowany pomysł.

Tamar pokręciła głową, odrzucając wszelką myśl o rezygnacji.

Podszedł Samir i szepnął coś Lei na ucho.

* Chamsin -w Izraelu: gorący wiatr południowo-wschodni, wiejący okresowo, zwłaszcza od kwietnia/maja do października.

72

_ Podaj w tych dużych rondlach - poleciała - a co do wina, zaproponuj chablis. Nam możesz podać kurczaka w sosie tymiankowym.

Samir posłał Tamar szeroki uśmiech, po czym wrócił do kuchni.

- Co im powiedziałaś? - spytała Tamar. - Ludziom w kuchni, co im mówiłaś?

- Że świętujemy z tobą jakąś uroczystość, chwila... Co ja właściwie powiedziałam? Że wybierasz się w daleką podróż. Tylko czekaj, zaraz zobaczysz, jakie smakołyki dla ciebie przygotowali.

-Jak ja będę tęsknić -jęknęła Tamar.

- Takiego jedzenia tam nie dostaniesz.

- Teraz posłuchaj. - Twarz Tamar znów przybrała surowy wyraz. -Tu w kopercie zostawiam ci listy. Już zaadresowane i ze znaczkami. - Lea skrzywiła się urażona. - Daj spokój, Lea, nie chodzi o pieniądze, chciałam, żeby wszystko było gotowe i żebyś nie musiała nigdzie chodzić i ich kupować.

-Jak zwykle wszystko musisz zrobić sama - poprawiła Lea i pokręciła głową, jakby

chciała powiedzieć: „Co mam począć z tą dziewczynką”.

- Dość, Lea, dajmy temu spokój - powiedziała Tamar. - Jeśli chodzi o listy, to wszystko pamiętasz, prawda?

Lea przewróciła oczami jak uczeń, którego zmuszają, by jeszcze raz powtórzył znieawidzoną lekcję:

- W każdy wtorek i piątek. Ponumerowałaś je?

- Tu, z boku, na okrągłej nalepce. I zanim wyślesz, nie zapomnij...

- Zdjąć nalepki - wyrecytowała Lea. - Czy ty myślisz, że ja jestem niedorozwinięta? Że jestem pierwszą lepszą dziewczyną z ulicy? Tak! - zaśmiała się nieco sztucznie. - Właśnie taka jestem.

73

Tamar puściła mimo uszu tę stałą uszczypliwość Leg pod własnym adresem.

- To strasznie ważne, żebyś je wysyłała po kolei, bo ułożyłam tam naprawdę całą historię, są dowcipy o róż-nych ludziach, których spotykam, dość debilna historyjka, grunt, żeby jak najdłużej pozostali spokojni. Żeby mi nie przeszkadzali. - Drwiąco zacisnęła usta. - Wiesz, akcja stopniowo coraz bardziej się rozwija.

- Nie do wiary. Nawet do tego miałaś głowę? - Kiedy Lea wypowiadała słowo „głowa”, jej spojrzenie powędrowało ukradkiem w stronę nagiej czaszki, która wydała się jej okropna.

- Na dobrą sprawę - ciągnęła Tamar, dziękując w duchu Lei za to, że nic nie powiedziała - to powinno na miesiąc uśpić ich uwagę. Tyle mniej więcej czasu potrzebuję. Do połowy sierpnia. Z tego dwa tygodnie i tak spędzą za granicą. Święty urlop. - Uśmiechnęła się krzywo. - W tym roku tłumaczą to tym, że „życie mimo wszystko musi to-j czyć się dalej”. Lea i Tamar popatrzyły na siebie przez chwilę, westchnęły jednocześnie, razem uniosły ramiona ze zdumieniem, jakby nie mieściło im się w głowie, że coś podobnego jest w ogóle możliwe. Potem Tamar powtórzyła:

- Byleby mi nie przeszkadzali. Żeby nie zaczęli mnie szukać.

- I bez tego nie wydaje mi się, żeby od razu podjęli jakieś kroki - bąknęła Lea.

Obejrzała koperty i porusza-!jąc grubymi wargami, odczytała adres z imionami rodzi-!ców Tamar: - Talma i Awner... Ładne imiona - zachicho-!tała. - Jak z jakiegoś

serialu na kanale edukacyjnym...

- Moje życie ostatnio coraz bardziej przypomina telenowelę.

74

_ To mi się kojarzy z napisem, jaki zobaczyłam kiedyś mlirZe - odparła Lea. -

„Zabiję matkę, jeśli mnie jeszcze raz urodzi”.

- Coś w tym stylu - zaśmiała się Tamar.

Samir i Awiwa przynieśli danie główne z kuchni. Kiedy Tamar uniosła z półmiska posrebrzaną pokrywę, zobaczyła swoje imię ułożone z purpurowych czereśni, wokół gołąbków owiniętych w winogronowe liście.

- To od nas wszystkich z kuchni, z najlepszymi życzeniami - powiedziała Awiwa, rumiana od gorąca buchającego z garnków. - Żebyś tam o nas nie zapomiała.

Jadły w milczeniu. Obie udawały, że sprawia im to przyjemność, choć nie miały apetytu.

- Pomyślałam sobie - odezwała się w końcu Lea, odsuwając talerz. - Mam taki mały składzik, jakieś dwa domy stąd. - Tamar знаła to miejsce. - Ułożę tam na podłodze materac dla ciebie, tylko nie mów „nie”! - Tamar milczała. - Klucz będzie pod drugą doniczką. Jeśli zbrzydnie ci nocowanie w Parku Niepodległości, powiedzmy, że obsługa hotelowa nie będzie na odpowiednim poziomie, to przyjdiesz do mnie do magazynu, prześpisz się jedną noc jak człowiek. Co o tym sądzisz?

Tamar starała się przywieść na myśl wszelkie możliwe niebezpieczeństwa. Ktoś może zauważyć, jak wchodzi do magazynu i sprawdzić, do kogo on należy. Lea oczywiście jej nie wyda, ale któremuś z pracowników kuchni może się coś przypadkiem wymyślić, a wtedy ustalą jej tożsamość i zdemaskują plan. Lea z bólem serca obserwowała bruzdy marszczące jasne czoło dziewczyny. Z trudem powstrzymała westchnienie. Co się z nią ostatnio dzieje?

Właściwie ten materac w składziku to mimo wszystko niezły pomysł - myślała Tamar. - A nawet bardzo dobry.

75

Będzie się tylko musiała upewnić, że nikt jej nie obserwuje] kiedy tam wchodzi. Nic

złego się nie stanie, jeżeli prześpi się tam jedną noc i znów poczuje się jak człowiek
Uśmiechnęła się. Jej napięta, czujna twarz o wyostrzonych rysach nagle jakby
odtajała i przez krótką chwilę sprawiała! wrażenie, jakby skupiła się w niej cała
słodycz świata. Lea rozczuliła się:

- Przyjdź, kochanie, prześpisz się, jest tam kran i mała umywalka, możesz się umyć.
Nie ma tylko ubikacji.

-Jakoś sobie poradzę.

- Ech, byłoby mi miło, gdybym mogła choć trochę ci pomóc - wzruszyła się Lea i
wiedziała już, że co rano] będzie biegła do składziku, żeby się przekonać, czy Tamar
nie spała tam w nocy. Będzie jej zostawiać liściki ze słowa- j mi otuchy.

- Tylko daj słowo - poprosiła Tamar, widząc, jak oczy Lei zachodzą wilgocią - że jeśli
mnie zobaczysz na ulicy, nieważne, czy będę akurat pracować, czy po prostu siedzieć
i odpoczywać w jakimś kącie, nie podejdziesz do mnie. Nawet gdybyś była pewna,
że jestem sama, nie zdradzisz się, że mnie znasz. W porządku?

-Jesteś taka bezwzględna - odparła Lea. -Ale będzie tak, jak powiedziałaś. Tylko
wy tłumacz mi, jak ja mam przejść obok ciebie, żeby cię nie uściskać? Nie dać ci
czegoś do jedzenia? A jeśli akurat będzie ze mną Noa? Jak ona ma się na ciebie nie
rzucić?

- Nie pozna mnie.

- Tak - odrzekła Lea cicho. - Takiej cię nie pozna. Tamar szukała pocieszenia w jej
oczach.

-Jest aż tak strasznie?

-Jesteś... - Jesteś teraz taka naga, że aż serce się we mnie ściska", chciała powiedzieć
Lea - ...dla mnie zawsze

76

' steś piękna - powiedziała w końcu. - Moja mama zawsze mówiła: „Jak ktoś jest
piękny, to choćby nawet nałożył obie buty na twarz, będzie mu w nim ładnie".

Tamar uśmiechnęła się z wdzięcznością, położyła dłoń na jej masywnym ramieniu i
uścisnęła czule, bo mały żagiel rozgoryczenia, który w ciągu całego obiadu łopotał
rozpięty między nimi, przechylił się teraz na chwilę w stronę Lei, której matka,

mówiąc te słowa, z pewnością nie miała na myśli swojej córki.

-Ale nie wiem, jak ja się powstrzymam, jeśli będziesz przechodzić obok z Nojku - powiedziała Tamar. - Wiesz, co pomyślałam? Że po raz pierwszy rozstaję się z nią na tak długo.

- Przyniosłam ci jej zdjęcie - odparła Lea. - Chcesz na drogę?

- Lea... Ja nic nie mogę zabrać ze sobą. - Tamar łapczywie wzięła zdjęcie do ręki i twarz jej złagodniała, stała się miękka, szeroka, niczym lekko rozmazana akwarela, na której kolory wylewają się nieco poza kontury. - Skowrone-czek... Gdybym tylko mogła je wziąć. Zażywałabym sto razy dziennie, zresztą wiesz.

Samir uprzątnął talerze i zbeształ je, że nie zjadły wszystkiego do końca. Rzucił zakłopotane spojrzenie na łysinę Tamar, lecz one prawie nie zwróciły na to uwagi. Z rozrzewnieniem wpatrywały się w fotografię, dzieląc wspólne szczęście.

- W żłobku - mówiła Lea - rozmawiali z nimi o rodzeństwie, a kiedy spytali Noę, czy ma braciszka albo siostrzyczkę, jak myślisz, co odpowiedziała?

- Że ja... - uśmiechnęła się Tamar, obracając kroplę dumy w swojej duszy jak wino w kieliszku.

Jeszcze przez dłuższą chwilę przyglądały się zdjęciu drobnej dziewczynki o lekko skośnych oczach i cerze

77

koloru kości słoniowej. Tamar zapamiętała słowo w słowo to, co opowiedziała jej Lea, kiedy zaczynały się ze sobą bliżej przyjaźnić że w świecie, w którym żyła mniej więcej do trzydziestego roku życia, w swoim poprzednim wcieleniu, właściwie nie była kobietą. „Tam traktowali mnie z szacunkiem - mówiła - ale jak faceta, nie jak kobietę. Ja zresztą wtedy też nie miałam w sobie żadnych kobiecych uczuć. Nic a nic. Tak było od dzieciństwa, na dobrą sprawę nigdy nie byłam ani dziewczynką, ani kobietą, ani matką. Nie miałam w sobie nic kobiecego. Dopiero teraz, kiedy mam czterdzieści pięć lat, dzięki Noi”.

Przy jednym ze stolików w środkowym pomieszczeniu jakiś tęgi mężczyzna o siwych włosach i czerwonej twarzy wszczął awanturę. Złościł się na Samira, że podał mu niedostatecznie schłodzone wino, wykrzykiwał, że kelner nie zna się na rzeczy i

jest półgłówkiem. Lea zerwała się z miejsca i pobiegła tam jak lwica broniąca swojego maleństwa.

- A kim pani jest? - spytał mężczyzna. - Chcę rozmawiać z szefem lokalu!

Lea założyła masywne ręce na piersiach.

- To ja. W czym mogę panu pomóc?

- Pani chyba stroi sobie ze mnie żarty?

Tamar poczuła się zmrożona tą obelgą pod adresem Lei.

- Niby dlaczego? - spytała Lea ze stoickim spokojem i tylko wargi jej zbieleły, a długie blizny na policzku nagle stały się wyraźniejsze. - Może właściciela restauracji też chce pan sobie zamówić a la carte?

Mężczyzna poczerwieniał jeszcze bardziej. Oczy mu zmętniały. Siedząca obok kobieta, dama o pełnych kształtach, obwieszona pozłacanymi naszyjnikami, łagodząco położyła mu rękę na ramieniu. Lea, obdarzona wewnętrzną

78

siłą. jakiej zabrakłoby Tamar w takiej sytuacji, natychmiast ochłonęła, zmitygowała się, posłała Samira do kuchni, żeby zamienił wino na inne, po czym oświadczyła, że nowa butelka będzie na rachunek firmy. Zażywny mężczyzna jeszcze chwilę ponarzekał, ale w końcu zamilkł.

_ Co za świnia! - mruknęła Tamar, kiedy Lea wróciła do stolika.

- Znam go - odparła Lea. - To wojskowa szycha, kiedyś był generałem czy coś w tym stylu. Myśli, że cały kraj ma w kieszeni. Ciągłe się wdaje w jakieś sprzeczki i wygrywa dzięki pieniądзом. - Szybko naląła sobie wina, a Tamar zauważyła, że trzęsie jej się ręka. - Do tego nie da się przywyknąć - dodała, wzdychając.

- Tylko nie waż się go słuchać! - Tamar, jak zwykle, natychmiast zaczęła ją pocieszać: - Pomyśl tylko, co robiłaś w życiu i co przeszłaś, i jak ci się udało z tego wyjść, a potem jak pojechałaś sama do Francji, i o tych trzech latach, które tam przepracowałaś w restauracji... - Lea słuchała jej z przedziwną mieszaniną uczuć: jednocześnie podniesiona na duchu i zniechęcona. Długie blizny na jej policzku pulsowały, jakby przepływała przez nie krew. - ...i jak założyłaś ten lokal, wszystko o własnych siłach, i jak wychowujesz Nojku. No co? Drugiej takiej mamy nie ma na

całym świecie! Więc co cię obchodzi bełkot takiego zera?

- Czasami sobie myślę... - Lea mówiła półgłosem - że gdybym tylko miała tu jakiegoś faceta, kogoś, kto złapałby takiego śmiecia za kołnierz i wyrzucił na zbity pysk.

Takiego Bruce'a Willisa...

- Albo Nicka Nolte - zaśmiała się Tamar.

- Ale żeby miał złote serce. - Lea uniosła palec. - Żeby był do rany przyłoż.

79

- Taki Hugh Grant - zawołała Tamar. - Żeby cię kochał i rozpieszczał.

- Nie, jemu nie ufam. To goguś. Ty też się takich wystrzegaj. Masz do nich słabość.

Zauważyłam to. Ja... - zaśmiała się Lea, a Tamar nie posiadała się z radości i dumy, że znów uratowała Leę przed depresją - ...ja potrzebuję Stallone'a, ale z duszą Harveya Keitela. Takiego jak w Świętym dymie.

- Nie ma kogoś takiego na świecie - westchnęła Tamar.

- Musi być - odparła Lea. - Tobie też trzeba kogoś takiego.

- Mnie? Teraz w ogóle nie mam do tego głowy. - Tamar nie miała siły, żeby o tym rozmawiać. Teraz wszelka myśl o miłości, o uczuciach, była dla niej niebezpieczna. Lea patrzyła na nią, zastanawiając się, po co dziewczyna się w to pakuje. Dlaczego rujnuje sobie życie w ten sposób, w tym wieku. Nagle omal nie poderwała się z miejsca. O Boże! W tym tygodniu Tamar kończy szesnaście lat! Zgadza się? Czy się nie mylę? Policzyła szybko w głowie. No pewnie. To w tym tygodniu, a ona słowem o tym nie wspomniała. Będzie wtedy sama na ulicy, jak tak można, jak... Lea już miała coś powiedzieć, ale z kuchni przyszedł Cyjon z deserem.

- Co się z wami dzisiaj dzieje? Przychodźcie tu wszyscy po kolei.

Cyjon roześmiał się.

- To tylko ze względu na Tamar.

Tamar delectowała się lodami miodowo-lawendowy-mi, żałując, że nie może zgromadzić sobie zapasów w jakimś zakamarku ciała, by potem wyjadać z nich po trochu w ciągu nadchodzącego miesiąca. Wylizała wszystko aż do

80

ostatniej łyżeczki, a Lea z roztargnieniem powtarzała ruchy jej ust. Wreszcie

powiedziała:

- Sprawdźmy, czy wszystko dobrze zrozumiałam. Kiedy po raz pierwszy wychodzisz na ulicę?

- Zaraz po obiedzie, tak myślę - odpowiedziała Tamar i przebiegł ją lekki dreszcz. Zaraz się zacznie.

- Poważnie? - Lea nie zdołała się powstrzymać i ciężko westchnęła. - A kiedy do mnie zadzwonisz?

- Przede wszystkim, przez cały ten miesiąc nie dzwonię do nikogo - odrzekła Tamar, mocno splatając palce. _ A wtedy, mniej więcej po miesiącu, jakoś w połowie sierpnia, w zależności od tego, w jakim będę stanie i czy wszystko pójdzie dobrze, zadzwonię i powiem, żebyś przyjechała swoim garbusem.

- I dokąd mam cię wtedy odwieźć? Tamar uśmiechnęła się, zaciskając usta. - Jak przyjdzie co do czego, to ci powiem.

- Jesteś niesamowita. - Lea pokiwała głową. Chciałaby, żeby już było po wszystkim, a Tamar wróciła.

Wstały i poszły do kuchni. Tamar podziękowała wszystkim za wspaniały obiad, wyściskała się i wycalowała z kucharzem, kucharką, pomocami kuchennymi i kelnerami. Lea zaproponowała, żeby wznieść toast za Tamar, żeby jej się dobrze wiodło w długiej podróży, jaka ją czeka. Wypili. Wszyscy patrzyli na nią z pewną obawą. Nie wyglądała na kogoś, kto wybiera się w podróż. Raczej jakby miała przejść operację.

Tamar, której zakręciło się w głowie od wina, powiodła wzrokiem po zatłoczonej, wypełnionej parą kuchni, po twarzach otaczających ją osób, które tak kochała.

Pomyślała o wielu spędzonych tu godzinach, o rękach zanurzonych po łokcie w górze siekanej pietruszki albo zawi-

81

jających w liście winorośli gołąbki z ryżem, orzeszkami piniowymi i mięsem. Dwa lata wcześniej, mając czternaście lat, postanowiła rzucić szkołę i zostać pomocą kuchenną u Lei. Lea na to przystała i Tamar przepracowała u niej kilka tygodni, zanim ojciec się dowiedział, że jego córka nie chodzi do szkoły. Przyszedł i zaczął

krzyżeć, zagroził, że przyprowadzi inspektorów pracy, jeśli Tamar jeszcze raz przekroczy próg tej restauracji. Teraz Tamar nieomal z rozrzewnieniem przypomniała sobie tamtą żenującą scenę: jej ojciec był wtedy taki energiczny, stanowczy, walczył o nią. Wróciła do znieawidzonej szkoły, a z Leą spotykała się odtąd tylko w domu, kiedy przychodziła zaopiekować się małą Noą - swoim oczkiem w głowie. Jednakże nadal nie porzuciła myśli o pracy kucharki, obawiając się, że tak czy inaczej nie ma większych szans na karierę w tej drugiej dziedzinie.

Lea odprowadziła ją na zewnątrz. W zaułku unosił się lekki zapach jaśminu. Obok nich przeszła, zanosząc się śmiechem, przytulona para. Spojrzały po sobie i wzruszyły ramionami. Lea nauczyła ją kiedyś, że między dwojgiem bliskich sobie ludzi musi być jakiś sekret, o którym wiedzą tylko oni dwoje. Jeśli tego brakuje - nie stanowią pary.

- Posłuchaj, Tami - powiedziała Lea. - Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale mimo wszystko muszę. Nie gniewaj się, dobrze?

- Najpierw posłucham - odrzekła Tamar. Lea założyła ręce na piersi.

-Jeśli chcesz, mogę ci zoszczędzić całego tego zamieszania. Chwileczkę, daj mi dokończyć...

Tamar w milczeniu uniosła brwi, ale wszystko już wiedziała.

82

_ Posłuchaj, wystarczy jeden telefon do kogoś, kto ie jeszcze pamięta z tamtych czasów. Dla mnie to żaden problem.

Tamar wyciągnęła już rękę, zęby ją uciszyć. Wiedziała,

- kim nadludzkiem wysiłkiem Lea zdołała się wyrwać ze wojego poprzedniego świata i uwolnić od wszystkiego, od czego była uzależniona - od narkotyków i ludzi - poza tym pamiętała dobrze, co powiedziała jej kiedyś - że jakikolwiek kontakt z tamtym światem może w to wciągnąć ją na nowo.

_ Nie, dzięki - odpowiedziała Tamar, choć była bardzo wzruszona jej propozycją.

- Wystarczy, że zadzwonię, gdzie trzeba - ciągnęła Lea, starając się, by jej słowa

zabrzmiały entuzjastycznie. - Jestem pewna, że ten, o kim myślę, zna tych twoich gnojków. W ciągu godziny dopadłby ich razem z dwudziestoma kumplami. Ani by się obejrzeni, jak by go stamtąd wyciągnął.

- Dzięki, Lea. - Nie wolno jej było nawet się nad tym zastanawiać. Choć pokusa była wielka.

- Niektórzy tylko czekają, żebym ich o coś poprosiła - powiedziała pośpiesznie Lea do chodnika.

Tamar objęła ją - sięgała jej do piersi - i mocno się przytuliła.

-Jakie ty masz wielkie serce - szepnęła.

-Tak? - spytała Lea, lekko zdławionym głosem. -Szkoda, że nie piersi.

Mocno objęła ramionami jej drobne, kościste ciało. Ze współczuciem dotknęła wystających łopatek. Stały tak przez chwilę przytulone. Tamar pomyślała, że ostatni raz przed wyruszeniem w drogę ktoś ją przytula. Lea to wyczula, a może tylko zgadywała, i ze wszystkich sił starała

83

się, aby jej uścisk był jak najwspanialszy i najmocniejszy] macierzyński i ojcowski zarazem.

- Trzymaj się - wymamrotała bezgłośnie nad głową Tamar. - Bo tam, wiem coś o tym, nikt się tobą nie będzie przejmował.

Tamar przystanąła przy ostatnim domu w zaułku, tuż przed główną ulicą, i zza rogu posłała tam pełne niechęci spojrzenie. Ogarnęła wzrokiem swój teren działania i nie znalazła w sobie dość siły, by tam wkroczyć. Była jak aktorka albo śpiewaczka, która na chwilę przed premierą zagląda z lękiem przez szczelinę w kurtynie, aby odgadnąć, jak pójdzie jej tego wieczoru przed nimi.

I nagle - gdy opadły ją samotność, strach, gdy zaczęła już się litować nad sobą, wbrew wszystkim planom tak okrutnym dla niej samej, które tak starannie, na chłodno układała przez ostatnie dwa miesiące - wsiadła do autobusu i tak jak stała, z ogoloną głową, w obdartym ubraniu, w samym środku dnia pojechała do domu i weszła na podwórze, modląc się, by nie zauważył jej żaden z sąsiadów i żeby ogrodniczka miała tego dnia wolne, chociaż wiedziała, że nawet gdyby ją ktoś

zauważył, na pewno jej nie pozna.

Otwierając furtkę, natychmiast poczuła, jak powietrze wokół niej ogrzewa się, nagle ożywa, wiruje, a wielki kłęb radości i miłości, pokryty złocistą sierścią, skacze ku niej na powitanie. Szorstki język, wielki i gorący, raz i drugi przesuwają się po jej policzku. Po chwili zdumienia i niepewności następuje ulga, zupełnie jakby ktoś uratował Tamar z opresji. Suka w okamgnieniu rozpoznała jej zapach, jej esencję.

- Chodź, Dineczko, sama nie dam rady.

84

Pewnego razu, dawno, dawno temu... - zaczęła Teodora • roześmiała się, widząc zaskoczenie, jakie wywołał jej ton bazarza. Poprawiła się na krześle, posłała kawałek cytryny, aby zwilżyć gardło, a następnie nieprzerwanym strumieniem słów, z żywą gestykulacją i błyskiem w oku, opowiedziała Asafowi swoją historię prosto z serca. O sobie i o wyspie Liksus, i o Tamar.

...otóż pewnego razu, mniej więcej przed rokiem, pewnej niedzieli, kiedy Teodora zażywała południowego odpoczynku, nagle cała zadrżała, słysząc potężny hałas tuż pod swoim oknem, jakieś zawodzenie i gwizdy, z których w końcu wyłonił się czysty i ciepły głos dziewczyny. Stanowczo domagała się od niej, by podeszła do okna. To znaczy, właściwie nie zwracała się do niej, lecz do „Szanownego Pana Mnicha, który Mieszka w Wieży”.

Teodora wstała czym prędzej, podeszła do okna otoczonego kwiatami bugenwilli i zobaczyła, że na szkolnym podwórku, tuż za płotem klasztoru, stoi beczka. Na beczce stoi drobna dziewczyna o czarnych, gęstych i potarganych włosach, trzyma w ręku megafon i przez ten megafon do niej przemawia.

- Czcigodny panie mnichu - powiedziała grzecznie dziewczyna, po czym zamilkła, bo zdała sobie sprawę, że pomarszczona twarz, która ukazała się w oknie, należy do kobiety. - Czcigodna pani mniszko - poprawiła się niepewnie. - Chcę pani opowiedzieć bajkę, którą pani być może już skądś zna.

W tym momencie Teodora przypomniała sobie: tę samą dziewczynę widziała mniej więcej tydzień wcześniej na okazałym figowcu; siedząc na jednej z największych gałęzi, pisała coś w grubym zeszycie i z roztargnieniem

pałaszowała figę za figą. Teodora zaś, przygotowana na to od dawna, wycelowała w dziewczynę z procy, za pomocą której zwykle odganiała ptaki, i strzeliła gładką pestkę moreli.

Trafiła. Przez chwilę była z siebie dumna, bo po raz kolejny przekonała się, że nie zapomniała jeszcze sztuki strzelania z procy, którą opanowała w dzieciństwie na swojej rodzinnej wyspie, kiedy posyłano ją wraz z siostrami, żeby zaczajała się w winnicy na łapczywe kruki. Teodora usłyszała okrzyk zdumienia i bólu, kiedy pestka trafiła w kark dziewczyny. Ta wyciągnęła rękę, żeby złapać się za bolące miejsce, straciła równowagę i spadła, obijając się: o gałęzie, aż gruchnęło o ziemię. Teodora gorzko pożałowała wtedy swojego czynu. Chciała wybiec, udzielić jej pomocy i z głębi serca przeprosić za wyrządzoną krzywdę, błagając, by dziewczyna oraz jej koledzy przestali wreszcie rabować jej owoce. Jednak ponieważ była dożywotnio uwięziona w swoim domu, nie ruszyła się z miejsca, a swoją małą, ale bolesną karę odbyła w ten sposób, że zmusiła się, by patrzeć, jak dziewczyna, kulejąc, podnosi się z ziemi, posyła jej piorunujące spojrzenie, odwraca się do niej tyłem, po czym szybkim ruchem zdejmuje spodnie i na krótką chwilę odsłania pośladki, wywołując u mniszki prawdziwe zgorzenie.

- Dawno temu, w dalekim kraju, była sobie mała wioska, w pobliżu której mieszkał olbrzym. - Dziewczyna zaczęła opowiadać przez megafon, mniej więcej tydzień po tym niefortunnym incydencie. Mniszka słuchała ze zdumieniem, a jej serce zabiło mocniej z radości, że dziewczyna wróciła. - Olbrzym miał sad, a w sadzie mnóstwo drzew

wocowych. Rosły tam morele, grusze, brzoskwinie, gwaja-wyj figowce, wiśnie i cytrynowce.

Teodora powiodła wzrokiem po swoich drzewach. Podobał jej się głos dziewczyny. Nie dało się w nim dosłyszeć wrogości. Przeciwnie, było w nim coś, co zapraszało Ho rozmowy, i Teodora od razu to wyczuła. Jednakże pobrzmiwało w nim nie tylko owo zaproszenie: dziewczyna mówiła tak, jakby opowiadała bajkę małemu dziecku,

a jej miękki, kojący głos przenikał głęboko w pamięć mniszki i rozchodził się tam delikatnymi falami.

- Dzieci z wioski lubiły się bawić w sadzie olbrzyma _ ciągnęła dziewczyna - chodzić po drzewach, kąpać się w strumyku, baraszkować w trawie... Przepraszam, pani mniszko, nawet nie spytałam... Czy pani rozumie po heb-rajsku?

Teodora przebudziła się z błógiego zamyślenia. Wzięła ze stołu kartkę papieru, zwinęła go w małą tubę i swoim lekko skrzeczącym głosem, który już od lat nie wysiłał się, by mówić tak głośno, oznajmiła dziewczynie, że mówi, pisze i czyta biegle po hebrajsku, gdyż uczyła się tego języka w młodości u pana Eljasafa, nauczyciela w szkole Tachkemoni, który dorabiał, udzielając prywatnych lekcji wszystkim zainteresowanym. Kiedy skończyła swoją krótką, ale wyczerpującą wypowiedź, zdawało jej się, że dostrzega w oczach dziewczyny pierwszy uśmiech.

- Ty nie widziałeś, jak ona się uśmiecha - szepnęła Teodora do Asafa. - Robią jej się małe dołeczki, o tutaj. - Dotknęła lekko jego policzka, wprawiając go w zdumienie, jak gdyby poczuł na policzku ciepło tamtej dziewczyny, Tamar, która przecież nic a nic go nie obchodzi. Co mu do jej dołeczków? Teodora pomyślała sobie:

„Zarumieniłeś się, mój panie!”, a na głos powiedziała tylko: - Kiedy ona

87

się uśmiecha, serce wyskakuje z piersi. Nie, nie śmieję się! Ja nigdy nie przesadzam! Serce wyfruwa, trzepocząc skrzydłami!

-Ale olbrzym nie chciał, żeby dzieci bawiły się w jego sadzie - mówiła dalej dziewczyna na beczce. - Nie chciał żeby próbowały owoców z jego drzew ani żeby zrywały jego kwiaty czy kapały się w jego strumyczku. Zbudował więc wokół sadu wysoki i solidny mur.

Dziewczyna popatrzyła mniszce prosto w oczy. Jej; spojrzenie było skupione, świdrujące i dojrzałe nad wiek. Teodora poczuła, jak z wolna wzbiera w niej uczucie lekkiej nostalgii.

Asaf słuchał jak zahipnotyzowany, uśmiechając się mimowolnie, jak gdyby właśnie zobaczył przed sobą taki oto obrazek: drobna mniszka wyglądająca przez okno, rozległy, bujny ogród, a za płotem stojąca na beczce dziewczyna. Prawdę mówiąc,

bał się trochę dziewczyn zdolnych wdrapać się na beczkę i zachowywać w taki sposób (To znaczy jaki? Bezceremonialny, wyjątkowy, niepokorny. Oryginalny). Tak, te zdecydowane, pewne siebie dziewczyny, które zawsze umieją postawić na swoim - umiał je rozpoznawać z daleka i wołał przezornie omijać; takie, co to sądzą, że cały świat do nich należy, a wszystko jest jedynie grą i zabawą. I oczywiście traktują z góry chłopców takich jak on, niezgrabnych, flegmatycznych i ogólnie nieciekawych. Jednakże kiedy Teodora spojrzała na dziewczynę na beczce, oświeciły ją całkiem inne myśli. Podsunęła pod okno bogato rzeźbione drewniane krzesło, na którym od lat już nie siedziała, to, z którego wypatrywała pielgrzymów. Zalegała na nim sterta książek, więc przeniosła je na łóżko. Usiadła na krześle, sztywna i nieco spięta.

88

Wszakże po kilku minutach jej ciało samo jakby podpełnęło, wyprężyło się w stronę okna, tak że znad parapetu ^stawały tylko jej oczy, broda zaś spoczęła na poduszce z dłoni.

Od strony ulicy ogród Teodory otoczony był kamiennym murem, lecz od szkoły odgradzał go tylko wysoki i brzydki drucziany płot. Nie mógł zatrzymać wygłodniałych uczniów, których zapachy dojrzałych owoców doprowadzały do szaleństwa. Przed południem byli to uczniowie szkoły, po południu - chórzyści, którzy przychodzili tam na próby. Nasrian, jej ormiański ogrodnik, a zarazem administrator, malarz, stolarz, ślusarz, kurier i doręczyciel jej obfitej korespondencji - musiał nieustannie łątać dziury w płocie, bo każdego ranka pojawiały się nowe. Ogród, który w przeszłości dostarczał Teodorze wiele radości, teraz stał się dla niej źródłem utrapień, tak że nieraz w przypływie zniechęcenia poważnie się zastanawiała, czy by go nie wyciąć w pień, aby nikt nie mógł z niego korzystać, ani ja, ani one, ona, ani dzieci.

Teraz, kiedy mówiła do niej ta dziewczyna, całe jej rozgoryczenie poszło w niepamięć. Wprawdzie nie znała tej baśni o olbrzymie, jednak ten czysty głos przywołał w niej przedziwną myśl: myśl o własnej matce, która była wiecznie zajęta i zmęczona, zawsze miała przywiązana do grzbietu młodszą córeczkę i nigdy nie miała czasu, żeby pobyć z Teodorą sam na sam. Zawsze z nimi dwiema razem. I wtedy,

chyba po raz pierwszy w życiu, mniszka uświadomiła sobie, że jej matka nigdy nie opowiadała bajek ani nie śpiewała piosenek; dalej jej myśli powędrowały prosto do rodzinnej wioski na wyspie Liksus, ku pobielonym wapnem domom, sieciom rybackim, siedmiu wiatrakom i maleńkim budkom lęgowym z okienkami w kształcie

89
rombów, zbudowanym specjalnie dla gołębi, które miesz. kały na wyspie, i ku szerniałym ośmiornicom suszącym się na sznurach... Już od wielu lat nie widziała tak wyraźnie swojej wioski, jej podwórek i ciasnych zaułków. Uliczki były tam wybrukowane okrągłymi kamieniami, na które mieszkańcy wyspy mówili „małpie główki”. Przez blisko pięćdziesiąt lat prawie zapomniała o tym określeniu. Od pięćdziesięciu lat zabraniała sobie tam wracać, choćby na chwilę, zamknęła tę okolicę na cztery spusty i otoczyła murem, wiedziała bowiem, że oznacza to tęsknotę i żal ponad jej siły.

- Bierz winogrona - powiedziała półgłosem do Asafa. - Często się, to słodka sultanina, bo dalszy ciąg opowieści będzie naprawdę gorzki.

Mniej więcej siedemdziesiąt lat przed narodzinami Teodory, Panorios, sołtys wioski, wielki bogacz, a zarazem uczony i podróżnik, postanowił przeznaczyć znaczną sumę pieniędzy na budowę domu dla mieszkańców swojej wyspy w świętym mieście Jeruzalem. Kiedy sam Panorios udał się z pielgrzymką do Ziemi Świętej w tysiąc osiemset siedemdziesiątym pierwszym roku, trafił wraz z setkami rosyjskich chłopów do zatłoczonych i brudnych jakby koszar, które Rosja zbudowała dla swoich pielgrzymów. Spędził kilka ciężkich tygodni w towarzystwie ludzi nierozumiejących jego języka, których obyczaje wydały mu się odpychające, wręcz obrzydliwe. Padł łupem przewodników, którzy bez litości wyzyskiwali Bogu ducha winnych pielgrzymów, oskubując ich z ostatnich pieniędzy. Kiedy zaś zachorował, nie znalazł lekarza, który potrafiłby mu pomóc albo chociaż zrozumiał, co mu dolega. Gdy wreszcie powrócił na wyspę i w majakach umierał na tyfus, na łożu boleści podyktował swojemu sekretarzowi ostatnią wolę: aby w Świętym

90

sjeście zbudowano dom, gdzie będą mogli się zatrzymać pielgrzymi z wyspy

Liksus; aby mieli swój dom, gdzie będą mogli złożyć zmęczone głowy, obmyć nogi po długiej odróży, dom, w którym będzie się rozmawiać w ich ojczystym języku, a nawet w tym szczególnym narzeczu, którym posługują się mieszkańcy Cyklad. Do tego postawił jeszcze jeden warunek: żeby zawsze mieszkała tam samotna mniszka - dziewczynka z wyspy, na którą padnie los. Całe swoje czyste życie spędzić ma w tym domu i nigdy 20 nie opuszczać, nawet na chwilę, i niech poświęci życie oczekiwaniu na pielgrzymów i opiece nad nimi.

Dziewczyna na beczce opowiadała dalej, lecz Teodora dała się już porwać bezgłósnemu nurtowi wspomnień. Przypomniła sobie dzień, kiedy starszyzna zebrała się u wnuka Panoriosa, aby rzucić los po raz trzeci, odkąd w Jerozolimie stanął ów dom. W ciągu lat, które upłynęły od śmierci Panoriosa, posłano tam już dwie dziewczynki z wyspy: pierwsza straciła rozum po czterdziestu pięciu latach, a wtedy wysłano na jej miejsce złotowłosą Amarilię. Ta zachorowała i trzeba było z kolei ją zastąpić, a krążyły pogłoski, że i ona nie zapadła na chorobę ciała. W tym właśnie czasie dwunastoletnia Teodora leżała naga i opalona jak śliwka na półce skalnej w swojej sekretnej zatoczce. Z zamkniętymi oczami rozmyślała o pewnym chłopcu, który ostatnio zaczął jej dokuczać, cokolwiek robiła. Sztydził z jej trójkątnej twarzy i z wiecznie podrapanych nóg, poza tym przezywał ją „tchórzem” i „małą dzidzią”. A wczoraj, kiedy wracała sama znad morza, zaszedł jej drogę i domagał się, żeby oddała mu pokłon do ziemi, bo inaczej nie pozwoli jej przejść. Rzuciła się na niego i przez wiele minut mocowali się w milczeniu, słychać było tylko

91

ich jęki i sapanie. Drapała, gryzła i pluła jak kotka, i poprzv. sięgła sobie, że będzie z nim walczyć na śmierć i życie. Wreszcie chłopak już prawie ją pokonał, a wtedy rozległ się odgłos nadjeżdżającego wozu. Chłopak wstał i uciekł, lecz kiedy Teodora podniosła się z kurzu, zauważyła, że coś jej zostawił: osiołka, własnoręcznie uplecionego z żelaznego drutu.

I oto, kiedy leżała na rozgrzanej półce skalnej, zastanawiając się, co ów chłopak przyniesie jej dzisiaj, gdy będzie wracała znad morza, i przypominając sobie ostry, nieznajomy zapach jego spoconego w walce ciała, dosłyszała z oddali podniesione

głosy. Usiadła i zobaczyła maleńką sylwetkę, która biegnąc, wykrzykiwała coś na całe gardło. Z początku nie rozumiała słów. Później zdawało jej się, że słyszy coś znajomego. Podniosła się na klęczki. Ten* ktoś wybiegł prawdopodobnie z domu należącego do wnuka Panoriosa. Teodora śledziła go wzrokiem, aż dostrzegła, że to chłopiec. Mały, półnagi chłopczyk, biegnący w dół po linii, gdzie niebo styka się z ziemią. Biegnie, wymachuje rękami i wykrzykuje jak obłąkany jej imię.

Trzy dni później wyprawiono ją w drogę. Na nic zdałyby się wszelkie protesty. Teraz poczucie krzywdy powróciło i zagotowało się w jej sercu. Ojciec i matka byli, rzecz jasna, tak samo nieszczęśliwi jak ona, lecz ani myśleli sprzeciwić się decyzji starszyny. Teodora przypomniawszy sobie teraz uroczystość, jaką urządzono na jej pożegnanie, śnież-nobiałą oślicę przystrojoną w kwiaty i lukrowe ciastka w kształcie wieży w Jerozolimie. A także przysięgę, jaką mu-, siała złożyć, że nigdy, przenigdy nie opuści domu dla pielg-' rzymów, którego okno wychodzi na zachód, w stronę morza.

Nie pamiętała już dokładnie słów przysięgi, ale jak w koszmarnym śnie znów nagle ujrzawszy twarz sołtysa

92

zarną brodą i mięsiste wargi księdza, który chwycił jej
i na oczach całej wioski przyłożył ją do rozżarzonej
i znej blachy. Wiedziała, że może zyskać wolność, jeśli
<a Okrzyk bólu albo chociaż cicho zajęczy. Kiedy jednak
,inda wzrok, na odległej skale, na samym jej szczycie,
obaczyła tamtego chłopaka i duma nie pozwoliła jej
zakrzyknąć.

Stojąca na beczce nieznaną dziewczyną mówiła dalej Teodora poczuła ciarki na plecach. Wzięła głęboki oddech i niemal poczuła znowu zapach morskiej podróży _ pierwszej i ostatniej podróży w swoim życiu - aż do nędznego portu w Jafie. Stała jej przed oczami długa droga do Jerozolimy w rozklekotanym autobusie, jęczącym z wysiłku niemal jak człowiek, przypomniawszy też sobie dziwne odczucie, jakiego doznała w całym ciele, znalazłszy się po raz pierwszy w miejscu, które nie było

wyspą.

Późną nocą, kiedy bucharski woźnica wysadził ją z furmanki razem z tobołkami przed bramą klasztoru, wiedziała, że jej życie dobiegło kresu. Gdy siostra Amarilia otworzyła bramę, Teodora zadrżała na widok wychudłej, przezroczystej twarzy, twarzy człowieka pochowanego żywcem.

W ciągu dwóch lat spędzonych z siostrą Amarilia do domu w Jerozolimie nie przybył ani jeden pielgrzym. Teodora dojrzewała, stawała się coraz piękniejsza, ale patrząc na Amarilię, widziała dokładnie, co czeka ją samą, kiedy wydorosleje i zacznie się starzeć. Amarilia niemal całą dobę spędzała, siedząc na wysokim krześle pod oknem zwróconym na zachód, czyli w stronę portu w Jafie, i czekając. Przez dziesiątki lat, które przeżyła uwięziona w wieży, zapomniała nawet swoich krewnych, litery alfabetu i mieszkańców wyspy, którzy ją tutaj wysłali. Cała skurczyła się

93

tak, że stała się tylko cienką kreską na wieży, jakby bliźni o pustym spojrzeniu.

A miesiąc po tym, jak Amarilia umarła i została pochowana w kwaterze na dziedzińcu klasztoru, nadeszła hiobowa wieść: na Morzu Egejskim doszło do trzęsienia ziemi, było to owego wielkiego trzęsienia ziemi pięćdziesiątego pierwszego roku. Wyspa rozpadła się na pół, a od morza nadciągnęła wielka fala i w ciągu kilku minut pograżyła jej mieszkańców w głębinach.

Ale nie, nie o tym chce myśleć teraz, kiedy na dworze zza drzew owocowych rozlega się ten dźwięczny, zuchwały głos, który prowadzi ją w krainę dzieciństwa, pogrzebanego pod grubą warstwą pięćdziesięciu lat i wielu dni. Zresztą nie wiedziała, dlaczego jest gotowa tak łatwo poddać się pokusie tego głosu, który nawet przemawiając, zdawał się śpiewać. Mocno przycisnęła pięści do oczu, jakby chciała uciec od widoku dziewczyny na beczce, a wtedy poprzez promienie światła zobaczyła samą siebie, Teodorę, jak idzie pod rękę z dwiema najlepszymi przyjaciółkami, zadziorna, harda, tryskająca życiem. A teraz... Gdzie się podziałaś, roześmiana Aleksandro, rączka kozico, a gdzie ty, Katerini, co znałaś wszystkie moje sekrety? Mieszkańcy wioski zjawili się, by wyjść jej naprzeciw, dobijali się do jej zaciśniętych powiek, błagając, żeby ich sobie przypomniała: jej siostry, starsi bracia, i

dwaj mali bracia bliźniacy, którzy oślepli pewnego dnia, patrząc w czasie zaćmienia prosto w słońce. Ich także nie ma. Ani tamtego głupiego, przystojnego chłopaka. Otarła wilgotne oczy rękawem habitu i skierowała spojrzenie na stojącą na beczce dziewczynę, powiodła wzrokiem po swoich drzewach owocowych i pomyślała»

94

właściwie postępuje nierozsądnie, a nawet niegodziwie. Złota ugięła się pod ciężarem owoców, których nikt ócz niej nie kosztował. Mimo codziennych łupieskich *Lraw urządzanych przez uczniów owoce gniły masowo gałęziach. Toczyła walkę z dziećmi, bo ją okradały, a te-nie mogła znieść. Ale gdyby, na przykład, pozwoliła im rwać co nieco, to możliwe, że ta ohydna wojna zakończyłaby się w jednej chwili... Cisza wyrwała ją z zamyślenia. Dziewczyna przestała mówić i najwyraźniej czekała na odpowiedź.

Teraz, kiedy wielki megafon nie zasłaniał połowy jej twarzy, Teodora dostrzegła, jaka jest śliczna. Jej odsłonięta, piękna twarz, szeroko otwarte oczy, nieśmiałe i wyzywające zarazem, zdradzały odwagę i prostolinijność, które przeszły mniszkę, przenikając przez wszystkie warstwy tynku, jakimi pokrył ją upływający czas, wiek i samotność. Wtedy chwyciła swoją papierową tubę i oznajmiła, usiłując przybrać poważny ton, że jest gotowa przystąpić do negocjacji.

- I tak to się zaczęło - zaśmiała się cicho Teodora, a Asaf przeciągnął się, jak zbudzony z niezwykłego snu. - Nazajutrz przyszli i usiedli tutaj, u mnie w pokoju, Tamar z jeszcze jednym kolegą i koleżanką, swoimi najlepszymi przyjaciółmi, i zaproponowali mi precyzyjnie ułożony plan.

Były w nim szczegółowo wyliczone drzewa w ogrodzie oraz lista dzieci śpiewających w chórze, zainteresowanych udziałem w kontrakcie, a także harmonogram, to znaczy wykaz drzew, z których wolno będzie zrywać w danym tygodniu...

- I wojna się skończyła - zaśmiała się Teodora. -Jednego dnia!

95

Wreszcie nadeszła ta chwila - myśli Tamar- i już się nie da od niej uciec. Powłóczy nogami, bezskutecznie szukając miejsca, gdzie mogłaby stanąć. Gdziekolwiek się

zatrzyma, ma wrażenie, że asfalt płonie jej pod stopami. I aby się nieco uspokoić, przypomina sobie, że właściwie w ciągu ostatnich miesięcy przeżyła już wiele takich „chwil”. Kiedy po raz pierwszy odważyła się odezwać do kogoś w jednej z knajp przy bazarze i spytała, pokazując fotografię, czyj go zna. I pierwszy raz, kiedy kupowała towar od jednego z dilerów na placu Syjońskim - karła o wydatnym zadzie, w kolorowej wełnianej czapce. Przez chwilę można go było sobie wyobrazić na scenie w roli sympatycznego trolla z krainy baśni. Krótko i rzeczowo negocjowała z nim cenę, nikt by się nie domyślił, że serce bije jej jak wielki bęben, pieniądze i towar przeszły z rąk do rąk, wsunęła zwinięty woreczek pod skarpetkę i wiedziała, że ma już wystarczającą ilość na pierwsze dni operacji...

Teraz jednak, mimo wszystko, nadeszła chwila najtrudniejsza. Ma ni stąd, ni zowąd stanąć w samym sercu miasta, gdzie panuje największy ruch, na deptaku Ben Jehudy, przez który przechodziła już milion razy jako zwykły człowiek, człowiek wolny... ..przechodziła tędy z Idanem i Adi, jedli lody Magnum, wracając z próby chóru, albo siadali, żeby przy filiżance cappuccino pośmiać się z nowego tenora, chłopaka z Rosji, który bez cienia wstydu ośmiela się konkurować z Idanem o solówki.

-Jeszcze jeden wieśniak z Uralu z rozdziawioną gębą# - mamrotał Idan do filiżanki, poruszając przy tym skrzydełkami nosa, co było znakiem dla dziewczyn, że mają popłakać się ze śmiechu.

96

Tamar też się śmiała, i to nawet głośniej niż Adi, być może chcąc zagłuszyć to, co pomyślała w tej chwili o samej sobie. Śmiała się tak przez cały ten czas, nie mogąc się nadziwić, że po raz pierwszy w życiu to ona należy do grona szyderców - małej, zgranej paczki, która trzyma się razem już rok, dwa miesiące i tydzień: troje młodych artystów, rzadko spotykany braterski sojusz, którego członkowie zawsze mogą na siebie liczyć. Tak przynajmniej sądziła.

A teraz musi przejść tędy całkiem sama, znaleźć sobie bardziej odpowiednie miejsce niż grający na akordeonie staruszek z Rosji i zatrzymać się, w strumieniu szarych przechodniów, stanąć w określonym punkcie, gdzie już teraz ktoś patrzy na nią niespokojnym wzrokiem, z wyrazem dezaprobaty na twarzy, a ona czuje się jak mały

listek, który postanowił popłynąć pod prąd, pośrodku wartkiego nurtu rzeki. Teraz jednak nie wolno się wahać, nie wolno się zastanawiać, nie wolno nawet dopuścić do siebie myśli, że ktoś ją rozpozna, podejdzie i spyta, co to za szalony pomysł. Jakaż naiwnością - czy może głupotą - było wierzyć, że ogolona głowa i przebranie się w kombinezon zdołają zmienić ją do tego stopnia. W dodatku, jeśli kogoś nasza wątpliwość, czy to aby na pewno ona, przecież zobaczy Dinkę i już będzie wiedział. Jakie głupstwo popełniła, zabierając psa! W jednej chwili uświadomiła sobie wszystkie braki swojego planu, istny łańcuch głupstw i niedociągnięć. Jak to się dzieje? Spójrz, co ty wyprawiasz! Kim ty niby jesteś? W gruncie rzeczy tylko małą dziewczynką, Która zgrywa Jamesa Bonda. Stała tak przez chwilę, spięta i lekko zgarbiona, jak pod gradem wewnętrznych ciosów: Jak mogłaś nie przewidzieć, że właśnie tak się stanie? I że taedy nadejdzie chwila prawdy, ujawnią się wszystkie łaty i dziury, bo z tobą tak już zawsze jest, czyż nie? Fantazje

97

zawsze w końcu się zderzają z rzeczywistością, a wtedy ten twój balon wybucha ci prosto w twarz... Przechodnie mijali ją z obu stron, marudząc i potracając. Dinka zaszczeła aby ją obudzić. Tamar wyprostowała się. Zagryzła wargi Dość, przestań się użalać nad sobą. Nie czas na rozterki, za późno już, żeby się wycofać. Wyjdź z własnej skóry. Słuchaj rozkazów. Trzeba ustawić ten wielki magnetofon na kamiennym kwietniku, wcisnąć przycisk, zrobić głośniej, jeszcze głośniej, to nie pokój, to ulica, to Ben Yehuda Street. Zapomnij wreszcie o sobie, od tej chwili jesteś tylko narzędziem, które ma spełnić swoje zadanie, niczym więcej. Wsłuchaj się w dźwięki, dźwięki, które tak lubisz, dźwięki jego gitary, gitary Szaja, popatrz na jego długie miodowe włosy, które zawsze opadały mu na policzek, kiedy grał u siebie w pokoju, pozwól, by cię otulił, roztopił, a we właściwym momencie...

Suzanne takes you down To her place near the river You can hear the boats go by You can spend the night beside her And you know that she's half crazy But that's why you want to be there...

Przez długie dni nie mogła się zdecydować, od której piosenki zacznie swoją uliczną karierę. To oczywiście też wymagało zaplanowania, tak samo jak planowała i

obliczała, ile trzeba zgromadzić w jaskini wody pitnej, ile świeczek i rolek papieru toaletowego. Z początku zamierzała zaśpiewać jakąś znaną hebrajską piosenkę, Jehudit Rawie albo Nurit Galron, coś takiego, żeby było ciepłe, rytmiczne i bardzo osobiste, żeby jej nie stresowało, a jednocześnie dobrze pasowało do ulicy. Z drugiej strony korciło ją - to była jej odwieczna pokusa - żeby od razu, już na samym

98
oczątku, zachwycić ich czymś zupełnie nieoczekiwanym, drugą aria- Cherubina z Wesela Figara Mozarta, na przykład, • w ten sposób zmanifestować, już w pierwszej chwili, wyraźnie i jasno, kim jest i jakie ma zamiary wobec tej ulicy, żeby wszyscy od razu wiedzieli, jaka jest wyjątkowa i jak bardzo różni się od wszystkich innych... Bo w wyobraźni była wprost nieustraszona, w wyobraźni wydawała głos, który rozbrzmiewał wzdłuż i wszerz całej ulicy, wypełniając każdą szparę i niszę, zanurzała w nim przechodniów jak w oczyszczającej, kojącej kąpieli. W swoich fantazjach wołała śpiewać bardzo wysoko, nawet na granicy śmieszności, chciała rzucić ich na kolana swoim górnym rejestrem i bez cienia wstydu odpłynąć w mały ego-trip, który zawsze przyprawia ją o lekki zawrót głowy, kiedy tak śpiewa, upajając się chwilą, wzbijając się w przestworza, uwolniona od tkwiących w niej głęboko zahamowań, hen, na zawrotne wysokości. W końcu zdecydowała się na Suzanne, bo podobała jej się ta piosenka, lubiła też ciepły, basowy i melancholijny głos Leonarda Cohena, a nade wszystko uważała, że łatwiej będzie, przynajmniej na początku, śpiewać w obcym języku.

Jednakże od razu, po dwóch albo trzech sekundach, coś się psuje: już wie, że zaczęła za cicho, zbyt niepewnie. „Brak charyzmy” - orzeka Idan w jej głowie, sprowadzając ją na ziemię. Co się z nią dzieje? Żeby jej tylko wszystkiego nie zrujnował. W całym jej misternym planie akurat śpiew był jedną, jedyną rzeczą, co do której całkowicie na sobie polegała. I oto okazuje się, że nawet to jest znacznie trudniejsze, niż przypuszczała. Bo śpiewać tutaj to jak rozpruć samą siebie i wystawić swoje wnętrze na widok ulicy. Walczy ze sobą i zyskuje przewagę, ale jej śpiew nadal jest od-•egły od tego, o czym czasami ośmielała się marzyć - że

w jednej chwili, od pierwszego dźwięku, cała ulica wstrzy. ma oddech, zdobyta przez nią szturmem. Przecież ocryssa wyobraźni widziała w najdrobniejszych szczegółach, jaJ myjący okna na pierwszym piętrze Burger Kinga przestają wykonywać monotonne, koliste ruchy ręką, jak sprzedawca soków owocowych wyłącza sokowirówkę, przerywając rozpaczliwy jęk ścieranej marchewki...

Ale chwileczkę, poczekaj, nie poddawaj się tak prędko. Patrz, jakiś mężczyzna, tam, koło sklepu obuwniczego zatrzymał się i patrzy na ciebie. Na razie jest ostrożny i stoi w bezpiecznej, niezobowiązującej odległości, ale jednak cię słucha. Tamar nabiera nieco odwagi. Prostuje się i śpiewa pełnym głosem:

...Andshefeedsyou tea andoranges That came a\\ the wayfrom China Andjust whenyou mean to tell her Thatyou have no love to give her Then shegetsyou on her wavelength Andshe lets the river answer...

I jak to się zwykle dzieje z nurtem rzeki albo ulicy, kiedy jedna gałąź utknie w miejscu, zaraz inne zbierają się wokół niej. Takie jest prawo czy fizyka ruchu z prądem rzeki. Toteż obok mężczyzny, który słuchał jej, stojąc w bezpiecznej odległości koło sklepu obuwniczego, zatrzymuje się następny. A potem jeszcze jeden i kolejny. Zebrało się ich już sześciu czy siedmiu. Teraz już ośmiu. Tamar stara się wyrównać oddech i powstrzymać wibrację, w jaką wpadł nagle jej głos, zbiera się na odwagę, by podnieść oczy i spojrzeć ukradkiem na swoją małą publiczność, dziesięć osób, które już zebrały się wokół niej...

100

Thatyou've always been her lover Andyou want to travel with her Andyou want to travel blind

Lekko, lekko, nie ścisnąć, oddychać od dołu, od amych palców stóp, oddech! - uszami duszy Tamar sły-zv panią Halinę, apodyktyczną i uwielbianą nauczycielkę. _ Nie wolno śpiewać z takim ściśniętym gardłem, ech! Ech! lakbyś była Ceciliją Bartoli..." Tamar uśmiecha się w duchu, tęskni za swoją nauczycielką i dla niej wspina się po niewidocznych stopniach od gardła aż do tajemniczego ptaszka na samym środku czoła. Pani Halina zaś, która sama wygląda trochę jak ptaszek, odwraca się gwałtownie od pianina, szeleszcząc swoją przyciasną spódniczką, jedną

ręką gra dalej, a drugą dotyka czoła Tamar: „No proszę! Brawo! Teraz słyhać! Może podczas popisu też tak będzie?”

Jednakże pani Halina przygotowywała ją do śpiewania w salach koncertowych, na uroczystych recitalach albo warsztatach mistrzowskich z udziałem sławnych dyrygentów albo genialnych reżyserów operowych, którzy wpadają do kraju tylko na krótkie wizyty. Albo do występów chóru z okazji zakończenia roku szkolnego, przed zaproszoną, życzliwą publicznością, przy dumnym uśmiechu mamy (ojciec niezbyt chętnie dawał się zaciągnąć, a raz nawet zauważyła, że trzyma coś na kolanach i czyta), czasami przychodziło też dwoje przyjaciół rodziców - kiedy śpiewała, ich twarze stawały się łagodne i promienne: dziewczynka, którą znali od chwili narodzin, która urodziła się z potężnym krzykiem i nawet położna powiedziała, że zostanie „primadonną”, trzyletnia dziewczynka z fotografii, która śpiewa, trzymając w rękę wtyczkę od żelazka...

101

A teraz coś takiego. Upadek. Bo jak to nazwać? Szko. da tylko, że nastąpi to tak szybko. Ale oczywiste było, że właśnie to musi ją tutaj spotkać. Mimo wszystko nie zap0. minajmy, drodzy przyjaciele i rodzice, kto przed nami stoi - u niej niczego nie da się z góry przewidzieć, jak gdyby musiała zdradzić samą siebie właśnie wtedy, kiedy jest. sobie najbardziej potrzebna. Tak to jest, moje kochane stuknięte dziecko, na nikim nie możesz polegać, nawet na samej sobie. Zwłaszcza na sobie.

Wraz z paniką przychodzi otrzeźwienie - jak mały szczur wbiega jej szybko wprost do brzucha i zaczyna gryźć od środka. Tamar nadal śpiewa, nie wiadomo, jakim cudem, lecz złe myśli szybko zastygają w całkiem inne słowa, w dobrze jej znane, czarne hymny. Oby ich tylko przez pomyłkę nie zaczęła śpiewać.

„Nie przestawać! Nie przestawać!” - przestraszona krzyczy na siebie w myślach, kiedy głos zaczyna jej drżeć od łomoczącego miarowo serca. Całe jej ciało się napina, mięśnie się kurczą, na pewno na zewnątrz już słyhać, co dzieje się z nią w środku, na pewno widać już drżenie i wystraszoną minę. Za kilka sekund wszystko legnie w gruzach, Tamar wie o tym, nie chodzi tylko o ten nieszczęsny występ na ulicy, ale też o wszystko, co go poprzedziło, wszystko, co i tak było wiotkie, kruche,

co wisiało na włosku. Świetnie, idiotko, należało ci się, czy wreszcie do ciebie dotarło, co takiego sobie ubzdurałaś w tym swoim chorym mózgu? Rozumiesz, w co się wdawałaś? Jesteś skończona, skończona. Teraz spakuj się ładnie i wróć cichcem do domu. „Nie, nie! Śpiewaj dalej!” - błaga samą siebie. „Proszę, proszę, śpiewaj dalej” - doprasza się, jakby rozmawiała z porywaczem, który ją uprowadził. Gdyby choć miała w ręku jakiś instrument, gitarę czy bębenek, a choćby

102

husteczkę, jak Pavarotti, coś, czego można się uchwycić, czym można by się skulić i schować. Serce jej łomocze, wybijając jednostajny rytm, ktoś w jej wnętrzu z diabelską kutecznością mobilizuje wszystko, co może ją zniszczyć a środka. Wszystkie nieżyczliwe spojrzenia, z jakimi kiedykolwiek się spotkała, wszelkie podszepty, wszelkie wstydlive zdarzenia, grzechy i krzywdy z zamierzchłej przeszłości. W sumie zbiera się z nich cała gromada szczurów. Tylko popatrz, jak szybko ulica ujawniła, jakim jesteś zerem. Nie: jak szybko zdemaskowała cię rzeczywistość -to nie jest świat fantazji i rojeń, w którym zwykle żyjesz, ale samo życie, moja droga, prawdziwe, twarde życie, do którego wciąż usiłujesz się dostać jako pełnoprawny uczestnik, a ono za każdym razem cię odrzuca, tak samo jak organizm odrzuca obce ciało. „I znów oddychasz szczytami, zamiast przeponą - stwierdza sucho pani Halina, po czym ze zgrzytem zamyka na suwak swoją czarną torebkę i zbiera się do wyjścia. - Głos schodzi ci zupełnie do gardła, tysiąc razy ci mówiłam: nie zaciskać gardła! Nie chcę, żebyś była jak Mussolini na balkonie!” A co powiedziałby Idan, gdyby tędy przechodził? Don't cali us, we shall callyou. Dajże spokój, na pewno tędy nie przejdzie, a wiesz dlaczego? Bo nasz drogi Idan przebywa teraz we Włoszech, tylko nie myśl o tym teraz, proszę, proszę, nie myśl o Idanie i Adi, ani o chórze, o ich miesięcznym tournee po kraju w kształcie buta. Dzisiaj mają śpiewać w Teatro de la Pergola, a swoją drogą, właśnie teraz, dokładnie o tej porze, mają próbę z Orchestra Sinfonica di Firenze. Daj temu spokój, skup się, pomyśl, na przykład, że musisz się z tego utrzymać. Że bez tych pieniędzy nie będziesz miała co jeść dziś wieczorem. Jeszcze wczoraj byli w Wenecji, w Teatro Feni-ee, ciekawe, jak wypadli, i czy poszli potem zobaczyć Most

Westchnień i czy jedli lody owocowe na placu San Marco Prawie pół roku przygotowywali się wszyscy troje do tego tournée. Wtedy nawet nie przypuszczała, że jej świat zmieni się tak radykalnie. Zapomnij teraz o Wenecji, bądź z Suzanne, oddaj się całej tej piosence. Ale jeśli Idanowi i Adi udało się załatwić wspólny nocleg w Wenecji? To znaczy, u tej samej rodziny? To znaczy - w sąsiednich pokojach? Na tę myśl Tamar czuje ucisk w gardle. Milknie w pół słowa i po prostu stoi oniemiała. Gitara z magnetofonu gra dalej sama, akompaniuje Suzanne bez Suzanne. Tamar wyłącza magnetofon, schyla się nad kamiennym kwietnikiem i siada, kryjąc twarz w dłoniach. Ludzie patrzą na nią jeszcze przez chwilę, po czym wzruszają ramionami i zaczynają się rozchodzić, chowając się z powrotem pod powłoką anonimowej obojętności ulicy. Tylko jedna, poruszająca się ociężale, ubogo ubrana starsza pani podchodzi do niej:

- Dziewczynko, nie jesteś aby chora? Jadłaś coś dzisiaj?

Z jej oczu przebijają litość i troska, a Tamar z wysiłkiem zdobywa się na lekki uśmiech.

- Wszystko w porządku, tylko trochę zakręciło mi się w głowie.

Kobieta zaczyna czegoś szukać w torebce, grzebie ręką wśród zużytych biletów autobusowych. Tamar nie rozumie, czego ona może tam szukać. Ta zaś wyciąga kilka monet jednoszeklowych i kładzie je obok niej na kwietniku.

- Weź, serdeńko, kup sobie coś do jedzenia. Tak nie można.

Tamar patrzy na pieniądze. Kobieta wydaje się znacząco nie biedniejsza od niej. Czuje się jak oszustka, jakby ją wykorzystała.

Wtedy jednak przypomina sobie, że jest tutaj na tym świecie. Że jest częścią przedstawienia, do którego sama była scenariusz, sama je reżyserowała i sama w nim gra. W końcu wszystkim ma nadzieję, że w pobliżu jest ktoś, kto przypatruje się jej z boku i widzi dokładnie to, co ona chce mu pokazać. Dziewczynka z przedstawienia musi zabrać pieniądze z kwietnika, przeliczyć je, włożyć do plecaka i uśmiechnąć się do siebie z ulgą, bo teraz będzie miała za co kupić jedzenie.

Dinka opiera głowę o jej kolana i patrzy jej w oczy. jej wielka, matczyna, psia głowa. „Oj, Dinka - wzdycha Tamar w głębi serca - nie starczy mi odwagi na coś takiego. Nie potrafię tak oddać siebie obcym ludziom”. „Nie zawracaj głowy - sapie na to Dinka w dłoń dziewczyny. - Po pierwsze, nie ma dla ciebie rzeczy niemożliwych, a po drugie, przypomnij mi, proszę, kto taki jako jedyny z całej klasy zdjął bluzkę podczas ostatniej piosenki Hair, przed całą publicznością?” „Ale wtedy to było coś zupełnie innego. - Tamar jest zmieszana. - Tam... Jak ci to wytłumaczyć?” - Dinka unosi lekko brwi, co nadaje jej pyskowi irytujący wyraz drwiącego zdziwienia. „Nawet ty tego nie rozumiesz? - obrusza się Tamar. - To była właśnie ta wymuszona odwaga typowa dla tchórzy, efekciarstwo nieśmiałych, ekstrawagancja tych, co się boją własnego cienia. Tak jest zawsze, to właśnie są te «bramki w slalomie», o których mówił Szaj. A ja nie mam już do nich siły...” > „To ustaw je sobie również tutaj” - odpowiada Dinka, gwałtownie wysuwając głowę spomiędzy dłoni Tamar. - „Pokaż im, co to efekciarstwo nieśmiałych, pokaż im ten slalom”. „A jeśli wyśmieją mój śpiew? - Tamar pyta błagalnym tonem. - A jeśli znów będzie kłapa? Kto mnie wtedy zechce?”

105

Jednak obie wiedzą, że największy strach przyjdzie wtedy, kiedy akurat jej wyjdzie; jeśli jej plan zacznie działać i zaprowadzi ją, krok po kroku, do tych, którzy mają ją złapać w swoje sieci.

- Chodź - mówi Tamar, napełniona nagle drżąca odwagą. - Pokażemy im, na co nas stać.

O drugiej po południu, dokładnie cztery tygodnie po nieudanym debiucie Tamar, Asaf wyszedł z klasztoru. Słońce paliło go niemiłosiernie i czuł się tak, jakby bardzo długo przebywał w jakimś innym, bardzo dalekim świecie. Teodora odprowadziła go aż do schodów prowadzących w dół z jej pokoju, ponaglając go, żeby szukał Tamar i odnalazł ją jak najszybciej. Chciał jej zadać jeszcze mnóstwo pytań, ale przyjął do wiadomości, że mniszka nie powie mu już nic więcej na temat dziewczyny. Zresztą nie miał już cierpliwości dłużej siedzieć tam, w zamkniętym pokoju.

Czuł, że całe jego ciało jest napięte, jakby przebiegał przez nie prąd, a on nie

wiedział, dlaczego. Dinka szła obok niego i raz po raz rzucała mu zdziwione spojrzenie. Psy chyba też wyczuwają - pomyślał - kiedy komuś robi się smutno. Zaczął biec, a wtedy suka ocknęła się i ruszyła biegiem obok niego. Lubił biegać, to go uspokajało, poza tym dobrze mu się myślało w biegu. Jego nauczyciel WF-u nieraz go namawiał do udziału w zawodach, mówił, że ma wyrównany oddech i puls, a przede wszystkim jest wytrzymały, a to znaczy, że nadaje się do startu w zawodach. Asaf jednak nie lubił towarzyszącego im napięcia ani rywalizacji z nieznanymi chłopcami, a przede wszystkim nie cierpiał robić czegokolwiek przed publicznością. Najśmieszniejsze, że w biegu na sześćdziesiąt metrów zawsze docierał jako

106

- jen z ostatnich (ze względu na coś, co jego nauczyciel na

ał „spóźnionym zapłonem”), ale na dwa tysiące, albo zcze lepiej na pięć, nikt nie mógł się z nim równać, na-t chłopaki z dwunastej klasy: „Jak tylko zaskoczysz, to ■ 7 no zawodach, no nie? I tak trzymać do końca, a masz w kieszeni!” - powiedział kiedyś nauczyciel WF-u z podziwem i to krótkie zdanie Asaf przechowywał w sercu niczym medal.

Teraz też poczuł, że wreszcie, po całodziennej rozgrzewce, „zaskoczył” - zaczął biec we właściwym sobie, równym tempie. A kiedy tak biegł, jego myśli nabierały wyrazistości. Wiedział, że jakimś sposobem nieumyślnie dał się wciągnąć w mały wir, niby nic naprawdę groźnego, ale jednak, jak się zdaje, wkroczył w inną sferę rzeczywistości - jakby zagęszczoną, albo raczej naładowaną, naelektry-zowaną. Biegli obok siebie, lekko, spokojnie. Sznurek między nimi wisiał luźno i Asaf omal nie uległ pokusie, żeby zupełnie z niego zrezygnować. Pomyślał, że po raz pierwszy biega jak pan i jego pies. Spojrzał w bok i koło siebie zobaczył sukę z wywieszonym językiem, błyszczącymi oczami i wyprężonym ogonem. Dostosował swoje kroki do niej i ogarnęło go nowe, miłe i pełne ciepła uczucie, że zgrali się ze sobą. Miał wrażenie, że ona czuje to samo; są w pewnym sensie towarzyszami podróży. Uśmiechnął się do siebie. Było w tym coś, czego od lat już nie doświadczał, a nawet zapomniał, że można do tego tęsknić, coś w rodzaju przyjaźni. Kiedy jednak znowu pomyślał o tej dziewczynie, o Tamar, opuścił go ów chwilowy

spokój ducha i Asaf natychmiast przyśpieszył kroku. Wszystko, czego się o niej dowiedział, każdy najdrobniejszy fakt czy nieistotny szczegół,

107

wydały mu się z jakiegoś powodu niesłychanie ważne i III wielkie, że nie mieściły mu się w głowie, a do tego pełne ukrytych znaczeń (zaskoczona Dinka również przyśpje. szyla). W ogóle, od samego rana, od chwili, kiedy dotarły do niego pierwsze informacje na temat Tamar, miał poczucie, że jakaś nowa rzeczywistość próbuje na siłę wdrzeć się w jego życie, uczepić się go za wszelką cenę, zapuścić w nim korzenie. W gruncie rzeczy Asaf nie lubił takich niespodzianek. Codzienne, zwykłe życie i bez tego wydawało mu się zbyt nieprzewidywalne, a oprócz tego - znów przypominał sobie o tym ze strachem i spojrzął na zegarek - powinien teraz poświęcić nieco czasu na swoje prywatne sprawy, zdecydować, jak uwolni się z potrzasku, w jaki złapał go Roi. Zresztą nie ma najmniejszego zamiaru tłuc się przez pół Jerozolimy w poszukiwaniu jakiejś niezidentyfikowanej dziewczyny, z którą nic go nie łączy ani łączyć nie będzie. To nie jego sprawa, tylko przedziwnym zbiegiem okoliczności w ogóle się o niej dowiedział. A jeśli już o tym mowa, to Dafi przynajmniej już zna, z jej wadami nie musi się na razie oswajać, a ta nowa, która ma miłego psa i lubi pizzę z żółtym serem i oliwkami... Nie pamiętał, kiedy zaczął o tym myśleć.

Wtem Dinka wyprzedziła go i przyśpieszyła. Nie rozumiał, co się dzieje. Uniósł głowę, ale nie widział, za kim goni pies. Jediną osobą, która biegła teraz ulicą, był on sam. Wiedział jednak, że powinien zaufać zmysłom suki, domyślał się, że spostrzegła albo wywęszyła kogoś ukrytego przed jego wzrokiem. Skręcała gwałtownie w boczne uliczki i zaułki, jak gdyby uruchomił się w niej wewnętrzny silnik, wpadła do Parku Niepodległości, galopowała jak burza przez krzewy i trawniki, wiatr odchylił jej wielkie uszy do tyłu, Asaf zaś szybował za nią i zastanawiał się nad cudem

108

jego węchu - jak to możliwe, że pies może wyczuć ko-0ś w ogóle go nie widząc, myślał też o tym, co ma powiedzieć temu komuś, kiedy go wreszcie dopadnie.

- Mam cię - zawołał ktoś zza jego pleców, po czym wskoczył Asafowi na grzbiet i z

ogromną siłą zwałił go na ziemię.

Chłopak był w takim szoku, że przez dłuższą chwilę leżał w bezruchu i o niczym nie myślał. Czuł, że znajdujący się nad nim mężczyzna wykręca mu rękę do tyłu, omal jej nie łamiąc. Dopiero wtedy Asaf krzyknął.

- Krzycz, krzycz - syknął człowiek, siedzący mu na plecach. - Zaraz będziesz płakać.
- Czego pan chce ode mnie? - jęknął obolały Asaf. - Co ja panu zrobiłem?

Tamten z miażdżącą siłą wcisnął mu głowę w ziemię. Piasek wpadł Asafowi do ust i nosa. Czuł, że czoło ma zadrapane do krwi. Dwa silne palce zacisnęły się na jego policzkach, zmuszając go do otwarcia ust, a zaraz potem dwa inne wtargnęły do środka, pośpiesznie czegoś tam szukając, po czym wysunęły się z powrotem. Asaf leżał oszołomiony, przed sobą widział biegające mrówki i niedopałek papierosa, wszystko w znacznym powiększeniu.

Do tego jakiś papier czy dokument wetknięty mu pod nos. Łypnął na bok, ale nic nie zobaczył. Za blisko. Oczy miał zamglone od łez. Człowiek siedzący Asafowi na grzbiecie chwycił go za włosy i siłą podniósł mu głowę, po czym ponownie wetknął pod nos swój dokument. Asaf miał wrażenie, że oczy wyskoczą mu z orbit.

Zdjęcie uśmiechniętego, śniadego mężczyzny, a obok oznaka policyjna. Ulżyło mu. Ale tylko na chwilę.

- Dalej, wstawaj, jesteś aresztowany. -Ja? Za co? Co ja takiego zrobiłem?

109

Druga ręka Asafa została także odciągnięta siłą <]0 tyłu, po czym usłyszał trzaśnięcie, jakie znał tylko z filmów Kajdanki. Zakuli go w kajdanki. Jego mama chyba tego nie przeżyje.

- Co ja zrobiłem? - dało się słyszeć basowe, drwiące charczenie za jego plecami. - Zaraz sam w szczegółach opowiesz, co zrobiłeś, gówniarzu. Jazda, wstawaj.

Asaf z całej siły próbował wcisnąć głowę między ramiona i milczał. Wszystko się w nim przewracało. Bał się, że nie zapanuje nad rozwolnieniem. Nagle opadł zupełnie z sił. (Zawsze tak było - kiedy ktoś odzywał się tak brutalnie, do niego albo do

kogokolwiek, natychmiast odechciewało mu się żyć. Zupełnie jakby wyciekał sam z siebie, tracił ochotę, by istnieć, kiedy ktoś mówił w ten sposób). Dinka natomiast, ożywiona duchem walki, stanęła w pewnej odległości i szczekała wściekle ze wszystkich sił, ale nie odważyła się podejść bliżej.

- Wstawaj wreszcie, powiedziałem! - ryknął tamten i znów złapał go za włosy. Asaf musiał wstać. Omal nie wyrwano mu włosów razem z cebulkami, ostry ból znów wycisnął mu łzy z oczu. Mężczyzna szybko przesunął rękami po kieszeniach Asafa, obmacał koszulę, pośpieszonymi muśnięciami przeszukał też plecy i krok. Może chodzi o broń - pomyślał Asaf- albo coś innego. Był tak wystraszony, że nie odważył się o nic zapytać.

- Pożegnaj się ze światem - wycedził tamten. - Dalej, rusz dupę. Jak będziesz rozrabiał, zrobię z ciebie miazgę, rozumiano? - Wyciągnął małą krótkofalówkę i wezwał radiowóz, a następnie popchnął Asafa w stronę wyjścia z parku.

Asaf szedł ulicami Jerozolimy zakuty w kajdanki. Spuścił głowę i modlił się, żeby żaden z ludzi, którzy teraz

110

niego spoglądają, nie znał ani jego, ani jego rodziców, rdyby chociaż miał ręce związane z przodu, mógłby unieść koszulę i zakryć twarz, tak jak robią podejrzani w telewizji, njnka szła za nimi i co jakiś czas wydawała serię gniewnych szczęknięć, a mężczyzna za każdym razem bluzgał w jej stronę i wykonywał taki ruch, jakby chciał ją kopnąć. Asaf nadal nie mógł uwierzyć, że ten człowiek jest naprawdę z policji, tak brutalnie traktował jego i Dinkę.

Ale to naprawdę był policjant. Zaprowadził go jak karawanę niewolników do radiowozu, który już czekał pod domem handlowym przy ulicy Agrona. Samochód zawiózł ich na komisariat przy placu Rosyjskim, a dwaj siedzący w nim policjanci rozmawiali z detektywem, który schwycił

Asafa.

- Od razu go poznałem - oświadczył z dumą detektyw - po tym kurewskim psie. Pomarańczowa smycz. Zdawało im się, że mnie przerobią.

Po dotarciu na komisariat detektyw zaprowadził go do bocznego pomieszczenia.

„Sprawy nieletnich” - napisane było niebieskim flamastrem na drzwiach. Pokój miał bardzo grube ściany i Asaf pomyślał: Pewnie po to, żeby nikt nie usłyszał moich krzyków, kiedy będzie mnie torturował. Detektyw jednak zostawił go razem z Dinką i zamknął drzwi na klucz.

Stał tam metalowy stół, dwa krzesła i jedna długa ławka pod ścianą. Asaf poczłapał w stronę ławki i usiadł na niej. Musiał skorzystać z toalety, ale nie było komu o tym powiedzieć. Z sufitu zwisał wielki, wolno obracający się wentylator. Asaf zmuszał się, by myśleć o chłopcu jadącym na wielbłądzie przez Saharę. Myśli próbowały uciekać na boki, lecz Asaf siłą woli skupiał je wciąż na chłopcu, który jedzie przez Saharę na wielbłądzie. W tej oto chwili,

111

pośrodku ogromnej pustyni, na rozległej przestrzeni bez granic i horyzontu, z wolna przesuwa się długa karawana wielbłądów (zwykle pomysły czerpał z programów telewizyjnych „National Geographic”). Na grzbiecie jednego z nich, na końcu karawany, siedzi mały chłopiec, kołysze się w rytm wielbłądzich kroków, twarz ma zasłoniętą ze względu na burzę piaskową, tak że widać mu tylko wpatrzone w pustynię oczy. Co widzi, co się dzieje w jego głowie? Asaf kołysze się wraz z nim na wielbłądzie, spowity ciszą pustyni. Potrafił tam uciec nawet przed warkotem wiertła u dentysty. I nie tylko tam: oto teraz zjawia się chłopiec z Islandii na wielkim szarym statku rybackim, pływającym po Morzu Północnym. Chłopiec przez cały ranek szorował pokład, usuwając z niego resztki martwych ryb. Teraz opiera się o żelazną poręcz i przygląda się górom lodowym, wznoszącym się wysoko ponad statkiem. Czy lubi te długie rejsy? Czy boi się bosmana? Kiedy znów zobaczy swój dom? Asaf skupił się na nich. Nie wiedział dokładnie, w jaki sposób to pomaga mu się uspokoić, ale zawsze działało. Przypominało to trochę grupę dyskusyjną w in-terecie, tyle że bez kontaktu z kimkolwiek. Jak gdyby wszyscy ci samotni chłopcy rozsiani po świecie w jakiś tajemniczy sposób tworzyli niewidzialną sieć, dodając sobie nawzajem sił. Również teraz. Przynajmniej uspokoił się wstydlivy wulkan w jego jelitach. Asaf wyprostował się. Wszystko będzie dobrze. Mama pomasowała go lekko po plecach. Przypomniała mu, że będzie dobrze, że w jej tajnej umowie z Panem

Bogiem wyraźnie jest napisane, że zawsze mu będzie dobrze na świecie. Zdołał nawet uśmiechnąć się do Dinki. „Będzie dobrze, zobaczysz”. Din-ka wstała z podłogi i pradawnym ruchem, sięgającym czasów, kiedy zawiązała się przyjaźń między ludźmi i psami

112

choć między nimi dwojgiem była ona czymś zupełnie 0wym - podeszła, położyła głowę na jego kolanach i spojrzała mu prosto w oczy.

Nie mógł jej nawet pogłaskać, ręce miał zakute z tyłu w kajdanki.

Tamar dźwignęła się z kamiennego kwietnika i stanęła spokojna, zamyślona. Przez chwilę wyglądała tak, jakby ją ktoś porwał bardzo daleko, oczy rozszerzyły się jej jeszcze bardziej niż zwykle, wpatrzone w jakiś punkt w przestrzeni. Tylko ktoś, kto wierzy w zjawiska nadprzyrodzone, uwierzyłby, że w tym momencie przebiegła jej przez głowę błyskawica i w niepojęty sposób zapisała w niej dziwną, tajemniczą wiadomość, że już niebawem, cztery tygodnie od tego dnia, utraci swoją Dinę, i że potem ktoś ją znajdzie, błakającą się po ulicach, a nieznany chłopak pójdzie jej tropem, krok po kroku, przez całą Jerozolimę.

Na krótką chwilę pojawił się gęsty obłok, potem rozdarł go ostry błysk, a wreszcie Tamar zamrugnęła oczami, uśmiechnęła się do Dinki i o wszystkim zapomniała. Teraz miała tylko nadzieję, że nikt nie będzie jej pamiętał tych ostatnich, zenujących chwil występu. Cofnęła taśmę i znalazła podkład, którego potrzebowała. Puściła sobie po cichu wstęp do piosenki. Ustawiła magnetofon tak, żeby dźwięk dobrze się rozchodził. Wyprostowała się.

Bo teraz, właśnie teraz nadeszła chwila, kiedy naprawdę powinno się to zdarzyć, właśnie teraz powinna wyjść, wyrwać się z tłumu. To znaczy - musi teraz na siłę wydostać się z rzeki anonimowości, odciąć się od nerwowej, choć bezpiecznej szarzyzny ulicy. Musi po prostu stać S'C kimś wyjątkowym. Spójrz, wokół ciebie dziesiątki

113

obojętnych ludzi, zapachy kebabu i palącego się tłuszczu który ścieka do ognia, i krzyki sprzedawców na pobliskie bazarze, i piskliwy akordeon Rosjanina, który być

może też był kiedyś podobny do ciebie, uczył się w jakimś konserwatorium w Moskwie czy Leningradzie. A może i on miał nauczycielkę, która wezwała do siebie jego rodziców i nie' znajdowała słów, by wyrazić wzruszenie.

Podnosi głowę i z otaczającej ją przestrzeni wybiera jeden punkt, na którym się skupi. To nie obraz Renoira, zawieszony w sali, gdzie odbywały się próby chóru, ani złoty, bogato zdobiony żyrandol, jaki z pewnością wisi w Teatro de la Pergola; to mały szyld z napisem „Leczenie żyłaków nóg, z gwarancją na trzy miesiące”, to się jej akurat podoba, odpowiada jej w tej chwili, więc zamyka oczy i śpiewa w tamtą stronę:

Ujrzałem raz ptaka niezwykle pięknego
Ptak dojrzał na pewno i mnie
Wiem, nie zobaczę nic doskonalszego
Po życia ostatni mój dzień

Nie musi otwierać oczu, by poczuć, jak ulica rozdziela się na dwie części, ale nie wzdłuż ani w poprzek, lecz na taką, jaka była, zanim Tamar zaczęła śpiewać, i tę późniejszą. Ma takie wyraźne, jednoznaczne odczucie, i całkowicie mu ufa. Nie musi patrzeć. Czuje to przez skórę: ludzie z wolna zatrzymują się w miejscu, niektórzy z nich zawracają i idą niepewnym krokiem w kierunku, skąd dobiega głos. Stoją. Słuchają. Pod wpływem jej śpiewu zapominają o sobie.

Oczywiście, jest też sporo takich, którzy się nie zatrzymują, nie dostrzegają nawet, że na ulicy zaszła jakaś zmiana. Idą i wracają, są znużeni, a na ich twarzach maluje się gorycz. W jednym ze sklepów zawył alarm. Obok przecho-

114

, . ^ebraczka z rozklekotanym dziecięcym wózkiem na zytających kołach. Myjący okna na piętrze Burger Kinga ż nie przestaje wykonywać swoich kolistych ruchów. Mimo to co chwilę ktoś dołącza do kręgu ludzi wokół niej. Otaczają najpierw jeden rząd, potem drugi, Tamar czuje, jakby znalazła się w podwójnych objęciach. Krąg ludzi porusza się w sposób nieodczuwalny i nieświadomy, jak wielki stwór o kilkudziesięciu nogach. Ludzie odwracają się tyłem do hałasu, odgradzają ją od ulicy. Stoją w różnych pozycjach, zwróceniem lekko do środka. Ktoś przypadkiem unosi głowę, a jego oczy napotykają wzrok sąsiada. Uśmiechają się, a w ich łagodnym uśmiechu zawiera się cała rozmowa. Tamar widzi to wszystko jak przez mgłę. Zna to

spojrzenie ze swoich wcześniejszych występów z chórem, z tych najlepszych: to
spojrzenie człowieka, który przypomniał sobie o czymś, co sam kiedyś miał. I stracił.
I chciałby znów być tego wart.

/ wtedy przeszły mnie słońca promienie

A z ust płynął potok cnych słów

Lecz słowa-te z wczoraj - są tylko wspomnieniem

I dziś nie wypowiem ich znów

Kończy ledwo słyszalnym dźwiękiem. Ciągnie się on jak nitka, coraz cieńsza i
cieńsza, a w końcu wplata się w panujący dookoła codzienny gwar. Teraz, kiedy
piosenka cichnie, zgiełk ulicy staje się znów głośny jak przedtem. Stojący wokół
głośno biją jej brawo, tu i ówdzie jakiś człowiek głęboko wzdycha. Tamar nie rusza
się. Szyję ma mocno zaczerwienioną, oczy jej błyszczą w spokojnym, rześkim
świetle. Stoi z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała. Ma ochotę skakać z radości i ulgi,
że jej się udało. Tak niewiele brakowało, by się poddała. Jednak nawet teraz pamięta,
że śpiew nie jest głównym powodem, dla którego się tu

115

znalazła. Pamięć o tym wprawia ją w przygnębienie: śpie[^] jest tylko środkiem,
przynętą. Nie, pomyłka: to Tamar ma być przynętą. Rozgląda się dookoła
roziskrzonym wzrokiem, pełnym wdzięczności, ale też badawczym. Patrzy
wnikliwie. Na pierwszy rzut oka wydaje jej się, że spośród dziesiątków otaczających
ją ludzi żaden nie jest tym, który ma połknąć haczyk.

Teraz uświadamia sobie, że z przejścia zapomniała przed występem przygotować
czapkę na pieniądze. Musi się schylić przy wszystkich w swoim niezgrabnym
kombinezonie, poszperać w plecaku, z którego oczywiście wysypują się ubrania i
bielizna, podczas gdy Dinka uparcie wtyka tam nos i węszy. I zanim Tamar znajduje
wreszcie beret - jeszcze rok temu lubiła nosić czapki, dopóki Idan nie wyraził
swojego zdania na ich temat - prawie wszyscy się rozchodzą.

Ale niektórzy zostali, ci zbliżają się, jedni pewnym krokiem, inni nieśmiało, i rzucają
monety do zmiętego beretu.

Tamar nie może się zdecydować, czy zostać tutaj i zaśpiewać coś jeszcze. Wie już, że

to możliwe i że starczy jej odwagi. Czuje nawet wewnętrzny impuls, który każe jej śpiewać dalej. Mniej więcej w połowie piosenki ogarnęło ją znajome uczucie zwycięstwa i wielkości, lecz tym razem czuła to z taką mocą, jakiej nigdy dotąd nie doświadczyła, śpiewając w zamkniętych pomieszczeniach. I kto by przypuszczał, że ma aż taki mocny głos?

Lecz jednocześnie Tamar zdaje sobie sprawę, że gdyby ten. człowiek albo któryś z jego podwładnych był tu gdzieś w pobliżu, już by go wyczuła. Ustawiłby się gdzieś na obrzeżach publiczności zgromadzonej w kręgu i przyglądałby się jej badawczym wzrokiem, tak jak się

116

trzy na niewinną, niczego nieprzeczuwającą zdobycz. Rozważałby na chłodno, jak złapać ją w swoje sidła.

Pod wodospadem złotych, słonecznych promieni Tamar dostała nagle gęsiej skórki. Pośpiesznie wybrała pieniądze z beretu i odeszła razem z Dinką. Ludzie zagadywali ją po drodze. Jakiś chłopak obudził w niej pewną nadzieję, bo był dość natarczywy, a usta okolone miał jakąś agresywną i ordynarną kreską. Zatrzymała się na chwilkę, żeby go uważnie wysłuchać, ale kiedy stało się jasne, że ją zwyczajnie podrywa, kazała mu się odzepić i ruszyła dalej.

Tego dnia śpiewała jeszcze pięć razy. Raz na placu przed domem handlowym „Ha-Maszbir”, dwukrotnie koło Centrum Kultury im. Gerarda Bechara. I jeszcze dwa razy na placu Syjońskim. Niekiedy dodawała jeszcze jedną piosenkę, ale pilnowała się, żeby nigdy nie śpiewać więcej niż trzy. Nie dawała się namówić, nawet kiedy oklaski były gorące, a komentarze naprawdę entuzjastyczne. Miała jasno określony cel, więc kiedy kończyła śpiewać, a to, na co czekała, się nie zdarzało, wyłączała magnetofon, chowała pieniądze do plecaka i starała się zniknąć. Bo to, co najważniejsze, już zrobiła. Najważniejsze, że ją widzieli i słyszeli. I że teraz będą o niej mówić. Rozsiała samą siebie niczym plotkę. Nic więcej na razie nie mogła zrobić, pozostało tylko mieć nadzieję, że wieść o niej niebawem dotrze do uszu człowieka, na którego czekała -jej łowcy.

zamknął oczy, oparł się o ścianę, pocierał nogą głowę Dinki. Wentylator pod sufitem

brzęczał monotonie, a na zewnątrz widać było przychodzących i odchodzących ludzi ~ policjantów, przestępców, zwykłych cywilów. Asaf nie wiedział, jak długo każą mu tutaj siedzieć i kiedy ktoś się

117

nim zainteresuje, o ile w ogóle to nastąpi. Dinka ro> ciągnęła się pod jego nogami na chłodnej posadzce, /w zszedł z drewnianej ławki i też usiadł na podłodze obok niej, opierając się o ścianę. Oboje zamknęli oczy.

Natychmiast w głowie zadźwięczał mu głos Teodory i Asaf czym prędzej się w nim zanurzył, szukając pocieszenia. Nadal był nieco zdezorientowany gwałtownymi zwrotami akcji w jej opowieści, w której przewijały się różne czasy, kraje, wyspy. Dobrze jednak pamiętał, jak po skończeniu opowieści siedziała zgarbiona i pogrążona w sobie. Przypominała mu wtedy powykrzywiany korzeń jakiegoś prastarego drzewa. Było mu jej żal. Gdyby była jego babcią, na pewno wstałby bez chwili wahania i ją uściskał.

- Ale ja żyłam - powiedziała mu, jakby odpowiadając na niedostrzegalne z zewnątrz poruszenie w jego duszy.

- Mimo wszystko chcę, żebyś to wiedział, Asafie, ja naprawdę przeżyłam to życie! - A widząc niedowierzanie w jego oczach, uderzyła ręką w stół i zachnęła się: - O nie, mój panie, proszę w ten sposób na mnie nie patrzeć! - Poprawiła się nieco na krześle i dodała gniewnym tonem, akcentując każde słowo: - Już pierwszej nocy po tym, jak spadła na mnie ta tragiczna wiadomość o wyspie Liksus, kiedy wstał świt i zobaczyłam, że nie umarłam ze zgryzoty i samotności, postanowiłam żyć!

Była zaledwie czternastoletnią dziewczyną, ale jasno rozumiała swoje położenie, a przede wszystkim - nie litowała się nad sobą. Przeszłość została wymazana, a nie czekała na nią żadna określona przyszłość. Nie знаła nikogo

- ani tutaj, ani w żadnym innym miejscu. Nic nie wiedziała o kraju, w którym się znalazła, ani nie znała miejscowego języka. Asaf sądził, że być może pomogła jej nieco wiara w Boga, lecz Teodora wyjaśniła mu, że gorącej wiary

118

leciwie nigdy w sobie nie miała, a już tym bardziej po tej agedii- Miała wielki i pusty

dom, sowitą pensję, przy-hodzącą co miesiąc z greckiego banku, miała też swoją solenną przysięgę, o której wiedziała, że nigdy jej nie złamie - choćby z szacunku dla wszystkich umarłych, którzy ją tutaj przysłali.

- Tak się rzecz przedstawiała - powiedziała suchym, opanowanym tonem. - I sama musiałam zdecydować o własnym losie od tej chwili aż do końca swoich dni. -Wstała i zaczęła chodzić po pokoju, a wreszcie stanęła za krzesłem Asafa i złożyła dłonie na oparciu. - Więc powzięłam mocne postanowienie, że skoro jest mi pisane nie wychodzić nigdy z tego domu do świata, to sprowadzę sobie świat tutaj.

I tak zrobiła. Ówczesny woźny klasztoru, ojciec Nasriana, zaczął na jej polecenie wychodzić do miasta i kupować jej wszelkie książki po grecku, jakie tylko udało mu się znaleźć. Były to przeważnie znajduwane w podziemiach greckich klasztorów stare święte księgi, które niezbyt ją interesowały. Dlatego w dniu swoich piętnastych urodzin sprawiła sobie prezent: wynajęła prywatnego nauczyciela języka hebrajskiego i zaczęła się uczyć starożytnej i współczesnej hebrajszczyzny. Była pojętna i spragniona wiedzy, toteż po czterech miesiącach nauki u pana Eljasafa zaczęła w księgarni Hansa Flugera kupować książki o Ziemi Izraela, w której mimo woli przyszło jej żyć, i o Jerozolimie, gdzie została uwięziona. Uczyła się wszystkiego, czego tylko można się było nauczyć z książek o Arabach, Żydach i chrześcijanach żyjących w tym samym mieście co ona, bardzo bliskich, ale dla niej niewidocznych. W wieku szesnastu lat zatrudniła też nauczyciela języka arabskiego, zarówno literackiego, jak i mówionego, i czytała z nim

119

Koran oraz Baśnie tysiąca i jednej nocy. Sprzedawcy z księgarni w ortodoksyjnej żydowskiej dzielnicy Mea Szearim zaczęli jej przysyłać tomy Miszny, Talmudu i komentarzy do Biblii. Te niezbyt ją interesowały, lecz na dnie skrzyni znajdowała czasami jakąś absolutnie niekoszerną, zakazaną książkę o nowych odkryciach naukowych albo o życiu mrówek, czy też o jakimś słynnym szesnastowiecznym malarzu, i pochłaniała ją natychmiast. Kiedy przestały jej już wystarczać te resztki,

zaczęła kupować stare, podarte egzemplarze książek z biblioteki syjonistycznej doktora Hugona Bergmana. Płaciła sownie handlarzowi, Eliezerowi Wajngartenowi, aby dostarczał jej niezwłocznie wszelkie książki na tematy, które od niedawna zaczęły ją fascynować: o wojnach napoleońskich, o odkryciach i wynalazkach, o astronomii, o życiu ludzi pierwotnych, a także dzienniki słynnych podróżników. Rzecz jasna, nie było to łatwe: musiała powiązać słowa z tak wieloma rzeczami, których nigdy nie widziała na oczy. Co to takiego „teleskop”, na przykład, albo „biegun północny”. Czym są „drobnoustroje”, „opera”, „lotnisko” i „siatkówka”?

- Czy uwierzyłbyś, że dopiero mając osiemnaście lat, dowiedziałam się, że istnieje Nowy Jork i kto to był Szekspir? - Zmarszczyła twarz w wyrazie zdumienia, a potem szepnęła coś jeszcze, jakby sama do siebie: - I że odkąd weszłam do tego domu, czyli od pięćdziesięciu lat, nie widziałam na własne oczy tęczy na niebie?

Kiedy miała lat dziewiętnaście, kupiła Encyklopedię Młodzieżową „Michlal”. Później przysła kolej na inne, w trzech językach, w dziesiątkach tomów. Jednak Teodora nigdy nie zapomniła fał odurzenia, jakie ją zalewały, kiedy przez sześć radosnych miesięcy czytała całe dzieło od deski do deski, dzień i noc, hasło po hasło.

120

Akurat w tym czasie zbudziła się w niej wielka żądza wiedzy o współczesności, a zwłaszcza o polityce światowej. Co rano posyłała ojca Nasriana po gazety hebrajskie i arabskie, a następnie, zgrzytając zębami, czytała je za pomocą słownika. Tak dowiedziała się o Dawidzie Ben Gurio-nje i o rządzącym w Egipcie Abdelu Naserze, dowiedziała się, że Pa'emie wywołuje raka płuc, i podekscytowana śledziła, wraz z całą resztą mieszkańców świata, dorastanie Radziba, hinduskiego chłopca, do siódmego roku życia wychowywanego przez wilki. Powoli, z wielkim mozolem, zaczęła przedzierać się przez gąszcz nowych faktów i imion, rysować sobie obraz świata, i co więcej - przestawała być ignorantką, jaką była dziewczynka z odciętej od świata wysepki na Cykladach, położonej w łańcuchu wysp otaczających Delos.

- A jednak - powiedziała, trzymając dłoń powyżej brwi, jakby chciała odegnąć zaczynającą się migrenę - przy całej tej radości, mimo wszystko byłam smutna i czegoś mi brakowało, bo wszystko to były tylko i wyłącznie słowa!

Asaf patrzył na nią i nie rozumiał, co ma na myśli, a ona, jak zawsze, kiedy ogarniało ją zniecierpliwienie, uderzyła wyprostowaną dłońią o blat stołu.

- Bo jakże wytłumaczysz niewidomemu, co to jest zieleń, fiolet i purpura?

Pojmujesz? - Asaf pokiwał głową, ale nadal nie był pewien, czy rozumie. - I tak,

agori mu, było również ze mną: mogłam polizać skórkę, ale samego owocu nie

ugryzłam... Bo jaki jest, na przykład, zapach niemowlęcia po kąpielu? I co czuje

człowiek, kiedy przejeżdża Przed nim pociąg ekspresowy? A jak słysząc bijące serca

Publiczności podczas świetnego przedstawienia w teatrze?

Teraz zaczął pojmnawać: jej świat złożony był tylko i wyłącznie ze słów, opisów,

papierowych postaci, suchych

121

faktów. Usta rozwarły mu się lekko w zdumionym uśmiechu - właśnie przed tym

ostrzega go mama, mówiąc, że, nie spędzał tyle czasu przed komputerem.

- W tamtych dniach założyłam tu również, w tym pokoju, republikę pocztową.

I opowiedziała mu o korespondencji, jaką prowadzi już od ponad czterdziestu lat z

uczonymi, filozofami, i pisarzami z całego świata. Z początku wysyłała do nich

proste pytania, onieśmielała ją własna niewiedza, przepraszała za swoją zuchwałość.

Z czasem jej pytania stawały się coraz głębsze i szersze, odpowiedzi także były coraz

bardziej szczegółowe, osobiste i serdeczne.

- A oprócz tych moich profesorów, powinieneś wiedzieć, że koresponduję także z

wieloma niewinnymi, dożywoćnymi więźniami, takimi jak ja. - Pokazała mu zdjęcie

pejnej Holenderki, która została ciężko ranna w wypadku samochodowym i na

resztę życia jest przykuta do łóżka, widzi tylko kilka gałązek kasztanowca i kawałek

kamiennego muru; potem zdjęcie Brazylijczyka, tak otyłego, że może już przejść

przez drzwi własnego pokoju, a przez okno widzi tylko brzeg niedużego jeziora (ale

nie wodę); i starego rolnika z Irlandii Północnej, którego syn odbywa dożywoć w

Anglii, i on także z własnej woli zamknął się w więzieniu, we własnym pokoju,

dopóki jego syn nie wyjdzie na wolność, i jeszcze wiele innych.

- Stale koresponduję z siedemdziesięcioma dwoma osobami na całym świecie -

powiedziała z powściąganą dumą. - Listy przychodzą i wychodzą. Przynajmniej raz

w miesiącu piszę do każdego z nich, a oni odpisują, opowiadają o sobie, zdradzają nawet swoje najskrytsze sekrety... - Zaśmiała się, z przebiegłym błyskiem w oczach. - Myślą sobie: „To tylko mała, stara mniszka, która mieszka

122

zvcie wieży w Jerozolimie, komu właściwie mogłaby 0 tym powiedzieć?

I oto dopiero po wielu latach czytania, nauki i roz-'lań zdała sobie sprawę, że jak dotąd nie przeczytała ani ■ dnei książki dla dzieci. Młody Nasrian (który zastąpił mczasem swojego ojca o schorowanych nogach) zaczął przeglądać odpowiednie regały w księgarniach. Mając eédziesiąt pięć lat, po raz pierwszy przeczytała Pinokia, Kubusia Puchatka i Przygody Piotrusia Pana. Nie było to jej dzieciństwo ani krajobrazy, w których się wychowała, lecz jej dzieciństwo zatoneło w morskich głębinach i nie było już do niego powrotu. Pewnego wieczoru odłożyła na bok 0 czym szumią wierzby i powiedziała szeptem sama do siebie: „Oto teraz narodziło się moje dzieciństwo”.

- A swoją drogą - zaśmiała się - musisz wiedzieć, że do tego czasu nie miałam ani jednej zmarszczki! Miałam twarz niemowlęcia, póki nie zabrałam się do czytania tych książek!

Teraz, skoro miała już dzieciństwo, powinna była zacząć dojrzewać. Czytała zatem powieści w rodzaju Dawida Copperfielda, Szatana z siódmej klasy czy Tajemniczego opiekuna. Żelazne drzwi, które kiedyś, gdy mieszkała na wyspie, zatrzasnęły się przed nią, teraz otworzyły się na nowo i Teodora, podstarzała i spragniona wiedzy dziewczynka, wkroczyła do jego uśpionych, zasnutych pajęczynami komnat. Dusza, ciało, żądze, tęsknota, miłość. Wszystko to powstało teraz z martwych w opowieściach, w których się pograżyła. A czasami, po nocy spędzonej na gorączkowym czytaniu, wypuszczała książkę z ręki i czuła, jak dusza wzbiera w niej niczym wrzące mleko w garnku.

- W tamtym czasie - mówiła niemal bezgłośnie - omal nie krzyczałam na głos, żeby zdarzyło się coś, co by mnie

123

wyzwolilo wreszcie z tej udręki i przekluto otaczającą uun-powlokę stów.

- I wtedy zjawiała się Tamar? - odruchowo spytał Asaf i zaraz tego pożałował, bo Teodora wręcz zadrzała, iai. gdyby nieostrożnie sięgnął gdzieś w głąb jej duszy.
- Co? Co powiedziałeś? - Wbiła w niego wzrok. - Tamar? Tak, być może, kto to wie... Nawet o tym nie p0. myślałam... - Lecz zaraz coś się w niej skuliło, jak gdyby Asaf niechcący ją rozdrażnił, jakby powiedział wprost: „Sprowadziła sobie pani do pokoju wszystko, co można wyczytać z książek, co składa się z liter i słów, aż nagle wtargnęła tu do środka dziewczyna z krwi i kości, wraz ze swoimi gwałtownymi, niespokojnymi uczuciami”. - Wystarczy. - Ocknęła się. - Dość już sobie powiedzieliśmy, mój drogi. A na ciebie chyba już czas?

-Jeszcze czegoś nie rozumiem. Ona...

- Idź i znajdź ją. Wtedy wszystko zrozumiesz.

- Ale niech mi pani coś wyjaśni! - Omal nie uderzył ręką w stół, tak jak ona. -Jak pani sądzi, co się z nią stało?

Teodora wzięła głęboki oddech i po chwili wahania odparła:

-Jak mam ci to powiedzieć... - Poderwała się niespokojnie. Znów zaczęła chodzić po pokoju, raz po raz rzucając mu badawcze spojrzenie, jak w pierwszych minutach ich spotkania, żeby się przekonać, czy zasługuje, by usłyszeć i wiedzieć, czy można na nim polegać. - Posłuchaj, może to tylko rojenia zdziwaczalej staruszki - westchnęła - ale podczas swoich ostatnich wizyt tutaj Tamar mówiła już całkiem inne rzeczy, i nie było to nic dobrego.

- Na przykład, co? - Aha, zaraz się wyjaśni, pomyślał Asaf.

- Że świat jest zły- odrzekła i wsunęła ręce pod habit.

- Że jest z gruntu zły. I nikomu nie można zaufać, nawet

124

•bliższym. Wszystkim rządzi tylko siła i strach, interesy "nikczemność. I że ona nie pasuje.

_ Nie pasuje do czego?

-Tutaj, do tego świata.

Asaf milczał. Pamiętał tę przebojową dziewczynę na heczce, co do której był święcie przekonany, że musi być rogancka i drwi sobie ze wszystkiego. Tymczasem ona est

trochę podobna do mnie - pomyślał zdziwiony i zestawił ją delikatnie na ziemię.

— A ja wprost przeciwnie, mówiłam jej, ile dobrych i pięknych rzeczy spotka ją jeszcze w życiu. Że jeszcze kogoś pokocha, a on ją, i będą mieli radosne dzieci, że jeszcze zjeździ świat wzdłuż i wszerz, i pozna ciekawych ludzi, że będzie śpiewać na estradach, będą ją oklaskiwać w salach koncertowych...

Słowa zamarty jej na ustach. Znow pogrążyła się w sobie, złapana w potrzask. Co ona wie - pomyślał Asaf z litością. - Nie poznała żadnej z tych rzeczy, które obiecała Tamar. Zamknięta pięćdziesiąt lat w tym domu. Co ona może wiedzieć?

Przypomniał sobie zawód i zmartwienie, jakie odczytał z jej twarzy, kiedy się tutaj zjawił, a ona przekonała się, że to nie Tamar. Wiedział też z całą pewnością, że Tamar jest dla niej kimś bardzo ważnym. Nie, to za mało powiedziane: jest jej koniecznie potrzebna. Jak woda i chleb, jak smak życia.

- A w ostatnim czasie... Dość, sama już nie wiem, co się dzieje. Ona zresztą też nie otwiera przede mną serca tak jak dawniej. Przychodzi. Pracuje. Siada. Milczy. Często wzdycha. Kryje przede mną jakiś sekret. Nie wiem, co się z nią dzieje, Asafie... - Oczy i czubek nosa natychmiast jej Poczerwieniały. - Chudnie w oczach i jest coraz bardziej

125

zgaszona. Nie ma już blasku w jej pięknych oczach Uniosła ku niemu twarz, a Asaf ze zdumieniem zauważył cienką kreskę też między zmarszczkami. - Co mówisz, m-drogi? Znajdziesz ją? Znajdziesz?

O dziewiątej wieczorem kupiła dwie porcje szawarmy i colę, po czym usiadła przy wejściu do biurowca, żeby zjeść. Jedną porcję dała Dince, sama spałaszowała drugą. Obu im to sprawiło wielką przyjemność, wzięły głęboki oddech i westchnęły jednocześnie, w błogim nasyceniu. Oblizując palce, Tamar pomyślała, że od dawna już żaden posiłek nie sprawił jej tyle przyjemności co ten, kupiony za pieniądze, które zarobiła śpiewaniem.

Potem znow zaczęły ją nurtować dawne myśli. Przechodnie mijali ją w pośpiechu, a ona starała się skulić, zmienić się w niepozorne, bezimienne zawiniątko. Zapragnęła stać się na powrót Tamar sprzed ponad roku. Położyć się na brzuchu na swoim łóżku,

w otoczeniu szmacianych i wełnianych zwierzątek, które towarzyszyły jej od urodzenia, przycisnąć ucho do słuchawki telefonu, machając skrzyżowanymi z tyłu nogami - jak nastolatki na filmach; wreszcie miała z kim to robić - tak dobrze było leżeć i plotkować z Adi o Galit Adlic, którą widziano, jak całowała się z Tomem, z języczkiem i w ogóle, albo o Lianie z chóru, której jakiś chłopak z liceum Boyera zaproponował, żeby została jego dziewczyną, a ona się zgodziła. Z Boyera, wyobraź sobie! Żaden artysta! I obie naturalnie były tym wstrząśnięte, utwierdzając się nawzajem we wspólnej wierności sztuce, to jest Idanowi.

Starszy człowiek, podpierający się laską, ubrany ze staromodną elegancją, przeszedł powoli, przypatrując się

126

• iego wargi poruszały się zdziwione, jak usta ryby. Zoba-J . . . samą siebie jego oczami: zbyt młoda dziewczyna, bvt późnej porze, w niewłaściwym miejscu.

Skuliła się w sobie, jak tylko mogła. Długi i męczący
, ten pierwszy dzień na ulicy, ale musiała wstać i pokręcić
. . . jeszcze po mieście, bo jeśli ktoś zwrócił już dzisiaj na
ia uwagę i obserwował ją z daleka, to będzie mógł teraz
podejść pod osłonę ciemności.

Podchodziło wielu. Przez cały czas coś do niej mówili, dzielili się uwagami, składali propozycje. Jeszcze nigdy nie nasłuchiwała się tylu wulgarnych słów i nie czuła się tak boleśnie wyobcowana. Szybko nauczyła się nie odpowiadać ani słowem, tylko trzymać przy sobie plecak i wielki magnetofon, i iść przed siebie. Dinka oczywiście też jej pomagała pozbywać się natrętów. Bo kiedy zaczynała warczeć, z brzucha, z samych trzewi, nawet największy chojrak schodził jej z drogi.

Ale ten, na którego czekała, i którego bała się najbardziej, nie przychodził.

Zeszła w dół, na „plac kociaków” przy Parku Niepodległości, i przechodząc między straganami, oświetlonymi teraz przez małe reflektory, pieściła dłonie dotykiem niezliczonych indyjskich koszul i szerokich jedwabnych spodni na wieszakach. Lubiła ten plac, chociaż Idan i Adi orzekli, że to „Piccadilly dla ubogich”. Jej krok stał się naraz inny, niemal taneczny, kiedy przechadzała się wśród fajek wodnych i

kolorowych kamieni, spowita aromatem olejków. Przymierzyła kilka bucharskich czapeczek, a ich tęgi sprzedawca zaczął żartować z jej spiczastej aszkenazyjskiej głowy- Jakiś chłopak, jak sam twierdził, ekspert światowej klasy, zaproponował, że wypisze jej imię na ziarenku ryżu, na co ona odparła, że ma na imię Brunhilda.

Przystojny młody

127

mężczyzna w krótkich spodniach i w turbanie na g}ov siedział na ziemi i trzymając w ręku gładką nogę jakie'-dziewczyny, malował jej tatuaż z henny. Tamar stanęła, ż by popatrzeć, trochę jej zazdrościła. Otrząsnęła się i ^szyła dalej. Obeszła raz i drugi wszystkie stragany, chłoną delikatny zapach kadzidełek, a także palonej tu i ówdzie trawki. Udawała, że interesuje ją stragan ze świeczkami we wszystkich kolorach i kształtach, i miała nadzieję, że ciarki jakie od pewnego czasu chodzą jej po plecach, wywołane są czymś badawczym spojrzeniem. Kiedy jednak się od-wróciła, nie było nikogo.

Na pobliskiej ulicy Joela Mosze Salomona odbywał się występ: dziewczyna mniej więcej w jej wieku, w kolorowej wełnianej czapce, spod której wystawały złote loki, trzymała w rękach dwie linki. Do każdej z nich przywiązane były płonące szmatki, a ona z nimi tańczyła, krzyżowała linki ze sobą, tak że ślizgały się jedna po drugiej spokojnym, płynnym ruchem. Inna dziewczyna, z szeroko otwartymi oczami, siedziała za nią na ziemi, oparta o ścianę sklepu, i wybijała monotony rytm na tamburynie.

Dziewczyna była całkowicie skoncentrowana na ruchu linek, a Tamar wprost nie mogła oderwać od niej oczu, tak była oczarowana tym absolutnym skupieniem, znanym jej z własnego doświadczenia. Chciała zobaczyć, jak to wygląda, to znaczy jak z zewnątrz wygląda człowiek, kiedy jest bez reszty pogrążony w sobie. Co z niego pozostaje na widoku. Piękne, błękitne oczy dziewczyny bacznie śledziły dwie małe pochodnie, a jej brwi to wznosiły się, to opadały z dziecięcym zdziwieniem. Tamar pomyślała, że są w tym do siebie podobne, bo sama też „śpiewa brwiami”. Było coś urzekającego w dwóch małych pochodniach, które przecinały nocne niebo, jakaś brawura i nieprzewidywalność.

Tamar przypomniała sobie, gdzie i dlaczego się zna-
 , Nie ruszając się z miejsca, ostrożnie i szczegółowo
Owała wzrokiem okolicę. Nie wiedziała, kogo szuka.
1 , ->a ze młodego mężczyzny. Tak wynikało z wiado-
vj jakie zdołała zebrać w ciągu ostatnich miesięcy:
chodzi o grupę młodych, bardzo brutalnych mężczyzn.
den z nich ma podejść do niej na ulicy i zaproponować,
bv z nim poszła, pod warunkiem, rzecz jasna, że
wcześniej przejdzie próbę ogniową - udowodni, że umie
zyCjnąć publiczność. Tamar wiedziała, że ten egzamin
już zdała, było to dzisiaj jej jedyne, wielkie osiągnięcie.
Dziewczyna z linkami mimowolnie rozwarła usta, odsłaniając śnieżnobiałe zęby.
Zaczęła przyśpieszać, tam-buryn także wybijał szybszy rytm. Wzrok Tamar ostrożnie
przeskakiwał z twarzy na twarz. Było tam niemało młodych mężczyzn, ale nie
potrafiła stwierdzić, czy któryś z nich patrzy na nią inaczej, w szczególny sposób.
Dwóch młodych chuliganów z fryzurami typu „piorun w miotłę” wyrwało się nagle z
publiczności i podbiegło do artystki, wykrzykując jej coś prosto w twarz. Nie były to
nawet słowa, tylko dzikie, zwierzęce wrzaski. Udało im się na chwilę rozproszyć
uwagę dziewczyny, tak że jej dwie linki zaplątały się wokół siebie i zawstydzone
opadły na ziemię. Dziewczyna ze smutkiem zdjęła z głowy wełnianą czapkę,
rozpuszczając złote loki. Powolnym ruchem otarła pot z czoła i stała zagubiona,
jakby ją zbudzono ze snu. Zawiedziona publiczność wydała naraz westchnienie i
zaczęta się rozchodzić. Nikt nie zapłacił dziewczynie za cały dotychczasowy wysiłek.
Tamar podeszła i włożyła jej do czapki pięcioszklową monetę z pieniędzy, które
zarobiła tego dnia, a na ustach dziewczyny pojawił się zmęczony uśmiech.

Plac Syjoński, na przedłużeniu tej ulicy, był także tłoczny i tętnił życiem. Przed
bankiem jeździli chłopcy ngj deskach. Nie było szans, żeby tam zaśpiewać, bo
pojawił się chasydzi braclawscy z umieszczonym na dachu samochodu potężnym

megafonem, przez który puszczała na cały regulator chasydzkie niguny. Tamar usiadła w kącie koło banku, przygarnęła do siebie Dinkę i przytulona do niej, bacznie obserwowała okolicę. Biegały tam dziesiątki nastolatków, w jakimś odpychającym zgiełku podobnym do buczenia maszyny, nieustannie przecinały plac, jakby poruszając się po niewidocznych szynach. Chodzili tam i z po-: wrotem, pilnie czegoś szukając. Kilku z nich zamieniło parę słów z brodatym młodym mężczyzną przy sztachetkach. Widziała tamtego karła o wydatnym zadzie, w wesołej wełnianej czapce na głowie. Otoczyła go gromadka młodych ludzi, tak że ledwo go było widać. Ręce dotykały kieszeni. Palce zaciskały się i coś chowały. Wysoki chłopak w dzinsowym kombinezonie, takim jak jej, z szelkami i klamrami, ale bez niczego pod spodem, podszedł do niej i powiedział:

- Siostró - kucnął tuż obok, żeby się zrównać z poziomem jej oczu. Sutek miał przebity kolczykiem - niczego ci nie trzeba?

Energicznie pokręciła głową - miała już dość towaru na pierwszy tydzień - a chłopak się nie narzucał, po prostu wstał i odszedł. Tamar skuliła się. Była zaskoczona. Nie tym, co jej powiedział, ale w jaki sposób się do niej zwrócił.

Zacisnęła mocno oczy, a kiedy je otworzyła, plac był tam nadal. Pośrodku tańczyli braclawscy chasydzi: siedmiu rosnących mężczyzn o długich pejsach i powiewających brodach w śnieżnobiałych chałatach i wielkich białych jar-mułkach. Wiedziała już, z poprzednich wieczorów, jakie tu

130

spędziła, że będą tak tańczyć bez wytchnienia aż do północy, w podskokach pełnych obłąkańczego zapału. Dwie dziewczyny o obfitych biustach, w krótkich koszulkach odkrywających pępki, trzymając się za ręce, przeszły obok Tamar i zatrzymały się, żeby popatrzeć na chasydów.

- Spójrz tylko na nich - powiedziała jedna z nich. _ Oni tak bez ekstazy. Tylko na samej wierze.

Dinka przylgnęła do niej. Bardzo dokuczał jej hałas, odwróciła się więc tyłem do placu i przytulona do Tamar próbowała zasnąć. Biedactwo - pomyślała Tamar. - Nie rozumie, co się ze mną dzieje. To musi być dla niej koszmar.

Podeszła do niej młoda kobieta z termosem i jednorazowym kubkiem w ręce. Spytała, czy nie nalać jej herbaty. Tamar nie rozumiała tej niespodziewanej łagodności, zupełnie jakby ktoś odezwał się do niej w obcym języku. Kobieta pochyliła się i przysiadła obok niej na chodniku.

- Mam też ciasteczka - powiedziała z uśmiechem. Tamar wyprostowała się, tknięta nową myślą. Serce zaczęło jej bić mocniej. A może ten, kto na nią poluje, jest w ogóle kobietą? Bo chodziły pogłoski, że w tym interesie jest też немало dziewczyn. Jednakże ta kobieta naprawdę chciała jej pomóc. Powiedziała, że należy do grupy wolontariuszy, którzy przychodzą, by nawiązać kontakt i po prostu towarzyszyć dzieciakom z placu. Nalała jej gorącej herbaty, a Tamar chwyciła kubek chłodnymi rękami i przebiegła ją fala niemal wstydlivej wdzięczności. Zjadła też ciastko, ale nie chciała rozmawiać. Kobieta pogłaskała Dinę, podrapała ją dokładnie tak, jak suka lubiła, i jej też dała ciastko.

- Widziałam cię już tutaj ostatnio - przypomniała so-kobieta. - Jakies dwa tygodnie temu? - Tamar po-

131

taknęła. - Widziałam też, że kupowałaś od tego tam niskie-go chłopaka, i to akurat kiedy chodził za tobą tajniak. p^ wiedz mi, nie chciałabyś się spotkać z kimś, kto już to wszystko ma za sobą?

Tamar zamknęła się w sobie. Tylko tego jej brakuje, żeby ją teraz wyciągali z ulicy, kiedy jeszcze nie zdąży}a w nią na dobre wejść.

- Zostawię ci nasz numer telefonu - powiedziała kobieta i zanotowała numer na serwetce. - Jak będziesz chciała porozmawiać, poprosić o coś, spotkać się u nas z rodzicami, jesteśmy do dyspozycji.

Tamar popatrzyła na nią i przez chwilę zapomniała o sobie, patrząc w jej zielone, dobroduszne oczy. Omal nie odważyła się spytać, czy nie widziała kiedyś tu, na placu, chłopaka grającego na gitarze, z długimi miodowymi włosami opadającymi na oczy. Jest bardzo szczupły i wysoki, i bardzo nieszczęśliwy. Ale nie odezwała się ani słowem. Kobieta pokiwała głową, jak gdyby coś zrozumiała, ale nie do końca. Potem

dotknęła delikatnie ramienia Tamar, uśmiechnęła się do niej serdecznie i poszła.

Tamar znów została sama, jeszcze bardziej samotna niż przedtem.

Nieopodal rozsiadła się grupa chłopaków z puszkami piwa w rękach. Ubrani byli w cienkie podkoszulki. Że też im nie zimno. Podszedł do nich inny chłopak, barczysty i krępy.

- Hej, ziomy.

- Co tam, bracie?

- Zajebicie. Szukam towaru.

- Idź do Araba, jest pod bilardem.

Uderzają dłonią o dłoń, obejmują się, poklepują dwa razy po plecach. Tamar patrzy i zapisuje to sobie w pamięci. On żyje wśród takich gestów co najmniej od roku-

132

Tak pewnie teraz mówi. Jakim językiem będzie z nią rozmawiał? Jak zareaguje, kiedy ją zobaczy?

I dlaczego ona sama nie przyłącza się do żadnej z tych erup? Dlaczego siedzi jak sparaliżowana, uwięziona w najbardziej ukrytym kącie placu? Zgodnie z planem miała już na tym etapie wkręcić się jakoś w to środowisko, dzięki temu być może zdoła dotrzeć do miejsca, którego szuka. I zewnątrz wydaje się to takie łatwe.

Zwłaszcza dla dziewczyn. Pokręcisz się trochę z boku, prędzej czy później zaczną zwracać na ciebie uwagę, zagadają, pośmieją się, trochę poflirtują, zapalicie coś razem, i już jesteś w środku, lądujesz z nimi na jakimś rewirze, w parku albo gdzieś na dachu.

Ale to się nie dzieje. Nie dzisiaj. Może jutro. A może nigdy. Nie była jeszcze zdolna się w to włączyć. Podciągnęła nogi do brzucha. Myśli wdrapywały się jedna na drugą, gryzły, kąsały w najbardziej wrażliwe miejsca. Może to po prostu twój lęk przed obcymi - podszeptowały jej myśli - a może twoja odwieczna, przeklęta trudność w nawiązywaniu znajomości. Nigdy nie umiałaś wmieszać się w grupę, pójść na kompromis, znaleźć wspólnego języka.

- Możesz to nazywać snobizmem - wyszeptała nagle w futro Dinki. - Ale prawda jest taka, że to po prostu moja bieda. Myślisz, że ja nie chcę? Ale tak już jestem

skonstruowana, że z nikim nie umiem się naprawdę zaprzyjaźnić. To fakt. Jak gdyby brakowało mi takiej części w duszy, która jeżyłaby mnie z innymi, jak w klockach lego. W końcu wszystko mi się rozpada. Wraca do punktu wyjścia. Rodzi-na. przyjaciele, wszystko.

Po raz dziesiąty przeszedł koło niej sprzedawca czerwonych jabłek w cukrze i zaproponował jej jedno. Nie

133

dawał za wygraną. Starszy człowiek w jarmułce, ze zmęczonym uśmiechem na ustach.

- Weź, tylko trzy szkle, samo zdrowie. Podziękowała i nie wzięła. Stał jeszcze chwilo

i przyglądał się jej. Co OPIW niej widzi, CO W Ogóle po niej widać? Łysa dziewczyna w kombinezonie, z plecakiem wielkim magnetofonem i psem. Koło śmietników ruszyło kasyno: chudy mężczyzna w spodniach za kolana, o nogach krzywych jak u marynarza, położył na kubkach do śmieci karton odwrócony do góry dnem i zaczął potrząsać kośćmi do gry w jednorazowym kubku.

- Kto stawia na najwyższą siódmkę? Kto idzie na trzy razy po siedem?

Skurczyła się jeszcze bardziej z poczucia osamotnienia. Nigdzie nie ma dla ciebie miejsca - dokuczała sama sobie - ani w domu, ani w chórze, ani wśród najbliższych przyjaciół, jakich kiedykolwiek miałaś. Niedługo w ogóle znikniesz i nikt tego nie zauważy. Nie, nie, lepiej o tym teraz nie myśleć. Zrozum, Dineczko, wcale nie uważam, że ze względu na mnie powinni nie jechać do Włoch, to nie to, bo przecież jak mogliby mi pomóc, gdyby nawet tu zostali? - Zachichotała, wyobrażając sobie Idana, jak stoi przy ogrodzeniu na placu, obściskując się z kimś: „Hej, ziomal, hey men"... Ale to, w jaki sposób zareagowali już w pierwszej chwili, kiedy tylko się o tym dowiedzieli, kiedy tylko spróbowałam im co nieco zdradzić, jak oni z miejsca, oboje...

Przekreślili mnie. To były słowa, które zdusiła w gardle. Braclawscy chasydzi zmienili kasetę. Teraz puszczała muzykę trance i tańczyli do jej dźwięków jak dzikie kozły, wymachując na wszystkie strony rękami, nogami i brodami-Tamar czuła, jak

ziemia pod nią dudni od tej muzyki. Plac

134

z3ł wirować w kółko. Niektórzy z nastolatków przy-
jj się do tańca. Tę muzykę rozumieli. Tamar próbowała bie przypomnieć lekcję, jakiej
jej udzielił pewien podsta-ały co najmniej czterdziestoletni, jak jej się zdawało, lbinos
w Colelet dwa tygodnie wcześniej: „Do trance bie-sz kwas, LSD znaczy się. -
Koszulę miał rozpiętą aż do pka. jego odsłonięty tors był gładki i czerwony, zupełnie
jakby się poparzył. - A house to muzyka ecstasy, to już jest bardziej dla snobów. A do
techno...” Zapomniała już, co się bierze do techno, zapamiętała przede wszystkim
jego gąbczastą dłoń, całą w wymyślnych, srebrnych pierścieniach, która uparcie
próbowała znaleźć się na jej udzie.

Małe dzieci chasydów braławskich biegały podekscytowane między tańczącymi. Do
Tamar podeszła kolejna dziewczyna. Usiadła koło niej w milczeniu, ze
skrzyżowanymi nogami. Miała na sobie dzinsy i biały, domowy sweter zrobiony na
drutach, ale jej tenisówki były podarte, a źrenice nienaturalnie powiększone. Tamar
czekała. Może to ona? Może zaraz się zacznie?

- Można? - spytała w końcu dziewczyna ciekim głosem i zaczęła głaskać Dinę, a
Tamar już wiedziała, czuła to, że ta dziewczyna do nich nie należy.

Głaskała Dinę bardzo długo, wprost nie mogła się od niej oderwać, chłoneła jej
zapach, mruzczała do niej. Przez kilka minut była nią całkowicie pochłonięta i nie
odezwała się ani słowem. Wreszcie wstała z wysiłkiem i powiedziała Tamar „dzięki”.
Oczy jej się zaszklily. Tamar nie wiedziała, czy z radości, czy od łez. Dziewczyna
odeszła kilka kroków. Cofnęła się.

-Ja... Kiedyś poszłam szosą, żeby wyciągnąć swojego Psa ze schroniska w Su'fat -
tłumaczyła zupełnie dziecinom głosem, ale bardzo powoli, ociężale. - Zarobiłam sto

135

szekli i °d razu poszłam go odebrać, a po tygodniu mi gQ przejechali. Na moich
oczach.

I Odeszła.

Tamar z lękiem przytuliła Dinę. Nie chciała tam zostawać ani chwili dłużej. Wstała i

ruszyła, ale szta powoli Kiedy znalazła się na środku placu, przystanąła na chwile tak, żeby jak najbardziej rzucać się w oczy. Może to się stanie tera2- Ktoś do niej podejdzie i powie, żeby poszła za nim. Ona nic nie odpowie i nie będzie się wdawać w dyskusje. Pójdzie za nim posłusznie ku swojemu przeznaczeniu. Na placu było mnóstwo ludzi, ale nikt nie podchodził. Przy sztachetkach stał lekko zgarbiony, mamroczący coś pod nosem, tamten kędzierzawy chłopak, były gitarzysta, któremu połamał' palce. Pamiętała go w jego poprzednim wcieleniu, jak akompaniował w czasie recitalu w Akademii Muzycznej. Teraz przychodzi tutaj prawie co wieczór i kręci się wokół rozmaitych grupiek. Tamar obito się o uszy, że dawniej, mniej więcej półtora roku temu, był bezkonkurencyjny, był gwiazdorem, kurą znoszącą dla nich złote jajka, póki nie zaczął kombinować na własną rękę i nie uciekł. Kiedy zauważył, że Tamar mu się przypatruje, oddalił się, z ramionami podciągniętymi niemal do uszu, a ona jęknęła w duszy na myśl, że teraz Szaj zajmuje tam prawdopodobnie jego miejsce-

Wyszła poza rozświetlony, wrzący zgiełkiem plac i odetchnęła z ulgą. Na jednym z podwórzy kucnęła między stertami desek budowlanych. Dinka stała na straży. Tamar poczuła zapach ciepłych oparów dochodzący spomiędzy nóg. Rozejrzała się i zobaczyła w świetle księżyca prostokątne drewnane płyty i kupy śmieci. Hałas z placu docierał aż tutaj. Wstała i ubrała się, a potem zatrzymała się jeszcze na chwilę, zafascynowana niesamowitością tego miejsca. Obok betoniarki stała maszyna do cięcia stali, obie

136

azem wyglądały jak para olbrzymich owadów. Jak to się dzieje- że taki tchórz jak ja robi coś takiego? - pomyślała zdumiona.

Teraz marzyła już tylko o tym, żeby położyć się i zasnąć. I zniknąć z oczu samej sobie. Gdyby tylko było gdzie się umyć, splukać z siebie cały ten dzień. Przez chwilę się wahała: Lea przygotowała miejsce dla niej, Tamar wiedziała, że czekają tam na nią luksusy -jakieś wspaniałe danie, pięknie opakowane i jeszcze ciepłe, droga czekoladka na deser, a do tego na pewno wesoły liścik i obrazek narysowany przez Nojku. Coś, co pozwoli jej się znów poczuć jak człowiek. Lecz Tamar już rano

postanowiła, że tam nie pójdzie. Wszystko, wszystko musi zrobić samodzielnie. Dlaczego? Bo tak. Jak to cytuje Teo z Talmudu: „Nie goń za tym, co przerasta twe siły”. Przyśpieszyła kroku, mamrocząc pod nosem w sporze z samą sobą: „Tylko mi wytłumacz, dlaczego nie chcesz iść do składziku Lei?” „Nie wiem. Żeby jej nie narażać?” Bez odpowiedzi. „A może tylko chcesz się utwierdzić w przekonaniu, że oprócz ciebie nie ma na całym świecie nikogo, na kim można polegać?”

Przebiegła ulicę King George i obeszła dookoła wysoki, rozpadający się budynek, w którym mieściło się biuro jej ojca. Ulica wydawała się pusta. Tamar poruszała się jak robot. Weszła do środka, schodami dostała się do piwnicy, gdzie znalazła klucz, ukryty wcześniej nad framugą. Otworzyła żelazne drzwi. Tam czekały na nią cienki materac i lekki koc, i jeszcze coś, co przyniosła tutaj w ubiegłym tygodniu, a potem szydziła sama z siebie. Teraz zaś przyłgnęła do tego, jak gdyby mogło ją oczyścić - do brązowego, puchatego misia bez jednego ucha. Sypiała z nim co "oc, odkąd przyszła na świat.

137

W zamku zazgrzytał klucz. Asaf przestraszony poderwał się z podłogi i usiadł na ławce. Detektyw, wchodząc, zdążył zauważyć ten gwałtowny ruch i Asaf od razu poczuł się tak jakby coś przeszkrobał. Wraz z detektywem weszła młoda i piękna kobieta w mundurze. Przedstawiła się Asafowi z imienia, Sigal albo Sigalit, nie dosłyszał, i dodała, że jest funkcjonariuszem dochodzeniowo-śledczym do spraw młodzieży i że będzie z nim rozmawiać razem z detektywem. Spytała, czy życzy sobie, by wezwać kogoś z rodziny, aby był obecny przy przesłuchaniu, na co Asaf z przerażenia omal nie krzyknął.

-A więc zaczynamy - powiedziała łagodnie policjantka.

Jeszcze raz zajrzała do otwartej teczki na stole, zadała Asafowi kilka ogólnych pytań, zanotowała jego odpowiedzi, wyjaśniła drobiazgowo, jakie prawa mu przysługują. Po każdym zdaniu, czy to własnym, czy Asafa, rozchyłała lekko usta w uśmiechu, tak że chłopak zaczął się zastanawiać, czy nie napisano jej w wytycznych, że ma się uśmiechać. Wreszcie powiedziała:

- Może posłuchajmy wpierw, co Moti ma ci do powiedzenia?

Detektyw, który z wyraźnym wstrętem patrzył, jak jego koleżanka cacka się z przesłuchiwanym, usiadł z łoskotem po drugiej stronie stołu, wyciągnął przed siebie nogi i zatknął kciuki za pas.

- No to jazda - ryknął. - Gadaj: dostawcy, dilerzy. Ilości, rodzaje towaru, nazwiska.

To mają być informacje, a nie pieprzenie w bambus, zrozumiano?

Asaf spojrział na kobietę. Nic nie rozumiał.

- Odpowiedz mu, proszę - powiedziała policjantka, po czym zapaliła papierosa i przygotowała się, by zaprotokołować jego słowa.

138

- Ale co ja zrobiłem? - spytał Asaf i zawstydził się, bo l'eg° §ł°s zabrzmiał jak miauknięcie.

_ Posłuchaj, skur... - zaczął detektyw, lecz kobieta chrząknęła, a on oblizał szybko górną wargę i zacisnął usta. _ posłuchaj uważnie - odezwał się znowu po chwili. -

Robię w tym fachu już siedem lat i jestem znany ze swojej fotograficznej pamięci. A tego twojego śmierdzącego kundla widziałem nie rok, ani dwa, tylko niecały miesiąc temu, tak jak teraz ciebie widzę. Była z nim dziewczyna, jakieś piętnaście, szesnaście lat. Kręcone włosy, czarne, długie, wzrost koło metra sześćdziesiąt, buźka całkiem ładna. - Detektyw zwracał się teraz głównie do policjantki, starał się zapewne zaimponować jej swoją pamięcią. - I już bym ją zgarnął, akurat jak robiła interesy z tym karłem na placu Syjońskim, gdyby nie było z nią tego pierdo...

Chrząknięcie, oblizanie warg. Głęboki oddech.

- Teraz się dobrze przypatrz. - Podwinął nogawkę, odsłaniając umięśnioną, włochatą łydkę, na której widać było ślady ugryzienia, szwów i jodyny. - Aż do kości. Dziesięć zastrzyków już dostałem przez tego jeba... śmierdzącego kundla.

Dinka zaprotestowała szczeknięciem.

- Cicho bądź, śmierdzielu - rzucił w jej stronę detektyw.

- Ale co ja zrobiłem? - Asaf powtórzył pytanie. Nagle rozkojarzył się zupełnie: metr sześćdziesiąt? To znaczy, sięga mu mniej więcej do ramienia. I czarne włosy, i loki, i ładna buzia.

- Co ja zrobiłem? - przedrzeźniał go detektyw. - Zaraz się dowiesz, co zrobiłeś: co

zrobiłeś ty, ona i ten pies. Wszyscy razem! - Detektyw złożył razem trzy palce. - Co, wszystkich macie za idiotów? Gadaj zaraz, jak ona się

139

nazywa! - Z całej siły uderzył obiema rękami w stół, tak że Asaf aż podskoczył ze strachu.

- Nie wiem.

- Nie wiesz, tak? - Detektyw wstał i zaczął chodzić wokół Asafa, który nerwowo wodził za nim wzrokiem. - Ot tak, szedłeś sobie ulicą, zobaczyłeś takiego wielkiego i drogiego psa, a on po prostu zgodził się pójść z tobą na spacer? - Nagle przypadł do Asafa, chwycił go za koszulę i mocno potrząsnął. - Gadaj wreszcie, dup...

- Moti! - krzyknęła kobieta, a wtedy detektyw puścił, obrzucił ją rozżalonym spojrzeniem, po czym umilkł, chociaż nadal kipiała w nim złość. - Posuchaj, yyy... Asaf- p0-wiedziała kobieta, modulując głos. -Jeśli naprawdę nic nie zrobiłeś, to czemu uciekałeś?

- Nie uciekałem. Nawet nie wiedziałem, że on mnie goni.

Detektyw, Moti, zaśmiał się jadowicie.

- Gonię go przez pół miasta, a ten mi teraz mówi „Nie wiedziałem”.

- W takim razie - policjantka mówiła podniesionym głosem, żeby przebić się przez gulgotanie detektywa -może opowiesz nam dokładnie, jak dostałeś tego psa od dziewczyny? Co ty na to, Asaf?

- Nie dostałem go od niej. W ogóle jej nie znam! -Asaf krzyknął tak przejmująco, że policjantka stuliła wargi, zdradzając pierwsze wątpliwości.

- Ale jak to możliwe? - spytała znowu. - Sam powiedz. Sprawiasz wrażenie rozsądnego chłopca. Naprawdę mamy ci uwierzyć, że zwyczajnie podszedł do ciebie taki pies i pozwolił ci się wziąć na smycz? Mnie by też pozwolił? Motiemu też? -

Wysunęła lekko rękę w stronę Dinki, a ta

140

zawarczała na nią ze złością. - Widzisz? Lepiej powiedz prawdę.

Prawda! Dlaczego wcześniej na to nie wpadł? Przez strach, nerwy i upokorzenie

kajdankami. A przede wszystkim - przez uczucie, znane mu z innych sytuacji, że nawet jeśli rzeczywiście jest niewinny, to i tak spotyka go sprawa-wiedliwa kara za coś, nie do końca wiedział, co, ale coś kiedyś musiał przeskrobać, a teraz nadszedł czas na karę...

- W kieszeni mojej koszuli... - Głos uwiązał mu w gardle, więc zaczął jeszcze raz: - W kieszeni mojej koszuli jest kartka. Niech pani obejrzy.

Kobieta spojrzała na detektywa. Ten kiwnął do niej głową. Sięgnęła do kieszeni i znalazła świstek papieru.

- Co to jest? - Kobieta przeczytała raz i drugi. Podała kartkę również detektywowi.

-Co to jest?!

- To druk siedemdziesiąt sześć - odparł Asaf, czerpiąc siłę z wypowiedzianych słów. -

W czasie wakacji pracuję w urzędzie miejskim. Pies został znaleziony na ulicy, a ja mam odszukać jego właściciela. - Na szczęście powiedział „właściciela”, nie zdradzając, że wie, jak ma na imię kędzierzawy właściciel suki.

Kobieta odwróciła się i spojrzała na Motiego. Ten nerwowo zagryzał wargi.

- Dzwonź zaraz do urzędu miejskiego - poleciła. -Z tego telefonu!

Asaf podał im numer i powiedział, żeby poprosili Awrama Danocha. Detektyw agresywnymi ruchami wybrał numer. Zapadła cisza. Asaf usłyszał dochodzący ze słuchawki ostry głos Danocha.

Detektyw powiedział, że dzwoni z komendy policji w Jerozolimie i że złapał Asafa, kiedy kręcił się z psem po

141

centrum miasta. Danoch zaśmiał się swoim gorzkim, cieńkim śmiechem, po czym powiedział kilka słów, których Asaf nie dosłyszał. Moti wysłuchał uważnie, po czym wyduszył z siebie „Dziękuję”, rozłączył się i z zaciśniętymi ze złości ustami spojrzał w ścianę.

- No, na co czekasz? - fuknęła policjantka. - Rozkuj go wreszcie!

Detektyw brutalnie odwrócił Asafa do tyłu. Chłopak usłyszał wymarzony dźwięk: trzask otwieranych kajdanków.

Rozmasował sobie nadgarstki, tak jak się robi na filmach (teraz już wiedział,

dlaczego).

- Chwileczkę - powiedział Moti, starając się nadać swoim słowom bardzo zasadniczy ton, żeby nie okazać poczucia klęski.-Może natknąłeś się już na kogoś, kto ją zna?

- Nie -Asaf skłamał bez mrugnięcia okiem. Obojętnie, co takiego zrobiła Tamar, nie był skłonny wydać jej w ręce detektywa.

- Posłuchaj, naprawdę bardzo przepraszamy za nieporozumienie - powiedziała policjantka, nie patrząc na niego. - Może chcesz się czegoś napić w bufecie? A może chcesz do kogoś zadzwonić? Do rodziców?

- Nie. Yyy... Tak. Chcę do kogoś zadzwonić.

- Bardzo proszę - odparła z uśmiechem, tym razem, dla odmiany, szczerym. - Przez dziewiątkę.

Asaf wybrał numer. Detektyw i policjantka rozmawiali szeptem na boku. Dinka podeszła i stanęła koło Asafa, muskając pyskiem jego nogę. Wolną ręką pogładził ją po głowie.

Po drugiej stronie ktoś odebrał telefon. Ze słuchawki rozległ się hałas.

- Halo - ktoś krzyknął, a Asaf zawołał:

- Nosorożec?

142

Detektyw wyszedł z pokoju. Policjantka patrzyła ścianę, udając, że nie słucha.

- Kto tam? Asaf? To ty? - wołał Nosorożec, próbując je przebić przez huk maszyn. - Co tam u ciebie, chłopie?

„i właśnie wtedy, kiedy Nosorożec powiedział do niego chłopie", Asaf nagle poczuł, że mięknie. - Hej, Asaf, nie słychać! Asaf? Jesteś tam? - Nosorożec wymawiał jego imię niepoprawnie, z akcentem na pierwszej sylabie, co wyprowadziłoby Reli z równowagi.

- Nosorożec, ja... Jestem trochę... Stało się coś... Chciałbym z tobą porozmawiać.

- Poczekaj chwilę.

Asaf usłyszał, jak Nosorożec krzyczy do swojego pracownika, Ramiego, żeby na chwilę wyłączył szlifierki.

- Gdzie ty jesteś? - spytał Nosorożec wśród niespodziewanej ciszy.

- Na poli... Mniejsza o to. Muszę się z tobą zobaczyć. Przyjdiesz do Simy?
- Teraz? Jestem już po obiedzie. - Ja jeszcze nie jadłem.
- Czekaj, zobaczę. - Asaf słyszał, jak wydaje polecenia pracownikom. Z tego, co udało mu się wyłapać, zrozumiał, że spada Nosorożcowi na głowę w dniu, kiedy ten ma nawał roboty, bo akurat wykonują odlewy. Uśmiechnął się: jedna głowa Herzla, kobieta na łabędziu, trzech wielkich Buddów i sześć statuetek, które mają być rozdane na uroczystości wręczania izraelskich Oscarów. - Okej - Nosorożec wrócił do rozmowy. - Będę tam za piętnaście minut. Nic się nie martw. I nie rób głupstw, już jadę. - Odłożył słuchawkę.

Asaf poczuł, jak wielki kamień zaczyna powoli spadać niu z serca.

143

_ Kolega? - spytała po przyjacielsku policjantka. _ Tak... Niezupełnie. Chłopak mojej siostry. Nieważne Nie miał zamiaru opowiadać jej całej tej pogmatwanej historii- Kiedy odprowadzała go na zewnątrz, czuł się Zu. pełnie inaczej, przechodząc obok szeregowych policjantów i oficerów już jako człowiek wolny i oczyszczony z wszelkich zarzutów.

_ Proszę mi powiedzieć - spytał Asaf przed rozstaniem z policjantką, kiedy już byli na dworze. - Ten detektyw mówił, że dziewczyna coś kupowała. Tylko tak, z ciekawości - co to było?

policjantka przycisnęła do piersi kartonową teczkę, którą trzymała w rękach. Rozejrzała się na boki. Milczała. Teraz, kiedy był już wolny, zauważył, że jest naprawdę piękna- Ona niczemu nie jest winna - pomyślał. - Tylko wypełnia swoje obowiązki.

- Nie sądzę, żebyśmy mogli o tym rozmawiać - odparła w końcu z przeproszającym uśmiechem.

- To dla mnie ważne - powiedział Asaf cicho, ale stanowczo. - Żebym chociaż wiedział, o co on mnie podejrzewał-

Kobieta utkwiała wzrok w czubkach swoich butów. - Chodzi o narkotyki - odparła wreszcie. - Kupowała narkotyki od kogoś w centrum miasta. Zdaje się, że całkiem sporo. Ale naprawdę, ode mnie nic nie słyszałeś, w porządku?

Odwróciła się i poszła.

Asaf minął budkę strażnika i ruszył ulicą Jafską. Szedł powoli i tak samo powoli snuł swoje myśli. Wszystko zastygło nagle w bezruchu. Cała poranna bieganina i historia z Teodorą, i chwile wzruszenia, i nikłe nadzieje, jakie gdzieś w nim się obudziły, wszystkie jego głupie

144

ludzenia. Czuł się, jakby dostał pięścią w brzuch. Czasami zdarzało mu się coś podobnego, kiedy fotografował: robił zdjęcie komuś siedzącemu na ławce, ale nie widział, że za nim, w dużej odległości, stoi słup elektryczny. I dopiero po wywołaniu dostrzegał ten słup wystający człowiekowi z głowy.

I to jaki. Dinka podeszła bliżej i ostrożnie otarła się o jego udo. Miał wrażenie, że wstyd jej za to, że była tam wtedy z Tamar.

- Dinka - szepnął, tak żeby tylko ona słyszała. - Jaki to w ogóle ma z nią związek... Czemu ona się wplątała w...

Słowa utknęły mu w gardle. Z całej siły kopnął puszkę po piwie. U niego w klasie wielu już paliło papierosy, a pięciu złapano, jak przypalali bongo w ubikacji. I przez cały czas po korytarzach chodziły słuchy o innych, których nie przyłapano; byli też tacy, co wracali z imprez trance w lesie Ben Szemen xzy na plaży Nicanim i zaczynali używać nowych słów, czasami wręcz odnosił wrażenie, że wszyscy w jego otoczeniu mieli już z tym mniej lub więcej do czynienia. Może nawet Roi, bo papierosy palił już swobodnie od dwóch lat. Asaf zawsze odpychał od siebie te plotki, nie chciał nic o tym wiedzieć, nie umiał pogodzić się z myślą, że takie rzeczy dzieją się z ludźmi, których zna od dawna, niekiedy wręcz od przedszkola. A teraz z Tamar, którą też zna, trochę już ją zna...

- Nie, wytłumacz mi to tak, żebym zrozumiał. - Idąc, mówił półgłosem do Dinki, która wydawała się przyzwyczajona do takich rozmów na ulicy. - Jak to możliwe, że ktoś taki jak ona bierze narkotyki, i to w dużych ilościach? Ale co ty właściwie o niej wiesz? - odpowiedział sam sobie. - Dopiero co ją poznałeś i od razu, nie wiadomo skąd, nabrałeś pewności, że ona jest dokładnie taka jak ty i, jak

zwykle, natychmiast zaczął sobie wymyślać historyjkę o sobie i o niej, tak czy nie? Dinka szła z łbem przy ziemi i spuszczonego ogonem. Kiedy tak szli chodnikiem, wyglądali jak dwoje żałobników Łączący ich sznurek włókł się po ziemi. Asaf otworzył dłoń i pozwolił mu opaść zupełnie, jednak Dinka zatrzymała się, jakby przestraszona i zdumiona tym, co zrobił, zamiarem' jaki dało się z tego wyczytać. Asaf schylił się i podniósł sznurek z powrotem.

Ocieężały i podłamani szedł w stronę bazaru, do restauracji „Sima”. Ostatkiem woli przywoływał obraz Tamar, która stoi na beczce i opowiada bajkę O olbrzymie i jego ogrodzie. A im bardziej chciał ją zobaczyć, tym bardziej czuł, że ona oddała się od niego, że nie jest w stanie jej zrozumieć i że nie chce mieć z nią do czynienia.

Lecz jakaś część jego serca ścisnęła się na tę myśl. Być może ze względu na spojrzenie Dinki, kiedy wypuścił z ręki sznurek. Może czuł, że jeśli teraz wycofa się z całej sprawy - to znaczy wróci do urzędu miejskiego, przyprowadzi z powrotem Dinkę i powie Danochowi, że starał się, ale zdrowo oberwał, a nawet został aresztowany i ma już dość tego wszystkiego -jeśli tak zrobi, to nie tylko nigdy się nie przekona, jak wygląda ta cała Tamar, ale na dobrą sprawę, można powiedzieć, zostawi ją na pastwę losu?

W ciągu jej drugiego dnia na ulicy też nic się nie wydarzyło. Trzy razy śpiewała na deptaku, raz przy wejściu do biurowca „Klal” i jeszcze dwa razy na placu Syjońskim, który w świetle dnia był całkiem inny, nieomal urzekający. Z szarej masy ludzkiej zaczęły się już wyłaniać konkretne twarze: właściciele sklepów, których już rozpoznawała,

sprzedawca soków owocowych, który posłał jej duży kubek soku z mango i brzoskwini i powiedział, że kiedy ona śpiewa, jeś° owoce staJ3 S'C bardziej soczyste. Patrolujące tę okolicę żołnierki z oddziałów policyjnych już się do niej uśmiechały, a Rosjanin z akordeonem podszedł do niej i opowiedział jej historię swojego życia, włącznie z konserwatorium, i błagał, żeby zanim zacznie śpiewać, zawsze poczekała, aż on skończy swój utwór, bo odbiera mu cały

zarobek.

Po dwunastu występach wiedziała już nie tylko, jak śpiewać, ale też co. Piosenka / Am Sixteen, Going on Seven-teen z Dźwięków muzyki zawsze wydawała się jej cukierkowa i cikliwa, ale okazało się, że tutaj jest bardzo lubiana, wywołuje gromkie oklaski i przynosi sporo pieniędzy. Podobnie działa stara dobra 'I'm leavin' on ajetplane Petera, Paula i Mary. Powtarzała je zatem co jakiś czas, a niekiedy, dla urozmaicenia i dla własnej przyjemności, śpiewała też Małego Księcia z drugiej kompanii albo którąś z pełnych melancholijnego ciepła piosenek Szaloma Chanocha. Natomiast kiedy odważyła się kiedyś zaśpiewać na placu przed starym budynkiem Knesetu arię Barbariny z Wesela Figara, jej numer popisowy, ludzie zaczęli się rozchodzić w połowie utworu, niektórzy śmiali jej się w twarz, a kilku chłopaków stanęło z boku i ją przedrzeźniało. Mimo to dośpiewała do końca, widząc, jak ludzie po kolei wyłączają się z publiczności, odpadają jak winogrona od kiści, co za każdym razem wywoływało w niej lekkie ukłucie urazy - jakby nie była dla nich dość dobra. Wdała się wówczas w krótką sprzeczkę sama ze sobą (a właściwie z Idanem) o to, czy powinna pozostać wierna sobie za wszelką cenę, czy też dostosować się do gustu publiczności - „ulec motłochowi”, poprawił Idan. Ostatecznie doszła do wniosku, że ma przed

147

sobą określony cel i ze względu na to może się nieco nagiąć, być bardziej elastyczna (Idan bębnił po stole cienkim/ bladymi palcami, spoglądał zamyślony w górę i nic ni mówił), a nawet cieszyć się tym - co w tym złego?

Kolejną noc przespalała w schronie. Tym razem omal się nie skusiła na składzik Lei, który w jej wyobraźni stawał się pałacem pełnym przepychu, z wodospadami, w których można się wykąpać, i pościelą z najlepszego jedwabiu Liczyła się jednak z prawdopodobieństwem, wprawdzie nikłym, ale i tak większym niż wczoraj, że łowca już ją tropi, on sam albo któryś z jego ludzi, więc całkiem możliwe, że widzieli tego ranka, jak śpiewa, i donieśli o tym szefowi, ten zaś kazał im wrócić i wybadać, kim ona właściwie jest, w jakich kręgach się obraca, z kim rozmawia i czy przypadkiem nie jest nasłana przez policję.

Ze względu na tę niejasną obawę również tego wieczoru wróciła do cuchnącego schronu i do karaluchów, biegających tam przez całą noc. Leżała, rozmyślając, z otwartymi oczami. Wędrowała od miasta do miasta po mapie Włoch. Policzyła dni na palcach i upewniła się, że jej dzień wypada jutro. Na ścianach i podłodze wokół siebie słyszała chrobot maleńkich nóżek i ze wszystkich sił walczyła z gwałtownie wzbierającym uczuciem litości nad sobą. Są takie sytuacje w życiu, kiedy każdy jest zdany sam na siebie - przypomniała sobie rozgoryczona. Do samego świtu nie udało jej się zmrużyć oka.

Zostawisz ją na pastwę losu?! - ryknął Nosorożec na całe gardło. - Co to niby znaczy „zostawisz ją”? Przecież w ogóle jej nie znasz!

- No, trochę już ją znam..,

148

Asaf utkwiał spojrzenie w talerzu z nadziewaną pa-кд żeby Nosorożec nie dostrzegł, jak nagle zmienił się na twarzy.

_ Nie wierzę - odparł Nosorożec. - Rodzice zostawiają C'C na dziesięć minut, a ty już zaczynasz latać za spódniczkami?

_ Wcale nie!

Ludzie przy sąsiednim stoliku przestali na chwilę spierać się o politykę, żeby na nich popatrzeć.

- Wcale nie - powtórzył szeptem poirytowany Asaf. Nosorożec rozparł się w krześle, przypatrując się Asafowi z nowym podziwem.

- Niedługo zaczniesz się golić - orzekł.

- E tam - Asaf przesunął dłonią po policzku, na którym wyczuł delikatny meszek - mam jeszcze czas.

- A co robimy z tą sprawą? - spytał Nosorożec i zaczął zdejmować szaszłyki z patyka. Asaf popatrzył na niego i przyszła mu na myśl teoria Reli, że w czasie posiłku nie należy napępniać ust więcej niż sześć razy, bo po szóstym żołądek ma dosyć, a każdy dodatkowy kęs jest już niepotrzebny i wynika z łakomstwa. Tymczasem

Nosorożcowi, jak na drugi obiad, szło całkiem nieźle.

- Pochodzę jeszcze z jej suką - oświadczył Asaf -i może w końcu ją znajdę.

- Dziewczyne, która bierze narkotyki, Asafi? - Nosorożec mówił z wysiłkiem. Każde słowo wypowiadał tak, jakby zrzucał z grzbietu worek cementu.

-Wiem, ale...

- To nie jest dziewczyna, która od czasu do czasu lubi sobie przyhajcować...

-Tak, ale...

149

- Kupuje u dilerka na mieście. Piguły, powiedziałaś?

- Nie wiem, co. Skąd mam wiedzieć?

- A co zamierzasz zrobić, jak już ją znajdziesz? Po. wiesz jej, żeby z tym skończyła, a ona to zaraz zrobi?

-Jeszcze o tym nie myślałem! - odparł Asaf wymijająco. - Chcę jej tylko oddać psa.

To część mojej pracy, no nie? - starał się przybrać oficjalną minę, ale bez powodzenia. Dinka leżała na podłodze koło nich z wywieszonym językiem, a jej oczy w napięciu wędrowały od jednego do drugiego.

- Słuchaj - Nosorożec pochylił się nad stołem i podkreślał każde słowo, wymachując pitą. - U mnie w warsztacie pracuje dwóch kolesi, którzy z tego wyszli. Wiesz, co to znaczy „wyjść z tego”? Próbowali już wcześniej co najmniej trzy razy, a potem znowu wracali. Za każdym razem wpadali w tarapaty i zupełnie się staczali, za każdym razem odwyk, detoks, korowody z policją i urzędami i do teraz, aż do tej chwili nie mam stu procent pewności, że znowu w to nie wdepną.

Ćwiartka pity falowała Asafowi przed oczami. Mocno rozmasował sobie skronie.

Miał gorączkę. Nosorożec ma rację. Trzeba się natychmiast wycofać z całej tej historii... Tylko ta dziewczyna na beczce. Jak można ją zostawić?

- Posłuchaj mnie, Asaf, zapomnij o niej, przestań o niej marzyć. Nie wiesz, co trzeba przejść, zanim się człowiek na dobre odzwyczai. - Nosorożec odłożył pitę i widelec i zatarł masywne dłonie. -Ja z całym tym bałaganem, narkotyki, nie narkotyki, miałem do czynienia od dzieciństwa. U nas w dzielnicy połowa ludzi grzała nałogowo.

Wiesz, co to znaczy być na głodzie?

- Coś mi się obilo o uszy.

150

Wszystko, o czym opowiadał Nosorożec, działało na Asafa przygnębiająco, dziwny był też retoryczny zapal, jaki go nagle ogarnal. Zazwyczaj był bardzo malomowny. Nosorożec rozpiął pasek, zeby zrobic miejsce na jedzenie i na glębszy oddech.

- Glod to jest to, co sie dzieje w pierwszych dniach po odstawieniu, sluchasz mnie? Mowie o pierwszych czterech, pieciu dniach, kiedy ciało wyje z bólu, bo nie dostaje swojej dzialki. - Przechylił sie jeszcze bardziej do przodu i mowil do Asafa cicho, z przymrużonymi oczami. - To jest tak, jakby przez miesiac ktoś cie morzył głodem i nie dawal pic. Po prostu rozrywa czlowieka od środka. Nie widziałeś, jak czlowiek sie robi szary, poci sie, ręce i nogi mu sie uginaja...

Przez cala przemowe Nosorożca Asaf kręcil głową, jakby próbował odepchnac od siebie jego słowa.

- Wiec jak? Dajemy sobie spokój?

Asaf pil colę dlugimi łykami. Odstawil szklanke. Nie patrzyl na Nosorożca, w zaden sposob nie umial wykrztusic z siebie słowa.

Nosorożec przygladal mu sie ze zdziwieniem. Odbilo mu sie, po czym powiedzial, wypuscilwszy powietrze:

- Rozumiem. No to mamy maly problem.

Nadgryzil kawalek miesa i odlozyl je z powrotem. W jego dloniach widelec wygladal tak, jakby byl przeznaczony dla malych dzieci. Mama Asafa, specjalistka od palcow, mawia, ze Nosorożec ma najbardziej męskie palce, jakie w zyciu widziala.

- A ty sam - Asaf odwazyl sie spytac - nigdy nie brales narkotykow?

- Nigdy w zyciu. - Nosorożec opadl na oparcie krzesla, az jeknelo. - Niewiele brakowalo, ale jednak nie. Bylem uzalezniony od czego innego, zreszta wiesz.

151

I opowiedzial o tym Asafowi po raz nie wiadomo który, ale bylo w tej opowieści cos znajomego i kojacego jak to od szóstego roku zycia chodzil z ojcem co szabat do synagogi, skad natychmiast uciekal, wdrapywal sie na drzewo koło stadionu YMCA i siedzial na nim od dziewiatej az do poczatku meczu o wpol do trzeciej.

- Oglądałem mecz, wracałem do domu, ojciec łoł mój skórę, a ja nie mogłem się doczekać następnego szabat.

Asaf wyobraził go sobie jako małego rozgorączkowanego chłopca wśród gałęzi drzewa i uśmiechnął się.

- Kumas? - zaśmiał się Nosorożec. - Dzisiaj myślę, że interesował mnie nie tyle sam mecz, ile to czekanie. Siedzenie pięć godzin ze świadomością, że już niedługo się zacznie, że to już lada chwila. To było dla mnie najważniejsze, to był mój narkotyk. A kiedy mecz się już skończył, następowała kompletna pustka, aż do następnego tygodnia. Ale jak zeszliśmy na ten temat?

Asaf uśmiechnął się.

- Tak się jakoś złożyło.

- Dobra, wystarczy - orzekł Nosorożec, a Asaf odniósł Wrażenie, że to tylko zmiana taktyki: - Ależ na ciebie napadłem. Jakby ci było mało tego drania od kajdanków. Jedli jeszcze przez kilka minut w zupełnym milczeniu, Nosorożec zjadł sporo i popił odrobiną wody. Znowu zjadł i znowu popił. Asaf wykończył wszystko, co miał na talerzu. Z wolna ochłonęli po gorączkowej dyskusji. Później spojrzeli po sobie najedzeni i uśmiechnęli się. Zazwyczaj lepiej osiąkali porozumienie w milczeniu.

- A co u starych? - spytał Nosorożec.

Asaf powiedział, że wczoraj jeszcze nie dzwonili, ale na pewno zrobią to dzisiaj.

- Ciekawe, czy twoja mama poradziła sobie z...

152

- ...z drzwiami do ubikacji w samolocie? - dokończył Asaf i obaj się roześmiali.

Ćwiczyła w domu na klamce od zmywarki do naczyń. Nosorożec powiedział jej, że działają prawie na tej samej zasadzie, a jej głęboka obawa o te drzwi stała się rodzinną anegdotą.

- Więc mówisz, że jeszcze nie miałeś od nich wieści - upewnił się Nosorożec, starając się coś odczytać z oczu

Asafa.

- Nie, naprawdę nie. -Aha.

Nosorożcowi nie podobał się pomysł wyjazdu. Podejrzewał, że rodzice Asafa nie

mówią mu całej prawdy.

- A co u Reli? - spytał, jak gdyby nigdy nic.

- Chyba w porządku. - Asaf żałował, że już skończył jeść i nie miał przed sobą pełnego talerza, w którym mógłby teraz utkwić spojrzenie.

- Wraca z nimi czy nie wraca?

- Oby. Nie wiem. Być może.

Nosorożec wpatrywał się w jego twarz zupełnie jak detektyw, szukał jakiegoś znaku, lecz Asaf nie wiedział nic, z czym mógłby się przed nim zdradzić. Sam był głęboko przekonany, że za tym wyjazdem kryje się jakiś sekret, który ukrywają przed nim ze względu na jego przyjaźń z Nosorożcem. Zbyt łatwo im przyszło nie zabierać go ze sobą, poza tym przekupili go obietnicą canona.

- Bo ja - Nosorożec zapalił papierosa i zaciągnął się z wyraźną przyjemnością - ja przez cały czas mam poczucie...

- Nie, nie - pośpiesznie odparł Asaf. - Zobacysz, że wszystko się ułoży. - Pamiętał, że Nosorożec na długi czas rzucił palenie, bo tego domagała się Reli, wiedział też, że jego powrót do palenia nie wróży nic dobrego. - Nie

153

przejmuj się. Pojadą, porozmawiają z nią, a ona do nas wróci.

Słowa „do nas” odnosiły się oczywiście również do Nosorożca. Głównie do niego.

- Ona tam sobie kogoś znalazła - powiedział Nosorożec głębokim basem, po czym puścił w górę kłęb dymu. - Jakiegoś amerykańskiego gogusia. Już tam zostanie, mówię ci. Czuję to w kościach.

- Niemożliwe - odparł Asaf.

- Tylko sam siebie oszukuję. - Nosorożec agresywnie zdusił papierosa, chociaż wypalił zaledwie ćwierć. Z tego, jak się rozgadał przy tym posiłku, Asaf domyślił się, że jest w wyjątkowym nastroju. Czuł się nieco zakłopotany, patrząc, jak Nosorożec, przy swoich gabarytach i sile, tak się odsłania ze swoją bezradnością. Nagle Asaf zrozumiał, że on zupełnie nie umie nad tym zapanować. - Zobacz, ile już lat żyję złudzeniami - powiedział Nosorożec bardzo powoli, delektując się bólem, jaki sam sobie zadawał. -Widzisz, co to jest miłość?

Obaj zamilkli wystraszeni. Asaf czuł, jak zapiekło go słowo, które Nosorożec z siebie wyrzucił, chyba dlatego, że jak dotąd nigdy, ani razu nie padło w ich rozmowach. I nagle się zjawilo, zatrzepotało jak żywe stworzenie, pisklę, które wypadło spod skrzydeł Nosorożca i ktoś teraz powinien je podnieść.

- Ta dziewczyna - wymamrotał Asaf bez zastanowienia - ta od suki, ma przyjaciółkę, która jest mniszką i już pięćdziesiąt lat... - Zamilkł, bo poczuł, że to trochę niedelikatne z jego strony opowiadać Nosorożcowi o swoich sprawach, podczas gdy ten zadręcza się na jego oczach. - Zobaczysz, że wróci - powiedział nienaturalnie słabo, bo właściwie co innego mógł zrobić, jeśli nie powtarzać

154

w kółko te słowa jak litanie albo zaklęcie. - Gdzie ona znajcie takiego drugiego?

Rodzice też to mówią, przecież

wiesz.

- Tak, gdyby to zależało wyłącznie od twoich rodziców... - Nosorożec pokręcił wolno głową. Potem się przeciągnął. Popatrzył w górę, na boki, westchnął. - Patrz, twoja suka zasnęła - powiedział.

Rzeczywiście, Dinka spała. W czasie posiłku Asaf ciągle podrzucał jej kawałki szaszłyka i frytki.

- Zwykle nie wpuszczamy psów - odezwał się kelner, Chezi, do Nosorożca - ale dla pana Cachiego...

Asaf i Nosorożec siedzieli i dalej rozmawiali o różnych sprawach, oddalając się nieco od tego, co zaszło między nimi wcześniej. Nosorożec wspomniał o nowej figurze, którą dzisiaj odlewa dla pewnego sławnego, ale stukniętego rzeźbiarza, który pokłócił się już ze wszystkimi odlewniami w kraju, z Nosorożcem też się nieustannie kłóci, czasami wręcz posuwa się do rękoczynów, zresztą z każdym rzeźbiarzem ta sama historia. Ale kiedy przychodzi do odlewni rok później i mówi, z takim krzywym uśmiechem, że ma nową robotę - Nosorożec nie potrafi mu odmówić.

- Tak to już jest z artystami - zaśmiał się Nosorożec. - Nie da się przemówić im do rozumu, bo oni sami tego nie potrafią. Dla nich nie ma Boga. Rozkazy przyjmują tylko z wewnątrz. No i co? Czy tu się da dyskutować? - Jego śmiech szybko zgasł,

być może Nosorożec przypomniał sobie, że jubilerstwo też jest sztuką.

Goście przy sąsiednim stoliku wstali.

- Po turecku, panie Cachi? - spytał kelner i Nosorożec zamówił dla nich obu.

- Nie - powiedział, kiedy dotarły małe filiżanki. - Jeszcze się nie nauczyłeś. Tak się to pije... - ...i ze świstem wessał całą kawę.

155

Jego wargi, mięsiste i niemal fioletowe, ułożyły się ja[^] do pocałunku. Asaf próbował to zrobić tak samo, ale tylko wciągnął powietrze. Nosorożec uśmiechnął się. Asaf patrzył na niego uważnie. „To uśmiech, któremu żadna kobieta na świecie się nie oprze” - orzekła kiedyś mama, złoścąc się, że ta jedna, durna dziewczyna, Reli, pozostaje wobec niego obojętna. Kamień, kamień, serce z kamienia.

- To co robimy z tą sprawą? - spytał Nosorożec, wskazując na psa. - Nie chcesz jej sobie odpuścić, co?

- Pokręcę się jeszcze dzisiaj do wieczora i zobaczymy.

- I jeszcze jutro? - uśmiechnął się Nosorożec. - Azją w końcu znajdziesz?

Asaf wzruszył ramionami. Nosorożec przyglądał mu się, wciągając policzki. W czasie wojny w zatoce kupił puzzle „Szwajcarskie Alpy” z dziesięciu tysięcy kawałków i przyniósł je Reli i jej rodzicom, żeby rozładować nieco wieczorne napięcie między nadawanymi w radiu komunikatami „Uwaga, żmija”, które oznaczały iracki atak rakietowy. Reli złamała się już pierwszego wieczoru. Dwa dni później poddała się mama Asafa, która powiedziała, że nawet rakiety Saddama są lepsze niż te szwajcarskie tortury. Ojciec wytrzymał jeszcze tydzień, a Nosorożec miesiąc, dla zasady, a przerwał dopiero, kiedy zdawało mu się już, że dostrzega u siebie pierwsze objawy daltonizmu, zwłaszcza co do różnych odcieni błękitu. Asaf, który nie miał wtedy nawet ośmiu lat, sam dokończył układankę tydzień po zakończeniu wojny.

- No to posłuchaj. - Nosorożec namyślił się. Bawił się wojskowym łańcuszkiem na szyi. Brzegi podkoszulka miał zazielenione od śniedzi. - Wiesz, że nie podoba mi się, jak się tak snujesz po mieście. A twoi rodzice obedną mnie 1 skóry, jeśli ci chociaż włos spadnie z głowy. Mam rację?

_ Masz. - Asaf wiedział, że Nosorożec też by sobie nie wybaczył, gdyby coś mu się stało.

- Dotychczas miałeś szczęście i dorwał cię tylko ten nolicjant sadysta. Następnym razem może to być ktoś inny.

- Ale ja muszę jej szukać - Asaf powtórzył z uporem, a w duchu pomyślał: „Muszę ją znaleźć”.

- Dobra, zrobimy tak. - Z poplamionego kombinezonu Nosorożec wyciągnął gruby czerwony flamaster do oznaczania odlewów. - Zapisuję tu numer komórki i numery do domu i do pracy.

- Przecież je znam.

- Żeby były wszystkie w jednym miejscu. Posłuchaj mnie uważnie, żebyś mi potem nie mówił „nie wiedziałem”. W razie najmniejszego, ale to najmniejszego problemu, nie wiem, co... Ktoś się do ciebie przyczepi, będzie łazić za tobą, choćby przeszedł pół metra, albo po prostu nie spodoba ci się czyjaś gęba, zaraz idziesz do najbliższej budki. Obiecujesz?

Asaf zrobił minę w stylu „czy ja jestem małym dzieckiem?”, ale w gruncie rzeczy nie miał nic przeciwko temu.

- Masz kartę?

- Rodzice zostawili mi pięć. Siedem. -Ale czy masz przy sobie chociaż jedną? -W domu.

- Bierz. Nie oszczędzaj na mnie. Dobra, kto płaci za obiad?

- Robimy jak zwykle, co?

Zrobili sobie trochę miejsca na stole. Ustawili ramiona naprzeciw siebie. Asaf był silny i codziennie robił -w dwóch seriach - sto dwadzieścia pompek i sto czter-ozieści „brzuszków”. Teraz jednak przez dłuższą chwilę zgrzytał zębami i jęczał, i mimo wszystko nie miał naj-mn'ejszych szans z Nosorożcem.

- Ale to się staje coraz trudniejsze - powiedział n0 rycersku Nosorożec i zapłacił kelnerowi.

Wstali i zebrali się do wyjścia. Dinka szła między nimi a Asaf cieszył się skrycie, widząc ich troje razem: Nosorożec, on i suka. Kiedy wyszli, Nosorożec przyklęknął na jedno kolano, tak po prostu, na brudnym chodniku, i spój. rżał jej głęboko w oczy. Popatrzyła na niego i zaraz odwróciła wzrok, jakby to było dla niej za blisko. Zbyt wiele wrażeń.

- Jeśli nie znajdziesz dziewczyny, przyprowadź ją do mnie. Jest mądra. U mnie na podwórzu będzie miała kolegów.

-Ale ten druk. I mandat...

- Zapłacę. A co, wolisz, żeby weterynarz z urzędu miejskiego jej coś wstrzyknął? Dinka polizała go po twarzy.

- Hej, hej - zaśmiał się. - Dopiero co się poznaliśmy. Wsiadł na motocykl.

- Dokąd teraz idziesz? - Kask na chwilę zdeformował mu twarz.

- Tam, dokąd ona mnie zaprowadzi. Nosorożec popatrzył na Asafa i zaśmiał się tubalnie.

- Co ja ci będę mówił, Asafi. Usłyszeć z twoich ust takie zdanie... Ta suka świetnie sobie radzi tam, gdzie rodzice i Reli nic by nie wskórali. „Dokąd ona mnie zaprowadzi"... Koniec świata!

Z rykiem zapuścił silnik motocykla, aż zadudniła cała ulica. Ruszył, wystawiając jedną nogę w bok i pomachał ręką, a po chwili już go nie było.

Nagle zostali sami we dwoje.

- Co teraz, Dinka?

Patrzyła za odjeżdżającym Nosorożcem, dopóki nie zniknął. Powęszyła. Może czekała, aż obłok spalin rozpty-

158

ie się w powietrzu. Potem odwróciła się. Stojąc na naprężonych łapach, uniosła pysk, wystawiając nos do góry. Uszy wychyliły się jej lekko do przodu w stronę czegoś, co znajdowało się poza pierścieniem budynków okalających bazar. Asaf powoli rozpoznawał już te sygnały.

- Waf! - szczeknęła Dinka, po czym zerwała się do biegu.

Trzeciego dnia Tamar, powłócząc nogami ze zmęczenia po nieprzespanej nocy, znów wyszła ze schronu na ulicę, zanim otwarto biura w budynku, w którym się ukryła. W kawiarni Dell'Arte kupiła śniadanie dla siebie i Dinki, po czym zjadły je na pustym podwórku Szkoły Eksperymentalnej. Dinka była tak zaniedbana, że aż żal było na nią patrzeć. Zniknął cały blask jej pięknej sierści, nie było śladu po bujnych złocistych falach. „Biedna Dineczko, zaciągnęłam cię tutaj bez pytania. Tylko na siebie popatrz, zaufałaś mi na ślepo. Gdybym chociaż dokładnie wiedziała, co robię i dokąd idę”. Kiedy jednak stanęła przed publicznością, wtedy jak zwykle z miejsca się rozchmurzyła.

Zaśpiewała w zaułku Lunza i publiczność nie pozwalała jej odejść, chciała jeszcze i jeszcze. Oczy jej się zaświeciły: z występu na występ coraz wyraźniej odczuwała ów wewnętrzny impuls - nie sądziła, że obudzi się w niej również tutaj, i to z taką siłą - żeby ich złapać, przykuć ich uwagę już od pierwszego dźwięku. Od razu, oczywiście, usłyszała oburzone głosy Idana i Adi: „Przecież dzieło artystyczne musi się rozwijać powoli, dojrzewać. Nie istnieje sztuka instant!” Pomyślała, że oboje nie wiedzą, o czym

159

mówią, bo tutaj nie ma złotych zyrandoli ani ścian obitych aksamitem, tutaj nikt nie będzie na nią czekał, aż „dojrzeje”, na ulicy roi się od pokus, które przyciągają przechodniów nie mniej niż ona; co dwadzieścia metrów stoi ktoś ze skrzypca, mi, z fletem albo rzucający pochodniami; a wszystkim zależy nie mniej niż jej, by zostać usłyszonym, pokazać się i spodobać; prócz nich były jeszcze setki sklepikarzy i przekupniów sprzedawców falafelu i szawarmy, ekspedientów, właścicieli straganów na bazarze i kelnerów z kawiarni, sprzedających losy i ulicznych żebraków, z których każdy wołał nieustannie bezgłośnie, rozpaczliwym szeptem: „Do mnie przyjdźcie, do mnie! Tylko do mnie!”

Również w chórze, oczywiście, dochodziło do tarć i zazdrości, była rywalizacja o lepsze solówki i za każdym razem, gdy dyrygentka powierzyła komuś partię solo, troje innych ogłaszało, że odchodzi. Jednak teraz w porównaniu do ulicy wszystko to wydało jej się dziecinną igraszka. Wczoraj, na przykład, kiedy zobaczyła, że krąg

skupiony wokół dwóch młodych Irlandek ze srebrnymi fletami był znacznie większy niż ten wokół niej, poczuła ukłucie zazdrości, znacznie bardziej przykre niż wtedy, kiedy Atalia z ich chóru dostała się do Manhattan School of Music w Nowym Jorku. Dzisiaj zaś, kiedy kłaniała się z gracją przed patrzącymi na nią ludźmi skąpanymi w świetle słońca, przed ich klaszczącymi z zapalem dłońmi, wiedziała, że chce grać według tutejszych reguł, walczyć o własną publiczność, wabić ją, chce być przebojowa, wspaniała i czuć się na ulicy jak ryba w wodzie. Pomyślała sobie, że to w gruncie rzeczy niesamowite, móc się naocznie przekonać, jak bardzo ulica jest terenem ustawicznej walki, wojny o przetrwanie, która toczy się tutaj w każdej chwili mimo pozorów radości, kolorów i pokojowego nastawienia. Wiedziała, że aby tu przetrwać, musi się

160

atyChmiast uwolnić od swojego wyrafinowanego smaku, ■ działać jak bojownik guerilli w terenie zabudowanym. Dlatego przeszła pięć długich kroków z ulicy Lunza i ustawiła się na samym środku deptaku, w duszy puszczając oko do pani Haliny, która zawsze biadoliła, że Tamar nie ma za grosz ambicji, niezbędnej każdemu artyście, że jest rozpieszczona i nie chce walczyć o swoje, unikając wszelkiego rodzaju rywalizacji. No to niech mnie pani zobaczy teraz, w samym środku wszechświata, czy uwierzyłaby pani, że to ja?

I zaśpiewała, najczystszym i najwspanialszym głosem, odkąd wyszła na ulicę, God Bless the Child Billie Holiday. Już miała zacząć drugą piosenkę, kiedy rosyjski akordeonista zagrał niespodziewanie Happy Birthday to You, najgłośniej jak potrafił, do niego zaś dołączyły irlandzkie flecistki z dolnej części ulicy i niewidomy skrzypek z zaułku Lunza, który grywał niby-cygańską muzykę, a do tego, ku jej zdumieniu, trzech Paragwajczyków o nieprzeniknionych twarzach, ze swoimi egzotycznymi, melancholijnie brzmiącymi instrumentami. Wszyscy podeszli i otoczyli ją kręgiem, aby dla niej zagrać, ona zaś stała pośrodku, z bijącym sercem, łamiąc wszelkie swoje zasady ostrożności, i uśmiechała się do zgromadzonych wokół ludzi - do wszystkich obcych twarzy, które promieniały teraz szczerą sympatią, jakby rozumiały, dlaczego Rosjanin jej się kłaniał - i prawie wcale nie dopuszczała do siebie destrukcyjnych

myśli, na przykład o tym, jak obchodziła swoje poprzednie urodziny z Idanem i Adi na szczycie wieży na górze Scopus, jak zakradli się tam w środku nocy i nie zmrużyli oka, póki nie zobaczyli wschodu słońca...

A kiedy mały koncert się skończył, nie śpiewała już więcej, tylko przeprosiła i pożegnała się z publicznością, po czym podeszła do Rosjanina i usłyszała od niego to, czego się spodziewała. Że wczoraj „przychodzi tu kobita, taka wysoka,

161

grubo ciosana, z ranami po całej twarzy. I ona daje пять пиаддесиат szekli, sztoeby my ciebie dzisiaj zagrali tą piosenk Nu, każdemu jednemu po пиаддесиат szekli do ręki, no to и nic nie pytali". Popatrzył na nią zaniepokojony.

- Co się stało, Tamaroczka, ja nie grał, jak należy?

- Grałeś wspaniale, Leonid, naprawdę świetnie. Odchodząc stamtąd, myślała, że świat mimo wszystko

jest dobry albo przynajmniej ma w sobie pewien potencjał dopóki są na nim tacy ludzie jak Lea. Zastanawiała się nad tym, jak ją opisał Leonid. Zdziwiło ją, że sama już prawie nie dostrzega tych blizn, które Lea nazywa „plisami". Pomyślała też, że ominęła ją dzisiaj przynajmniej jedna przykrość - siedzenie przy telefonie i wyczekiwanie, aż ktoś zadzwoni z życzeniami.

Rozmyślając tak, zorientowała się, że jest na placu przed domem handlowym „Ha-Maszbir". Nie lubiła występować ani nawet przebywać w tym miejscu ze względu na ruch, na przekupniów, stoliki do zbierania podpisów pod petycjami i ryk autobusów. Odwróciła się i już chciała pójść z powrotem na dół, na deptak, ale mimo wszystko przystanęła, coś ją powstrzymało, sama nie wiedziała, co. Była nerwowa i podekscytowana. Pewnie przez te urodziny- i jeszcze przez jakiś nowy, niewytłumaczalny wewnętrzny zamęt. Ruszyła do przodu, potem znów zawróciła. Teraz zaczynała być też zła na Leę, że wyprawiała jej taką uroczystość na środku ulicy, na oczach wszystkich. A jeśli później, kiedy sprawy się skomplikują, ktoś zacznie badać, kim była ta kobieta z bliznami, która zapłaciła Leonidowi i innym? Szła przed siebie bez celu, z narastającą złością. Na co jej te całe urodziny ni z gruszki, ni z pietruszki, kiedy akurat ma na głowie sprawy o wiele, wiele ważniejsze.

Z wyraźną niechęcią zdecydowała się zaśpiewać tu jedną piosenkę, nie więcej, a potem odejść. I właśnie tam to się

162

ło akurat kiedy nie była na to gotowa: choć tak się przygo-

S wvwała i tak czekała na tę chwilę, chociaż była tak czujna

■ rZewidywała niezliczone warianty, jakie może przybrać to darzenie, kto będzie wysłannikiem jej łowcy. Zupełnie się nie spostrzegła, kiedy to rzeczywiście przyszło.

Skończyła piosenkę i zebrała monety. Ludzie się rozeźli a ona pozostała ze znanym już uczuciem, przedziwną mieszaniną dumy z udanego występu, z tego, że znów zdołała ich podbić, i niesmaku, jaki wpełza ukradkiem do jej wnętrza, kiedy wszyscy się rozchodzą, a ona zostaje nagle sama pośrodku ulicy, ze świadomością, że oddała obcym jakąś bardzo osobistą część siebie.

Dwoje starszków, mężczyzna i kobieta, którzy w czasie występu siedzieli na ławce, wstało i podeszło do niej wolnym krokiem. Trzymali się mocno pod ramię, mężczyzna wspierał się na kobiecie. Byli drobni i opatuleni w zbyt ciężkie jak na upalny dzień ubrania. Kobieta posłała Tamar wstydlivy, niemal bezzębny uśmiech, i zapytała:

- Czy można?

Tamar nie wiedząc, o co chodzi, odparła, że tak. Ujęło ją to, jak starszkwowie stali obok siebie, trzymając się pod ręce.

- Ach, jak ty śpiewasz, oj, oj! - Kobieta położyła dłonie na policzkach. -Jak... jak w operze! Jak kantor w synagodze!

- powiedziała, a jej pierś uniosła się przy głębokim oddechu. Dotknęła ramienia Tamar i pogładziła je ze wzruszeniem, a Tamar, która zwykle nie lubiła, by dotykali jej obcy, poczuła, jak całą duszą lgnie do tego delikatnego dotyku. - A to...

- staruszka wskazała oczyma na swojego męża - ...to mój mąż, Josef, już prawie nie widzi ani nie słyszy, ja jestem jego oczami i uszami, ale ciebie słyszał, prawda, Josef, że ją słyszałeś? - Szturchnęła go ramieniem. - Prawda, że słyszałeś, jak śpiewa?

Mężczyzna spojrział w stronę Tamar i uśmiechnął się pusto, a jego złoty wąs rozszczepił się na dwoje.

- Daruj, że pytam - powiedziała słodkim głosem kobie. ta, przysuwając nagle pyzată, łagodną twarz bardzo blisko twarzy Tamar - ale czy twoi rodzice wiedzą, że ty tak sama na ulicy?

Tamar niczego jeszcze nie rozumiała ani nie podejrzewała. Powiedziała, że odeszła z domu, „bo było jej tam dość ciężko”, i uśmiechnęła się, jakby przeprasząc za to, że była zmuszona narazić tak pocziwą kobiecinę na brutalną prawdę ojej życiu.

-Ale dobrze mi tu, niech się pani nie martwi.

Staruszka jednak spojrzała badawczo i gąbczastą dłonią złapała ją za łokieć z niespodziewaną siłą, tak że przez moment przed oczami Tamar stanął obraz wiedźmy, sprawdzającej, czy Małgosia jest już dość tłusta. Obraz zjawił się i zniknął, a w jego miejsce znów ukazała się sympatyczna, puciołowata twarz.

- Niedobrze - bąknęła kobieta i rozejrzała się szybko dookoła - niedobrze, żeby dziewczynka chodziła tak sama, rozmaici ludzie tu się kręcą. A ty nie masz nikogo, kto by cię ochraniał? I jeśli ktoś będzie chciał, to ukradnie ci pieniądze? Albo, nie daj Boże, coś jeszcze?

- Radzę sobie całkiem nieźle, babciu - zaśmiała się Tamar i chciała już stamtąd odejść. Troska, jaką jej okazano, była dość kłopotliwa i poruszyła w niej najboleśniejże struny.

- I nie masz jakichś przyjaciół czy braci, którzy by cię ochraniali? - spytała półgłosem staruszka. - A gdzie ty sypiasz po nocach? Tak nie można!

Wtedy dopiero obudziły się podejrzenia, poruszyły się w jej brzuchu, szepcząc, by nie mówiła zbyt wiele. Tamar nie dowierzała tym podszeptom, staruszkowie wydawali się tacy

ewinni i przyjaźni, lecz mimo to jej śmiech stał się inny, nie-wymuszony. Raz jeszcze powtórzyła, że naprawdę nie muszą się o nią martwić, po czym odwróciła się, żeby odejść, lednak staruszka uchwyciła ją z większą siłą - dziewczyna była zdumiona, jak

mocno i agresywnie - zacisnęły się jej krzywe palce i spytała, czy Tamar ma co jeść: Jesteś taka chuda, serdeńko, skóra i kości", a Tamar, już bardziej czujna przez to „serdeńko", odparła, że dziękuje, jakoś sobie daje radę. Staruszka milczała jeszcze przez chwilę, Tamar widziała, że przeżuwa w ustach jeszcze jedno, ostatnie pytanie, które rzeczywiście w końcu padło, ostre i jednoznaczne:

- Powiedz, mejdale, może byś chciała, żeby ktoś cię tutaj ochraniał?

Była już pół kroku od nich, zaczynali być naprawdę uciążliwi. Stali bardzo blisko, jakby chcieli ją przytulić, lecz to ostatnie pytanie było nowe, innego rodzaju, pochodziło zupełnie skądinąd. Tamar zatrzymała się, popatrzyła zdumiona na tych dwoje, a w jej umyśle zaczęła już świtać myśl, że to właśnie oni, i chociaż trudno w to uwierzyć, jednak bardzo możliwe, że oni właśnie są tymi, na których czeka - jego posłańcami.

Ale to niemożliwe! Otrząsnęła się, drwiąc z własnej głupoty. Spójrz tylko na nich, dwoje nieszczęsnych wyrzutków. A jednak zadali właściwe pytanie. Nie, to wykluczone, popatrz na nich, babcia i dziadzio, pełni życzliwości i troski, jaki mogą mieć związek z tamtym strasznym człowiekiem.

- Zaraz, co to znaczy? - spytała, otwierając oczy jeszcze szerzej niż zwykle. - Nie rozumiem.

Wiedziała, że musi teraz być roztropna i bardzo czujna. Nie może okazać ani zbytniego entuzjazmu, ani strachu. I tylko jej serce - chyba nawet oni widzieli, jak łomocze jej pod kombinezonem.

165

- Bo my, Josef i ja, znamy takie bardzo dobre miejsce taki jakby dom, w którym możesz mieszkać. Dają tam dobrz' zjeść, i kolegów będziesz tam miała, i cały czas jest Wesoło Prawda, Josef?

- Co? - spytał Josef, który od czasu do czasu zdawał się przysypiać za swoimi ciemnymi okularami i dopiero jej szturchnięcie wyrywało go z drzemki.

- Że u nas dobrze dają jeść.

- No, tak, jedzenie pierwsza klasa. To dlatego, że Henia gotuje - wyjaśnił, wskazując głową na żonę. - Więc jedzenie jest dobre i masz co pić, i gdzie spać. Wszystko

dobrze!

Tamar się nie śpieszyła. Jakaś jej część nadal nie dowierzała albo bała się uwierzyć. Coś w jej spojrzeniu nadal błagało ich, by jej udowodnili, że się pomyliła, bo jeśli nie, jeśli oni naprawdę są jego posłańcami, już za chwilę wszystko się zacznie i straci wszelką kontrolę nad tym, co będzie się z nią dalej działo. Nagle dotarło do niej, że nie ma dość odwagi, by to zrobić.

- I co ty na to, rybeńko? - spytała kobieta. Tamar zauważyła, że wargi drżą jej z przejęcia.

- Nie wiem - rzuciła. - Gdzie to jest? Daleko stąd?

- Nie tak znowu daleko. - Staruszka chrząknęła i zaczęła żywo gestykulować, chyba wskutek podniecenia. - To bliźniutko, pół minutki stąd. Ale weźmiemy taksówkę albo może ktoś nas podrzuci. Powiedz tylko, tak czy nie. Cała reszta to już nasza głowa.

- Ale ja... Ja państwa nie znam - Tamar omal nie krzyknęła ze strachu.

- A co tu jest do poznawania? Ja jestem babcia, a to dziadek. Staruszki! I jeszcze jest syn, Pesach, który jest tam szefem, on jest naprawdę w porządku, możesz mi wierzyć, rybeńko, złoty chłopak! - Tamar patrzyła na nich zrozpaczona. To jest to. To właśnie imię, które Szaj wymienił, kiedy do niej

166

tamtąd zadzwonił. Pesach. Człowiek, który go pobił, omal nie zatłukł na śmierć.

Staruszka mówiła dalej: - I on prowadzi Horn właśnie dla takich dzieci jak ty.

- Dom? - Tamar udawała, że nic nie wie. - To są tam jeszcze inni?

- No pewnie! A co myślałaś, że będziesz tam sama? Niektóre z tych dzieci to aktorzy pierwszej klasy! Są też tacy, co robią akrobacje, taki cirkus, i są muzykanci ze skrzypcami i gitarą, i jeden taki, co robi przedstawienie bez słów, jak ten... jak mu tam... ten z telewizji... Rozen, i jeden taki, co połyka ogień, i dziewczyna, co chodzi na samych rękach, ho, ho! - Pokiwała głową z zachwytem. - Takich będziesz miała kolegów, a wesoło tam jest przez cały dzień!

Tamar wzruszyła ramionami.

- To brzmi całkiem ciekawie - skłamały jej wargi, ale jej głos był niesłyszalny.

- To idziemy? - Usta staruszki drżały, na jej policzkach pojawiły się wypieki. Tamar

nie mogła na nią patrzeć, naraz wydała jej się podobna do tłustego pająka, który szybko owija swoją nić wokół mrówki. Wokół niej.

Staruszka chwyciła ją pod ramię i razem zeszły w dół deptaku. Szły bardzo powoli ze względu na niewidomego Josefa. Staruszka nie przestawała mówić, jak gdyby próbowała zatopić Tamar w powodzi słów, tak aby nie rozumiała, co się właściwie dzieje. Dziewczyna czuła, że ziemia pali jej się pod nogami. Tak łatwo byłoby w tym momencie uwolnić rękę z uścisku staruszki i po prostu uciec, odejść na zawsze. Wtedy już nigdy nie musiałyby czuć na sobie jej chłodnej, zwiotczalej skóry ani wplątywać się w pajęczynę, którą ta kobieta oplata wokół niej.

I nigdy nie dotarłaby do tamtego domu, do którego już od wielu miesięcy szuka drogi.

167

Tamar z żalem rozejrzała się na boki, jakby miała już nigdy więcej nie przechodzić tą ulicą, oglądać sklepów, ludzi codziennego życia. I płaczliwym głosem, jak Kłapouchy mówiła w duszy sama do siebie: „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! I wielkie dzięki za wspaniały prezent!”

- Czy ten pies musi iść z nami? - zaskrzeczała staruszka z niezadowoleniem, kiedy nagle zauważyła, że idąca za nimi duża suka należy do Tamar.

- Tak, ona idzie ze mną - natychmiast odparła Tamar, a w głębi serca liczyła na to, że nie wolno tam trzymać psów, a wtedy miałyby dobry pretekst, żeby im się wymknąć.

- To jest ona, ten pies? Znaczy, suka? - staruszka wykrzywiła usta. - A co, jeśli zajdzie w ciążę i urodzi? Będziemy tam mieli święto lasu?

- Ona już... Ona już jest za stara, nie może mieć małych - wyszeptła Tamar i żal ścisnął jej serce z powodu Dinki, która w tym wieku musi doznawać takich upokorzeń.

- No to co ci szkodzi? - przekonywała staruszka. - Zostaw ją tutaj. Po co ci ona, trzeba ją będzie karmić, a ona zaraz może zachorować, naznosi brudu...

- Pies idzie ze mną! - ucięła Tamar.

Przez chwilę przyglądały się sobie i dziewczyna zauważyła coś, co chowało się dotąd pod szerokim uśmiechem i matczynymi fałdkami tłuszczu - ostre, szare jak stal

spojrzenie, zaprawione w boju - jednakże staruszka pierwsza spuściła wzrok:

- Nie trzeba tak krzyczeć. Co ja takiego powiedziałam? Co to ma znaczyć? To nieładnie tak na nas krzyczeć, kiedy chcemy ci tylko wyświadczyć przysługę...

Tamar wiedziała, wiedziała już na pewno, że to jest to. Jeszcze kilka minut szli w milczeniu. Przy „placu kociaków” zaczął sunąć za nimi powoli niebieski samochód, 168

brudny i poobijany ze wszystkich stron. Z początku Tamar go nie zauważyła. Potem zaczęła się zastanawiać, dlaczego to su-haru podjeżdża do nich tak blisko. A wtedy gardło ścisnęło jej się z przerażenia. Samochód zatrzymał się koło nich, a staruszka rozejrzała się szybko na prawo i lewo.

Kierowca, młody czarnowłosy mężczyzna, którego czoło przecinała przez sam środek pojedyncza głęboka zmarszczka, wyszedł z samochodu. Obrzucił Tamar szybkim spojrzeniem, palącym jak ogień i pełnym pogardy. Otworzył staruszce przednie drzwi, jakby był kierowcą co najmniej rolls-royce'a. Kobieta poczekała, aż jej mąż usadowi się na tylnym siedzeniu, po czym wepchnęła Tamar do środka.

- Prosto do Pesacha - rozkazała, a kierowca zwolnił ręczny hamulec i samochód popędził drogą. Tamar obróciła się do tyłu, żeby popatrzeć na ulicę, która się za nią zwęzłała, zamykała się szybko jak zamek błyskawiczny.

jak szalony ptak wzbijasz się w przestworza.

Potężny mężczyzna w czarnym podkoszulku z siatki, nie wv" mując wykałaczką z kącika ust, rozmawiał jednocześnie pΓ2e dwa telefony. Do tego, który stał na biurku, krzychał: „Sto ra zy zem ci tłumaczył, zawsze rano sprawdź w worku z tyłu samochodu, czy zabrał noże!” Do drugiego, komórkowego mówił: „Skąd ja ci tera wczasne szklanom skrzynie, no skąd?” Kiedy uniósł głowę, zobaczył Tamar, i nie odrywając od niej spojrzenia, przesunął powoli wykałaczkę z lewego do prawego kącika ust.

Tamar stała na baczność, mocno przyciskając dłonie do szwów kombinezonu. Tyłu już podejrzanych ciemnych typów spotkała w ciągu ostatnich tygodni i za każdym razem, gdy się bała, uspokajała się myślą, że oni są tylko przygrywką do niego, więc lepiej zachować strach na decydującą chwilę. Teraz, kiedy stanęła naprzeciw niego,

zdziwiła się, że wygląda prawie nieszkodliwie, jak wielki pluszowy miś, tylko że tłusty i spocony. Mimo to nie zdołała opanować drżenia nóg.

Na ręce miał gruby czarny sygnet, a Tamar nie mogła oderwać wzroku od jego małego palca z paznokciem długim jak pazur sępa i zastanawiała się, czy to nie przez ten telefon na biurku odbyła się rozmowa, która ją tutaj sprowadziła, i czy to właśnie tu, w tym pomieszczeniu, padły tamte ciosy i rozległ się przeraźliwy krzyk.

Staruszkowie, jego ojciec i matka, uściskali go i pokazali mu Tamar, nim jeszcze skończył rozmowy. Stanęli po obu jej bokach, uśmiechając się do niego znacząco, z obietnicą, jakby była kosztownym prezentem, jaki dla niego kupili. Nawet siedząc, górował nad nimi wzrostem, wypełniał sobą cały pokój. Tamar miała dziwne poczucie, że wygląda tu komicznie ze swoim drobnym ciałem. Do złotego łańcuszka, który wisiał na jego szerokiej piersi, przyczepione były imiona „Meir” i „Jaakow” - prawdopodobnie synów - oraz coś,

172

oglądało na kiel jakiegoś zwierzęcia. Do jednego z tele-f nów powiedział: „Tylko uważaj, zawsze popacz, jak on ca bo już mi kogoś wczoraj pociął w Akce”. Do drugiego telefonu ryknął: „A czy ta palantka nie może po prostu wleźć do jakiejś drewnianej skrzyni albo kartonu z supermarketu?”

Dinka położyła się u stóp Tamar, niespokojna. Raz po raz wstawiała, zmieniała pozycję, a wreszcie, choć nigdy tak nie robiła przy dłuższym oczekiwaniu, wstała. Tamar rozejrzała się ostrożnie: na prawo od niej stała wielka metalowa szafa. W oknie były kraty. Ze ściany zwisał strzep plakatu: „Chcesz być cool? Możesz być cold”. Mężczyzna zakończył jedną z rozmów, mówiąc: „Tylko jeszcze raz cię ostrzegam: zawsze sprawdź, czy nikogo za nim nie ma, żeby mi ktoś przez przypadek nie oberwał nożem w głowę”. Z przodu miał zaczerwienioną łysinę, z tyłu długi warkocz, a pod oczami ciężkie, sine worki. Kiedy odkładał słuchawkę, pod skórą rąk poruszyły się mięśnie, przypominające bochny chleba. Do drugiego telefonu rzucił: „To idźcie do sklepu akwarystycznego, na pewno jest jakiś w domu towarowym, i kupcie jej akwarium, niech wlezie do akwariumu, to będzie ją widać. Tylko nie

zapomnij o rachunku!" Głośno wypuścił powietrze z płuc, jakby chciał przez to powiedzieć „Wszystko na mojej głowie”. Popatrzył na Tamar i spytał, co umie robić. Tamar przełknęła ślinę. Umie śpiewać.

- Głośniej, nie słyhać!

Umie śpiewać. Od trzech lat śpiewa w chórze. Ma solówki. A przynajmniej miała, poprawiła w myśli, aż do tournée po Włoszech.

- Mówili mi, że śpiewasz na Ben Jehudy, to prawda? Kiwnęła głową. Na ścianie za nim wisały jego dwie podniszczone fotografie. Wyglądał na nich młodziej o dwa-
173

dzieścia lat, był półnagi, czerwony, błyszczący, walczył z in. nym mężczyzną, prawdopodobnie w jakichś zawodach.

- A co się stało? Zwiałaś z domu? -Tak.

- Dobra, nie opowiadaj, nic nie chcę wiedzieć. Ile masz lat?

- Szesnaście. - Od dzisiaj.

- Przyszłaś dobrowolnie, tak?

- Tak.

- Nikt cię nie zmuszał, żebyś tu przyszła, tak? -Tak.

Z wypchanej szuflady w biurku wyjął stertę papierów i grubych notatników. Szperał w nich, póki nie znalazł mocno wyblakłego druczku. Odbitka z odbitki. Tamar czytała: „Ja, niżej podpisany, mam zaszczyt oświadczyć niniejszym, że przybyłem do Domu Artystów pana Pesacha Bet ha-Lewiego dobrowolnie i bez żadnego nacisku z zewnątrz. Ponadto uroczyście zobowiązuję się szanować reguły domu i podporządkować się zarządzeniom jego kierownictwa”.

- Podpisz się tutaj. - Wskazał miejsce grubym, czerwonym palcem. - Imię i nazwisko. Chwila wahania. Tamar Kohen.

Pesach Bet ha-Lewi czytał, patrząc z ukosa.

- Wszyscy tutaj nagle zaczynają się nazywać Kohen - powiedział. - Dobra, dawaj dowód osobisty.

- Nie mam.

- To jakiś inny dokument, cokolwiek.

- Nie mam nic. Uciekałam w pośpiechu i nie wzięłam. Jego olbrzymia głowa przekrzywiła się z niedowierzaniem. Po chwili postanowił dać jej spokój:

- Okej. Na razie niech tak będzie. No więc ja ci mogę tu-tej zapewnić miejsce do spania, pokój i łóżko, do tego dwa

174

oosiłki dziennie: śniadanie i gorąca kolacja. Pieniądze, które zarabiasz na śpiewaniu, oddajesz domowi za czynsz i jedze-nje. Ode mnie dostajesz czydzieści szekli dziennie na papiero-sYi picie i drobne wydatki. Tylko ostrzegam po dobroci, na-wet nie myśl o tym, żeby mnie wyrolować. Chcesz wiedzieć, czemu?

Tamar spytała, dlaczego.

Odchylił lekko głowę do tyłu i uśmiechnął się do niej z za wykałaczki.

- Wyglądasz na delikatnom dziewczynę, więc lepiej nie wchodźmy w szczegóły.

Najważniejsze, żebyś sobie dobrze zapamiętała: „Pesacha się nie oszukuje”.

Zrozumieliśmy się? - Przez okamgnienie Tamar zobaczyła to, o czym mówił Szaj, ową zdolność do błyskawicznej, niemal niezauważalnej przemiany w kogoś skrajnie różnego. - Nie powiem, żeby nie próbowali. - Rozszerzył o milimetr swój uśmiech i utkwiał w niej zimne spojrzenie, sięgające samej duszy, przenikające mrok jej tajemnic. - Zawsze się trafi mądrała, któremu się zdaje, że jemu akurat się uda. - Stał jej przed oczyma kędzierzawy chłopak przy sztachetkach na placu, snujący się z połamanymi palcami, doszczętnie wypalony. - Ale kto tego spróbował, ten, że tak powiem, więcej już nie próbuje. Niczego.

Jego oczy- pomyślała wystraszona Tamar. - Coś jest nie tak z tymi oczami, jakby z niczym nie były połączone. Nie wiedziała, co zrobić, żeby opanować wstydlive drżenie nóg.

- Koc i materac weź z ostatniego pokoju, na końcu korytarza, tam gdzie szarki elektryczne, znajdź sobie jakiś pokój, jest dużo pustych. Wieczorem o dziewiątej jest kolacja w jadalni, pierwsze piętro. Punkt o dwunastej gaszenie świateł. A swoją drogą - co z psem?

- Suka jest moja.

175

- To masz ją czymać przez cały czas przy sobie. Krótko Nie chcę, żeby mi tu kogoś pogryzła. Szczepiona?

-Tak.

- A co z jedzeniem dla niej? -Ja się tym zajmę.

- Dobrze. Wyjaśnili ci, co masz robić? -Nie.

- No to później. Wszystko po kolei. - Zaczął znowu wybierać numer, ale przerwał: - Chwila, jeszcze coś: bierzesz?

W pierwszej chwili nie zrozumiała pytania, ale po chwili odpowiedziała:

- Nie. - Żeby mi tylko nie przeszukał plecaka - pomyślała. Miała w nim „samarę”, kupioną u dilerów.

- Tylko mi się nie waź brać tutaj. Jak cię chociaż raz przyłapię, zabieram prosto na policję.

Jego matka, która stała obok niego, energicznie potaknęła.

-Ja nie biorę.

Podpuszczał ją, to pewne. Była przekonana, że wszyscy tutaj biorą. Tak powiedział jej Szaj przez telefon, kiedy opowiadał jej o tym miejscu, błagając, żeby go stąd wyciągnęła.

- Bo u nas - Pesach niespodziewanie podniósł głos -jest czysta sztuka netto, cała reszta brudu to nie u nas, jasne? - Tamar nagle odniosła wrażenie, że nie mówi tego do niej, tylko do kogoś, kto ukrywa się gdzieś w tym pokoju albo za ścianą i podsłuchuje. - Zaraz, zaraz. - Znow odłożył słuchawkę i zmierzył ją wzrokiem. - Z tobom tak zawsze?

-Jak?

- Tak, że cię nie słychać.

Tamar stanęła z rozłożonymi rękami, zawstydzona. -Jak ty w ogóle śpiewasz, skoro nie możesz mówić?

176

- Śpiewam, śpiewam - powiedziała nieco głośniejszym głosem, ze wszystkich sił starając się okazać większą werwę.

- Zaśpiewaj coś, posłuchamy - wyciągnął przed siebie wielkie nogi.

- Tutaj? Teraz?

- Pewnie, że tutaj. Zdaje ci się, że mam czas chodzić na koncerty?

Zesztywniała urażona. Popis? Tutaj? Jednak zaraz przypomniała sobie, po co tu jest, i stłumiła swój mały wewnętrzny bunt. Zamknęła oczy, skupiła się.

- Dalej, skarbie, mam ci załatwić support? Nie zamierzam tracić na ciebie całego dnia.

I wtedy mu zaśpiewała. Od razu. Me mów do mnie „Skarbie” Korin Alal. Nie powinna była wybierać akurat tej piosenki, ale nie zdążyła się zastanowić - melodia wyrwała się z niej jak krzyk, pod wpływem impulsu. Chyba dlatego, że powiedział do niej „skarbie” z takim lekceważeniem. Nigdy jej się nie śniło zaśpiewać taką piosenkę bez akompaniamentu, poczuła się przed nim zupełnie naga. A jednak, właśnie przez złość, jaka ją ogarnęła, śpiewała wspaniale już od pierwszej nuty, a długie pauzy między frazami akompaniowały jej wcale nie gorzej niż cała orkiestra. Śpiewała z pasją, poruszała się tak jak trzeba, oddychała właściwie i zrozpaczona zdała sobie sprawę, że popełnia właśnie pierwszy poważny błąd w stosunku do tego człowieka. Chciała przerwać, ale wiedziała, że jeśli to zrobi, straci szansę na to, żeby tu zostać. Nie powinna była wybierać piosenki mówiącej tak wprost, tak prowokacyjnej, bo gdy doszła do słów „Nie mów do mnie «Skarbie»”, bo dostaję wysypki”, ich spojrzenia skrzyżowały się, jakby wypowiedziała mu wojnę. A kiedy słowami piosenki opowiadała o dziewczynie, która zrozumiała, że pozostała jej już tylko

177

mądrość małych kwiatków, poczuła się tak, jakby odkryta przed nim, że nie jest tylko tą małą, delikatną dziewczynką jaką widzi przed sobą, ale że ma w sobie drugie dno. Dlaczego, u licha, nie mogła wybrać innej piosenki, żeby się zaprezentować? Czemu nie zaczęła od cichej i melancholijnej Pośród cyprysów wieczór zapada czy Mój zwykły płaszcz, pogodzonej z losem i uległej? Dlaczego musiała ściągnąć na siebie

już od pierwszej chwili, jego szczególną uwagę? Oszołomiona pomyślała, że znów dało o sobie znać jej przekleństwo, to efekciarstwo nieśmiałych i brawura tchórzów. Bo kiedy upokorzył ją tym swoim „skarbie”, jakby była pierwszą lepszą, musiała mu pokazać tę niesłychaną zmianę, jaka zachodzi w niej, gdy zaczyna śpiewać i nagle rozbłyskuje w niej, jak płomień pochodni, rasowa, przebojowa piosenkarka...

I pewnie dzięki tej piosence już po chwili przestała się nawet złościć na siebie, całkowicie poddała się wewnętrznemu, wartkiemu strumieniowi piosenki, jego gorzkiej sile, tańczyła całym ciałem, a ogień płonął pod jej zamkniętymi powiekami, wyrzucała ręce na boki, jej kolana energicznie wybijały rytm, lecz prawie nie ruszały się z miejsca. Skupiła się na czymś najgłębiej ukrytym w jej wnętrzu, najdalszym od tego czerwonego tłściocha, który z wykałaczką w ustach siedział przed nią na krześle, po czym, z uśmiechem zaskoczenia na twarzy, oparł się wygodnie i założył ręce za kark...

Skończyła i znów zgasła, od razu. Sama siebie zgasła. Nie mogłaby ustać przed nim rozświetlona wewnętrznym płomieniem, bez żadnej osłony, pewna, że wszystko, co chciała ukryć, zostało właśnie odsłonięte. W pokoju jeszcze przez kilka sekund niesły echem wirujące strumienie jej energii.

- Niezła jesteś... - orzekł Pesach Bet ha-Lewi. Wyjął wykałaczkę z ust, i ssąc ją, przyglądał się Tamar z mieszaniną podejrzliwości, rozbawienia i respektu. Później spojrzał na

178

swoją matkę, która w ciągu całego tego krótkiego występu uśmiechała się bezzębnymi ustami. - Co ty na to, mamale, ta mała jest niesamowita, co nie? jego ojciec siedział na ławce za nią, pogrążony w drzemce. Tamar starała się nie przysłuchiwać tej rozmowie. Miała nadzieję, że znajdzie się tu jakieś miejsce, gdzie będzie można od razu po ludzku wziąć prysznic. „To tylko drobny cwaniaczek” - dodawała sobie odwagi słowami, które Szaj wypowiedział przez telefon w tym samym pokoju. „To tylko drobny cwaniaczek, co znalazł swoją małą, oryginalną niszę w półświatku, ale moje życie -jęknął Szaj - kompletnie zrujnował”.

- No to - podsumował Pesach - jutro rano zobaczymy,

gdzie ciebie dać.

- Przepraszam, nie rozumiem.

- Nic się nie martw. Teraz idź, urządz się, odpocznij. Do tej pory może miałaś piknik, ale od jutra zacznie się harowa, i powiem ci, gdzie będziesz, w jakim mieście.

- To ja nie będę w Jerozolimie? - przeraziła się nagle. Takiej ewentualności nie brała pod uwagę.

- Będiesz tam, dzie ci powiem, jasne? Znów te jego puste oczy. Oczy trupa.

Milczała. -Jazda, skarbie, czas się skończył. - Usunął ją z pola

widzenia, wymazał z myśli i zaczął znów dzwonić z obu telefonów.

Wyszła z pokoju Pesacha, a Dinka za nią. Nadal nie wiedziała, gdzie się znajduje ani co to za miejsce. Posadzka w holu składała się z potłuczonych, powykrzywianych i częściowo wbitych w ziemię płytek, a w kilku miejscach przeziarała spomiędzy nich goła ziemia, z której wyrastały chwasty i kol-

179

czaste krzaki. Widać było, że odkąd ludzie opuścili to miejsce natura zaczęła dopominać się o swoją własność. Tamar pomyślała, że podobnie stało się z jej rodziną. Korytarz ciągnął się bez końca. Na ścianach wisiały tabliczki: „Do przychodni”. „Do rejestracji”. „Chirurgia”. „Pediatria”. Zajrzała przez półotwarte drzwi i zobaczyła metalowe łóżko, na nim materac i stertę bezładnie rzuconych koców. Może ktoś tam sypia, a może nie. Na podłodze widać było rdzawe ślady po wielu łóżkach. Ze stropu zwisały jakieś rurki i kable. Na jednej z tabliczek napisane było „Tlen”, a tuż obok wisiał podarty plakat Madonny. Wreszcie znalazła ów pokój na końcu korytarza. Musiała z całej siły naprzeć na drzwi, aby pokonać opór ułożonej za nimi góry materaców. W środku panował kurz i zaduch. Wyciągnęła ze sterty bardzo ciężki, pasiasty materac pokryty wielkimi plamami. Próbowwała wsunąć go z powrotem i wybrać inny, ale kiedy coś już się stamtąd wyciągnęło, nie dało się wcisnąć tego z powrotem. Koce leżały na górze materaców. Wdrapała się i wyciągnęła dwa koce, starając się ich nie wachać. Za każdym jej ruchem buchały tumany kurzu i odór moczu. Nie było prześcieradeł. Będzie zmuszona dotykać tych koców, spać pod nimi. Ich zapach przyklei się jej do skóry. Nieważne - przypomniała

sobie załamana - grunt, żeby jego stąd wydostać. A w tym celu musi w to wejść.

Zanurzyć się naprawdę, bez reszty.

Przetaszczyła materac z powrotem przez cały korytarz. Ważył prawie tyle co ona, ciążył jej na grzbiecie, zgiał ją w pół i ciągnął się za nią jak tren nędzy. Tyle że dzięki temu było pewne, że nie spotka się z Szajem twarzą w twarz, póki nie będzie na to gotowa. Dinka biegała wokół niej, próbując wcisnąć się pod materac, ale on za każdym razem ją spod siebie wypychał, a wtedy uciekała ze skowytem. Tamar co jakiś czas przystawała, otwierała drzwi i zaglądała do środka spod

180

swojego garbu. W każdym pokoju stało jedno albo dwa łóżka i widać było, że ktoś tam mieszka. W jednym z pokoi zobaczyła gitarę opartą o ścianę i serce aż w niej podskoczyło. Może to jego pokój. Nie było tam nikogo, a na jednej ze ścian napisano węglem: „Jeżeli świat mnie nie rozumie, to świat nie jest światem”. Pomyślała, że to nawet do niego podobne. Jednak porozrzucane dzinsy wydały jej się za krótkie jak na jego długie nogi. Zamknęła drzwi. Otworzyła następne. Puste puszki po piwie i dziesiątki niedopałków. Na ścianie wisiały skrzyżowane ze sobą dwa zielone szaliki klubu „Makabi Haj-fa”. Siedział tam ktoś, odwrócony do niej nagimi plecami; blade, kościste plecy chłopaka, tak pochłoniętego grą na Game--Boyu, że nawet nie zauważył, jak Tamar otwiera i zamyka drzwi.

„To wciąga tak mocno - powiedział jej w czasie tamtej rozmowy telefonicznej - z taką niesamowitą siłą, że dajesz się wessać, chcesz rozpaść się na najdrobniejsze cząstki, rozsypać się w pył. I umierasz z ciekawości, jak nisko można się stoczyć. To taki impuls, nad którym tracisz kontrolę, nie masz własnej woli, nie masz niczego, wszystko się rozpada tak szybko, Watsonie”. A wtedy, kiedy wypowiedział jej sekretne pseudonim, zamknęła oczy z nieopisaną rozkoszą, jakby wszystko, co powiedział do tej chwili, zostało przekreślone: od wielu miesięcy nie słyszała, żeby ją tak nazywał, i sama nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo za tym tęskni. Chwilę później usłyszała pierwszy policzek, a zaraz po nim ciosy Pięciami i jęk.

Zamknęła drzwi. A kiedy zgarbiona pod ciężarem materaca odwróciła się, by ruszyć dalej, zobaczyła przed sobą parę bosych dziewczęcych stóp, długich i śniadych, o

grubych palcach i paznokciach połyskujących fioletem. Rozległ się mocny, rozbawiony głos:

181

- W ogóle cię nie widać spod tego materaca. Daj, dźwigniemy to razem.

Nie widziała jej twarzy. Poczuła tylko, że ktoś podchodzi do niej od tyłu, schyla się i podnosi razem z nią materac i nagle zrobiło jej się lżej.

- Dokąd idziemy? - spytała Tamar.

- Na piętro.

Tamar milczała. Jej nogi po omacku szukały schodów. Pokonała pierwszy stopień, drugi, z chwiejącym się materacem na grzbiecie. W końcu obie zaczęły tracić równowagę pod jego ciężarem, więc zeszły z powrotem na korytarz i postąły chwilę w bezruchu. Zaczęły ponownie się wspinać, ale znów się zakołysały, i Tamar usłyszała za sobą wybuch śmiechu:

- Wiesz, co mi to przypomina? Jak robiliśmy w szkole przedstawienie Don Kichota jakieś dwa lata temu, to ja i jeszcze dwie inne dziewczyny byłyśmy koniem, chodziłyśmy zgięte wpół, zupełnie jak teraz, i każda miała głowę w tyłku drugiej, aż nagle prześcieradło się rozjechało i wszyscy nas tak zobaczyli.

To wspomnienie tylko spotęgowało gromki, zaraźliwy śmiech, materac zachwiał się i pociągnął dziewczyny do tyłu, a kiedy po chwili upadły, przygniótł je całkowicie.

Wyczołgały się spod materaca, położyły się na nim, ramię przy ramieniu, nie patrząc na siebie, i śmiały się do rozpuku. Tamar też. Zanosila się serdecznym śmiechem sprowokowanym przez nieznajomą.

- Szeli - przedstawiła się tamta, ocierając łzy grzbietem dłoni, przy czym potraçała ramieniem o ramię Tamar.

- Tamar.

- Siemasz, Tamar!

- A to Dinka.

182

_ Siemasz, Dinka!

Tamar zobaczyła obok siebie wielką roześmianą twarz okrytą bliznami po ospie

wietrznej, jaskrawozielone nastroje włosy, zęby z szerokimi odstępami i promienny uśmiech.

- Chodź, spróbujemy jeszcze raz.

W uszach Szeli tkwiły po cztery okrągłe srebrne kolczyki srebrny punkt błyszczał także w jej nosie. Nawet nad okiem miała wielki kolczyk, a wstając, odsłoniła jeszcze tatuaż ze znakiem Strzelca na biodrze. Wyciągnęła do Tamar silną rękę i pociągnęła, pomagając jej stanąć na nogi. Wtedy okazało się, że jest od niej wyższa o półtorej głowy.

- No dobra, to ja. - Wzruszyła ramionami, jakby chciała się wytłumaczyć ze swojego wzrostu. - Całość, bez skrótów i skreśleń. No to do roboty! -1 obie wczółgały się znowu pod materac, po czym wspólnie go dźwignęły.

Wnosiły go po schodach chyba z dziesięć minut. Tak się przy tym śmiały, przewracały, wstawały, stękały i płakały, że kiedy dotarły wreszcie na piętro, były zupełnie wyczerpane i splątane ze sobą.

Szeli otworzyła drzwi. Pokój był mniejszy niż inne. Tu także płytki na podłodze były połamane i wybrakowane, z sufitu zwisały gumowe rurki i kable, za to pod oknem stało starannie pościelone łóżko, z kocami poskładanymi w równą kostkę. Na ścianie wisiał kolorowy meksykański kilim, a na łóżku leżała książka Ptak duszy. Koło łóżka stała swego rodzaju szafka nocna - półka ułożona na czerwonych ceglach, a na niej kilka kolorowych kamieni, gruba czerwona świeczka i książki, oparte jedna o drugą. Spojrzenie Tamar przyłgnęło do nich łapczywie.

- „Czy podobają się pani pokoje?” - spytała z uśmiechem Szeli słowami wiersza.

183

- „Szczерze? Nie podobają się pani pokoje” - odpowiedziała Tamar, również cytatem, i dostrzegła błysk radości w oczach Szeli.

- „Czyż więc zamieszka pani z nami?”

- „Zamieszka, zamieszka z ochotą! - Tamar uśmiechnęła się. - Bo sąsiedzi tu tacy są mili”. - W odpowiedzi otrzymała uśmiech szeroki jak serdeczny uścisk.

- Witaj w piekle! - powiedziała Szeli. - Czuj się u nas jak w domu. Jak długo już?

-Jak długo co?

- Nie jesteś w domu.

Chwila wahania. Szeli była wobec niej taka uczynna, że Tamar omal nie uległa pokusie, żeby powiedzieć jej prawdę.

- Hej, hej, tu nie policja - zaśmiała się Szeli. - Naprawdę nic nie musisz mi mówić. - Jednakże Tamar zauważyła, że radosny blask w jej oczach nieco przygasł.

Tak bardzo chciała się zwierzyć. Nagle poczuła, że się dusi zamknięta w swoim dręczącym sekrecie, ale nie miała wyboru:

- Szeli, nie obraż się. Potrzebuję trochę czasu.

- Take your time, baby, mamy tu mnóstwo czasu. Całe życie, moim zdaniem.

Tamar przerwała rozkładanie koca na swoim materacu:

- Dlaczego całe życie?

Szeli położyła się, zapaliła papierosa i oparła nogi o małą stalową drabinkę na skraju łóżka.

- Dlaczego? Dlaczego? - Ściągnęła usta, wpatrując się w sufit, zorany wzdłuż i wszerz pęknięciami. - Słuchaczka Tamar z Jerozolimy pyta „Dlaczego?”. Bo i właściwie dlaczego? A dlaczego moja matka w wieku czterdziestu pięciu lat postanowiła wyjść za tego gnoja? Dlaczego mój prawdziwy ojciec zmarł, jak miałam siedem lat? Ładnie to tak? A dlaczego plus-

184

l[^]wy lubią się gnieździć w materacach? - zapytała, uderzając się w opalone udo.

- No nie, naprawdę - odparła Tamar i podeszła do jej łóżka. - Dlaczego... Dlaczego powiedziałaś, że to na całe życie?

- Boisz się, co? - powiedziała cicho Szeli ze współczuciem. - Nie szkodzi, że wszystkimi tak jest na początku. Ze mną też tak było. Myśli człowiek, że przychodzi tu na tydzień, dwa. Jak na kolonie, czy coś. Obóz artystyczny. Wszystkie grzeczne dzieci, które, że tak powiem, puściły się maminego fartuszka. A potem zostają. Siedzą tu i siedzą, i nawet jeśli uciekną, to i tak w końcu wracają. To wciąga, ten cały interes, trudno to wytłumaczyć komuś, kto dopiero co przyszedł. To jak koszmar, z którego nie można się przebudzić.

Tamar podeszła do swojego łóżka i usiadła.

- Nie zazdroszczę ci - ciągnęła Szeli, siadając z rozstawionymi nogami. - Jesteś na takim etapie, kiedy to jeszcze boli. Tęskni się. Nagle jakiś zapach w powietrzu i od razu sobie przypominasz sadzone jajko u mamy, z drobno pokrojoną sałatką z boku, mam rację?

Tamar spuściła głowę. U niej akurat to nie była sałatka. Kiedy jej mama ostatnio stała przy kuchence? Kiedy po raz ostatni wypowiedziała choć jedno zdanie, którego Tamar nie mogłaby z góry przewidzieć i które nie pojawiło się przedtem w jakimś filmie familijnym w telewizji? Kiedy ona tam w ogóle była, była naprawdę, nieosłonięta powłoką litości nad sobą, nielamentująca każdym gestem czy miną nad bezdusznym losem, który ją skazał na tę rodzinę? Kiedy w ogóle uczciwie broniła swoich racji wobec Tamar czy jej ojca i kiedy, do licha, była naprawdę matką „wszystkich tych Tamar”, jak sama wzdychała, miło i uszczypliwie zarazem? Tak, tak, Wszystkich tych Tamar, tęskniących za sobą i wiecznie

185

skłóconych? Nagle przebiegły ją ciarki, niespodziewanie zatęskniła za ojcem i przez krótką chwilę, naprawdę wbrew własnej woli, pomyślała, że mają sobie jeszcze tak wiele do wyjaśnienia... Przypomniały jej się nocne spacerunki, kiedy szli szybkim krokiem, tylko ona i on, w milczeniu, godzinę, półtorej. Ojciec potrzebował mnóstwa czasu, żeby zdjąć maskę dziecinnej, pokrętniej dumy, żeby przestać się wreszcie z nią drażnić, przerywać jej zawsze w pół zdania sarkastycznymi uwagami, i dopiero wtedy spotykała na okamgnienie człowieka, którego w sobie pogrzebał, bardzo głęboko, okrutnie i z premedytacją. Naraz przypomniała sobie, jak kiedyś, przed rokiem, nie więcej, zatrzymał ją, zanim weszli do domu, i rzucił w pośpiechu: „Z tobą da się porozmawiać jak z mężczyzną”, a ona wiedziała, że w jego ustach jest to największy komplement. Nie odważyła się jednak spytać, dlaczego właściwie nie ma ani jednego przyjaciela, z którym mógłby porozmawiać od serca.

-Ja już, dzięki Bogu, mam to za sobą- powiedziała Sze-li, jakby z oddali. -

Wymazałam ich totalnie. Ich oboje. Jak dla mnie, mogliby umrzeć. Teraz sama jestem dla siebie ojcem i matką. O tak, jestem całym komitetem rodzicielskim!

Znów odrzuciła głowę do tyłu i posłała w powietrze swój dźwięczny śmiech, jednak tym razem zabrzmiał on nieco za głośno. Poszperała nerwowo w jednej z toreb i wyciągnęła nową paczkę marlboro.

- Nie przeszkadza ci, że palę?

- Nie. Nie przeszkadza ci pies?

- Czemu miałby przeszkadzać? Wabi się Dinka? Niech będzie Dinka. Jak kotka z Alicji w Krainie Czarów?

Tamar uśmiechnęła się.

-Jesteś drugą osobą na świecie, która zgadła. - Pierwszą, oczywiście, był Idan.

186

- Nie patrz tak na mnie - powiedziała Szeli. - Gdybym robiła w tym roku maturę, to na pewno z poszerzoną literaturą. - Cmoknęła. - Chodź tutaj, Dinka. - Suka wstała i podeszła do niej, jakby znały się od lat. - Chodź do mamy, do mamy mamy i do taty mamy... - Zapaliła papierosa i wypuściła dym kątem ust. -Jakie ma oczy... - szepnęła. - Ona wszystko rozumie. - Nagle wtuliła twarz w sierść suki, i przez dłuższą chwilę cały pokój zamarł w bezruchu, tylko ramiona Szeli lekko drżały. Dinka stała - piękna, dystygowana, patrząc przed siebie. Tamar odwróciła wzrok w stronę okna. Przez podarte moskitiery wpadały do środka ukośne strumienie światła. Kłębiły się w nich bez przerwy tysiące drobin kurzu. Szeli odwróciła się na łóżku, usiadła tyłem do pokoju. - To zaraźliwe - odezwała się wreszcie łamiącym się głosem. -Jak przychodzi ktoś nowy, kto jeszcze pachnie domem, nagle to cię dopada i rozkłada na łopatki. Tamar siedziała, bawiąc się palcami stóp. Później, gwałtownym ruchem, padła jak długa na łóżko. Poczowała, jaki szorstki i nierówny jest jej materac, koc drapał ją w skórę.

- Moje gratulacje - powiedziała Szeli. - To tutaj najtrudniejszy krok. To jak zanurzyć się w morzu, kiedy woda sięga ci wiesz, dokąd.

- Powiedz mi - spytała Tamar -jak to jest, że prawie nikogo nie ma w pokojach?

- Bo wszyscy są na występach.

- Gdzie?

- W całym kraju. Późnym wieczorem zaczynają się zjeżdżać. Niektórzy zostają nawet na

dzień, dwa poza domem, ale w końcu tutaj wracają. A w piątek wieczorem wszyscy zawsze są na miejscu. - Puściła kółko dymu i dodała zza niego z uśmiechem: -Jak wielka, kochająca się rodzina.

- Aha. - Tamar przyjęła nową wiadomość. - A jak z ludźmi tutaj?

187

- Różnie bywa. Niektórzy są równi, naprawdę, bez dwóch zdań, zwłaszcza ci, którzy na czymś grają, a inni do niczego. Przeważnie zwykłe świry. Nie pogadasz z nimi, będą cię traktować jak powietrze. Przeważnie chodzą nagrzeni a jak nie - machnęła ręką z papierosem -to lepiej trzymać się od nich z daleka. Jak z nimi zadrzesz, zjedzą cię żywcem.

- Nagrzeni? Ale on, Pesach, mówił...

- Że narkotyki są zakazane. Jaaasne - powiedziała powoli, ochryplym głosem. - Boi się o własny tyłek.

- Naprawdę?

- Naprawdę? Boże, jaka ty jesteś słodka. - Szeli zmierzyła ją badawczym spojrzeniem. - To nie jest miejsce dla ciebie, wiesz? Tu nie jest jak... - Szukała właściwego słowa, a Tamar, rozdrażniona, dokończyła w myśli: „Jak w twoich książkach”. Ale Szeli nie chciała jej urazić, uśmiechnęła się i zręcznie ominęła przeszkodę: - A kto tutaj wszystkim sprzedaje materiał po zawyżonych cenach, co? I kto dba o to, żeby nigdy, ale to nigdy nie zabrakło szkła i kwasów? Nie on? Nie jego goryle?

- Co za goryle? - spytała Tamar słabym głosem.

- Ci, co nas wożą i pilnują w czasie występów. Jeszcze ich poznasz, aż za dobrze. A on o niczym nie wie, czaisz? Jest czysty. On się tylko troszczy o sztukę, chroni nas przed ulicą, codziennie zapewnia biednym sierotom ciepłą strawę, taki Janusz Korczak. Ale nie ma dnia, żeby nie próbowali mi czegoś opchnąć, tobie też będą wciskali. - Szeli przekrzywiła lekko szyję i popatrzyła na Tamar. - Dobrze, może nie od razu, wpierw wybadają, kto ty jesteś i skąd. Powiedz mi, bierzesz?

- Nie. - Kiedyś, na wycieczce do Aradu, zapaliła raz i to wszystko. Nawet kiedy częstowano ją tu i tam, odmawiała, nie potrafiła powiedzieć, dlaczego. Chodziło

chyba o związek między uczuciami a jakąś obcą substancją.

188

_ Masz szczęście. Ja też nie. Mam charakter. Nie tykam tego. Raz w tygodniu trawka, tylko tak, żeby przewietrzyć duszę. A czasami, kiedy jest naprawdę, ale to naprawdę do dupy, trochę spida i to wszystko. Ale hera? Nawet gdyby mi tu dawali milion dolarów - nie dotknę. Dwumetrowym kijem bym tego nie tknęła. Nada! I bez tego moje życie to jeden wielki śmietnik, ale chcę przynajmniej z pełną świadomością patrzeć, krok po kroku, jak staczam się w dół.

Tamar chciała spytać o Szaja. Czy Szeli widziała go tutaj, czy wie, w jakim jest teraz stanie. Czy w ogóle żyje. Z wielkim trudem przyszło jej się powstrzymać - bo chociaż Szeli była bardzo miła, Tamar nie mogła pozbyć się myśli, że Pesach mógł ją nasłać, żeby sprawdziła, kim ona jest. To było nielogiczne, obrzydliwie było podejrzewać o coś takiego Szeli, ale w ostatnich miesiącach nauczyła się nie dowierzać nikomu, żeby nie popełnić błędu. A najgorsza była świadomość, że Szeli doskonale wyczuwa tę cienką powłokę, jaką Tamar właśnie się okrywa.

- Ale czegoś tu nie rozumiem - odezwała się po chwili Tamar. - Po co Pesach w ogóle prowadzi ten dom, co on z tego ma?

- Dla sztuki - zaśmiała się Szeli, z pogardą wypuszczając chmurę dymu w sufit. - Założył prywatny impresariat, ma własnych artystów. On sam wszystko organizuje, on wyznacza występy, on nas rozwozi, trzyma w garści cały kraj, dzwoni przez te swoje komórki, to jest big boss. Big Impresario de la Szmata. To go naprawdę kręci. No i nie zapominaj, że każdego dnia bierze też swoją dolę.

- To znaczy?

- Kasę - Szeli zaczęła przeliczać niewidoczne banknoty, zwilżając palce niewidzialną śliną. - Money... denaro... masari... Ce/d... - Umiała rozśmieszać każdym swoim gestem, a Tamar, chociaż w podłym nastroju, śmiała się bez ustanku.

189

-Ale to nie... Na pewno jest coś jeszcze, no nie? Inaczej po co to wszystko... - Tamar pokazała ręką na pokój, na cały opuszczony szpital. - Niemożliwe, żeby robił to wszystko dla tych paru szekli, które zarabiamy na ulicy, czy to możliwe?

Bo nawet jeśli Pesach woli pozostawać „drobnym cwaniaczkiem”, to nadal w całej tej układance brakuje jakiegoś kawałka. Nie umiała powiedzieć, czego. Musiało to być związane z pracą i zarobkiem. Była jakaś sprzeczność między skalą wysiłku włożonego w to przedsięwzięcie, we wszystko, co wokół siebie widziała, w organizację i ten ogromny dom, i dojazd do różnych miast - a ilością pieniędzy, które Pesach mógł zebrać z kapeluszy stawianych na chodnikach.

Szeli milczała przez chwilę. Wykrzywiła wargi wokół papierosa.

- Teraz, kiedy tak mówisz... - bąknęła Szeli, a Tamar nagle zwątpiła, czy jest z nią szczerą.

- Co, nigdy się nad tym nie zastanawiałaś?

- Czy ja wiem? Myślałam, nie myślałam, co za różnica. Z początku może tak. Na pewno. Na początku w ogóle się dużo myśli. Mózg pracuje na wysokich obrotach. A potem, mówiłam ci, dajesz się wciągnąć. - Przycisnęła kolana do brzucha i skuliła się cała. - Wstajesz rano, zabierają cię na występ. Dwa występy, dziesięć.

Przemieszczasz się jednego dnia z Tel Awiwu do Cholonu, do Aszkelonu, do Nes Cijony, do Riszon le-Cijon. Starasz się nie słyszeć tych tam, co siedzą z przodu, jego goryli. Wystarczy, że chwilę ich posłuchasz, a już masz ochotę zadzwonić do Darwina i powiedzieć mu: „Proszę pana, pan się grubo pomylił, człowiek nie pochodzi od małpy, to małpa jest zwyrodniałym człowiekiem”. - W tym momencie zrobiła doskonałą parodię małpy, która drapie się po brzuchu, iska się, wydłubuje wesz, przypatruje jej się uważnie, po czym rozgniała ją między wywiniętymi wargami.

190

u, Raz, dwa razy dziennie kupują ci jakiś kebab. Jesz na ulicy albo na jakimś śmierdzącym podwórzu czy w samochodzie, między występami. Śpisz. Budzą cię, dajesz występ. Nie wiesz, czy to Bat Jam, czy Netania. Jeden pies. Wszystkie ulice i place są do siebie podobne. Publiczność też taka sama, wszyscy chłopcy mają na imię Din, a dziewczynki Ifat, chyba że to Ruscy, u nich to jest Jewgienij i Maszeńka. A cała reszta to tylko bezimienni dusigrosze. Przedwczoraj jeden skurczybyk położył mi w kapeluszu banknot dwudziestozekłowy i schylił się, żeby wziąć piętnaście

reszty, wyobraź sobie. Miał szczęście, że go nie kopnęłam w dupę. Więc po kilku takich dniach nie wiesz już, czy to rano, czy wieczór, czy wychodzisz, czy wracasz. Kończysz robotę, oklaski, bardzo pięknie, zgarniasz kasę, idziesz w umówione miejsce, gdzie już na ciebie czeka wóz, chyba że utknął akurat w innym mieście i czeka na kogoś innego, a wtedy musisz smażyć się godzinę na słońcu... -

Opowiadała, a twarz coraz bardziej jej się kurczyła, napełniała niechęcią, zdradzając dojrzałość niewspółmierną do wieku dziewczyny. - W końcu podjeżdża samochód, twoja limuzyna, lamborghini, czyli rozklekotane subaru, wchodzisz do środka, zwijasz się w kłębek, udajesz, że cię nie ma, i przesypiasz kolejną godzinę, żeby się nie wdawać w rozmowę o „prawie ciąży” z kutafonem, który siedzi za kierownicą. Pod koniec dnia nie pamiętasz już, gdzie byłaś, co robiłaś ani jak się nazywałeś, a kiedy przywożą cię tutaj z powrotem, nie masz już prawie siły, żeby wepchnąć w siebie puree, które przypaliła mamale Pesacha, a potem czołgasz się na górę i idziesz spać. Widzisz? - Na jej twarzy pojawił się szeroki, promienny uśmiech. - Właśnie o tym mówiłam: „Wspaniałe życie megagwiazd, cudowny świat bohemy!” - Trzykrotnie zamrugła powiekami, po czym lekko dygnęła na zakończenie występu.

191

Tamar milczała dłuższą chwilę. Czowała, jak mięśnie jej sztywnieją, jakby w oczekiwaniu na ciosy, jakie spadną na nią w najbliższych dniach.

-A jak to się stało, że dzisiaj tu zostałeś? - spytała.

- Dzisiaj miałam kuratorkę - zaśmiała się Szeli. - Jakaś pierdoła z papierami, przekonana, że jest najlepszym wynalazkiem Pana Boga po tosterze. Ale dzięki temu raz w miesiącu mam wolne, żeby wysłuchać po raz n-ty „Ależ powiedz mi, Szeli, dlaczego nie pozwalasz nam sobie pomóc?”

- Dlaczego kurator? Co takiego zrobiłaś?

- Co zrobiłam? Raczej czego nie zrobiłam? - Po chwili wahania roześmiała się. - No dobra, od razu widać, że jesteś nowa... Tutaj nie zadaje się takich pytań. Tutaj się czeka, aż ktoś sam ci powie. Nie mówi - nie pytać. Ale skoro już spytałaś, to ci odpowiem. Nikogo nie zamordowałam, tylko przejęłam na własność parę paczek marlboro, nie uiszczając należności. Spadłaś z łóżka?

- Nie. Ukradłaś papierosy?

- Buchnęli mi torebkę pierwszego dnia, jak tylko uciekłam z domu. Już na dworcu autobusowym w Cholonie. Zostałam bez niczego, a ja, bardziej niż jedzenia, niż picia, potrzebuję papierosów, bez nich z miejsca wariuję. Skąd miałam wiedzieć, że mają tam kamery, policjantów i całe to badziewie?

Dinka zaszczekała. Padł cień. W drzwiach stanął Pesach, zasłaniając swoim cielskiem całe wejście. Tamar zadrżała na myśl, że słucha ich już od kilku minut. Pochylił głowę, żeby przejść przez futrynę. Złowrogim spojrzeniem zlustrował dziewczyny, które siedziały na łózkach naprzeciw siebie, obejmując nogi ramionami.

-Już mi tu klub robicie? - fuknął.

- A co, nie wolno? - odcięła się Szeli.

192

Pesach powęszył w powietrzu.

- Lepiej uważaj, co mówisz. I nie spal mi materaca.

- Niby dlaczego? Te pluskwy też ci są do czegoś potrzebne? Chwila! Może chcesz zrobić pchli cyrk, jak Charlie Chaplin? - W tym momencie odegrała doskonałą pantomimę, pokazując, jak pchła przeskakuje jej z ręki na rękę.

- Ty... - Pesach oparł się o ścianę i ledwo dostrzegalnym ruchem potarł o nią grzbietem, a wtedy Tamar z jakiegoś powodu poczuła skurcz w brzuchu. - Nigdy nie wyciągasz wniosków, co? - Znów mówił bardzo powoli, nieomal literował każde słowo. - Pewnego dnia, droga pani, przekroczy pani granicę o tyle, tylko tyle - zbliżył do siebie dwa palce - a wtedy nagle znajdzie się pani w bardzo niemiłej sytuacji. Naprawdę bardzo niemiłej.

Wtedy właśnie Tamar zobaczyła, jak to się dzieje: jak, chociaż nie widać po nim żadnej znaczącej zmiany, z puchate-go misia staje się ogromnym niedźwiedziem o długich pazurach. Jego skóra - pomyślała zaskoczona. - Jakby w jednej chwili wyschła mu skóra na twarzy.

- To czemu nie zrobisz tego już teraz? - parsknęła Szeli i odwróciła się do niego tyłem. Tamar była pełna podziwu.

- Możesz mi wierzyć, że już niedługo. Naprawdę niewiele brakuje. Pewnego dnia, jak

mnie wnerwisz, zobaczymy, jaka z ciebie bohaterka. Tak samo jak wtedy, kiedy przyszedłaś w nocy pobita i cała we krwi i płakałaś, żebyśmy przyjęli cię z powrotem. Pamiętasz, czy już zdążyłaś zapomnieć? - Szeli zaciągnęła się głęboko papierosem. Potem śledziła wzrokiem kółka dymu, które wypuściła w stronę sufitu. - Więc lepi siedź cicho i nie psuj mi nowej. A najlepiej zejdźcie obie do kuchni, żeby pomóc przy kolacji.

- Przy puree - poprawiła go Szeli. Posłał jej mordercze spojrzenie i wyszedł.

193

- Że też się go nie bałaś - powiedziała Tamar.

- A co on mi może zrobić? Jestem mu potrzebna. Nie zrezygnuję ze mnie.

- Dlaczego?

- Wiesz, ile mu przynoszę codziennie? Pięćset szekli jak w banku.

- Pięćset szekli? - ożywiła się Tamar. - Z samego śpiewania?

-Ja nie śpiewam - zaśmiała się Szeli. - Tylko parodiuję. Robię taki stand-up z parodiami piosenek. Rita, Jehudit Rawie i tak dalej.

- To dlaczego nie pracujesz sama? - spytała Tamar. - Po co oddajesz mu pieniądze?

- Bo samemu na ulicy nie jest lekko. Dwa, trzy dni jakoś idzie. Wszyscy cię tylko obserwują z daleka. Sprawdzają, czy nie jesteś podstawiona albo coś. A potem zaczyna się prawdziwy syf. Wierz mi, że próbowałam. Słyszałaś, co powiedział. Wróciłam na czworakach.

Tamar zastanawiała się nad tym, co usłyszała. Po chwili poprosiła:

- Zrób dla mnie Ritę.

- Dla ciebie? Znaczy się prywatny występ? - odparła Szeli. - No problemo. - Stała na łóżku, wzięła głęboki wdech. Tamar zaczęła się uśmiechać.

Udawała Ritę, Madonnę, a wreszcie Cypi Szawit z piosenką Wszyscy poszli dojumbo. Śpiewać nie umiała, Idan byłby nią zde gustowany, jednakże z pewnością miała talent, tryskała radością i życiem, a do tego miała zdrowy tupet, nie przepraszała, że żyje. Tamar śmiała się do łez i pomyślała, że śmiech z Idanem i Adi był zawsze zupełnie inny, wyrozu-mowany.

Wreszcie Szeli zmęczyła się i niespodziewanie padła jak długa. Zwyczajnie

wyciągnęła się na łóżku, powiedziała „bra-

194

noc", P° C2Yr przykryła się powyżej głowy, a już za chwilę chrapała.

Tamar siedziała na skraju łóżka, nieco zaskoczona tym nagtym pożegnaniem. Potem kiwnęła głową na Dinkę i szepnęła: „Idziemy”. Postanowiła zejść na dół i pomóc w kuchni, bała się trochę Pesacha, a poza tym pomyślała, że jm więcej będzie się kręcić po domu, tym lepiej go zrozumie i będzie mogła się przygotować na to, co ją czeka. Nazajutrz rano obudzili ją o szóstej. Chudy chłopak z wydatnymi bokobrodami potrząsnął nią brutalnie.

-Jazda, wstawaj. Za pół godziny odjazd.

Zdawało jej się, że nie zmrużyła oka przez całą noc. Do trzeciej nad ranem spoglądała raz po raz na zegarek w nadziei, że usłyszy, jak otwiera się zewnętrzna brama. Sądziła, że Szaj może wrócić nocą. Mógł mieć występ w jakimś dalekim mieście. Teraz niewyspana wkładała na siebie ubranie. Raptem przerwała. Tknięta przecuciem spojrzała na swój plecak. Zauważyła, że nie leży dokładnie w tym miejscu, w którym położyła go wczoraj wieczorem. Ostrożnie go przeszukała. Jednoszekłowa moneta, którą schowała wczoraj między dwiema skarpetkami, nie była na swoim miejscu. Znalazła ją po omacku na dnie plecaka i wiedziała już, że ktoś zabrał plecak nocą, kiedy już zasnęła, i szukał w nim jakichś wskazówek. Na szczęście „samarke” schowała do majtek. Na szczęście oddała do przechowalni bagażu bransoletkę z wypisanym na niej nazwiskiem.

Szeli jeszcze spała, z całej siły próbowała się skulić, być może śniło jej się, że jest drobna i delikatna. Tamar patrząc na nią, przypomniała sobie, jak Szeli ją przyjęła poprzedniego dnia, jak naturalnie zaprosiła ją do swojego pokoju, rozśmie-

195

szafa, rozmawiała z nią i nie robiła problemu ani z nieufności Tamar, ani - przede wszystkim - z dystansu, z jakim zwykle odnosi się do nowo poznanych ludzi. Jeśli komuś łatwo się ze mną żyje, to szczerze go za to podziwiam”.

Zeszła z Dinką na parter. Kręciło się tam już kilku typów, których widziała przy kolacji. W korytarzu panowała krzątanina. Pesach chodził między swoimi ludźmi jak

dowódca na odprawie przed bitwą. W ręku trzymał czerwony, wielki notatnik i przez cały czas go wertował.

_ Ty, _ Wskazał na kościstego chłopaka, który ją obudził, z bokobrodami i fryzurą na Elvisa. - Tego z kijami zabierasz do Netanii. Pół godziny na deptaku, przejeżdżasz koło starej poczty, znasz? Tam, gdzie kiedyś było kino „Szaron”? Dobrze, a potem migiem do Kfar Sawy, na plac przed domem handlowym, jak tylko skończy, raz dwa do Herzlii, do -jak to się nazywa - do „Domu Obywatela”? Z trawnikiem, przy głównej ulicy? No to tam. Tylko uważaj: jeździecie na miejscu o wpół do pierwszej i ani minuty później, rozumiesz? Zostajesz z nim dwadzieścia pięć minut i ani minuty dłużej, bo i po co? Jak długo można chodzić na szczudłach? I stamtąd jak rakietą zabierasz go na plac przed „Ordeą” w Ramat Ganę. He już masz? Cztery? Za mało. Poczekaj.

Wybrał numer na telefonie komórkowym. - Chemi? Posłuchaj, Chemi. Do której jesteś ze swoją dziewczyną w Herzlii, w „Domu Obywatela”? Jak? Czemu? Ile czasu potrzebujesz, żeby wyciągnąć chustki z nosa? Rozumiem. Słuchaj, nie ma mowy. Czary, nie czary, wychodźcie stamtąd punkt dwunasta i ani sekundy później. Czemu? Bo o wpół wsadzom tam już kogoś innego i poczebuję co najmniej pół godziny odstępu. Czemu? Jeszcze nie wiesz? No wreszcie zajarzyłeś. Brawo. To bez dyskusji! Jedziesz!

I tak dalej - organizował, rozsyłał chłopaków i dziewczyny razem z kierowcami, każdemu przypominał, co ma ze sobą

196

zabrać, wybiegł za połykaczem noży, który jak zwykle zapomniał torby z nożami, a dziewczynie, która nadmuchuje balony w różnych kształtach, kazał ustawić z boku magnetofon i puścić muzykę, bo publika chce, żeby ją „w międzyczasie” zabawiać, potem klepnął w plecy bladego chłopaka ze skrzypcami i powiedział mu, żeby starał się uśmiechać raz na godzinę, bo klienci nie lubią takiej grobowej miny. Korytarz stopniowo pustoszał, aż w końcu Tamar została prawie sama i już zaczęła się obawiać, że przyjdzie jej spędzić cały kolejny dzień w tym ponurym miejscu.

- Teraz ty, Miko, ciebie wyślemy do Hajfy. Chodź no tutaj, dzisiaj masz pasażera

special. Zabierz jom najpierw do „Karmelu”, wybierz ekstramiejsce, bo to jej pierwszy raz poza miastem. Poza tym ona jest klasa. - Pesach puścił do niego oko. - Więc delikatnie z niom, a? Potem zabierzesz jom do Newe Szaanan, do tego tam, no, centrum „Ziw” ... - mówił, a Tamar przestała go słuchać.

Miała taki wewnętrzny mechanizm, który sprawiał, że wyłączała się, kiedy świat zaczynał być dla niej przykry. Jej mamę doprowadzało to do szału - „Gdzie ty wtedy znikasz?”, „Kiedy?”, „No, kiedy masz minę jak z marmuru, a oczy ci się robią jak nie wiem co, jakby pokryte jakąś błoną, jak u papugi”.

- A jak starczy czasu, to wepchnijcie jeszcze jeden w drodze powrotnej, w Zichron Jaakow, też na deptaku. - Słyszała Pesacha gdzieś z oddali. - Ile czasu poczebujesz na występ, rybcia? Ej, obudź się! Gdzie jeździeś?

Tamar odparła, że mniej więcej pół godziny.

- Piętnaście minut nie starczy? Dobra. Dzisiaj dawaj po pół godziny, chcę, żebyś się dobrze czuła. Jutro zobaczymy, co dalej. No to tyle. Cztery występy. Na początek wystarczy.

Miko był tym samym mężczyzną, który przywiózł ją tutaj wczoraj razem z matką i ojcem Pesacha. Ruszył w stronę

197

subaru, nie odzywając się do niej słowem, a ona ruszyła 7 nim. Nie wiedziała, gdzie ma usiąść, koło niego czy z tyłu Siadła z tyłu, chociaż wiedziała, że w ten sposób on może się poczuć jak szofer, ale nie obchodziło ją to. Dinka wystawiła głowę przez okno i z przyjemnością wdychała chłodne p0. wietrze.

Tamar cieszyła się, że wyjeżdża z Jerozolimy, lubiła podróżować, być w ruchu. Miała nawet poczucie, jakby była kimś ważnym. Jakby była słynną artystką, którą wiozą specjalnym samochodem na występ. W myślach machała ręką do tłumów wielbicieli, tłoczących się wzdłuż trasy jej przejazdu, i rzucała im szklarniowe storczyki ze swojego bukietu.

Jechali w milczeniu. Tamar zastanawiała się, kiedy Miko wyjaśni jej wszystko, co powinna wiedzieć. Nie odezwał się jednak ani słowem. Bez przerwy bawił się komórką. Jazgotliwe, urywane melodyjki następowały jedna po drugiej. Przez niecałą

godzinę odsłuchał tak kilkudziesięciu różnych dzwonek dostępnych w jego aparacie, a jej omal nie pękła głowa. Raz czy dwa próbowała zadać mu pytanie, ale on ją zignorował. Kiedy Tamar miała sześć lat, mieszkała koło torów kolejowych i dzieliła wtedy wszystkich ludzi na dwie części - na tych, którzy odмахują stojącej przy torach młodej dziewczynce, i tych, którzy tego nie robią. Miko zaliczał się do tych drugich. Raz po raz spoglądał w lusterko, żeby jej się przyjrzeć. Miał czarne oczy i wprost pałace spojrzenie. Brzydził się nią, choć nie wiedziała dlaczego, a w pewnej chwili przestało ją to w ogóle obchodzić.

- Teraz posłuchaj - odezwał się nagle szorstko. - To idzie tak. Odstawiam subaru na ulicy koło centrum. Pokręcisz się jakieś dziesięć minut i zaczynasz występ. Jak mnie zobaczysz między ludźmi, nie dajesz po sobie poznać, że się znamy. A już tym bardziej, jakby ktoś cię pytał. Nic o mnie nie

198

. sZ przyjechałaś do Hajfy wczoraj w nocy, autobusem, snałaś na dworcu. Z nikim nie rozmawiałaś. Jasne? Tamar pokiwała głową, nie patrząc na niego. _ Kończysz śpiewać... Ty śpiewasz, tak? -Tak.

- Kończysz śpiewać, zbierasz kasę, kręcisz się jeszcze jakieś pięć, dziesięć minut, ale tylko po bocznych uliczkach, nigdy po głównej, zrozumiano?

-Tak.

- Mija dziesięć minut, idziesz do samochodu i odjazd. Jasne?

-Jasne.

-Jeszcze jedno: jak będzie policjant albo coś podejrzanego, nie zbliżasz się do wozu. Jeśli mnie widzisz, przechodzisz obok jakby nigdy nic. Powietrze. Wsiadasz tylko, jak teren jest czysty na tysiąc procent. Wszystko.

Wjechali w małą spokojną uliczkę prowadzącą w dół, w stronę morza. Tamar widziała niskie domy i alejkę wysadzoną rzędami cyprysów i pinii, które ocieniały ulicę. Miko zaparkował samochód, włożył nawet kartę parkingową. Tamar przypuszczała, że to też robi wyłącznie po to, by uniknąć wszelkich zatargów z policją.

- Teraz tak: tu jest ulica Cyprysowa, zapamiętaj nazwę. Na rogu jest supermarket i

fitness club. Nie zapomnij. Jazda, zmykaj.

I tak, bez błogosławieństwa na drogę, bez niczego, wyszła na ulicę.

Kiedy zaczęła śpiewać, natychmiast dostała chryпки i musiała przerwać na kilka minut. Bała się, że zaraz zedrze sobie głos. Kiedy już odzyskała czyste brzmienie, pomyślała, że nie

199

powinna się przyzwyczajać do śpiewania bez rozgrzewki Na dłuższą metę to może jej zaszkodzić. Jednakże słowa „na dłuższą metę” wydały jej się puste i jakby zupełnie jej nie dotyczyły - bo teraz wszystko było dla niej jedynie tymczasowe.

Zaczęła znów, zaśpiewała Twoje czoło w koronie czerni i Wystrzegaj się, ale nie była zadowolona ze swojego śpiewu Nie utożsamiała się ze słowami i chociaż się starała, nie mogła odbić się od ziemi. To ją trochę zmartwiło. Bała się, że Pesach dowie się od Mika i z miejsca ją zwolni. Ta myśl nie dawała jej spokoju: że jej los może zależeć od „fachowej” oceny Mika! Wiedziała też dokładnie, dlaczego jej nie idzie: kiedy śpiewała w Jerozolimie, ulica prawie zawsze ją ekscytowała, poza tym ani na chwilę nie traciła z oczu swojego celu, śpiewała tam z radosnym poczuciem wolności. Teraz, mając za sobą całą machinę Pesacha, czuła się jak kanarek w klatce.

Na zakończenie zaśpiewała w języku ladino pieśń Los Biblicos, którą publiczność znała jako Kwitnącą różę, i proste ciepło tej melodii dodało jej nieco życia, ludzie wokół zaczęli się do niej uśmiechać, znów wezbrało w niej poczucie swojskości, dlatego zaśpiewała dla nich, nadprogramowo, Marionetki Lei Goldberg - piosenkę, którą znała z nagrania Achino-am Nini, swojej ulubionej piosenkarki. Jej głos rozbrzmiewał teraz w tanecznych podskokach: „Gdy na chwilę wyszli z balu /Tak banalni, jak z żurnalu / Światła skąpił im niestety/ Latarni rząd przybrany pstro / Mimo chodem się spotkali / On coś mówił - ona wcale / Ech, Pieretta, / Ech, Pierrot...”

Uśmiechnęła się oczami do młodego, bosego mężczyzny, który stał w pobliżu i jak zaczarowany chłonał jej głos. Był zaskoczony jej uśmiechem, zaintrygowany podszedł bliżej. „Może jednak nie Pieretta - śpiewała do niego, przewracając oczami. - Może tylko odblask jej / Marionetka nie kobieta, / Może to jej własny cień...” Z

entuzjazmem bili jej brawo, prosili o jeszcze, ale ona nie miała ochoty śpiewać dalej.

Chciała

200

uż stąd jechać, zrozumieć, co naprawdę dzieje się wokół niej, jakim przedstawieniu bierze udział i na czym dokładnie polega jej rola.

Kiedy skończyła, mężczyzna podszedł do niej. Był to właściwie chłopak, szczupły i delikatny, ubrany w galabiję, i koralikami we włosach, a oczy płonęły mu żywym ogniem. Powiedział, że musi ją natychmiast zabrać ze sobą do Galilei: zna tam jaskinię o tak doskonałej akustyce, jakby była specjalnie dla niej stworzona.

Koniecznie musi jej tam posłuchać. Kiedy powiedział Jaskinia", przez chwilę przypomniła sobie własną, z materacem, składanym fotelem, gitarą opartą o ścianę - kto wie, czy uda jej się tam kiedykolwiek dotrzeć. Kto wie, czy zdoła sprowadzić tam Szaja. Uśmiechnęła się do niego uprzejmie i pokręciła głową. On jednak nie dawał za wygraną:

- Chodź tylko zobaczyć. - Chwycił ją nagle za ramię i lekko pogładził dłonią. - Bóg stworzył ją wyłącznie dla twojego głosu. Co na to powiesz, kwiatuszku, żeby zaśpiewać tam dla mnie tylko jedną piosenkę...

Tamar siłą strząsnęła jego rękę z ramienia. Jej szaronie-bieskie oczy stały się nagle stalowe:

- Zostaw mnie, powiedziałam!

Wtedy spojrzał na nią, dostrzegł coś, co kazało mu się wycofać, i odszedł.

Jeszcze przez kilka minut kręciła się po bocznych ulicach. Czowała się jak skazaniec, którego przenoszą z jednego więzienia do drugiego. Wokół niej chodzili i rozmawiali przechodnie, jeździły samochody, codzienność była tak blisko, dosłownie na wyciągnięcie ręki. Patrzyła na wszystko jak przez szybę. Później, w samochodzie, Miko nawet na nią nie spojrzał. Wręczyła mu woreczek z pieniędzmi. Zważył go w ręku.

201

- To wszystko?

- Tyle dali - odpowiedziała, zła na siebie. „Czemu ja się przed nim tłumaczę?"

- Bo jak sobie coś zatrzymałaś, to koniec z tobą, wiesz. Mamy swoje sposoby, żeby sprawdzić.

- Nic nie wzięłam - powiedziała spokojnie, patrząc mu prosto w oczy, tak że musiał odwrócić wzrok.

Zapуścił silnik. Znów jechali w milczeniu. Tamar starała się zrozumieć, o co tu chodzi. Podczas występu widziała co jakiś czas, jak Miko przechadzał się między ludźmi, którzy jej słuchali. Nie rozumiała, przed czym mają chronić ani skąd ten paniczny strach przed policją. I z jakiego powodu Pesach tłumaczył komuś rano przez telefon, że potrzebuje „pół godziny odstępu”? Skupiła się. Kiedy naprzykrzał jej się ten człowiek od jaskini, Miko nie przyszedł jej z pomocą. W takim razie na czym właściwie polega jego rola? To się nie trzyma kupy. Zawieźli ją do Hajfy, ostrzegli, nastraszyli, zaśpiewała, nic nadzwyczajnego się nie stało, a teraz wiozą ją na inny występ. Po co to wszystko?

Wtedy wezwała na pomoc swojego ojca. Żeby jej nieco pomógł przynajmniej w tym, na czym się zna. Koszty inwestycji. Opłacalność. Rentowność. To jego mantry. Jego małe pancerze. Pomyślała o pięciuset szeklach dziennie, które zarabia Szeli. No dobrze, teraz przyjmijmy, że nie każdy zarabia tyle co Szeli. Założmy, że każdy z artystów zarabia średnio - zaczęła obliczać w myśli. Zaplątała się. Cyfry zawsze robiły jej mętlik w głowie. Jej brzuch protestował przeciwko tym kalkulacjom. Ich kalkulacjom. Ale nie poddawała się. Zamknęła oczy i liczyła dalej. Pomnożyła przez liczbę chłopców i dziewczyn, których widziała tego ranka na korytarzu. I wtedy otworzyła szeroko oczy: doszła do mniej więcej dziesięciu tysięcy szekli dziennie. Masa pieniędzy. Ale czegoś tu nadal brakowało.

202

Występ w centrum „Ziw” również przebiegł spokojnie. Tu śpiewało jej się jeszcze gorzej, była pochłonięta rozwiązywaniem tej dręczącej zagadki, a mimo to aplauz publiczności był jeszcze większy. Nie umiała sobie tego wytłumaczyć. Raz tak, a raz inaczej. I za każdym razem było to dość przygnębiające - bo brawa uświadamiały jej to tylko, jak wielka przepaść ziele między tym, co czuje ona sama, a tym, jak rzecz się przedstawia w oczach innych. Chociaż to akurat nie było dla niej niczym nowym:

przygnębienie, jakie zwykle ogarniało ją po koncertach, kiedy otaczające zewsząd ciepło tym bardziej uwydatniało jej osamotnienie i przytłaczające poczucie, że nikt jej nie rozumie.

Jak to powiedział Szaj dwa lata temu, po jakiejś chałturze - „Czasami bardziej człowiekowi ubliża to, że go lubią z niewłaściwych powodów, niż gdyby go nie znosili ze słusznych”.

Jak zwykle, ludzie podchodzili, ściskali jej dłoń ze wzruszeniem, zadawali pytania, niepokoili się o nią, i było jej miło, że tak się nią przejmują. ■

Tam akurat zjawił się policjant. Daleko, na uboczu. Był jednak zajęty elegancko ubranym jegomościem, który mówił coś podekscytowany, wymachując rękami, widocznie relacjonował jakieś okropne zdarzenie, coś, co mu się przytrafiło. Policjant słuchał, notował i w ogóle na nią nie patrzył.

- Tym razem poszło trochę lepiej - wymknęło się jej, kiedy wręczała Mikowi pieniądze, i zawstydzila się, że tak jej zależy na tym, by go zadowolić.

Przez całą dalszą drogę wyrzucała sobie, że wypowiedziała to zdanie. „Tym razem poszło trochę lepiej”. Co lepiej, co? Że więcej ci zapłacili? Akurat poprzedni występ był nieco lepszy. Więc jak? Jeśli tam nie zapłacili za wiele, to znaczy, że było gorzej? A jeśli zarabiasz mniej niż Szeli, to znaczy, że jesteś mniej warta? Lizuska.

203

Po raz pierwszy, odkąd wyszła na ulicę, miała poczucie że naprawdę się sprzedaje. Poprzysięgła sobie, że już nigdy przenigdy nie będzie się tłumaczyć z tego, że mało zarobiła Ani przed Mikiem, ani przed Pesachem i jemu podobnymi i w ogóle - przed nikim na świecie. Usiadła prosto na tylnym siedzeniu i zadarła brodę. Ten ruch przypomniał jej Teodorę - Tamar zaczerpnęła od niej siły i powiedziała sobie: „Moim zadaniem i przeznaczeniem jest śpiew. Cała reszta - to ich interes”.

Na przepięknej promenadzie w Bat Galim zaśpiewała *È doce morrer no mar*, po portugalsku. Właściwie nie pracowała nad tym wcześniej, ale w chwili, kiedy zobaczyła z bliska morze, zaczęło w niej ono rozbrzmiewać, a Tamar popłynęła na falach jego melodii i zaśpiewała ją całkiem swobodnie, jak doświadczona, dojrzała piosenkarka. Następnie wykonała gwałtowny zwrot i z dobrze już sobie znaną,

„slalomową” przyjemnością, wybuchnęta dźwiękami Beni, Beni, ty łobuzie. Jej ręce wyskakiwały na boki jak płomyki ognia, tańczyła tak, jak nigdy dotąd nie ośmieliła się tańczyć na żadnej imprezie. Była jak Riki Gal na scenie, żywiołowa, kipiąca życiem, z aureolą blond włosów rozplywającą się w obłokach fioletowego dymu... Chłopak z dziewczyną, niewiele starsi od niej, być może dwoje żołnierzy na przepustce, zaczęli zapamiętali tańczyć koło niej. Śpiewała dla nich, pobudzała ich do podskoków, sama tańczyła przed nimi. Wreszcie zrozumiała coś, czego pani Halina nie zdołała jej nauczyć przez wszystkie lata - że nie powinna uciekać przed uczuciem, jakie budzi w słuchaczach, patrząc w pustą przestrzeń za nimi, jak gdyby nie miała nic wspólnego z tym, co sama w nich wywołuje. Rzeczywiście, odkąd wyszła na ulicę, z występu na występ nabierała

204

miałości. Nie wahała się patrzeć im prosto w oczy, uśmie- hać się, przekazywać im światło, jakie ma w sobie. Zdarzyło •ej się już, i to nie raz, śpiewać całą piosenkę dla jednego człowieka z publiczności, takiego, który się jej podobał i sprawiał wrażenie, że piosenka do niego trafi. Skupiała na nim wzrok, nieco uwodzicielsko, i czasami czuła, że wprawia go w prawdziwe zakłopotanie swoim dojrzałym i przeszywającym spojrzeniem.

Ekscytowała ją myśl, poczucie, że każdy z nich stara się odgadnąć, kim ona jest, kim jest naprawdę. Jaka jest jej historia. Również to było zupełnie inne niż występy z chórem, w gronie grzecznych dziewczynek w jednakowych strojach. Na ulicy bowiem czuła, wręcz fizycznie, na własnej skórze, tak że aż ciarki chodziły jej po plecach, jak ludzie na nią patrzą, starając się ją rozgryźć, a ich wyobraźnia snuje rozmaite historie i fantazje na jej temat: że jest biedną, wykorzystywaną sierotą, która musi w ten sposób zarabiać na życie; że jest wokalistką zespołu rockowego z jakiejś zapadłej angielskiej miejsciny, zakochała się w chłopaku z Izraela, a on ją porzucił i teraz dziewczyna musi zarobić na bilet powrotny; że jest najnowszym odkryciem warsztatów dla młodzieży w paryskiej operze i odbywa podróż incognito po mało znanych, prowincjonalnych krajach, żeby przejść „chrzest bojowy”; że jest chora na raka i przez ostatni rok, jaki jej pozostał, postanowiła zasmakować burzliwego życia

ulicy. Że jest prostytutką, a w ciągu dnia śpiewa takim czystym głosem...

Było coś fascynującego w tym występie nad brzegiem morza, w domysłach i fantazjach, które rozbudzały jej temperament i dodawały jej śmiałości w śpiewie.

Naraz uświadomiła sobie, że po raz pierwszy w życiu zgrzała się od śpiewania, i sprawiło jej to taką przyjemność, że chociaż Miko raz i drugi dawał jej już znaki, że ma kończyć, postanowiła

205

zaśpiewać jeszcze jedną piosenkę, ignorując jego zabójcze spojrzenie. Zaśpiewała Głupią Eti Ankri, obejmując się rękami i kołysząc w rytmie morskich fal i przewrotnie łagodnej melodii, kryjącej w sobie jadowite żądła słów, które bardzo do niej przemawiały: „Nierozumna, głupia, płocha, / Dokąd doszłaś

- tylko popatrz. / Nie uciekniesz stąd - posłuchaj, / Płocha, nierozumna, głupia!..."

Tamar tańczyła, kręciła piruety - lekko, zwiewnie, zapamiętując się w gorzkiej rozkoszy: „Czerp ze studni snów swych do dna / Stron dalekich byłaś głodna / Teraz cierpisz, bo w śnie zdroju / Nie masz, nie masz już spokoju..."

Później, kiedy wszyscy się rozeszli, zobaczyła, że jakaś starsza, tęga kobieta z przerażeniem w oczach krąży nerwowo wokół miejsca, gdzie śpiewała Tamar, i szuka czegoś na ziemi, w krzakach, pod ławkami:

- Tu, tu ja stała - wymamrotała kobieta, kiedy uniosła wzrok i zobaczyła przed sobą Tamar. - Może upadła? Może zabrali? Ale jak? Powiedz mi, jakże to? Jak? Ja tu była tylko chwileczkę, żeby posłuchać piosenki, nagle patrzę - nie ma, nie ma!

- Czego nie ma? - spytała Tamar, a serce podeszło jej do gardła.

- Portmanietki, tam byli wszyscy moi piniendze i daku-mienty. - Miała pucółowatą, czerwoną twarz, wokół wydatnego nosa widać było siatkę drobnych żyłek, a na jej głowie wznosiła się wieża pofarbowanych na jasny blond włosów.

- Dzisiaj ja dostała trzysta szekli od szefa, na wesele mojej córki. Trzysta! A on nigdy nie daje takich pieniędzy! I wot tu ja usłyszała ciebie, tylko na chwilę stanęła, oj, ja idiotka! Teraz nie ma, nie ma nic! - Głos jej zamarł na ustach z żalu i zdumienia.

Tamar natychmiast oddała jej wszystkie pieniądze, jakie zebrała do czapki.

_. Niech pani weźmie!

- Nie, nie nada! Nie wolno! - Kobieta drgnęła, dotknęła ze współczuciem drobnej ręki dziewczyny. - Nie wolno... Tobie potrzeba na jedzenie... Małeńka... cyplionok, ty mnie dajesz? Nie, niedobrze...

Tamar wcisnęła jej pieniądze do ręki i uciekła, przemknęła wzdłuż plaży jak tornado. Po wejściu do samochodu powiedziała od razu:

- Nie ma pieniędzy. Nie ma nic. Było mniej więcej siedemdziesiąt szekli, ale dałam tamtej kobiecie.

Sporunował ją wzrokiem.

-Jakiej kobiecie?

-Tamtej Rosjance, którą okradłeś.

Zapadło milczenie. Potem Miko odwrócił się do niej. Obracał się bardzo powoli, aż w końcu zobaczyła przed sobą całą jego twarz. Wszystko działo się w zwolnionym tempie. Wokół panowała niezmacona cisza. Tamar zobaczyła głęboką bruzdę na jego młodym czole. Krótkie kręcone włosy i cienkie wargi.

Wtedy ją uderzył. Jeden policzek. I jeszcze jeden. Odrzuciło ją najpierw na prawo, a potem na lewo. Dinka podniosła się i zaczęła groźnie warczeć. Tamar położyła rękę na głowie suki, aby uspokoić i ją, i samą siebie. Świat zawirował jej przed oczami, rozsypał się i z wielkim trudem składał z powrotem w całość. Słyszała, że już jadą. Krajobraz za oknem pędził jak szalony. Zobaczyła plecy Mika, umięśnione, skurczone, napięte, z całej siły zacisnęła wargi, naprężyła mięśnie brzucha, lecz mimo to po policzkach popłynęły jej łzy. „Nierozumna, płocha, głupia”, nuciała w kółko, a słowa te zmieniły się w jeden, ciągły dźwięk, jak wycie syreny alarmowej, a potem krzyk. Na zewnątrz nic nie było słychać, zanurzyła się w sobie, odcinając się od całego otaczającego świata, od

nieznośnego nawarstwienia zdarzeń, które były ponad jej siły Uciekła. Nikt tego nie zauważył. Schroniła się w przestronnym pokoju, gdzie znajdował się fortepian i pani Halina. To był azyl, jakiego teraz potrzebowała. Drobna pani Halina o bystrym,

roziskrzonym spojrzeniu, w okularach, które zjeżdżały jej zawsze na czubek długiego nosa. Pani Halina, która składa swoją drobną, władczą dłoń w piastkę, rozkazując Tamar, by skierowała głos na sam koniec kciuka, na jej paznokiec pociągnięty czerwonym lakierem: „La!” - śpiewa Tamar w myślach, w najwyższym skupieniu. „Nie! - odpowiada śpiewem pani Halina. - Mój kciuk w o-gó-le cię nie czu-je!”, „La...”, Jeszcze większy re-zo-nans...”. I to jej pomaga, działa jak masaż, wypełnia pustkę w głowie, sprawia, że dźwięki napływają tam niby ciepła krew, przynoszą ukojenie, przypominają jej, do jakiego świata naprawdę należy i gdzie naprawdę może być w pełni sobą.

Po chwili czuje na sobie jego przeszywające spojrzenie w lusterku.

- Ostatni raz powiedziałaś to słowo. Zrozumiano? Ostatni raz w ogóle przyszło ci to do głowy. Jesteś winna Pesacho-wi siedemdziesiąt szekli, sama to z nim załatwisz. Ale jak jeszcze raz powiesz coś takiego, koniec z tobą. Tak cię urządzę, że rodzona matka cię nie pozna...

Dalej jechali w zupełnym milczeniu. Głowa bolała ją od ciosów, dusza krzyczała, a policzki płonęły od uderzeń i wstydu. Chyba już od dziesięciu lat nikt nie podniósł na nią ręki. Kiedy była mała i mama zdenerwowana uderzyła ją w policzek, tata zawsze czym prędzej stawał między nimi. A raz, kiedy mama straciła panowanie nad sobą (Tamar już nie pamiętała, jaki jej wybryk doprowadził do tego wybuchu)

208

i zaczęła ją gonić po domu, usłyszała, jak tata krzyczy ze swojego gabinetu: „Nie po twarzy, Talma!” i wśród szalonej go-nitwy poczuła gorącą falę wdzięczności za to, że stanął w jej obronie.

Teraz pomyślała, że mógł się po prostu obawiać, że zostaną ślady.

Zawsze ten jego wielki strach: że ktoś zobaczy.

Zmuszała się, by nie myśleć o tym, co się właśnie zdarzyło. Wiedziała, że jeśli o tym pomyśli, rozplacze się. Mobilizowała się do działania. Wyteżała mózg, gorączkowo obliczając: jeśli Miko kradnie podczas każdego jej występu dwa, trzy portfele, jeśli każdego dnia występuje w czterech, pięciu miejscach, a będą też dni, kiedy wystąpi nawet dziesięć razy, jeśli w „Domu Artystów” mieszka dwadzieścia, trzydzieści osób,

albo pięćdziesiąt, i niech w każdym portfelu będzie sto, dwieście szekli, a czasami nawet tysiąc - zaczęło jej się kręcić w głowie. Drobnny cwaniaczek, który wyszedł na swoje. A może wcale nie taki drobnny. Jej pobieżne obliczenia dały dziesiątki tysięcy szekli dziennie. Wydało się jej to absurdalne, ale kiedy policzyła jeszcze raz, znów doszła do sum tego rzędu. Poczowała, że dłonie jej się pocą. Próbowała sobie to przełożyć na bardziej zrozumiały język. Wyglądało na to, że Pesach w ciągu półgodziny zarabia więcej niż ona w przez cały rok pracy u Teodory.

Do Zichron Jaakow dotarli o piątej wieczorem. Tamar była wyczerpana i przygnębiona. Z trudem wygrzebała się z samochodu. Nie wierzyła, że zdoła stanąć przed obcymi ludźmi, zaśpiewać i nie rozplakać się przy tym.

Ale wyszła. To był występ, musiała stanąć przed publicznością. To nie miało nic wspólnego z Mikiem, Pesachem i całym bagnem, w które próbowali ją wciągnąć.

Masz śpiewać, to śpiewaj. Bez względu na okoliczności. A jeśli nie znajdu-

209

jesz w sobie dość sił, zrób to dla pani Haliny, ona nie wyba. czyłaby ci, gdybyś się poddała: „Czy aktor, który pokłócił się w domu z żoną, może być w dobrym nastroju, żeby się wcielić w Hamleta? A jednak, mimo wszystko, to robi!”

Poczłapała na deptak, pokręciła się tam kilka minut obejrzała wystrojone witryny sklepów, w których widziała własną postać, chudą, łysą dziewczynkę o wielkich oczach i ustach, które dzisiaj miały kształt odwróconej kosy.

Szła, mijając pojedynczych ludzi, małe i większe rodziny. Zaczął wiać lekki wieczorny wiatr. Dzieci dokazywały, goniły się, rodzice wołali na nie od niechcenia, żeby przestały. Tamar niepostrzeżenie poddała się dyskretnemu urokowi tej chwili.

„Dokąd doszłaś - tylko popatrz”. W gwarным ogródku przed kawiarnią siedział przystojny mężczyzna, młody ojciec z pięcio- czy sześciolatkiem. Dziecko poprosiło ojca, by mu dał poczytać leżącą na stole gazetę, ale nie wiedziało, jak się przewraca strony. Chłopiec zaplątał się, wielka gazeta przylgnęła mu do twarzy, a wtedy malec wybuchnął gromkim śmiechem. Tata wyjaśniał mu cierpliwie, jak się to robi, i kilkakrotnie zademonstrował właściwe ruchy.

Łącząca ich nić miłości sprawiła, że Tamaromal nie postąpiła o krok do przodu i nie

poprosiła ojca, by pozwolił jej zostać już na zawsze opiekunką jego dziecka. Znała przecież piosenki z Dźwięków muzyki Poczuli palącą tęsknotę za Nojku, za jej zaraźliwą radością życia, za ich wspólnymi wybrykami, za tym, jak wyglądała kuchnia, kiedy piekły razem placek-niespodziankę dla jej mamy, i za tym, jak występowały razem na łóżku Lei, przy muzyce włączonej na cały regulator, z minami brutalnych wokalistek rockowych z więzienia stanowego dla kobiet w Ohio, a Nojku miała wtedy najwyżej trzy lata! Wspaniale będzie na nią patrzeć, jak skończy najpierw siedem, potem siedemnaście lat, Tamar będzie mogła zostać

210

. • najlepszą przyjaciółką, siostrą, przewodniczką, najbliższą osobą- Natychmiast zapisała sobie w pamięci pilne pytanie do Teodory, jedną z tych kwestii, o których tylko z Teo dało się porozmawiać: jeżeli człowiek, nieważne kto, postanawia zakuć się w pancerz i szczelnie się w nim zamknąć, zamknąć swoją duszę, tylko na pewien czas, żeby wykonać określone zadanie, nieważne jakie, to czy po osiągnięciu celu będzie mógł na powrót stać się sobą, być dokładnie taki jak przedtem?

Spóźniona, powłócząc nogami, dotarła na wcześniej ustalone miejsce, na chodniku przed Domem Aaronsonów, koło krzewu winorośli, posadzonego w wielkiej beczce po smole. Znalazła dla Dinki wygodne miejsce do leżenia, tak by nie tracić z nią kontaktu wzrokowego. Potem stanęła pośrodku kręgu, jaki w wyobraźni zakreśliła wokół siebie, pochyliła głowę, zaczęła wczuwać się w atmosferę występu. Było to prawie tak trudne jak za pierwszym razem, milion lat temu, na deptaku wjerezolimie.

I wtedy niespodziewanie - zaskoczyło to nawet ją samą - otworzyła usta i zaśpiewała. Śpiewała głośno, głośniejsz niż zwykle. Jej śpiew rozbrzmiewał gdzieś daleko, poza nią samą i z dala od wszystkiego, co się zdarzyło. Pozostał tak dźwięczny i czysty, że wprost nie mogła w to uwierzyć. Wydało jej się nawet nieco zdumiewające, że głos może być tak niezależny od tego, co przeżywała. Dwie pierwsze piosenki zaśpiewała zupełnie otepiała, skupiona głównie na wysiłku, by się nieco zbliżyć do swojego głosu, sprawić, by znów stał się jej własny. Dziwne doświadczenie. Pierwszy raz w życiu miała do niego żal, że chce pozostać czysty, podczas gdy ona nurza się w

brudzie. Prawie się nad tym nie zastanawiając, zmieniła wcześniej ustalony plan i zaczęła śpiewać Kurta Weila - pani Halina nazywała

211

jego piosenki „antyludzkimi” - zaśpiewała o Jenny, zrozpaczonej, wykorzystywanej pokojówce i prostytutce zarazem która marzy, by do portu w jej mieście zawinął okręt o ośmiu lśniących żaglach, uzbrojony w pięćdziesiąt pięć dział i z dziesiątkami piratów na pokładzie, by zarzucił kotwicę naprzeciwko przekłętego hotelu, w którym ona pracuje, a potem huraganem ognia zmiotł z powierzchni ziemi całe miasto wraz z hotelem i wszystkimi, którzy się nad nią pastwili. Tamar wielokrotnie już śpiewała tę piosenkę, lecz tym razem melodia od razu spłynęła do samych jej korzeni, Tamar wiedziała, że śpiew dobywa się teraz z zupełnie innego miejsca w niej samej, z podbrzusza, z ziemi. Wyobrażała sobie, że śpiewa razem z Marianne Faithful, od której się nauczyła, jak należy śpiewać Jenny. Marianne Faithful, którą uwielbiał Szaj, a najbardziej podobało mu się, jak śpiewała po rzuceniu narkotyków. Kiedyś słuchali razem u niego w pokoju jej przepalonego, ochrypłego głosu, a Szaj powiedział, że tak może śpiewać tylko ktoś, kto naprawdę spalił się w życiu. Tamar pomyślała wtedy z żalem, że ona pewnie nigdy tak nie zaśpiewa, bo właściwie co takiego w jej życiu może się zdarzyć?

Jej ręce zaczęły się poruszać, a twarz, ta sama twarz, na którą niedawno spadły uderzenia, znów nabrała wyrazu. Głos krążył w jej ciele niczym krew, ożywił ręce, brzuch, nogi. Zdjął ciężar z jej piersi. Gorące kółka wirowały wokół jej ciała, a ona kręciła nimi uwodzicielsko, lekko odurzona. Śpiewała dla siebie, tylko dla siebie, nie miało to już prawie żadnego związku z ludźmi dookoła, a oni to wyczuli i chyba właśnie dlatego zbiegli się, by zobaczyć, co się z nią dzieje. Ona jednak nie zwracała na nich uwagi, jakby znaleźli się przy niej tylko przypadkiem. Śpiewając, straciła swój głos głęboko w najmroczniejsze otchłanie swojego wnętrza, w miejsca, z których nigdy dotąd nie odważyła się śpiewać, w dodatku

212

tak fatalnie ochrypłym, przepalonym i zdartym głosem. Teraz się do nich dostała, unurzała się w nich razem ze swoim głosem, aż wreszcie zbrukana, pełna tłumionego

płaczu, samotności i jadu, poczuła, że jej głos wzbija się w górę, wydostaje się stamtąd, uwalnia się od niej i powoli pociąga ją za sobą coraz wyżej, unosi taką, jaka jest teraz, wraz ze wszystkim, co utraciła przez ostatni rok, i tym, co zaczęło w niej dopiero kiełkować, pomału, na przekór wszystkiemu.

Widziała jak przez mgłę, że wokół niej gromadzi się coraz więcej ludzi. Istny tłum. Jeszcze nigdy nie miała tak licznej publiczności. Śpiewała już ponad pół godziny, ale nie potrafiła się rozstać - nie z nimi, lecz z tym nowym miejscem w sobie, które właśnie odkryła.

Na zakończenie zaśpiewała swoje solo, to, które jej odebrano, swoje ulubione solo ze Stabat Mater Pergolesiego. Właśnie tym chciała zakończyć, czystymi dźwiękami, przejrzystymi jak kryształ. I tym razem nikt się nie śmiał, a śpiew stał się dla niej czymś jedynym, samoistnym, stanowił z nią jedno. Nawet tysiąc lekcji nie pomogłoby jej tak namacalnie się o tym przekonać: głos był jej miejscem na świecie. Domem, z którego wychodzi i do którego powraca, gdzie może być sobą w całej pełni i liczyć na to, że będzie kochana ze względu na to, kim jest, pomimo tego, kim jest. „Gdybym stanęła przed wyborem, czy mam być szczęśliwa, czy dobrze śpiewać - napisała kiedyś, mając czternaście lat, w swoim dzienniku - nie mam cienia wątpliwości, co bym wybrała”.

Nastąpiła jedna, cudowna chwila wewnętrznego spokoju, zaraz potem Tamar zaczęła się budzić i przypomniała sobie, gdzie się znajduje. Zobaczyła kędzierzawą głowę Mika, który powoli przechadzał się między rzędami słuchaczy, więc natychmiast zacisnęła powieki z całej siły i śpiewała dalej, wiedząc, że jej głos sprawia właśnie teraz, że ktoś z publicz-

213

ności zapomni się na chwilę. A wiedząc, co to oznacza, zdławiła w sobie myśl o „współdziale w przestępstwie” i śpiewała dalej.

Kiedy skończyła, omal nie upadła, tak bardzo zakręciło jej się w głowie z emocji. Zwolnionym ruchem położyła czapkę na ziemi. Kucnęła z boku i całym ciałem przyłgnęła do Dinki, by zaczerpnąć od niej sił. Ludzie tłoczyli się wokół niej. Krzyczeli „Brawo!”. Pieniądze całkowicie zakryły czapkę i po raz pierwszy w jej

kariery zazieleni! się tam również banknot dwudziestoszekłowy. Zebrała wszystko do plecaka, ale oni prosili o więcej. Krzyczeli do niej rytmicznie, wszyscy razem: Jeszcze! Jeszcze!"

Nie miała już siły, przetaczało się przez nią zbyt wiele emocji, a oni, chociaż to widzieli, nie dawali za wygraną. Wiedzieli, że teraz dostaną jej popisową piosenkę, to, co najlepsze, najsmaczniejszy kąsek. Zarumieniła się zmieszana, cała spocona, jakby osiadła na niej rosa. Oni bili brawo, a ona się śmiała. Wkroczyła w inną przestrzeń, w domenę publiczności, w groźną dla niej sferę podniecenia i ekscytacji. Bo kiedy występowała z chórem, była szczelnie osłonięta, chroniona ze wszystkich stron przed wewnętrznym rozbiciem i uczuciem ośmieszenia, które czasami mogą się pojawić w takiej chwili. W niektórych salach opada nawet kurtyna, by zakryć przed oczyma publiczności to odurzenie, jakie następuje po występie. Tu nie było kurtyny. Tamar stała pośród nich, oni karmili się bezwstydnie czymś, co w niej widzieli, a czego istnienie mogła sobie uświadomić dopiero, kiedy to z niej tak wysysali. I była w tym „wysysaniu” tak ekscytująca siła, że Tamar przestraszyła się, czy przypadkiem nie dała z siebie zbyt wiele i czy coś nie zostało jej bezpowrotnie zabrane.

Dlatego na bis zaśpiewała krótką i całkiem zwyczajną piosenkę, francuską piosenkę dla dzieci, o pasterzu i paster-

214

pasterz znalazł małego koziołka w dolinie i zwraca go pasterce pod jednym, drobnym warunkiem, że pocałuje go ona w policzek. Ta piosenka ją otrzeźwiła. Przywróciła ją sobie. Tamar zobaczyła, że Miko oddała się lekkim krokiem, z wypchanymi kieszeniami spodni. Zlustrowała wzrokiem publiczność. Skąd tym razem rozlegnie się krzyk? Poczwała w sercu ukłucie winy. Jak ona wytrzyma, by się nie wypowiedzieć, tu i teraz, wobec nich wszystkich? Jednakże postawiła sobie cel. Ma swoją rolę do odegrania. Powtarzała to w myślach, śpiewając niewinną piosenkę, i dzięki temu udało jej się pozostać niewinną, słodką i czarującą. Tylko bogate doświadczenie zdołało powstrzymać ją przed zaśpiewaniem tego, co ktoś wykrzykiwał w jej wnętrzu na całe gardło: „Jak możesz, i to ty, ze swoimi zasadami i przy twoim krytycznym nastawieniu do całego świata...”

- Nieźle - zachichotał Miko, kiedy podała mu woreczek z pieniędzmi, trzymając go tak, jakby był zakażony jakąś chorobą. - Czegoś się jednak nauczyłaś. Tylko następnym razem bardziej się streszczaj. - Przeliczył pieniądze w milczeniu. - Wow - mruknął, patrząc na nią w lusterku. - Skasowałaś sto czterdzieści. Będziesz tu przyjeżdżać codziennie.

Odwróciła od niego głowę ze wstrętem. Bała się, że zaraz zwymiotuje. Na siedzeniu obok niego leżał otwarty brązowy portfel. Mignęła jej przed oczami umieszczona w nim mała fotografia, zdjęcie tamtego roześmianego chłopczyka z kawiarni.

Zaczęła już wątpić, czy kiedykolwiek spotka Szaja. Tydzień po tym, jak dotarła do opuszczonego szpitala, rozumiała już dokładnie, o czym mówiła Szeli pierwszego dnia: dała się wciągnąć. Niekiedy zapominała na wiele godzin, dlaczego

215

i dla kogo tam się znalazła. Prawie nie myślała o swoim wcześniejszym życiu: niczym linoskoczek, któremu nie wolno patrzeć w dół, w otchłań pod stopami, odegnała od siebie wszelką myśl o rodzicach, ludziach, których kochała, o chórze, a nawet o Idanie. Przez ten tydzień zjechała tysiące kilo-metrów, cały kraj. Naliczyła dziewięciu różnych kierowców dotarła do Beer Szewy, Safedu, Afuli, Aradu i Nazaretu. Nauczyła się jeść w czasie jazdy bez zawrotów głowy i nudności spać, kiedy to tylko było możliwe, skulona jak zmięte ubranie na tylnym siedzeniu. Nauczyła się też śpiewać pięć, sześć, siedem razy dziennie, nie zdzierając sobie gardła, a przede wszystkim - trzymać język za zębami.

Ona i jej długi język. Miko zaczął ją wychowywać, wymierzając jej tamte dwa policzki. Później nauczyła się, że z chłopakami i dziewczynami też nie o wszystkim można rozmawiać, i tak, jak ją przestrzegała Szeli, trzeba być bardzo ostrożnym z pytaniami. Bo każdy, kto trafił do tego domu, był człowiekiem w taki czy inny sposób pokiereszowanym przez życie. Każdy uciekł przed jakimś nieszczęściem. W tej dużej grupie ludzi, mimo powszechnego nieokrzesania i krzykli-wości, ściśle przestrzegano pewnych reguł, za którymi stało niemało współczucia i szlachetności. Jakikolwiek pytanie o dom, z którego się wyszło, uciekło czy zostało wyrzuconym, rozdmuchiwało żar dogasającego gniewu i rozdrapywało nie do końca zabliznione

rany. Podobnie też wszelkie pytania o to, co z tobą będzie, dokąd stąd pójdziesz, co cię czeka w życiu - budziły rozpacz i strach. Tamar szybko wyczuła, że zarówno przeszłość, jak i przyszłość są tutaj tematem tabu: dom Pesacha istniał w wymiarze wiecznego, ciągnącego się bez końca „teraz”.

I to akurat jej odpowiadało, ona też nie chciała zdradzić się jakimś niepotrzebnym słowem. Chyba właśnie dlatego

216

jej przyjaciółki z Szeli pojawiły się pewna powściągliwość ■ dystans. Czasami, wcześniej rano albo późno wieczorem „zanim Szeli, jak sama to określała, „rozbryzgiwała się na łóżku jak pomidor” - zamieniały parę słów, dzieliły się przeżyciami minionego dnia, czując, że obie bardzo chciałyby powiedzieć sobie więcej, porozmawiać o rzeczach naprawdę istotnych, lecz powstrzymywały się, mając świadomość, że i one, podobnie jak wszyscy inni tutaj, doświadczyły zdrady ze strony najbliższych, one też nauczyły się od życia, że w pewnych sytuacjach na nikim do końca nie można polegać. Jak to ktoś powiedział? „Każdy jest zdany sam na siebie”.

W takich chwilach wymieniały między sobą wymowne, pełne bólu spojrzenia: i ja, i ty jesteśmy samotnymi bojow-niczkami guerilli, które nie dopuszczają nikogo obcego do swoich sekretów, aby przetrwać na terenie nieprzyjaciela. A każdy jest tutaj obcy. Nawet ktoś słodki jak ty, Tamar, jak ty, Szeli. Przykro mi. Mnie też. Wielka szkoda. Może kiedyś. Oby. W innym życiu, w innym wcieleniu...

Nie wszyscy byli tak samotni jak ona. Zdarzały się grupki i pary, były nawet trzy „pokoje rodzinne”, większe i mniejsze grona przyjaciół. Koło jadalni znajdowało się pomieszczenie służące za swego rodzaju klub, w którym grało się w ping--ponga i tryktraka. Pesach zafundował nawet nowoczesny automat do kawy i obiecał, że wkrótce sprowadzi też porządny komputer, na którym będzie można między innymi komponować muzykę. Słyszała, że niekiedy organizowane są nocne imprezy w pokojach, wiedziała, że ludzie wspólnie palą i grają. Przypatrując się im, jak zwykle z pozycji obserwatora, widziała, jaką radość sprawiają im wieczorne spotkania w

jadalni. Podchodzą do siebie, ściskają się, obejmują, poklepują się po plecach, hej, ziomal, jak tam sprawy, super. I czasami,

217

kiedy szczególnie dokuczała jej samotność, nawet tego im z zazdrości.

Jednakże cel, jaki ją tu sprowadził, nadal był tak samo odległy i nieosiągalny jak pierwszego dnia.

Kiedy jeszcze mieszkała w domu i dopiero obmyślała plan, była przekonana, że jeśli tu trafi, nie przestanie działać myśleć, kojarzyć faktów, aż dojdzie po nitce do kłębka. Lecz z chwilą, gdy znalazła się tutaj, jej umysł stał się ociężały, leniwy i przytępiony. Przytępiony do tego stopnia, że chwilami ogarniał ją strach, czy nie zostanie już tu na zawsze, uwięziona w zakętym kręgu występów i snu, i czy z biegiem czasu nie zapomni, po co w ogóle tu przyszła.

Próbowała wyrwać się siłą z tego beznadziejnego, hipnotycznego transu. Z mozołem składała w całość mozaikę z pojedynczych kamieni: byli tam artyści, w sumie około dwudziestu, może nawet trzydziestu albo i pięćdziesięciu, nastoletnich chłopaków i dziewczyn. Trudno powiedzieć. Przychodzili i odchodzili, znikali na długie dni, a potem nagle znów się zjawiali. Czasami czuła się jak na zatłoczonym dworcu kolejowym albo w obozie uchodźców. Nie wiedziała, czy wszyscy trafili do tego domu w taki sam sposób jak ona. Z tego, co dotarło do jej uszu, zrozumiała, że również słyszeli rozmaite opowieści o tym miejscu i bardzo zależało im na tym, żeby „łowcy talentów” Pesacha ich zauważyli. Okazało się, ku jej zaskoczeniu, że po całym kraju krążą szeptane legendy o tym wyjątkowym miejscu otoczonym romantyczną aurą ekstrawagancji i sztuki. Ludzie z Tyberiady, Ejlatu, z Gusz Ecjon, Kfar Giladi, a nawet z At-Tajiby i Nazaretu, wszyscy słyszeli, że jeśli tylko komuś uda się tam dostać, wtedy występuje setki razy na ulicach całego kraju, zdobywając doświadczenie i pewność siebie, aż w końcu staje się istnym „zwierzęciem estradowym”, czego nie dałyby mu choćby

218

i cztery lata w jakiejś ugrzecznionej szkółce artystycznej. Nikt nigdy nie mówił głośno o Miku i jego kolegach ani o ich „profesji” - Artyści mieszkali pod jednym

dachem z przestępcami, spędzali w ich towarzystwie wiele godzin dziennie, razem z nimi jedli i podróżowali, występowali przy nich i nie wspominali ani skrwe o tym, co się tam dzieje, jakby nic nie widzieli ani nie słyszeli. Tamar czuła, że z nią dzieje się to samo _ że sama siebie szkoli, by zachowywać się jak osławione trzy małpki: „Nie słyszę, nie widzę i nie mówię”. Którejś nocy, wracając z występu w Nes Cijonie, położyła się skulona i głodna na tylnym siedzeniu i pomyślała, że zaczyna rozumieć, jak ludzie mogli przystosować się do życia w dyktatorskich reżimach przez kilkadziesiąt lat, odcinając się od wszystkiego, co dzieje się wokół nich: bo gdyby naprawdę zaczęli rozmyślać nad swoim położeniem i powiedzieli sobie całkiem szczerze, w czym biorą udział, zapadliby się pod ziemię ze wstydu.

Ponieważ nie mogła się pogodzić z tym, co robią Miko i jego koledzy, dostrzegała wyłącznie artystów. Byli to mimowie, magicy, gitarzyści i fleciści. Była też wiolonczelistka o ponurej twarzy, która nosiła okulary i nigdy nie zdejmowała cienkiej czerwonej czapki z podwiniętymi brzegami. Tamar zastanawiała się, jak można uciec z domu z wiolonczelą. Był Rosjanin, który specjalizował się w jeździe na wysokim rowerze o jednym kole. Tamar przypomniała sobie, że występował kiedyś obok niej na deptaku, zanim tutaj trafiła. Było dwóch braci z Nazaretu, którzy wyczyniali akrobacje na wysokich szczudłach, i Etiopczyk, który malował na chodnikach wspaniałe wizerunki czarnych aniołów i jednorożców. Chłopak z Ameryki, który wcześniej uczył się w jesziwie, ale ją porzucił, rysował węglem bezlitosne karykatury przechodniów, nawet w Domu Artystów bez przerwy rysował każdego, kto tylko mu się nawinął, i wszyscy już zdążyli się przyzwyczaić do

219

jego nerwowego skrobienia ołówkiem po papierze. Rudowł sy, religijny chłopak z Gusz Ecjon, zagubiony, o mętym spę rzeniu, umiał połykać ogień i zionąć płomieniami. Były d^ dziewczyny z Beer Szewy, o których sądziła, że są siostrami może nawet bliźniaczkami. Czytały w myślach - a przynajmniej tak utrzymywały - i Tamar starała się trzymać od nich z daleka. Było co najmniej dziesięciu zonglerów, którzy pod-rzucali i łapali piłeczki, pałki, kregle, jabłka, pochodnie i noże. Pewien wysoki chłopak o oczach cwaniaczka stworzył własną, niepowtarzalną sztukę:

naśladował język ciała - gesty i sposób poruszania się - przechodniów na ulicy. Ruszał za nimi, kiedy przekroczyli krąg jego „sceny”, niemal przyklejał im się do pleców i naśladował ich tak, że nawet nie zdawali sobie z tego sprawy, przy wtórze gromkiego śmiechu obserwatorów. Pewnego wieczoru przy kolacji Tamar odkryła, że naprzeciw niej siedzi dziewczyna, którą widziała kiedyś na „placu kociaków”, ta sama, która tańczyła z dwoma płonącymi sznurkami. Była też dziewczyna-guma, której wyjątkowo źle patrzyło z oczu, pochodząca z jakiegoś kibucu na północy kraju. Kiedyś, po piątkowej kolacji, wprawiła wszystkich w osłupienie, wciskając się do skrzynki po coli. Młody chłopiec, prawie dziecko, przypominający trochę Wally'ego z rysunkowych łamigłówek z serii „Gdzie jest Wally?”, był mistrzem w dmuchaniu baniek mydlanych w najrozmaitszych kształtach i rozmiarach. Pewien błądy jerozolimczyk o czarnych, tłustych włosach, który sam siebie nazywał „poetą ulicznym”, potrafił w ciągu kilku sekund ułożyć rymowanąkę na zamówienie dla każdego, kto mu zapłacił. Byli też piosenkarze i piosenkarki, jak ona. Z jedną z nich zamieniła raz kilka słów, kiedy jechały razem do Aszkelonu, i okazało się, że śpiewają nawet te same (to znaczy izraelskie) piosenki. Byli tam też raperzy, akompaniujący sobie na pustych puszkach po

220

farbie, ktoś grał na pile, a kto inny wygrywał całe utwory, po-ierając palcami brzegi kieliszków do wina. Było co najmniej oieciu gitarzystów, jak Szaj, ale z tego, co słyszała tu i ówdzie, mijając pokoje - żaden nie mógł się z nim równać. Raz po raz i[^]oś wymieniał jego imię z głębokim szacunkiem, któremu towarzyszył jednak cień żalu, jak gdyby mowa była o kimś, kogo już nie ma.

Samego Szaja jednak nie spotkała.

Pewnej nocy zbudziły ją jakieś hałasy i krzyki. Przez chwilę leżała, zdezorientowana, przekonana, że jest u siebie w domu. Próbowwała skojarzyć te odgłosy ze znajomymi przedmiotami. Krzyki stały się głośniejsze. Ogarnął ją niepokój. Spojrzała na zegarek: wpół do trzeciej. Nagle przypomniała sobie, gdzie się znajduje. Zerwała się na nogi, podbiegła do okna. Na dole stał samochód i trzech mężczyzn usiłowało z niego wyciągnąć kogoś, kto stawiał im opór, zapierając się oburącz o drzwi. Szarpali

go i bili po rękach. Jednym z nich był Miko, rozpoznała też Sziszka - tego niby Elvisa. Przyłgnęła czołem do szyby, by zobaczyć jakiegokolwiek szczegóły, lecz mężczyźni otoczyli wóz, zasłaniając swoimi ciałami to, co się tam działo. Przeklinali półgłosem i raz po raz przez okna wpychali do środka pięści, próbując chyba wypłoszyć tego, kto tam siedział. Tamar zdusiła krzyk i nieświadomie ugryzła się aż do krwi w zaciśniętą pięść. Potem z budynku wybiegł Pesach. Spojrzał zaniepokojonym wzrokiem w górę, na okna. Wrócił do budynku i zgasił lampę nad wejściem. Teraz trudno było zobaczyć, co się tam dzieje. Pesach podszedł do samochodu, postąpił przez chwilę przed otwartymi drzwiami, opierając czoło o dach. Tamar miała nadzieję, że Pesach rozmawia z tym człowiekiem wewnątrz i próbuje po dobroci nakłonić

221

go do wyjścia. Lecz wtedy, powolnym, niemal leniwym ruchem, jego łokieć wysunął się do tyłu, po czym wielkie ramię wpadło do środka, zadając jeden cios. Od razu zapanował spokój. Tamar stała rozdygotana przy oknie. Jeden z mężczyzn wyciągnął z pojazdu coś, co przypominało zwinięty dywan. Z łatwością wniósł go do budynku. Przez krótką chwilę kiedy zatrzymał się przed drzwiami, Tamar widziała dłonie człowieka, którego niósł na ramieniu. Tak długie palce mogły należeć tylko do jednego człowieka.

Dni mijały. Kto wie, dokąd tymczasem zdążył zawędrować chłopiec jadący na wielbłądzie przez Saharę - ten, o którym rozmyślał Asaf. On sam rozpoczął już w tamtych dniach pracę w urzędzie miejskim. Siedział osiem godzin dziennie i cierpiał katusze w pustym pomieszczeniu przy Wydziale Gospodarki Wodnej. Odbierał telefony i jeśli tylko potrafił, udzielał informacji, a dla rozrywki kompletował w myślach wymarzoną reprezentację na FIFA '99. Nie wiedział, że za kilka dni w jego życiu pojawi się wielka zabłąkana suka, a w ślad za nią wtargnie dziewczyna, też nieco zagubiona, i że od tej chwili przestanie się zastanawiać, co porabia chłopiec pokładowy na statku żeglującym po Morzu Północnym, lecz nieustannie będzie zachodził w głowę, gdzie jest Tamar.

Jednego z tych wieczorów, kiedy Asaf snuł się jeszcze bez celu po mieście z Dafi

Kapłan, śmiejąc się od niechcienia z ciężkich dowcipów Roiego, i odliczał minuty do końca wieczoru - Tamar wróciła do Domu Artystów już w trakcie kolacji. Przyjechała z Bat Jamu, a może z Netanii, nie pamiętała dokładnie. Szybko poszła do pokoju, żeby się przebrać. Jak zwykle zostawiła tam Dinkę: bo jeśliby przypadkiem spotkała

222
rzy kolacji Szaja, to lepiej, żeby nie było psa przy niej - jesz-zaczęłyby się z nim witać na oczach wszystkich.

Umyła twarz nad zardzewiałą umywalką w pokoju. Spójna w odłamek lustra, jaki pozostał na ścianie. Włosy cZęłyjej odrastać; na ogolonej głowie zakiełkowały krótkie, kruczoczarne kolce. Pomyślała, że właściwie to jej nawet odpowiada i przez minutę albo dwie oddała się, jak nigdy przedtem, myślom o własnym wyglądzie, zatęskniła za luksusową łazienką, za kremami pielęgnacyjnymi i za panią Haliną, która ze wszystkich sił stara się z niej zrobić piękną kobietę. Wchodząc do jadalni, nadal miała na twarzy beztroski uśmiech i zupełnie nieprzygotowana dała się zaskoczyć.

Bo wchodząc, zobaczyła go i zadrżała. Taki był chudy i wynędzniały. Wyglądał jak własny cień. Przeszła prosto, tuż przed nim, sztywnym krokiem, z oczami utkwionymi w podłogę, blada jak papier. Szaj patrzył na nią niewidzącymi oczami. Może był roztargniony, może pod wpływem narkotyku, w każdym razie jedno było pewne: nie poznał jej. Był to cios zupełnie nieoczekiwany i boleśniejszy niż wszystkie inne: nawet on nie wyrwał jej z wyobcowania. Siedział, zamknięty w sobie, kiwając się lekko, jak przy modlitwie. Zauważyła, że ma na sobie niebieski pulower, który zawsze bardzo lubiła, teraz już brudny i poszarpany. Dłubał widelcem w puree, nabierał trochę i zrzucał z powrotem. Tamar z wielkim wysiłkiem wmusiła w siebie zimną już porcję, jaką jej rzucono na talerz (mamale zawsze się złościła na spóźnialskich). Wydawało się jej, że cała jadalnia zatopiła się nagle w zupełnej ciszy i że wszyscy patrzą teraz na nią i na niego.

Szeli wpadła podekscytowana, wyższa niż zwykle w swoich nowych żółtych martensach, ze świecącymi na zielono włosami, i wszystkich natychmiast pobudziła do życia. Podbiegła do Tamar, jak zawsze tryskając naturalną radością:

- Daj się przysiąc, no, posuń się kapkę na północ, on wiem ci coś nie-sa-mo-wi-te-go... - I zaczęła opowiadać, le widząc nieobecne spojrzenie Tamar, mruknęła No problem lekko zawiedziona, posiedziała chwilę w ciszy, po czym ski rowała roześmiany potok słów na chłopaka siedzącego po j prawej stronie. Otóż dzisiaj po występie w Aszdodzie pod szedł do niej impresario z lokalnej telewizji i zaproponowa trzyletni kontrakt z możliwością wyjazdu do Nowego Jorku. Jednak w trakcie opowiadania zaczęła się zastanawiać, co te może być interesującego dla Amerykanów w parodiach Ig Waksman czy Sarit Chadad, i wtedy zrzęła jej mina. Tama uparcie przeżuwała kęs jedzenia. Potem ostrożnie uniósł głowę. Mrugnęła do Szaja. Ten spojrzął na nią, bo była t nowa. A potem z wolna jego źrenice rozszerzyły się, a twar zastygła w osłupieniu.

Tamar natychmiast spuściła głowę. Nikt nie może się zo rientować, że cokolwiek ich łączy. Że znają się z poprzednie go życia. Skubnęła kawałek zimnego omletu i odsunęła go na brzeg talerza. Siedząca przy niej Szeli zaczęła się zżymać na własną głupotę. Wycedziła przez zęby, że jest matką wszystkich pokreconych, skoro była gotowa uwierzyć tamtemu śmieciowi. Takiego wała, zabierze ją do Ameryki! Pokazał jej wizytówkę ze złoconymi literami, zdrowo jej naściemniał, a ona to wszystko kupiła. Spędziła z nim godzinę w jakimś sy-fiastym hotelu. Teraz, żeby się za to ukarać, jeszcze raz stąd ucieknie. Pojedzie do Lifty, zejdzie na psy, to jej się należy. Siedzący obok chłopak próbował ją uspokoić.

To był hałaśliwy wieczór. Pomiedzy innymi stolikami fruwały kromki chleba. Wszyscy byli w bardziej radosnych nastrojach niż zwykle, między innymi chyba dlatego, że nie było Pesacha ani żadnego z jego „goryli”. Przy stole koło drzwi kilku chłopaków ryknęło, okropnie fałszując, piosenkę

zna odpowiedź na to pytanie, dlaczego zebra chodzi w piza-;e7 do nich dołączyli inni, wystukując rytm widelcami • łyżkami o stoły. Mamale wrzasnęła, grożąc, że powie wszystkim Pesachowi, a wtedy wysoki chłopak, ten, który naśladował przechodniów, zerwał się z miejsca i zaczął z nią tańczyć, pochylił się do niej i

przytknął policzek do jej policzka, aż w końcu zmusił ją do uśmiechu. Tamar dotknęła ręką czoła. Potem przesunęła palcem po lewym policzku. Dwukrotnie zamrugła oczami. Potem przeniosła dłoń na prawy policzek. Następnie, niby przypadkiem, uniosła jeden palec w powietrze i dotknęła prawego ucha. Potarła się dwa razy po brodzie. Wykonała jeszcze może pięć albo sześć takich gestów, ze spokojem, powoli, chociaż serce łomotało w niej jak szalone.

Szaj nie odrywał od niej oczu. Jego usta poruszały się, jak gdyby czytał coś na głos. I rzeczywiście tak było. To był pierwszy cud, na który liczyła: że będzie pamiętał.

Mimo upływu czasu i wszystkiego, co go spotkało, i narkotyków, on nadal pamiętał ich sekretny język migowy.

- Przyszłam cię stąd wyciągnąć - mówiły jej palce.

Pochylił głowę nad stołem. Tamar widziała, jak wynędziała jego wspaniała, falująca czupryna. Jak wychudły przeguby jego rąk.

Potem wyprostował się na krześle. Popatrzył przez chwilę w górę, na sufit. Widziała, że próbuje sobie coś przypomnieć. Niepewnie dotknął prawego policzka, potem brody, czubka nosa. Raz się pomylił, a wtedy dał sygnał odwołujący, napinając wargi. I znowu zaczął pisać, litera po literze:

- Zabiją nas.

Chłopak po jej prawej stronie, który rozmawiał z Szeli, ten grający na pile, rozgorączkował się:

- Do Lifty? Do Ruskich? Zwariowałaś? Ci to dopiero są pierdolnięci!

225

- Niby dlaczego? Co takiego jest u nich, czego by tutaj nie było? - spytała Szeli i nagle parsknęła śmiechem. Było coś dziwnego w jej zachowaniu tego dnia, jakaś przesada i rozedrganie, ale Tamar nie miała do tego głowy.

- Oni tam mają wint - wyjaśnił długowłosy chłopak, z górną wargą wywiniętą trochę jak u małpy. - Wint to po rosyjsku „śruba”, dlatego, że to ci się wkręca prosto do mózgu, trrrrr, właśnie jak śruba. - Szeli sceptycznie pokręciła głową, aż zakołysały się jej zielone włosy, najjaśniejszy punkt w całym pomieszczeniu. - Nie, posłuchaj. To jest mieszanka fosforu z syropem od kaszlu i wodą utlenioną. Najgorszy syf ze

wszystkich drągów, heroina to przy tym jak trawka, ale za to daje kosmicznego kopa, w dodatku jest tańsze niż wszystko inne na świecie.

- W życiu bym nie tknęła czegoś podobnego - odparła Szeli z piskliwym śmiechem. - Dla mnie brown sugar to maks.

Mimo napięcia towarzyszącego rozmowie z Szajem, Tamar przypomniła sobie słowa Szeli z pierwszego dnia, kiedy się spotkały - że nigdy nie tknęłyby heroiny. Co najwyżej trawkę.

Napisała palcami:

- Mam plan.

Zaczął jej odpowiadać. Jakaś dziewczyna zauważyła jego dziwne ruchy i szturchnęła koleżankę, żeby też popatrzyła. Tamar pochyliła się nad swoim talerzem i zaczęła wciskać sobie do ust zimny omlet, a Szaj udawał, że „na sucho” wygrywa palcami jakąś melodię, którą słyszał w wyobraźni.

-Ja biorę - powiedział.

Tamar odparła natychmiast, prawie nie podnosząc głowy znad talerza:

- Mówił- chce- skończ-. - „Mówiłeś, że chcesz skończyć”. Ich zdania były bardzo krótkie i zwięzłe, i Tamar

226

zauważyła, że Szaj mimo wszystkiego, co się zdarzyło, rozumie ją, nawet kiedy ona posługuje się skrótami, a to też był pomyślny znak. Jak w dzieciństwie, kiedy czasami zabraniano im rozmawiać przy jedzeniu, aby nie pograżyli się całkowicie w swoim prywatnym świecie, hermetycznie zamkniętym przed obcymi. W tamtych czasach poprzestawali na samych początkach słów: „Che- d- łóż-” albo „Co za gów- żar- dziś-”. Szaj odczekał całe dwie minuty, nim odpowiedział:

- Nie mo- sam-.

- Razem.

Oparł głowę o dłonie, jakby ważyła tonę. Tamar przypomniła sobie pieśń do słów Emily Dickinson / Felt a Funeral in My Brain, którą śpiewali w chórze.

Wtem palce zaczęły mu mocno drżeć i Tamar przestraszyła się, że wszyscy widzą, co się dzieje.

- Nie moż- sam- - napisał.
- Mogę - odpowiedziała. On na to:
- Uciek- stą-.
- Tylk- z tob-.

Nagle Szaj wydał głęboki, głośny jęk. Zerwał się z miejsca, i próbując przytrzymać się stołu, wyrzucił szklankę. Zapadła cisza. Szaj starał się postawić szklankę z powrotem, ale nie zdołał uchwycić jej palcami. Szklanka dosłownie tańczyła, wyglądało to tak, jakby była wysmarowana oliwą i usiłowała za wszelką cenę wymknąć mu się z ręki. Musiał ją chwycić oburącz. Trwało to może trzy sekundy, ale zdawało się ciągnąć w nieskończoność. Oczy wszystkich skierowały się na niego. Bardzo wysoki i chudy, chwiał się jak trzcina na wietrze. Jego twarz w jednej chwili pokryła się potem. Wszyscy przerwali jedzenie i rozmowy i patrzyli na niego. Zrobił krok do tyłu i wyrzucił krzesło. Machnął ręką z rezygnacją, po czym uciekł z jadalni.

227

Tamar błyskawicznie zjadła puree, omlet, chleb, wszystko. Byleby tylko nie podnieść głowy i nie zobaczyć teraz ich oczu.

Ktoś powiedział cicho:

- Jak gościu teraz z tego nie wyjdzie, to już ma przerabane.

Zapanowało przykre milczenie. Być może dlatego, że ktoś napomknął o przyszłości, o której nie wolno tu było rozmawiać, która nie istniała.

Jakaś dziewczyna, która prawdopodobnie pojawiła się tutaj niedawno, spytała, kim jest ten chłopak. „Kompletny świr” - odpowiedzieli jej. „Ale kim on jest, kim był?”, dopytywała (tamta), a Tamar zamarła w bezruchu na krześle. Kim jest Szaj. Kim był. Już wygłaszają nad nim mowy żałobne. Robiło jej się niedobrze na myśl o tym, jak łatwo nawet ktoś taki jak Szaj staje się przedmiotem plotek. Proszę bardzo, opowiedz im o Szaju, podsumuj dla nich w dwóch zdaniach to cudowne pomieszanie wszystkich sprzecznych żywiołów. „Ale on się nigdy nie odzywa, prawda?” - dopytywała się dziewczyna z tupetem nowicjuszki, a kilka głosów pośpieszyło jej z odpowiedzią. Tamar widziała, jak palą się, żeby o nim pogadać, jaką stanowi dla nich intrygującą zagadkę. Tak, z początku myśleli, że jest niemową. Ale gra jak szatan.

Tylko że bez dragów nie jest w stanie. Za to jak przyhajcuje i zacznie grać - wtedy kasa leci. A co, nawet do telewizji go chcieli, sam Dudu Topaz usłyszał go przypadkiem na ulicy i zaprosił do swojego programu, ale Pesach nie pozwolił - powiedział, że Szaj jeszcze nie dojrzał do występu przed tak szeroką publicznością... - To Jimi Hendrix Pesacha - powiedział jeden z innych gitarzystów, a Tamar rozpoznała w jego głosie znajomą nutę zazdrości. Dało się ją zauważyć zawsze, kiedy ludzie mówili

228

o Szaju. - I Jim Morrison. Niesamowity talent. Tylko że żyje w zupełnie innym świecie.

Nie była już w stanie więcej zjeść. Nawet po to, by ukryć emocje. Siedziała nieruchomo i modliła się, żeby nikt na nią teraz nie patrzył. Była w szoku nie tylko z powodu stanu, w jakim znajdował się Szaj, ale przede wszystkim ze względu na jego kategoryczną odmowę przyjęcia pomocy. Właśnie przed tym przestrzegala ją Lea: że on nie zechce ani nawet nie zdoła jej pomóc czy choćby podjąć współpracy. „Ale przecież sam prosił, żebym przysłała! - odparła Tamar ze złością w czasie tamtej rozmowy z Leą. - Sam zadzwonił i błagał, żeby ktoś przyszedł go uratować!” A Lea jeszcze raz wyjaśniła, że Szaj będzie się śmiertelnie bał najdrobniejszej zmiany w swoim zwichniętym życiu, tak samo jak będzie się bał utracić związane z tym miejscem poczucie bezpieczeństwa wynikające ze stałego dostępu do narkotyków. W umyśle Tamar zaczęło narastać przerażenie: tego mimo wszystko nie brała pod uwagę. Jak zdoła go stąd wyciągnąć bez współpracy z jego strony? A może nawet wbrew jego woli? Coś w jej brzuchu zaczęło się osuwać, aż runęło w bezdenną otchłań. Właśnie tu, moje drogie dziecko, pasteczek wśród lilii, zabłąkana w swoich rojeniach, dokładnie tutaj tkwi najslabszy punkt twojego me-galomańskiego planu.

Bo w ciągu dwóch miesięcy zaplanowała wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Z obsesyjną dokładnością wciąż na nowo próbowała sobie wyobrazić kolejne spodziewane etapy, a także problemy, jakie mogą się pojawić, zanim tutaj dotrze i go spotka. I z tą samą nieustępliwą drobiazgo-wością planowała, jak będzie się nim

sama opiekować, kiedy go już stąd wyciągnie, obliczała dokładnie, ile opakowań świec i zapalek będzie potrzebować w jaskini, pamiętała nawet, by przywieźć tam otwieracze i maść przeciw komarom,

229

i opatrunki na rany. Pomięła tylko jeden drobiazg - j[^] stąd wyciągnie, jeśli on nie znajdzie w sobie dość siły i Odwa gi, by wyjść.

Zdumienie własną ślepotą było dla niej druzgoczące. bu do tego doszło? Jak mogła zignorować wszystkie ostrzeżenia skazując się, niemal z premedytacją, na porażkę?! Wstała i odłożyła talerz do zlewu. Na zewnątrz, na podwórzu, siedziała już na ziemi grupka chłopaków i dziewczyn. Zobaczyła zieloną nastroszoną grzywę Szeli, opartej o ramię wysokiego barczystego chłopaka. Inny, o twarzy Indianina i z długim warkoczem, chwycił gitarę i zaczął śpiewać. Wtedy otworzyła okno, żeby odetchnąć świeżym powietrzem, a piosenka owinęła się wokół niej. Tamar nie mogła się oprzeć temu smętnemu, mrocznemu rytmowi: „Ecstasy za bezcen, / Brown sugar dla mas / Znaczkę niebieską / Daj wszystko, co masz / Odrzucasz rutynę, / Szalejesz totalnie, / Chcesz zrobić zadymę / I trafiasz na psiarnię...”

Chłopcy i dziewczyny wokół gitarzysty wyli przy jego akompaniamencie: „No - i - co - to - ma - być! - No - i - co - to - ma - być!”

Chłopak śpiewał następną zwrotkę: „Nadziei i cudów / Nie widać od lat / A więc, umierając, / Wywróćmy ten świat”. Potem śpiewał znów od początku, w monotonnym rytmie, a ona stała w oknie, poruszając się w takt muzyki, czerpiąc z niej siłę, choć nienawidziła słów tej piosenki. Chłostała sama siebie powracającym refrenem: „No i co to ma być!” Jak można było nie uwzględnić w planie jego najważniejszej części?

Była przybita, przekonawszy się po raz kolejny, jak przemożna jest tkwiąca w niej siła, która zawsze prowadzi ją do klęski. Ta jej gromadka szczurów, piąta kolumna. Nie wiedziała, co począć. Rzucić to wszystko? Wrócić do domu

230

podwiniętym ogonem? Jeszcze jeden czarny szczur przebiegł w podskokach, zatrzymując się w tych samych punktach zawsze, ocierał się zadem o znaki milowe i

wołał do niej piskliwie: „Nawet jednej rzeczy w życiu nie możesz zrobić porządnie! Marzycielka! Fantastka! Zawsze coś ci się musi nie udać przy wykonaniu, kiedy marzenia zderzą się z realnym życiem-” Teraz wokół niego zgromadziła się grupka kolegów, którzy piszczeleli dziko, zgodnym chórem: „I właśnie dlatego nigdy nie zrobisz prawdziwej kariery jako śpiewaczka - bo zawsze sama sobie czymś zaszkodzisz w decydującym momencie! Co najwyżej będziesz dostawać drugoplanowe role, z początku Barbariny, a kiedy się zestarzejesz, Marcelliny, a po drodze może jakąś Frasquitę. Przez całe życie będziesz się snuć samotna i nieszczęśliwa po amatorskich chórach przy młodzieżowych ośrodkach kultury i sportu. Co najwyżej zostaniesz dyrygentką chóru. Nawiasem mówiąc, nigdy się też tak naprawdę nie zakochasz, to pewne. Pamiętasz, dlaczego? Bo brakuje ci tego klocka lego w duszy. Dzieci też mieć nie będziesz, to oczywiste, powiem ci, dlaczego...”

Lecz właśnie ta myśl podziałała na nią jak kubeł zimnej wody. Tamar natychmiast przerwała taniec szcurów, zebrała w sobie resztki sił i wypowiedziała wojnę. Spróbowała przeanalizować na chłodno swoje niepowodzenie, myślała trzeźwo, racjonalnie i nie dokuczała samej sobie, a po chwili znalazła prostą odpowiedź - że gdyby wtedy, w domu, przeszło jej przez myśl, że Szaj odmówi współpracy, to prawdopodobnie w ogóle nie wyruszyłaby na tę wyprawę.

Zatem w gruncie rzeczy dobrze, że o tym nie pomyślała. To znaczy, że jej mózg akurat okazał się pomocny, ukrywając przed nią tę przeszkodę... Dziwne.

Wyprostowała się nieco i wzięła głęboki oddech. Dziwne, że udało jej się pokonać ten napad rozgoryczenia. Że wyrwała się z jego paszczy.

231

To było coś nowego. Ogarnęło ją nieznane dotąd uczucie spokoju. I nieomal wiary w siebie. Pewnie zaraz jej minie, ale Tamar zgromadzi w sobie zapasy tego uczucia, zapamięta miejsce w ciele, gdzie ono się zrodziło, i spróbuje do niego wrócić, wydobyć je z siebie przy następnym ataku.

Tymczasem jednak nie wolno jej zapomnieć, że utknęła tutaj zupełnie sama, bez żadnego sprzymierzeńca, więc musi teraz myśleć za nich dwoje, to znaczy -

doprowadzić do sytuacji, w której Szaj ucieknie razem z nią. Musi go postawić przed faktem dokonanym. Te myśli dodały jej nieco otuchy. Czuła, że po wielu dniach uśpienia powraca do życia. Zastanawiała się, gdzie teraz jest Szaj. W którym pokoju. W której ubikacji kuca po ciemku i przygotowuje sobie działkę, aby przetrwać noc. Szeli popatrzyła na nią z podwórza z szerokim, przesadnie szerokim uśmiechem na ustach, zawołała na nią, żeby przyszła się trochę pobyczyć. Oczy Szeli błyszczały, a w jej naturalnej radości było coś ostrego i jakby ze szkła. Tamar czuła, że dzisiejszego wieczoru nie ma siły spotykać się i rozmawiać z ludźmi. Potrzebuje samotności. Przemknęła jej przez głowę niejasna myśl, że jako przyjaciółka powinna teraz zabrać ze sobą Szeli, chronić ją, by nie pofolgowała sobie za bardzo i nie naraziła się na wstyd. Ale na nic nie miała już siły. Gestem dała znać Szeli, że idzie spać, i uśmiechnęła się do niej krzywo. Poczłapała ciężko do łóżka i tak jak stała, w ubraniu, nie myjąc się po całym męczącym dniu, a nawet nie głaszcząc Dinki, padła jak kłoda.

O co tu chodzi - myślała znużona. - Jak się to wszystko zaczęło, w jaki sposób to wszystko nagle przemieniło się w mój świat, stało się moim życiem. W pewnym momencie zbaczasz z utartej drogi - myślała - tylko o włos, potem musisz postawić też i drugą nogę, a wreszcie okazuje się, że

i

•e«teś na zupełnie obcym szlaku. I chociaż każdy krok jest fnjiiej więcej logiczny i wynika z poprzedniego, to po jakimś „^sie niespodziewanie budzisz się w środku koszmaru.

Minęła godzina, dwie. Nie udało jej się zasnąć. W jej uniyśle szalał gwałtowny sztorm. Jesteś blisko mnie - uparczywie powtarzała w myślach, jak w wysokiej gorączce. - Wyciągnę cię stąd - nadawała do niego wśród głuchoj ciszy, modląc się, by odczytał jej myśli. - Nie mam pojęcia jak, ale zobaczysz, że cię wyciągnę, czy tego chcesz, czy nie, wydostanę cię stąd i będę cię osłaniać, oczyszczę cię, sprawię, że znów będziesz tym, kim byłeś, bracie, braciszku.

za tobą idę na oślep.

Po obiedzie z Nosorożcem Dinka zaprowadziła go do nieznanego mu wcześniej

dzielnicy, położonej za bazarem. Mijali ciasne podwórka między pomalowanymi na biało domami. Asaf popatrzył przez drewnianą bramę i zobaczył olbrzymie geranium, płonące czerwienią w starej blaszanej balii, i postanowił tu wrócić, kiedy już będzie po wszystkim: jego doświadczone oko dokładnie zmierzyło proporcje światła i cienia, wybrało, kilka kadrów, zarejestrowało czarnego kota, który leżał między odłamkami pomarańczowego szkła, sterczącymi niby smocze łuski na grzbiecie muru. Na podwórzach stały pod ścianami domów stare fotele, a czasami nawet materace, na parapetach zaś wielkie słoiki z kiszonymi ogórkami. Asaf i Dinka przeszli koło synagogi, w której mężczyźni w roboczych ubraniach odprawiali popołudniowe modły na znaną mu melodię, taką samą, jaką śpiewali jego ojciec i dziadek. Minęli szkaradny blok betonu - schron publiczny, pokryty przez dzieci kolorowymi malunkami - potem kolejną synagogę i bardzo wąski zaułek, nad którym niczym ślubny baldachim rozciągała swój cień wierzba płacząca...

Tutaj Dinka się zatrzymała, powęszyła w powietrzu, spojrzała na niebo jak ktoś, kto chce wiedzieć, która godzina, a nie ma zegarka.

Nagle podjęła decyzję. Usiadła koło ławki pod wierzbą. Złożyła głowę na łapach i w napięciu patrzyła przed siebie. Czekwała na kogoś.

Asaf usiadł na ławce i czekał. Na kogo, po co - nie wiedział, ale zdążył już do tego przywyknąć. Ktoś przyjdzie, ktoś się pojawi. Zdarzy się coś nowego. Dowie się czegoś o Tamar.

Nie wiedział tylko, o której Tamar - tej od Teodory, czy tej od detektywa? A może jest jeszcze inna, trzecia Tamar?

Mijały długie minuty, kwadrans, pół godziny i nic się nie działo. Słońce skłaniało się ku zachodowi, nadal oblewając

236

świat letnim żarem, ale w wąskiej uliczce powiał już chłodny wiatr. Asaf poczuł nagle, jaki jest zmęczony. Od samego rana był na nogach, i to przeważnie w biegu. Lecz nie zmęczyło go samo bieganie. Wysiłek fizyczny nigdy nie był dla niego tak wyczerpujący. Odczuwał coś jeszcze, jakiś stan ciągłego pobudzenia, płonący w nim bez przerwy ogień, zupełnie jakby miał gorączkę (jednak nie czuł się chory, wręcz

przeciwnie).

- Dinka - szepnął, niemal nie poruszając wargami. Ludzie przechodzili uliczką, a on nie chciał, żeby ktoś sobie pomyślał, że mówi do siebie. - Wiesz, która godzina? Zaraz szósta. Wiesz, co to oznacza? - Dinka nadstawiła ucho. - To znaczy, że dwie godziny temu Danoch zamknął biuro, a weterynarz poszedł do domu. A ja nie zaprowadziłem cię tam z powrotem. Wychodzi na to, że śpisz dzisiaj u mnie. - Mówiąc to, zaczął się cieszyć z tego pomysłu. - Jest tylko jeden problem. Moja mama ma uczulenie na sierść psów, ale na szczęście oni, to znaczy rodzice, są za granicą, musisz tylko uważać na włosy...

Suka zaszczekała i poderwała się na nogi. Z cienia wierzby płaczącej wynurzył się bardzo szczupły i lekko zgarbiony młody człowiek, zmierzający w ich stronę. Asaf wyprostował się. Chłopak zawołał cienkim głosem: „Dinka!” i podbiegł do niej, utykając na jedną nogę. Miał dziwnie odchyloną głowę, jak gdyby oglądał się ciągle za siebie albo widział tylko na jedno oko. W ręku trzymał ciężką torbę foliową z napisem „Mace Jehudy”. Kiedy zobaczył Asafa, przystanął i obaj zadrżeli na swój widok.

Chłopak, bo widocznie spodziewał się spotkać Tamar, a zobaczył Asafa. Asaf, bo zobaczył jego twarz. Całą lewą jej stronę pokrywał wielki ślad po oparzeniu, czerwony, a miejscami fioletowy. Obejmował cały policzek, brodę i lewą stronę czoła, a także ponad połowę ust, które wyglądały

237

w tym miejscu nienaturalnie, skóra była tam cienka i naprężona, jaśniejsza niż na drugiej części.

- Przepraszam - bąknął chłopak i zaczął się wycofywać - Byłem pewien, że to moja znajoma suka. - I kuśtykając zaczął się oddalać, tyłem do Asafa, z lśniącą czarną jarmułą na głowie.

- Poczekaj! - Asaf pobiegł za chłopakiem, a razem z nim Dinka.

Chłopak przyśpieszył kroku, nie odwracając twarzy, lecz Dinka go wyprzedziła, rzuciła się ku niemu, szczekając z radości i entuzjastycznie merdając ogonem, przez co chłopak nie miał wyboru. Dinka była tak podekscytowana spotkaniem, że chłopak

musiał się zatrzymać, schylił się i oburącz objął ją za wielką głowę, a ona lizała go po całej twarzy. Chłopak śmiał się dziwnym głosem, łamiącym się i cienkim.

- Ale gdzie Tamar? - zadał cicho pytanie, może Dince, a może Asafowi. Stojący z tyłu Asaf odpowiedział, że też chciałby to wiedzieć, a wtedy chłopak wstał, cofnął się w jego stronę i znów stanął przed nim, zwrócony lekko bokiem, po czym spytał, co to znaczy.

Asaf powiedział mu, w czym rzecz. Oczywiście, nie przedstawił mu całej historii, lecz tylko jej skróconą wersję, o urzędzie miejskim, Danochu i schronisku dla psów. Chłopak stał i słuchał. Podczas gdy Asaf opowiadał, chłopak obrócił się jeszcze trochę, stopniowo, niemal niezauważalnie, aż ustawił się całkowicie profilem, zdrową częścią twarzy do Asafa. Stał tak, patrząc niby w roztargnieniu na gałęzie wierzby naprzeciwko, jak gdyby chciał zebrać myśli, kontemplując przyrodę.

- Ojej, musi być jej przykro, że Dinka zaginęła - powiedział wreszcie poruszony. - Co ona bez niej zrobi. Jak sobie da radę?

238

- Tak - odparł Asaf w ciemno. - Na pewno była do niej bardzo przywiązana.

_ Bardzo przywiązana? - Chłopak zaśmiał się, jakby Asaf palnął coś wyjątkowo głupiego. - Co znaczy bardzo przywiązana? Ona nie może zrobić kroku bez tego psa!

Asaf spytał niby obojętnym tonem, czy nie domyśla się, gdzie mógłby ją znaleźć.

-Ja? Niby skąd? Ona... Ona nic nie mówi, tylko słucha. _ Kopnął w krawężnik. -Jak

mam ci to wytłumaczyć, mówisz do niej, a ona słucha. No i co na to poradzisz?

Wylewasz z siebie wszystko. Ona jest niesamowita. - Asaf zwrócił uwagę na jego

głos, cienki jak u małego dziecka i nieco płaczliwy. - Mówisz jej o rzeczach, o

których nigdy w życiu nikomu byś nie powiedział. Bo ona naprawdę chce cię słuchać. Rozumiesz, o co mi chodzi? Ją naprawdę interesuje twoje życie.

Asaf spytał, gdzie się poznali.

- Tutaj. - Wskazał ręką na ławkę. - A gdzie miałbym ją poznać? Ona przechodziła z psem, a ja tu siedziałem, tak sobie, mniej więcej o tej porze. Zawsze wychodzę z domu wieczorem. Tak najlepiej - powiedział, połykając w pośpiechu końcówki słów.

- Nie znoszę upału.

Asaf milczał.

- A jakiś czas temu, może ze trzy miesiące, przychodzę i widzę, że tu siedzi. Zajął moje miejsce, znaczy się. Ale niechcący. Jeszcze nic o mnie nie wiedziała. Już się odwróciłem i chciałem sobie pójść, a wtedy ona mnie woła, mówi do mnie... -
Zawahał się. - O coś mnie pyta, kogoś szuka... - Znów chwila wahania. - Nieważne. Jakaś jej prywatna sprawa. I od tego czasu zaczęliśmy rozmawiać. Nie było tygodnia, żeby tu nie przyszła. Czasami nawet dwa razy. Siedzimy, gadamy, jemy coś, co mama przygotowała. - Pokazał

239

wielką foliową torbę, którą trzymał w ręku. - Jest tu też coś dla Dinki. Przez cały tydzień zbieram. Mam jej dać?

Asaf sądził, że Dinka niczego już nie zje po obiedzie w restauracji, ale nie chciał go urazić. Chłopak wyjął z siatki woreczek oraz śliczną domową miszkę, a następnie zaczął wykladać na'nią mieszaninę ziemniaków i kości. Dinka popatrzyła na jedzenie, a potem na Asafa. Ten mrugnął do niej zachęcająco, a wtedy pochyliła głowę i zabrała się do jedzenia. Asaf był przekonany, że zrozumiała jego znak.

- Powiedz, chcesz kawy?

To będzie już trzecia tego dnia, Asaf nigdy nie pił jej w takich ilościach, jednak miał nadzieję, że przy kawie wywiąże się rozmowa. Chłopak wyciągnął termos i napełnił dwa jednorazowe kubeczki. Na ławce między nimi rozłożył serwetę w kwiatki, postawił miseczkę ze słonymi ciastkami i wafelkami oraz talerz pełen śliwek i nektarynek.

- Już się do tego przyzwyczaiłem. Że ona przychodzi. - Uśmiechnął się przepraszająco.

- A w zeszłym tygodniu była?

- Nie, dwa tygodnie temu też nie, ani trzy, już cały miesiąc. Dlatego się martwię. Bo ona nie jest z takich, co tak po prostu nagle znikną i zostawią cię bez słowa.

Rozumiesz? Cały czas łamię sobie głowę, co się mogło stać.

-A nie masz jej adresu, czegokolwiek?

- Nie rozśmieszaj mnie. Nawet nie znam jej nazwiska. Zresztą pytałem o to kilka

razy, ale ona ma te swoje zasady, wiesz, prywatność i tak dalej, no dobra, trudno, oni są bardzo wrażliwi na tym punkcie.

Asaf nie zrozumiał. -Jacy „oni”?

- Oni. Tacy jak ona. W jej sytuacji.

240

Jakiś mężczyzna zmierzał w ich kierunku. Szczęsny z uważał go dużo wcześniej niż Asaf albo Dinka. Natychmiast odwrócił się, wykręcił na bok, jak gdyby spoglądał za siebie tak że siedział niemal tyłem do ulicy. Starszy człowiek prze szedł głęboko zamyślony, nawet ich nie dostrzegając.

Asaf poczekał, aż jego kroki ucichną.

- Dużo rozmawialiście z Tamar?

- Czy rozmawialiśmy? Poważnie pytasz? - Szczęsny rozłożył szeroko ręce, jakby chciał pokazać szerokie morze.

- Uwierzysz? Z nikim innym na świecie nie da się tak rozmawiać. Bo ludzie zaraz tak z ukosa na ciebie patrzą, no nie? Zaraz sobie myślą: on jest taki, siaki, owaki. Dla nich liczy się przede wszystkim wygląd zewnętrzny, mam rację? Ale weź na przykład mnie. Dla mnie wygląd zewnętrzny nie ma żadnego znaczenia, zad-ne-go! Zgodzisz się ze mną, że najważniejsze jest wewnątrz człowieka? Tak jest, prawda? Właśnie dlatego, mówię ci, ani nie mam przyjaciół, ani ich nie potrzebuję.

- Szybko wepchnął do ust jeszcze dwa ciastka, między rozerwane i zszyte wargi. -

Dlatego, że dla mnie osobiście - dodał po chwili - najważniejsza jest wiedza, tak? Jak najwięcej wiedzy. Dlatego się uczę. Nie wierzysz?

Asaf powiedział, że wierzy.

- Nie, bo tak się jakoś spojrzalesz... Wiesz, najbardziej interesują mnie gwiazdy.

-Jakie gwiazdy? Aktorzy? - spytał Asaf z wahaniem.

- Co za aktorzy? Skąd ci przyszli do głowy aktorzy? -Szczęsny zaśmiał się przeciągłym, cichym śmiechem, zasłaniając ręką połowę ust. - Na niebie! A teraz powiedz mi tak z ręką na sercu, zastanawiałeś się kiedykolwiek nad gwiazdami? To znaczy, czy zastanawiałeś się na poważnie, myślałeś o nich kiedyś?

242

Asaf przyznał, że nie. Szczęśny uderzył rozprostowanymi Hłońmi o uda, jakby przekonał się znów, po raz tysięczny, rym, jak głęboka jest ludzka niewiedza.

- Czy ty w ogóle wiedziałeś, że być może istnieje jeszcze milion słońc? I galaktyk? Wiedziałeś, że we wszechświecie jest ich jeszcze milion? To nie jedna niepozorna planeta jak nasza Ziemia, ani układ planetarny, jak nasz słoneczny. Mówię o galaktykach!

Przemawiał tak podekscytowany, że jego drugi policzek, ten zdrowy, też nabrał czerwonej barwy. Nadeszło trzech chłopaków, rozgorączkowanych po jakimś meczu. Szczęśny natychmiast się odwrócił i przekrzywił głowę, jakby zamyślony.

- Hej, Szczęśny! - zawołali. - Jak tam sprawy?

- Super - odparł, nie zmieniając swojej pozy myśliciela. - Jak tam gwiazdy? Co z Drogą Mleczną?

- W porządku - odparł Szczęśny ponuro.

- Dokładnie je policz - poradził jeden z chłopaków i odbił piłkę tuż obok nogi Szczęśnego. - Żeby ci ich nie ukradli. - Nagle zbliżył się do Asafa. - Wiesz, czemu Szczęśny nigdy nie jeździ na turniej tenisowy do Wimbledon? - Asaf milczał, spodziewając się, że zaraz dojdzie do rękoczynów. - Bo się boi, że będzie musiał patrzeć w obie strony! - wrzasnął ze śmiechem chłopak i pokazał to, a dwaj pozostali śmiali się razem z nim. Chłopak wyciągnął rękę, porwał nektarynkę z talerza, odgryzł spory kawałek, po czym wszyscy trzej oddalili się ze śmiechem.

- A ja prenumeruję wszystkie czasopisma na te tematy! - kontynuował Szczęśny, zupełnie jakby jego rozmowa z Asafem w ogóle nie została przerwana. Zaczął się lekko przechwalać, chcąc podreperować nadwątloną dumę: - 1 to nawet po angielsku! Nie wierzysz? Dwa lata uczyłem się angielskiego na Uniwersytecie Otwartym. Korespondencyjnie.

243

Tysiąc pięćset szekli. Mama mi to zafundowała w prezenc' nie musiałem nawet wychodzić z domu. Trzeba tam tyłk stawić się na egzaminy, ale nie poszedłem. Po co mi te i egzaminy i oceny? Ale jak przyjdiesz do mnie do pokoju zobaczysz wszystkie numery „Science” i „Galileo” ułożon w kolejności, dwa i pół regału już się

uzbierało! A w przy szłym roku, jak Bóg da, mama powiedziała, że mi kupi komputer i będę wtedy połączony z internetem, a tam jest cała wiedza. W ogóle nie wychodzisz z domu, a wszystko przychodzi do ciebie. Mocne, co?

Asaf przytaknął cicho. Pomyślał, że gdyby nie Tamar, przeszedłby obok niego, spojrzał na jego twarz i być może wzdrygnąłby się, trochę z obrzydzeniem, a trochę z litością, i to wszystko.

- A z Tamar też o tym rozmawiałeś? - spytał w końcu.

- O galaktykach i tak dalej?

- No peewnie! - Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech, sięgający aż po fioletową plamę. - Ona... Ech! Mogłaby słuchać w kółko, jeszcze i jeszcze, o kwazarach i o dziurach w czasie, i o pulsarach, i o rozszerzaniu się wszechświata, i w ogóle o wszystkim, kumasz? Dziewczyna, która nigdy w życiu nie widziała gwiazdy, tak? A może właśnie dlatego? Jak ci się zdaje? Może to przez psychikę ona tak chce wszystko wiedzieć? Nie wydaje ci się to logiczne?

- Asaf odniósł wrażenie, że umknęło mu jakieś zdanie z rozmowy. Szczęśny jednak nie zatrzymywał się: - Siedzi tu pół godziny, godzinę, nie odchodzi. Jak potem wracam do domu, to zaraz się kładę spać, jestem wykończony. No dobra.

- Zaśmiał się w nieco wymuszony sposób, odsłaniając na chwilę krzywe zęby. - A może po prostu, wiesz, nie jestem przyzwyczajony, żeby tyle rozmawiać, bo mojej mamy, prawdę mówiąc, nie interesują sprawy naukowe.

244

Asaf cofnął się myślami o kilka zdań. W tamtych słowach i/wiła jakaś tajemnica. A może po prostu coś mu się pokręciło.

_ Bo wiesz - powiedział Szczęśny, przechylając się nieco stronę Asafa - jak byłem mały, zdarzył mi się mały wypadek nic poważnego. - Znów mówił szybko, obojętnym tonem, jakby opowiadał o kimś dalekim i obcym. - Mama coś gotowała, jakąś zupę, i przez przypadek przewróciła na mnie garnek z wrzątkiem, zdarza się, to nie jej wina, i potem leżałem przez jakiś rok w szpitalu, parę operacji, sporo zamieszania. Ale od tamtego czasu wiele się nauczyłem o ludziach. Słowo daję,

stałem się psychiatrą, i to bez niczyjej pomocy! Bez żadnych książek, są do niczego. Dlatego mogę ją zrozumieć od środka i pomóc jej tak, że ona nawet się nie zorientuje, że jej pomagam, rozumiesz?

Asaf pokręcił przecząco głową.

- Bo oni... Oni mają swoją godność, i trzeba z nimi rozmawiać jak gdyby nigdy nic. Jakby to była dla ciebie zwykła rzecz, tak sobie siedzieć na ławce i opowiadać o sprawach naukowych, rozumiesz?

Asaf spytał ostrożnie, co to znaczy „oni”. Znał już odpowiedź, ale chciał usłyszeć to jeszcze raz wyraźnie powiedziane i znowu poczuć ten ból głęboko w brzuchu.

- Oni, no, znaczy ludzie, którzy mają ten problem. Więc trzeba uszanować ich godność. Między nami mówiąc, co oni mają oprócz godności?

- A ty widziałeś ją hm... w ciężkim stanie?

- Nie - roześmiał się Szczęsny. - U niej to normalne. No, ona tak ma od urodzenia. Nie wie, jak może być inaczej.

- O czym ty mówisz? - ożywił się wreszcie Asaf, zbity z tropu. - Co od urodzenia?

-Jest niewidoma.

245

Asaf aż podskoczył. Po prostu zerwał się z ławki równe nogi.

- Ona jest niewidoma? Tamar?

- Nie powiedzieli ci? Popatrz na sukę. To pies pr, wodnik.

Asaf popatrzył. To prawda. To dokładnie ten rodzaj nSa labrador, pies przewodnik. Albo raczej prawie labrador. Chociaż właściwie niezupełnie podobna. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zdawało mu się, że Dinka utkwiała w nim wyjątkowo głębokie spojrzenie. Nie odrywała od niego oczu jakby próbowała mu coś przekazać, ostrzec go. Asaf pomyślał że pomieszało mu się w głowie. Niewidoma? I Teodora słowem o tym nie wspomniała? Przecież sprzedawca pizzy mówił, że ona jeździ rowerem, a poza tym - jakim cudem wymknęła się detektywowi?

Szczęsny uśmiechnął się zadowolony.

- Teraz cię zaskoczyłem, prawda?

Z daleka dał się słyszeć kobiecy głos:

- Szczęśny! Zaraz siódma, chodź do domu!

- To mama - mruknął Szczęśny, po czym wstał i zaczął zbierać pozostałe ciasteczka. Resztki kawy wylał z kubka na ziemię i wszystko spakował, kubeczki, talerze, serwetę, psią miseczkę. Asaf nadal tkwił w bezruchu. Stał osłupiały. - No dobra, idziemy do domu. - Szczęśny zarzucił torbę na ramię. - Masz ochotę przyjść jutro? Ja tu będę. Porozmawiamy jeszcze. Czemu nie?

Asaf nadal gapił się na niego.

-Jeszcze jakaś godzina, godzina z hakiem - powiedział Szczęśny, wskazując palcem w górę. - Popatrz na niebo. Najwspanialsze przedstawienie na świecie!

Asaf spytał, jakie gwiazdy można rozpoznać na pierwszy rzut oka. Chciał zyskać na czasie. Zdawało mu się, że czegoś zaczyna się domyślać. Szczęśny podniósł rękę i wskazał,

246

. pokaże się Wenus, gdzie Gwiazda Polarna i Wielka ' . j^iedzica. Asaf nie słuchał. Coraz bardziej stawało się . n jego jasne coś wielkiego, wręcz cudownego. Miało to iazek z Tamar i z odwagą, z jaką co jakiś czas zdobywała ■e na rzeczy naprawdę szalone, ustanawiając własne, najzu-ełniej prywatne zasady postępowania. Szczęśny tłumaczył, Asaf łypnął okiem w dół, gdzie natknął się na konspiracyjne spojrzenie Dinki. Posłusznie zwrócił wzrok z powrotem na niebo, myśląc o tym, jak hojna musi być Tamar, zarówno wobec Teodory, jak i wobec Szczęśnego. Nie chodziło tu o pieniądze - trudno to wyjaśnić - lecz o hojność zupełnie innego rodzaju.

- A ja? - odezwał się Szczęśny gdzieś obok. - O czym ja marzę? Że kiedyś, jak Bóg da, będą możliwe podróże kosmiczne. Że promy na inne planety będą wylatywały tak samo, jak autobusy odjeżdżają z dworca centralnego. - Przyłożył dłoń do ust i zakomunikował: - Rakieta na Merkurego odlatuje za dziesięć minut! Rakieta na Wenus właśnie odlatuje!

- A ty polecisz? - spytał Asaf.

- Może tak, może nie. Zależy.

- Zależy od czego?

- Czy tego dnia będę akurat miał ochotę. - Znowu pogłaskał Dinę. - No dobra, na

mnie czas. Jeśli ją znajdziesz, powiedz jej: „Szczęsny przez cały czas zbiera dla ciebie informacje”. Powiesz jej? Nie zapomnisz? Szczęsny to moje imię.

Kiedy wrócił do domu, dopadło go życie, to znaczy - wszystkie sprawy, które ominęły go w ciągu dnia. Na sekretarce automatycznej nagranych było pięć wiadomości od Roiego, jedna od Danocha, jedna od Nosorożca i jedna od rodziców - że już wylądowali i że wszystko w porządku. Asaf poszedł

247

nareszcie do ubikacji, gdzie przeczytał pół numeru „Meczu” nie do końca rozumiejąc tekst, który przebiega! oczarr/ Potem wziął prysznic i zadzwonił do Danocha do domu, że mu powiedziec, że przez cały dzień biegał za suką („Suka? - zdziwił się Danoch. - To to jest suka?”), i poprosił o pozwolenie na kontynuację poszukiwań przez kolejny dzień. Otrzymał zgodę. Potem zadzwonił do Nosorożca, żeby go uspokoić, powiedziec, że żyje, i przyznać, że na razie nie ma na swoim koncie wielkich osiągnięć detektywistycznych. Miał jednak poczucie - ale tego z jakiegoś powodu nie mógł powiedziec Nosorożcowi - że coraz bardziej zbliża się do Tamar, że lada chwila do niej dotrze.

Tylko że wtedy, w czasie rozmowy z Nosorożcem, nagle przypomniał sobie coś, o czym mówił mu Szczęsny, pewną bardzo ważną informację. Zamierzał spytać go o to później, kiedy już się trochę lepiej poznają. Dlatego zgubił wątek w rozmowie z Nosorożcem.

- Asaf, jesteś tam jeszcze?

- Tak. Nie. Przypomniałem sobie coś.

„Kogoś szukała”, powiedział Szczęsny, po czym chyba się wystraszył, jakby zdał sobie sprawę, że zdradza jej sekret. A potem zaraz dodał: „Nieważne. Jakaś jej prywatna sprawa”. Kogo ona szuka? I dlaczego go o to nie spytałem? Jak mogłem przegapić coś takiego?

-A od starych masz jakieś wieści?

- Na razie niewiele - odparł Asaf roztargniony, po czym zakończył rozmowę. Cieszył się, że zdążył pogadać z Nosorożcem, zanim jeszcze odbył rozmowę z rodzicami.

Dinka była najedzona. Urządził dla niej legowisko, a następnie położył się tuż obok

na dywanie i czochrając ręką sierść sukki, starał się dociec, kogo szuka Tamar. Oboje zasnęli na godzinę lub dwie, kompletnie wyczerpani. Kiedy się obu-

248

iii było już całkiem ciemno, a po całym domu niósł się hem dzwonek telefonu. Asaf przygotował sobie „gorące Hanie” z ryżu i soczewicy, wziął kilka parówek, keczup i kawałek arbuza. Jakoś nie miał ochoty jeść tego, co mama zostawiła mu w garnkach, wolał sam zadbać o siebie. Zabrał talerz do dużego pokoju, wbrew przyjętym w domu zasadom, i obejrzał na kanale sportowym retransmisję meczu ligowego sprzed dwóch miesięcy, pozwalając, by uciszył się szum całego tego dnia. Trzykrotnie dzwonił telefon, a Asaf, wiedząc, że to Roi, nie podnosił słuchawki. Kiedy zrobiło się za późno, żeby wychodzić z domu, wreszcie odebrał telefon. -Asaf, ty ciulu, gdzieś ty się podziewał? Asaf usłyszał w tle okropny hałas, muzykę, śmiechy. Powiedział, że musiał zostać dłużej w pracy. Roi parsknął głośnym śmiechem, kazał Asafowi ruszyć tyłek i biegiem przyjść do Coffee Time, bo Dafi czeka na niego i zaczyna się już niecierpliwić.

- Nie idę - odparł Asaf.

- Co takiego? - Roi nie wierzył własnym uszom. - Posłuchaj, palancie. Już trzy godziny ja i Meital snujemy się po mieście z twoją Dafi, która, nawiasem mówiąc, odpicowała się dzisiaj nieziemsko, normalnie gwiazda porno, czarne body, cekiny i w ogóle, więc ty mi tu nie piernicz, że jesteś zmęczony po pracy! Co ty tam w ogóle robisz oprócz tego, że drapiesz się po jajach?

- Roi - powiedział Asaf ze spokojem, który go samego zaskoczył - nie przyjdę. Przepróż Dafi w moim imieniu. Nie chodzi o nią. Po prostu teraz nie mam do tego głowy.

Zaległa cisza. Asaf słyszał, jak obracają się trybiki w mózgu Roiego. Wiedział, jak działają. Sądząc po głosie, Roi był już lekko podchmielony, ale umysł miał jeszcze jasny i zdawał sobie sprawę, że Asaf nigdy przedtem nie rozmawiał z nim w ten sposób, takim tonem.

249

- Teraz ty mnie posłuchaj - odezwał się po chwili R0-Mówił szeptem, pieniącym się

od jadu, i Asaf pomyślał że ktoś już dzisiaj zwracał się do niego w ten sposób, nie pamiętał, kto, wiedział tylko, że ten ktoś źle mu życzył. No ias ne: tamten tajniak. -Jak się tu nie pojawisz za piętnaście minut z zegarkiem w ręku, to już po tobie.

Zrozumiałeś, dupku? Rozumiesz, co do ciebie mówię? Jak nie przyjdiesz, to dla mnie już nie istniejesz.

Asaf nie odpowiedział. Czuł łomotanie swojego serca Przyjaźnili się od dwunastu lat, Roi był jego pierwszym prawdziwym przyjacielem. Mama Asafa mówiła, że w pierwszym roku przedszkola, zanim pojawił się Roi, Asafi był taki samotny, że kiedy pewnego dnia wrócił z przedszkola z wszami we włosach, ucieszyła się, bo to oznaczało, że przynajmniej ma jakiś kontakt z innym dzieckiem.

- Zostaniesz sam - wyszeptał Roi z zapiekłą nienawiścią. Gdzie ona się ukrywała przez wszystkie te lata? - Nikt w klasie ani w szkole nawet na ciebie nie pierdnie, a wiesz dlaczego? Naprawdę chcesz wiedzieć, dlaczego? - Asaf napiął się, oczekując na cios. - Bo ja już nie będę twoim przyjacielem.

Nie zabolalo.

- Posłuchaj, Roi - odparł Asaf. Zdawało mu się, że mówi teraz trochę jak Nosorożec, ze spokojem i godnością, autorytatywnym tonem. - Sęk w tym, że ty już od dawna nie jesteś moim przyjacielem.

Odłożył słuchawkę. Dosyć tego - pomyślał bez emocji. - Skończyło się.

Poszedł do Dinki i usiadł koło niej. Patrzyła na Asafa pełnymi wyrazu oczyma.

Położył się na dywanie, oparł o nią głowę i poczuł, jak oddycha. Zastanawiał się, co będzie dalej i czy rzeczywiście odczuje wyraźną różnicę w szkole. Miał

250

-żenie, że nie. Bo na dobrą sprawę i tak przez ostatnie kil-lat był sam. Zawsze tylko z Roim i całą tą paczką. Coś tam hV robił razem z nimi, chodził na imprezy, śmiał się z ich , wCipów, godzinami grał w piłkę, wychodził się zabawić w piątkowe wieczory, spędzał z nimi mnóstwo czasu w zadymionych kawiarniach, w dusznych pomieszczeniach. Co oni właściwie robili przez całe dziesiątki tych ciągnących się bez końca wieczorów? Wypijali po parę piw, podrywali dziewczyny, palili mnóstwo papierosów i pili trochę wódki, a Asaf raz po raz wtrącał parę zdań o nauczycielach,

rodzicach i dziewczynach. Kiedy palili fajki wodne, zaciągał się kilka razy i mówił, że mu smakuje, a kiedy tańczyli, zawsze stawał pod ścianą z którymś z chłopaków, rozmawiał z nim, aż tamten wreszcie zebrał się na odwagę i zaprosił do tańca jakąś dziewczynę, po czym już nie wracał. A w czasie wakacji - było w zasadzie tak samo, o ile nie gorzej: niekończące się wędrówki po mieście, od kawiarni do kawiarni, od pubu do pubu, a on, przeważnie z wysiłkiem ukrywając przed nimi, co naprawdę czuje, starał się spełniać minimum ich oczekiwań, byleby zachować twarz. I zawsze po takim pustym, ogłupiającym wieczorze czuł się jak puf wypełniony ziarenkami styropianu. Dziwne, bo chociaż był właściwie samotny, to nigdy w ten sposób o sobie nie myślał. Samotni byli inni chłopcy i inne dziewczyny, Nir Charmac, na przykład, który nie miał ani jednego przyjaciela w klasie, albo ta snobka Siwan Aldor. Asafowi zawsze było ich żal, że nie potrafią znaleźć dla siebie miejsca, ale czy z nim naprawdę było inaczej? Co on takiego miał? Przeszło mu przez myśl, że właściwie prawie nigdy nie rozmawiał z Roim o fotografii. A przecież Roi wiedział, że w co drugą sobotę, już od trzech lat, Asaf jeździ na plenery z klubem fotograficznym na Pustynię Judzką, na pustynię Negew i na północ Izraela, a nawet wystawia swoje prace

251

(choć jest młodszy od pozostałych uczestników co najmniej o dziesięć lat). A Roi ani razu go o to nie pytał, nigdy tym nie interesował, no i oczywiście nie poszedł na żadną wystawę. Dziwne też, że Asafowi nigdy nie przyszło do głowy, żeby mu opowiedzieć, na przykład, jaką przyjemność potrafi mu sprawić udane zdjęcie albo oczekiwanie przez trzy, cztery godziny w zbożu w okolicach Michmoret, aż cięgną dokładnie na stary przystanek autobusowy z pękniętą betonową ścianką i wyrastającymi z niej krzakami kaparów. Tak się jakoś złożyło, że na takie sprawy nigdy nie było miejsca w rozmowach z Roim, a już tym bardziej, kiedy byli we czworo. I wtedy pomyślał o Tamar, że chciałby jej o tym opowiedzieć, opisać, jak wiele zmieniła fotografia w jego życiu, jak otworzyła mu oczy na przedmioty i ludzi, i na piękno tkwiące w rzeczach drobnych i z pozoru nieciekawych. Ot tak, posiedzieć z nią kiedyś w jakimś ładnym miejscu, nie w kawiarni, i porozmawiać. Porozmawiać

naprawdę.

Ale jednocześnie Asaf wiedział, nie miał co do tego złudzeń, że burza, jaką Tamar wywołała w jego życiu, skończy się natychmiast w chwili, gdy się z nią spotka, kiedy jak zwykle będzie musiał przejść próbę błyskotliwej rozmowy, uszczypliwości, ciętego humoru, oryginalności i wyluzowania. Zdawał sobie dobrze sprawę, i to już od lat, że możliwa jest tylko jedna, jedyna sytuacja na świecie, ba, w całym wszechświecie, w której miałby szansę na to, że jakaś dziewczyna się w nim zakocha - a mianowicie, jeśliby przypadkiem przebiegła razem z nim całe pięć tysięcy metrów na bieżni. Zastanawiał się teraz, czy tak naprawdę nie powinien zmienić taktyki: dać się w końcu namówić swojemu nauczycielowi i stanąć do zawodów. Może tam, wśród biegaczek długodystansowych, znajdzie wreszcie wybrankę serca?

Te myśli napęłniły go niepokojem. Wstał i wypił trzy szklanki wody, po czym zabrał się do przeglądania poczty. Na-

252

z a mi

stanął jak wryty: zielona koperta Kuratorium Oświaty, wydziału Egzaminów. Czekali na nią już dwa miesiące, dotarła właśnie teraz, kiedy rodzice są za granicą! Drżący-j palcami rozdarł ją i wyjął zawiadomienie: „Drogi Maturzysto / Droga Maturzystko, z radością informujemy, że zdałeś / zdałaś egzamin dojrzałości z języka angielskiego...”

Krzyknął z radości i w tej samej chwili zadzwonił telefon. Przez chwilę Asaf bał się, że to znowu Roi, lecz okazało się, że to ojciec woła do niego radośnie z Arizony, przez kontynenty i oceany:

- Asafi, synku, jak się masz?

- Tato! Właśnie o was myślałem! Co u was? Jak było w samolocie? Mama poradziła sobie z drzwiami w...?

Mówili jak zwykle jednocześnie, krzyczeli i śmiali się. Asaf pomyślał, że każda sekunda kosztuje fortunę i drażniło go, że nie może w pełni nacieszyć się tą rozmową. Taka minuta to dla ojca pewnie pół dnia pracy - powiedzmy, zainstalowanie dwóch wentylatorów sufitowych i naprawa co najmniej trzech

tosterów. Nieważne, do diabła z pieniędzmi, chciał ich uściskać, poczuć ich zapach, przytulić się. Zresztą i tak prawdopodobnie rozmawiają na rachunek Reli, a ona przecież ma teraz mnóstwo pieniędzy, no nie? Ta myśl sprawiła, że poczuł się swobodnie i śmiał się aż do Arizony, podczas gdy jego ojciec opisywał cudowne przeżycia z lotu i dalszej podróży. Asaf powiedział, że w domu nic nowego - nie martwicie się, dobrze się odżywiam, pilnuję domu - i nagle poczuł się znowu jak kilka lat wcześniej, kiedy jeszcze przychodził w soboty rano do ich łóżka, żeby się przytulić.

-Tato, posłuchaj, przyszły dzisiaj wyniki z Kuratorium...

- Poczekaj, Asafi, nic mi nie mów, to musisz powiedzieć bezpośrednio mamie!

Odgłos odkładanej na bok słuchawki, oddalające się kroki - to musi być bardzo duży dom. I cisza, cisza dzielącego ich

253

morza... Asaf próbuje zgadnąć, jakie rozmowy toczą się równolegle na innych liniach

- może jakiś mieszkaniec Alaski prosi właśnie o rękę dziewczynę z Turcji? Może właśnie w tej chwili Phil Jackson z Lakersów zaprasza Papiego Turgemana z klubu Ha-Poel do swojej drużyny na przyszły sezon? A wtedy nagle zjawia się mama, w całej obfitości swojego ciała i duszy, i odzywa się z serdecznym śmiechem:

- Misiu Asafisiu, tak się już stęskniłam! Jakja wytrzymam całe dwa tygodnie?

- Mamo, zdałaś egzamin!

Cisza, a potem eksplozja radosnych krzyków i pisków.

- List przyszedł? Oficjalny? Sprawdziłeś pieczętę? I oni mówią, że zdałam? Szimon, słyszałeś? Udało się! Mam maturę! Aj hew de maturejszyn!

Podczas gdy oni tam, w Arizonie, tańczą i ściskają się, trwoniąc połowę pensji, do telefonu zakrada się mała Muki:

- Asafi? - odzywa się ostrożnie, chcąc się upewnić, że mimo ogromnej odległości, jaką przebyła, jej brat pozostał niezmienny. - W jakim jesteś kraju?

Asaf tłumaczy jej, że nigdzie się nie ruszał, to ona wyjechała. Wtedy Muki zaczyna opowiadać: o podróży samolotem, o tym, jak bolały ją uszy i jakie puzzle dostała od stewardesy, i że w Ameryce jest wiewiórka. Opisuje ją w najdrobniejszych

szczegółach - za cenę takiej rozmowy można by sprowadzić do Izraela całe stado wiewiórek - no ale skoro Reli płaci, może zresztą nie sama, zaraz się okaże. Asaf siada wygodnie i słucha opowieści Muki o gwatamalkach, które jej tam kupili - małych laleczkach z materiału, które dzieci w Gwatemali wkładają sobie nocą pod poduszkę i każdej mówią o jednym ze swoich zmartwień, a rano zmartwienie znika. Asaf, który z radością powierzyłby swoje problemy cudownym „gwatemalkom”, delikatnie prosi Muki, żeby podała

254

pu jeszcze raz mamę do telefonu, bo jest ważna rzecz, o której nie zdążyli porozmawiać.

- Co ja ci mogę powiedzieć, Asafisiu - mówi mama, nieco ostrożniejszym tonem. - Spotkaliśmy się z nim.

Cisza. Asaf czeka. Już wie.

-Jest uroczy, Asafi. Delikatny, szarmancki. I chyba nawet jego mama jest w połowie z naszych. On jest wszystkim, czego Reli potrzeba. I ma tutaj wielki dom, musisz zobaczyć, z prawdziwym basenem, i jacuzzi, i jest tu taka lekko świrnięta Meksykanka, która mu gotuje, a Reli nauczyła ją robić nasz czulent. On jest bardzo wysoko postawiony w jakiejś tutejszej firmie komputerowej...

Asaf podwija nogi. Siedzi. Chwyta palcami za sierść Din-ki. Jak ma to powiedzieć Nosorożcowi? Jak on wytrzyma to, że wszyscy go zdradzili? No tak, Nosorożec przez cały czas podejrzewał, że jada tam właśnie po to, żeby poznać nowego chłopaka Reli.

-Asafi? Jesteś tam?

-Tak.

- Misiu Asafisiu, wiem dokładnie, co teraz myślisz i jak się czujesz, i czego byś sobie życzył. Ale to się już chyba nie może zdarzyć. Jesteś tam?

-Jestem.

- Nie muszę ci mówić, jak bardzo lubimy Cachiego, i że on już na zawsze będzie dla nas jak rodzony syn. Ale Reli podjęła taką decyzję i już. To jej życie, jej wola, musimy się z tym pogodzić.

Asaf miał ochotę nawrzeszczyć na Reli, potrząsnąć nią i przypomnieć, jak Nosorożec się o nią troszczył, kiedy przeżywała gorsze czasy i nie była wcale taka atrakcyjna, a on ją kochał ślepo już od początku liceum i w czasie wojska, i całe dwa lata po wojsku, wraz z jej szaleństwami

255

i tą przestrzenią, której ona tak potrzebuje, i jak 2 κ-giem czasu stał się w ich rodzinie jakby starszym bratem -magał ojcu, kiedy miał nawał pracy, i mamie, gdy tylko h t trzeba, od pójścia po zakupy aż po wspólne malowanie dom To właśnie w końcu zaczęło działać Reli na nerwy, bo miał-wrażenie, że on chce się ożenić bardziej z jej rodzicami niż z nią samą. Asaf myślał teraz rozgoryczony, że jeśli chodzi o rodziców, to owszem, nie można powiedzieć, żeby wykorzystywali Nosorożca, ale chętnie przyjmowali jego pomoc w tysiącu najrozmaitszych spraw, a Nosorożec wszystko to robił chętnie i z miłością. Asaf przypominał sobie, że zrezygnował nawet ze spółki z ojcem w jego biurze wycen majątkowych i postanowił otworzyć odlewnię posążków, głównie dlatego, że Reli z początku zapaliła się do tej męskiej, fizycznej pracy, mającej też bliski związek ze sztuką. Jak można bez mrugnięcia okiem przekreślić dziesięć takich lat? Poza tym teraz, kiedy Reli podjęła ostateczną decyzję, Asaf straci zarówno ją, co zrozumiałe, jak i Nosorożca, bo przecież on zerwie wszelkie kontakty z rodziną, to oczywiste, zrobi tak, żeby nie wspominać jej sto razy dziennie. Asafa też wyrzuci ze swojego życia.

Nie pamiętał, jaki był koniec rozmowy. Na pewno mniej radosny niż początek. Później od razu odłączył telefon, bo bał się, że Nosorożec znowu zadzwoni, by spytać, czy już rozmawiał z rodzicami. Nie wiedział, co mu powiedzieć, jak łagodnie przekazać mu tę wiadomość, a kłamać za dobrze nie umiał. Teraz był kłębkim nerwów. Wstawał. Siadał. Biegał po pokojach. Dinka zdumiona wodziła za nim wzrokiem.

W podobnych sytuacjach, przy takich nerwach, mama zwykle podchodzi do niego albo goni za nim między pokojami, chwytą go w swoje grube ramiona, patrzy mu głęboko w oczy i pyta, co te jego piękne oczy teraz widzą. A kiedy

256

■ka jej wzroku, ona mówi: „Co, czyżby aż tak?“, po czym „daje mu polecenie: „Do gabinetu“, a następnie ciągnie go

<0 swojego małego pokoiku, zamyka drzwi i nie wypusz-20, póki nie dowie się dokładnie, co go gnębi. Jednakże całej tej gmatwaninie ona, jak się zdaje, sama odegrała . śc njejasną rolę. Wszystko to było niesłuchanie zapętlone, okręcone i dręczące, a on musiał coś zrobić - coś, co wszystko zmieni, i to gruntownie. Coś, co naprawi, albo chociaż przywróci równowagę temu, co w jego świecie się popsuło j wio w gruzach. Coś, co w takiej sytuacji, być może, zrobiłaby Tamar - musiałby to być jakiś pomysł w jej stylu.

I wtedy błysnęła mu pewna myśl. Już wiedział, odkrył, wymyślił, co zrobić: wszedł na strych, wziął stamtąd kubek białej farby, która została po ostatnim remoncie, i duży wałek do malowania. Wystawił ze spiżarni i wziął na ramię drabinę „Szoszana“. Zagwizdał na Dinkę i wyszedł z nią z domu. Pomaszerował żwawym krokiem, nie patrząc po drodze nikomu w oczy, prosto do swojej szkoły i wszedł na podwórze przez dziurę w płocie przy kranie z wodą pitną.

W ubiegłym roku mieli nauczyciela, niejakiego Chaima Azrielego. Był to samotny, dystyngowany starszy pan, którego omal nie wpędzili do grobu. Prowodyrem był Roi, a Asaf dał się w to wciągnąć razem z innymi. Nigdy nie zrobił niczego naprawdę podłego, ale wraz z całą grupą uczestniczył w ogólnym szyderstwie. A ten nauczyciel akurat był dla niego miły i kiedy odkrył, że Asaf interesuje się mitologią grecką, przyniósł mu książkę z opowieściami o bogach, której Asaf nie znał, i powiedział, że to prezent.

Ostatniego dnia nauki umieścili wielki napis na ścianie szkoły, żeby mu dokuczyć. Przyszli wieczorem w przeddzień uroczystości zakończenia roku, w dziesięcioosobowej grupie. Asaf był drabiną, a Roi wdrapał się na niego i stojąc na jego

257

barkach, pisał po ścianie czarną farbą. Od tego czasu, i|ekr . Asaf przechodził tamtędy w czasie wakacji, widział ten naD'. podobnie jak każdy, kto przechodził przez ulicę, prawdon dobnie również pan Chaim Azrieli, który mieszkał (W przecznice dalej.

Teraz rozrobił farbę i wszedł na drabinę. Podwórze było puste i oświetlone jedną latarnią. Dinka siedziała z boku i wodziła głową za wałkiem, patrząc, jak pod lśniąco białym pasem farby słowo po słowie znika tamten napis:

„Azrieli, umyj zęby!”

Nazajutrz rano, oczyszczony i świeży po spokojnie przespanej nocy, z lekkim sercem wsiadł na rower i wyruszył w drogę.

W środku nocy poczuł nagle, jak wielkie, ciepłe i niezbyt czyste cielsko przychodzi i zwija się w kłębek obok niego na łóżku. Nie otwierając oczu, jakby tak było od zawsze, przytulił psa do siebie i dowiedział się, jak lubi spać: odwrócony wygiętym w półksiężyc grzbietem do jego brzucha. Dmuchał lekko w jego otwartą dłoń i raz po raz wzdrygał się, jakby śnił o polowaniu. Rankiem oboje otworzyli oczy i uśmiechnęli się do siebie.

- Tak sypiacie w domu? - spytał, nie oczekując odpowiedzi.

Wstał radosny, w łazience pogwizdywał pod nosem, starannie się uczesał, a potem zrobił coś, czego nie robił już od wielu miesięcy (głównie dlatego, że mama bez przerwy suszyła mu o to głowę) - wysmarował się ogromną ilością „Oxy” przeciw trądzikowi.

Poprzedniego dnia wystawił z komórki rower - starego raleigha, odziedziczonego po Nosorożcu. Już od kilku mie-

258

, przy nim nie jeździł. Musiał napompować koła, naoliwić cuch, usunąć grubą warstwę kurzu z reflektora i lampy od-
. i skowej. A kiedy wyjechał na nim wczesnym, pogodnym nkiem. poczuł się szczęśliwy, gwizdał na Dinkę i śpiewał dla niej prosto z serca, na cały głos. Suka biegła w podskokach bok niego, wyprzedzała go i wracała, posyłając mu pełne miłości spojrzenia. Już wczoraj wieczorem Asaf odciął długi sznurek, i teraz oboje delektowali się nową swobodą ruchu między sobą: ona oddalała się od niego, a nawet znikwała na chwilę za jakimś zaparkowanym samochodem, po czym sama

do niego wracała.

On, oczywiście, pozwolił, by go prowadziła, nauczył się już, że tak jest najlepiej. Pedałował, gwizdał i widział, z jaką wprawą suka biegła obok roweru. Oczyma wyobraźni widział już ją, jak biegnie między dwoma rowerami, wąską ścieżką na zielonej łące, spoglądając na dwoje rowerzystów tym samym, pełnym oddania spojrzeniem.

Mimo wszystko jednak odnosił wrażenie, że tego ranka suka biegnie bez celu.

Próbuje tędy, potem wraca... Chociaż w sumie nie miał nic przeciwko błakaniu się jej śladem po zaspanych, budzących się dopiero ze snu ulicach. Omijali skrzynki mleka i powiązane sznurkiem paczki gazet na chodniku, i strumienie wody, którą właściciele sklepów zmywali chodniki przed swoimi witrynami, i opiekunkę psów, która prowadziła ich piątkę na pięciu smyczach, a wszystkie czekały na Dinkę z zazdrością...

Powoli wyprowadzała go poza Jerozolimę. Asaf zastanawiał się, czy teraz nie zabierze go przypadkiem do Tel Awiwu. Biegła koło niego lekkim, wesołym kłusem, odbijając się od ziemi tylnymi i opadając na przednie łapy jak koniki na karuzeli w lunaparku, ale w odróżnieniu od nich Dinka nagle zmieniła kierunek. Asaf zobaczył, jak to się stało: jej nos wyłapał

259

jakaś drobinę informacji spośród tysięcy unoszących się w D wietrze zapachów i wspomnień. Jakiś pyłek musiał podzielać - na nią mocniej niż pozostałe. Zatrzymała się i cofnęła do miejsca, gdzie poczuła ten zapach, przystanąła, by powęszyć, rozszyfrować kod, wywołała zdjęcie w ciemni swojego nosa i Co sił w nogach puściła się galopem w nowym kierunku.

Asaf nie znał tych okolic i jak zwykle nie miał pojęcia dlaczego suka prowadzi go właśnie tutaj. Czasami, przejeżdżając tędy autobusem w drodze do Tel Awiwu, widział dolinę, rozciągającą się tuż za szosą, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, że coś - albo ktoś - może się tam znajdować. Teraz schodził stromą ścieżką, prowadząc rower obok siebie, z małym, solidnie zapiętym plecakiem na ramieniu, bo kto wie, kiedy będzie mógł zjeść następny posiłek?

Dinka była tutaj mniej pewna siebie. Biegała to tu, to tam, zataczała szerokie kręgi, które Asafowi wydawały się przypadkowe i chaotyczne. Niekiedy stawała, węszyła bezradnie, obracając się na cztery strony świata, i nie mogła się zdecydować. Wtem rzuciła się z zapalem ku jakiejś kupie piasku pokrytej krzakami i złomem, lecz po dotarciu na jej szczyt zatrzymała się zaskoczona, popatrzyła w prawo, w lewo, a potem wróciła do Asafa, kiwając spuszczone ogonem.

W pewnym miejscu ścieżka zawałona była stertą kamieni. Asaf schował rower w krzakach i przykrył wielkim, znalezionym tam kawałkiem tektury. Wspiął się na stos kamieni, przeciął małą łączkę, gęsto porośniętą tak wybujałym koprem, że niemal cały w nim zniknął, a Dinka stała się tylko linią rozchylających się łodyg. Dalej łąka się skończyła i Asaf stanął naprzeciwko domów. A właściwie ruin.

Wzniesione były z wielkich i ciężkich kamiennych bloków, a z ich ścian wyrastały kępy zielska. Asaf szedł w milczeniu. Słyszeć było tylko świergot ptaków. Za każdym

260

01<jem spod jego nóg wyskakiwały roje szarańczy. Wchodził eóre i schodził po małych, łukowatych schodkach łączących j0my ze soDa- ' zaš'^dał do środka.

Przypuszczał, że to po-zucona wioska arabska, której mieszkańcy uciekli w czasie wojny o niepodległość (jak twierdził Nosorożec) albo zostali bezlitośnie wypędzeni (Reli). W domach były puste pokoje, chłodne i ciemne, a w pokojach kupy odpadków i odchodów. VV każdym pomieszczeniu wybita była dziura w suficie i wielki otwór w podłodze. Asaf zajrzał do jednego z tych otworów i zobaczył, że pod spodem znajdowało się inne pomieszczenie, chyba cysterna na wodę.

Przechodził przez tę widmową wioskę z pewnym respektem, niemal na czubkach palców. Kiedyś mieszkali tu ludzie - myślał. - Tutaj, po tej ścieżce chodzili, rozmawiali ze sobą, ich dzieci biegały, bawiły się, nie wyobrażali sobie, że cały ich świat się zawali. Asaf zawsze obawiał się wnikać w to zbyt głęboko, chyba dlatego, że zawsze, kiedy zbliżał się do kwestii politycznych, w jego głowie zaczynał rozbrzmiewać koncert nieustannych sporów między Nosorożcem a Reli; tutaj też przez chwilę mu towarzyszyli, kłócąc się zawzięcie. Reli cedziła przez zęby, że każda

taka wioska jest krwawiącą raną w sercu społeczeństwa izraelskiego, a Nosorożec odpowiadał jej cierpliwie, że gdyby sprawy przybrały inny obrót, wówczas to j ej dom tak by wyglądał. Więc co jest lepsze? A wtedy, jakby przywołując stałą, banalną puentę, którą jego mama zawsze w takich sytuacjach próbowała uciąć dyskusję i uspokoić atmosferę, nad głową Asafa przeleciał cętkowany, tłusty gołąb. Przysiadł na barierce balkonu zawieszonoego w powietrzu, wysoko na samotnej ścianie, za którą nie stał żaden dom, a kiedy dotknął łapkami balustrady, Asaf drgnął: zdawało się, że pod ciężarem ptaka balkon runie wraz z całą ścianą.

261

Aparat! - pomyślał oczywiście Asaf. - Czemu n' przyszło mi do głowy, żeby go dzisiaj zabrać!

Na kamiennym występie w zewnętrznej ścianie jedn • z ruder Asaf dostrzegł parę trampek zawieszoną na szriuro wadłach. Wszedł po schodach, zajrzał do środka i zobaczvt dwóch śpiących chłopców.

Natychmiast się wycofał. Przez chwilę stał na zewnątrz osłupiały: co oni tu robią? Jak można mieszkać na takim śmietniku?

Zszedł dwa stopnie w dół, po czym cofnął się o jeden Trochę się bał. Poza tym było mu trochę niezręcznie podglądać ich życie. Kiedy znów stanął w progu, zobaczył ich. Dwaj chłopcy. Bardzo chudzi. Jeden z nich opatulony w brudny, poplamiony wapnem koc, drugi prawie całkiem odkryty. Spali na materacach z żółtej gąbki, przypalonych i okopconych na brzegach. Po podłodze walały się puste butelki po wódce „Stopka”, wszędzie było pełno much. Dziesiątki. Powietrze wypełniało ich brzęczenie.

Pośrodku pokoju, nad wielkim wybitym w podłodze otworem, ktoś położył odwrócone żelazne łóżko, chyba po to, by nie wpaść do znajdującej się poniżej cysterny na wodę.

Chłopcy leżeli po obu stronach dziury, przyciśnięci do ściany, i na pierwszy rzut oka wydali mu się młodsi co najmniej o trzy lata od niego. To niemożliwe, żeby dzieci żyły w ten sposób - pomyślał Asaf.

Znów skierował się ku wyjściu. Nie wytrzymał. Poza tym -jak mógłby im pomóc? Kiedy się odwrócił, nadepnął na blaszaną miskę i przewrócił ją do góry dnem.

Odskakując, zrzucił z okna stalowy wieszak. Nastąpiła seria drobnych wypadków, które wywołały potężny rumor. Chłopak, który spał bliżej wejścia, otworzył powoli oczy, zobaczył Asafa i na powrót je zamknął. Potem, z wielkim wysiłkiem, otworzył je znowu, wsunął rękę pod materac i wyjął stamtąd nóż.

262

- Czego chcesz - spytał słabym, dziecięcym głosem i jak-ueZ znaku zapytania. Mówił powoli, z rosyjskim akcentem.

Nawet nie podniósł się z legowiska.

- Niczego.

Milczenie. Chłopak leżał na wznak z odsłoniętą piersią, białą i gładką. Posłał Asafowi spojrzenie bez wyrazu, bez strachu, bez groźby, bez nadziei.

- Może jest jedzenie? - spytał.

Asaf pokręcił głową, ale przypomniał sobie o dwóch kanapkach, które przygotował sobie rano. Wyjął je z plecaka. Podeszedł. Chłopak nie wstał, wyciągnął tylko rękę. Druga dalej spoczywała na nożu.

Asaf zrobił krok do tyłu. Chłopak usiadł powoli, każdy ruch kosztował go mnóstwo wysiłku. Ręce lekko mu drżały. Wepchnął prawie całą kanapkę do ust. Dopiero po chwili zorientował się, że jest owinięta w papier, wyjął, odwinął ile się dało i znowu wepchnął, po czym zamknął oczy i długo przeżuwał, lekko postępując. Stopy wystawały mu spod koca. Miał czarne palce. Na cementowej posadzce obok materaca leżała książka po rosyjsku, w kolorowej okładce. Pod ścianami leżały sterty gazet, papieru toaletowego i torebek po chrupkach. Mnóstwo pustych torebek i strzykawka.

Chłopak dokończył kanapkę i kulturalnym ruchem, który zupełnie nie pasował do tego koszmarne miejsca, otarł usta papierem śniadaniowym.

- Dzięki.

Wtedy spojrział na drugą kanapkę, którą Asaf miał w ręku. Wargi poruszyły mu się, jak gdyby coś jadł.

- A to połóż jemu - odezwał się, wskazując na kolegę. Asaf ostrożnie ominął otwór cysterny i położył kanapkę

obok śpiącego chłopaka.

Pochylając się, zauważył, że po drugiej stronie materaca, przy głowie chłopca, leży czarny pistolet. Tylko mignął mu

263

przed oczami, więc Asaf nie był pewien, czy jest prawdziwy czy to tylko zabawka.

Chłopak nawet nie otworzył oczu.

Asaf stanął znów przy wejściu.

-Jestem Asaf.

- Siergiej. - Milczenie. Siergiej pokiwał ciężko głową jak sędziwy starzec. - Mały Siergiej. Jest też Duży Siergiej. Tam śpi. U ciebie może jest jeszcze jedzenie?

Asaf odpowiedział, że już nie. Potem pomyślał, że być może zda się na coś guma do żucia. Podał mu całą paczkę. I dwa batony. Nimi też chłopak chciał się podzielić z towarzyszem.

Przy materacu Dużego Siergieja leżało sreberko od papierosów, rozprostowane i starannie wygładzone, a obok niego dwie słomki od napojów i kilka kawałków przypalonego na końcu papieru toaletowego. Asaf przyglądał im się przez chwilę. Rok temu w szkolnej ubikacji przyłapali kilku uczniów z jedenastej klasy na „grzaniu” heroiny. Tak mówili koledzy, a Asaf roznosił tę plotkę dalej, chociaż dla niego były to tylko puste słowa. Później ktoś z jedenastej wyjaśnił na podwórku, co i jak: bierze się folię aluminiową i zapala się pod nią papier toaletowy. „Towar” na folii pod wpływem gorąca formuje się w kulki, a wtedy można go nad ogniem rozprowadzić po folii i wdychać.

Ściany wszędzie dookoła zapisane były rzędami wielkich, krzykliwych rosyjskich liter. Każdy rząd innym kolorem. Asaf spytał, co tam jest napisane.

- To? Opowiadanie. Pisał jeden taki, co tu kiedyś mieszkał. Już nie żyje.

Dinka, która przez cały ten czas kręciła się wokół domu i czegoś szukała, weszła teraz po schodach. Siergiej usłyszał jej kroki i chwycił za nóż. Kiedy ją zobaczył, uśmiechnął się.

- Pies - powiedział ciepło. - W Rosji też taki u mnie był

264

położył się z powrotem, z oczami utkwionymi w Dince. Asaf nie wiedział, jak prowadzić dalej gasnącą rozmowę.

_ Co to za książka? - Wskazał ręką na książkę rzuconą na podłogę koło materaca.

- To? Takie tam, smoki, Dungeons & Dragons.

- Naprawdę? - Asaf ożywił się. - Po rosyjsku też to jest?

- Po rosyjsku jest wszystko - odparł chłopak, ciężko wzdychając. - Tam, skąd ja przyjechał, u mnie był nawet taki-- grup D&D. Jak się to mówi po hebrajsku?

- Grupa - poprawił Asaf.

- Tak... Grupa... D&D... - Oczy mu się zamknęły.

- Zaraz - powiedział Asaf.

Kim jesteś, jak się tu znalazłeś, jak doprowadziłeś się do takiego stanu, co jadłeś w ciągu ostatniego tygodnia oprócz tych chrupek, może jesteś chory, wyglądasz na chorego, gdzie twoi rodzice, czy oni w ogóle wiedzą, gdzie jesteś, jak to możliwe, że nie przewrócili wszystkiego do góry nogami, żeby cię znaleźć, co stanie się z tobą jutro, gdzie będziesz za miesiąc, o ile w ogóle jeszcze będziesz?

- Szukam pewnej dziewczyny - powiedział zamiast tego wszystkiego. Jeszcze nie stracił całkiem nadziei, że Dinka wiedziała, po co go tu prowadzi. - Mała, z długimi czarnymi włosami. Chodziła z tym psem.

Siergiej powoli otworzył oczy. Spojrzał na Asafa, jak gdyby już zdażył o nim zapomnieć. Uniósł się na łokciach, zamrugał oczami, patrząc na prostokąt światła, w którym siedziała Dinka. Asaf miał wrażenie, jakby nagle wyostrzył mu się wzrok.

I położył się znowu, jego ramiona nie mogły utrzymać ciężaru głowy. Zamknął oczy, nie ruszał się. W kącikach jego ust siedziały muchy i wybierały okruchy kanapki.

Asaf czekał jeszcze dłuższą chwilę, rozczarowany. Za łukowatym oknem

265

zobaczył błękitne niebo, zbocze wzgórza i kilka soseri. Zwrócił się do wyjścia.

Kiedy był już przy drzwiach, zatrzymał go głos chłopaka.

- Ona tu przyszła - powiedział, nie otwierając oczu a Asaf poczuł, że ciarki przeszły mu po karku. - Może z miesiąc temu? Może(dwa? Nie wiem. Ona kogoś szuka.

Chyba chłopca. Chłopaka? Przyszła tu z foto, znaczy, ze zdjęciem? Po hebrajsku

mówi się „zdjęcie”?

Asaf przytaknął. Chłopak ciągnął dalej.

- Pytała, czy znamy. Może to jej chłopak? Nie wiem. - Asaf słuchał uważnie, w milczeniu. Zaszło mu w ustach. W jego sercu zaczął szemrać nieokreślony ból. - A był tu taki jeden, mówili na niego Paganini - chłopak mówił jakby przez sen - grał na skrzypcach. Grał, grał, aż mu kocher wybuchł w rękach i skończyło się granie. - Chłopak znów umilkł na dłuższą chwilę. Asaf bał się, że znowu zasnął i że już nic więcej nie powie. Jednakże po chwili zaczął mówić dalej, z zamkniętymi oczami. - I on, ten Paganini, widział jej chłopaka na deptaku, jak grał na gitarze.

- To znaczy, Paganini znał tego... jej chłopaka?

- Nie... Nie znali się. Bo jak? Ale ten jej chłopak igrajet bardzo, bardzo dobrze. Tak sam Paganini mówił.

Asaf wiedział, że na razie nie wolno mu się zastanawiać nad tym, co tu słyszy, musi tylko zamienić się w słuch i zapomnieć zupełnie o tym jej chłopaku, który tak świetnie gra na gitarze.

Siergiej nabrał nieco życia. Znowu spróbował się wyprostować i na chwilę mu się to udało.

- A kiedy on igrajet, ten chłopak, to jest jeszcze dużo muzykantów. Dają razem koncerty, jak artyści, wot tak, na ulicy. Jak grupa. A wszyscy mali, takie dzieci. Ale też trochę mafia. Nie wiem. Bałagan... - Poddał się osłabieniu, padł

266

owrotem na materac i zaczął mamrotać: - Ja ją zapa-etał— -Jeś° słowa mieszały się z sennym oddechem. - Ona ała- Nie boi się nic, przyszła tu sama, krzyczy, wstańcie, wstańcie, patrzcie, jego zdjęcie...

Zaczął lekko pochrapywać. Asaf odczekał jeszcze chwilę. Ostrożnie, nieomal na czubkach palców, wyszedł z rudery. Nadal zabraniał sobie myśleć czy czuć cokolwiek. Ma chłopaka, w porządku. Szuka go. Wygląda na to, że biega i szuka go po całym mieście. Zupełnie w porządku. To nie moja sprawa. Mam tylko oddać sukę. Chodź, Dinka, idziemy.

Ale nagle ręce mu opadły i stracił ochotę na cokolwiek.

Trzeba zadzwonić do Nosorożca - myślał, snując się powoli za Dinką. - To już się robi zbyt zagmatwane. W dodatku Siergiej mówił coś o mafii. Co za mafia, o co chodzi z tą mafią, nie mogę się tym dłużej Sam zajmować. Nie trzeba było w ogóle się w to wdawać.

Kiedy dotarli z powrotem na łąkę porośniętą bujnym koprowym gąszczem, Dinka zatrzymała się. Asaf znów zobaczył, jak to się dzieje: jak gdyby fruujący w powietrzu niewidzialny motyl zapachu usiadł jej zniechęca na czubku nosa, po czym znów zerwał się do lotu, wskazując jej nową drogę.

Skręciła pod ostrym kątem w prawo, zaczęła biec, a po chwili zatrzymała się i spojrzała wyczekująco na Asafa, energicznie merdając ogonem. Gdyby nawet podniosła transparent z napisem „Chodź za mną”, nie zdołałaby tego dobitniej wyrazić.

Kręta ścieżka zmieniła się w drogę wyłożoną ociosanymi równo kamieniami. Po obu jej stronach rosły drzewka granatowe i cytrynowe, figowce i kępy kaktusów. Obok płynął mały strumyk, wszystko razem miało w sobie tyle uroku, że aż

267

trudno było uwierzyć, że coś takiego może tu w ogóle istnieć i że w odległości kilku metrów na kupie śmieci leżą dwa-chłopcy.

Za gęstwiną krzaków połyskiwała mała sadzawka nie-bieskozielona, jak otwarte dobrodusze oko, skąpiana w pro. mieniach słońca, czesana lekkimi drgnieniami wiatru. Czysta woda wprost występowała z brzegów, przelewała się, tworząc strumyk, który Asaf mijał po drodze.

Dinka spojrzała na Asafa i zaszczekała wesoło. Patrzyła naprzemian to na niego, to na sadzawkę. Znów zaszczekała.

- Dinka, nie mam teraz siły na zgadywanki. Musisz się wyrażać jaśniej.

Przeszedł brzegiem sadzawki po otaczających ją śliskich kamieniach. Pomyślał, że być może jest tutaj coś, co należy do Tamar. Wtem zadrzał - tam może być ona sama. Zajrzał jeszcze raz, ostrożnie. Strach malował w jego wyobraźni potworności ukryte w głębi wody, na dnie sadzawki. Jednak nie było tam niczego - ani nikogo.

Wówczas zaczął przeszukiwać krzaki. Rozchyłał gałęzie, sprawdzał tu i tam. Znalazł

dwie stare strzykawki, strzępy gazety, ręcznik, gnijące skórki arbuza. A Dinka przez cały czas chodziła wokół niego, plątała mu się pod nogami, kilka razy mało nie wrzuciła go do wody. Szczekała z niezwykłym entuzjazmem, jakby starała się go wyrwać z przygnębienia.

Klęknął przed nią i przez chwilę trwali tak w bezruchu, nos przy nosie. Ona zaszczekała, a on rozłożył ręce, ujął oburącz jej głowę, spojrzał jej prosto w oczy z udawaną rezygnacją i pytał, przekrzykując jej szczekanie: „Co? No co? Ale co?” Wyrwała mu się, wyswobodziła głowę z jego uścisku, po czym stanęła nad brzegiem sadzawki, popatrzyła na nią, jakby chciała powiedzieć: „No, skoro naprawdę nie rozumiesz...”, i wskoczyła do wody.

268

Rozległ się potężny plusk i lodowate krople pokryły Asafa- Dinka zanurzyła się na chwilę i zaraz wypłynęła na powierzchnię. Nad wodą obracała się na wszystkie strony jej mądra głowa, a pod powierzchnią całe ciało, ciemne, przemoczone. Pływała w małej sadzawce podobnie jak każdy pies zanurzony w wodzie, wykonując energiczne, gorączkowe ruchy, z pełnym niepokojem, skupionym wzrokiem, jakby wypełniała bardzo trudne zadanie.

- A więc tego chciałaś? Chcesz, żebym ja też wskoczył do wody?

A co będzie, jeśli ktoś tu przyjdzie i mnie zobaczy? - pomyślał i zaraz sobie odpowiedział: - Ale właściwie kto miałby tu przyjść? Dwóch śpiących Siergiejów? Oni ledwo się poruszają, a tu jest tak wspaniale. W sumie racja, co mi szkodzi, oczyszczę głowę z niepotrzebnych myśli.

Natychmiast zdjął z siebie wszystko oprócz majtek i wskoczył do sadzawki.

Poczuł lód we wszystkich częściach ciała. Wskoczył z dzikim okrzykiem, wynurzając się do pasa, i wziął głęboki wdech, nabrał do płuc całe powietrze z doliny. Zanurkował z powrotem, dotknął rękami gładkich kamieni na dnie, po czym znowu wypłynął, żeby nasycić się słońcem. Dinka pływała wokół niego, zataczając niewielkie kółka, a Asaf miał wrażenie, iż bardzo chciałaby znać więcej sposobów wyrażania radości. Jej ogon ciął wodę raz za razem, rozpryskiwał ją na lodowate

krople, a Asaf- którego mama twierdziła, że ma nieprawdopodobną zdolność regeneracji, chociaż on sam nie bardzo wiedział, o czym mowa - złapał Dinkę za głowę i zanurzył ją w wodzie. Suka natychmiast wyrwała mu się i ubodła go w pierś, zaczęli się gonić od brzegu do brzegu, na ukos, Asaf wyrwał z brzegu okrągły kamień i wrzucił do wody, a wtedy Dinka zanurkowała, wyciągnęła go na powierzchnię

269

i sapiąc, wypuściła w powietrze fontannę wody. Potem uścisnęli się oboje jak dwaj bracia, którzy nie widzieli się 0H trzydziestu lat.

- Ona tu przychodziła? - spytał Asaf. Twarz miał wtulona w jej pysk, a mokre włosy przylgnęły mu do czoła. - Przychodziła tutaj, kiedy chciała być sama? Razem pływałyście? Czy tylko raz zanurzyła się w wodzie, wtedy, kiedy przyszła, żeby zasięgnąć języka u tych tam, Siergiejów? Hej, a gdzie kamień?

Ona była psem, a on chłopcem. Ich wspólny język nie był zbyt rozwinięty, ale w głębi serca Asaf czuł, że Dinka podarowała mu tę kąpiel w prezencie i być może, na swój psi rozum, chciała w ten sposób podziękować mu, że nie daje za wygraną i wciąż szuka jej Tamar.

Potem zamknął oczy i pływał na plecach, a blask słońca przeświecał przez jego powieki. Jest taka dziewczyna -myślał w błogim otępieniu - jest ktoś taki na świecie. Ciekawe, co sobie o mnie pomyśli, kiedy się spotkamy.

Jest dziewczyna - myślał, a jego powieki stawały się coraz cięższe - która pływała kiedyś w tej sadzawce, w tej samej wodzie. Ta woda dotykała jej dokładnie tak samo, jak dotyka teraz mnie.

Rozpłynął się cały w słonecznym marzeniu. Wiedział, że jest coś, co go dręczy, nowy fakt, który poznał niedawno, kilka minut temu, ale jak zawsze zdołał odegnąć tę myśl. Jeszcze przyjdzie na nią czas, nie ucieknie. Spróbował po raz kolejny wyobrazić sobie, jak ona wygląda, ta Tamar. Zebrał w całość wszystko, czego się o niej dowiedział od Teodory i detektywa. Usłyszał, jak Dinka, sapiąc, wychodzi na brzeg, a po chwili znów poczuł na całym ciele zimne kropelki, kiedy się otrząsała. Chłód mu przypomniiał: ona szukała chłopaka. Cień przemknął Asafowi przez oczy i na chwilę przesłonił słońce.

ze

„Coś ty myślał - szeptał jadowity głos w jego wnętrzu będzie na ciebie czekać? Taka dziewczyna ani przez chwilę nie jest sama. Na pewno wciąż otacza ją krąg wielbicieli. Nie dość, że ma chłopaka, to na dodatek gitarzystę". Zaraz stanął Asafowi przed oczami, od głowy aż po struny. Goguś o uśmiechu gwiazdy filmowej, taki drugi Roi, bystry, wygadany, co umie zabawiać dziewczyny i wszystkich doprowadza do szaleństwa swoją gitarą.

- Okej - powiedział do siebie z zamkniętymi oczami, starając się nie poddać do reszty zazdrości, która nagle ukąsiła go w serce. - No dobrze, ma chłopaka. I co z tego? Co mnie obchodzi jej chłopak? Przecież szukam jej po to, żeby zwrócić Dinę. Chłopak, nie chłopak, co mnie to obchodzi.

Dał nura pod wodę i został tam najdłużej, jak mógł, chcąc ostudzić jad, jaki wrzał w jego krwi. Nie rozumiał, co się z nim dzieje. Dlaczego tak bardzo doskwiera mu myśl, że ona ma chłopaka? A potem pomyślał z goryczą, że tak chyba jest zawsze: on szuka jej, a ona szuka innego. Nosorożec chce Reli, a Reli chce tamtego Amerykanina. Dlaczego nie można lekko stuknąć tego świata, tak z boku, jak uderza się w skrzynkę z narzędziami, gdzie są śrubki i gwoździe, a wszystko zaraz wraca na swoje miejsce? Kiedy już zaczynało mu brakować powietrza, a od zimna skurczył się też jego świeży ból, wypłynął na powierzchnię i pozwolił, by światło słoneczne przyniosło mu ukojenie.

Słońce grzało mu brzuch, muskało pierś. Myśli zaczęły się znów rozchodzić łagodnymi kręgami. A w ogóle możliwe, że będę jej jeszcze szukał przez wiele tygodni, miesięcy, a może nawet lat. Za jakieś dwadzieścia lat, powiedzmy, w końcu ją znajdę, zapukam do drzwi w jakiejś ekskluzywnej dzielnicy willowej, a strażnik otworzy mi i powie: „Słucham, kim pan jest?” Ja mu wtedy powiem, że mam coś dla Tamar.

„Pan? - on odpowie. - A kim pan dla niej jest? Tamar ni przyjmuje każdego. Każdą wolną chwilę poświęca na Γ07 myślenia o tym, co dobre, a co złe, i o wolności

wyboru, a p0 za tym akurat jest w podłym nastroju, bo dopiero co sie rozeszła ze swoim pierwszym mężem, słynnym gitarzystą.."

- Widziałeś, co za sztuka?

- Naprawdę, nie masz na niego ochoty?

- Powiedz, od kiedy przychodzą tutaj pedały?

Asaf otworzył oczy i zobaczył trzech chłopaków stojących nad brzegiem sadzawki.

- Dzień dobry, skarbie, dobrze się spało?

- Śniło ci się, jak żeśmy cię posuwali wczoraj w nocy? Wreszcie zaczął wykonywać właściwe ruchy, by wstać.

Woda sięgała mu do szyi. Było mu zimno. Próbował podplynąć do brzegu, ale jeden z chłopaków podszedł leniwym krokiem, wręcz powłócząc nogami, i kiedy Asaf uczeplił się palcami kamienia, żeby wyjść, ten mu je przydepnął. Asaf popłynął w drugą stronę, lecz tam też już ktoś czekał z uniesionym butem. Zaczął pływać od brzegu do brzegu, w tę i z powrotem. Zdawał sobie sprawę, że nie ma szans, że nie dadzą mu wyjść, ale już nie myślał racjonalnie. Tymczasem biedna Dinka stała z daleka i wściekle szczekała, uwięziona, bo jeden z chłopaków, na oko największy z całej trójki, trzymał ją za obrozę, przyciskając do nogi, tak że nie mogła ani obrócić głowy, ani ugryźć, ani ruszyć się z miejsca.

Bawili się nim tak jeszcze przez kilka minut w zupełnym milczeniu. Za każdym razem jeden z nich podchodził do brzegu w miejscu, gdzie Asaf próbował wydostać się z wody. Wreszcie, kiedy już prawie się załamał, oddalili się i pozwolili mu wyjść. Wdrapał się na brzeg i stanął tam, prawie nagi

■ drżący z zimna, a oni wokół niego. Fatalnie. Jeszcze nigdy nie było gorzej. Nie wiedział, co mu zrobią. I co zrobią

z Dinką-

Największy z nich zbliżył się do niego. Trzymał Dinkę tak krótko, że dosłownie włókł ją, a ona skomlała.

_ To jak, siostrzyczko? - Uśmiechnął się do Asafa. - Może chciałaś sobie jeszcze zrobić jacuzzi w naszym prywatnym basenie, co?

Asaf spuścił głowę. Zrobił najgłupszą ze swoich min.

- Powiedz, siostrzyczko - zagadnął tamten, przesadnie łagodnym i zatroskanym tonem. - A może nasikałaś do naszego prywatnego basenu, co?

Asaf zdecydowanie pokręcił głową. Bąknął, że nie wiedział, że to teren prywatny.

Chłopak gwizdnął przeciągle na znak zdumienia.

- I nie widziałaś tabliczki: „Kara śmierci dla pojebów, co wchodzi bez pozwolenia”?

Asaf zaprzeczył, poruszając już całym ciałem. Naprawdę nie zauważył żadnej tabliczki.

- Pierdolisz! - zdumiał się ten wysoki. - Żadnej tabliczki? Awi, bądź tak dobry i pomóż naszej siostrzyczce zobaczyć.

Chłopak imieniem Awi wepchnął Asafowi twardy palec pod brodę i mocno nacisnął, tak że ten musiał unieść głowę.

- Teraz popatrz, złotko, już widzisz? W złotej ramce? Z portretem Cindy Crawford?

W stroju kąpielowym z cekinami?

Nie widział. Powiedział, że widzi.

- Wrzucamy ją, Herzl? - zaproponował Awi, niski chłopak, w czapce odwróconej daszkiem do tyłu.

- A może zdejmujemy jej gacie? - rzucił trzeci, ten utykający na nogę, którego całą twarz pokrywały ciemne, wypukłe znamiona.

273

- Co jest, Kfir? Lecisz na nią?

Dwaj inni zaśmiali się. Asaf ani drgnął. Już po mnie - Po. myślał. - Zgwałcą mnie.

- Nie - powiedział ten największy, Herzl. - Ja mam len. szy plan dla takich pojebów jak ona. Może podajcie jej ubranie, ale przy okazji sprawdźcie, czy nie ma w kieszeni jakiejś rekompensaty za pływanie w prywatnym basenie, włącznie z domniemaniem naszczenia?

Kulawy podniósł rzeczy Asafa. Szybko przetrząsnął spodnie i znalazł trzysta szekli, które miały wystarczyć Asafowi na obiady w bufecie urzędu miejskiego aż do powrotu rodziców. Oszczędzał je skrzętnie na teleobiektyw 300 mm do nowego canona.

Chłopak cisnął w niego ubraniem. Metalowa kłamra od paska skaleczyła go w wargę. Poczul na brodzie strużkę ciepłej krwi. Nie ocierając ust, włożył spodnie. Z trudem zdołał wsunąć w nie mokre nogi. Tamci stali i patrzyli na niego. Zaniepokoiło go ich milczenie. Było to jakby chwilowe wstrzymanie ognia, po którym wszystko mogło się zdarzyć. Asaf wiedział, że najgorsze właśnie się zaczyna. Rękawy koszuli poplątały mu się do tego stopnia, że w końcu zrezygnował i stanął półnagi, trzymając koszulę w ręku. Przełknął ślinę i nie wiedział, jak ma to zrobić. Jak zmusić się do mówienia.

-Jazda, siostrzyczko - powiedział ten wielki ze zdziwieniem i przycisnął Dinke mocniej do uda. - Czego jeszcze szukasz w naszym polu widzenia?

- Suka - odpowiedział Asaf, nie patrząc na niego.

- Co takiego?

- Potrzebna mi ta suka. - Nie miał odwagi unieść głowy. Jego głos nie przechodził wcale przez krtań, lecz piszczał zupełnie skądinąd, chyba z okolicy łokcia.

274

Dwaj chłopacy zamilkli i popatrzyli na Asafa ze zdumieniem. Potem spojrzeli na najwyższego, wyszczerzyli się w uśmiechu i czekali, nie wiedząc, co myśleć.

Herzl zagwizdał przeciągle, ze spokojem.

- Mówisz, że to ona? Myślałem, że pies. Ale skoro suka, to dla nas nawet lepiej. -

Powiódł palcem po pomarańczowej obroży. - Nawet rejestrację jej załatwiłaś, wielkie dzięki.

- Potrzebna mi ta suka - powtórzył Asaf tak jakby wyrąbywał te słowa z zamarznętej bryły wypełniającej jego brzuch. Dinka popatrzyła na niego. Jej spuszczone ogon zaczął się niepewnie kołysać.

Dwaj chłopacy dostrzegli błysk w oku Herzla i zaczęli się śmiać. Wprost zarykiwali się ze śmiechu i uderzali dłońmi o uda. Herzl uniósł rękę, nie, nie rękę, tylko palec - i od razu umilkli.

- Powiedz no, ździro - spytał z autentycznym zdziwieniem - nie żal ci tej twojej paskudnej mordy? Nie powinniśmy chyba pozwolić, żeby Kfir dopuścił się na tobie

jakiegoś czynu nierządno, w dodatku jak jest na warunku?

- To chodź... Będziemy się o nią bić - wymamrotał Asaf i pomyślał, że chyba oszalał, sam nie wiedział, skąd mu się wyrwało to idiotyczne zdanie.

Wysoki chłopak zrobił krok do przodu, po czym przystawił sobie dłoń do ucha.

- Nie dosłyszeliśmy - powiedział z lekkim uśmiechem.

- Ty i ja - wyszeptał Asaf, a jego wargi pobladły jak płótno. Poczłł to zresztą całe jego ciało stało się białe. Walczmy. Zwycięzca bierze psa.

Dwóch chłopaków znów ryknęło śmiechem, rzucili się sobie w objęcia i przybili piątkę. Podskakiwali wokół niego, wrzeszczeli jak dwa młode lamparty albo wilki, które ojciec uczy rozszarpywać zdobycz.

275

Herzl przekazał Dinkę Awiemu i podszedł do Asafa. rvi od niego wyższy o głowę, a szerszy co najmniej o bark. Asaf upuścił koszulę, którą miał w ręku. Herzl stanął naprzeciw niego. Wyciągnął ręce w geście „no, który mi podskoczy”.

Asaf, ledwo poruszając nogami, zaczął krążyć po niezmiennym, krzywym okręgu wokół chłopaka. Herzl obracał się, cały czas twarzą do niego. Asaf widział przed sobą gładkie mięśnie na długich ramionach. Chciał, żeby to się jak najszybciej skończyło. Cokolwiek się zdarzy, niech to się już skończy, oby tylko nie bolało za bardzo i nie było zbyt poniżające. Przeszkadzało mu, że jest półnagi. Pamiętał niejasno, że w chwilach zagrożenia organizm wytwarza adrenalinę, która ma wzmocnić mięśnie i przyspieszyć reakcje, i pomyślał ze smutkiem, że on tej substancji chyba nie ma. Przeciwnie, stawał się coraz bardziej otępiały i miał wrażenie, że wprowadza się wręcz w narkozę, być może po to, by nie czuć nadchodzącego bólu, a przede wszystkim upokorzenia.

Chłopak wysunął rękę, jakby chciał sprowokować Asafa, zbudzić go do życia, a ten odskoczył do tyłu i o mało się nie przewrócił. Dwaj inni krzyknęli z uciechy. Przez cały czas chodzili dookoła nich, biegali w podskokach, bardzo blisko. Jeden z nich uderzył Asafa w kark. Ten wielki zatrzymał się natychmiast, wykonał swój gest palcem, zupełnie jak jakiś filmowy szef gangu, i powiedział, że jeśli któryś z nich się będzie wtrącał, to on, Herzl, własnymi rękami zrobi z niego miazgę. Ogarnięty

swoim znieczulającym strachem Asaf uzmysłowił sobie, że ta przedziwna uczciwość Herzla odbiera mu resztki odwagi.

W tej samej chwili chłopak ruszył do przodu, niezbyt szybko, jakby z fachową rutyną, i ścisnął Asafa ramieniem za szyję z siłą, jakiej Asaf, choć sam był mocnej budowy, nawet

276

nie wyobrażał - nie przypuszczał, że coś takiego jest ogóle możliwe. Herzl zaczął powoli zginać Asafa. Ten po-j ciepło jego ciała, było od niego jak z pieca, a spod pachy Hochodził jakby swąd dymu, kark Asafa zaczął chrzęścić, powoli uchodziło z niego życie, oczy przestawały widzieć.

Wtedy nagle go puścił. Asaf stał nieprzytomny z bólu, kręciło mu się w głowie z braku powietrza i czuł tylko, że tamten delikatnie go obraca, tak żeby stanęli twarzą w twarz, jak pielęgniarka w przychodni, która pokazuje, jak podać rękę <jo zastrzyku, po prostu ustawiał Asafa, przygotowując na coś, co miało zaraz nastąpić. Asaf domyślał się tego, ale nie był w stanie niczego zmienić, nie mógł się poruszyć ani uciec, a wówczas tamten szybkim ruchem uderzył go kolanem w samo przyrodzenie. Kiedy Asaf skulił się z głębokim jękiem, natknął się na to samo kolano, które tym razem strzaskało mu nos.

Później, trudno powiedzieć, po jakim czasie, dziwaczne plamy tańczące mu przed oczami - z początku wyglądało to jak bazgrały niedorozwiniętego dziecka na błękitnym papierze - połączyły się w całość, przybierając kształt krzaka, pod którym leżał.

-Jak to nie żyje, co nie żyje! - słyszał dochodzący z daleka głos. - Tylko twarz poszła.
- Nie twarz, debil. To nos. Zobacz, ile krwi.

Asaf uniósł rękę, jedną z rąk leżących bezwładnie obok niego. Była ciężka jak ołów. Rozłączył palce, co zresztą trwało dość długo, i dotknął nosa. Był mokry, pokryty nieznanymi guzkami. Później wymacał palcami nozdrza i całą resztę. Usta też ucierpiały, górna warga pulsowała bólem. Jeden ząb, na górze, z boku, kiwał się nieco.

277

Ale z jakiegoś powodu, bez jakiegokolwiek logicznego wytłumaczenia, Asaf poczuł ulgę.

Może dlatego, że przez całe życie obawiał się starcia z takim oprychem, z kimś, dla kogo nie ma Boga, jak powiedział Nosorożec, mając na myśli coś innego. Przerazało to Asafa tak dalece, że bał się wszystkich chuliganów, nawet jeśli byli od niego mniejsi i słabsi. Jak gdyby z góry pogodził się już z tym że nie ma z nimi szans, że i tak zawsze go upokorzą. Chociaż Asaf nieraz wdawał się w bójki z chłopakami ze swojej klasy, to jednak wiedział, że są oni tacy jak on i że pewnych granic nigdy nie przekroczą. Ale zbirów tego pokroju jak ci tutaj omijał na ulicy szerokim łukiem, trzymał się od nich z daleka w klubach w piątkowe wieczory i nigdy nie reagował, kiedy zaczepiali jego albo któregoś z jego kolegów. Nauczył się chodzić po ulicy w taki sposób, jakby był niewidoczny, i ignorować ich obelgi. Kiedyś, jadąc autobusem wstał i wysiadł tylko dlatego, że jeden z nich kazał mu to zrobić. Nawet z nim nie dyskutował. Wstał i wysiadł. I od tego czasu nie było dnia w jego życiu, żeby nie wspominał tego piekącego upokorzenia.

A teraz, choć półprzytomny i doszczętnie zdruzgotany, miał to już za sobą, dzięki czemu częściowo uwolnił się od tego uczucia. Nie rozumiał dokładnie, co, ale wiedział, że coś się zmieniło, że właśnie pokonał potężną barierę, która zatrzymywała mu życie.

-Jazda - odezwał się ten wysoki. - Po co ta panika? Spadamy.

Zbierali się do odejścia. Asaf podniósł się, to znaczy dźwignął z wysiłkiem górną połowę ciała i prawie usiadł. Czuł się tak, jakby jakiś szalony rowerzysta jeździł mu w głowie jak po ścianie śmierci.

- Potrzebna mi ta suka - powiedział ktoś nieopodal, ospałym i grubym głosem, zdaje się po hebrajsku, i chyba nawet był to Asaf.

278

- Co ja słyszę? - Drab przystanął. Obrócił się powoli. Asaf usiłował skupić wzrok. Było ich już chyba dwóch? Odwrócili się obaj w jego stronę i stopniowo zlali się w jedną postać. Asaf wyteżył wzrok i znów zobaczył potężną pięść, zaciskającą Dince obrożę na szyi. Głowę miała zupełnie unieruchomioną przy jego nodze.

- Chodź... jeszcze... raz... się... bić... o... sukę - powiedział głos w imieniu Asafa, choć zupełnie wbrew jego woli.

Lekki uśmiech stawał się coraz szerszy.

- Słyszeliście nasze maleństwo? - Popatrzył po kolegach, a oni uśmiechnęli się do niego służalczo. - Mała chce rewanzu.

Asaf powstał. Zdumiewające, jak przekroczył granicę strachu. Zupełnie nie rozumiał, co się z nim dzieje. Doszedł w nim do głosu pewien upór. Jak gdyby teraz, kiedy już pokonał strach, był w stanie spróbować tego jeszcze raz, i jeszcze, żeby się przekonać, jak to jest, kiedy taki typ podchodzi i rozkłada cię na czynniki pierwsze. Herzl podszedł bliżej. Znow zaczął się taniec, w którym Asaf i ten drugi krążyli wokół siebie. Asaf słyszał szmer własnego oddechu jakby podczas nurkowania. W głowie fruwały mu strzępy myśli. Coś o czarach, jaka szkoda, że nie może się teraz nimi posłużyć. Istnieje takie bardzo przydatne zaklęcie, zwane „przywołaniem”.

Trzeba wybrać przycisk z napisem „czary”, potem „cel”, a wtedy zaklęcie wytwarza czarodziejski promień, który sprowadza potrzebną rzecz. Czyli Dinke, w tym wypadku. Jest też zaklęcie o nazwie „kurczenie”, które zmniejsza rozmiary przeciwnika o połowę, ale gdzie się te czary podziewają, kiedy ich potrzeba...

Wtem gdzieś przed nim nastąpił szybki ruch, Asaf nie zauważył, co to było, poczuł tylko pięść na piersi, w okolicy mostka, cios nie był nawet silny, jakby na rozgrzewkę, lekceważący, jak gest powitania, ale w jego stanie to wystarczyło.

279

Zatoczył się ciężko do tyłu i upadł. Tak łatwo było upaść Wystarczyło poddać się sile grawitacji, prawu ciężkości i te! mu prawu przyrody, które stanowi, że ktoś taki jak on zawsze pokona kogoś takiego jak ty. Chłopak na razie nie atakował Czeaka, aż Asaf wstanie. Potem, kiedy Asaf zdołał się j[^] pozbierać i wstał, zaplątał się w gałęzie krzaka i upadł z powrotem. Kolana po prostu się pod nim ugięły, zupełnie stracił nad nimi panowanie. Leżał, ciężko dysząc. To zaczynało być żalosne. Leżał na wznak, oczekując ciosu, kopniaka. Czegoś co ostatecznie wyeliminuje go z gry. Mucha zabrzęczała mu nad nosem. Strumienie bólu przepływały bez przerwy po jego plecach, jeszcze od ciosu w genitalia. Wysoki chłopak podszedł, podał mu rękę i

pomógł wstać. Popatrzyli sobie chwilę prosto w oczy. Dopiero wtedy Asaf zobaczył go naprawdę. Nie poprzez strach. Był starszy od Asafa co najmniej o trzy lata. Twarz miał wydłużoną, ponurą, wyrazistą i kształtną. Zgrabny nos i bardzo cienkie wargi.

- Jak się masz, siostrzyczko? - spytał. - Nie wypiliśmy dzisiaj kakao? Mamusi skończył się gerber?

Asaf spróbował go kopnąć. Żałosna próba. Zobaczył samego siebie z zewnątrz. Zobaczył, jak powoli się porusza. Jak wiele energii musi włożyć, by choć odrobinę unieść nogę. Jednak Herzl z łatwością złapał go za nią, tuż przy kostce, i bez wielkiego wysiłku wyrzucił Asafa wysoko w górę. Spadł na plecy. Kiedy uderzył o ziemię, uszło z niego powietrze. Kości zagruchotały. Herzl skoczył, odwrócił go twarzą do ziemi, przydusił własnym ciężarem i zaczął wykręcać mu rękę do tyłu. Asaf nie mógł złapać oddechu. Charczał, łykał piasek, krzyczał, chyba nawet płakał. Herzl z dziwnym spokojem powiedział mu prosto do ucha:

-Jak się zaraz nie zamkniesz, to możesz się pożegnać z ręką.

280

Asaf coś zacharczał.

_ Nie słyhać! - odparł Herzl przez zaciśnięte zęby.

_ ja - szeptał Asaf, nie mogąc wydobyć z siebie głosu _ muszę mieć tę sukę.

Tamten podciągnął rękę Asafa jeszcze centymetr wyżej. Asafowi zdawało się, że słyszy, jak włókna, ścięgną i wszystko, co w niej jest, zaczyna się rwać.

- Morda w kubel! - Głos nad nim przeszedł nagle w ochryply ryk. - Daję ci ostatnią szansę! - Herzl ciężko sapał mu prosto do ucha, po raz pierwszy Asaf zauważył u niego oznaki wysiłku.

- Zabij mnie, wszystko mi jedno. - Własny głos wydał mu się gruby i ociężały, jakby pochodził z zepsutej taśmy magnetofonowej. - Ale ja... muszę... mieć... tę... sukę.

Bez...

niej... nie... mogę...

Nie było odpowiedzi. Nagle poczuł się leciutki. Omal nie wzleciał w powietrze. Czuł, że nic go już nie powstrzymuje przed wzbiciem się do lotu.

Wśród ciszy, która zapanowała, dosłyszał dziwny chichot. Jak gdyby gdzieś w oddali

ktos powiedział: „Nie do wiary”.

Nacisk na ramię ustał. Asaf pomyślał, że już po wszystkim, że tamten wyrwał mu rękę, a teraz trwa właśnie ta chwila, ta sekunda, której ból potrzebuje, by dotrzeć do mózgu.

Jednak chłopaka na nim już nie było, a ręka Asafa spoczywała na plecach, połączona z barkiem. Znow ją poczuł, wracała do niego jakby kąsana przez roje mrówek.

Słyszał odgłosy rozmowy. I coś w rodzaju sprzeczki, jakieś krzyki. Pomyślał, że jak na filmach, ktoś z zewnątrz w ostatniej chwili przybył mu na ratunek. Nie wsłuchiwał się zbyt uważnie. Ból promieniował ze wszystkich części ciała, tworzył prądy i fale, które zbiegały się ze sobą u podstawy czaszki. Asaf zamknął

281

oczy i czekał, gotowy na wszystko. Zdawało mu się, że Wc- • słyszy, bardzo blisko, jak ktoś nie przestaje mamrotać z ud rem maniaka, że musi mieć jakąś sukę.

- Bo ja tak mówię! - usłyszał krzyk Herzla gdzieś w od dali. - Boja tu decyduję, rozumiesz, debilu?

- Ale co ja z nią teraz zrobię? - lamentował inny głos chyba Awiego. - Jak ją puszcze, to ugryzie.

- Nie ugryzie - orzekł Herzl z niezmaconym spokojem - Pójdzie do niego.

Potem Asaf podparł się łokciami. Dinka była obok, stała nad nim, widział, jak zbliża do niego język i liże go delikatnie po twarzy. Położył się z powrotem i w bezruchu poddał jej kojącemu dotykowi. Nieco wyżej widział trzech chłopaków, oddalających się w górę po zboczu wadi. Już o nim zapomnieli. Dwaj młodszy chyba się czymś bawili, dźwigali wielkie kamienie, niemal głązy, rzucali nimi w siebie nawzajem i krzycząc radośnie, uchylali się od ciosów. Starszy, ten, który zdeformował mu twarz, szedł nieco przed nimi, wyprostowany, nieobecny duchem, zamyślony.

Asaf uchwycił się Dinki i oparł o nią, żeby wstać. Pokuśtykał do sadzawki i powoli obmył twarz. Zobaczył swoje odbicie w wodzie i modlił się, żeby do powrotu rodziców wyrosła mu bujna broda. Obok niego w sadzawce odbijała się Dinka, która ocierała się o niego, cicho skowycząc. Takiego głosu Asaf jeszcze u niej nie słyszał. Próbowwała go pocieszyć. Usiadł ciężko na brzegu sadzawki, a ona przy nim. Starła

się nie myśleć o pulsującym bólu. Na próżno. Po kilku minutach wraz z kłującym bólem powróciło do niego coś, co powiedział Herzl. To było chyba podziękowanie. Tak, za coś mu dziękował. Co to było? Jeszcze raz splukał twarz wodą i aż jęknął. Ręka Herzla, która błądząc po grzbiecie Dinki, nagle znieruchomiła. Tak jest, on powiedział: „wielkie dzięki za rejest-

282

e" A przecież Danoch w urzędzie miejskim twierdził, że

Γ znaleziono żadnych znaków identyfikacyjnych psa. Asaf

aj się wynurzać z chmury bólu. Jego myśli przedzierały się

- u przez zadymiony pokój. Wymacał w sierści Dinki obrożę
- natknął się na kawałek metalu. Od wczoraj, odkąd ją spotkał, ieraz już dotykał tej blaszki i jakoś nie domyślił się, że to jest

jej znaczek identyfikacyjny, i gdyby nie Herzl...

Wygrzebał blaszkę spomiędzy mokrych włosów i przyjrzał się jej w pełnym świetle.

Dinka stała cierpliwie, z głową odwróconą w bok, i pozwalała mu to sprawdzić.

Zamknął jedno oko, próbując skupić wzrok.

„Eged, przechowalnia bagażu, 12988”.

Spojrzał zdumionym wzrokiem na Dinke: „I ty przez cały czas nic nie powiedziałaś?”

Asaf schował się za jednym z filarów na dworcu autobusowym i obserwował kolejkę.

Trzej młodzi mężczyźni uwijali się za szeroką ladą, rozmawiając głośno, żartując

między sobą i z ludźmi oczekującymi w kolejce. Sprawnie wydawali pakunki

wszystkim, którzy przychodzili z takimi blaszkami jak jego. Jeden z nich, w czapce

kontrolera biletów, wzbudził w nim niepokój: był najpoważniejszy i najlepiej

zorganizowany z całej trójki, i za każdym razem zanim wydał komuś bagaż z

depozytu, prosił o okazanie dowodu osobistego. Brał dokument do ręki i uważnie

sprawdzał, czy nazwisko zgadza się z danymi, jakie zapisano w urzędowym zeszycie,

poplamionym strugą zaschniętego soku z pomidora. Dwaj inni nie byli takimi

służbistami: brali do ręki blaszkę, podchodzili do wielkich półek przy końcu

pomieszczenia, wyciągali stamtąd odpowiednią torbę i o nic nie pytając, podawali ją

posiadaczowi blaszki.

Asaf ustawił się w ogonku. Przed nim stało siedem osób Kolejka posuwała się szybko, a on wiedział, że tak czy inaczej • pech zaprowadzi go prosto do mężczyzny w czapce. Nie miał pojęcia, co zrobi, kiedy ten poprosi go o okazanie dowodu osobistego i odkryje, że jego nazwisko nie zgadza się z tym zapisanym w zeszycie. Stał, starając się nie myśleć o tym, Co go spotkało przy sadzawce. Zdawał sobie sprawę, że jeśli tylko pozwoli sobie pomyśleć o laniu, jakie tam dostał, o skradzionych pieniądzech i o wymarzonej teleobiektywie, na który przyjdzie mu poczekać jeszcze wiele miesięcy - wówczas oszaleje z rozpacz i złości. Napiął wszystkie swoje zbolące mięśnie. Wziął się w garść. Stanowczo odsunął od siebie zarówno najbliższą przeszłość, jak i przyszłość. Teraz jest na służbie. Ma zadanie do wykonania. Tymczasem trzech pracowników za ladą rozmawiało hałaśliwie o meczu mającym się odbyć w najbliższą sobotę. Chłopak w czapeczce był kibicem Ha-Poel, a dwaj inni, sympatyzujący z Betarem, głośno z niego drwili, mówiąc, że zarówno w tę sobotę, jak i przez następny tysiąc lat Ha-Poel nie ma szans.

-Jak to nie ma szans?! - odgryzał się im z narastającą irytacją. - Wszystko zależy od tego, czy Danino dojdzie do siebie przed sobotą. Kto następny? Następny proszę!

-1 od tego, czy Danino upilnuje Abuksisa - zaśmiał się drugi mężczyzna.

- No i czy nie dostanie czerwonej kartki - trzeci starał się dobić tego w czapce, przyłączając się do trwającego już jakiś czas festiwalu uszczypliwości. - Krótko mówiąc: zapomnij o tym!

W kolejce przed Asafem stały jeszcze dwie osoby. Wszedł z kolejki i podszedł do stoiska z gazetami. W kieszeni zostało mu jeszcze parę monet, nędzne resztki z tego, co miał wcześniej. Kupił "Jediot Acharonot", pierwsze strony

«wrzucił do kosza, stanął z boku i przeczytał w dziale sportowym artykuł o zbliżającym się meczu. Chętnie ukrył na kilka minut swoją obrzmiałą twarz za gazetą. Przeczytał do końca, raz i drugi. Żałował, że pracownicy przechowalni nie kibicują siatkarzom Ha-Poel, bo na tym akurat znał się lepiej. Potem wszedł do publicznej toalety i przez kilka minut trzymał twarz pod zimną wodą, aby przywrócić

jej znajomy kształt.

Kiedy wrócił do kolejki, stało przed nim sześć osób. Potarł blaszkę na szczęście, tak że aż się nagrzała, pewien, że wszyscy widzą, jaki jest spięty. W jego ulubionej grze Dragon fire były cztery główne postaci: Czarnoksiężnik, Wojownik, Rycerz i Złodziej. Wojownikiem był już dziś rano. Teraz będzie Złodziejem. Kiedy przyszła jego kolej, mężczyzna w czapce wyciągnął do niego rękę.

- No dobra, raz dwa i do domu!

- Jasne - zawołał Asaf wesoło. - O drugiej trening! Ręka zatrzymała się na jego blaszce, badając podejrzliwie jej uszkodzoną powierzchnię.

- A co? Za kim jesteś?

- Za czerwonymi. A ty?

- Bracie! - Pochylił się w stronę Asafa i mrugnął porozumiewawczo. - Ale co będzie, jak w sobotę dostaniemy łupnia, tak jak na poprzednim meczu? Co wtedy? Gdzie się schowamy? - Wskazał głową na dwóch kolegów. - A jak Danino nie zagra?

- W środę ma ostatnie badanie - stwierdził Asaf tonem eksperta. - Chyba jest jakaś szansa, co? Co pan mówi? - Zrobił najbardziej podekscytowaną minę, jaką potrafił.

- Trudno powiedzieć. - Mężczyzna podrapał się po głowie, jak gdyby Danino leżał przed nim na stole i czekał na orzeczenie. - Jak naderwał sobie ścięgno, to już po nas.

- Wziął blaszkę i skierował się do półki.

285

Pięć, dziesięć, piętnaście kroków. Asaf bębnił palcami o blat. Mężczyzna nie mógł znaleźć bagażu. Przesuwał torby walizki i nic. Asaf nerwowo drapał Dinę po głowie. Czarnoksiężnik, Wojownik, Rycerz, Złodziej. Złodziej musi polegać na swojej zręczności, umiejętności robienia uników i na spry. cie. Wybierz Złodzieja, jeśli chcesz, aby twój bohater pokonywa} przeszkody dzięki sprytowi i przebiegłości.

- Kiedy to tutaj zostawiłeś? - zawołał tamten z końca pomieszczenia.

- Hm... Moja siostra to zostawiła. Już dość dawno. To nie była właściwa odpowiedź. Ale lepszej nie miał.

- Jest. - Mężczyzna wyciągnął wielki i ciężki szary plecak. Z trudem wy dostał go spomiędzy dwóch walizek. - Leży tu już pewnie z miesiąc. Zapomnieliście o nim?

Pokaż mi tylko dowód.

Asaf uśmiechnął się słodko, rozejrzał się na boki, gdzie by uciec. Plecak leżał na ladzie, dziesięć centymetrów od niego. Tamar w zasięgu ręki. Wyłożył swoją ostatnią kartę:

- Ale możliwe, że w „Betarze” Szandor też nie zagra.

- Co? Co ty mówisz? - Oczy mężczyzny błysnęły nadzieją i miłością do całego świata. - Szandor jest kontuzjowany?

- Nie słyszał pan?

- Co takiego? Ja nie mogę! Słyszeliście? Dostaniecie wycisk! - zawołał do dwóch pozostałych i z radości odruchowo wcisnął Asafowi plecak do rąk. - Szandor dzisiaj nie gra!

- Szandor? - zaśmiał się jeden z nich. - Kto ci to powiedział? Wczoraj był na treningu, na własne oczy widziałem!

- Naciągnął mięsień - oznajmił Asaf rzeczowym tonem i zrobił krok do tyłu, przyciskając do serca bezcenny plecak. - Po treningu. Przeczytajcie w gazetach. Kibic Ha-Poel uśmiechnął się szeroko i zajął się następnym klientem. Prawdę mówiąc, Asaf nie był pewien, czy

286

to Szandor, czy inny zawodnik, Jaakowi, doznał kontuzji po treningu, już w szatni, ale ktoś tam rzeczywiście naciągnął mięsień, a poza tym - czemu nie sprawić człowiekowi odrobiny radości?

Szybko odszedł razem z Dinką, mocno ściskając obiema rękami plecak i starając się nie zwracać na siebie uwagi chwiejnym krokiem i obitą twarzą. W ciągu minionej godziny zaczął się bać - dobrze, może niezupełnie bać, ale obawiać _ że ktoś go śledzi. Nie miał wyraźnego powodu, by tak sądzić, a jednak - być może ze względu na to, co powiedział Siergiej w tamtej ruderze, a może dlatego, że nareszcie dotarło do niego, że Tamar wpadła w nie lada tarapaty - od czasu do czasu czuł ukłucie w karku, jak gdyby ktoś bacznie mu się przyglądał, czasami nawet słyszał za sobą kroki, ale kiedy się odwracał, nikogo nie było.

Na placu przed Centrum Kongresowym czekał na niego rower, cały pokryty białym

pyłem ze ścieżki pod Liftą. Asaf odpiął blokadę i zaczął powoli pedałowac, czując ból przy każdym ruchu. Plecak miał teraz na sobie i aby zapomniec o bólu, wyobrażał sobie, że dźwiga na grzbiecie samą Tamar, omdlałą, nieprzytomną, całkowicie zdaną na niego. Dinka biegala za nim, przed nim, dookoła niego, wyłapując z powietrza znaki, jakie posyłał do niej plecak. Kiedy znaleźli się w Parku Sakara, zsiadł z roweru, rozejrzył się dookoła, sycąc oczy otaczającą go zielenią, ale nie dostrzegł nikogo. Mimo wszystko czekał. Powiódł oczami za przepięknym dudkiem przelatującym nisko nad trawą i przy okazji dokładnie zlustrował okolicę (przez cały ten czas Dinka patrzyła na niego ze zdziwieniem, przekrzywiając lekko głowę, jak gdyby zastanawiała się, kto też go nauczył robić takie rzeczy). Wreszcie niemal niedostrzegalnym krokiem wycofał się w krzaki, upuścił rower, po czym zagłębił się jeszcze bardziej w gęste zarośla.

287

Usiadł na ziemi. Plecak położył przed sobą. Postanowił się nie śpieszyć. Chciał delektować się tą chwilą, bo mimo wszystko - było to swego rodzaju pierwsze spotkanie. Najpierw przeczytał przywiązana do plecaka kartkę z datą złożenia w przechowalni. Obliczył, że to niecały miesiąc temu Prawdopodobnie oddała tam plecak, a potem zniknęła. Tylko dlaczego nie zostawiła go w domu? Może są tam rzeczy, co do których bała się, żeby nie trafiły w ręce rodziców? Teraz Asaf przypomniał sobie grymas na twarzy Teodory, kiedy mówiła o rodzicach Tamar. Ale co właściwie powiedziała? Zamknął oczy i zapuścił do swojego wnętrza ostry promień pamięci, by już po chwili wydobyć to, czego szukał, słowo w słowo: „Potrzebuje pieniędzy... A od rodziców, oczywiście, nie weźmie”. Zamyślił się, odtworzył w głowie wszystko, co dotąd o niej słyszał od różnych osób, szukając wskazówek, które pomogłyby mu wyjaśnić, dlaczego nie mogła skorzystać z pomocy rodziców. Nie znalazł. Umieścił to w dziale pytań otwartych.

Potem próbował zgadnąć, gdzie znajdował się w dniu, kiedy ona zostawiła plecak w przechowalni. Zabawna wydała mu się myśl, że był taki czas, kiedy jeszcze nic o niej nie wiedział. To tak, jak powiedzmy, wszystkie te lata, kiedy mama i tata mieszkali w tym samym mieście, nic o sobie nawzajem nie wiedząc, i mogli się nawet spotkać

przypadkiem na ulicy, w kinie, ale nie wyobrażali sobie, że kiedyś będą mieli ze sobą troje dzieci.

Ale co on właściwie robił tego dnia, w którym Tamar zostawiła plecak na dworcu? Jeszcze raz sprawdził datę. To było na samym początku wakacji. Co takiego mógł wtedy robić? Całe dotychczasowe życie wydało mu się teraz bardzo puste w porównaniu z ostatnimi dwoma dniami, naelektryzowany-mi przez Tamar.

288

| nie tylko puste: zdawało mu się, że dopóki ona nie pojawiła się w jego życiu, wszystko robił niemal mechanicznie, jak automat, bez zastanowienia, nic naprawdę nie czując, a teraz, od wczoraj, wszystko, co mu się przytrafiło, każdy spotkany człowiek, każda myśl - wszystko jest połączone ze sobą i powiązane z jakimś jednym rdzeniem, położonym gdzieś w głębi, pulsującym życiem.

Otworzył plecak. Wszystko robił bardzo powoli. Otworzył klamry z przejęciem, bo to ona je zapinała. Pomyślał, że już za chwilę dotknie jakiegoś fragmentu jej życia. Tego było za wiele. Wszystkiego było za wiele. Zostawił na chwilę otwarty plecak.

Dinka nie miała tyle cierpliwości. Dysząc gorączkowo, przewróciła plecak, popychała go, rozkopywała ziemię dookoła, bez przerwy próbowała wetknąć nos głębiej. Włożył rękę do środka. Poczul zmięte, lekko wilgotne ubrania, które przez długi czas pozostawały zamknięte w plecaku. Naraz uświadomił sobie, co robi, i zatrzymał się zmieszany. Przecież właśnie wdziera się w jej najintymniejszą prywatność.

Szybko, nie czekając, aż ogarną go wątpliwości, wyciągnął długie lewisy, kolorową indyjską koszulę, mocno pogniecioną, lekkie sandały. Rozłożył je starannie na ziemi i patrzył jak zahipnotyzowany. Te rzeczy jej dotykały. Miała je na swoim ciele.

Nasiąknęły jej zapachem. Gdyby nie wstydził się przed Dinką, powąchałby je, tak samo jak zrobiła ona, skomląc z tęsknoty.

W sumie - czemu nie?

Uświadomił sobie, że Tamar naprawdę jest mała. Metr sześćdziesiąt, jak mówił detektyw w komisariacie. Dokładnie tak jak myślał: będzie mu sięgać mniej więcej do ramion. Wyprostował się i wyprężył pierś. Podwinał nogi pod siebie. Popatrzył.

Nie mógł się nasycić tym widokiem. Nagle -jak to

289

mówi jego mama? - ucieszył się aż po czubki najwyższych gałązek.

Jego ręce wędrowały ostrożnie między pozostałymi ubraniami w plecaku. Dotknął papierowej torebki. Wydobył ją. Odłożył na bok. Szukał dalej po omacku. Znalazł srebrną, bardzo cienką bransoletkę. Powiódł po niej palcem. Gdyby miał więcej doświadczenia jako detektyw albo z dziewczynami, poszukałby na bransoletce jakichś śladów oprócz oplatających ją dookoła misternie rzeźbionych kwiatków. Akurat on, ponieważ jako brat Reli miał styczność z jubilerstwem, powinien był sprawdzić dokładniej. Ale kto wie, może właśnie ze względu na Reli odsunął od siebie tę bransoletkę, włożył ją z powrotem do plecaka i nie zauważył nazwiska Tamar, które było tam wygrawerowane.

Później, po wielu tygodniach, kiedy próbował odtworzyć w pamięci swoją niezwykłą wyprawę jej śladami, bez końca roztrząsając pytania typu „co by było gdyby”, doszedł do wniosku, że w sumie to nawet lepiej, że nie odkrył wówczas jej nazwiska na bransoletce. Bo gdyby tak się stało, odszukałby adres jej rodziców w książce telefonicznej i pojechałby do nich. Rodzice odebraliby od niego Dinę, zapłaciliby mandat, i na tym by się skończyło.

Jednakże w tamtej chwili jego myśli skupiły się na czymś innym: przed nim, w zaklejonej papierowej torebce, był jakiś przedmiot. Nie ośmielił się otworzyć koperty, bo czuł, albo domyślał się - a może miał nadzieję - że jest tam coś ważnego, skoro Tamar widziała potrzebę, by tak szczelnie to opakować. Pomacał. Książki? Może albumy ze zdjęciami? Dinka zapiszczała: nie ma czasu. Otworzył, zajrzał do środka i wydał cichy jęk. Zeszyty. Pięć. Jedne grubsze, inne cieńsze. Odłożył je na bok, układając jeden na drugim. Mała sterta, zawierająca tak wiele. Wyciągnął rękę, która jakby nie należała do niego.

290

Wziął jeden. Przekartkował go szybko, ale nie odważył się czytać. Stronę za stroną wypełniało gęste, węzowate pismo, trudne do odczytania.

„Dziennik” - napisane było na okładce pierwszego zeszytu, między kolorowymi

naklejkami z Jelonkiem Bambi oraz rysunkami serc przebitych strzałą i ptaszków. Litery były jeszcze nieco dziecięce, a u dołu widniały trzy linijki na czerwono: „Nie czytać! Prywatne! Proszę!!!”

- Co mówisz? - bąknął Asaf. - Może w niektórych sytuacjach wolno przeczytać cudzy pamiętnik?

Dinka odwróciła wzrok i oblizwała się.

- Wiem. Ale może tu jest napisane, gdzie ona się znajduje? Masz lepszy pomysł?

Znow się oblizwała. Siedziała wyprostowana i zamyślona.

Asaf otworzył. Na pierwszej stronie zobaczył podwójną czerwoną ramkę, a w niej - wręcz krzyk: „Tato, Mamo, bardzo was proszę, nawet jeśli ten zeszyt trafi w wasze ręce, nie czytajcie go!!!”

A poniżej, wielkimi literami: „Wiem, że kilkakrotnie już czytaliście moje zapiski.

Znalazłam ślady. Ale błagam - tego zeszytu nie dotykajcie, proszę, nie otwierajcie go!

Błagam, żebyście chociaż raz w życiu uszanowali moją prywatność! Tamar”.

Zamknął. Prośba była tak przejmująca, że nie miał odwagi jej nie spełnić. Poza tym był wstrząśnięty na samą myśl, że rodzice byli zdolni zajrzeć do jej dziennika. U nas w domu - pomyślał z pewną dumą - mógłbym zostawić taki dziennik (jeślibym pisał) otwarty na stole, a rodzicom ani by się śniło do niego zaglądać.

Jego mama prowadziła dziennik i prawie codziennie coś w nim zapisywała. Co jakiś czas pytał ją- chociaż ostatnio coraz rzadziej - co też ona takiego tam pisze, o czym w ogóle

291

można tyle pisać, co takiego dzieje się w jej życiu? A ona odpowiadała, że zapisuje tam swoje myśli i marzenia, zmartwie-nia i radości. Kiedy był mniejszy, pytał bez końca, czy on też może poczytać. Ona uśmiechała się, przyciskając zeszyt do piersi, i mówiła, że dziennik to sprawa prywatna i że pisze go wyłącznie dla siebie. „Jak to? - dziwił się Asaf. - Nawet tacie nie dajesz poczytać?” „Wyobraź sobie, że nawet jemu”.

Asaf przypomniał sobie teraz, że przez wiele lat frapowała go kwestia jej zapisków - co takiego tam jest, że mama nie pozwala im przeczytać? A może pisze też o nim?

Oczywiście kiedyś ją o to spytał. Zaśmiała się swoim gromkim, swobodnym

śmiechem, lekko odrzucając do tyłu głowę wraz z koroną falujących loków i powiedziała, że wszystko, cokolwiek pisze na jego temat, mówi też jemu, i to z radością. „W takim razie po co w ogóle to piszesz?!” - zawołał poirytowany. - „Żeby w to uwierzyć - odparła. - Uwierzyć we własne szczęście”.

Mówiąc „własne szczęście”, mama zawsze miała na myśli to, że on, Reli i Muki jej się urodzili. Bo bardzo długo (przynajmniej tak sama uważała) pozostawała panną, a kiedy spotkała ich ojca, zdążyła już nabrać pewności, że nigdy nie wyjdzie za mąż. Aż tu nagle dzięki krótkiemu spięciu i kłopotom z wyłącznikiem bezpieczeństwa spotkała tę słodycz, okrągłutkiego i uśmiechniętego elektromontera, który zgodził się przyjść natychmiast w środku nocy i wszystko naprawił. A kiedy reperacja się przeciągała, mama postanowiła zająć go nieco rozmową, więc stanęła obok i zadała jakieś pytanie albo dwa i była bardzo zdziwiona, kiedy on opowiedział jej o swojej matce, zaczynając dosłownie od Adama i Ewy - wyznał, że teraz musi się od niej wyprowadzić i wynająć jakieś mieszkanie, ale mama trzyma go przy sobie pazurami. Mówiąc o tym, nie patrzył na nią, więc uznała, że jest nieśmiały i że brak mu doświadczenia z kobietami, dlatego była

292

Humiona (nie mniej niż on) jego otwartością: bo wystarczyło, że zadała jedno celne pytanie, tak od serca, a natychmiast prysnął z niego potok słów, myśli i dylematów, tamowany widocznie całymi latami. A ona stała koło niego, przed otwartą szafką elektryczną, trochę od niego wyższa i cięższa, trzymała mu świeczkę i czuła - te słowa były sygnałem dla Asafa i Reli, a ostatnio również dla Muki, żeby zawołać chórem, „że przez niego strzelają jej wszystkie bezpieczniki!”.

Później, z biegiem lat, Asaf przestał się interesować dziennikiem. Nauczył się o nim nie myśleć. Przyzwyczyił się do widoku mamy, jak wchodzi, zazwyczaj wieczorem, do swojego małego pokoju, zwanego „gabinetem”, siada na starej kanapie w szerokich tureckich spodniach i obszernej, luźnej koszuli, oparta o wysokie poduszki, „niczym wielka orientalna dama”, jak sama mówiła, ssie koniec długopisu jak uczennica i pisze.

A teraz z jakiegoś powodu to uczucie znów się w nim zagotowało jak przed laty: być

może już od wielu tygodni albo i miesięcy zapisywała tam wszystko, o czym Reli mówiła jej z Ameryki w największym sekrecie? Może jej dziennik wiedział o nowym chłopaku Reli, na długo zanim Asaf i Nosorożec zaczęli coś w ogóle podejrzewać? Znów otworzył zeszyt. Dinka spojrzała na niego z ukosa. Zdawało mu się, że słyszy jej ciche, ostrzegawcze warknięcie. Zamknął.

-Ja nie jestem jej ojcem ani matką - tłumaczył jej i sam sobie. -Ja nawet jej nie znam. Naprawdę nic się nie stanie, jeśli przeczytam. Rozumiesz?

Cisza. Dinka patrzy w niebo.

- Na dobrą sprawę wyświadczam jej przysługę, robię to po to, żebym mógł jej ciebie przyprowadzić, zgadza się? -Cisza. Ale jakby mniej stanowcza. Tak, to brzmiało rozsądnie.

293

Można pójść dalej tym tropem. - I dlatego muszę wyk rzystać wszystko, każdą wskazówkę, każdą informację, żęu się dowiedzieć, gdzie ona jest!

Teraz zaskowyczała, zaczęła rozgrzebywać pazuram' ziemię, jak zawsze, kiedy była zakłopotana. Asaf ruszył do natarcia:

- Posłuchaj, ona się nawet nie dowie, że to czytałem Znajdę ją, oddam jej ciebie i po wszystkim. - Sam nie mógł wyjść z podziwu, jak bardzo jest przekonujący. - A potem nigdy w życiu nie będzie musiała mnie oglądać, będziemy dla siebie jak dwoje obcych ludzi, obcy już na zawsze!

Dinka w jednej chwili przestała kopać w ziemi. Obróciła się całym ciałem i stanęła naprzeciw niego. Jej brązowe oczy zajrzały głęboko w oczy Asafa. Ten ani drgnął. Jeszcze nigdy nie spotkał się z takim spojrzeniem u psa. Jej wzrok mówił, jakby z psim uśmiechem: „No, co ty nie powiesz?” Asaf pierwszy zamrugął.

- Czytam - oświadczył i ostentacyjnie odwrócił się do niej tyłem.

Najpierw przekartkował zeszyt bardzo szybko, żeby oswoić się z myślą o tym, co zamierzał zaraz zrobić. Miał wrażenie, że czuje delikatny zapach kremu do rąk, pochodzący być może od dłoni, przyciskanej do kartek. Potem pobieżnie powiódł oczami po kilku liniijkach, nie czytając - tylko tak, żeby dać literom i sobie czas na wzajemne oswojenie. Zobaczył dziecięcy charakter pisma i małe rysunki ołówkiem

na marginesach. Ślimaki i labirynty.

Aż w pewnej chwili nagle wskoczył do środka: ...ale jak to jest, że Mor i Liat, i wszyscy inni wiedzą dokładnie, co będą robić, w jakim zawodzie chcą pracować, z kim się pobiorą, podczas gdy ona nadal tkwi po uszy w swojej tępotcie i w marzeniach, nie mając bladego pojęcia, co zrobić, żeby jej przyszłość wreszcie się zaczęła!

294

az boi się, że kobieta ze snu miała rację -jeśli ktoś jest leniem ■ marzycielem, tak jak ona, to jego życie okaże się pomyłką! Jedną

Wielką pomyłką!!!

Odłożył zeszyt na kolana. Nic nie rozumiał. O kim ona tu nisze? Lecz to, co przeczytał - same słowa, a także rytm myśli i ten końcowy krzyk - wprawilo go w lekkie oszołomienie, przerzucił jeszcze kilka kartek. Mnóstwo króciuteńkich notatek. Opis wariata, którego zobaczyła na ulicy. Małego kotka, którym zaopiekowała się Dinka. Strona, na której widniała tylko jedna linijka: Jak w ogóle można żyć, wiedząc, co się działo iv czasie Holokaustu. Nagle zobaczył litery jakiegoś obcego języka. Przyjrzał im się z bliska i zobaczył, że jest to pismo hebrajskie, tylko że lustrzane. Nie miał czasu, żeby to odcyfrowywać. Kiedy jednak przewrócił kartkę, pomyślał, że być może miała swoje powody, by ukryć to, co tam napisała. Zaczął więc z mozołem, bardzo wolno czytać: Czasami myśli, że być może istnieje taki świat - przeczytanie jednej takiej strony zajmie mu wiele godzin. Podszedł do roweru. Za pomocą małego śrubokręta, który miał zawsze przyczepiony z tyłu buta („Śrubokręt jest jak chusteczka do nosa - uczył go ojciec. - Nigdy nie wiesz, kiedy się przyda”), odkręcił lusterko. Wrócił do dziennika i płynnie czytał dalej: ...że być może istnieje taki świat, w którym ludzie wychodzą rano do pracy albo do szkoły, a wieczorem każdy wraca do innego domu i tam, w tym innym domu, odgrywa swoją rolę: rolę „taty”, „mamy”, „dziecka”, „babci” itd. I przez cały wieczór rozmawiają tam, śmieją się, jedzą, kłócą się, oglądają razem telewizję i każdy zachowuje się ściśle według swojej roli. Potem idą spać, a rano wstają i znowu idą do pracy i do szkoły, wieczorem znów wracają, ale już do innego domu, i wszystko zaczyna się od

początku. „Tata” jest głową innej rodziny, „dziecko” jest córką w innej, a ponieważ w ciągu dnia zapominają, co działo się poprzedniego wieczoru, zawsze mają

295

wrażenie, że są u siebie, pod właściwym adresem. I tak przez całe życie. Asaf powoli odłożył zeszyt. Ten pomysł bardzo go zaniepokoił. Oczywiście, natychmiast pomyślał o własnym domu. A jeżeli to prawda? Jeśli naprawdę każdego wieczoru chodzi do innego domu, spotyka tam innych ludzi, zupełnie obcych i zwraca się do nich „mamo” i „tato”? Nie. Natychmiast odrzucił tę myśl. U nas to niemożliwe. Zapach swojej mamy rozpoznałby pośród tysiąca innych mam. Tak samo dotyk dłoni swojego ojca na policzku i jego stałe, denerwujące psikusy, nie mówiąc już o Muki, którą rozpozna z zamkniętymi oczami wśród tysiąca sześciolatek.

Otworzył inny zeszyt, nieco późniejszy. Przekartkował. Zamknął. Jej kuriozalny pomysł nie dawał mu spokoju. A może mimo wszystko jest w tym trochę racji? Bo jeśli się zupełnie myli, to dlaczego poczuł lekki ucisk w sercu?

Przewrócił kartkę: ...ale ona nie jest piękna. Nie jest piękna. Nieważne, co wszyscy mówią. Jakie mają powody, by ją okłamywać. Liat powiedziała jej kiedyś, może ze dwa lata temu: „Dzisiaj jesteś prawie piękna”. I dla niej to był największy komplement, jaki kiedykolwiek usłyszała, bo to „prawie” świadczyło o tym, że Liat mówi szczerze. Ale kiedy teraz o tym myśli, chce jej się krzyżeć, bo to właśnie uroda zadecyduje o jej losie!!! (Ale przecież ona jest piękna - zaprotestował Asaf, mając w pamięci to, jak opisała ją Teodora. Zresztą nawet tamten tajniak musiał przyznać, że tak jest. Teraz Asafowi zrobiło się jej trochę żal. Jednocześnie poczuł też dziwną ulgę na myśl, że Tamar nie jest być może taką oszalamiającą pięknoscia).

...po szkole poszła do CafeAtara. Siedziała tam jakaś kobieta koło czterdziestki o prostych włosach, krótkich, tylko do szyi, paskudnej cerze i z niemodnymi okularami w grubych czarnych oprawkach na nosie. Siedziała i chyba przez pół godziny mieszła

296

hęczką kawę, w ogóle jej nie pijąc. Ale nie była rozmarzona, bo wzrok miała

nerwowy. Potem wyjęła książkę, po angielsku, jak sadziłam i czytała co najmniej przez następne pół godziny. Ale kiedy przechodziłam koło niej, zjrzałam i zobaczyłam, że to po heb-rajsku, tylko że ona przewraca kartki od końca do początku! Opisuję to- by pamiętać, że wszystko jest pełne tajemnic. Ja też nie jestem taka naiwna jak kiedyś, w dzieciństwie, i wiem, że każdy człowiek na świecie prowadzi jakieś swoje ukryte gry. Jeszcze jedna dzisiejsza myśl, z lekcji WF-u: a jeśli na świecie zaszłaby jakaś mutacja, w wyniku której zaczęłyby znikać wszystkie ubrania? Rozpłynęłyby się w powietrzu i już. Nie ma ubrań! I wszyscy byliby zmuszeni chodzić wszędzie nago, do restauracji, do szkoły, na koncerty. Brrrr! A swoją drogą, co do tamtej kobiety - wyglądała na dziennikarkę albo sędzię. Było dla niej jasne, że sama będzie tak wyglądać za jakieś dwadzieścia pięć lat, jak mądra i smutna sędzia, do której nikt nie chce się przysiąść.

Asaf siedział zmieszany. Otworzyć czyjś dziennik, żeby poszukać wskazówek, które zaprowadzą do tego człowieka, to jedno. Ale zajrzeć tak do czyjejś duszy to przecież zupełnie co innego. Jednakże to, co tam przeczytał, zrobiło już swoje. W jej słowach, w smutku, w samotności, było coś, od czego Asaf wprost nie mógł się oderwać.

Otworzył inny zeszyt, nieco grubszy. Gdyby miał kilka wolnych dni, przeczytałby wszystko, od początku do końca, dałby się wciągnąć w jej życie. Lecz Dinka znów zrobiła się niespokojna, a on sam, przez to, co znalazł w dzienniku, był spięty i poczuł jeszcze bardziej nagłą potrzebę, by wreszcie dotrzeć do Tamar. Dlatego przewertował zeszyt w pośpiechu i przeszedł do innego. Zobaczył, że zmienił się jej charakter pisma, stał się dojrzały, nie rysowała już ślimaków na marginesach.

Zatrzymał się na kolejnej stronie zapisanej lustrzanym pismem:

297

3.3.98.1, i A. przez cały czas śmieją się z byle powodu. AfQ,-w sobie jakąś lekkość, której jej brakuje. Kiedyś ona też ją miała. Kiedy była dzieckiem. Jest prawie pewna, że tak było. Zresztą / . u nie zawsze byli tacy radośni. Nauczyli się odgrywać „rolę wesołych" A może w rzeczywistości z nią dlatego jest inaczej, że to im brakuje czegoś, co ona akurat ma. Dzisiaj myśli są wyjątkowo czarne Szczury na każdym kroku. Co się stało? Nic. Czy musi być powód? Wczoraj odwiedziła Teo i

rozmawiały o filmie Niebo nad Berlinem. Co za boski film! Jeśli kiedyś dorośnie, będzie kręciła filmy surrealistyczne, w których wszystko może się zdarzyć. Cudowny strach (a może po prostu strach) przejmując na myśl, że anioły mogą przechadzać się między ludźmi i słyszeć ich myśli. Wywiązała się zażarta dyskusja o tym, czy istnieje życie po śmierci, czy nie. T. nie wierzy w Boga, a mimo to jest pewna, że coś takiego istnieje i że jej życie „na tym łożu padole” nie miałoby sensu, gdyby nie było jakiejś obietnicy późniejszego życia. Siedziałam spokojnie i grzecznie czekałam, aż skończy mówić, a potem powiedziałam, że ze mną jest dokładnie na odwrót! To znaczy, muszę mieć świadomość, że żyje się tylko tutaj i nie daj Boże, żeby potem miała nastąpić jakaś wędrówka dusz!!! Strach pomyśleć, że musiałabym przechodzić to wszystko jeszcze raz!

Zamknął z trzaskiem zeszyt, jak gdyby zajrzał do otwartej rany. Zupełnie mu już nie przeszkadzały te częste przejścia między „ja” i „ona”. „Ta Tamar jest taka... - nie mógł znaleźć odpowiedniego słowa - ...mądra, z całą pewnością. Ale też smutna, i to bardzo. I nie ma złudzeń. Dotyka prądu gołymi rękami. Ale w jej wypadku to nie jest zwyczajny smutek, znany też jemu, wywołany, powiedzmy, przegraną Ha-Poel albo złą oceną w szkole. To był smutek zupełnie innego rodzaju, jak u starców, którzy już wszystko wiedzą o życiu. Asaf też niekiedy doświadczał przeblysków takiego smutku, ale nie umiał go opisać słowami i wołał nawet nie próbować, bo

298

. ję się coś raz ubierze w słowa, wtedy to już zostaje na całe wieki- To jest jak wyrok. Ale gdyby Tamar tu była, rozmawiałby z nią bez strachu i spróbowałby wreszcie nazwać po mieniu tę rzecz, która pozostaje wciąż przyczajona za cienką zasłoną codziennego życia i rodziny, nawet za najmocniejszym uściskiem jego mamy. Nie lubił tych myśli. Dopadały go co jakiś czas, kiedy siedział u siebie w pokoju albo wieczorem, przed zaśnięciem. Taka myśl chwytiała go nagle swoją zimną macką, a wtedy spadał, zlatywał prosto w jej wielką, rozwartą paszczę.

A co do Tamar - miał przeczucie, że mówi dokładnie o tym samym. I że nie ma na świecie drugiej osoby, która by o sprawach tak nieuchwytnych i ulotnych potrafiła mówić równie jasno i rzeczowo. Siedział i kołysał się, uderzając pięściami w uda. Od

czasu do czasu zamykał zeszyt i otwierał go z powrotem niczym tamę, jakby chciał tym sposobem wyregulować prąd rzeki, której wody przelewały się między nim a tymi zeszytami. I chociaż wokół niego, w świecie znajdującym się poza kurtyną krzaków, nic się nie zmieniło, to nagle Asaf poczuł się przeraźliwie zagubiony, jakby unosił się w przestrzeni wszechświata niczym samotny płatek śniegu, który koniecznie chce się przekonać, że gdzieś w pustych przestworzach kołysze się drugi taki płatek, a na imię ma Tamar.

Jednocześnie zdawał sobie sprawę, nie miał żadnych złudzeń, że różnica między nim a nią polega na tym, że ona się takich myśli najwyraźniej nie boi, a w każdym razie nie ucieka przed nimi, natomiast on - wystarczy, że spojrzy i od razu robi unik, przypomni sobie, by zaraz zapomnieć. O swoich czarnych myślach, o tej gromadce szczurów, mówiła jak o starych znajomych, niekiedy nawet z humorem. Asaf odnosił niemal wrażenie, że taplanie się w tym sprawia Tamar jakąś

299

przedziwną przyjemność. A kiedy trafi! na stronę, na które' napisała sto razy, jak za karę, słowo „nienormalna”, miał ochotę to przekreślić i napisać na górze „niezwykła”. Jak ona się ucieszy - myślał podekscytowany - kiedy przyprowadzę jej Dinkę! Jednak wiedział, że chce dla niej zrobić więcej znacznie więcej.

Wstał. Usiadł. Zamknął. Otworzył. Własne ciało uwierało go i paliło. Dinka wodziła za nim oczami, miał wrażenie, że starą się złapać jego spojrzenie. „Teraz rozumiesz, o czym przez cały czas mówiłam?” Nagle postanowi! ruszyć dalej. Musiał pobiec, aby ostudzić krew wrzącą w żyłach. Nagle opadło go mnóstwo słów, zaszumiały mu w głowie. Bo Tamar miała w sobie coś jeszcze - była nie tylko mądra, nie tylko smutna, nie tylko niezwykła. Była porywająca. Właśnie tego słowa szukał i niespodziewanie je znalazł. Tak mówiła jego mama po obejrzeniu dobrego filmu: „Ach! To było porywające!” I już samo to słowo, padające z ust jego mamy, ekscytowało go, zanim tak naprawdę je zrozumiał, a w tym, co napisała Tamar, czuł dokładnie to samo, było to właśnie porywające, jak gdyby ktoś przyszedł i mocno zamieszał wszystko, co miał w sercu, w głowie i w trzewiach.

Dinka zaszczekała. „Nie ma czasu! Nie ma czasu!” Asaf wrócił do przeglądania

zeszytów. Nie mógł odżałować, że nie starczy mu czasu na przeczytanie całości. Doszedł do Tamar--piętnastolatki: tutaj nagle nastąpiło pewne orzeźwienie. Zniknął dojmujący smutek. Nagle spotkał wesołą dziewczynę. Wprost krzyzącą z radości. Jak wspaniale, ucieszył się, ale zaraz potem ochłonął - to pewnie ze względu na przyjaźń z Ida-nem i Adi. Ich imiona wypełniały całe stronicę, zwłaszcza imię chłopaka: Idan powiedział to, zrobił tamto, Idan stwierdził, Idan postanowił... Asaf zgadywał, że Idan jest właśnie ty"l chłopakiem, gitarzystą, którego ona poszukuje. Wydawała się

300

alcochana w nim po uszy. Czytał dalej i stopniowo nabierał przekonania, że Idan nie jest jej naprawdę oddany i że trochę je nią bawi, podobnie jak tą drugą dziewczyną, Adi, i że jeśli ogóle kogoś kocha, to tylko samego siebie. Dziwił się, że Tamar tego nie zauważa, że nie umie czytać tego, co sama tu Djsze! Powiedz mi, Dinko, jakim cudem ona, taka mądra i tak krytycznie nastawiona do świata, może się tak zachwycać tym Idanem?!

Spojrzał na datę na końcu ostatniego zeszytu - dziennik urywał się dokładnie rok wcześniej. Szybko sprawdził daty w pozostałych zeszytach. Ułożył je po kolei i nie miał już cienia wątpliwości, że jeżeli nawet istniał jeszcze jeden zeszyt - tegoroczny, z którego można by się dowiedzieć, dlaczego Tamar wyruszyła w swoją podróż - to tutaj go nie ma.

Przez chwilę siedział rozczarowany. Czuł zamęt, targający nim sprzeczne odczucia, ale nie było czasu, by oddawać się rozczarowaniu. Trzeba było biec dalej. Dziwne: nie stało się nic, co skłaniałoby znów do pośpiechu. Mimo to jednak w ciągu ostatnich minut czuł, że piasek w jakiejś wielkiej klepsydrze właśnie kończy się przesypany, że sprawy toczą się teraz znacznie szybciej i zbliżają do kulminacji.

Włożył wszystko z powrotem do plecaka. Ubrania, sandały, zeszyty. Nie wiedział, dokąd ma teraz iść. Może na ulicę Ben Jehudy, żeby odszukać gitarzystę, o którym mówił Siergiej? Nie miał najmniejszej ochoty się z nim spotykać. Nie miał też siły,

żeby zrobić rzecz najprostszą, jak choćby przejść się gwarną ulicą, patrzeć na obcych ludzi czy używać słów, którymi wszyscy się posługują. Miał poczucie, że w tym krótkim czasie, jaki spędził schowany w kępie krzaków, stała S'C rzecz nowa, uroczysta. Nie tylko z nim samym, ale w ogóle, na świecie. Niemożliwe, by sprawy biegły swoim zwykłym torem tak, jak jeszcze godzinę temu. Nagle było mu

301
bardzo pilno się z nią spotkać, chciał jej o tym opowiedz'
Może zresztą nie będzie musiał jej nic mówić, być może '^
już to rozumie, w tej chwili, gdziekolwiek się teraz znajd011
nie potrzebuje nawet wiedzieć, kim on jest - czuie tn ^

uj, zu-

pełnie nic o nim nie wiedząc.

Nie wiedziała, kiedy znowu zobaczy się z Szajem. Następnego dnia po ich pierwszym spotkaniu nie zjawił się na kolacji. Tamar nie wiedziała, czy jest wjerezolimie, czy został na noc w jakimś dalekim mieście, czy też umyślnie jej unika. Siedziała, jedząc 4swoją codzienną porcję puree, a jej spojrzenie wędrowało bez przerwy w stronę drzwi. Następnego dnia Szaj przyszedł, usiadł przy stole i do końca kolacji nie podniósł głowy znad talerza ani nie reagował, kiedy posyłała mu świdrujące spojrzenia i wołała go na migi. Skończył jeść i wyszedł, a nazajutrz znów się nie pojawił.

Przyszedł za to Pesach Bet ha-Lewi, usiadł do stołu razem ze wszystkimi i był w świetnym humorze. Krótkie spodenki omal nie pękały w szwach na jego udach, a Tamar pomyślała, że on chyba nigdy nie zmienia ani nie pierze tego swojego podkoszulka z siatki. Żartował, opowiadał anegdoty i swoje wspomnienia z wojska - był zaopatrzeniowcem jakiegoś zespołu wojskowego - i chełpił się opowieściami o zawodach zapaśniczych, w których za młodu brał udział. Tamar pomyślała, że jeśli będzie czekać, aż Szaj zdecyduje się na współpracę, jeśli zaraz czegoś sama nie zrobi, to po prostu oszaleje.

Ukradkiem przyjrzała się twarzy Pesacha, zaintrygowana rażącymi sprzecznościami, jakie w niej dostrzegła. Bo z jednej strony, jego mięsiste wargi zdradzały zepsucie,

czy wręcz zezwierżenie, a w nalanej twarzy i martwych oczach krył się jakiś nieprzenikniony despotyzm, z drugiej zaś strony, w tej samej twarzy widać też było pewną nieporadną serdeczność oraz jawne pragnienie, by uchodzić za „równego faceta” i budzić powszechną sympatię i podziw. Pesach wstał, poklepał się po kieszeniach krótkich spodni, po czym mruknął, że zostawił fajki w samochodzie, i spytał, kto go poczęstuje. Natychmiast zewsząd dookoła wysunęły się w jego stronę

304
ręce z papierosami. Tamar brzydziła się tym lizusostwem, ale wtedy powrócił do niej migawkowy obraz rąk poklepujących kieszenie i jej myśli zerwały się do galopu: puste [cieszenie spodni, podkoszulek z siatki bez kieszeni. Teraz albo nigdy.

Odczekała, aż jakiś szczęściarz przypalił mu papierosa, a Pesach z upodobaniem wciągnął do płuc pierwszy dym. Wtedy wstała, powiedziała głośno do Szeli, że wychodzi na chwilę do ubikacji, i poprosiła, żeby nie zabierali jej talerza. Wyszła z jadalni i pobiegła przed siebie co sił w nogach.

Na korytarzu było pusto. Jedna kołysząca się na kablu żarówka tworzyła na ścianach ruchome cienie. Tamar nacisnęła na klamkę. Była pewna, że drzwi są zamknięte na klucz. Cale to przedsięwzięcie było szalone i nie rokowało powodzenia. Drzwi się jednak otworzyły.

W biurze Pesacha było ciemno i Tamar poruszała się po omacku. Ominęła jakieś krzesło, wpadła na inne, wreszcie natrafiła na biurko. Tam docierało już nikłe światło księżyca. Wysunęła górną szufladę, którą wypełniały w absolutnym chaosie teczki i luźne papiery, ale Tamar szukała czerwonego notesu. Aż do tego wieczoru nie widziała, żeby Pesach z nim się rozstawał. Pośpiesznie przerzucała zawartość szuflady, uważając, by zachować pewien porządek panujący w tym bałaganie. Notesu nie było. A coś ty myślała. Na pewno trzyma go w specjalnym pasie schowanym pod spodniami. Wysunęła drugą szufladę. Tam były klasery, stare notatniki i bloczki kart parkingowych z różnych miast.

Za drzwiami na korytarzu rozległy się głosy. Ktoś przechodził. Było ich chyba dwóch, maszerowali szybkim krokiem. Tamar schyliła się, próbując schować się za

szufladą. Boże - pomyślała - chociaż w Ciebie nie wierzę, chociaż Teo będzie się ze mnie śmiać, że w przypiływie strachu zламаłam

305

się i wezwałam Cię na pomoc, błagam, spraw, żeby oni * weszli.

tUn'e

- Zobaczysz, w końcu go namówię, żeby Spr2 H - Rozpoznała głos Sziszka. - Taki zajebisty magnetofon t' po prostu muszę mieć u siebie w wozie.

- Daj dwa tysiące, zobaczysz, że sprzeda - odparł dru ■ głos, którego nie znała. - Sprzeda jak nic, co ma nie sprzedać? Pewnie, że sprzeda!

Kroki minęły wejście do biura i oddaliły się korytarzem

Tamar odczekała jeszcze chwilę. Ledwo żyła ze strachu W dolnej szufladzie był zamek. No jasne. To dlatego nie ma notesu przy sobie. Wystarczy mu klucz. Tamar wysunęła szufladę, chociaż nawet na to nie liczyła. Potem popatrzyła przez chwilę, nie dowierzając własnym oczom: Pierwszy raz w życiu - pomyślała - mam więcej szczęścia niż rozumu.

Był tam notes, czerwony i gruby, o porysowanej okładce pokrytej tłustymi plamami od palców Pesacha.

Z początku nic nie rozumiała. Strony zapełnione były rzędami i kolumnami skrótów, imion i numerów. Wszystko zapisane drobnym maczkiem. Zdumiewające, wzięwszy pod uwagę wielkość dłoni, która to notowała. Przechyliła notes w stronę okna, żeby zyskać nieco więcej światła. Wodziła wzrokiem po rzędach liter i coraz bardziej rzedła jej mina: wyglądało to jak szyfr, a wiedziała, że nie ma czasu, by go złamać. Zamknęła notes. Zamknęła oczy. Wzięła się w garść. Kiedy znów otworzyła oczy, odkryła, że w rzędach wpisane są nazwy miast, a w kolumnach daty występów. Rzędy i kolumny przecinały się, tworząc siatkę tabeli. Czowała, jak krew pulsuje jej w skroniach i szyi, a nawet za oczami. Poszukała kolumny dzisiejszych występów. Znalazła. Potem sprawdziła, w którym miejscu krzyżuje się ona z rzędem „Tel Awiw”. W polu, w którym się ze sobą spotkały, wpisane było jej imię. Tym

306

s0bem rozszyfrowała skróty: „PD” to „plac Dizengofa”, na SP°!/m wystąpiła dziś

rano. „SD” to Centrum im. Suzanne

n Hal. Notes drżał w jej rękach. Starła się nie myśleć o tym, dzieje się za drzwiami. O tym, że ktoś mógłby wejść do te-pomieszczenia. Dopiero teraz była w stanie zrozumieć, •aka odwagą wykazał się Szaj, kiedy zdecydował się stąd zadzwonić. Albo może - jak głęboko sięgała jego desperacja. Zrobił to o dziesiątej wieczorem, rodziców nie było w domu i Tamar omal nie zemdląła, słysząc go po tak długim czasie. Mówił zdławionym głosem, w hysterii. Opowiadał o jakimś wypadku, który mu się zdarzył, trudno go było zrozumieć. Błagał, żeby przyszli go wyciągnąć, uratować, ale nie mieszać w to policji, bo jeśli sprowadzą policję, to już po nim. Siedziała wtedy w kuchni, w ostatni wieczór przed sprawdzianem z trygonometrii, i potrzebowała trochę czasu, żeby zrozumieć, co powiedział. Mówił zmienionym głosem, z zupełnie inną intonacją i w innym tempie niż zwykle. Brzmiał, obco. Powiedział, że to potworne miejsce, jak więzienie, że wszyscy inni są tutaj półwolni, a tylko on jest skazany na dożywocie, po czym jednym tchem dodał, żeby przeprosiła w jego imieniu tatę i przekazała, że ten atak był wynikiem chwilowego szału, a tutejszy szef- powiedział - „jest taki, że przez pół roku nie wiedziałem, czy to diabeł, czy anioł, to wszystko jest zupełnie pokrecone, chore”...

I kiedy jeszcze mówił, usłyszała skrzypnięcie drzwi za jego plecami. Ona, w kuchni, u siebie w domu, słyszała, a on nie. Powiedział jeszcze kilka słów, po czym nagle zamilkł i zaczął głęboko dyszeć, z drzeniem w głosie wymamrotał: »Nie, nie... nie...” Potem usłyszała inny, nieludzki głos, jak ryk drapieżnika rzucającego się na ofiarę, głos pochodzący głęboko z trzewi, a potem przyszły uderzenia, jedno po drugim, jakby ktoś ciskał workiem piasku o ścianę. Znowu i znowu,

307

i krzyk, i taki skowyt, że w pierwszej chwili nie wiedziała, czy to człowiek, czy zwierzę.

Stąd, z tego pomieszczenia.

Tylko o tym nie myśleć. Przeglądała dalej, żeby spraw, dzień najbliższe dni. Szukała rzędów, gdzie pojawiała się Jerozolima. Potem w tych rzędach szukała imion, własnego i Sza-ja. Nie mogła znaleźć. Usłyszała dochodzący z góry brzęk widelców i

łyżek. Zaczynają już sprzątać. Ma jeszcze minutę może półtorej. Przesuwała palcem po kolejnych dniach. Zatrzymała się na najbliższej niedzieli. Zobaczyła tylko swoje imię w rzędzie Jerozolima". Szaj będzie w Tyberiadzie. Palec pogalopował wzdłuż linii. Zatrzymał się na przyszłym czwartku. Szeroko otworzyła oczy: imiona ich obojga tuż obok siebie. Szaj wystąpi w miejscu oznaczonym „PM”, ona znalazła się pod „PS”. Oboje wystąpią między dziesiątą a jedenastą przed południem. Zamknęła notes, włożyła go z powrotem do szuflady i stała przez chwilę rozdygotana. Za dziewięć dni. Tydzień i dwa dni. On będzie na placu przed sklepem „Ha--Maszbir”, a ona na placu Syjońskim. W odległości kilkuset metrów. Jak zaaranżować spotkanie? W życiu jej się to nie uda. Ma go stąd wyciągnąć za dziewięć dni.

Teraz wyjdź-wołały wszystkie jej zmysły. Minęło co najmniej pięć minut, odkąd wyszła z jadalni, a jej talerz został na stole. Pesach może kogoś wysłać, żeby sprawdził, gdzie się podziała. Ale jeszcze nie dokończyła tego, co miała tam do zrobienia. Podbiegła do drzwi, uchyliła je lekko i rozejrzała się. Na korytarzu nie było nikogo. Goła żarówka kołysała się, rozsiewając wkoło niewyraźne żółte cienie. Tamar w milczeniu zamknęła drzwi i wróciła w głąb pomieszczenia, do stołu z telefonem. Palce drżały jej tak bardzo, że nie zdołała poprawnie wybrać numeru. Wybrała jeszcze raz. Gdzieś, daleko rozległ się dzwonek. Oby tylko była w domu - modliła się z całego serca - oby była w domu.

308

Lea podniosła słuchawkę. Głos miała czujny i rzeński, jak dyby stała przy aparacie, wyczekując.

- Lea - szepnęła Tamar.

- Tami! Gdzie jesteś, moja mała, co z tobą? Mam przyjść?

- Lea, nie teraz. Posłuchaj: w przyszły czwartek, między dziesiątą a jedenastą, czekaj z samochodem...

- Zaraz, nie tak szybko. Muszę spisać zamówienie...

- Nie, nie ma czasu. Zapamiętaj: w przyszły czwartek.

- Między dziesiątą a jedenastą. Ale gdzie chcesz, żebym

była?

- Gdzie? Chwila... - Błysnął jej przed oczami „garbus” Lei. Próbowała wyobrazić sobie układ uliczek w centrum miasta. Nie wiedziała, w które z nich wolno wjechać samochodem, które są jednokierunkowe ani które miejsce będzie najbliżej Szaja, żeby nie musiał biec zbyt daleko.

- Tamar? Jesteś tam? - Myślę, poczekaj.

- Mogę ci tymczasem coś powiedzieć?

- Lea, tak się cieszę, że cię słyszę - Tamar zakrztusiła się.

-A ja tu siedzę i obgryzam paznokcie. Już prawie trzy tygodnie, jak nie było wieści od ciebie! Nojku nie daję mi żyć: „Gdzie Tami? Gdzie Tami?” Powiedz mi tylko, kochana, udało ci się? Dostałaś się tam?

- Lea, muszę kończyć.

Na korytarzu rozległy się kroki.

Trzasnęła słuchawką i skuliła się za biurkiem w mały wystraszony kłębek. Odczekała jeszcze kilka uderzeń serca. Głucha cisza. Widocznie to tylko strach. Przynajmniej zdążyła przekazać wiadomość Lei. Teraz musi się stąd bezpiecznie wydostać.

309

Jednak kiedy podeszła na palcach do drzwi, poczuła przemożny impuls, żeby jeszcze do kogoś zadzwonić. To byłoby szaleństwo, zupełnie niepotrzebny slalom między rozsądkiem a obłędem, lecz pragnienie, by porozmawiać z kimś jeszcze z poprzedniego wcielenia, zaczęło być palące. Stała już pod drzwiami, dotknęła klamki i wstrzymała się, wewnętrznie rozdarta. Musi stąd wyjść. Do kogo zadzwoni? Do rodziców? Na razie nie wolno. To by ją rozbiło. Idan i Adi są teraz w Turynie, a nawet gdyby wrócili, to o czym mieliby rozmawiać? Kto pozostał? Pani Halina i Teo. Halina czy Teo? Zaczęła wracać do telefonu jak lunatyczka. Lea, Halina i Teo. Jej trzy przyjaciółki. Trzy matki. „Teo jest matką rozumu - napisała kiedyś w dzienniku - Lea matką serca, a pani Halina głosu”. Nie uświadamiając sobie tego, podniosła słuchawkę. Zawyły w niej syreny alarmowe, ale nie miała siły oprzeć się temu pragnieniu. Rozmowa z Leą obudziła w niej natychmiast wszystko, co przez te tygodnie Tamar wyrzuciła z pamięci i pochowała głęboko w swoim wnętrzu. Teraz

dała się porwać i zatopić temu prądowi, przypomniawszy sobie swoje drugie życie, codzienność, wolność, prostotę i jak to jest, kiedy można coś robić, nie zastanawiając się przedtem siedem razy, czyjej nie podpuszczają, czy nie śledzą, rozmawiać zwyczajnie, mówić to, co po prostu przychodzi do głowy. Jak ktoś pogrążony we śnie albo w narkotycznym transie, kto rozpaczliwie potrzebuje ciepła i miłości, wybrała następny numer.

Wolny sygnał. Tamar wyobraziła sobie czarny przedpotopowy aparat telefoniczny z okrągłą tarczą i miękki tupot szmacianych sandałów.

- Tak, halo? - spytał ostry głos z silnym staroświeckim akcentem. - Halo, kto tam?

Chwileczkę, to ty, Tamar? Moja Tamar?

310

Ręka. Czerwona, ciężka, z czarnym kwadratowym kamieniem wprawionym w złoty pierścień, opadła na telefon i rozłączyła rozmowę.

- Tego się po tobie nie spodziewałem - powiedział pesach i zapalił lampę, wypełniając całe biuro światłem. - I to ty? Prywatne rozmowy ze służbowego telefonu? A komu to bijom dzwony? To ktoś, kogo znamy? Tata i mama? Czy ktoś zupełnie inny? Siadaj! - zagrzmiał i popchnął ją siłą na własne krzesło, po czym zaczął chodzić w tę i z powrotem za jej plecami. Kark jej zeszywniał. Wpadła. Wpadła dokładnie tak samo jak Szaj. I w tym samym pomieszczeniu. - Teraz mamy dwie możliwości. Albo mi powiesz po dobroci, z kim rozmawiałaś, albo to z ciebie wydusimy. Co wolisz? - Oparł się całym ciężarem o biurko naprzeciw niej. Przemoc biła od niego potężnymi gorącymi falami, a mięśnie ramion ruszały się pod skórą jak szczygnięta w łonie matki.

Tamar przełknęła ślinę.

- Rozmawiałam z babcią - wyszeptała.

- Z babcią, tak? No to tera znowu są dwie możliwości - mówił powoli, a ona ze zdumieniem obserwowała, jak w okamgnieniu odpłynął cały tłuszcz z jego twarzy, uwydatniając kości, tak że można było dostrzec widmowy zarys nagiej czaszki. - Albo poproszę cię o numer, który wybrałaś, a ty mi podasz po dobroci...

Tamar milczała.

- No to druga możliwość: wciskam powtórne wybieranie.

Patrzyła na niego bez wyrazu. Byleby nie okazać strachu. Nie dać mu tej przyjemności.

Aparat zaczął ponownie wybierać ostatni numer. Pesach przycisnął słuchawkę do ucha. Zapadła cisza. Pierwszy

311

dzwonek. Potem przez jego policzek Tamar usłyszała pΓ2e. nikliwe „halo” Teodory, w którym teraz zabrzmiały zatroskanie i lęk. Pesach słuchał bardzo uważnie i nic nie mówił Teodora znów zawołała: „Halo? Halo!! Kto tam? Tamar? Tami? Jesteś tam?” Wtedy się rozłączył.

Usta wykrzywiły mu się lekko, jakby z wahaniem.

- Dobrze - powiedział w końcu, z grymasem obrzydzenia na twarzy. - Przypadkiem brzmi jak babcia.

Ramiona Tamar lekko opadły z ulgą. Jak taki głupi błąd może się nagle zamienić w koło ratunkowe. Do licha - pomyślała zaraz potem - zapomniałam podać Lei nazwę ulicy! Paznokcie wpiły jej się we wnętrze dłoni. Zdażyła podać dzień i godzinę, tylko nie ulicę! Co za fatalne przeoczenie... Pesach zamyślony chodził dookoła niej po biurze. Potem znów pochylił się nad nią swoim ogromnym cielskiem, z całą drzemiącą w nim siłą i agresją.

- Wstawaj. Tym razem ci się upiekło. Śmierdzi mi tu na kilometr, ale miałaś fuksa. A tera szeroko otwórz uszy.

Tamar siedziała nieruchomo i myślała o tym, że już od pierwszej chwili ustawiła się tutaj na spalonej pozycji, śpiewając mu Me mów do mnie „Skarbie”, a potem jeszcze się pograżyła, nazywając Mika złodziejem i oddając pieniądze Rosjance. Przez cały czas działała pod wpływem impulsu, całkowicie wbrew własnemu interesowi i celowi, jaki sobie postawiła.

- Jeszcze raz mie połaskoczesz w koniuszek palca, i już po tobie. Choćbyś śpiewała jak Chawa Albersztejn i Joram Gaon razem wzięci, wyjdiesz stąd w takim stanie, że do końca życia nic więcej nie zaśpiewasz. Masz moje słowo. I posłuchaj mnie uważnie, skarbie. - Powiedział „skarbie”, no jasne! -Jeszcze nie do końca rozgryzłem,

co tutaj kombinujesz. Wiesz, o co chodzi? Nie wiem, czemu

312

ciągle mi czymś od ciebie zalatuje. Mam jakieś takie przecucie, a w tych sprawach jeszcze się nigdy nie pomyliłem. , Tamar poczuła, jak z każdą chwilą topnieje w niej ta tajemnicza substancja, która ma za zadanie utrzymywać w równowadze i spajać wszystkie części ciała i rysy twarzy. _ Więc wbij to sobie dobrze do łba, że jeszcze się taki nie urodził, co by wyrolował Pesacha Bet ha-Lewiego, rozumiemy się?

Tamar potaknęła.

- Teraz znikaj mi z oczu. I zniknęła.

Kiedy skończyła ostatnią piosenkę, ludzie klaskali, krzyczeli „Brawo”, po czym zaczęli się rozchodzić. Kilka osób podeszło do niej, chwaliły, a nawet dziękowały, pytały, co to za piosenka. Wbrew swoim zwyczajom odpowiadała bardzo szczegółowo i długo. Kątem oka zauważyła, jak Miko podchodzi do pobliskiego stoiska z szawarmą. Zlustrowała wzrokiem wszystkich stojących wokół niej. Kto będzie się najlepiej nadawał, komu można zaufać? Stały tam dwie młode kobiety, turystki z jakiegoś północnego kraju, które mówiły do niej po angielsku z wibrującym, językowym „r”. Odpada. Był też smukły mężczyzna z bródką, o lekko azjatyckich rysach twarzy, który pochylił się nad nią i chwalił czystość jej głosu: „Jest tak klarowny - mówił. - Kiedy zaczęłaś śpiewać, byłem na drugim końcu ulicy i zdawało mi się, że słyszę flet”. Ale wyczuła w nim coś sztucznego, a może zraziło ją do niego to, że przypominał o fałszu, jaki był teraz w niej samej. Stała tam też pewna bardzo szczupła pani o niemal przezroczystej skórze, która załamała ręce i z tłumionym wzruszeniem powiedziała, że ma

313

jej do opowiedzenia wspaniałą historię, ale poczeka cierń-liwie na swoją kolej. Był też zażywny starszy pan, trzymający w ręku wysłużoną brązową teczkę. Sprawiał wrażenie sumiennego, skromnego urzędnika. Miał poczciwe wielkie i okrągłe oczy za szklami okularów, i obwisłe wąsy. Nosił szeroki staromodny krawat, koszula wystawała mu ze spodni. Tamar widziała, że mężczyzna się waha, a ponieważ czas naglił, obróciła się do niego i uśmiechnęła tak promiennie, jak tylko potrafiła. A on

natychmiast się ożywił, spojrział na nią radośnie i powiedział, że wprawdzie słoń mu nadepnał na ucho, ale kiedy usłyszał jej głos, poczuł coś, czego nie doświadczył już od wielu lat. Oczy zrobiły mu się wilgotne i oburącz ujął ją za dłoni. A wtedy czym prędzej, zanim on także zdążył coś powiedzieć o czystości jej głosu, podała mu drugą rękę, patrząc mu jednocześnie głęboko w oczy błagalnym wzrokiem. Zobaczyła, jak zmrużył powieki i zmarszczył brwi, kiedy ze zdumieniem poczuł w dłoni kartkę papieru. Za jego plecami, w odległości dziesięciu metrów, Miko uniósł pite powyżej ust i zlizywał wyciekającą z niej ukośną strużkę żółtawego sosu. Od rana niemal nie spuszczał jej z oka, a ona wiedziała, że to Pesach wydał mu specjalne instrukcje po wczorajszym incydencie. Krępy mężczyzna zrozumiał nareszcie, jak jest zdesperowana, i szybko oprzytomniał. Zacisnął dłoń na kartce, a jego usta zastygły w uśmiechu.

- Do zobaczenia - powiedziała z naciskiem, omal nie odpychając go rękami.

Mężczyzna chyba coś zrozumiał. Oddalił się w pośpiechu. Tamar odprowadzała go pełnym lęku spojrzeniem. Szczupła pani o przezroczystej skórze, która dotąd cierpliwie czekała, ruszyła teraz do ataku: śpiew Tamar o czymś jej przypomniał.

314

_ Musisz tego posłuchać, ty to dokładnie zrozumiesz. Była kiedyś taka wielka śpiewaczka, nazywała się Rosa Rai-a Uciekła z Białegostoku jako mała żydowska dziewczynka, R^osa Bursztejn. Nie śmiej się, dla wielu była największą śpiewaczką na świecie po Carusie. Puccini i Toscanini chcieli ją mieć u siebie...

Tamar słuchała i patrzyła gdzieś poza nią. Kiwała głową jak poruszana sznurkiem.

Widziała tamtego niskiego mężczyznę, maszerującego żwawym krokiem. Przeszedł tuż obok Mika i żaden z nich nie zwrócił uwagi na drugiego. Okrągła łysina

poczerwieniała mu z wysiłku, a może też z przejęcia. Tamar miała nadzieję, że to dobry wybór. Że postawiła na właściwego człowieka. Ktoś przed nią zachichotał.

Dystygowana kobieta trzęsła się ze śmiechu, kontynuując swoją anegdotę:

- Otóż pewnego dnia, w Meksyku, owa Rosa Raisa wybrała się w podróż pociągiem, aż tu nagle Pancho Villa i jego bandziory napadli na jej pociąg, weszli do wagonu i zaczęli strzelać. Powiedziała im, że jest śpiewaczką, a oni jej nie uwierzyli, ale kiedy

im zaśpiewała w wagonie, w trakcie napadu, El Guitarrico, wtedy nie tylko puścili ją wolno, ale przedtem poczęstowali ją jeszcze meksykańską tequilą...

Tamar uśmiechnęła się z roztargnieniem i podziękowała kobiecie. Zabrała pieniądze i magnetofon, zawołała Dinkę i skierowała się na umówione miejsce spotkania z Mikiem. Kątem oka dostrzegła, że mężczyzna z brązową teczką dotarł już do wylotu ulicy. Spodobało jej się, że się nie zatrzymał, aby przeczytać jej liścik i ani razu nie obejrzał się za siebie. W kieszeni miała jeszcze dwie takie kartki, przygotowane poprzedniego wieczoru. Zamierzała je przekazać trzem różnym osobom, ale ze wszystkich

315

ludzi, przed którymi tego dnia śpiewała, tylko on wzbudził jej zaufanie. Miała poczucie, że to właściwy człowiek.

Mosze Honigman, emerytowany stenograf sądowy człowiek bezdzietny, wdowiec już od czterdziestu lat Oprócz swojej dość monotonnej pracy miał jeszcze kilka ubocznych, hobbistycznych zainteresowań: kolekcjonował stare mapy, książki podróżnicze o Palestynie i nagrania orkiestr dętych. Grał korespondencyjnie w szachy z amatorami z całego świata i miał w zwyczaju każdego roku uczyć się nowego języka na poziomie potocznej rozmowy. Był pełnym werwy, wiecznie podekscytowanym samotnym człowiekiem, którego starość, jak się zdawało, zaskoczyła w samym środku dzieciństwa. Prócz wszystkich swoich zainteresowań był też zapamiętałym miłośnikiem powieści detektywistycznych, jakie można kupić w antykwariatach za pięćdziesiąt szekli, i dzięki nim na dwie godziny dziennie zapomnieć o nieukozonej tęsknocie.

Teraz szedł pośpiesznie jedną z uliczek odchodzących od deptaku. Jego leciwe serce biło jak szalone, lecz nie pozwolił sobie, by się zatrzymać i odetchnąć. Wciąż miał przed oczami błagalne spojrzenie dziewczyny i rozumiał, że znalazła się w wielkich tarapatkach. W miarę jak się oddalał, myśli układały mu się w głowie w logiczną całość: rozumiał, że ktoś ją śledzi i prawdopodobnie ze względu na tego kogoś musiała się ukrywać z dziwnym listem, jaki mu wręczyła. Honigmanowi nogi zaczynały nieco słabnąć z podniecenia, więc zmusił się, żeby trochę zwolnić. Z

każdym krokiem jego myśli coraz bardziej się rozjaśniały. Pięćdziesiąt lat nieustannej styczności ze światem przestępczym - poza kryminałami, które wprost pożerał, miał za sobą jeszcze długie lata pracy jako stenograf

316

sadzie - w zdumiewająco naturalny sposób pokierowało . 0 krokami. Raz po raz zatrzymywał się przed witryną sklepową- układał pojedyncze włosy, jakie się jeszcze ostały na jego ciemieniu, patrzył uważnie, czy w szybie nie odbija się jakaś śledząca go postać.

Cały spięty, podekscytowany awanturą, w jaką się wplątał, Honigman kręcił się niespokojnie po ulicy. Różne myśli kołatały mu się po głowie, układały się w mrozące krew w żyłach historie, których punkt kulminacyjny przypadał na chwilę, kiedy tamta dziewczyna zwróciła się do niego o pomoc. Pochłonięty tymi rozmyślaniami, dziękował losowi, że obdarzył go tak zwyczajnym wyglądem, dzięki któremu nie rzuca się w oczy i budzi zaufanie. W związku z tym, aby nadać sobie jeszcze bardziej przeciętny wygląd, wykrzywił twarz w okropnym, nieruchomym uśmiechu, przekonany, że dzięki temu będzie sprawiał wrażenie dobrodusznego dziadka krótkowidza.

Wreszcie, po tym, jak przez bitą godzinę spacerował tak po ulicy, budząc podejrzliwość wszystkich napotkanych przechodniów, wszedł do kawiarni Rimon, zamówił sobie tost z żółtym serem i założył okulary do czytania. Wyjął z teczki gazetę, rozpostarł ją bardzo starannie, tak że prawie cały się za nią schował, i dopiero wtedy rozwinął otrzymaną kartkę.

Szanowny Panie lub Szanowna Pani - zaczynał się list. -Mam na imię Tamar i bardzo potrzebuję Państwa pomocy. Wiem, że brzmi to dziwnie, ale muszą mi Państwo uwierzyć na słowo, że to kwestia życia i śmierci. Proszę mi pomóc. Niech Państwo nie zwlekają ani chwili. Proszę nie odkładać tego do jutra. Proszę zaraz zadzwonić pod numer 625 59 78. Jeśli nikt nie odbierze, proszę spróbować później. Proszę w żadnym wypadku nie zgubić tej kartki!!! Należy poprosić do telefonu

317

kobietę imieniem Lea. Proszę jej powiedzieć, jakim sposobem dotarł do Państwa ten

liścik, a najważniejsze - bardzo o r proszę - przekazać jej następującą wiadomość:
„Tamar prosit przekazać: o ustalonej godzinie, ustalonego dnia, przy ццп Szammaja, naprzeciwko postoju taksówek". Potem proszę zniszczyć tę kartkę.

Znad gazety wychynęła powoli okrągła, zdumiona twarz. Do licha, a więc miał rację! Ta mała znalazła się naprawdę w poważnych opałach. Przeczytał jeszcze kilka razy. Próbował się domyślić, skąd została wyrwana kartka na której napisano liścik. Wziął ją pod światło, próbując znaleźć jeszcze jakąś wskazówkę.

- Bardzo proszę, pański tost - powiedział kelner.

Honigman spojrzał na niego wstrząśnięty. Tost? Teraz? W takiej chwili? Porwał teczkę, rzucił banknot na stół, po czym natychmiast wybiegł z lokalu. Na rogu ulicy znalazł aparat telefoniczny i wybrał numer.

- Tak! - odezwał się sucho mocny kobiecy głos. W tle Honigman dosłyszał odgłosy przestawianych garnków, lejącej się wody i ogólnej krzątaniny.

- Pani Lea? - spytał Honigman drżącym głosem.

- Tak. Kto mówi?

Oddychał ciężko, mówił szybko i ściszym głosem.

- Mówi Honigman, Mosze. Niestety, nie mogę teraz należycie się przedstawić, ale mam pani do opowiedzenia niezwykłą historię. To historia o... - spojrzał jeszcze raz na kartkę - ...o Tamar. Czy może mi pani poświęcić chwilę?

Pięć minut później oszołomiony ostatnimi zdarzeniami Honigman wparował z powrotem do kawiarni i zmusił kelnera, żeby przyniósł z powrotem jego tost, który był jeszcze ciepły. Następnie rozparł się wygodnie na krześle, z wyrazem zdumienia i szczęścia na twarzy. Po mniej

318

• cej minucie zaczął się niepokoić, że Lea jeszcze nie zychodzi. Wstał, wyjrzał przez drzwi na ulicę, wrócił ■ 2łóśno westchnął. Co chwila sprawdzał, która godzina (miał zegarek wyprodukowany jeszcze w czasach mandatu . jaskiego; na jego tarczy zamiast cyfr widniały nazwy dwunastu plemion Izraela. Było dwadzieścia po Zabulonie i Honigman nie wiedział, co ma ze sobą zrobić aż do za dziesięć Neftali). Co chwila brał do ręki liścik i czytał go ponownie. Pieścił go wzrokiem, jakby miał

przed sobą szczęśliwy kupon loterii, i czytał w kółko ostatnie słowa:

Z góry bardzo Państwu dziękuję za pomoc. Żałuję, że nie tnozę się Państwu odwzajemnić ani nawet zapłacić za telefon. Mam nadzieję, że wkrótce spotka Państwa coś dobrego, co wynagrodzi okazaną mi życzliwość. Dziękuję i łączę wyrazy szacunku, Tamar.

Zaledwie sześć dni dzieliło ją od daty ucieczki, a wciąż nie miała pojęcia, jak sprawić, by spotkali się z Szajem w połowie drogi między miejscami swoich występów. Wpadła w taką panikę, że nie była w stanie zebrać myśli - ani w czasie długich podróży samochodem, ani w łóżku. To było nierozsądne i nieodpowiedzialne, ale Tamar po prostu nie potrafiła przebić się przez zasłonę mgły, jaka okrywała ją, kiedy tylko zbliżyła się myślą do niebezpiecznego obszaru. W piątek po kolacji chłopcy i dziewczyny poustawiali krzesła pod ścianami jadalni. Pesach i jego dwaj pomocnicy też przyszli i zajęli miejsca. Zjawiała się także żona Pesacha. Drobna i małowówna kobieta, wpatrzona w niego jak w obraz, która uśmiechając się, uważała, by nie otworzyć ust. Również Szaj przywłókł się za Pesachem i usiadł we wskazanym przez niego miejscu. Powstał wielki, wygodny

319

krąg. Rozmowa popłynęła swobodnie. Dziewczyna ino niem Ortał, iluzjonistka, zauważyła, że drewniane krzesła są takie same jak te w szkole, na których można sobie zt mać kręgosłup, a wtedy nagle rozmowa zeszła na nauczy cieli, naukę, wycieczki klasowe. Przez kilka minut wyda-owało się, że są na koloniach albo - jak powiedziała kiedyś Szeli - na letnim obozie artystycznym.

Szaj siedział skulony, uparcie starając się na nią nie patrzeć. Osiemnastoletni starzec. Siedziała naprzeciw niego i z przyzwyczajenia, które stało się jej drugą naturą, zaczęła chłonać jego nieszczęście. Po chwili wprost zwiędła naprzeciw niego, a jej ciało zgięło się w jego naznaczonej rezygnacją pozie. Stali się tak do siebie podobni jak dwie identyczne karty do „Czarnego Piotrusia”. Gdyby ktokolwiek to zauważył, zacząłby coś podejrzewać. Tamar myślała o piątkowych wieczorach w domu, zanim spadło na nich nieszczęście związane z Szajem. Przypominała sobie, jak mama wytrwale podejmowała próby urządzenia choć raz w tygodniu spokojnej kolacji, bez

sporów i kłótni. Żeby choć raz w tygodniu byli rodziną. Próbowwała nawet przez kilka tygodni zapalać świece szabatowe i odmawiać błogosławieństwo, chciała ustanowić swoisty rytuał, w którym każdy z członków rodziny opowiedziałby o jakimś „wyjątkowym przeżyciu” z minionego tygodnia... Nagle po raz pierwszy, odkąd opuściła dom, Tamar uświadomiła sobie, jak bardzo tęskni za mamą, za jej entuzjazmem i dobrą wolą, które wszyscy inni w rodzinie zawsze gasili bezlitośnie, i za jej wzruszająco naiwnymi zabiegami... Za mamą, która tak nie pasuje do tej rodziny cyników i szyderców. Życie z nimi uczyniło ją zgorzkniałą i zrzędlivą, co chyba w ogóle nie leżało w jej naturze... W gruncie rzeczy -uświadamia sobie Tamar, uderzona nową myślą - nasza

320

hedna mama całe życie spędza na wrogim terenie, w nie-tannej obawie, że wyszydzą ją, o których ona mówi z taką głęboką powagą i walczy, by się przebić przez sarkastyczny pancerz ojca, geniusz Szaja i moje starania, by nie stać się jej przyjaciółką, siostrą i zwierzątkiem domowym- Na chwilę zapomniała o sobie, zapomniała też, gdzie się znajduje. Obiegła ją fala współczucia i żalu nad tym, co nieodwracalnie się popsło w ich rodzinie, między tym czworgiem samotnych ludzi, z których każdy zdany był wyłącznie na siebie. Nagle poczuła przemożną potrzebę, by porozmawiać z kimś o tych sprawach zupełnie szczerze, z kimś z zewnątrz, spoza rodziny, podzielić się brzemieniem, które rozsadzało jej serce.

Szaj westchnął cicho, a ona usłyszała to mimo hałasu panującego w jadalni i sama również westchnęła. Siedzieli, patrząc na siebie. Kto wie, co teraz robią rodzice - pomyślała. - Sami w domu, po dwóch stronach wielkiego stołu. Kilka dni temu wrócili z urlopu. „Zwłaszcza w tym roku nie powinniśmy rezygnować - oświadczył stanowczo ojciec, ze swoją okrutną i pełną udręki przekorą. - Życie toczy się dalej. Kropka” - uciął, ale jego prawa brew zadrżała jak urwany ogon jaszczurki, zaprzeczając stanowczej minie. Potem pewnie zaczęły przychodzić listy, które zostawiła u Lei. „Nie szukajcie mnie” - napisane było w każdym z nich, po najzwyklejszych i najbardziej uspokajających opowieściach, jakie udało jej się wymyślić. A na końcu zawsze: „U mnie wszystko w porządku. Naprawdę. Nie

martwie się. Dajcie mi miesiąc, nie więcej. Trzydzieści dni. Po powrocie wszystko wam wyjaśnię. Będzie dobrze, zobaczycie, możecie na mnie polegać, proszę, daję słowo".

- Teraz się przygotuj - szepnęła Szeli, sprowadzając ją na ziemię. - Zawsze, kiedy przychodzi jego Adinuś, wygłasza uroczystą mowę, przygotuj sobie chusteczki.

321

- Moi drodzy, chłopcy i dziewczęta - zaczął Pesach wznosząc kielich z kiduszowym winem. - Minął kolejny tu' dzień i znów z radościom spotykamy się tutaj wszyscy razem jak wielka kochająca się rodzina, aby przywita' święty dzień szabatu.

- A-men! - wyszeptła Szeli, a Tamar szturchnęła ją udem, żeby przestała rozśmieszać.

- I w tym tygodniu, jak zwykle, każdy z nas wykonywał swoje prace, nie szcędząc starań i wysiłków, żeby godnie zasłużyć na szabatowy odpoczynek. - Tamar spojrzała na Pesacha i znów wydał się jej inny: pełen mentorskiej albo wręcz królewskiej powagi. - Ci, którzy mieszkają tu dłużej, znają maksymę, w której święcie wierzę, że sztuka to najwyżej dwadzieścia procent talentu, a osiemdziesiąt procent ciężkiej pracy.

- I jeszcze pięćdziesiąt procent zysku - szepnęła Szeli, a ktoś po jej prawej stronie nie wytrzymał ze śmiechu. Pesach łypnął w tamtą stronę czarnym, gniewnym okiem.

- Chcę wam jeszcze raz powiedzieć, jak bardzo jestem dumny i szczęśliwy, że to właśnie ja się wami zajmuję. Wiem, że niektórym z nas zdarzają się nieraz trudne chwile, a u nas, jak wiadomo, nikt nikomu nie zagląda do duszy, szanujemy prywatność. Jednak mimo to muszę powiedzieć jako wasz towarzysz i przewodnik, że każdy z was tutaj jest super-hiper-profesjonalistą i pracuje dla słusznej sprawy, i że zawsze przyświeca nam wszystkim naczelną zasadą show must go on, nawet jeśli ktoś wstał lewom nogom albo ma jakieś problemy ze sobą, żeby publiczność nic nie zauważyła.

- Teraz jeszcze tylko Rubinstein i po bólu - wycodziła Szeli kątem ust.

- A jak powiedział wielki artysta Artur Rubinstein...

322

_ Niech imię jego będzie pochwalone - dokończyła li a kilka głosów odpowiedziało jej szeptem: „Amen”.

- ...w gruncie rzeczy to właśnie sztuka jest najważniejszym źródłem ludzkiego szczęścia! - zacytował Pesach.

I d wy wiecie, drodzy chłopcy i dziewczęta, że dla mnie każdy z tutaj obecnych może stać się Rubinsteinem, a moja żona Adina zaświadczy, czy nie powtarzam jej co wieczór j co rano... -jego żona, kobieta o twarzy bez wyrazu, energicznie potaknęła, zanim jeszcze usłyszała, co chce powiedzieć - ...że pewnego pięknego dnia jeszcze się okaże, iż jeden z tych, którzy siedzą tu, w naszym domu, zostanie Rubinsteinem dwudziestego pierwszego wieku! - Kilka osób zaklaskało i zaczęło wznosić okrzyki, lecz Pesach uciszył je gestem ręki. - Jestem pewien, że nawet wtedy będzie pamiętał nasze zdrowe, mocne zasady, jak występować, jak uczynić uwagę widowni, i że profesjonalizm trzeba zachować zawsze i wszędzie, za wszelką cenę! A wszystkie te podstawy uczył u nas, tutaj, w naszej skromnej, rodzinnej grupie artystów! Spokojnego szabat i na zdrowie!

- I ku chwale ojczyzny - podsumowała Szeli, po czym odetchnęła z ulgą.

Pesach wychylił do dna wino „Konditon”, jego grdyka powędrowała w górę, a potem w dół. Kilku chłopaków zaczęło nadgorliwie bić brawo i wołać „na zdrowie”.

- Co za bufon! - mruknęła Szeli półgłosem. - Nie mogę na niego patrzeć. W zeszłym tygodniu zaszłam do niego do domu, po chałki na szabat. A on dumny jak paw zabiera mnie, żeby mi pokazać swój „prywatny pokój”. Co ja ci będę mówić, Tami, to był pokój chłopaka w wieku dojrzewania z lat siedemdziesiątych: wielki na pół ściany plakat Jimiego Hendriksa, taka czaszka, na pewno z plastiku,

323

z czerwonymi lampkami w oczodołach, i długi kolczasty badyl w łusce po pocisku artyleryjskim, żeby było niby artystycznie, a do tego te wszystkie jego zdjęcia i puchary z zawodów zapaśniczych, i jakaś przedpotopowa gitara, na pewno ukradziona z zespołu wojskowego...

- A teraz - powiedział Pesach, otarłszy spoconą twarz wyprasowaną chusteczką - chyba pora na odrobinę rozrywki. Ty, nowa, Tamar...

Tamar znieruchomiła jak królik w świetle reflektora. Czego on od niej chce? Odkąd ją przyłapał kilka dni temu w biurze, nie przestawał wodzić za nią podejrzliwym spojrzeniem.

- Zaśpiewaj coś, koledzy cię jeszcze nie słyszeli.

Skuliła się. Rumieńce wystąpiły jej na twarz. Wzruszyła ramionami. Było dla niej jasne, że to pułapka, fortel, który ma zdemaskować jej ukryty cel. Kilku chłopaków zaczęło klaskać i skandować: „Ta-mar! Ta-mar!” Dziewczy-na-guma, ta, której tak niedobrze patrzyło z oczu, rzuciła z niechęcią:

- Dajcie sobie spokój z tą pozerką, ona się nie zniży do tego, żeby dla nas zaśpiewać. Tamar skamieniała. Nie umiała jej odpowiedzieć. Wiedziała, że tutaj za nią nie przepadają, uważają, że zadziera nosa, że się izoluje, a mimo to była wstrząśnięta, widząc tyle nienawiści na twarzy dziewczyny. Szeli natychmiast przysła jej na ratunek:

- O co ci chodzi, Guma? Czego się jej czepiasz? -krzyknęła na tamtą. Jej głos stał się nagle gruby i szorstki. - Co, już zapomniałaś, jak to było z tobą na początku, kiedy się tutaj pojawiłaś? Przez dwa miesiące siedziałaś jak ostatnia sierota i nie otwierałaś tej swojej śmierdzącej gęby!

324

Dziewczy-na-guma drgnęła, umilkła i tylko zamrugła ^straszona. Tamar spojrzała na Szeli z wdzięcznością, chociaż jej brutalna riposta wprawiała ją w jeszcze większe przygnębienie.

Pesach uniósł swoją wielką rękę i z uśmiechem na twarzy uspokoił zgromadzonych. Potem wyciągnął nogi przed siebie, objął żonę, omal jej nie miażdżąc ciężkim ramieniem, i powiedział:

- No, o co chodzi, wszyscy tutaj jesteśmy jak rodzina, zaśpiewaj coś, żebyśmy cię lepiej poznali. -Jego drapieżne, chytne oczka zlustrowały ją powściągliwie, jak gdyby czegoś już się o niej dowiedział.

- Dobrze - odparła i wstała, uważając, by nie spojrzeć mu w oczy.

- Chcemy Kwiat w moim ogrodzie] - zawołał jakiś głos, a inne się roześmiały.

- Daj coś Ejala Golana! - zawołał ktoś inny.

- Chcę zaśpiewać Starty, Starty Night - powiedziała Tamar spokojnie. - To piosenka o Vincencie van Goghu.

- Za jakie grzechy! - jęknął teatralnym szeptem chłopak, który uciekł z jesziwy, a kilku chłopaków zachichotało.

- Ćśśś! - syknął Pesach po przyjacielsku. - Dajcie dziewczynie zaśpiewać.

To było trudne, prawie niewykonalne. Nie miała magnetofonu z akompaniamentem (Szaja), a pod spojrzeniem Pesa-cha czuła się zupełnie obnażona. Dookoła słychać było śmiechy i drwiny, Tamar widziała, jak niektórzy chowają twarze w dłoniach, a ich ramiona trzęsą się ze śmiechu (zawsze tak było na początku, kiedy zaczynała śpiewać, a jej głos stawał się zupełnie inny niż ten, którym mówiła

325

na co dzień). Lecz już po chwili jak zwykle wzięła S' w garść, uspokoiła się zupełnie, oczyściła.

Śpiewała tylko dla jednego z obecnych, tego, który ju-od bardzo dawna nie słyszał, jak ona śpiewa, a pamiętał jej amatorski, niepewny głos, który jeszcze nie wiedział, jak, chce być.

Śpiewając, ani razu na niego nie spojrzała, ale nie musiała tego robić, by wiedzieć, że on tam jest i że słucha jej każdą komórką swojego udreżonego ciała. Śpiewała o van Goghu, o tym, że świat nie jest przeznaczony dla takich jak on, ale jednocześnie opowiadała Szajowi, całym bogactwem swojego głosu, najdelikatniejszymi niuansami jego barwy, o wszystkim, co przeszła w ostatnim czasie, a czego Szaj nie mógł widzieć, o tym, jak dojrzała, i o tym, cze- ■ go się nauczyła, odkąd zniknął, zarówno o innych, jak i o sobie samej. Warstwa po warstwie odzierała się z szorstkiej skóry rozczarowań i utraconych złudzeń, aż dotarła tam, gdzie nie było już czego zdejmować, do nagiego jądra własnej osoby, i stamtąd wyśpiewała dla niego ostatnie dźwięki.

Przez cały ten czas nawet na nią nie spojrzał. Siedział, opierając głowę na ręce, z zamkniętymi oczami i twarzą wykrzywioną grymasem bólu, który zdawał się przerastać jego siły.

Kiedy skończyła, zaległa cisza. Jej głos unosił się jeszcze przez chwilę w sali, drgając

jak żywe stworzenie. Pe-sach rozejrzał się dookoła i już chciał zrugać towarzystwo za to, że nie ma oklasków, ale nawet on coś zrozumiał i zamilkł.

- Wow, zaśpiewaj coś jeszcze - poprosiła miękkiem głosem Szeli.

Przyłączyły się do niej pomruki kilku innych.

326

Szaj wstał. Tamar przestraszyła się i rozczarowała. Idzie sobie. Dlaczego idzie?

Pesach łypnął na Mika, poruszając porozumiewawczo brwią, żeby poszedł za nim.

Szaj ledwo powłóczył nogami. Minał Tamar, nawet na nią nie

patrzac

Odeszła jej ochota na śpiewanie. Ale jeśli teraz przerwie, Pesach zapewne skojarzy to z wyjściem Szaja. Wydawało jej się, że obserwuje ją wyjątkowo uważnie i czeka na jej reakcję. Wyprostowała się nieco. Jak to on sam powiedział przed chwilą? „Nawet jeśli ktoś ma jakieś problemy ze sobom, show mustgo on”.

Zaśpiewała zatem Na serca dnie, tam kwiat rozwija się. Teraz już nikt nie drwił.

Chłopcy i dziewczyny siedzieli wyprostowani i patrzyli na nią. Pesach międlił w

kącie ust wykałaczkę i też nie mógł oderwać oczu od Tamar. „Przyjaciół krąg o pąk

ten dba - śpiewała. - O wątły pęd i listki dwa”. Z każdego słowa wypływał strumień

bólu, bo przyjaciele nie zatroszczyli się należycie o kwiat ani w niczym mu nie

pomogli. Tylko pomachali mu na do widzenia i polecili do Włoch. „Kompani w

świetle kąpią pąk- śpiewała dalej -A jeśli trzeba, rzucą cień, / Dlatego kwiat nie

zwiędnie, nie!” - płakała nad sobą, swoją utraconą radością życia i pogrążona w sobie

nie zauważyła, że cała sala należała już do niej. Na chwilę wszyscy otrząsnęli się z

kurzu codzienności, zrzucili z siebie powłokę grubiaństwa, jaką okrywali się każdego

dnia, stojąc na ulicy, zapomnieli o głupich pytaniach przechodniów, obojętności i

niezrozumieniu, a także o upokarzającej, mechanicznej rutynie ich pracy: „trzy

kawałki i odjazd” albo „trzy pochodnie i do subaru”. Jej głębokie skupienie

przypomniało im o czymś, o czym tutaj niemal zupełnie zapomnieli - że pomimo

okoliczności, w jakich się znaleźli, i nędzy ich tutejszego życia, pozostają

327

artystami. Tamar uświadomiła im to na nowo przez tn czym sama była. W nowym,

pokrzepiającym świetle ukazała trudy ich życia i czający się w każdym z nich strach przed tym, że jego życie może się okazać zupełną pomyłką, której nie da się już naprawić. W tym nowym świetle zupełnie inaczej wyglądały ucieczka z domu, samotność towarzyszące im zawsze i wszędzie poczucie, że w ogóle się nie liczą, a także zakorzeniona głęboko bezkompromisowość, która każdego z nich zaprowadziła w to miejsce. Nagle, kiedy Tamar śpiewała, wszystko to powiązało się w jedną całość.

Kiedy skończyła, otworzyła oczy i zobaczyła, że Szaj wrócił. Patrzył na nią oparty o futrynę drzwi. Miał ze sobą gitarę.

Co teraz zrobić? Czy wrócić na miejsce i usiąść, czy śpiewać dalej i pozwolić, by on jej akompaniował? Zauważyła poruszenie, jakie powstało wokół. Szeli szepnęła do kogoś, że Szaj nigdy nie grał na takich imprezach: „Nigdy w życiu nie marnował czasu na takich jak my”. A Pesach powiedział coś, co miała nadzieję usłyszeć, choć jednocześnie się tego bała:

- Może byście coś razem zaśpiewali?

Takiej okazji nie wolno przepuścić. Jednak właśnie teraz wszystko mogło wyjść na jaw. Zwróciła się do Szaja, modląc się w duchu, by własny głos jej nie wydał:

- Co... Co zaśpiewać?

O, właśnie odezwała się do niego na oczach wszystkich.

Szaj usiadł. Uniósł zmęczoną głowę znad gitary.

- Co chcesz. Ja się przyłączę.

328

Przyłączysz się do wszystkiego, co zaśpiewam? Do wszystkiego co zrobię?

Wystarczy ci siły?

_ Znasz Imagine Johna Lenona? - spytała i zobaczyła uśmiech w głębi jego oczu.

Delikatną falę na powierzchni szarych, zapomnianych jezior.

Uderzył w struny. Stroił je z nieco przekrzywioną głową i lekkim, nieobecny uśmiechem drgającym w kącikach ust. Jak gdyby słyszał dźwięki tak, jak nikt prócz niego ich nie słyszy.

Przez chwilę zapomniała o całym świecie. Szaj posłał jej przelotne spojrzenie i zaczął grać. Tamar odchrząknęła. Niestety, jeszcze nie była gotowa. To przyszło tak nagle. Tak niespodziewanie znalazła się tutaj razem z nim. Po prostu stała i patrzyła na niego: oto on, wraz ze wszystkim, co Tamar o nim wiedziała. Chłopiec pozbawiony naskórka, z całą swoją słodyczą, blaskiem i rozbijającym poczuciem humoru, chłopiec, któremu duszno było w każdym miejscu, we wszelkich narzuconych sytuacjach. Ktoś, komu zdarzało się, że nawet we własnej skórze czuł się jak w klatce, a wtedy szamotał się niby osaczone zwierzę, by się uwolnić od samego siebie, ze swoją rozbijającą łagodnością wobec niej i nagłymi napadami agresji wobec wszystkich, łącznie z nią. I nieznośna arogancja, jaką wykształcił w sobie w ostatnich latach, niby pancerz łusek zastępujący mu skórę. I ten ciągły niepokój, wieczne drżenie strun jego duszy - czasami nieomal słyszała jakby dochodzące od niego nieustanne brzęczenie.

Podniósł na nią zamyślane oczy. Gdzie jesteś? Co się z tobą dzieje? Tamar była nadal zatopiona w marzeniach: rozmarzyła się, wystawiona na podejrzliwe spojrzenie Pesacha. Szaj wydobył się na chwilę ze swojej słabości i pośpieszył na ratunek młodszej siostrze. Nadawał do niej

329

na tajnej częstotliwości, jego oczy migotały, wypowiadają jej przezwisko, tylko im znane, a jej serce pod kombinezo nem wrywało się ku bratu.

Jeszcze raz zagrał wstęp, otworzył jej drzwi. Zaprosz» by się włączyła. Zaczęła po cichu, prawie bezgłośnie' wypuszczając cienką nitkę dźwięku, którą łagodnie wplotb w melodię Szaja. Jak gdyby jej głos był tylko dodatkową struną gitary pod jego palcami. Musiała być ostrożna, ale właściwie nie była w stanie. On grał, ona dla niego śpiewała, a wewnątrz roztapiały się po kolei bryły lodu pękały i wpadały do dzielącego ich arktycznego morza -to co spotkało ją i jego, świat, który zawalił się im obojgu na głowę. I wszystko, co może się im jeszcze zdarzyć, jeśli tylko starczy im odwagi - o ile uwierzą, że to możliwe.

Kiedy dźwięki rozpląnęły się w przestrzeni, nastąpiła cisza, jakby cały świat zastygł w bezruchu, a potem zagrzmiały potężne oklaski. Tamar zamknęła na chwilę oczy. Szaj

uniósł głowę, rozejrzał się dookoła ze zdumieniem, jak gdyby zapomniał, że ktoś tam jeszcze jest oprócz nich. Uśmiechnął się przelotnie, zawstydzony. W jego policzku pojawił się dołek. Oboje z Tamar bardzo się pilnowali, by na siebie nie patrzeć.

Pesach był lekko zmieszany. Coś podejrzewał, chociaż nie wiedział dokładnie, co.

Mimo wszystko jednak oczarowany tym, co zobaczył, zawołał:

- No to teraz powiedzcie prawdę: ile lat ćwiczyliście razem?

I wszyscy się zaśmiali. Szeli powiedziała: -Jak jesteście razem, to gracie w zupełnie innej lidze. Ekstraklasa. Powinniście dawać koncerty.

Zapadła kłopotliwa cisza, którą przerwał Pesach, wołając, nieco za głośno, jak gdyby próbował zrzucić z siebie poczucie winy, że wysyła ich wszystkich na ulicę:

330

_ No dalej, dawajcie coś jeszcze.

Tylko nie Zwykły flet - pomyślała Tamar.

Szaj nie spojrział na nią. Naprężył jedną strunę i charakterystycznym ruchem potrząsnął głową, aby odgarnąć falę włosów z prawego oka. Jego włosy nie były już takie jak dawniej, został po nich tylko ten pełen wdzięku odruch. Szaj rzucił w powietrze:

- Znasz Zwykły flet?

Tak.

Pochylił głowę nad gitarą i uderzył w struny. Te jego długie palce. Zawsze jej się wydawało, że w każdym z nich ma dodatkowy staw. Jak tu zaśpiewać tę piosenkę i się przy tym nie rozplakać?

Zwykłyflet.

Tak subtelny, taki prosty,

Jak czystego serca brzmienie -

Zwykłyflet.

Jak strumienia śpiew radosny,

Jak dziecięcej echo piosnki

Jak wśród kwiecica wiatru tchnienie -

Zwykłyflet.

Wszyscy w sali siedzieli spokojni i poważni, każdy zamknięty w sobie i pochłonięty własnymi myślami. Kiedy Tamar skończyła śpiewać, jedna z dziewczyn powiedziała szeptem: „To najpiękniejsze wykonanie, jakie w życiu słyszałam”.

Szeli wstała i uścisnęła Tamar, a ona przyłgnęła do niej mocno na dłuższą chwilę. Już prawie miesiąc nikt jej tak nie dotykał, odkąd Lea przytuliła ją wtedy w zaułku. Z całej siły ogarnęła ramionami Szeli, objęła ją tak, jak nie

331

wolno jej byto uścisnąć własnego brata, który byt tak blis. ko, ale zupełnie nieosiągalny.

Szeli otarła oczy i powiedziała:

- Wow! Wstyd mi ja naprawdę mam łzy w oczach. Małomówna wiolonczelistka w czerwonej czapce

i z trądzikiem na twarzy powiedziała:

- Musicie z tym wystąpić razem. Chociażby na ulicy, Pesach.

Tamar i Szaj nie patrzyli na siebie.

- To chyba niezły pomysł. Co ty na to, Adina? - zwrócił się Pesach do żony, a ci, którzy już tam dłużej mieszkali, wiedzieli, że kiedy ją o coś pyta, ona tylko wzrusza ramionami i uśmiecha się spłoszona, a Pesach i tak już podjął decyzję.

I rzeczywiście, wyciągnął z kieszeni czerwony notes. Przewertował. Oby - błagała Tamar w duszy. - Żeby tylko się zgodził, żeby się zgodził!

- W przyszły czwartek - powiedział Pesach, poprawiając coś w notesie - jest akurat okazja, bo oboje macie występy w Jerozolimie... Spróbować nie zaszkodzi, czemu nie? Może zapodacie jakiś duet na placu Syjońskim?

Tamar miała ręce przyciśnięte do bioder. Próbowwała przeniknąć szeroki uśmiech pluszowego misia na twarzy Pesacha. Bała się, że zastawia na nią pułapkę: że coś wyczuł i tam, w czasie wspólnego występu z Szajem, dowie się prawdy o niej. Szaj nie zareagował, jakby nic nie słyszał. Tamar widziała, że ten występ wyssał z niego ostatki sił.

-Ale żebyście dali tam z siebie wszystko - zawołał pogodnym głosem Pesach. -

Dokładnie tak jak teraz, jasne?

Gdzieniedzie jeszcze odzywały się owacje. Szaj wstał, tak wychudzony, że wydawało się, jakby miał zaraz upaść. Z trudem podniósł gitarę. Tamar nie ruszyła się z miejsca. Inni patrzyli na nią, jakby w oczekiwaniu, że

332

„ójdzie razem z nim, naprawdę aż się o to prosiło. Lecz ona stała, wyprostowana i spięta. Szaj wyszedł, a za nim podążył Miko swoim bezgłośnym, tygrysim krokiem. Ktoś włączył radio, wypełniając przestrzeń muzyką jungle. Chłopak w czerwonej pirackiej chustce na głowie zaczął gasić i zapalać światło. Pesach wstał i podał rękę żonie: „Chodź, skarbie, teraz jest czas dla młodzieży”. Wydał instrukcje dwóm spośród starszych chłopców, porozmawiał o czymś po cichu z Sziszkiem i wyszedł. Pojawiło się kilka tańczących par. Dziewczyna w czerwonej czapce nagle zaczęła tańczyć sama, obejmując się ramionami. Chyba nigdy dotąd nie była tak swobodna. Tamar popatrzyła na nią i pomyślała, że chciałaby ją lepiej poznać. Że sprawia wrażenie osoby mądrej i wrażliwej, która zupełnie nie pasuje do ulicy, jeszcze bardziej niż ona sama. Szeli tańczyła już z jednym ze swoich stałych wielbicieli, wysmukłym chłopakiem o nieco małpiej twarzy, grającym na pile. Wyciągnęła do Tamar smagłą rękę, zapraszając ją, żeby się przyłączyła i zatańczyła z nimi we troje. Tamar przyglądała się im i na okamgnienie zobaczyła swój trójkąt. Dziwne, że już prawie od dwóch tygodni ani razu o nich nie pomyślała. Do tego wieczoru miała od nich wakacje. Pokręciła głową. Posłała Szeli wymuszony uśmiech. Oni we troje nigdy nie tańczyli razem, bo Idan drwił z tańca, zresztą chyba nawet nie umiał tańczyć. W ogóle nigdy się właściwie nie dotykali, chociaż stanowili trójkę przyjaciół. Tak przynajmniej sądziła. Nigdy się nawet nie uścisnęli, chociażby z radości. Był między nimi rodzaj niepisanej umowy, aby żadna z dziewcząt nie poczuła się gorzej traktowana. Ale kto wie, być może oni już od dwóch tygodni sypiają ze sobą w pokojach ze wspólnym widokiem. Znowu naszła ją ta myśl, żywa i piekąca. Podeszła do stołu,

333

naląła sobie sprite'a i wypila duszkiem całą szklanke, aby ugasić pożar, jaki w niej nagle wybuchł. Nie pomogło. Stały jej teraz przed oczami ostatnie tygodnie: kiedy

zaczynało do niej docierać, że zostanie w kraju z powodu Szaja, a oni byli bez reszty pochłonięci przygotowaniami do podróży. Ona zaczynała powoli wchodzić w nowy, obcy świat, kręciła się w miejscach, gdzie miała nikłą szansę go spotkać, zagadywała obcych mężczyzn, grających w tryk-traka czy bilard w parkach, selekcjonerów w klubach, a ich, Idana i Adi, nie było przy niej. To było żenujące: nadal chodziła codziennie na popołudniowe próby, pięć razy w tygodniu, cały chór ogarnięty był już gorączką przygotowań, uwagi dyrygentki, Szarony, stawały się coraz bardziej nerwowe, wszyscy powtarzali sobie zdania z rozmówek heb-rajsko-włoskich, które im rozdano, bo to, że umieli zaśpiewać arie Cherubina i Barbariny, w żaden sposób nie mogło pomóc im w restauracjach czy sklepach. Ona też nadal pracowała nad swoim ulubionym solo, przygotowała sobie paszport, czytała przewodniki turystyczne i powtarzała zawzięcie Dove si comprano i biglietti?, ale w gruncie rzeczy była już od nich bardzo daleko. Szarona pierwsza zwróciła uwagę, że Tamar jest nieobecna duchem: „Gdzie ty masz głowę? I gdzie, u licha, twoja przepona? Znowu zapominasz o podparciu! Jakim cudem mają cię usłyszeć tam, na szóstym balkonie?!” A po próbach, kiedy szli pieszo przez deptak, próbowała im opowiedzieć, gdzie była poprzedniego wieczoru, z kim rozmawiała. „Nie uwierzylibyście, jak żyją ludzie sto metrów stąd, biedacy, jak na śmietniku” -mówiła, nadal posługując się ich językiem, to znaczy językiem Idana, ale zaczynała już rozumieć, że lekki powiew drwiny wobec każdego poza nimi trojgiem zaczyna powoli zmieniać kierunek, zwracać się też ku niej, jak gdyby była

334

czymś zarażona albo jakby wręcz psuła powietrze we wspólnej przestrzeni. Wreszcie nadszedł dzień, kiedy znalazła się w Lifcie u tych chłopaków z Rosji i zobaczyła Siergieja, chłopaka o dziecięcej twarzy i wychudzonym ciele, i tak bardzo potrzebowała rozmowy z kimś bliskim, by móc razem opłakiwać to, co zobaczyła. Idan powiedział wtedy, wchodząc jej w słowo, że sprawia mu pewną trudność jednoczesna nauka włoskiego i narkomańskiego, a Adi zaśmiała się i stwierdziła, że to w sumie racja, „Ostatnio używasz wielu nowych słów i trochę trudno za tobą nadążyć”, po czym lekko potrząsnęła swoim złotym runem na głowie, a Tamar

wiedziała, że nic już jej z nimi nie łączy i że domaga się od nich czegoś, czego oni nie mogą, a może nawet nie chcą jej dać. Wtedy umilkła, szła obok nich milcząca i przygnębiona, a rozmowa tamtych dwojga rozkręciła się zaraz na nowo bez jej udziału, jak gdyby przerwał ją tylko chwilowy powiew wiatru. Szła dalej pewnym krokiem, nadal się uśmiechała, kiedy żartowali, a wielkie, zimne nożyce wycinały starannie kontury jej ciała, usuwając jej postać ze wspólnej fotografii.

W jadalni robiło się pusto, a podwórze na zewnątrz zapełniło się tańczącymi. Muzyka krążyła wszystkim we krwi. Dookoła unosiły się zwiewne obłoki dymu z marihuany. Chłopak z długim warkoczem przeplecionym kolorowymi wstążkami zaczął grać na gitarze, a inni się do niego przyłączyli, śpiewając ze wszystkich zakątków podwórza. „Gwiazda Dawida pękła na dwoje” - śpiewał ochryłym, głębokim głosem, a oni odpowiadali, cicho mrużąc: „Pomysły Herzla od lat martwe są”. A na to on: „Nic to, że zgnili razem z nim w grobie”. Wzniesli ręce i kołysząc się, śpiewali dalej: „Grunt, żeby według planu szło”. Tamar stała w oknie opustoszałej jadalni i patrzyła na podwórze.

335

Kiedy się tak kołysali, wydali jej się wąтли jak kruche łądygi. Dzieci łądygi. Spokoju chciałem z całej duszy, Wojenne gry-nie dla mnie to! Ale do armii, tu, iść musisz -Ach, wojsko - to jest właśnie to! (W tym miejscu ktoś wrzasnął przeraźliwym głosem: „Ach, jak ja kocham wojsko!!!”) Jak facet-w ręce mieć karabin, Jak facet-czaszki trzaskać i Jak facet - spotkać śmierć tam, w dali, gdzie zgodnie z planem musisz iść.

I natychmiast ze wszystkich zakątków podwórza, a także spośród tańczących rozbrzmiał ryk: „Do chuja z takim planem...”

Raz i jeszcze raz, i jeszcze, dziesiątki razy, śpiewali tak długie minuty, może z pół godziny, jak jakąś rozpaczliwą antymodlitwę, wreszcie nawet Tamar zaczęła nucić, nawet ona stała i nuciła razem z nimi, jak wszyscy: „Do chuja z takim planem”. A wtedy obraz się odwrócił i nagle Tamar poczuła wyraźnie, że to oni mają rację, że to oni są uczciwi wobec samych siebie, bo odważyli się zbuntować, wierzgać i krzyknąć na całe gardło.

Bo w porównaniu z nimi - myślała Tamar - czym ja właściwie jestem? Grzeczną, dobrze ułożoną dziewczynką. Jedną nogą tutaj, a drugą tam. A oni - z jaką odwagą odmawiają udziału w cynicznej i obłudnej grze tego świata, w kulcie osiągnięć i siły... Przez chwilę naprawdę im zazdrościła - wolności, determinacji, by złamać wszystkie reguły, odwagi, by poddać się takiej beznadziei, do samego końca, wyrzec się bezpieczeństwa, jakie dają dom, rodzice, rodzina. One zresztą też okazały się tylko jednym wielkim

336

złudzeniem, innym rodzajem środków uspokajających, halucynogennych, przedwiekowych...

Kiedy już zamierzała wyjść z jadalni i wrócić do swojego pokoju, zastąpiła jej drogę grupka chłopców i dziewczyn. Tańczyli przed nią ze śmiechem, otoczyli ją kręgiem, kłaniali się, prosząc, by z nimi została. Jeden z nich, niski, kędzierzawy chłopak należący do trupy akrobatów, błagał:

-Jak Boga kocham, aż do tej chwili w ogóle cię nie zauważałem, nie wiedziałem, że istniejesz! - Miał bardzo miłą twarz i nieco piskliwy głos, trochę jak Steve Archel. - Ale po tym, jak zaśpiewałaś, po prostu szczeka mi opadła! Zostań trochę, odżałuj na nas trochę czasu, daj się poznać, co ci szkodzi?

Tamar roześmiała się: nie.

Podszedł do niej poeta uliczny i przyklęknął na jedno kolano:

- Słuchaj Tamar, litość miej, / Nie jedź w świat, bo nie ma gdzie, / Sama nie idź w ten ziąb spać, / Ejże Tamar -chciej mi dać /Swoje serce-zimne, złe/A goryczy będzie mniej. / Cóż ci szkodzi, Tamar, że / Uszczęśliwić możesz mnie?

Tamar znów odmówiła ze śmiechem.

Nagle stanęły przed nią dwie dziewczyny, smagłe, tajemnicze. Były to te dwie bliźniaczki, które czytają w myślach:

- Co ci szkodzi zostać z nami parę minut? Podaj ręce, tylko na chwilę. Nam obu razem... Jedną minutę, w czym problem?

Przeraziła się. Tylko tego jej brakowało. Na jej twarzy pojawił się lekki, wymuszony uśmiech. Wokół zebrała się już większa grupa, zapraszali, machali na nią. Tamar

gestem ręki utorowała sobie drogę między nimi i Potrzebowała samotności.

Szeli wróciła do pokoju dwie godziny później. Była podekscytowana, wionęło od niej dymem. Chyba piła też alkohol Wchodząc, narobiła hałasu. Nie mogła sobie poradzić z sukienką, więc zbudziła Tamar, prosząc, żeby rozpięła jej zatrzaski z tyłu.

Przepraszała za swoje zachowanie. Mówiła, że łykała kartony. Tamar, półśpiąca, zapytała niepewnie, co to takiego. Szeli wybuchnęła śmiechem.

-Jesteś tu od miesiąca, a jeszcze się nie nauczyłaś?

Ani włoskiego, ani narkomańskiego.

- To znaczki LSD. A tak swoją drogą, ty z tym chłopakiem...? Z tym całym Szajem?

- Co z nim? - Tamar w okamgnieniu się ocknęła.

- Nie no, spokojnie, co chodzi? Już dawno zauważyłam, że między wami coś się dzieje.

- Między nami?

-Ja nie mogę. Ogień w oczach. Przez cały czas. No co, myślałaś, że tego nie widzę? Razem wyglądacie, jakbyście byli zdrowo nagrzeni. Ty dotykasz swojej twarzy, a on swojej... Co za taniec! No i dzisiaj wieczorem, jak z nim śpiewałaś...

-Ja go w ogóle nie znam - powiedziała Tamar z przesadnym naciskiem.

- Ale może kiedyś. W poprzednim wcieleniu? Wiesz, ja wierzę w takie rzeczy.

- Może w poprzednim wcieleniu - odparła Tamar. -A widziałaś, jakie mu się zrobiły dołki w policzkach?

- ożywiła się Szeli. -Jest tu już chyba od roku, ale pierwszy raz to widziałam.

- Tak - szepnęła Tamar. -Jest słodki.

_ Tylko się w nim przypadkiem nie zakochaj. Pamiętaj, n jest skończony. Grzeje równo. Już ledwo żyje.

Tamar oblała betonem swoje struny głosowe, żeby opanować drzenie w głosie.

_ To dlaczego tak go pilnują? Czemu zawsze za nim chodzi któryś z tamtych? Chyba nikt inny nie ma takiej obstawy, co?

Szeli siedziała na łóżku w samych majtkach. Jak zawsze była zupełnie obojętna na

własną nagość. Przyjmowała swoje chude ciało z taką samą łatwością, jak witała obcych. Zaśmiała się:

- Ty jesteś naprawdę niemożliwa. Jak się na ciebie patrzy, można by pomyśleć, że bujasz w kosmosie, a w końcu co się okazuje? Że na wszystko masz oko... Goryle? To dlatego, że próbował uciec.

- Uciec? Ale ja myślałam, że jak ktoś chce odejść, to po prostu odchodzi... Nie? Szeli milczała. Zdrapała trochę lakieru z paznokcia u nogi.

- Szeli! Cisza.

- Szeli, powiedz coś, pomóż!

- Słuchaj - westchnęła w końcu Szeli. - Jak ktoś jest średni, mam na myśli występy, to Pesach nie robi mu problemów, pod warunkiem, że spłaci wszystkie długi.

- Długi? - Tamar stała się czujna. Pamiętała, że Szaj mówił jej przez telefon coś o pieniądzach, jakie jest tutaj dłużny.

- On prowadzi swoje rachunki, w tamtym czarnym notesie: ile mu jesteśmy winni za mieszkanie, jedzenie, nawet za prąd. Więc jak jesteś przeciętna na występach i chcesz się stąd wydostać, to mu płacisz. Błagasz rodziców, od

339

których uciekłaś, żeby za ciebie założyli, bierzesz od przv. jaciół, okradasz staruszki na ulicy, dzieci, aż spłacisz $\pi\pi$ wszystko co do grosza, wtedy puszcza cię wolno. -

Zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko. - Ale jak naprą-wdę jesteś coś warta, to nie pozwoli ci tak prędko odejść On już cię tak podliczy, że nawet adwokat nie pomoże. Będzie cię ścigał do końca świata. Zdarzały się już różne historie.

Ten chłopak o dzikim spojrzeniu - pomyślała Tamar.

- Ze zgrubieniami w stawach palców.

- A ten chłopak z gitarą, ten Szaj, jest dobry, tak?

- Chłopak z gitarą, dobre sobie! - Szeli puściła do niej oko, ale widząc jej minę, zaraz spoważniała. - On jest najlepszy. Naprawdę świetny. Nawet w tym stanie jest bezkonkurencyjny. Zresztą słyszałaś. Ale jakiś czas temu była afera, jak spróbował ukraść auto Pesacha. Jego nowe mitsubishi.

- Żeby uciec?

- Nie wiem. O tym krążą tylko plotki. Mówili, że uderzył w mur czy w jakieś ogrodzenie i mistubishi poszło do kasacji. Teraz chłopak będzie mu spłacał do końca życia.

- Powoli wypuściła dym z płuc. - A i tak się nie wypłaci.

Tamar leżała wpatrzona w sufit. Kto wie, co robiła w dniu tego wypadku. Jak to możliwe, że w chwili, kiedy Szaj uderzył samochodem w mur, ona siedziała, dajmy na to, w „Aromie” z Idanem i Adi, i siorbiąc, dopijała przez słomkę ostatnie krople mrożonej czekolady z dna szklanki.

- Wiesz, co sobie pomyślałam, kiedy śpiewałaś? - spytała łagodnie Szeli. - Że u ciebie wszystko wychodzi z wewnątrz. Z samego dna duszy. Nie, nie, naprawdę, obserwuję cię od dłuższego czasu: we wszystkim, co robisz albo mówisz, nawet w tym, jak patrzysz, jak się odzywasz albo i nie odzywasz, w tym wszystkim jesteś cała ty. A ja?

340

popatrz tylko na mnie: jedna wielka ścierna, nie, nic nie mów. Popatrz: robię Rite, robię Whitney Houston, robię Zehawę Ben, zawsze udaję kogoś, kim nie jestem. - Zamilkła na chwilę. - Nawet to, że znalazłam się tutaj... Nie tak miało wyglądać moje życie. - Nagle głos jej się załamał. _ Nie było mi pisane, żebym tak skończyła, w tej norze. Kompletnie szurnięta. Wariatka. - Nagle drżenie w jej głosie przeszło w płacz. Zaczęła szlochać. Tamar, nieco zaskoczona jej gwałtownym przejściem od śmiechu do płaczu, podbiegła i pogłaskała ją po farbowanych, sztywnych włosach.

- Szeli - szepnęła Tamar, lecz ona jej przerwała:

- I jeszcze to: nawet moje imię, Szeli, to znaczy „moja”, tak? - Pociągnęła głośno nosem. - To kochana mamusia mnie tak nazwała, żeby mi wciąż przypominać, że należę do niej, a nie sama do siebie. Do niej, rozumiesz?

Tamar pogładziła ją po głowie, mocno przytuliła, przypomniała jej, jaka jest niezależna, jaka życzliwa i pełna miłości, i jak jej pomaga, od samego początku. Ale Szeli nie chciała słuchać.

-Już dobrze. Co się nam obu stało? - spytała niespodziewanie radosnym głosem, wznosząc się ponad łyzy i zapchany nos. - Może ustawimy stolik i zaczniemy przyjmować zapisy do programu Josiego Siasa? Więc tak, jak ustaliłyśmy, nawet nie

myślisz o tym, żeby się w nim zakochać. Znajdziesz tutaj tysiąc razy lepszych kandydatów, możesz mi wierzyć. Niektórych sama wypróbowałam.

- Nie martw się - odparła Tamar. - Nie jestem w nim zakochana. Ja tylko z nim śpiewam.

- Tak. - Szeli zaśmiała się, jeszcze z wilgotnymi oczami. - Możesz tak to nazywać.

341

- Gdybym tu miała poduszkę, zaraz bym w ciebie rzi ciła.

Tamar spodziewała się usłyszeć jej srebrzysty śmiech ale zamiast tego zapadła na chwilę cisza, po czym Szeli powiedziała poważnie:

- „Poduszka” to takie słowo jak „jajecznicza mamy” Wymazane ze słownika.

Położyła się i zasnęła.

Tamar nie udało się już zasnąć. Nie tylko ze względu na to co usłyszała o Szaju ani czego się dowiedziała o systemie rozliczeniowym Pesacha, lecz akurat to jedno niewinne zdanie: „Już dawno zauważyłam, że między wami coś się dzieje” niespodziewanie ją dotknęło, a jednocześnie przypomniało o czymś, z czego została ograbiona, o miejscu, z którego sama siebie wygnała. Serce ścisnęło jej się z bólu - zabolęło ją wręcz fizycznie - i tak bardzo zapragnęła w tej chwili, żeby znalazł się ktoś taki na świecie, może chłopak, tak, chłopak, a nie sześćdziesięciodwuletnia mniszka ani nie Lea, ktoś mniej więcej w jej wieku, ktoś taki, żeby o nich dwojgu dało się powiedzieć: „Już dawno zauważyłam, że między wami coś się dzieje”.

„Daj ty sobie spokój z tym całym Idanem - powiedziała zaraz Lea w jej głowie, jak gdyby tylko czekała na okazję. - Zapomnij o nim wreszcie, już dosyć! Nie jest wart twojego palca u lewej ręki!”

Tamar przykryła się wełnianym kocem i z przyjemnością powróciła myślami do ostatniej rozmowy o miłości, jaką prowadziły z Leą:

- Nie, nie przerywaj mi! Daj chociaż raz sobie powiedzieć!

342

- Mówiłaś to już tysiąc razy - uśmiechnęła się Tamar, przyciskając kolana do brzucha.

- Twój błąd polega na tym, że szukasz chłopaka, który by też był artystą, mam rację?

- Założmy.

- Ale powiedz mi, po co ci ktoś taki jak ty? Co to za dyrdymały o „bliźniaczej duszy”? Czy ty naprawdę musisz mieć kogoś, kto będzie takim samym wariatem? Wprost przeciwnie, posłuchaj mnie, wiesz, kogo ci trzeba?

- No, kogo? - Tamar nie mogła już dłużej powstrzymać uśmiechu. Nakryła głowę kocem, żeby nikt nie widział.

- Potrzebujesz mężczyzny z taką wielką ręką -orzekła Lea. -Awiesz, po co?

- Po co? - Wiedziała już, że za chwilę zobaczy obraz.

-To musi być ktoś taki, kto by stanął z ręką wyciągniętą do góry, otwartą, mocną, żeby mu się nie trzęsła, tak jak stoi Statua Wolności. Tylko bez tych lodów w ręku, z wyciągniętą do góry otwartą, pustą dłonią, żebyś ty... - Lea uniosła swoją kwadratową szorstką rękę z poobgryzаныmi paznokciami i zaczęła nią delikatnie poruszać, naśladując lot lekkiego ptaka. - ...z daleka, z każdego miejsca na świecie, mogła zobaczyć tę jego rękę i miała świadomość, że zawsze możesz tam sobie usiąść i odpocząć. Mam rację czy nie?

-Oj, Lea!

Nie widziała Szeli ani nazajutrz, ani następnego dnia. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, obie miały bardzo napięte programy występów. Lecz wieczorem nagle zatęskniła za nią tak bardzo, że spytała jakiegoś chłopaka w jadalni, czy nie widział Szeli. Spojrzał na nią, jakby z księżycą spadła.

343

- Nie słyszałaś? Wczoraj rano uciekła z tym, co grał n pile, i do teraz nie wróciła. Tamar była zdumiona zarówno samym faktem, jak i tym, że Szeli w ogóle nie dała po sobie nic poznać w cza sie ich rozmowy ostatniego wieczoru przed ucieczką. W ciągu dnia zaczęły docierać pogłoski. Widziano ja z chłopakiem w Riszon le-Cijon. Widziano ją w motelu u „Murzyna”, w drodze do Ejlatu. Jeden z goryli, który wiozł trio akrobatów, rozpoznał ją tam, ale było z nią kilku ejlackich gangsterów, a z nimi wolał nie zadzierać. Ośmieliła się nawet podejść do niego i do akrobatów, trochę z nimi pożartować, przekazać pozdrowienia dla Pesacha i całej reszty. Mówili, że wyglądała jak na totalnej fazie. W czasie kolacji Tamar udało się usiąść koło jednego z akrobatów, a wtedy chłopak przypomniał sobie, że prosiła, by jej przekazać

specjalne pozdrowienia. Jej i Dince. Tamar nalegała, żeby opowiedział jej wszystko, co widział i co słyszał.

- O czym tu mówić? - Wzruszył ramionami. - Szeli ma tam największą jazdę w życiu. Tamar błagała, żeby spróbował sobie przypomnieć, co mówiła, bo każdy szczegół jest dla niej ważny.

- Co ona takiego mówiła? - Chłopak podrapał się po głowie porośniętej szczeciniastymi włosami. - Nie wiem, mówiła, że nałykała się od groma kartonów, że zdrowo zaszalała, gdzie to ona nie była, tu góry, tam Beduini, gangsterzy, mówiła, że cały czas jest na fazie i rżnie się, z kim popadnie.

- To czemu jej nie kazałeś przestać?! - krzyknęła Tamar, nie mogąc sobie wybaczyć, że sama nic nie zrobiła, kiedy to jeszcze było możliwe.

Chłopak popatrzył na nią lekceważąco.

344

_ Co przestać, jak przestać, co cię ugryzło, czy to w ogóle mój interes?

Tamar myślała, że oszaleje.

Następnego dnia z samego rana przyjechał radiowóz i dwaj policjanci o grobowych minach weszli do biura Pesacha, po czym zaraz je opuścili. Pesach wyszedł stamtąd błądy z przerażenia. Jeszcze go tutaj nigdy takiego nie widzieli. Rozsyłał ich do pracy zupełnie rozkojarzony. Chłopcy j dziewczyny rozmawiali po cichu, szeptali, w powietrzu unosiły się potworne pogłoski. Tamar starała się niczego nie słyszeć. To był dzień jej najgorszych występów. Pod wieżowcem „Opera”, przy końcu Allenby'ego w Tel Awiwie, wygwizdali ją, zresztą nie bez powodu, a ona przerwała występ i odeszła ze łzami w oczach. Kiedy wróciła o północy do Domu Artystów, z przerażeniem odkryła, że wszystkie rzeczy Szeli zniknęły z pokoju. Jej książki, żółte buty, plecak. Łóżko Szeli stało puste, niczym nieprzykryte. Tamar wybiegła na korytarz, ale wszędzie było pusto, panowała głucha cisza, cały dom zasklepił się w milczeniu. Tamar wchodziła do cudzych pokoi, zapalała światło, widziała zaciskające się powieki. Nawet na nią nie krzyczeli, żeby się wynosiła. Nikt nie odezwał się słowem. Tamar całą noc przesiedziała na swoim łóżku przytulona do Dinki, zanosząc się pełnym przerażenia, gorzkim, jednostajnym płaczem.

Następnego dnia o szóstej rano już usłyszała, a potem - w drodze, między dwoma występami w Aszdodzie - zobaczyła uśmiechniętą Szeli na starym zdjęciu w gazecie. Był też krótki artykuł: w Ejlacie Szeli dała się zaprosić jakiemuś handlarzowi narkotyków, mężczyźnie w średnim wieku, na randkę w jego melinie nad brzegiem morza, tylko we dwoje. Trudno było ustalić, co się tam właściwie wydarzyło.

345

Przytaczano wypowiedź jakiegoś oficera policji. Wygląd-na to, że oboje byli pijani albo chcieli spróbować czego* mocniejszego niż zwykle. Tak czy inaczej, kiedy przyje chała karetka, było już za późno.

Aż do wieczora chodziła jak obłąkana. Zastanawiała się czy nie odwołać ucieczki, nie chciała tam zostać ani dnia dłużej, ale jednocześnie za nic w świecie nie mogła dopuścić, by Szaj pozostawał w tym miejscu choćby minutę. Ale skąd ma teraz wziąć siłę, by uciec i zabrać go ze sobą? Nie widziała go ani nazajutrz - kolacja upłynęła spokojniej niż zwykle i nikt nawet słowem nie wspomniał o Szeli - ani w czwartek rano, kiedy mieli razem wystąpić. Artyści czekali stłoczeni na korytarzu pod biurem Pesacha, by dowiedzieć się, gdzie tego dnia zostali przydzieleni. Tylko Szaj nie przyszedł. Tamar kręciła się, nie próbując nawet ukryć zdenerwowania, pewna, że zaraz coś udaremni jej plan. Że Szaj się wystraszy i znajdzie jakąś wymówkę, by dzisiaj nie wychodzić, albo że Pesach w ostatniej chwili zmieni zdanie i nie pozwoli im wspólnie wystąpić. Albo że z powodu Szeli nastąpią jakieś zmiany w harmonogramie, albo że...

Kiedy już prawie straciła nadzieję, nagle zobaczyła na schodach jego długie nogi, stawiane powoli, krok za krokiem, potem jego gruby pasek owinięty niemal dwukrotnie wokół bioder, jego chude, wyniszczone ciało ukazywało się stopniowo, staw za stawem. Tamar nie miała już cienia wątpliwości, że kiedy nadejdzie właściwa chwila, on nie będzie w stanie tego zrobić.

- Ej, wy tam, cudowny duet - zawołał Pesach, który nad wyraz szybko doszedł do siebie po wizycie policji-

346

2 wami jadom Miko i Sziszko. Nawet się rymuje. Tylko ebyście mi dali taki popis, że

mucha nie siada, jasne?

Potaknęli.

„Tylko paczcie na nich. - Pesach ryknął śmiechem. „, nieśmiali jak świeżo wyswatany student jesziwy z miodom żonom. Popaczcie no na siebie, no co jes, uśmiechnijcie sie trochę. Publika chce widzieć zakochanom parę!

Tamar wykrzesła z siebie uśmiech, ale myślała z przerażeniem: „Dwóch. Przydzielił nam dwóch. W życiu nam się nie uda”.

W subaru siedzieli na sąsiednich fotelach i patrzyli przed siebie. Miko i Sziszko rozmawiali na cały głos o jakiejś bar micwie, na której byli poprzedniego wieczoru. Szaj pochylił się i pogłaskał Dinę, a ona przez cały czas lizała go po ręce, patrzyła na niego pełnymi miłości oczyma i skomlała, wierciła się w samochodzie, kładła głowę to na jego kolanach, to na kolanach Tamar, która miała nadzieję, że ci dwaj z przodu nie zauważą podniecenia Dinki. Noga Szaję poruszyła się delikatnie i dotknęła jej nogi. Przez całe jej ciało przebiegł prąd.

Ostrożnie otworzyła spoconą ze strachu dłoń. Miała nadzieję, że pot nie zatarł liter. Szaj nie zauważył wyciągniętej ręki. Sziszko mówił:

-Ja tam zawsze wolę bufet, bo tam bierzesz sobie, co chcesz, a nie, że przychodzi jakiś zafajdany kelner, rzuca ci -trach - na stół jakieś ścierwo i mówi, to ryż, a to frytki.

Tamar kilkakrotnie, raz za razem otworzyła i zamknęła dłoń. Szaj zobaczył, że coś tam jest napisane. Zauważyła wysiłek w jego oczach. Przestraszyła się - może napisała zbyt małymi literami? Podniosła rękę do jego oczu, tak wysoko jak tylko mogła, za siedzeniami Mika i Sziszka. Szaj Przeczytał: „Lekcja wiedzy o ojczyźnie, trzecia zwrotka, biegnij ze mną”.

347

Tamar patrzyła w swoje okno. Przejeżdżali up Jafską, zawaloną kupami śmieci, zaniedbaną, aż żal bv* patrzeć. Pośliniła palec i zmazała napis z dłoni. Szaj patrzył w okno po swojej stronie. Widziała, jak się boi, mogłaś nawet poznać po zapachu. Grdyka wędrowała mu nieustan^o nie to w górę, to w dół. Co chwila odpinał i zapinał z powrotem górny guzik u koszuli. Teraz dosłownie słyszała dochodzące z jego

wnętrza brzęczenie. W ich poprzednim życiu Tamar potrafiła po tym brzęczeniu bezbłędnie określić; w którym pokoju Szaj się znajduje. Czasami mogło ono trwać przez wiele dni, doprowadzając do szału wszystkich domowników, aż wreszcie wybuchało w postaci nowej, cudownej melodii albo piosenki, którą napisał, albo po prostu jako atak wściekłości i lęku. Rzucił się wtedy swoim długim, kościstym ciałem na podłogę i walił w nią głową, rękami i nogami. I tylko Tamar, szepcząc mu coś do ucha, przytulając, była w stanie przynieść mu ukojenie.

Minęli plac Syjoński i przejechali jeszcze kawałek, aż do górnego odcinka ulicy Królowej Heleny. Miko pokazał im, gdzie zaparkuje i którędy mają wrócić do wozu. Sziszko wyszedł zbadać teren. Widzieli, jak kręci się po okolicy swoim lekkim, kocim krokiem, gładząc wypielegnowaną fryzurę a la Elvis. „Wszędzie spokój - relacjonował po chwili Mikowi przez komórkę. - Tylko dwie żołnierki z oddziałów policyjnych i dwóch policjantów, ale interesują się wyłącznie Arabami”.

- No dobra, do roboty - powiedział Miko. - Pesach liczy, że dacie tutaj popis swojego życia.

Szaj wyciągnął gitarę z bagażnika. Szli razem. Jej ramię na wysokości jego piersi. Dinka biegła przed nimi z nieopisaną radością. Oddalała się, wracała, zataczała kręgi wokół nich. Tamar wiedziała: od tej chwili mają trzy minuty wspólnego marszu, prawie jakby byli wolni.

348

A jednak - w przestrzeni, w której poruszały się ich ciała, w obszarze zakreślonym przez Dinke, byli teraz wolni naprawdę, byli razem i przez chwilę można było sobie wyobrazić, że wszystko jest normalnie: brat i siostra spacerują ze swoim psem po centrum miasta.

Szaj bąknął kątem ust:

- Nie uda się. Złapią nas.

Na to Tamar, też nie poruszając ustami:

- Za jakieś piętnaście minut ktoś będzie na mnie czekać na ulicy Szammaja. Moja przyjaciółka, z samochodem.

Szaj przecząco pokręcił głową.

- Wszędzie będą mnie ścigać. Nie masz nawet pojęcia.
- Mam miejsce, gdzie cię nie znajdą.
- Przez ile lat? Całe życie mam się ukrywać? - spytał płacząco. - On w końcu mnie dopadnie. Będzie mnie ścigał, nawet na końcu świata.

Tamar знаła ten cienki, marudny głos i nie cierpiała go. Szaj potrafił tak samo narzekać, kiedy rano nie znalazł takiego musli, jakie lubi, albo nie miał świeżych majtek.

- Mówię ci, on mnie zabije. Dobrze się zastanów. Nie miała na to odpowiedzi.

Kolejna przeraźliwa luka

w jej planie. Szaj nie dawał jej spokoju:

- Co ci przyszło do głowy? Kim ty jesteś, Jamesem Bondem? Jesteś tylko szesnastoletnią dziewczynką, a to jest życie, obudź się nareszcie, to nie jest film Operacja Entebbe. To nie twoje książki. Zostaw mnie w spokoju.

Nie miał siły ani iść, ani mówić. Zatrzymał się na chwilę, żeby odsapnąć. Nagle jego głos wyraźnie złagodniał.

- Nie widzisz, w jakim jestem stanie? Nie rozumiesz, czym jestem? Ja bez działki nie wytrzymam. Watsonie, dosyć. Już mnie nie uratujesz.

Tamar przełknęła ślinę.

349

- Kupiłam ci na pierwsze dni. Żebyś miał spokój zanim naprawdę zaczniemy.
- Co takiego?!

Spojrzał na nią osłupiały. Ramiona mu opadły, jak gdyby ktoś je obarczył ciężarem nie do udźwignięcia. Przeszli kilka kroków w milczeniu. Znaleźli się znów najafskiej. Szli bardzo powoli, jak na filmie w zwolnionym tempie. Mieli jeszcze minutę wolności, nie więcej.

- Ale ta kryjówka... - powiedział Szaj, już bardziej uległym tonem. - Ile czasu będę musiał tam spędzić?
- Póki nie będziesz całkiem czysty.
- Czysty? - Aż się zatrzymał ze zdumienia, a jakiś przechodzień wpadł na niego od tyłu. Struny gitary wydały stłumiony brzęk.

- Przecież mówiłeś! Sam mnie prosiłeś! - wybuchła nagle Tamar na samym środku ulicy, zapominając zupełnie o Sziszku, który mógł ich skądś obserwować, rozzłościła się jak mała dziewczynka. - Przez telefon! Mówiłeś wtedy!

-Tak, mówiłem, pewnie, że mówiłem... - Uśmiechnął się i ruszył dalej, ledwo powłócząc nogami, i zaczął sobie przypominać, jak ojciec posłał po chleb jego ośmioletnią siostrzyczkę, akurat kiedy prognozy zapowiadały śnieg. Kiedy dotarła do sklepu, okazało się, że nie ma już chleba, a śnieg zaczął padać. Tamar poszła wtedy do następnego sklepu, nieco dalej. Zaspy zalegały już na ulicach, a Tamar, która w tym drugim sklepie też nie dostała chleba, postanowiła pójść do piekarni „Angel”. Przeszła tak na piechotę chyba ze trzy kilometry po kolana w śniegu, a potem wracała również pieszo i dotarła do domu o siódmej wieczorem. Pamiętał, jak stanęła nagle w drzwiach, cała sina z zimna, w butach przesiąkniętych wodą, ale z chlebem w rękę.

350

_ Nie uda ci się... Czegoś takiego nie da się zrobić samemu, są ośrodki, w których... - Głos uwiązł mu w gardle. „Ale ja do takiego zakładu nie pójde! Zapomnij o tym. Tam by mnie znaleźli już po minucie. On wszędzie ma kontakty. Broda i policzki mu zadrgały, jakby zaraz miał się rozpląkać, a Tamar pomyślała, że zawsze, jak daleko sięga pamięcią, była na dobrą sprawę jego starszą siostrą. - Nic z tego, Watsonie - jęknął półgłosem, bez przekonania. -Uciekaj sam. Teraz. Uciekaj, póki możesz. Ciebie zostawi w spokoju. Do ciebie nic nie ma.

Zwracał się do niej jak do mężczyzny, tak jak dawniej.

- Ale dlaczego miałoby się nam nie udać? - wyszeptała wzburzona. - Przygotowałam się. Przeczytałam wszystko, co trzeba. Już od kilku miesięcy się przygotowuję. Pytałam różnych ludzi. Ja naprawdę... - Nie wiedziała, jak mu powiedzieć, co przeszła. - Szaj, braciszku, Holmesie, będzie strasznie ciężko, będzie potwornie, ale zobaczysz, są ludzie, którzy już to w ten sposób robili, sami, z przyjaciółmi, z krewnymi. Wiem, że im się udało, ja też mogę. Wyjdiesz z tego. Nie poddawaj się! W tym momencie zobaczyli już przed sobą plac. Musieli przerwać rozmowę, ale oboje byli bardzo poruszeni. Szaj nie patrzył na nią. Szedł zgarbiony, powłócząc nogami. Kręcił głową, jakby nie mógł uwierzyć:

- Jesteś nienormalna, nie wiesz, w co nas pakujesz. To nie jest egzamin z wiedzy biblijnej, że jak się przygotujesz, to zdasz. Nawet sobie nie wyobrażasz, co to jest głód. Boja dla jednej działki mogę zabić.

Tamar przystanąła, chwyciła go za ramię i obróciła go delikatnie w swoją stronę.

- Mnie zabijesz?

Przyglądał jej się dłuższą chwilę, twarz zaczęła mu drżeć od powstrzymanego płaczu.

351

- Tak to jest, Tami - powiedział wreszcie łamiącym się głosem. - Ja już nad tym nie panuję.

Na placu upatrzyli sobie zacienione miejsce pod bankiem. Szaj wyjął gitarę, a czarny pokrowiec rozłożył otwarty na ziemi. Potem usiadł na kamiennej ławeczce i nastroił instrument.

Mimo wszystko, kiedy zaczął grać, Tamar poczuła, że ogarniają radość.

Ludzie zatrzymywali się przy nich. Niektórzy nawet pamiętali ją z poprzednich występów, inni rozpoznawali Szaja i zanim jeszcze Tamar zaczęła śpiewać, zebrała się wokół nich spora, większa niż zazwyczaj grupka publiczności. Nieco dalej, przy ogrodzeniu, stało dwóch wysokich policjantów, którzy w swoich służbowych czapkach z daszkiem wyglądali zupełnie jak bliźniacy. Tamar ucieszyła się na ich widok. Uśmiechnęła się do nich oczami. Obaj odwzajemnili uśmiech. Jeden z nich szturchnął drugiego łokciem i podeszli bliżej. Postanowiła zaśpiewać Suzanne, od której zaczęła swoją krótką karierę piosenkarki ulicznej. I jak zawsze, gdy tylko wydała z siebie głos, ludzie zaczęli się zatrzymywać i gromadzić, wokół zebrał się już pierścień złożony z czterech czy pięciu rzędów. Zobaczyła, jak między dwoma ostatnimi rzędami ludzi zaczyna się przesuwac kraciasta koszula Mikj. Nie widziała Sziszka i to ją niepokoiło.

Skończyła piosenkę i ukloniła się, dziękując za oklaski. Ludzie podchodzili i wrzucali monety do pokrowca na gitarę. Dwoje rodziców posłało maleńkiego synka w spodenkach za kolana, żeby wrzucił monetę pięcioszklową, a chłopiec przyczłapał do nich kaczym krokiem, zmieszał się i wrócił do rodziców, którzy

posłali go jeszcze raz, aż w końcu to zrobił przy wtórze oklasków. Tamar zmuszała
352

się do słodkiego uśmiechu, chociaż w niebywałym napięciu oczekiwała tego, co miało nadejść. Szaj nie reagował. Miała wrażenie, że odciął się zupełnie od otaczającego świata, że zrezygnował z własnej woli i złożył swój los w jej ręce. Kiedy Jej spojrzenie padło na Szaja, pomyślała bliska rozpaczy, że nie ma współnika, jest zupełnie sama. Dinka wstała. Przeciągnęła się i położyła z powrotem, by zaraz znów powstać. Nie mogła znaleźć sobie miejsca. Wyczuwała, być może, fale zdenerwowania, emanujące od Tamar.

- Lekcja wie... - powiedziała Tamar i zakrzuszyła się. - Lekcja wiedzy o ojczyźnie. Szaj zagrał wstęp. Tamar poczuła, że zasycha jej w gardle, i nie mogła dobyć głosu. Odchrząknęła, a Szaj zaczął od nowa. Tym razem weszła we właściwym momencie. Śpiewała o orzącym pole rolniku ze starej fotografii wiszącej w klasie na ścianie, a w tle - cyprysy i blade, rozpalone niebo. Ów rolnik uprawia zboże, byśmy mieli chleb, żebyśmy byli silni i zdrowi.

Dośpiewała do końca pierwszą zwrotkę i wsłuchała się w dźwięki gitary. Nawet nie zauważyła, kiedy Szaj odszedł od znajomej melodii i - jak gdyby szepcząc coś wyłącznie do Tamar - zaimprovizował spokojną, jeszcze bardziej nostalgiczną niż sama piosenka, własną elegię wplecioną w pieśń tęsknoty za nieskażoną krainą dzieciństwa - krainą, której już nie ma, zresztą być może nigdy naprawdę nie było. Powoli i delikatnie naprowadził Tamar z powrotem na właściwą melodię, a ona uniosła głowę, zwilżyła wargi i zobaczyła, jak Miko staje przy jakiejś starszej kobiecie. Tamar popatrzyła na nią bezsilnym wzrokiem. Kobieta wydała jej się niezwykle piękna: stała wyprostowana, srebrne włosy upięte miała w kok, twarz spaloną słońcem, zoraną zmarszczkami, po których znać

353

było siłę charakteru, oczy miała błękitne i pełne blasku. Tamar nieomal widziała, jak palce Mika zręcznie odpinają zatrzask torebki i wsuwają się do środka. Gazetą zasłaniał rękę przed oczyma stojących obok ludzi. Tamar zmartwiona odwróciła wzrok w poszukiwaniu Sziszka. Gdzie też on się schował? Gdzie się zaczął?

/ tak mnożyliśmy cuda W naszej wyobraźni: Graty młotki, pieśń o trudzie Ptug nam śpiewał rażno.

Byli także i rolnicy,

Ci, co dbają o winnice

I pasterze - to ich kraj.

Tak wierzyliśmy w dzieciństwie,

Które było... Takie... Naj...!

Przerwała w pół frazy i krzyknęła na całe gardło: - Złodziej! Kieszonkowiec! Ten w kraciastej koszuli! Policja! Łapać go! Tam, tam!

Oczy Mika uniosły się ku niej ze zdumieniem, pełne nienawiści i przewrotnej, gorzkiej drwiny. Nikt go jeszcze nie dotknął, nikt się nie odważył, ale był już uwięziony między rzędami, które zacieśniły się wokół, a policjanci rzucili się w jego stronę. Ludzie krzyczeli, biegali, deptali po sobie nawzajem. Tamar chwyciła Szaja za rękę i pociągnęła go za sobą. Dźwignął się z trudem. Dinka zdezorientowana dała susa między nogi gapiów. Tamar krzyczała do Szaja, żeby biegł. On szedł. Za wolno. Jakby chciał się dać złapać. Dinka stała, głośno szczekając, a Tamar zawołała ją w nadziei, że suka biegnie za nimi. Plac wokół nich wrzał i huczał. Ludzie biegali we wszystkie strony. Tamar usłyszała policyjny gwizdek, a potem syrenę. Biegli-

354

-r0 znaczy, ona biegła, a Szaj próbował i po dziesięciu krokach dostał zadyszki.

Wzięła od niego gitarę. Zdawało jej się, że sryszY za s°bą czyjeś pośpieszne kroki.

Modliła się, żeby jej wiadomość dotarła do Lei i żeby ten sympatyczny jegomość wszystkiego nie zepsuł. Lecz kiedy rzuciła okiem na Szaja, pomyślała, że w tym stanie nie zdoła dobiec nawet do końca ulicy. Twarz mu pożółkła i pokryła się potem.

- Nie stój, nie stój, to już tutaj, jeszcze tylko pół ulicy, tylko kilka metrów...

Ale on nie miał siły. Zgiął się wpół, splunął ciemnozieloną flegmą i już nie biegł, tylko człapał, slaniając się na nogach.

- Biegnij sama, ja nie mogę. Uciekaj.

- Nie! - krzyknęła.

Ludzie przyglądali się tej dziwnej parze, niskiej, krótko obciętej dziewczynie i dużo

od niej wyższemu chłopakowi, który sprawiał wrażenie ciężko chorego.

Oparła gitarę o krzesło w kawiarni i zostawiła ją tam. Objęła Szaja ręką wokół bioder, z największym wysiłkiem dźwignęła go i popchnęła do przodu. Nie ma wyboru - jej serce pulsowało tymi słowami - nie ma wyboru. Nie ma wyboru. Wlokła go, szczypała, mówiła mu, żeby się trzymał, przeklinała go, nie rozwierając zagryzionych warg, oczy zaszyły jej mgłą z wysiłku, aż zobaczyła z daleka małą żółtą plamkę i puściła się biegiem w jej stronę. Żółty garbus Lei - a więc przyjechała, odebrała jej wiadomość. Łzy zaczęły napływać jej do oczu, widziała rozmazaną sylwetkę Lei z rękami na kierownicy, siedziała tam wysoka, z poważną miną i gotowa do skoku. Silnik pracował, wydając znajomy, głośny warkot, jeszcze tylko chwila i będą wolni.

355

- Więc to tak? Myśleliście, że uda wam się zwiać? Sziszko. Oparty o ścianę. On też ciężko dyszał. Nagle zastąpił im drogę:

- W dodatku żeby tak wsypać Mika? Nieładnie. Przyjaciele tak nie robią. - Jego twarz napięła się i wyostrzyła z nienawiści. - Jazda, zabawa skończona. Spokojnie wracacie do subaru. Pesach już się z wami policzy. Pożalujecie żeście się w ogóle urodzili. Nogi omal się pod nią nie ugięły. Opuściły ją resztki sił. To nie fair, pomyślała, nie fair, żebyśmy mieli z nimi przegrać w ostatniej chwili. Szaj stał i płakał. Bez hamulców, jakby zobaczył własny koniec.

Naraz czas staje w miejscu, wszystko zaczyna się rozgrywać w jakimś innym, nieuchwytnym wymiarze: Sziszko, popchnięty lekko, omal na nich nie wpada, a kiedy odwraca głowę z krwiożerczym spojrzeniem, gotowy do walki, oczy otwierają mu się szeroko ze zdumienia.

- Z drogi, bohaterze, pogromco dzieci! - mówi do niego nieznajomy mężczyzna, krępy, pucołowaty, o wyglądzie statecznego obywatela. - Z drogi, degeneracie jeden, ty arcykryminalisto. Wypadłeś z gry.

Sziszko odsuwa się na bok, bo chociaż mężczyzna mówi drżącym, łamiącym się z przejęcia głosem, to jednak trzyma w ręku długą, bardzo przekonującą strzelbę z

długą lufą, taką, jakie Sziszko oglądał dotąd tylko na filmach. Przywiera do ściany, nerwowo poprawiając rozwianą grzywkę, i wyczekuje sposobnej chwili, żeby wyrwać mężczyźnie broń z ręki. Jednakże właśnie to, że ów człowiek wydaje mu się taki komiczny, odbiera mu rezon. Jest pewien, że to jakiś podstęp: ktoś wystawił mu tego krasnoludka na wabia, chcąc go sprowokować, żeby zaczął działać

356

pochopnie i w ten sposób popełnił największy błąd swojego życia. Dlatego Sziszko waha się przez chwilę, a to już wystarczy, by Tamar wepchnęła Szaja do samochodu na tylne siedzenie, a potem wsiadła sama. Mała Noa, która tam siedzi, nie rozpoznaje jej. Zażywny mężczyzna, który wydaje się znajomy, chociaż Tamar nie może sobie przypomnieć, skąd, wsiada z przodu, powoli i dostojnie, jak gdyby miał czas aż do końca świata. Strzelbą mierzy prosto w serce Sziszka.

- Słuchaj no, lepiej uważaj - mówi Sziszko z lekką drwiną. - To nie zabawka.

- Nie odzywaj się, jak cię nikt nie pyta o zdanie - mówi mały człowieczek, nadymając się tak, że aż łysina mu czerwienieje. - Jedziemy, Leo - rzuca statecznym tonem i samochód rusza, zostawiając w tyle zdumionego i wściekłego Sziszka, który rozgląda się na prawo i lewo w poszukiwaniu sprytnych współników uzbrojonego karzelka albo ekipy telewizyjnej z ukrytą kamerą.

- Mami! - woła radośnie Noa, przypięta do dziecięcego fotelika, i wyciąga rączki do Tamar. - Mami! Tak tęskniłam! A gdzie włosy?

- Ja też, kochanie - szepcze Tamar, tuląc głowę do szyi dziewczynki i chłonąc jej zapach.

- Opiekunka nawaliła w ostatniej chwili - wyjaśnia Lea. - Nie miałam wyjścia, więc ją wzięłam. Wszystko w porządku, Tami? - Zmienia bieg tak, że wszystkich rzuca do przodu, a potem do tyłu.

- Żyję - mamrocze Tamar przytulona do Nojku, do jej nieskazitelnej skóry, przeniknięta jej niewinnym, roześmianym spojrzeniem. Myśli o Szeli. Ona też kiedyś była taką małą dziewczynką. Kiedyś chyba też była kochana. Szaj patrzy na Noę z kamienną twarzą. Nie ma już siły nawet na to,

357

by nadać jej jakiś wyraz. Na jego długich rękach nadal wiszą łyzy. Noa raz po raz rzuca ku niemu ostrożne spojrzenia. Coś jej się w nim nie podoba. Szaj wyczuwa jej zaniepokojenie i odwraca głowę do okna. Lea widzi we wstecznym lusterku reakcję Noi, wierzy w jej magiczną zdolność oceny, dlatego lekko marszczy czoło. Tamar z czułością całuje małą najpierw w prawe oko, potem w lewe i w nosek, i opada bezwładnie na oparcie. Czuje zapach własnego potu. Marzy o prysznicu u Lei. O nocy przespanej na miękkim łóżku. O tym, by na kilka godzin pograżyć się w niebycie. Wszystko stało się tak szybko, jeszcze nie może się oswoić z myślą, że to zdarzyło się naprawdę, ale chyba jednak się udało, jej plan mimo wszystko zadziałał, to znaczy sam pomysł, żeby tam wejść, a potem wyjść razem z Szajem, ten pomysł ostatecznie okazał się dobry, zgadza się? Szuka oczu Lei w lusterku, potrzebuje ostatecznego potwierdzenia, ktoś musi jej powiedzieć, że to wszystko prawda, że to się zdarzyło w realnym życiu, że jej złudzenia zetknęły się z rzeczywistością... ale Lea jest całkowicie skupiona na kierownicy. Zaraz, dlaczego Tamar ma poczucie, że coś zostało niedokończone, dlaczego w głębi pamięci coś zdaje się ją uwierać, trudno dokładnie powiedzieć, gdzie - jakby ktoś próbował jej coś powiedzieć albo jakby została jeszcze jakaś pilna sprawa, którą koniecznie musi załatwić.

- Dokąd jedziemy? - pyta Lea.

- Do ciebie - oznajmia Tamar. - Zostaniemy dwa, trzy dni, ochłoniemy trochę, nabierzemy sił, a potem przeniesiemy się w nowe miejsce.

—A dokładniej? - pyta przysadzisty mężczyzna ze strzelbą.

- Poznajcie się - mówi Lea, po raz pierwszy się uśmiechając. - To jest Mosze Honigman. Przyniósł mi tę kartkę

358

Oj ciebie i postanowił, że zostanie przy mnie do końca, żeby mi pomóc. - Po przyjacielsku klepie go dłonią po kolanie. - Trochę namolny ten twój Stallone, ale bardzo sympatyczny. - Przy tym puszcza do Tamar oko w lusterku.

Honigman jej nie słucha. Nadal nie rezygnuje z funkcji ochroniarza, przeczesuje czujnym wzrokiem ulice, a jego usta mamrocą coś bez przerwy do pięści, tak jakby ścisnął w niej miniaturową krótkofalówkę.

Tamar przypatruje się jego dziwacznemu zachowaniu, powoli coś zaczyna rozumieć i wbija w Leę pytające spojrzenie. Lea wzrusza ramionami i odpowiada jej spojrzeniem, które zdaje się mówić: „Ale z nas komandosi, nie ma co?”

- Gdzie Dika? - pyta Noa.

- Dinka! - Tamar aż podskakuje na siedzeniu. - Zapomnieliśmy o Dince!

Dinka stała tam i szczekała w zamieszaniu, w gąszczu nóg. Zgubiła ich.

Trzeba tam wrócić - myśli gorączkowo Tamar. - Nie mogę jej tak zostawić. Nie trafi sama do domu. Wracać natychmiast! Kiedy jednak widzi ledwo żywego Szaja, któremu głowa opada bezwładnie, zdaje sobie sprawę, że nie może teraz po nią wrócić, że nie wróci już nigdy. Ciężka ręka chwyta ją za gardło i ścisną z całej siły. Jak mogła o niej zapomnieć! Jak mogła ją zdradzić!

Zapada ponura cisza. Nawet Nojku coś wyczuwa i nic nie mówi. Lea widzi twarz Tamar.

- Znajdziemy ją, nie martw się - szepcze bez przekonania.

- Już nie znajdziemy - odpowiada Tamar. Opiera się i zamyka oczy. Wie, że stała się rzecz straszna, a jej znaczenie dopiero zaczyna sobie niejasno

359

uzmysławiać. Dinka, która towarzyszyła jej od siódmego roku życia, jej prawdziwa przyjaciółka, jej druga połowa zniknęła. Nie ma jej. Przeszywa ją nagła myśl: Jak gdyby trzeba było kogoś albo coś złożyć w ofierze, żeby uratować Szaja - i padło na Dinkę.

Czuje dotyk czyjejś dłoni na własnej. To Szaj, oczy ma zamknięte, ciężko mu oddychać. Przyciąga ją lekko do siebie. Tamar przysuwa ucho do jego ust, a on szepcze z wysiłkiem:

- Strasznie mi przykro, Tamari. Boże, tak mi przykro. Honigman odwraca się do tyłu.

- Tego twojego chłopaka trzeba będzie zabrać do lekarza.

- Ja się nim zajmę - odpowiada mu lakonicznie Tamar.

Nagle odzywa się Szaj i ostatkiem sił mówi:

- Nie jestem jej chłopakiem. To moja siostra. - Głowa opada mu bezwładnie na ramię Tamar, a wtedy Szaj dodaje: - Tylko ją mam na świecie.

Jego palce splatają się z jej palcami, bez siły.

kochana, pytałem już wszystkich wędrowców.

Cztery dni po tym, jak Tamar uciekła z Szajem i zgubił Dinkę, Asaf przechodził deptakiem Ben Jehudy. Szedł bar dzo szybko, prawie biegł, próbując, bez większej nadziei odnaleźć tamtego gitarzystę. Wielki plecak Tamar na jego grzbiecie zrobił się nagle bardzo ciężki, nabrał życia, kotłowały się w nim słowa i myśli, i wołania o pomoc. Asaf minął krąg ludzi przyglądających się występowi iluzjonistki i zatrzymał się na chwilę, żeby posłuchać skrzypka, bardzo młodego, prawie dziecka, a potem zobaczył jeszcze innego chłopaka, który siedział oparty o ścianę banku i za pomocą smyczka, trzymanego między palcami stóp, wygrywał monotonną melodię na instrumencie podobnym do sitara. Asaf nigdy przedtem nie zauważył, że odbywa się tutaj tak wiele występów ulicznych. Był też zaskoczony, widząc, jacy ci artyści są młodzi - w większości byli mniej więcej jego rówieśnikami - i kiedy na nich patrzył, próbował zgadnąć, czy nie mają oni jakiegoś związku z mafią, o której wspominał Siergiej.

I wtedy nastąpiło pewne krótkie i wstrząsające zdarzenie. W dolnym odcinku deptaka zebrał się ciasny krąg publiczności wokół dziewczyny, która siedziała na krześle i grała na wiolonczeli. Asaf nie znał się w ogóle na muzyce, ale i tak nie mógł się nadziwić, że komuś przyszło do głowy grać na takim instrumencie na ulicy.

Dziewczyna była niewysoka, nosiła okulary, a na głowie miała czerwoną czapkę.

Asaf czuł, że ludzie gromadzą się wokół niej niekoniecznie ze względu na jej rzewną muzykę, ale raczej dlatego, że dziewczyna - z wielką wiolonczelą - sama w sobie była niecodziennym zjawiskiem.

Asaf z Dinką mijali już tę grupkę ludzi, lecz nagle suka się zatrzymała, jak gdyby coś ją tknęło. Obróciła się w kółko zdezorientowana, powęszyła gorączkowo, po czym

362

nagle skierowała się ku ludziom i zaczęła się między nimi Drzeciskać. Asaf poszedł za nią, nie miał wyboru. Rozpychał się między stojącymi, aż nagle stanął twarzą w twarz z dziewczyną, pośrodku kręgu publiczności.

Dziewczyna grała z zamkniętymi oczami, wyraz jej twarzy co chwila się zmieniał,

jakby coś jej się śniło. Dinka zaszczekała głośno. Dziewczyna otworzyła zdumione oczy i popatrzyła na sukę. Asaf miał wrażenie, że nieznacznie pobladła. Natychmiast wyprostowała się na krześle, rozejrzała się nerwowo na boki i grała dalej, ale już bez uczucia, tylko piłując smyczkiem po strunach. Dinka parła do przodu co sił. Asaf odciągał ją do tyłu. Ludzie stojący za nimi zaczęli go upominać, żeby się przesunął, zabrał psa i przestał przeszkadzać, a on się wystraszył, bo zdał sobie sprawę, że teraz wszyscy patrzą na niego, że teraz to on i Dinka stali się ulicznym przedstawieniem... Dziewczyna oprzytomniała pierwsza. Przestała grać, pochyliła się szybko i szepnęła do Asafa:

-A gdzie ona? Przekaż jej, że jest wielka, wszyscy tam mówią, że jest niesamowita! Wspaniała! A teraz uciekaj, uciekaj!

Wyprostowała się i oparła z powrotem na krześle, po czym zaraz zacisnęła powieki, jakby wymazując z pamięci minioną chwilę, i grała dalej, napędzając publiczność przedziwnym, melancholijnym urokiem swojej melodii.

Asaf nic nie zrozumiał z tego, co mu powiedziała. Przede wszystkim, dlaczego ma uciekać. Dinka pierwsza pojęła, w czym rzecz. Z szybkością błyskawicy zerwała się do biegu i pociągnęła rękę, którą Asaf ścisnął jej obrożę. Asaf poczuł, że suka ze wszystkich sił stara się go stamtąd odciągnąć. Natychmiast otrzeźwiał. Obeszli naokoło dziewczynę, przecisnęli się między ludźmi i wybiegli poza krąg

363

publiczności. Zdawało mu się, że słyszy, jak ktoś za nim woła, żeby się zatrzymał. Nie zrobił tego. Gdyby odwrócił się za siebie, zobaczyłby, że niski i krępy mężczyzna przy. patruje mu się, a potem pośpiesznie wybiera numer z telefonu komórkowego. Asaf zastanawiał się w biegu: „Ta dziewczyna знаła Tamar, to pewne. Rozpoznała Dinę i prosiła, żeby przekazać Tamar, że jest wielka. Teraz trzeba szybko myśleć. Wszyscy tam mówią, że ona jest niesamowita? Co takiego zrobiła?” Asaf biegł, mózg aż mu się gotował - zbierał, przesiewał, łączył ze sobą kawałki układanki, chwytając się rozmaitych przypuszczeń. Wiedział już coś, ale nie wszystko. Serce podpowiadało Asafowi, że zmierza we właściwym kierunku, że jest już w miejscu, które najbardziej mu odpowiada - biegnie w wyścigu na pięć tysięcy

metrów. Był całkowicie pogrążony w myślach, wsłuchiwał się w opowieść, która zaczęła się w nim układać z domysłów, a jednocześnie biegł z Dinką w idealnie zgranym tempie. Nie patrząc na siebie nawzajem, mknęli naprzód między ludźmi przez zatłoczone ulice, przecinali je jedną po drugiej jak dawniej, jak na początku ich przyjaźni (Czyli wczoraj? Wielki Boże - zdumiał się Asaf- czy możliwe, że to było wczoraj!?), teraz jednak nie łączyła ich żadna smycz, jedynie przelotne spojrzenia, jakie wymieniali między sobą od czasu do czasu, kontrolne, potwierdzające, dodające otuchy: „Jestem z tobą - i ja jestem z tobą. Ładny zakręt. Dzięki, gdzie jesteś teraz? Dziesięć kroków za tobą, jest między nami parę osób, ale nie przejmuj się, zaraz ich wyminę, biegnij naprzód. Słyszę, że ktoś nas goni. Ja nie słyszę, ale skreć w ten zaułek. Nie, nie idę tam, wyczuwam coś nosem. Gdzie? Chwileczkę, ty biegnij dalej, znalazłam coś dobrego, ty się nie zatrzymuj. Rozśmieszasz mnie. Dość, nic nie mów, nie pozwalasz mi

364

sje skupić. Mam nadzieję, że wiesz, dokąd mnie prowadzisz? Pewnie, że wiem, zaraz sam się przekonasz. Hej, piniko, to wygląda znajomo, zdaje się, że już przechodziliśmy tym zaułkiem, koło tego wysokiego muru. Otwórz oczy, Asaf, przecież byliśmy tu wczoraj. Rzeczywiście, Din-l(0(masz rację, to jest... No wreszcie poznałeś, szybko, chodź za mną, to tutaj”.

Przypadła do zielonej bramy, stanęła na tylnych łapach, a obiema przednimi nacisnęła na klamkę. Oboje wbiegli do środka. Asaf obejrzał się przez ramię i zobaczył, że nie ma nikogo. Pościg jeszcze nie dotarł. Pobiegł przez wysypane żwirem podwórze, obok studni, między uginającymi się od owoców gałęziami drzew, otoczony znajomą, głęboką ciszą.

Ale zanim przeszedł szybko na tyły domu, pod zwrócone na zachód okienko, żeby poczekać na koszyk z kluczem, który zjedzie do niego na sznurku, kołysząc się jak mały Mojżesz na wodach Nilu, zauważył coś dziwnego i poczuł, jak powietrze wokół jego uszu momentalnie staje się chłodne. Drzwi domu były otwarte i poruszały się lekko na wietrze.

Wpadł do środka. Dinka za nim. Oboje stanęli jak wryci, szeroko otwierając oczy ze

zdumienia.

Jak po katastrofie. Hol wejściowy wyglądał jak po huraganie. Podłogę pokrywały książki, pootwierane, podarte i sponiewierane. Wysokie szafy leżały na podłodze strzaskane w drzazgi, jakby je ktoś porąbał siekierą. Nawet ołtarz wyrwano z miejsca, odsłaniając jasną prostokątną powierzchnię na podłodze. Zdaje się, że przesunięto go, żeby sprawdzić, czy ktoś się pod nim nie ukrywa.

Asaf pomyślał: „Teodora”, ale przez chwilę nie śmiał pobiec na górę, bo żeby tam dotrzeć, musiałby deptać po książkach. Wreszcie pobiegł i zaraz domyślił się, że to, co

365

się tu stało, mogło mieć też związek z nim samym, z jego wczorajszą wizytą. Pełen czarnych myśli popędził co sił półokrągłym korytarzem, oczyma wyobraźni widział potworności, jakie go czekają u jego końca. Widoki, jakie znał wyłącznie z filmów grozy i z najokropniejszych gier komputerowych. W jego umyśle zaczęło kwilić przerażone dziecko, a Asaf walczył sam ze sobą, żeby mu nie ulec. Teodora jest taka drobna - myślał - jest jak pisklę. Jak ona przeżyje takie bestialstwo? W przelocie rzucił okiem do dormitorium. Łóżka leżały powywracane, materace były podarte i pocięte nożami. Nadal dało się wyczuć w powietrzu nienawiść, jaka przepelniała tych, którzy to zrobili. Długim susem pokonał sześć ostatnich schodów, otworzył niebieskie drzwiczki i zmusił się, by ze strachu nie zamknąć oczu.

W pierwszej chwili nie zauważył jej w ogóle między stosami zrujnowanych sprzętów. Wreszcie zobaczył: siedziała z otwartymi oczami na swoim bujanym fotelu.

Wyglądała jak szmaciana lalka, którą ktoś zostawił przez zapomnienie. W jej oczach nie było nawet nikłej isierki życia. Wreszcie, po upływie całej wieczności, jej usta rozwarły się lekko, a oczy zwróciły na Asafa.

- Asaf - wymamrotała bezgłośnie. - To ty, agori mul Uciekaj stąd. Szybko.

- Co się stało, pani Teodoro? Co pani zrobili?

- Uciekaj, zanim wrócą. Idź, znajdź ją. Strzeż jej.

Zamknęła oczy. Asaf szybko do niej podszedł, przykleknął obok, chwycił ją za rękę.

Wtedy zobaczył skaleczenie, ciągnące się od skroni aż po kącik ust.

- Kto pani to zrobił?

Wolno wzięła oddech i wyprostowała trzy drobne palce, dając mu do zrozumienia, że było ich trzech, po czym nagle chwyciła go mocno za ramię.

366

- Bestie, nie ludzie. A najgorszy z nich ten wielki, Asmodeusz. - Zamilkła osłabiona, ale jej dłoń zaciskała się coraz mocniej na ramieniu Asafa, jakby tam skupiła się cała jej istota. - Pamiętaj: on jest łysy, o satanas! I z warkoczem z tyłu - bodajby go powiesili za ten warkocz, amen. - Powieki znów jej opadły, jakby zemdląca, ale nawet z zamkniętymi oczami nadal kipiała gniewem, a Asaf zauważył z ulgą, że jej zdolność wymowy nie doznała wielkiego uszczerbku. - O Tamar pytał ten nietoperz, ten byk rogaty, zaraza jedna, a kiedy milczałam, trach! Uderzył w policzek! Ale nie martw się, mój drogi. - Gdzieś głęboko w jej wnętrzu zarysował się wyblakły zarys dawnego uśmiechu, uśmiechu niepokornej dziewczynki. - Tak go ugryzłam, że do końca życia popamięta.

- Ale czego oni chcieli?

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się zmęczona.

-Jej.

- A jak wpadli na to, żeby przyjść tutaj?

- Może ty mi powiesz?

Asaf zamrugał długimi rzęsami, a potem zamknął oczy w bólu. To on ich tu przyprowadził. Ale jak? Ktoś musiał go zauważyć, kiedy stąd wczoraj wychodził. Rozpoznał Dinę i był pewien, że Tamar znajduje się w tym domu. Tu się ukrywa. Teodora przechyliła się i dała znak Asafowi, że chce wstać. Asaf nie wierzył, że starczy jej sił, by ustać na nogach. Podniosła się i stanęła, chwytając się Asafa. Chwiała się tak samo jak dogasający płomyk jej silnej woli. Przez dłuższą chwilę nie poruszali się oboje. Potem jej twarz zaczęła z wolna przybierać kolory.

- Teraz lepiej. W nocy było ze mną źle. Myślałam, że nie przeżyję.

367

- Od pobicia?

- Nie, uderzył mnie tylko raz. Z rozpaczy. Asaf rozumiał.

Jeden z jej palców poruszył się na jego nadgarstku:

-A jeśli znów cię widzieli po drodze?

-Widzieli mnie. Biegli za mną. Uciekłem. Ale mogą się kręcić w okolicy.

Kiedy to powiedział, uświadomił sobie coś, o czym do tej chwili nie ważył się pomyśleć: ci, którzy ścigają Tamar, są pewni, że on z nią współpracuje.

- Skoro tak - powiedziała trzeźwo - za minutę albo dwie zaczną się zastanawiać, czy przypadkiem znów tutaj nie przyszedłeś i teraz to ciebie będą szukać, a nie mnie. A z tobą już się nie będą patyczkować. Musisz iść, mój drogi.

-Jeśli teraz wyjdę, to mnie złapią.

-Jeśli zostaniesz, złapią cię tym bardziej.

Milczeli przerażeni. Bicie ich serc zdawało się rozbrzmiewać jak szybkie kroki na korytarzu. Dinka patrzyła na nich błyszczącymi oczami, drżąc ze zdenerwowania.

- Chyba że... - odezwała się Teodora.

- Chyba że co?

- Chyba że coś odwróci ich uwagę. Asaf nie rozumiał:

- Co takiego mogłoby... -Cisza! Nie przeszkadzaj.

Zaczęła krążyć po pokoju, torując sobie drogę wśród stert książek, połamanych regałów, deptając po skorupach rozbitych talerzy, po stosach listów opiętych grubymi, żółtymi gumkami. Asaf nie pojmował, skąd ona ma siłę, by się w ogóle poruszać, myśleć, troszczyć się o niego, kiedy całe jej życie rozsypało się tutaj w drobny mak.

368

Przy wejściu do kuchni leżała na boku mała drewniana szafka. Teodora otworzyła ją i wydobyła stamtąd białą parasolkę przeciwsłoneczną o cienkich drewnianych prętach.

- Na Liksusie - wyjaśniła z powagą - słońce jest bardzo ostre.

Asaf wyprężył się, a usta lekko mu zbieleły. Oszalała _ pomyślał. - Szok wytrącił ją zupełnie z równowagi.

Teodora spojrzała na niego i od razu odczytała jego myśli-

- Nie troskaj się, mój drogi. Nie postradałam rozumu.

Spróbowała otworzyć parasolkę. Drewniane pręty poruszyły się z cichym trzaskiem,

lecz delikatne białe płótno rozsypało się natychmiast i opadło jej na głowę niczym płatki śniegu.

- Zdaje się, że będę musiała zrezygnować ze swojego daszka. Ale gdzie ja zostawiłam trzewiki?

Mówiła przedziwnym, rzeczowym tonem, jak gdyby bez reszty skupiona na drobnych czynnościach, jakie miała wykonać. Z ukrytej szuflady wyjęła parę drobnych, czarnych butów owiniętych w pożółkłą gazetę, małych jak na dziewczynkę. Dmuchnęła na nie, wzbijając tumany kurzu, wytarła je i wypolerowała rękawem habitu. Potem usiadła na skraju łóżka, próbując je włożyć. Asaf widział, jak jej palce nie mogą sobie poradzić ze sznurowadłami.

- Cóż za głupia staruszka z tej twojej nowej przyjaciółki. - Uniosła zawstydzone spojrzenie. - Pięćdziesiąt lat nie wiązała sznurówek i już zapomniała!

Asaf przyklęknął przy niej z nabożnym lękiem, jak królewicz przed Kopciuszkiem, i zasznurował jej buty.

- Tylko popatrz, stopa moja nic się od tamtego czasu nie zmieniła! - powiedziała z nieskrywaną dumą, wyciągając przed nim nogę i zapominając na chwilę o groźnej sytuacji.

369

Miał twarz na wysokości jej twarzy. Widział tuż przed sobą jej ranę. Zakrzepla krew tworzyła zacieki na całym policzku. Dostrzegła jego wstrząśnięte spojrzenie.

- Przedziwne są drogi tego świata - westchnęła. - Pięćdziesiąt lat nikt nie dotykał mojej twarzy, i p0 Gar pierwszy... policzek. - Spazm płaczu przemknął między jej oczami i zatrzymał się na czubku nosa. - Dość, wystarczy! Teraz powiedz mi co prędzej, jak to tam wygląda - powiedziała.

- Niedobrze - odparł. - Ktoś powinien pani opatrzyć ranę.

- Nie, nie tam! Tam! - Wskazała przez ramię palcem na zewnątrz.

- Tam? - Zawahał się. Co jej powiedzieć? Jak można opisać świat zewnętrzny w pół minuty? - Trzeba zobaczyć, żeby zrozumieć - szepnął. Jej lekko wystraszony wzrok zatopił się głęboko w jego oczach. Oboje milczeli. Asaf wiedział, że upłynie jeszcze sporo czasu, zanim przetrawi zdarzenie, którego właśnie jest świadkiem.

- Wyjdę przez bramę w kierunku tej mojej ręki. - Teodora westchnęła głęboko, a on zrozumiał, że mniszka nie wie nawet, która strona jest prawa, a która lewa. - A ty zaczekaj jeszcze minutę albo dwie wewnątrz domu. Jeśli się tam zaczęli, na pewno pośpieszą za mną, żeby zobaczyć, co staruszka knuje...

-A jeśli panią złapią?

- Otóż to. Ja właśnie chcę, żeby złapali mnie, a nie ciebie.

-A jak pobiją?

-A cóż takiego mogą mi zrobić, czego by jeszcze nie zrobili?

Asaf patrzył na mniszkę, poruszony jej odwagą.

370

_ Nie boi się pani?

_ Boję się, pewnie, że się boję, ale już nie ich. Strach budzi tylko to, co nieznanne. -

Spuściła głowę i mówiła dalej, patrząc na jakąś niesforną nitkę u rękawa habitu: - powiedz mi, proszę: kiedy wyjdę i przekroczę bramę, jaka jest pierwsza rzecz, którą zobaczę tam, na zewnątrz?

Asaf próbował sobie przypomnieć: jej ulica położona była na uboczu i dość spokojna.

Stały na niej zaparkowane samochody, od czasu do czasu jakiś przejechał. Na rogu znajdował się oddział banku i sklep ze sprzętem elektrycznym, z włączonym telewizorem w oknie.

- Nic szczególnego - bąknął, po czym zamilkł, pojmując nedorzeczność własnych słów.

- A jest tam głośno? Najbardziej lękam się hałasu i światła. Może masz dla mnie okulary przeciwsłoneczne?

Nie miał.

- Z początku to może być dość trudne - powiedział Asaf, czując pilną potrzebę, by ją ochronić, otulić ją warstwą waty. - Niech pani tylko uważa na jezdni, zawsze trzeba najpierw spojrzeć w lewo, potem w prawo, a potem jeszcze raz w lewo. A kiedy pali się czerwone światło, nie wolno przechodzić... - W miarę jak mówił, z coraz większym lękiem uzmysławiał sobie, jak wiele Teodora musi się nauczyć, by przeżyć pięć minut w centrum miasta.

Zeszli po schodach. Teodora nadal miała trudności z chodzeniem, więc wsparła się na ramieniu Asafa. Kiedy przechodzili powoli łukowatym korytarzem, Asaf czuł, że dla niej jest to zarazem podróż żałobna i chwila pożegnania z czymś, co już nie wróci. Ze zdumieniem powiedziała, jakby do siebie:

- Kiedy runęły mury Starego Miasta, nie wyszłam. Nie Wychodziłam, kiedy zdarzały się wybuchy na ulicach i na

371

rynku, chociaż bardzo chciałam oddać krew. Nie wyszłam też, kiedy zabito Icchaka Rabina, niech jego pamięć będzie błogosławiona, chociaż wiedziałam, że cały naród przychodzi do jego trumny, żeby oddać mu hołd. Aż tu nagle teraz... Christos keApostolos! -wymamrotała, widząc spustoszenie w holu wejściowym, po czym umilkła. Asaf sądził że Teodora zaraz zemdleje, lecz ona akurat puściła się jego ramienia i stanęła wyprostowana, a kiedy zobaczył surową linię ciągnącą się od jej nosa po brodę, wiedział już, że nikt jej nie zdoła pokonać. Starał się utorować jej drogę między rozrzuconymi książkami, ona jednak powiedziała, że nie ma na to czasu, i dostojnym krokiem zaczęła stąpać po okładkach, ledwo ich dotykając, jakby unosiła się w powietrzu.

Zatrzymała się przy drzwiach wychodzących na podwórze, nerwowo ściskając jedną dłoń w drugiej.

- Niech pani posłucha - wyrwało się Asafowi. - Może nie trzeba. Jakoś sobie poradzę. Szybko biegam, nie złapią mnie.

- Cisza! - rozkazała. - Teraz ty posłuchaj: pójdziesz do Lei. Ona być może zdoła ci dopomóc. Słyszałeś już o Lei?

Asaf zawahał się. W dzienniku natknął się kilka razy na to imię. Pamiętał o tajemniczym dylemacie, jaki przeżywała przez kilka miesięcy, o czym wielokrotnie rozmawiała z Tamar. Chodziło o jakąś małą dziewczynkę, wiązały się z tym obawy i wahania, a wszystko skończyło się - jeśli dobrze pamiętał - wyjazdem do Wietnamu, ale oczywiście nie mógł powiedzieć Teodorze, że zaglądał do dziennika.

Spytał, gdzie znajdzie Leę, na co Teodora z irytacją rozłożyła ręce:

- Ot, w tym właśnie kłopot, że ta Tamar nic nie mówi! Raz mi powiedziała: Jest Lea".

No to wspaniale, ja jej na to.

372

Może z pół roku później mówi mi: „I ta Lea ma restaurację”. To ja mówię, smacznego. Ale gdzie? Co? I kim ona jest dla ciebie, a ty dla niej? A ona milczy. I co teraz? Co nam pozostało?

Popatrzyła na niego ze smutkiem, po czym pochyliła się nad Dinką, pogłaskała ją za uszami, a następnie podwinęła jedno z nich i coś szepnęła. Asaf dosłyszał strzępy słów: „Do Lei... Do restauracji... Zrozumiałaś? Pędź jak strzała, szybko!” Dinka patrzyła na nią i uważnie słuchała. Asaf pomyślał, że Teodora chyba naprawdę odchodzi od zmysłów, skoro wierzy, że Dinka zdoła to zrozumieć.

Naraz Teodora obiema rękami chwyciła Asafa za rękę.

- A ty oczywiście opowiesz Tamar, że wyszłam, prawda? Nie uwierzy! - zachichotała szczęśliwa. - Tamar będzie przerażona! Ale posłuchaj, proszę, nie mów jej, że wyszłam przez nią, żeby się nie zadreślała, i bez tego dosyć ma zmartwień. Po po! Już samo słowo „wyszłam” nabrało całkiem nowego smaku w mych ustach. Wyjdę. Zaraz wyjdę. O, już wychodzę.

Otworzyła drzwi i spojrzała na przestronne podwórze.

- Tę stronę znam bardzo słabo. Czasami, kiedy Nas-rian przynosi rzeczy z pralni albo zakupy z bazaru, stoję tu w środku i wyglądam przez uchylone drzwi. Ale kiedy się stoi tutaj... - Przeszła próg i aż jej dech zaparło: - Jak tu pięknie. Ile przestrzeni. Popatrz, popatrz - bąknęła pod nosem, po czym zaraz przeszła na grecki. Słowa przetaczały się jedno przez drugie, dłonie ścisnęły głowę, jak gdyby zaraz miała pęknąć. Potem już nogi same ją poniosły. Asaf pomyślał, że powinien za nią pobiec, ale bał się wyjść - ktoś mógł się na niego zaczaić za główną bramą. Przypomniał sobie pierwsze kroki Muki, jak się o nią bał i jaki to był cud, kiedy przeszła sama od łóżka do stołu.

373

A Teodora oddaliła się już od niego niczym łódek porwana wartkim prądem rzeki. Otworzyła bramę wycho dzącą na ulicę i rozejrzała się w prawo i w lewo. Zdaje się że nie było tam nikogo, bo kiedy zwróciła twarz z powrotem w stronę Asafa,

opromieniał ją szeroki, nieco oszołomiony uśmiech. Właściwie - pomyślał wtedy Asaf - skoro nikogo tam nie ma, to nie musi wychodzić!

- Zaraz! Niech pani zaczeka! Może pani wrócić!

Jednakże żadna siła na świecie nie zdołałaby jej teraz zatrzymać, a brama już się za nią zatrzasnęła. Asaf został sam na pustym podwórzu. Wyobrażał sobie, jak Teodora idzie ulicą. Oczy otwierają się jej coraz szerzej. Bał się o nią. Sądził, że zaraz zobaczy, jak mniszka wbiega z powrotem, ucieka wystraszona i zamyka się w swoim pokoju na kolejne pięćdziesiąt lat. W najśmielszych wyobrażeniach nie zdołałby odgadnąć szczęścia, jakie ją ogarnęło pod potężną falą codzienności. Wszystkie bóle i słabości opuściły ją jak ręką odjął. Nogi zaprowadziły ją na ulicę Jafską.

Pięćdziesiąt lat wcześniej, pewnej upalnej nocy, dotarła tutaj starym autobusem, a potem furmanką pewnego bucharyj-czyka, który wysadził ją pod bramą jej więzienia. Teraz zaś stała i chłoneła wszystkimi zmysłami cud ulicy. Jej twarz mieniła się tysiącem min. Tysiąc serc biło w jej piersi. Wszystkie zapachy, barwy, dźwięki i hałasy - nie umiała nazwać rzeczy, które widziała, nie umiała nazwać swoich nowych doznań. Wszystkie znane jej słowa pękały jedno po drugim - i jeśli można umrzeć od nadmiaru życia, to właśnie była ta chwila.

Nie zwracała uwagi na dziesiątki samochodów, na tłum przechodniów ani też na dwóch ludzi Pesacha, którzy zauważyli ją natychmiast, kiedy doszła do głównej ulicy (Patrz, Sziszko, to ta twoja zwariowana mniszka, zaraz

374

dzwoń do Pesacha, idź za nią), weszła prosto na jezdnię, oślepiąca szczęściem, zupełnie obojętna na trąbiące wokół niej klaksony i na pisk hamulców, uklękła na samym środku lafskiej, złożyła swoje drobne dłonie i po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat modliła się do Boga z sercem przepelnionym wdzięcznością. Pięć minut później Asaf biegł już co sił w nogach, śmiertelnie wystraszony. Jego ręce gwałtownie cięły powietrze, oczy prawie nic nie widziały. Po raz pierwszy, odkąd wyruszył na tę eskapadę, nie był w stanie zapanować nad oddechem. Dinka natychmiast wyczuła zmianę, jaka w nim zaszła, i raz po raz odwracała głowę, patrząc na niego z niepokojem. Nie wyobrażał sobie, jakie to będzie okropne

przeżycie. Każda para oczu, jaka się na nim zatrzymała, wprawiała go w panikę. Miał poczucie, że po całym mieście rozsiani są ludzie, którzy czyhają wyłącznie na niego. I miał rację: już od czterech dni wszyscy ludzie Pesacha zajęci byli wyłącznie pościgiem za Tamar, a od wczoraj - również za nim. Odwołano wszystkie występy poza Jerozolimą. Artystom kazano obserwować okolicę i meldować - w Domu Artystów krążyła pogłoska o nagrodzie wysokości dwóch tysięcy szekli, ni mniej, ni więcej, dla tego, kto przekaze użyteczną informację - a goryle otrzymali wyraźne instrukcje, by zaprzestać swoich zwyczajnych zajęć i patrolować ulice w poszukiwaniu Tamar lub nieznanego wysokiego chłopaka, który pojawił się znikąd, a teraz krąży po mieście z suką Tamar, wszędzie wtyka swój nos i zawsze o krok wyprzedza Pesacha i jego ludzi.

Tym sposobem Asaf, który po wyjściu od Teodory starał się poruszać wyłącznie bocznymi uliczkami, nieumyślnie

375

pociągnął za sobą natychmiastową falę zainteresowania Biegł za Dinką, złożył swój los w jej ręce, a właściwie łapy, i było mu wszystko jedno, dokąd go zaprowadzi, byle jak najdalej od niebezpiecznych okolic domu Teodory I tak bardzo starał się być niewidoczny, że również to co widział, umykało jego oczom. Nie zauważył więc spój. rzenia krępego mężczyzny, który stał na rogu King George i Agryppy, przy barze z falafelem, i próbował naprawić - już od wczoraj, zdaje się - subaru z podniesioną maską. Właśnie zadzwoniła jego komórka. To ktoś z pobliskiej ulicy Histadrutu, człowiek bez ręki siedzący w budce loterii, powiadomił go, że przed chwilą widział chłopaka z suką, pasujących jak ulał do opisu, i dodał, w którą stronę się skierowali. Niski mężczyzna bez słowa przyjął wiadomość, i zaraz wybrał numer. Ktoś, kto z najwyższą niecierpliwością czekał na każdy telefon, odebrał natychmiast. Mężczyzna przekazał mu informację. Kiedy tamten go wysłuchał, rozłączył się i od razu, ku jego zdumieniu, przemknęli mu przed oczami chłopak i suka. Asaf, biegnąc, nie zwrócił też uwagi na kościstego człowieka z grubymi bokobrodami, który ruszył za nim truchtem, a jednocześnie wybrał numer i rzucił cicho do telefonu: „Teraz mijają dziewczynę-gumę, suka się zatrzymuje, co się stało? Zaraz - mówił bardzo

szybko i chyba wczuł się w rolę komentatora sportowego - wchodzi między ludzi, stąd ich nie widzę, powiedz wszystkim, żeby zaraz tu przyszli, wyślij też samochód, już ich mam w garści, w porządku, słyszałem, nie krzycz, zaraz, o co chodzi? Co się dzieje?"

A stało się to, że dziewczyna-guma zauważyła sukę -w ostatniej chwili, nim zdołała wygiąć swoje gibkie ciało i wcisnąć się do wielkiego akwarium, tak aby dało się

376

;e zamknąć pokrywą. Naraz jej wzrok, który był już całkiem szklany i skierowany do wewnątrz, wyostrzył się, a jej nieco zgorzkniała twarz napięła się na chwilę.

Dziewczyna oswoiła się, wydając odgłosy jak przy odkorkowywaniu butelki, rozplątywała się węzeł po węzle, zręcznie wydostała nogę spod pachy, odwinęła ramię z kostki, po czym wstała i krzyknęła: „Sziszko! Suka! To jej suka!"

Powstało zamieszanie. Ludzie odskoczyli i zaczęli się rozchodzić na wszystkie strony, wpadając na siebie nawzajem, potracając czterech mężczyzn, którzy wychynęli z czterech różnych zaułków i próbowali wmieszać się w tłum. Korzystając z zamieszania -Asaf i Dinka wymknęli się, pofrunęli rozdzieleni, by trzy przecznice dalej znów się spotkać, odnajdując się intuicyjnie, kierowani głębokim wewnętrznym zmysłem. Byli przerażeni. Ścigał ich cały świat, miasto stało się łowiskiem, a każdy napotkany człowiek był zamaskowanym łowcą. Teraz wszystko zależało od Dinki, bo Asaf był tak sparaliżowany strachem, że sam nie miałby szans. Dinka ciągnęła go za sobą, wołała, parla do przodu z siłą przerastającą możliwości psa. Była teraz psem zaprzęgowym i bernardynem, i psem przewodnikiem, i wilczurem. W wąskim, ślepych zaułku dała susa w małe podwórko i oboje czekali, przytuleni do siebie z przerażeniem. Zobaczyli, jak jakiś chudy mężczyzna, który przypominał Asafowi zasuszonego Elvisa Presleya, przechodzi koło nich i znika. Dinka zawarczała. Asaf położył jej rękę na pysku. Chwilę później wyszli stamtąd i skierowali się w przeciwną stronę. Jeszcze minuta szaleńczego biegu. Nie ma szans - pomyślał Asaf. - Za następnym zakrętem mnie złapią. I wtedy rozległo się krótkie, radosne szczeknięcie, a oczom Asafa ukazał się szyld z napisem „U Lei". Krzyknął ze zdumienia. Dinka stanęła na dwóch łapach

i otworzyła drzwi, Asaf po raz ostatni obejrzał się za siebie i z jękiem ulgi wpadł na podwórko.

Pośrodku małego dziedzińca rósł młody daktylowiec. Były tam też porozstawiane stoliki i krzesła, gotowe do posiłku. Przy jednym z nich siedziało dwoje starszych ludzi którzy rozmawiali ściszymi głosami i nawet nie podnieśli wzroku, kiedy wszedł. Asaf i Dinka przecięli podwórze i weszli po trzech stopniach do dużej sali. Tam również stały nakryte stoliki i prawie przy każdym siedzieli goście zajęci jedzeniem. Asaf drżał ze strachu i nie wiedział, co robić, do kogo ma się zwrócić. Goście patrzyli na niego. Czuł, że cały klei się od brudu i psuje ludziom apetyt. Dinka prowadziła go już między stolikami, popchnęła wahadłowe drzwi i nagle Asaf znalazł się w kuchni.

Jego zmysły odbierały zbyt wiele zmieszanych ze sobą wrażeń - tu kucharz, tu wielki bulgoczący kocioł, zapach jakiejś nieznanej potrawy, skwiercząca patelnia, głos wołający z zewnątrz przez małe okienko: „Cykoria z rokfo-rem!”, młody chłopak siekający górę pomidorów, niski zażywny mężczyzna, który stoi w kącie i zdaje się zupełnie nie pasować do tego miejsca. Jakaś wysoka, poirytowana kobieta z długimi, nierówno zrosniętymi bliznami na twarzy odwraca się natychmiast w stronę Asafa, zastępuje mu drogę, krzyżuje ręce na piersi i krzyczy: „Co ty, do diabła, robisz w mojej kuchni?”

Wtedy zobaczyła Dinkę i oczy jej pojaśniały.

- Dinka, Dineczka! - zawołała, po czym kucnęła i mocno ją przytuliła.

Zupełnie tak samo tuliła ją Teodora - pomyślał Asaf, próbując złapać oddech.

- Dinko kochana, moje serce, gdzieś ty się podziewała przez te cztery dni? Szukałam cię po całym mieście! Cyjon, szybko, daj jej wody, zobacz, jaka spragniona!

Asaf, korzystając z okazji, wyjrzał przez drzwi, żeby sprawdzić, czy tamci jeszcze nie wdarli się do środka, do restauracji.

Kobieta uniosła się powoli i stanęła przed Asafem.

- Kim ty jesteś?

Jej spojrzenie stało się nagle tak przeszywające, że na chwilę Asafowi odebrało mowę. Nie miał pojęcia, jak wytłumaczyć swoje gwałtowne wtargnięcie do kuchni w jej restauracji. Wszyscy tamtejsi pracownicy, kelnerzy, chłopak krojący warzywa, kucharz, który uniósł rękę, żeby wskazać pomocnikowi, na której półce znajduje się cykorja - wszyscy nagle jakby zastygli w bezruchu. Asaf zakłopotany rozejrzał się dookoła, po czym okrył się zbroją profesjonalizmu:

- Zna pani może właściciela tego psa? - spytał najbardziej oficjalnym tonem, na jaki zdołał się zdobyć, tonem druku 76.

- Pytałam, kim jesteś. - Jej głos był ostry jak nóż. Był to głos, który mówił: „tylko bez wykrętów”. Patrzyła na niego z tak jawną podejrzliwością, że Asaf poczuł się naprawdę urażony i omal nie wygłosił długiej i gniewnej mowy, jaka w nim dojrzewała już od dwóch dni („Co to znaczy, kim jestem? To ja biegam po mieście z tą suką, żeby ją zwrócić prawowitemu właścicielowi, to mnie każdy napotkany człowiek atakuje i ściga, żeby rozedrzeć na kawałki” itd.). Zamiast tego powiedział:

- Pracuję w urzędzie miejskim i szukam właściciela.

- To możesz ją tu zostawić - powiedziała kobieta stanowczym tonem. - I do widzenia. Mamy tutaj urwanie głowy.

Chwyciła już za drzwi i położyła swoją wielką i silną rękę na jego ramieniu, a ciasna kuchnia powróciła do życia i zwykłej krzątaniny. Chłopak z nożem znów kroił pomido-

379

ry, a kucharz przyjaźnie pogładził po policzku swojego pomocnika.

- Nie - odparł Asaf. - Nie mogę.

Kobieta zatrzymała się w pół ruchu, a wraz z nią wszyscy inni.

- Czemu nie? W czym problem?

- Bo... Bo pani nie jest właścicielem.

- Coś podobnego? - To jej „coś podobnego” owinęło się wokół Asafa niczym drut kolczasty. - A skąd niby wiesz, że nim nie jestem?

Dinka, która akurat chleptała wodę z miski, nagle szczeęknęła. Przestała na chwilę pić, podeszła do Lei i zaszczekała na nią głośno, z niezwykłą stanowczością. Z wąsów

ściekała jej woda, ale suka nie chciała jej nawet zlizać. Stojąc między nimi dwojgiem, utkwiała w Lei srogie spojrzenie i przez chwilę zdawało się, że zaraz tupnie nogą ze zniecierpliwienia.

- Wystarczy, Dinko - powiedział Asaf zmieszany. - To Lea. Co ci się stało?

Ona się jednak nie uspokoiła. Okrążyła Asafa, jakby zakreślając wokół niego linię, po czym usiadła tyłem do niego, a pyskiem do Lei i wydała jeszcze jedno wymowne szczeknięcie.

- Patrzcie no - mruknęła cicho Lea.

Coś ukłuło go w plecy pod plecakiem Tamar. Chciał się odwrócić, ale wtedy to coś wbiło się jeszcze mocniej. Jakby przyłożono do niego stalową rurkę.

- Najpierw odpowiedz tej pani na pytanie - rozległ się z tyłu głos starszego mężczyzny - jeśli nie chcesz, żebym cię rozkwaślił kulami dum-dum, które rozprysną się po całym twoim ciele i żadnej tkanki nie zostawią nienaruszonej.

380

- Mosze! - zawołała ze złością kobieta. - Nie musisz tego tak dokładnie opisywać.

Ludzie tu jedzą!

Ja chyba oszalałem - pomyślał Asaf. - Strzelba? Idą na mnie ze strzelbą? Co się tu dzieje? Co takiego zrobiła Tamar, że wszyscy przez nią dostają obłądu?

- Liczę do trzech - powiedział mężczyzna - a potem mój palec zacznie powoli naciskać na spust.

- Mowy nie ma! - fuknęła Lea. - I natychmiast opuść tę swoją armatę. Samir, nakryj stół na dwie osoby w pokoju na zapleczu i daj Dince jeść. A ty, jak ci na imię?

- Asaf.

- Ty chodź ze mną.

Zaprowadziła go do małego pomieszczenia, w którym znajdowały się dwa puste stoły. Lea usiadła naprzeciw niego.

- A teraz wyjaśnij mi wszystko od początku do końca. Tylko ostrzegam - dotknęła lekko swojego nosa - że ten nos wyczuje każde kłamstwo.

Asaf pokazał jej mandat i wyjaśnił, jaką metodą Da-noch odnajduje właścicieli zabłąkanych psów. Jednak Lea nawet nie spojrzała na druk. Zlustrowała Asafa,

przyjrzała się uważnie jego twarzy i jakby wchłonęła go w siebie.

- A tak swoją drogą - weszła Asafowi w słowo - jestem Lea.

Wyciągnęła do niego swoją wielką, męską dłoń i ze zdziwieniem poczuła, że Asaf omal jej nie zmiażdżył.

- A teraz powiedz, gdzie tak oberwałeś? - Wskazała na jego nabrzmiąły nos.

Asaf opowiedział.

- Nie rozumiem, co tam robiłeś, skąd się tam wzięłeś? Asaf opowiedział jej wszystko, również o Siergieju.

381

-A to skąd? - wskazała na długie zadrapanie na czole o którym Asaf zdążył już zapomnieć.

-To? Skąd się to wzięło... A, to było wczoraj. Taki jeden policjant...

I opowiedział całą historię.

Lea wysłuchiwała jej z uwagą.

A potem o tym, jak go ścigali przez całe miasto.

- To należy do niej - oznajmił, zdejmując wreszcie plecak, po czym opowiedział, jak odebrał go z przechowalni.

Lea nie odzywała się ani słowem. Siedziała, patrząc na niego, i tylko dwie pionowe bruzdy na jej czole stały się jeszcze głębsze. Nagle jakby się obudziła:

- Ale przy całej tej bieżaninie pewnie nic dzisiaj nie jadłeś! Najpierw zjedz, a potem dalej pogadamy.

Kiedy to powiedziała, Asaf rzeczywiście poczuł, że ssie go w żołądku.

- Ale co z Tamar? - wymamrotał, przełykając ślinę. - Chyba szkoda czasu, trzeba się śpieszyć.

Lea zauważyła, że jabłko Adama chodzi mu w górę i w dół, słyszała też jego odpowiedź i coś się w niej nagle poruszyło. Prowadziła tę restaurację już od ponad dwunastu lat i aż do tej chwili nie zdarzyło się, żeby ktoś odrzucił zaproszenie na obiad.

- Tamar jest w bezpiecznym miejscu - odparła, wbrew wszelkim zasadom ostrożności. - Przede wszystkim musisz się najeść.

-Ale nie mam pieniędzy- przypomniał sobie rozgoryczony. - Ukradli mi.

- To będzie na rachunek firmy. Co lubisz?

- Wszystko - uśmiechnął się Asaf, po czym wyciągając przed siebie nogi, czując, że dobrze trafił.

382

- No to dostaniesz wszystko - stwierdziła, po czym podniosła się z krzesła i stanęła przed nim wyprostowana. _ Wracam do kuchni, ale nie martw się, nie zapominam o tobie.

Po chwili Asaf siedział i pałaszował wspaniały zestaw potraw, które przysłała mu Lea. Były wyśmienite, wspaniale przyrządzone, wywoływały coraz to nowe doznania smakowe, przyprawiały o zawrót głowy i mąciły zmysły, jednak ich przekaz był zrozumiały i jednoznaczny: ktoś tutaj chce Asafowi dogodzić.

Lea raz po raz zaglądała z kuchni przez małe okienko, przyglądając się Asafowi z głębokim namysłem i z wielką przyjemnością obserwując jego zdrowy, solidny apetyt. Nagle drgnęła, stanęła pochylona, jakby chwycił ją atak korzonków albo coś ją tknęło. Wezwała Samira i po cichu zamieniła z nim kilka zdań na boku. Poprosiła, żeby poszedł do niej do domu, odesłał opiekunkę i przyprowadził tutaj Nojku.

Szybko. Samir spojrzał na nią zaskoczony:

- Tutaj? W czasie pracy? Jesteś pewna?

- Tak, tak. - Była pewna. - Szybko. Musi mi pomóc coś wyjaśnić, to pilne.

- Widzi pani, ja wiem, że ona zniknęła - powiedział Asaf, czując, że należy wreszcie porozmawiać o interesach. Lea siedziała naprzeciw niego i mieszała czarną kawę. - I wiem, że ma poważne kłopoty, chcę ją odnaleźć. Pomoże mi pani?

- Chciałabym - odparła zwyczajnie - ale nie mogę.

- Ech - Asaf westchnął zawiedziony. - Teodora też nie mogła.

Zaległa długa cisza, lekkie napięcie zawisło w powietrzu. Lea pomyślała ze zdziwieniem: Czyżbyś dotarł nawet

383

do Teodory? Przez cały czas była bardzo poruszona. Nje wiedziała nawet, dlaczego. Asaf milczał. To nie fair. Ktoś musi mu teraz pomóc, bo sam nie da rady. Lea też

czuła się niezręcznie, odmawiając mu, dlatego spróbowała ożywić rozmowę:

- Wiesz, że ja nigdy w życiu nie spotkałam tej Teodory? - Wzruszyła ramionami. - Czasami sobie myślałam, słowo honoru, że może to tylko jakieś wymysły Tamar. No dobrze - dodała, jakby chcąc coś ostrożnie wy badać.

- Wiesz już, że raz po raz przychodzą jej do głowy różne dziwne pomysły, prawda? Asaf pomyślał o Szczęsnym, stanęła mu też przed oczami tamta dziewczynka stojąca na beczce i uśmiechnął się.

-1 że... - Lea czuła, że balansuje teraz na bardzo cienkiej linii, mówi o Tamar komuś zupełnie obcemu, choć mimo wszystko, jej szósty zmysł podpowiadał, że wyświadcza Tamar przysługę - ...bardzo jej zależy na tym, żeby jej przyjaciele nie spotkali się nigdy ze sobą. Ona z każdym z nich musi być sam na sam, jakby w świecie, który należy tylko do nich dwojga - powiedziała i znów obserwowała, jaki wpływ wywierają na niego jej słowa. Pomyślała, że pomijając wszystko inne, ten chłopak ma zniewalający uśmiech. -A kiedy ją pytam, dlaczego tak robi, to co ona na to? „Dziel i rządź"! I co ty o tym myślisz?

- Co j a o tym myślę? - Było mu bardzo miło, że awansowano go do rangi komentatora spraw Tamar, jak gdyby przez swoją eskapadę zebrał dość doświadczenia i wiedzy, by wytłumaczyć jej postępowanie. Po chwili powiedział:

- Może... Może dzięki temu ma więcej wolności, to znaczy... - nagle nasunęło mu się ulubione słowo Reli

- przestrzeni.

384

- Otóż to - ożywiła się Lea. - Gdybyś mnie pytał o zdanie, to dzięki swojemu „dziel i rządź" ona przy każdym może być zupełnie innym człowiekiem, mam rację?

- Też mi się tak zdaje - podsumował Asaf. - Ta jej wolność. To jest dla niej najważniejsze.

Siedział przez chwilę nieco zmartwiony. Coś innego wprawilo go w zakłopotanie, miało to związek z Reli i Nosorożcem, jakby przez chwilę dopuścił do siebie myśl, że nawet w tym, co mówi Reli, może być trochę racji.

Lea schowała twarz w swojej wielkiej dłoni i spojrzała na niego - albo może poprzez

niego. Na chwilę odbiegła myślami gdzieś daleko, po czym znów wróciła do Asafa.

- Powiedz mi, czy ty... - Jak o to zapytać? - Czy oprócz szkoły czymś się jeszcze zajmujesz? Uprawiasz jakąś sztukę czy coś?

- Nie - zaśmiał się. - Co za pytanie?

- Nic, tak tylko. - Przez jej wargi przemknął lekki uśmiech zadowolenia.

Asaf zastanawiał się, czy jego fotografowanie można nazwać sztuką. W sumie może i tak. Tak uważał jego nauczyciel z kółka fotograficznego. Na wystawie z okazji zakończenia roku szkolnego pokazano pięć jego prac, ale on nigdy nie pomyślał o sobie jako o „artyście”. Sama myśl o tym budziła w nim niechęć. Być może dlatego, że Reli uparcie przedstawiała się jako „artystka”, a jemu zawsze wydawało się to nieco fałszywe. Prawdziwymi artystami byli Cartier-Bresson czy Dianę Arbus i wszyscy inni, których prace podziwiał i dzięki nim się uczył, ale gdzie mu tam do nich.

385

Nagle oczom Asafa ukazał się rozkrzyczany tobołek. To wrócił Samir i z westchnieniem ulgi podał Lei małą rozzłoszczoną dziewczynkę, wyjaśniając, że spała, kiedy przyszedł, a potem krzyczała tak przez całą drogę.

Asaf ocenił ją na dwa, trzy lata. Była maleńka, miała skórę koloru kości słoniowej, czarne, bardzo proste włosy i równie czarne skośne oczy, teraz zaciśnięte ze złością i prawie niewidoczne. Przeniósł spojrzenie z dziewczynki na Leę i z powrotem, próbując się domyślić, co wiąże tę postawną, śniadą kobietę o pokancerowanej twarzy ze skośnooką dziewczynką, aż nagle zrozumiał. Jakie to proste.

- Lea! - dobiegł głos z kuchni. - Co z marynatą?

Lea wstała, trzymając rozkrzyczaną dziewczynkę na rękach, zawahała się przed drzwiami do kuchni, cofnęła i znienacka podała ją Asafowi. Wziął na ręce drobną, zdumiewająco lekką dziewczynkę, ważącą mniej więcej połowę tego, co Muki, o której mama mówiła, że „chodzi po ziemi na kurzych udkach”. Natomiast ta tutaj była lekka jak piórko, pachnąca i piękna, przynajmniej sądząc z tego, co dało się zobaczyć poprzez burzę, jaką wywoływała swoim krzykiem i piąstkami, bijącymi na oślep we wszystkie strony. Asaf uśmiechnął się do niej, a ona krzyczała dalej. Oblizwał

wargi tak jak Dinka, a ona wierzgnęła. Wreszcie zaszczeakał, a wtedy ucichła.

Spojrzała na niego zaskoczona, ale i z wyczekiwaniem. Znów zaszczeakał, a do tego poruszył uszami. Dziewczynka szybko przeniosła swoje bystre spojrzenie z Asafa na Dinkę. Coś zaczęło się przebijać przez łyzy. Asaf uniósł palec. Dziewczynka też uniosła swój paluszek i dotknęła nim jego palca. Chlipnęła jeszcze kilka razy, ale już z uśmiechem. Asaf kiwnął głową, a ona po nim powtórzyła, potem pokręcił głową, a ona też - i tak, bez

386

słów, poprzez spojrzenia, cmoknięcia, miny, nagle się obudziła cała jego tęsknota za Muki, ujawniła się z całą ostrością i zabolęła. Noa wyciągnęła rączki, żeby dotknąć twarzy Asafa, przesunęła nimi po oczach, po spuchniętym nosie, dotknęła zsiniałych krwiaków, a on siedział z przymkniętymi powiekami i rozczulony pozwalał jej na wszystko. A kiedy otworzył oczy, zobaczył, że Lea już wróciła i chciał jej oddać dziewczynkę, lecz ta wyraźnie nie miała ochoty się z nim rozstawać.

- Widzę, że przypadłeś Noi do gustu - powiedziała Lea z powagą. - A teraz...

Noa jednak nie była gotowa dzielić się Asafem z kimkolwiek. Obiema rączkami chwyciła jego twarz i zwróciła ku sobie, po czym z przejęciem zaczęła mu opowiadać o chomiku w żłobku, który skaleczył się o szkło i poleciała mu krew... Asaf powtarzał po niej wypowiedane do połowy słowa i rozszyfrowywał je po kolei. Kiedy Muki była w tym wieku, też wymawiała tylko po jednej sylabie z każdego słowa, Asaf sporządził specjalny słownik, żeby opiekunka mogła ją zrozumieć. Lea siedziała z boku, przysłuchiwała się ich rozmowie i twarz jej pojaśniała.

- To teraz posłuchaj - powiedziała w końcu, kiedy Noa zgodziła się rozstać z nim na chwilę i zaczęła się tarzać z Dinką po podłodze. - Chcę ci coś powiedzieć.

Asaf momentalnie spoważniał i wyprostował się na krześle. Lea podniosła ręce i złożyła palce przy ustach jakby w mały namiot, a znad jego wierzchołka widać było utkwione w Asafa wąskie oczy, w których nagle pojawił się niepokojący błysk.

- Musisz wiedzieć, że jeśli w jakikolwiek sposób skrzywdzisz tę dziewczynę, dopadnę cię nawet na drugim końcu świata i tymi dziesięcioma palcami cię uduszę. Słyszałeś, co powiedziałam?

387

Asafwybąkat jakąś odpowiedź. Przypomniął sobie i Teodora też powiedziała mu coś podobnego, z tym że* taj, przy Lei, miał wrażenie, że już jej się zdarzy}0 roiy. podobne rzeczy.

- Może nie jestem najmądrzejsza na świecie - oświad czyła dziwnym, nieco podniosłym tonem, jakby zaczynał przemówienie - i Bóg jeden wie, ile głupstw w życiu popełniłam... - Mimowolnie dotknęła palcami swoich długich blizn; te rany zadało jej trzech bandziorów z konkurencyjnego gangu żyłką wetkniętą w surowy ziemniak. - Studiów też żadnych nie mam, skończyłam na dziewiątej klasie wieczorówki. Ale znam się trochę na ludziach. Patrzę na ciebie od godziny i swoje już wiem.

Asaf nie rozumiał, do czego ona zmierza, ale nie chciał jej przerywać.

- Tak się sprawy mają - powiedziała, kładąc otwarte dłonie na stole. - Tamar wpadła w tarapaty.

Narkotyki - pomyślał Asaf.

- To nieciekawa historia, są w nią zamieszane rozmaite typy spod ciemnej gwiazdy. Wręcz kryminaliści.

Asaf słuchał. Do tej chwili nic z tego, co mówiła, nie było dla niego zaskoczeniem (tylko jedna rzecz go zdumiała, mianowicie, że on sam jest w stanie siedzieć tak i rozmawiać z kimś zupełnie obcym, kogo dopiero przed chwilą poznał. Mimo całego napięcia i lęku Asaf poczuł się tak, jak gdyby mimowolnie nauczył się niezwykle skomplikowanego tańca).

- I tak ścigali cię, kiedy tutaj szedłeś - mówiła dalej Lea. - Założmy, ale tylko założmy, gdybym powiedziała ci, gdzie ona teraz jest, i założmy, że ty byś tam poszedł, to ani się nie obejrzysz, a już będziesz ich miał na karku. I choćbyś był nie wiem jak sprytny, nie wymkniesz się im.

388

Są od ciebie lepsi w te klocki. Teraz rozumiesz, czym się martwię?

Asaf milczał.

-Właśnie dlatego proponuję, żebyś zostawił psa tutaj.

- Dlaczego?

- Bo myślę, że oni szukają chłopaka z suką, no nie? Jak wyjdiesz bez niej, założę się, że nikt nawet na ciebie nie spojrzy. Już ja ich znam.

Asaf zamyślił się.

- No więc co ty na to?

- Zabieram Dinkę i szukam Tamar dalej.

Lea westchnęła, popatrzyła na jego obitą twarz.

- Powiedz - zadała to samo pytanie, które dawniej, piętnaście lat temu, nieustannie zadawano jej samej - czy ty niczego się nie boisz?

- Jasne, że się boję - zaśmiał się i pomyślał: Szkoda, że pani nie widziała, jak trząsałem portkami tam, przy sadzawce, i jak drżałem ze strachu, biegnąc tutaj. - Ale ją znajdę.

- Sam nie wiedział, skąd nabrał takiej pewności. Czuł, że podobnie jak tamten dziadek ze strzelbą, mówi teraz jak postać z filmu. - Nie no, muszę - bąknął pod nosem i zatopił się w myślach, zapominając na chwilę o całym świecie. - W końcu ją znajdę...

Lea przyglądała mu się z wyraźnym zadowoleniem: jak pochyła się na krześle i łączy ze sobą kolana, ale jednocześnie nie przystawia do siebie stóp; na palce u jego rąk, z których każdy zwrócony jest w nieco inną stronę, na te jego zezowate palce, które splotły się w dziecięcym, marzycielskim geście, jakby chciał wypowiedzieć jakieś życzenie. Jego nieśmiały, nieco skryty uśmiech uleciał na zewnątrz, zostawiając dwie plamki światła w kącikach ust, a wtedy Lea się poddała.

389

- Tak... - wyszeptała słabym głosem, jakby w odpo wiedzi na jego myśli.

- ...od tego chodzenia za nią właściwie prawie już ja znam - powiedział, ku własnemu zaskoczeniu. Słowa p0 prostu same wyleciały mu z ust.

- Dokładnie to samo pomyślałam na samym początku rozmowy - mruknęła Lea.

- Co takiego? - spytał, zaskoczony ich lunatyczną rozmową.

- Chodź - powiedziała Lea, wstając. - Jedziemy na małą wycieczkę.

- Dokąd?

- Zaraz się przekonasz. -A po drodze bąknęła jeszcze sama do siebie: - My, kobiety

musimy sobie pomagać.

Wydała instrukcje kucharzowi, przygotowała butelkę wody dla Noi, napisała coś na kartce i włożyła ją do koperty. Asaf o nic nie pytał. Kiedy wychodzili z podwórza przy restauracji, rozejrzał się ostrożnie w prawo i lewo. Zaulek był pusty. Zauważył, że Lea też rozgląda się na boki, nawet Din-ka badała teren. Na parkingu Lea przedstawiła go swojemu staremu złotemu „garbusowi”, przypięła Noę do wspaniałego dziecięcego fotelika, wartego co najmniej tyle, ile cały samochód. Przez pewien czas jechali wąskimi uliczkami, czasami Lea zatrzymywała się z boku i czekała kilka minut, by dopiero potem ruszyć dalej. Raz zahamowała niespodziewanie, kiedy ulica zdawała się zupełnie pusta, po czym ostro skręciła na mały parking i czekała. Chwilę później przebiegło tamtędy dwóch mężczyzn. Asaf rozpoznał jednego z nich, tego chudego, który go wcześniej gonił. Spojrzał na Leę ze zdumieniem, nie rozumiejąc, jak się zorien-

390

towała, że są w pobliżu, mimo że nie było ich jeszcze widać.

- Pies wyczuje psa - zażartowała, a potem ruszyła prędko w przeciwnym kierunku, pod prąd.

Jechali tak jeszcze przez kilka minut, zgodnie z tym, co podpowiadały jej zmysły.

Asaf zauważył, że Lea patrzy częściej we wsteczne lusterko niż przez przednią szybę, jednak o nic nie pytał.

- Posłuchaj - powiedziała po chwili. - Nie obraż się, ale wolałabym, żebyś zamknął oczy. Lepiej, żebyś nie widział, którędy jedziemy.

Zrozumiał od razu. Zamknął oczy. Słyszał, jak Lea mówi:

- Żebyś nawet, gdyby cię złapali, nie był w stanie im powiedzieć, dokąd jechałeś.

- Chce pani, żebym zawiązał oczy?

- Nie - zaśmiała się. - Ufam ci.

Przyjemnie było tak jechać. Zaznać nieco spokoju po całodziennej bieganinie i przed tym, co go jeszcze czekało. Noa zasnęła z tyłu, a Asaf pomyślał, że on też nie miałby nic przeciwko temu, żeby się trochę zdrzemnąć.

- Chcesz posłuchać muzyki? -Nie.

-A chcesz posłuchać pewnej historii? Tylko nie otwieraj oczu!

-Tak.

Wtedy Lea opowiedziała mu o swojej restauracji i o ciężkich latach praktyki we Francji, a przy okazji, oczywiście, musiała także napomknąć, choć tylko ogólnikowo, o swoim poprzednim wcieleniu; łypnęła ukradkiem w stronę Asafa, żeby sprawdzić, czy to go nie przeraża, i zobaczyła, że nie. Odetchnęła głęboko, wyprostowała ręce na

391
kierownicy i ze spokojem mówiła dalej, tak jak czasami ro mawiała z Tamar, i nawet nie próbowała się przeciwsta wiać temu niezwykłemu wewnętrznemu impulsowi, który nagle ją do tego skłonił - wprost przeciwnie, poddała się miłej i zniewalającej energii emanującej od Asafa. Przez chwilę zawahała się, czy opowiedzieć mu o Szaju, lecz w końcu doszła do wniosku, że i tak powiedziała już za dużo i że nawet za to oberwie jej się od Tamar, więc lepiej pozwolić, by sam poznał całą resztę. Co pewien czas popatrywała na Asafa kątem oka i przyszło jej do głowy, że może dokładnie przewidzieć, jak będzie wyglądał za dziesięć, dwadzieścia i trzydzieści lat. Chwilami miała wrażenie, że chłopak zasypia, więc przestawała mówić, a wtedy on wydawał lekki pomruk i Lea mówiła dalej. Opowiedziała o Nojku, że jest największym prezentem, jaki dostała od życia, zresztą, nawiasem mówiąc, również w dużej mierze dzięki Tamar, która zachęciła ją do tego kroku. Nagle zawołała:

- Nie wiem, dlaczego ja ci o tym opowiadam. Myślisz pewnie, że mówię to wszystko od razu każdemu napotkanemu człowiekowi?

-Jasne. Opowiadaj dalej.

Samochód pędził drogą. Noa westchnęła cicho przez sen. Lea mówiła. Wreszcie umilkła. Nawet nie otwierając oczu, Asaf czuł, że stała się bardziej spięta. Jechali stokiem wzgórza po wyboistej szosie. Na jego powiekach położyło się pomarańczowe światło popołudniowego słońca. Lea prowadziła teraz bardzo powoli.

- Gdybyś mnie zapytał - odezwała się nagle zmienionym głosem - tobym ci pewnie powiedziała...

- Co takiego? - spytał Asaf.

- Że przedwczoraj tutaj wysadziłam Tamar.

Asaf otworzył oczy. Zobaczył, że stoją przy pustym przystanku autobusowym. W pobliżu na słupie elektrycznym kołysała się tekturowa tabliczka z napisem: „Na wesele Sigi i Motiego”. Lea podniosła okulary słoneczne, rozejrzała się dookoła, spojrzała ze skupieniem we wsteczne lustro. Noa obudziła się i zaczęła płakać. Kiedy jednak zobaczyła Asafa, od razu się uśmiechnęła. Asaf przesunął palcem po jej delikatnym policzku, a ona chwyciła go za palec i wymówiła jego imię.

Wysiadł z samochodu, a Dinka, która przespała całą drogę, wyskoczyła za nim, otrząsając się. Lea wyciągnęła małą kopertę i wręczyła ją Asafowi.

- Daj to ode mnie Tamar. To list z wyjaśnieniem. Żeby mnie nie znienawidziła. I uważaj na siebie. - Posłała mu całusa w powietrzu. - Powodzenia, Asaf. Zaopiekuj się nią.

Zawróciła i znikła.

Asaf natychmiast zszedł z szosy w głąb wadi. Skulił się za głazem, odczekał jeszcze kilka minut, nasłuchując, czy nagle nie zatrzyma się tam jakiś samochód. Głucha cisza. Ani silnika, ani kroków. Był sam, nikt go nie śledził. Jednak czuł się nieswojo, nie mając pojęcia, gdzie się znajduje.

Między skałami wila się ścieżka. Asaf zaczął schodzić po niej w dół. Dinka znów stała się czujna, wyostrzyła wszystkie zmysły. Asaf co chwila musiał ją przywoływać. Pod zgiętym dębem przytrzymał ją, a potem klęknął i szepnął jej na ucho:

- Musimy skradać się po cichu. Nie szczekaj, dobrze? Nie wydawaj głosu, dopóki nie zobaczymy, co się tam dzieje, obiecujesz?

Zeszli niżej. Dolina była znacznie głębsza, niż się wydawało z góry. Minęli wąski blok skalny. Szli powoli, bardzo cicho. Kiedy znaleźli się między dwoma pagórkami, dosłyszeli głosy.

Asaf nie wiedział, skąd dochodzą. Były to odgłosy szamotaniny, krzyki i jęki. Bardzo młody mężczyzna, a może chłopak, wykrzykiwał histerycznie: „Nic ci to nie da, nie będziesz mnie tu trzymać, nie jestem twoim jeńcem”, słychać też było dziewczynę,

która płakała, a może usilnie o coś prosiła.

Dinka wyrwała się Asafowi z ręki i dopiero przed samym szczytem pagórka zdołał ją dopaść i położył się na niej. Oboje ciężko dyszeli. Asaf błagał ją szeptem: „Cicho, cicho, Dinko, jeszcze nie”. Nie wiedział, co ma teraz zrobić. Był zagubiony i wystraszony, chyba dlatego zdjął pasek, by przywiązać Dinkę za obrożę do cieniutkiego pnia jakiegoś drzewa. Patrzyła na niego tak urażonym wzrokiem, że przywiązywanie szło mu z wielkim trudem. Potem wdrapał się bezszelestnie na szczyt pagórka. W dole, za rosochatym drzewem, zobaczył ciemną plamę, która z początku wyglądała jak wielka paszcza, a po chwili okazała się wejściem do jaskini. Stał tam młody mężczyzna, spocony i zdyszany, drżały mu ręce. Był bardzo wysoki i chudy, słał się na nogach. Po chwili Asaf zauważył, że jest tam ktoś jeszcze, kto leży nieruchomo na ziemi u jego stóp. Wydało mu się, że to krótko ostrzyżony chłopiec. Teraz był zupełnie zdezorientowany: kim oni są? I gdzie jest Tamar? Jednakże młody mężczyzna zauważył go zza grzbietu pagórka, oczy zapłonęły mu strachem i zaczął uciekać w przeciwnym kierunku. Asaf, nie wiedząc, co ma robić, popędził za nim. Pościg trwał zaledwie kilka sekund. Młody człowiek biegł powoli, wyraźnie osłabiony, lecz za każdym razem, gdy Asaf miał go już dosięgnąć, strach dodawał mu energii, by przebiec jeszcze kilka kroków po stoku wadi. Asaf podciął go przy kępie krzaków i przygniótł własnym ciałem, po czym natychmiast wykręcił mu rękę do tyłu, tak

394

samo jak nieraz w ciągu ostatnich dni robiono jemu samemu. Chłopak leżał pod nim i płakał, błagając Asafa, by go nie zabijał, jemu zaś zaświtała niejasna myśl, że to bardzo dziwne i nielogiczne: bo przecież ktoś tak wystraszony i słaby nie mógłby być jednym z prześladowców Tamar. Chłopak próbował poderwać się z ziemi. Wił się i skręcał. Asaf przycisnął go do ziemi i krzyknął, żeby się nie ruszał. W tym samym momencie usłyszał pośpieszne kroki w krzakach za sobą. Odwrócił się, za wolno, i zobaczył, jak jakiś przedmiot spada na niego z góry, a niebo wali się, pękając na dwoje. Po chwili czuł już wyraźnie, że został mocno uderzony w bok głowy. A potem nic.

jak ty, kiedy rozwijasz skrzydła...

- Nie ruszaj się! Nie wstawaj! Jeden ruch i...

Asaf słyszał, ale po prostu musiał się poruszyć. Bał się że jeśli będzie tak nadal leżał, mózg wypłynie mu przez jedno z uszu. Wszystko to połączyło się z pulsującym bólem głowy po ciosach, jakie spadły na niego rano. Teraz po ostatnim uderzeniu, tamten ból odnowił się z wielką siłą, rozsadzał mu czaszkę, jakby z radością witał nowego towarzysza.

- Kim jesteś? - krzyknęła Tamar. - Czego chcesz? Asaf spojrzał na nią, próbując połączyć w całość obraz,

jaki mu stanął przed oczami, ale krótko ostrzyżona głowa nijak nie pasowała do głosu, który słyszał. Wśród wypełniających jego głowę kłębow mgły błysnęła myśl: To dziewczyna, nie chłopak. Kto to jest?

I nagle przeniknął go jeszcze jeden ostry ból: to ona. Ale gdzie się podziały jej włosy? Gdzie jej długie, czarne włosy?

Zza pagórka dobiegło szczekanie, którego Tamar nie usłyszała, być może dlatego, że była bez reszty skupiona na Asafie. Chciał jej powiedzieć, że to Dinka, ale przedtem musiał usiąść i wyciszyć w sobie ognisko bólu. Wyprostował się lekko, a Tamar natychmiast skoczyła, stanęła tuż nad nim i zamachnęła się wielką budowlaną deską. Sterczał z niej rząd zardzewiałych gwoździ i Asaf miał nadzieję, że go nie pokaleczyły. Dotknął głowy nad uchem, ale nie poczuł krwi. Tylko kolejny, wielki i gorący guz do kolekcji. Chudy chłopak usiadł na ziemi niedaleko od niego, oparł się o głaz i zamknął oczy.

- Po co tu przyszedłeś? - Jej głos był zdławiony i ochryply z napięcia i strachu. - Czego chcesz?

Asaf zaczął rozumieć: Tamar sądzi, że on jest jednym z tych, którzy ją ścigają. Trzeba jej wyjaśnić. Z wysiłkiem próbował się dźwignąć.

398

-Jak tylko wstaniesz...!

Nie wiedział, co robić. Tamar migąła mu przed oczami, to zbliżała się, to oddalała, wydała mu się dzika, przerażona i niebezpieczna. Popatrzył na nią i pomyślał, że

nawet tak - z krótko obciętymi włosami, wściekła, a do tego z deską w ręku i w umorusanym kombinezonie - nawet tak jest znacznie piękniejsza, niż sądził, a przynajmniej niż ona pisała sama o sobie w dzienniku. Siedział i po prostu na nią patrzył, próbując dopasować jej wygląd do wszystkiego, czego się o niej dowiedział, co sobie na jej temat wyobrażał i na co w głębi serca liczył, lecz ona okazała się różna od wszelkich jego przypuszczeń. Na przykład jej oczy-Teodora mówiła coś o nagim, wyzywającym spojrzeniu, ale nawet słowem nie wspomniała o ich niepowtarzalnym kolorze, szaroniebieskim (kiedyś uchwycił podobny odcień na zdjęciu wykonanym na szczycie góry Scopus, kiedy jesienne mgły o brzasku wznosiły się do nieba), ani o tym, jak jej oczy są od siebie oddalone, jak gdyby roztaczała się między nimi spokojna równina, przestrzeń.

Miał jej tak wiele do powiedzenia, lecz nawet nie otworzył ust. Nie dlatego, żeby się jej bał, tylko dlatego, że zawsze tak się z nim działo przy dziewczynach. Prawie przy każdej. A kiedy znalazł się w towarzystwie takiej, która naprawdę robiła na nim wrażenie, zawsze czuł, że zaczyna schodzić, posłusznie i z rezygnacją, w dół po kolejnych szczeblach na drabinie ewolucji.

Siedział, obejmując rękami kolana, i czekał. Chudy młodzieniec kołysał się w przód i w tył z zamkniętymi oczami i obaj wyglądali trochę jak jej jeńcy, a im dłużej trwało milczenie, tym bardziej narastała w Asafie złość na samego siebie: po całej tej morderczej wyprawie, jaką przeżył, aby do niej dotrzeć, miał nadzieję, że będzie się przy

399

niej zachowywał nieco inaczej. Nawet przy Lei poczuł, że zaczyna się trochę zmieniać. A teraz co się okazało? że nadal jest tym samym fajtłapą, który boi się otworzyć usta. Nagle młody mężczyzna, nie otwierając oczu, spytał:

- Czy to nie Dinka?

- Dinka? - Tamar zadrżała. Spojrzała w kierunku z którego dochodziło szczekanie.

- Przyprowadziłem ją do ciebie - odezwał się Asaf. - Tyją przyprowadziłeś? Ale jak... Skąd?

- Nieważne. Miałem ci ją przyprowadzić, to przyprowadziłem. - Asaf sięgnął do

kieszeni koszuli i wymacał tam kartkę, druk 76, na którym już prawie nie dało się odczytać liter. - Nieważne - bąknął, zwijając druk w małą kulkę, którą zaraz wcisnął z powrotem do kieszeni. Jeszcze sto pięćdziesiąt szekli, sto pięćdziesiąt do tyłu. W tym roku z teleobiektywu nici.

Tamar cofnęła się kilka kroków, nie spuszczać Asafa z oczu, i wspięła się na pagórek. Kiedy zawołała „Dinka!”, suka po prostu zerwała pasek z krzaka i pofrunęła do Tamar. W miejscu, gdzie się spotkały, wzbił się tuman kurzu oraz okrzyki zdumienia, skomlenie i szczekanie. Asaf patrzył i mimo przejmującego bólu musiał się uśmiechnąć.

Podniósł się z wysiłkiem i stanął, próbując dojść do siebie. Wiedział, że za chwilę po prostu odejdzie, wróci tam, gdzie jego miejsce, i przez resztę życia będzie nienawidził samego siebie za swoje nieudacznictwo i tchórzostwo, jednak nie umiał nic na to poradzić. Gdyby zamiast niego był tu Roi, już dawno zaczęłby zagadywać ją i czarować ubarwionymi opowieściami o swoich przygodach, a przede wszystkim rozśmieszałby ją. Rozśmieszał? To mało powiedziane: przy nim Tamar wręcz by się pokładała, turlała ze śmiechu.

400

Kiedy się poruszył, natychmiast uniosła deskę na wysokość oczu. Asaf zrobił dwa kroki do przodu. Wzruszył ramionami, pokazał, że ręce ma puste, niech tylko pozwoli mu przejść, a on wróci do domu. Jego misja tu się skończyła, a jutro trzeba iść znów do pracy w urzędzie miejskim. Tamar przypatrywała mu się ze zdziwieniem, bo cały swój wewnętrzny konflikt miał wypisany na twarzy, która teraz wydała jej się udręczona i bardzo smutna. Tamar nie rozumiała, kim on jest, i w pewnej chwili nie była już całkiem pewna, czy naprawdę może być dla niej groźny, ale nadal się bała, więc kiedy zrobił kolejny krok w jej stronę, syknęła gwałtownie: „Dinka, bierz go!” Asaf popatrzył na nią zdumiony (nie mógł, oczywiście wiedzieć, że dziewięć lat wcześniej ojciec Tamar zgodził się kupić sukę wyłącznie pod warunkiem, że przejdzie ona specjalną tresurę, by w razie potrzeby umiała bronić Tamar. Teraz, po dziewięciu latach, Tamar przypomniała sobie nagle o tym przedziwnym warunku). Dinka postawiła uszy i ani drgnęła. -Bierz go, Dinka, bierz

go!" - wołała Tamar przestraszona, naśladowując mimowolnie południowoafrykański akcent tresera. Dinka przeszła kilka kroków, zbliżyła się do Asafa i potarła głową o jego kolano, a potem wsunęła nos w jego dłoń. Tamar osłupiała. Jeszcze nigdy nie widziała, by Dinka wykonała ten gest wobec kogokolwiek prócz niej.

- Ktoś ją znalazł, jak błąkała się po ulicach - powiedział Asaf - i przyprowadził ją do urzędu miejskiego, a ja tam pracuję w czasie wakacji...

- W urzędzie miejskim?

-Tak, mój ojciec zna tam... Nieważne. Więc ja kręciłem się razem z nią po mieście i szukaliśmy ciebie.

Tamar popatrzyła na Dinkę, jakby prosząc ją o potwierdzenie jego słów. Dinka spojrzała najpierw w prawo,

401

potem w lewo, oblizwała się, a potem stanęła na tylnych łapach, opierając przednie o pierś Asafa. Tamar wypuściła deskę z rąk.

- Widzę, że oberwałeś po drodze - powiedziała. Asaf powiódł dłonią po galerii swoich ran.

- Zazwyczaj tak nie wyglądam - powiedział zakłopotany.

- Zazwyczaj tak nie biję.

Asaf milczał. Przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Podrapał się butem po nodze powyżej kostki.

- Aha, masz pozdrowienia od paru osób - przypomniał sobie nagle. - Od Teodory i od sprzedawcy pizzy. I od Szczęsnego. Od Lei. I od Noi, tak, i od niejakiego Honigma-na, który u nich był. - Z każdym imieniem oczy Tamar robiły się coraz większe. - I jeszcze od kogoś z Lifty, i od jednego tajniaka, który raz o mało cię nie złapał. I od dziewczyny, która gra na wiolonczeli na deptaku, w czerwonej czapce.

Tamar podeszła do niego o krok bliżej. Asaf pomyślał, że ma oczy jak wilczyca, czujne i smutne. -Wszystkich ich spotkałeś? Asaf zmieszany podrapał Dinkę.

- Ona mnie do nich zaprowadziła.

Z boku, na głazie, kołysał się Szaj, mamrocząc coś pod nosem. Oni go jednak nie widzieli. Cały świat był tylko dwojgiem oczu naprzeciwko. Tamar podeszła jeszcze

bliżej i przyjrzała się Asafowi w najwyższym skupieniu, zapominając o całym świecie, tak jakby próbowała wydobyć coś z jego oczu, z twarzy, z jego wyrośniętego, wielkiego ciała. Asaf stał bez ruchu. Takie spojrzenie zwykle było dla niego męczarnią. Sprawiało, że zaczynał się plątać i gotować w środku. Teraz czuł tylko pewną słabość w nogach.

402

-Jestem Tamar.

-Tak, wiem. - Po sekundzie zreflektował się: -Jestem Asaf.

Chwila zakłopotania. Podać sobie ręce? Zbyt oficjalnie. Na okamgnienie znaleźli się już gdzieś głębiej.

Tamar pierwsza otrząsnęła się i wskazując ręką, powiedziała:

-Ato mój brat, Szaj.

- Twój brat?!

- Brat. Dlaczego? Nie wiedziałeś?

- Bo przez cały czas myślałem, że on... to znaczy, że ty i on... ale ja w ogóle nie wiedziałem!

Tamar od razu zrozumiała.

- Myślałeś, że to mój chłopak?

Asaf zaśmiał się lekko i zaczerwienił. Wzruszył ramionami. Mała zębatka w jego mózgu zaczęła się obracać szybciej niż pozostałe, a jej zgrzyt zdawał się układać w słowa: „No, skoro tak...” Wszystko w nim zaczęło biec nowym, zaskakującym rytmem. W duszy i w ciele miał dziwne uczucie, jak gdyby jakiś nowy lokator wdarł się nagle do jego wnętrza i z miejsca postanowił je umeblować. W szalonym tempie zabrał się do przestawiania ciężkich stołów, wyrzucał przez okno stare, zmurszałe szafy, a zamiast nich wnosił coś innego, co było lekkie, zgrabne, giętkie, jak z bambusa. Nagle Asaf poczuł, że musi natychmiast wyjaśnić pewną pilną sprawę między nimi. Zdjął z grzbietu plecak Tamar i podał jej. Natychmiast wzięła go od niego, przycisnęła do serca i spojrzała na Asafa pełnym zdumienia i podejrzliwości wzrokiem: „Nawet to...?”

Usztywnił ramiona, gotując się do ciosu, jaki miał jej zadać.

- Posłuchaj, yyy... trochę podczytywałem. To znaczy, z twoich zeszytów. Nie miałem innego wyjścia.

403

-Czytałeś dziennik? - krzyknęła i zrobiła krok tyłu, co zabolalo Asafa. - Czytałeś mój dziennik? -jej 0 pociemniały ze złości, natychmiast załopotala w n wojenna flaga jej batalii o prywatność i Asaf wiedział m? że ją stracił - w chwili, kiedy właśnie ją znalazł.

Lecz Tamar równie szybko zwinęła flagę. Popatrzył tylko na niego z bolesnym rozczarowaniem. Oczekiwał wyjaśnień.

- Przeczytałem trochę - mamrotał Asaf. - Tylko kilk stron, wrywkowo. Myślałem, że być może dzięki tern dziennikowi, rozumiesz? Że uda mi się ciebie odnaleźć...

Nie zareagowała. Tylko wykrzywiła lekko wargi, ja zawsze, kiedy była zamyślona.

Chociaż w jej sercu szalała burza gniewu, bardziej niż wszystko inne zdziwiło ją, że Asaf w ogóle jej o tym powiedział. Że wyznał jej to natychmiast, w chwili kiedy ją spotkał. Przecież mógł to przed nią ukryć. Nigdy by się nie dowiedziała. Wydało jej się to niezwykle, że on jakby musiał to natychmiast z siebie zrzucić, jakby nie chciał, by były między nimi jakiegokolwiek tajemnice czy kłamstwa.

- Więc czytałeś - powtórzyła wolno, starając się uzmysłować sobie, co to dla niej oznacza: czytał jej osobisty dziennik. To najgorsza rzecz, jaką ktokolwiek mógł jej zrobić. Teraz już wszystko o niej wie. Znają tak, jak ona zna samą siebie. Rzuciła na niego ostrożne spojrzenie. Nie wygląda na to, żeby się z tego powodu szczególnie do niej zraził. Zamrugala oczami zdeorientowana. Było to coś nowego. Potrzebowała jeszcze trochę czasu, żeby to zrozumieć.

Asaf niewłaściwie odczytał jej milczenie.

-Wiesz, ja właściwie i tak już wszystko zapomniałem.

Tamar poczuła ukłucie żalu.

404

_ Nie, nie, niczego nie zapominaj - powiedziała szybko, czym zaskoczyła Asafa, a jeszcze bardziej samą siebie. I Wszystko, co tam przeczytałeś, to cała ja. Taka jestem. Teraz mnie już znasz.

- Niezupełnie - odparł, choć w gruncie rzeczy chciał powiedzieć: „Ja akurat chciałbym cię poznać lepiej”, ale nie mógł wypowiadać długich zdań bez przelknięcia śliny między słowami.

- I co teraz? - spytała nieco zakłopotana jego wzrostem i tym, że nadal stali trochę za blisko siebie, za bardzo twarzą w twarz. - Znaczą się, co teraz robimy?

Nagle zatęskniła za swoimi gęstymi, czarnymi włosami - mogłaby się za nimi przynajmniej schować, nie byłaby przed nim taka odsłonięta, niemal naga. Czemu w ogóle wygaduje takie głupstwa? Skąd jej się wzięło to wspólne „robimy”? Co niby mieliby razem robić? Próbowała cofnąć się o krok, ale jej się nie udało. Czuła się tak, jakby jej pancerz zaczął pękać, jakby wzdłuż całego jej ciała zarysowały się szczeliny.

- Cokolwiek ty zdecydujesz.

- Co, co powiedziałaś?

Nie rozumiała. Ciepło, jakie od niego emanowało, było dla niej znacznie bardziej zrozumiałe niż jego nieporadne słowa. Asaf milczał. Dlaczego on nic nie mówi? Ogarnęła się ramionami, jakby nagle zrobiło się zimno. Spuściła głowę i uśmiechnęła się do siebie tak, jak od bardzo dawna już się nie uśmiechała, choć nic jej przecież nie rozbawiło. Spojrzała na jego lewe ucho, potem na prawy but, zwilżyła językiem wyschniętą dolną wargę, wzruszyła ramionami, bez powodu, po czym potarła ramiona dłońmi. Czuła, że nad tym nie panuje. Jej ciało zaczęło się zachowywać tak, jakby ćwiczyło swoją rolę w jakimś starodawnym

405

rytuale albo uczyło się tańca, którego krok został ustalony znacznie wcześniej, miliony lat temu, i Tamar nie miała na to żadnego wpływu.

- Cokolwiek ja zdecyduję? - Uśmiechnęła się. Jej serce wykonało szybki zwrot w slalomie. Asaf też się uśmiechnął. Wzruszył ramionami, po czym wyciągnął ręce ponad głowę. Nagle całe jego ciało skurczyło się. Próbował rozluźnić nogi, wykonując lekkie kopniaki. Przeciągnął ręką po rozczochranych włosach. Plecy, plecy strasznie go swędziały, na górze, między łopatkami, tam gdzie nie można się samemu podrapać.

Uśmiechnęła się nieco szerzej.

- Ale w sumie mówisz, że przyszedłeś oddać mi Dinkę. I oddałeś, prawda? Więc co teraz?

Asaf przypatrzył się wnikliwie czubkom swoich butów, nigdy dotąd nie zainteresował się ich oryginalnym fasonem, fascynującą kombinacją czarnych cholewek z białymi podeszwami. Po chwili buty wydały mu się idiotyczne i brzydkie, a przede wszystkim przeraźliwie duże. Jak to możliwe, że przez cały rok chodzi w czymś tak paskudnym? Co w tym dziwnego, że wszyscy się z niego śmieją? Co dziwnego, że Dafi się go wstydzi? A najważniejsze, decydujące pytanie brzmiało, czy Tamar zdążyła je zauważyć, czy też da się coś jeszcze uratować? Ostrożnie, ale szybko schował jeden but za drugim, przy czym prawie nie stracił równowagi. Tylko tego brakowało, żeby się tu przy niej wyłożyć. Co robić, do licha? Twarz mu zapłonęła. Kto wie, ile czerwonych pryszczki wyskakują mu właśnie teraz, dokładnie w tej chwili. Swędzenie na plecach doprowadzało go do szału. Co się z nim dzieje? Znów naprężył ramiona i rozciągnął ręce na całą długość, a następnie oparł dłonie na piersi, jakby chciał za-

406

czerpnąć siły sam z siebie, i powiedział coś, choć nie spodziewał się, że starczy mu na to odwagi:

-Jeśli chcesz... To znaczy, może chcesz, żebym tu został?

- Tak, tak. - Zamilkła przestraszona. Skąd jej się wyrwały te dwa „taki”? Czy właśnie tego chce? Kiedy zdąży-} a w niej zakiełkować taka chęć? Co oni mają ze sobą wspólnego? W ogóle go nie zna. Jak mogłaby go wtajemniczyć w sprawę dla niej najważniejszą i najbardziej osobistą! - Poczekaj chwilę. - Zaśmiała się sztucznie, jakby nagle stała się od niego o wiele starsza. - Czy ty w ogóle wiesz, w co się pakujesz?

Asaf zawahał się. Powiedział, że z tego, co rozumiał, Tamar przed kimś ucieka, poza tym widzi, że stan Szaja jest nie naj...

- On już prawie od roku jest na heroinie - ucięła Tamar i czekała na jego reakcję. To,

co zobaczyła na jego twarzy, przyniosło jej ulgę. -Jestem tu z nim od przedwczoraj. Teraz ma się nieźle, ale dosłownie minutę przed twoim przyjściem mieliśmy tu...

- Tak - odparł Asaf. - Słyszałem. Ale dlaczego on się tak zachowuje?

-Jest na głodzie. Wiesz, co to znaczy?

Asaf pokiwał głową ze znużeniem. W jego umyśle zaczęła się rysować kolejna, nie mniej ekscytująca możliwość. Być może narkotyki, które kupowała, wcale nie były przeznaczone dla niej?

- Więc dziś w nocy, jutro i następnej nocy będzie kulminacja - oznajmiła oficjalnym głosem, uważnie obserwując, jak działają na niego jej słowa - najgorszy kryzys. Tak mi przynajmniej mówiło kilku, hm, fachowców.

-Lea?

407

- Co?! - Tamar tak osłupiała, że jej głos stracił otoczkę oficjalnego tonu i stał się nagi, pozbawiony resztek obcości. - Tak, Lea też.

Milczeli. Tamar utkwiała w Asafie świdrujące spójrz nie. Zaczynało do niej docierać, że on jeszcze nieraz n rozmaite sposoby ją zaskoczy. Jednak zdawała sobie sprawę, że nie ma teraz czasu, by to przetrwać, i że lepiej będzie wrócić na twarde grunty faktów.

- Zwykle w takim stanie zajmuje to cztery, pięć dni Dwa i pół mamy już za sobą. Więc dobrze się zastanów, czy naprawdę chcesz zostać, bo nie będzie lekko. - Przerwała na chwilę, po czym dodała trzeźwym, choć zmęczonym głosem: - I w ogóle co ci to da.

- Co? Nie, w porządku. Ale powiedz mi coś... -Tak?

Tamar odwróciła się już, żeby pomóc Szajowi, który wyciągał do niej ręce jak bezsilne niemowlę. Odwróciła się jednak również po to, by dać Asafowi sposobność do odwrotu, właśnie teraz, kiedy już wszystko wie, a jednocześnie nie poczuje się do niczego zobowiązany.

Stał koło niej.

- A dlaczego... Dlaczego on właściwie jest w takim stanie? Nie ma tu narkotyku?

- On się próbuje odzwyczaić. - Nie wiedziała, jak to powiedzieć. - My... Razem

pracujemy nad tym, żeby przestał brać.

Szaj krzyknął. Ostry ból wywołał skurcze w całym jego ciele. W jednej chwili wyrwany z półsnu zaczął się wic z bólu i krzyczeć. Tamar spojrzała na Asafa. Chwila ich intymności się skończyła. Jej oczy mówiły: „Zostajesz?“, jego zaś oczy odpowiedziały: „Tak“.

- No to zabierzmy go do jaskini - mruknęła Tamar.

408

Asaf miał więcej pytań. Miał jej trochę do opowiedzenia, na przykład o tym, że Teodora wyszła. Teraz jednak trzeba było działać. Stać się tylko i wyłącznie zdecydowanym działaniem. Chwycił Szaja pod ramiona i pomógł mu wstać, zaskoczony lekkością jego ciała. Szaj sprawiał wrażenie zupełnie pustego w środku. Uchwycił się palcami ramion Asafa jak tonący. Asaf pomyślał, że to dziwne, bo przecież on i Szaj nie zamienili ze sobą ani słowa, aż tu nagle tak się objęli. Ta myśl przechodziła mu przez głowę jeszcze dziesiątki razy tego wieczoru i tej nocy, aż wreszcie rozplynęła się zupełnie. Szaj krzyczał, płakał i wymiotował gdzie popadło. Chwilami leżał, patrząc przed siebie, i drapał się po rękach i nogach aż do krwi. Mniej więcej co minutę odbijało mu się tak głośno i przeciągle, że omal nie wywichnął sobie żuchwy. W jednej chwili zasypiał, wyczerpany, by potem nagle jego ciało wykrzywiło się, niemal wyskakując w powietrze z bólu. Asaf i Tamar pielęgowali go przez cały czas. Czyścili go, myli, poili i wycierali, zmieniali mu odzież. Asaf nawet nie zauważył, kiedy zaszło słońce i zapadła noc. Czas składał się nie z chwil, ale z czynności. Co chwilę pojawiała się coś nowego do zrobienia. Wewnątrz jaskini słychać było wyłącznie odgłosy Szaja. Tamar i Asaf prawie ze sobą nie rozmawiali. Szybko stworzyli sobie język spojrzeń i gestów, niczym zespół operacyjny w szpitalu albo dwoje nurków w morskiej głębinie. Asaf wymazał ze świadomości wszelką myśl o świecie poza jaskinią. Świat nie istniał. Nie było bliskich mu ludzi. Nie było Nosorożca, który mógł tymczasem zawiadomić policję i wszcząć poszukiwania, nie było też tych, którzy ścigali Tamar i jego. Kiedy pomyślał o dwóch nocach, które Tamar spędziła tu sama przy Szaju, nie mógł pojąć, jak to wytrzymała. Potem

przyszło mu do głowy, że odkąd tu się znalazła, prawdopodobnie nawet nie zmrużyła oka. Jednak nie usłyszał od niej słowa skargi. Pochyliła się przed nim nad Szajem, Asaf podał jej ręcznik, Tamar podała mu pusty bidon i dała znak oczami, żeby przyniósł pełny. Jej wargi złożyły się do słów „papier toaletowy”, a Asaf pomyślał, że są piękne jak z obrazka. Poszedł do kąta jaskini i przyniósł stamtąd dwie rolki. Tamar zdjęła już spodnie Szajowi. Asaf odebrał od niej zabrudzone kawałki papieru. W tej samej chwili oboje zauważyli, że Szaj ma na sobie bokserki ze Snoopym, spojrzeli na nie, a potem po sobie, jakby na potwierdzenie, że to naprawdę jest to. Snoopy w całej tej historii...

Jedna godzina, druga, trzy godziny, pięć, osiem. W tych nielicznych chwilach, kiedy Szaj zapadał w sen, prawie nie rozmawiali, zarówno ze zmęczenia, jak i dlatego, że dziwnie byłoby ni stąd, ni zowąd zacząć się sobie uprzejmie przedstawiać, jak dwoje ludzi, którzy dopiero się poznają. Padli na ziemię obok śpiącego Szaja, układając się w poprzek drugiego materaca, z nogami na ziemi. Oddychali głęboko, patrząc w strop, na ściany jaskini. Próbowali trochę się zdrzemnąć, ale bezskutecznie. Uważali, by się nie dotykać. Każde z nich czuło, że obecność tego drugiego dodaje mu nowych, ożywczych sił, lecz właśnie one nie pozwalają im zasnąć. Czasami Tamar posyłała mu ukradkowy, bezradny uśmiech, uśmiech współczucia, który zdawał się mówić: „Po co ci to wszystko” i przepraszać, a Asaf odpowiadał jej swoim najbardziej dobrodusznym, ufnym uśmiechem. Jednak ona widziała, jak jego uśmiech blednie, jak to go wyczerpuje - nie wysiłek fizyczny, Asaf wydawał jej się zupełnie nie do zdarcia, wykonany z trwałego surow-

ca - lecz cierpienia Szaja i cała ta rzeczywistość, w której się pogrążył po uszy, bez żadnego przygotowania.

O drugiej w nocy Szaj obudził się i zaczął gorączkowo szukać swojej działki. Był pewien, że Tamar ukrywa jeszcze jedną. Wciąż na nowo ją wypytywał: ile dokładnie działek kupiła od dilerka na placu Syjońskim? W „samarce” było pięć, zgadza się? A gdzie jest ta piąta? Wziął cztery, więc gdzie się podziała piąta?

Nie pomogły wyjaśnienia. Tysiąc razy powtarzała mu, że wziął już wszystkie pięć, kiedy byli u Lei. Biegał po jaskini jak dzikie zwierzę, z kąta w kąt, przewracał zapasy żywności, które Tamar poukładała, szperał w gitarze, którą przyniosła z domu, we własnych butach. Zmusił ją i Asafa, żeby zdjęli swoje buty, i je także przeszukał. Ogarnięty szaleństwem przypadkiem odkrył schowek z paralizatorem i kajdankami. Siedział i patrzył na nie przez dłuższą chwilę. Tamar pomyślała, że teraz, kiedy zobaczył, co na niego przygotowała - rzeczy, o których naiwnie sądziła, że odważyłaby się nimi posłużyć - po prostu ją zamorduje. Jednakże jego mózg działał zupełnie inaczej. Jego świat dzielił się teraz tylko na to, co jest działką, i to, co nią nie jest. Kajdanki go nie interesowały. Paralizator nie kojarzył mu się z niczym, co mogłoby mu być teraz pomocne. Asaf jednak je zauważył, domyślił się czegoś i spojrzał na Tamar osłupiałym wzrokiem. Ona wzruszyła ramionami: „Co innego mi pozostało?” Asaf zaczął sobie wreszcie niejasno uświadamiać, jak drobiazgowo Tamar wszystko zaplanowała i ile trudu musiała sobie zadać.

Wreszcie Szaj zdesperowany zaczął szukać we własnym materacu. Podziurawił jego gąbkę wzdłuż i wszerz. Co jakiś czas wydawał pełen nadziei jęk, okrzyk radości, po 411

czym rozczarowany bit pięściami w materac. Asaf i Tama obserwowali go w bezruchu. Asaf pomyślał: W ogóle go nie obchodzi, że tu jestem jest mu to zupełnie obojętne, że do Tamar ni stąd, ni zowąd dołączył ktoś jeszcze. Interesuje go tylko jedno. Tamar zaś znowu pomyślała: Ciekawe, jak długo Asaf wytrzyma to szaleństwo. Kiedy się złamie i powie, że odchodzi albo po prostu zniknie bez słowa. Czasami, gdy była zajęta przy Szaju, czuła za plecami, że Asaf zbliża się do wyjścia z jaskini. Ostrożnie spoglądała za siebie. Widziała, jak stoi tam przez chwilę, rozciąga się na całą wysokość, głęboko oddycha chłodnym nocnym powietrzem. Zmuszała się, by nie patrzeć. Chciała mu dać jeszcze jedną szansę, by zrobił kolejny krok na zewnątrz i zniknął. Po co mu to wszystko? - myślała. - Po co normalny człowiek miałby się pakować w coś takiego? Zdarzało się, że ludzie jej bliżsi znikali w dużo mniej dramatycznych sytuacjach. Zaraz potem przez jej brzuch przepływały łagodne prądy ciepła, kiedy znowu słyszała za plecami, jak Asaf cicho nuci sobie coś pod

nosem, odbierając od niej bidon albo brudne ubrania czy cokolwiek, co sprawiało jej kłopot w danej chwili.

Szaj z wysiłkiem powłókł się na czworakach w kącie jaskini. Próbował grzebać palcami w zbitej ziemi. Przez kilka minut słychać było odgłosy skrobienia i jego szybki oddech. Nie mogli oderwać od niego oczu, było to jak oglądanie koszmaru na jawie. Kopał szybko, odrzucając za siebie grudki ziemi. Z jego ust wychodziły dziwaczne pomruki. Nagle jednak uniósł głowę, a jego oczy zaświeciły przebiegłym uśmiechem, całkiem przytomnym.

- Może mi chociaż powiecie, ciepło czy zimno?

412

I wszyscy troje zaskoczeni wybuchnęli gromkim śmiechem jak dzieci na koloniach. Szaj też się śmiał, przez chwilę był w stanie zobaczyć samego siebie z zewnątrz. Poruszył biodrami, jak gdyby merdał ogonem, a wtedy Tamar położyła się, padła na plecy, wycieńczona napięciem ostatnich minut, rozłożyła ramiona i śmiała się do łez. Przez łzy zerknęła na Asafa i pomyślała, że ma bardzo męski i ujmujący śmiech. Potem wróciły bóle. Szaj twierdził, że wszystkie kości mu się rozpadają. Czuł, jakby były miażdżone, jakby się kruszyły. Jego mięśnie zaczęły się rozdzierać, tak mówił, rozszczepiać się, kurczyć i zwijać wewnątrz ciała. Dotąd nie zdawał sobie sprawy, że ma mięśnie w tylu miejscach, na przykład za uszami czy w dziąsłach. A Tamar, pamiętając jeszcze z domu, z jaką dokładnością i jakim płaczliwym tonem rozpieszczony Szaj potrafił opisywać najłżejszy nawet ból brzucha, musiała teraz pokonać awersję, jaką to w niej budziło - nie sam ból, lecz te opisy. Próbowła odwrócić jego uwagę, trochę go rozweselić. Opowiadała mu o przeponie - mięśniu, którego nie da się bezpośrednio wyczuć, a jednak śpiew bez niego jest niemożliwy. Zaprezentowała, jak pani Halina na lekcjach śpiewu domaga się od niej „podparcia”: „Podeprzyj! Podeprzyj przeponą!” Zrobiła całe przedstawienie, pokazując, jak zareaguje pani Halina, kiedy się dowie, że Tamar śpiewała na ulicy: „Naprawdę? I ludziom się podobało? Bardzo ciekawe... Ale jak mogłaś śpiewać tak wysoko po Kurcie Weilu? W moim przypadku to absolutnie wykluczone, u mnie... Po Weilu zawsze muszę zrobić przerwę...” Szaj nie śmiał się, Asaf za to do rozpuku. Tamar

zauważyła, że chociaż wygląda tak poważnie, bardzo łatwo jest go rozbawić. Robiła to z wielką przyjemnością i myślała o tym, że Idan nigdy się nie

413

śmiał z jej żartów, może nawet uważał, że Tamar nie ma poczucia humoru. Asaf z kolei odkrył teraz ten uroczy dołek, o którym opowiadała mu Teodora, i zaczął zgadywać, co Tamar robiła na ulicy w ciągu ostatniego miesiąca. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek usłyszy, jak ona śpiewa. Postanowił, że zacznie śledzić ogłoszenia o koncertach w prasie i jeśli natknie się na jej nazwisko... - i tu natychmiast prysła mydlana bańka jego złudzeń. Jest zwykłym marzycielem, nie zna nawet jej nazwiska! Ale nie było czasu, by poddawać się przygnębieniu, bo Szaj zaczął majaczyć o jakimś robaku - nazywał go „abstą” - który pełza po jego wnętrzu i wysysa z niego ostatnie soki. Czuł, jak robak przemieszcza się w nim i z każdym ruchem wgryza się coraz głębiej w jego ciało. Szaj miał wrażenie, że cały się rozpada na części, na pojedyncze włókna mięśni, na komórki. Jego nogi, a potem również ręce uciekały, rzucały się na boki. Asaf patrzył i nie mógł uwierzyć: wydłużone, kościste ciało chłopaka zdawało się rozdzierać na sztuki w konwulsjach. Tamar położyła się na nim i mocno go trzymała, Asaf widział drobne, podobne do migdałów mięśnie jej ramion, a jego serce - tak jak zapewniała go Teodora - po prostu zatrzepotało skrzydłami i pofrunęło do niej. Przemawiała do Szaja bez przerwy, powtarzała, że go kocha i że mu pomoże, że jeszcze trochę, za dzień lub dwa, to minie i zacznie się nowe życie. W końcu w tej kotłowaninie rąk i nóg Szaj nagle osunął się bezwładnie na materac i zasnął.

Tamar stoczyła się z niego. Pod pachami miała plamy potu. Na jej kombinezonie widniały plamy moczu i wymiocin Szaja. Asaf mógł wyczuć jej zapach i wiedział, że ona również wyczuwa jego zapach. Leżała, patrząc na Asafa szeroko otwartymi oczami - oczami, które widziały już za wiele. Miała poczucie, że jest teraz przed nim całkiem

414

obnażona, ale było jej wszystko jedno, nie miała siły zastanawiać się nad swoim położeniem. Z początku, na przykład, było jej niezręcznie, że Asaf ogląda nagość

Szaja, zarówno dlatego, że naruszało to jego intymność, jak i dlatego, że wraz z ciałem jej brata została odsłonięta jakaś część jej samej, glina, z której i ona została ulepiona. Jednak po kilku takich godzinach zdążyła się przyzwycząić. Teraz próbowała zasnąć. Słyszała, jak Asaf wstaje po cichu i znów podchodzi do wyjścia. Zdała sobie sprawę, że już nie budzi się w niej dawna obawa, że Asaf może uciec. Pomyślała, że chyba przekroczyli razem jakąś granicę. Asaf wyszedł na zewnątrz. Jego sylwetka zniknęła w ciemności. Dinka podniosła się i też spojrzała za nim. Minęła minuta, potem następna. Tamar doszła do wniosku, że to w sumie dobrze, żeby Asaf trochę się orzeźwił. Niech się nawet przejdzie na krótki spacer. Zresztą może on poszedł się tylko załatwić? Minęła kolejna minuta. Z zewnątrz nie dobiegały odgłosy kroków. Tamar powiedziała sobie, że będzie mu dożgonnie wdzięczna za to, co zrobił dotychczas, nawet jeśli tym razem nie wróci. Potem pomyślała zdziwiona, że nawet nie zna jego nazwiska. Wtedy ogon Dinki zaczął się poruszać, wzbijając kurz z ziemi. Z ciemności znów wyłoniła się sylwetka Asafa. Dinka położyła się z powrotem, a Tamar odzyskała spokojny oddech. Asaf położył się znowu koło niej w poprzek materaca, nie dotykali się. Poczula nagle, jaką przyjemność może sprawić po prostu spokojny oddech, słyszała oddech Asafa obok siebie i sama, nie wiedząc czemu, poczuła się szczęśliwa. Pomyślała, że to dziwny sposób na zawieranie znajomości. Przyjaźni. Bo to się właśnie z nami dzieje - myślała ostrożnie. - My też się trochę, jakoś, zaczynamy przyjaźnić, zbliżamy się do siebie, trudno powiedzieć jak, prawie bez słów i prawie się

415

nie znając, chociaż między nami właściwie nic szczególnego się nie dzieje. Teraz, kiedy Asaf leżał tak blisko niej, wy-dało się jej to nawet zabawne, że nic o nim nie wie, ani gdzie mieszka, na przykład, ani gdzie się uczy, czy ma przyjaciół albo dziewczynę, nic o nim nie wie, a mimo to czuje że jest w nim coś, co już bardzo dobrze poznała, i to na razie zupełnie jej wystarczy.

Były też momenty, kiedy zdawało jej się to pewnym zgrzytem - to pomieszanie różnych sfer, poczucie, że dzieje się tu, być może, coś nowego, podczas gdy ona powinna się całkowicie poświęcić Szajowi, a nie rozglądać się gdzieś na boki. Była

zbyt zmęczona, żeby delikatnie określić, w czym problem, w innej sytuacji z pewnością natychmiast ukułaby sobie jakieś cięte, ostre jak nóż sformułowanie, lecz teraz nie miała na to siły ani ochoty. Wiedziała tylko, że coś tu jest nie tak: jak gdyby Szaj stawał się chwilami jedynie środkiem do nawiązania tej nowej relacji. Otóż to. Mimo wszystko udało jej się to ująć w słowa. Przestraszyła się, usiadła na chwilę, popatrzyła w ciemną przestrzeń jaskini, zobaczyła, że lampka awaryjna miga, jakby miała zaraz zgasnąć, upewniła się, że Szaj śpi, Dinka śpi, a Asaf patrzy na nią. Położyła się z powrotem. Najbardziej dręczyło ją, że Szaj nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, co unosi się w powietrzu wokół niego. A może to się dzieje tylko w jej wyobraźni? Może znów snuje swoje romantyczne fantazje, a Asafowi w ogóle to nie w głowie? Może chłopak po prostu ma dobre serce i z jakiegoś powodu postanowił jej pomóc? Potwornie zmęczona przewróciła się na bok, dotykając nieopatrnie ręką piersi Asafa. „Oj, przepraszam”, „Nic się nie stało”, „Zapomniałam, że tu jesteś”, „A gdzie miałbym być?”, „Zdrzemnę się na chwilę, dobrze?” „Śpij, przez ostatnie dwie doby chyba nawet nie zmrużyłaś oka?”

416

„Właściwie nie pamiętam, zdaje się, że nie”, „Śpij, ja będę czuwał”.

I kiedy powiedział do niej: „Śpij, ja będę czuwał”, kiedy lekko i delikatnie zdjął z niej obowiązek trzymania straży... Nie, nie powinna teraz o tym myśleć. Przez chwilę nawet omal nie uległa przemożnemu pragnieniu, które aż ścisnęło ją za gardło, żeby mu wszystko opowiedzieć, wyrzucić z siebie to, co przeszła, odkąd wyruszyła w drogę, a potem tutaj w jaskini, przez całe dwa dni sam na sam z Szajem, zanim on się pojawił. Jednakże czuła, że jeśli tylko otworzy usta, jeśli tylko zrobi jeszcze jedną szczelinę w swoim pancerzu, wypłynie z niej strumień, który w jednej chwili może ją zupełnie obezwładnić, więc na razie nie wolno jej tego robić, po prostu nie wolno. Poza wszystkim - powiedziała sobie nieco spanikowana - naprawdę prawie wcale go nie zna.

Obróciła się na bok w jego stronę, poczuła zapach jego potu i pomyślała, jak wspaniale będzie wziąć prysznic, kiedy już wszystko się skończy. Może jednak kiedyś jeszcze się spotkają tam, w zewnętrznym świecie, powiedzmy w kawiarni -

przyjdą tam umyć i pachnący, opowiedzą sobie nawzajem, kim naprawdę są. Ona być może kupi mu w wyrazie wdzięczności, tak dla żartu, jakiś elegancki dezodorant. O, znowu nie myślała o Szaju, tylko pozwoliła sobie na fantazjowanie. Jakby zawsze trzeba było kogoś poświęcić - pomyślała - żeby inni mogli rozpocząć coś nowego. O czym ty mówisz? - złościła się się. - Właściwie co nowego? Jemu ani w głowie zaczynać coś wspólnie z tobą. Snując te pogmatwane myśli, zasnęła tak, jak leżała, na ziemi.

417

Asaf usiadł, popatrzył na śpiącą Tamar, a jego serce zabiło mocniej. Chciałby ją przykryć, otrzeć piasek z jej twarzy, zrobić dla niej coś dobrego. Największą przysługą, jaką mógł jej wyświadczyć, było nie budzić jej. Dlatego leżał w bezruchu. Tylko patrzył na nią nieustannie, wręcz pożerał ją oczami, zachwycony jej pięknem. Tamar westchnęła i skuliła się, leżąc na boku, a głowę oparła o złożone dłonie. Miała długie i delikatne palce. Na zabrudzonej kostce miała cieniutki srebrny łańcuszek, prawie niewidoczny. Asaf nie mógł się nasycić jej widokiem. W myślach prowadził z nią ożywioną rozmowę: „Wiesz, że jeszcze nigdy nie widziałem takich oczu jak twoje?” „Tak, mówili mi to już tu i tam, a swoją drogą, wiesz, od czego one się takie zrobiły?” „Od tego, że patrzyłaś na świat ze zdziwieniem?” „Oj, z tobą po prostu nie da się rozmawiać! Przeczytałaś wszystko, tak?” „Nie, tylko kilka stron, wyrywkowo”. „To nie fair, że wiesz o mnie takie rzeczy, a ja o tobie nic! Czy ty, na przykład, pozwoliłbyś, żebym przeczytała twój dziennik?” „Nie mam dziennika”. „Ale gdybyś miał?” „Gdybym miał...?” „Tak, gdybyś miał, zgodziłbyś się?” „Ale po co ci mój dziennik? Przecież mogę ci wszystko opowiedzieć”.

Tamar lekko rozwarła powieki i zobaczyła, jak Asaf uśmiecha się do siebie, a jego palce sczepione są ze sobą w tym samym dziecięcym geście, co na początku, jak gdyby wypowiadał życzenie, po czym spokojnie zasnęła z powrotem. Asaf wstał. Przeciągnął się. Pomyślał, że w pewnym momencie, najpóźniej jutro, będzie musiał wyjść, żeby zadzwonić do Nosorożca i do rodziców, do Ameryki, zanim Nosorożec postawi na nogi policję w całym Izraelu. I znów powróciło pytanie, jak ma powiedzieć Nosorożcowi o Reli. Teraz wydawało się to jeszcze trudniejsze, chociaż

sam nie wiedział dlaczego: może nagle uświadomił sobie, że do-

418

tychczas nie miał nawet nikłego pojęcia o tym, co Nosorożec czuje do jego siostry? Może. Ale Reli też mogło być ciężko z Nosorożcem - pomyślał ostrożnie, po czym wstał i podszedł do awaryjnej jarzeniówki, której światło zaczynało już przygasać. Poszperał w jaskini i znalazł zapasowe baterie, które przygotowała Tamar. Od razu się zorientował, że nie nadają się do tej lampy. Przypomniał sobie, jak w duchu zawsze obwinał Reli za to, że za mało kocha Nosorożca. I zawsze było dla niego oczywiste, podobnie zresztą jak dla wszystkich, że Nosorożec kocha ją bardziej i że nikt na świecie nie byłby w stanie okazać jej tyle miłości, troskliwości i hojności, co on. Poszperał między artykułami spożywczymi i puszkami konserw, i znalazł kilka woreczków z ciastkami, szczelnie zamkniętych i zabezpieczonych drutami w plastikowej izolacji. Zaczął oskrobywać plastik. Czuł się niezręcznie ze swoimi myślami. Na przykład o Nosorożcu, który tak często opowiadał mu o swojej tęsknocie za Reli, że stało się to swoistym rytuałem, nieuniknioną częścią ich rozmów. Asaf umiał nawet powtórzyć z pamięci, słowo w słowo, lamente Nosorożca o tym, jak to utracił Reli, i jaki wielki błąd popełnił, nie nalegając, by pobrali się zaraz po wojsku, i jakim był idiotą, że się zgodził na jej wyjazd do Ameryki. Asaf oczyścił druciki, skręcił je ze sobą i stworzył z nich dwa dłuższe przewody. Z kieszeni džinsów wyjął szpulkę czarnej taśmy („Taśma izolacyjna też jest jak chustka do nosa” - mawiał jego ojciec), po czym ułożył sześć małych baterijek jedną obok drugiej, minus do minusa, plus do plusa. I prawdę mówiąc (Asaf przykleił druty do baterii i podłączył ich końcówki do lampy. No, teraz już w porządku), właściwie ani razu w ciągu tych wszystkich rozmów nie mówili o samej Reli, o tym, co ona czuje. Na tę myśl ścisnęło się w nim serce,

419

a on nie wiedział dlaczego - z powodu którego z nich dwojga. Wystraszył się, że mógł zdradzić Nosorożca takimi myślami, toteż natychmiast zajął umysł innymi: co stanie się teraz i jak Nosorożec przyjmie wieści z Ameryki, jak będzie mógł dalej żyć, kiedy tej, którą tak bardzo kocha przy nim nie będzie?

Kiedy otworzył oczy (widocznie zasnął niepostrzeżenie), Szaja nie było w jaskini. Asaf zerwał się na równe nogi. Zastanawiał się, czy nie obudzić Tamar, ale doszedł do wniosku, że jeszcze nie trzeba. Zagwizdał cicho na Dinkę i wyszedł. Na dworze zaczynało się już przejaśniać. Różowy pasek rozciągał się na wschodniej części nieba. Asaf biegł, a Dinka koło niego. Spróbował w jedną stronę i nic nie znalazł. Próbował w przeciwną i też nic. Starał się zachować spokój. Wiedział, że Szaj w swoim stanie nie zajdzie daleko. Asaf zdołał nawet odroczyć rozprawę przed sądem polowym, przed jakim sam się postawił. Dinka biegła przed nim, szukała, węszyła. Asaf polegał na niej bardziej niż na samym sobie, biegł za nią i dopiero teraz zauważył, że odkąd się tutaj znalazła, wycofała się nieco w cień, jak gdyby z chwilą, gdy doprowadziła do spotkania Asafa z Tamar, uznała, że jej rola na tym się skończyła. W biegu, mimo szalonego pośpiechu, przywołał ją do siebie i pochylił się nad nią. Potargał jej futro, przycisnął jej głowę do własnej, ich zapachy mieszały się ze sobą, a ona stała, znów nim nasiąkając. Jedna taka chwila - i znów biegli dalej. Szosą nad nimi przejeżdżała ciężarówka. Asaf przestraszył się, że Szaj mógł tam dotrzeć. Trafiłby pod koła. A jeśli nie zostałby przejechany, mógł złapać stopa i pojechać do miasta, a tam już by dostał swoją działkę i cały ten

420

niehumaniczny wysiłek pierwszych trzech dni detoksykacji poszedłby na marne. Istniał jeszcze gorszy scenariusz: gdy tylko Szaj dotrze do miasta, zauważą go ci, którzy go szukają. Asaf oblał się potem. Miał ochotę się zabić za to, że zasnął i sprawił taki zawód Tamar.

Szaj stał pochylony na stoku wzgórza, oparty o pień uschniętej sosny. Z ust ściekały mu zielone krople. Asaf podbiegł do niego. Złapał go w ostatniej chwili, nim ten zdążył upaść. Oczy miał już wywrócone białkami do góry, mimo to jednak mamrotał, żeby Asaf nie zatrzymywał go teraz, bo musi dotrzeć do szosy. Proponował mu nawet pieniądze, łapówkę, jeśli mu powie, gdzie Tamar ukryła ostatnią działkę. Asaf wsunął mu ramię między nogi i chwytem ratowniczym wziął go na barki. Zszedł z nim z powrotem na dno wadi, odszukał ich pagórek i zbiegł z niego w stronę jaskini. Gdy już mieli wejść do środka, Szaj mocno ścisnął Asafa za szyję. Zmusił go, by się

zatrzymał:

- Bądź tak dobry, proszę, jeśli ona śpi, nie mów jej, że wyszedłem. - Zaczął go błagać: - Nie mów jej, nie mów.

Asaf zamyślił się na chwilę: miał wybrać między lojalnością wobec Tamar a desperacką prośbą Szaja, by oszczędzić jej rozczarowania.

- Okej, ale ostatni raz próbowałeś uciekać.

Szaj pomachał swoimi długimi palcami, co prawdopodobnie miało oznaczać „tak”.

Asaf położył go z powrotem na materacu. Ułożył równo jego długie, wychudłe kończyny, jakby układał szmacianą lalkę. Tamar usłyszała ich i obudziła się.

Otworzyła oczy. Przeciągnęła się beztrudnie, zapominając na chwilę o wszystkim:

- Ech, jak ja długo spałam... Hej, tam jesteś? Dlaczego stoisz?

Asaf milczał. Szaj spojrzał na niego błagalnym wzrokiem, on zaś wzruszył ramionami.

421

- Tak sobie, chciałem trochę rozprostować kości.

Tamar posłała mu słodki, poranny uśmiech. Leżący na materacu Szaj zamrugał do niego w podziękowaniu - w jego zmętniałych oczach pojawił się błysk żywego, czystego uczucia - a Asaf odpowiedział mu uśmiechem. Tamar widziała tę wymianę spojrzeń. Zamknęła oczy, myśląc, że być może wszystko się jednak ułoży.

Dzień, który właśnie wstał, okazał się nieco lżejszy od poprzedniego. Szaj nie cierpiał tak bardzo, chociaż nadal odczuwał przymus, by całymi godzinami szukać swojej działki w materacu i w zakamarkach jaskini. Był przekonany, że poprzedniego dnia widział tę brakującą działkę, że na pewno ją widział, tylko nie może sobie przypomnieć, gdzie. Asaf i Tamar przestali już odpowiadać na jego powtarzające się w kółko pytania. Bez ustanku masowali mu nogi, aby uśmierzyć ból i poprawić krążenie. Co godzinę zmuszali go, żeby przełknął choć parę łyków wody, czasami Asaf musiał go przytrzymywać siłą, żeby Tamar podała mu picie za pomocą gruszki dla niemowląt, a wtedy Szaj wyglądał jak wyrośnięte, cherlawe pisklę. Kiedy jej oczy spotkały się z oczami Asafa, wiedziała, że on też widzi ten sam obraz, dokładnie taki jak ona, być może nawet opisałby to tymi samymi słowami, i była tym lekko

wstrząśnięta, jak gdyby na krótką chwilę zjrzała Asafowi do samej duszy, a wtedy niespodziewanie przypomniała sobie, co zawsze myślała na własny temat - że brakuje jej tej części duszy, tego klocka lego, który mógłby ją połączyć z drugim człowiekiem, ale przyszło jej do głowy, że to też chyba musi na nowo przemyśleć.

422

W dole, w głębi wadi, znajdowało się źródło, z którego wypływał cienki jak nitka strumień. Udała się tam, zabierając brudne prześcieradła i ubrania całej ich trójki. Kiedy przykłękała i zaczęła szorować ubrania w wodzie, pomyślała, że odkąd znalazła się w Domu Artystów Pesacha, prawie nigdy nie została naprawdę sama. Była to dla niej jedna z najtrudniejszych do zniesienia rzeczy, bo zawsze, od dzieciństwa potrzebowała -jak powietrza -mieć przynajmniej godzinę, dwie w ciągu dnia, kiedy mogłaby przebywać tylko sama ze sobą. Teraz zaś była nieco zmieszana: oto od chwili, kiedy dotarł tu Asaf, mogła sobie pozwolić na takie małe „wakacje”, pospacerować trochę po wadi, odetchnąć samotnością, a mimo to z niewiadomego powodu ta jej głęboka potrzeba właśnie zniknęła. Tamar wykapała się w źródle i wyszła z kąpieli wesoła jak mała dziewczynka. „Ferajna da, gdy trza, mu pić, / Jest niczym źródło w skwarny dzień... - nuciła wesoło, rozwieszając ubrania na gałęziach krzewu schowanego z tyłu, za jaskinią -jest niczym źródło w skwarny dzień, / Dlatego kwiat zakoch...” - powstrzymała się w porę, drwiąc z naiwnego patosu, w jaki nagle wpadła. Potem jeszcze powiedziała sobie parę słów do słuchu, krótko mówiąc, sprowadziła się z powrotem na ziemię i przypomniała sobie, gdzie jej miejsce, chociaż przez cały ten czas stała i patrzyła, jak jej niebieski kombinezon powiewa lekko obok trykotowej koszulki Asafa.

Przygotowała sobie zawczasu ubrania na zmianę, ale Asaf nie miał innych. Nosił zatem niektóre z rzeczy, które Tamar przyniosła dla Szaja -te nieliczne, które na niego jako tako pasowały. Później, kiedy i one się pobrudziły, Asaf włożył jej luźny T-shirt, spośród tego, co przyniosła tutaj jako „odzież roboczą”. To zostało jej z czasów, kiedy była

423

gruba, jak wyjaśniła Asafowi, na co on odparł, że trudno uwierzyć, że kiedykolwiek

była. Roześmiała się: poczekaj, zobaczysz na zdjęciach, byłam jak słonica, a serce Asafa przepęłniło się radością, bo słowa: „poczekaj, zobaczysz” zapowiadały, że będzie jakiś ciąg dalszy.

O nie, nie mam szczoteczki - pomyślał Asaf, kiedy Tamar wyjęła swoją.

- Weź moją - powiedziała Tamar po umyciu zębów, a Asaf - tak, tak, gdyby tylko jego mama się dowiedziała, uznałaby to za największe szaleństwo ze wszystkiego, co zdarzyło się w tych dniach - bez problemu umył zęby jej szczoteczka.

Szaj już więcej nie wymiotował, przestało mu się też tak głośno odbijać, zaczęło się za to rozwolnienie. To też było dla nich ciężką próbą, którą przeszli razem, we dwoje, a właściwie we troje, ponieważ Szaj powoli dochodził już do siebie, odzyskał zatem poczucie wstydu i zaczęła go dziwić obecność Asafa, pytał, kim on jest i co właściwie tu robi. Tamar powiedziała po prostu, że jest przyjacielem.

Kiedy jednak Asaf oświadczył, że musi wrócić do miasta na godzinę, dwie, Tamar tak posmutniała, że omal nie zmienił planów.

- W porządku, idź - powiedziała przekonana, że Asaf już na pewno nie wróci.

Usiadła bezsilna tyłem do niego i zdawało się, że jest zła na samą siebie, że tak łatwo mu zaufała. Asaf wyjaśnił jej dokładnie, co musi tam załatwić. Starał się mówić w sposób najbardziej rozsądny i logiczny, jednak czuł, że Tamar już postawiła mur między nimi, i nie wiedział, jak ma ją uspokoić ani jak w ogóle mogła nabrać wątpliwości po takiej nocy. Popatrzył na nią z irytacją, zrezygnowany.

424

Czuł, że dochodzi właśnie do głosu ta skomplikowana, pokrętna strona jej osobowości i że samymi słowami nigdy nie zdoła jej przekonać.

Kiedy wychodził z jaskini, wstała i podziękowała mu za wszystko, co dla niej zrobił. Jej uprzejmy ton był niemal obraźliwy. Asaf pożegnał się również z Szajem, a przede wszystkim - z Dinką, która też wydawała się zaniepokojona jego wyjściem: biegła za nim i wracała do Tamar, zszywając coraz większe rozdarcie między nimi. Kiedy znalazł się już daleko od jaskini, odwrócił się, bo usłyszał - albo tak mu się zdawało - że Tamar woła go ściszym głosem, jakby sprawdzała, czy jej wołanie do niego dotrze. Pobiegł w jej stronę, niemal poszybował na fali bolesnego wzruszenia. Tamar

była równie zdumiona potężną falą uczucia, jaka ogarnęła ją na widok wracającego do niej Asafa.

- Tak, czego chciałaś? - spytał zdyszany.

- Dlaczego wróciłeś? - odparła zdziwiona Tamar.

- Bo mnie wołałaś, a poza tym zapomniałem przekazać ci list od Lei.

- List od Lei?

- Tak, prosiła, żebym ci przekazał, ale jak tu przyszedłem, najpierw oberwałem deską w głowę, a potem zaczęła się historia z Szajem i wyleciało mi z głowy.

Podał jej list. Stali naprzeciw siebie. Oficjalni i wewnętrznie rozdarci. Tamar złożyła list na pół i obracała go w rękach. Asaf widział pulsującą szybko niebieskawą żyłę na jej szyi i omal nie wyciągnął ręki, żeby jej dotknąć i uspokoić ją. Dopiero wtedy przypomniał sobie, że chciał ją spytać, dlaczego właściwie go wołała.

- Dlaczego? - zdziwiła się Tamar. - A, zaraz, tak. Posłuchaj.

Spytała, czy nie mógłby jej wyświadczyć jeszcze jednej przysługi, już ostatniej. Asaf rozłożył ręce załamany,

425

a nawet tupnął nogą, dlaczego „ostatniej”, dlaczego? Nic jednak nie powiedział, wziął numer telefonu, jaki mu zapisała, po czym wysłuchał mnóstwa szczegółowych instrukcji i ostrzeżeń oraz pytań, jakie chciała, żeby zadał. Prawdę powiedziawszy, zadanie wydało mu się nieco zbyt trudne zupełnie nie dla niego. Ona też zdawała sobie z tego sprawę.

- Oczywiście, to ja powinnam z nimi porozmawiać, to jasne, ale jak? Stąd?

Asaf powiedział, że to zrobi.

- To powtórz jeszcze raz, co masz im powiedzieć.

I zmusiła go, żeby powtórzył pytanie, słowo w słowo jak ona je sformułowała, a on powtórzył, nieco rozbawiony - po raz pierwszy miał okazję doświadczyć jej stanowczości i nieprzejednania - ale jednocześnie nieco przestraszony zagmatwanymi stosunkami w jej rodzinie, które teraz ukazały się jego oczom w całej swojej brzydocie. Ona oczywiście też to zauważyła i kiedy Asaf zdał egzamin pamięciowy, opuściła ramiona, a po jej stanowczości nie zostało śladu.

- Zobacz, co się dzieje, opowiadam ci o rzeczach, o jakich nie rozmawiałam nawet z najlepszymi przyjaciółmi.

- Słuchaj, o trzeciej będę tu z powrotem.

- Tak, tak. Muszę wracać do Szaja.

Z bólem serca odwróciła się w stronę jaskini, wyzbyta złudzeń. Dobrze wiedziała, jak ciężko będzie mu wrócić do tego piekła po tym, jak zasmakuje na chwilę swojego zwykłego życia, tam na zewnątrz.

426

Asaf wspiął się do szosy, wsiadł do autobusu i zaraz zaczął się orientować po drogowskazach i nazwach ulic, gdzie się znajduje, aż w końcu wiedział z całą pewnością, dokąd zawiozła go Lea, każąc mu zamknąć oczy. W domu wysłuchał wiadomości z sekretarki automatycznej (znów zadzwonił Roi i ostrożnie zasugerował, że być może powinni się spotkać i odbyć męską rozmowę. Wydaje mu się, że Asaf przeżywa jakiś kryzys i chyba warto to sobie wyjaśnić, nie? „Nie” - odparł Asaf i przeszedł do kolejnej wiadomości). Rodzice powiedzieli, że wybierają się na trzydniową wycieczkę po pustyni, więc niech się o nich nie martwi. Asaf uśmiechnął się: trzy dni. Nawet ich zniknięcie z jego życia wpisuje się dokładnie w jego potrzeby. Znów słuchał ich radosnych głosów: udało im się już uporać ze zmęczeniem po podróży i ze zmianą czasu. Dzisiaj zwiedzili supernowoczesną firmę Jeremy'ego, i nawet tata, który jest elektrykiem od trzydziestu lat, powiedział, że czegoś podobnego jeszcze w życiu nie widział.

Później było siedem wiadomości od Nosorożca. W ostatniej mówił, że jeśli Asaf nie odezwie się do dwunastej, to dzwoni na policję.

Zostało dziesięć minut. Wypił duszkiem trzy szklanki soku z mango i zadzwonił do warsztatu. Krzyk Nosorożca zagłuszył na chwilę ryk maszyn. Asaf natychmiast przypomniał sobie, za co tak bardzo kocha Nosorożca, o ile w ogóle musiał sobie o tym przypominać. Opowiedział mu wszystko, niczego nie ukrywając, oprócz wiadomości ze Stanów Zjednoczonych i tego, co się z nim dzieje, kiedy jest przy Tamar (czyli tego, co najważniejsze). Nosorożec słuchał z uwagą i nie przerywał. To jeszcze jedna z tych rzeczy, które w nim lubił: można mu było opowiedzieć całą

historię, od początku do końca, a on nie wchodził w słowo

427

i nie zasypywał go mnóstwem idiotycznych pytań. Kiedy Asaf skończył, Nosorożec powiedział cicho:

- No więc udało ci się, co? Przewróciłeś całą Jerozolimę do góry nogami, ale w końcu ją znalazłeś... Wiesz co Asaf? Prawdę mówiąc, nie wierzyłem, że ci się uda. I w gruncie rzeczy dopiero wtedy dotarło do Asafa, że naprawdę tego dokonał - znalazł Tamar. Aż dziw, że ta myśl nie przyszła mu wcześniej do głowy, chyba dlatego, że kiedy ją znalazł, natychmiast poświęcił się bez reszty nowemu zadaniu - opiece nad Szajem, a potem w ogóle nie było czasu, żeby odetchnąć. Wtedy Nosorożec zadał szybko, po wojskowemu, kilka rzeczowych pytań: czy Asaf wie, kim są ludzie, którzy ścigają Tamar i Szaja, czy Szajowi i Tamar grozi, zdaniem Asafa, niebezpieczeństwo ze strony tych ludzi, gdzie dokładnie znajduje się restauracja Lei i czy Asaf może podać jakiegokolwiek namiary tamtej jaskini, tak na wszelki wypadek. Trzy razy przestrzegwał Asafa, żeby bardzo uważał, czy go teraz nie śledzą, bo dopóki pozostawał w ukryciu w wadi, był w bezpiecznym schronieniu, a teraz, kiedy kręci się po mieście, mimo wszystko jest odsłonięty, a jego też ktoś może teraz szukać. Potem spytał, co nowego słychać w dalekich krajach.

Asaf powiedział, że właściwie nie udało mu się porozmawiać z rodzicami. Zostawili mu tylko wiadomość, dość suchą, że wybierają się na trzydniową wycieczkę, a to oznacza, że u nich wszystko w porządku. Wydawało mu się, że mówi nieco za szybko i miał nadzieję, że Nosorożec tego nie słyszy wśród hałasu frezarek i szlifierek.

Potem wybrał numer, który zapisała mu Tamar na opakowaniu czekolady „Czerwona Krowa”. Ta rozmowa, która trwała zaledwie trzy minuty, była dla niego jeszcze trudniejsza niż poprzednia. Umówił się na spotkanie i wyzna-

428

czył miejsce - w kawiarni, w centrum handlowym położonymi w połowie drogi między ich a jego domem, i podał własny rysopis, żeby go mogli rozpoznać, pamiętając o zmianach, jakie zaszły ostatnio w jego wyglądzie.

Wziął półgodzinny prysznic, włożył świeże ubranie i wyruszył do domu handlowego. Czuł się trochę nieswojo w bańce wypełnionej chłodzonym powietrzem, między elegancko urządzonymi sklepami. Sam sobie wydawał się nieprawdziwy, jak gdyby był tylko sobowtórem prawdziwego Asafa, który został tam, gdzie teraz jego miejsce. Za pieniądze awaryjne, które mama zostawiła mu w puszcze z przyborami do szycia, kupił cztery hamburgery (jeden dla Dinlki) oraz kilka opakowań różnego rodzaju batonów, mlecznych i orzechowych, bo Szaj bez przerwy pochłaniał czekoladę, a zapasy przygotowane przez Tamar już się kończyły. Kiedy tak szedł, otoczony beztruskimi ludźmi, przypominał sobie, jak się czuł, wchodząc czasami do pokoju śpiącej Muki: spała tak, jak zwykle śpią małe dzieci, leżąc na wznak, z bezwładnie rozrzuconymi na bok rękami i nogami, całkowicie bezbronna wobec świata. Widząc wtedy, jaka jest niewinna i niczego nieświadoma, Asaf czuł, że musi ją ochraniać. Również tam, w centrum handlowym, miał poczucie, że wszyscy ci spacerujący ludzie naprawdę nie zdają sobie sprawy, co się rozgrywa tuż pod ich bokiem i jak: bardzo życie potrafi być groźne, mroczne i kruche.

Po spotkaniu był tak spocony i wyczerpany, że aż miał ochotę wrócić do domu i jeszcze raz wziąć prysznic. To odczucie nie miało żadnej fizycznej przyczyny. Spotkał się z dwojgiem bardzo schludnych, dobrze ubranych i zadbanych ludzi. Byli nieco młodszy od jego rodziców, znacznie lepiej wykształceni, bardzo rozsądni. I prawie nie dali mu dojść do głosu. Na wszystko, cokolwiek powiedział, mieli

429

dobrą odpowiedź, poza tym - chociaż to on przyszedł, żeby im coś powiedzieć - zachowywali się tak, jakby to oni robili mu laskę. Spierali się z nim nawet - zwłaszcza mężczyźni - jak gdyby Asaf czymś wobec nich zawinił, i ze wszystkich sił starali się sprawić, by zrozumiał - i przyznał - że słuszność jest po ich stronie i że zostali dotkliwie skrzywdzeni. Asaf po prostu nie wiedział, jak się wobec nich zachować. Nawet nie próbował się z nimi spierać. Przekazał im to, co miał do przekazania. Odmówił podania dodatkowych szczegółów i zadał tylko jedno pytanie - to, które Tamar prosiła, by zadał. Ze zdumieniem patrzył, z jakim trudem przychodzi siedzącemu przed nim mężczyźnie ustąpić, wykazać nieco elastyczności i

wyrazić zgodę.

Jednakże w chwili, kiedy to się stało, twarz zaczęła mu drżeć. Najpierw prawa brew zaczęła się poruszać, jak zwierzątko obdarzone własnym życiem, a następnie zupełnie jakby cała twarz mu się spruła i potężny mężczyzna wybuchł gorzkim płaczem, chowając twarz w dłoniach. Kobieta też się rozplakała, na oczach ludzi, ale nawet się nawzajem nie dotknęli, nie próbowali się utulić czy pocieszyć. Siedzieli osobno, oddzieleni od siebie, i każde z nich płakało własnym rozpaczliwym płaczem. Asaf, mając w pamięci to, co usłyszał od Tamar, wiedział, że jest właśnie świadkiem czegoś, co dla tych dwojga było rzeczą najzupełniej niemożliwą - całkowitej rezygnacji z udawania. Nie wiedział, jak ma ich uspokoić, więc mówił o Tamar. Oni płakali, a on mówił. Powiedział, że ona im pomoże, że można na niej polegać na tysiąc procent, że będzie dobrze i inne głupstwa tego rodzaju. Nie przestawali zanosić się płaczem, który prawdopodobnie gromadził się w nich już od bardzo dawna, a kiedy nieco ochłonęli, siedzieli w milczeniu, nieszczęśliwi, budzący litość. A wtedy rozmowa

430

zaczęła się na nowo, od samego początku, jakby aż do tej chwili nie usłyszeli nic z tego, co Asaf im powiedział. Uprzejmym i uległym tonem zadawali mu pytania, na które nie znał odpowiedzi, bo nie wiedział zbyt wiele o Szaju i o Tamar ani o tym, co razem przeszli, zanim ich spotkał. Lecz nawet kiedy nie umiał im odpowiedzieć, oni nie przestawali go zasypywać pytaniami. Asaf miał wrażenie, że są to pytania, których nie odważyli się postawić przez cały ten czas nawet sami sobie. Siedział w milczeniu, czasami odpowiadał w dwóch słowach, a wreszcie musiał im przerwać, bo hamburgery zaczęły już stygnąć, a przede wszystkim dlatego, że przez cały ten czas Tamar była tam, święcie przekonana, że on już nigdy nie wróci, a ta świadomość była nie do zniesienia.

Odchodząc stamtąd, zastanawiał się, jak wiele racji ma jego mama, którą czasami zgroza przejmuje na myśl, że po to, by wykonywać najtrudniejszy i najważniejszy zawód na świecie - zawód rodzica - nie trzeba stawać przed żadną komisją weryfikacyjną ani zdawać jakiegokolwiek egzaminu.

Siedzieli we troje na zewnątrz jaskini i pałaszowali jedzenie, które przyniósł Asaf. To znaczy - Asaf i Dinka pałaszowali, Szaj skubnął co nieco i tylko Tamar nie była w stanie przełknąć nawet kęsa. Nie mogła oderwać od Asafa oczu błyszczących ze szczęścia, jakby miała przed sobą wspianiały, zupełnie nieoczekiwany prezent. Po posiłku zdrzemnęli się trochę w słońcu, ułożyli się jakby w trójkąt - Szaj oparł głowę o nogi Tamar, ona o nogi Asafa, on zaś o jej plecak - a Szaj opowiadał, po raz pierwszy, o tym, co mu się przydarzyło w ciągu tego roku. Asaf czuł poprzez dżin-
431

sy, jak Tamar wzdyga się, słysząc o tym wszystkim - o miejscach, o upokorzeniach, o tym, na jakie dno Szaj się stoczył. Od czasu do czasu Tamar też coś wtrącała, wspominała o jakimś swoim zabawnym występie w Aszdo-dzie albo Nazarecie, mówiła o niekończących się rozjazdach, o śpiewaniu na ulicy przed obcymi. Asaf słuchał z przejęciem i pomyślał, że nie byłby w stanie dokonać tego, co ona zrobiła, dość pomyśleć, z jakim wyprzedzeniem to wszystko zaplanowała, nie poddała się i nie zrezygnowała - naprawdę, taka dziewczyna mogłaby startować na bardzo długich dystansach.

Szaj i Tamar zaczęli się wymieniać przeżyciami z ulicznych występów, opowiadali też o Pesachu, a kiedy wspomnieli o jego długim warkoczu, Asaf wiedział już, że to właśnie on uderzył Teodorę. Jednakże Tamar wydawała się taka wesoła i beztraska, że nie miał serca mówić jej teraz o tym, co się wtedy zdarzyło. Tamar opowiadała o gorylach, o kradzieżach kieszonkowych, o biednej Rosjance, o ojcu i synku w Zichron Jaakow i o wielu innych, których okradziono na jej oczach. Potem wraz z Szajem zaprezentowali Asafowi, jak ludzie wrzucają pieniądze do kapelusza. Szaj wydawał instrukcje reżyserskie, a Tamar wszystko z wdziękiem odgrywała: pokazała tych, którzy próbują ukryć przed innymi, jak mało dali, tych, którzy wrzucają pieniądze tak, jakby chcieli za nie człowieka kupić, tych, którzy są tak wrażliwi na sztukę, że w końcu nie dają ani grosza, tych, którzy posyłają dziecko, żeby wrzuciło, tych, którzy słuchają całego programu, a kiedy tylko zbliża się koniec ostatniej piosenki, dosłownie na ostatnim dźwięku - znikają, jakby się rozplynęli w powietrzu...

Tamar parodiowała ich, śmiała się, poruszając się lekko i z wdziękiem, widać było, jak jej ciało powraca do życia,

432

jak kielkuje, przebijając okrywającą ją łupinę. Ona też czuła, co się z nią dzieje, czuła, że jest trochę jak w tytule tamtej książki Jehudy Amichaja, tylko na odwrót - pięść staje się z powrotem otwartą dłonią i palcami. Kiedy skończyła, ukloniła się jak księżniczka, a Asaf bił brawo i marzył, by pozwoliła mu się kiedyś sfotografować, z tymi jej minami.

Szaj spytał Asafa, skąd właściwie jest. Po raz pierwszy się nim zainteresował. Spytał też, gdzie się uczy. Wspomniał o dwóch chłopakach ze szkoły Asafa, których zna. Z kolei Asafowi, który nigdy nie zapominał twarzy, zdawało się, że widział kiedyś Szaja na meczu Ha-Poel. Czy to możliwe? Szaj roześmiał się - to bardzo prawdopodobne. Asaf zainteresował się, czy Szaj chodzi jeszcze na mecze.

- Chodziłem, u mnie teraz wszystko jest w czasie przeszłym - odparł Szaj.

- W takim razie o co chodzi z tym Manchester United? Dlaczego ich plakat wisi w jaskini?

Szaj znowu się zaśmiał.

- To ona przyniosła, pomyliło jej się, myślała, że im kibicuję. Fatalna pomyłka, Watsonie! - I rzucił w Tamar kilkoma zielonymi gałązkami.

Tamar uśmiechnęła się.

- Co za różnica, Manchester czy Liverpool, czy to nie wszystko jedno?

Obaj chłopcy skwapliwie wyjaśnili jej, że żaden kibic Ha-Poel przy zdrowych zmysłach nie mógłby trzymać z drużyną w rodzaju Manchesteru.

-Ale dlaczego? — chciała wiedzieć, ciesząc się bezgranicznie z tej rozmowy.

- Wyjaśnij dziewczynce, dlaczego - westchnął Szaj -bo ja nie mam siły.

433

Asaf wytłumaczył zatem, że prawdziwy kibic Ha-Poel nigdy nie mógłby kibicować drużynie zwycięzców, takiej jak Manchester.

- My możemy się utożsamiać tylko z drużynami, które przegrywają, tylko z takimi, które są o krok od mistrzostwa, takimi jak na przykład Liverpool (która była drużyną

Szaja) czy Houston...

- To teraz wyobraź sobie, że nad moją głową wisi Manchester! -jęknął Szaj. -Jak ja w ogóle mam dojść do siebie, skoro mam Beckhama i Yorka nad głową?

Tamar śmiała się serdecznie i przypomniała sobie pewne palące pytanie, które tak niedawno ją nurtowało, mianowicie, czy człowiek, który wykonując określone zadanie, postanawia się szczelnie zamknąć, zamknąć swoją duszę na cztery spusty, będzie mógł po jego wykonaniu stać się znów sobą? Asaf opowiedział o swoim koledze, właściwie byłym koledze, Roim, który też jest kibicem Ha--Poel i w swoim pokoju nie ma ani jednej żółtej rzeczy, ani kubka, ani żadnej części garderoby, ani dzbanka, ani dywanu, żeby mu nie przypominało Betaru. I tak sobie gawędzili, a Tamar przysłuchiwała się z podwójną przyjemnością, połykała ich rozmowę jak lekarstwo na dwie różne choroby. Raz po raz rzucała jakieś pytanie, na przykład o „byłego kolegę” Asafa, a on jej odpowiadał, niczego nie ukrywając. Tamar słuchała uważnie, a potem pomyślała z pewną ulgą, że Asaf jest po prostu jej dokładnym przeciwieństwem - pod względem tego, co go interesuje (albo nudzi), rytmu życia, rodziny, z której pochodzi, no i absolutnej niezdolności do udawania. Podobało jej się, na przykład, że mówi powoli, namyśla się przed każdą odpowiedzią, wszystko gruntownie analizuje, jak gdyby biorąc pełną odpowiedzialność za każde słowo, jakie wychodzi z jego ust. Nigdy nie

sądziła, że będzie miała cierpliwość dla kogoś równie powolnego i że to się jej nawet będzie podobać. To jest taki typ człowieka - myślała - że nawet jeśli się na chwilę odwróci od niego wzrok, on pozostanie nadal taki sam. Ma taki czysty głos, a to nie jest coś, czego się można nauczyć na lekcjach śpiewu. Widziała poprzez spodnie, jak krew pulsuje powoli w jego tętnicy udowej i pomyślała, że pewnie dożyje stu lat, a przez cały czas będzie rósł i zmieniał się bardzo .powoli, nauczy się też mnóstwa rzeczy na swój gruntowny, rzetelny sposób, i niczego nie zapomni.

Potem musieli się schować do jaskini, bo dwóch turystów zaczęło schodzić do wadi jedną ze ścieżek. Powinni byli wykazać nieco większą czujność wobec tych mężczyzn, którzy raczej nie byli ubrani jak na wycieczkę na łono przyrody, jednak wszystkich troje ogarnął taki spokój i czuli się tak wspaniale, że stracili instynktowną

podejrzliwość i niewiele myśląc, szybko pozbiali to, co mieli ze sobą na zewnątrz, zamaskowali krzakami wejście do jaskini i schronili się w jej wnętrzu.

Zaraz potem wróciły bóle, jakby skończyły się ich krótkie wakacje i Asaf z Tamar znów zaczęli pielęgnować Szaja. Tym razem również były to bóle mięśni, już nieco słabsze, ale nadal przejmujące. Jaskinia wypełniła się odorem maści, którą Tamar kupiła na tę ewentualność. Szaj jęczał, że maść wywołuje w nim fale gorąca i zimna, a potem w jednej chwili znowu cały pogrzyżył się w nieznośnym bólu, do reszty stracił panowanie nad sobą i zaczął zarzucać Tamar, że się nad nim znęca, że nie ma litości, i komu to wszystko potrzebne, czy wcześniej było mu źle, nigdy już nie będzie mógł grać tak jak wtedy, kiedy brał, takie

434

435

wycucie mają tylko Bóg i Jim Morrison. On też je miał, a teraz już nie ma. Po chwili zdawało mu się, że mimo wszystko dostanie tę swoją działkę, że za sprawą jakiegoś cudu znajduje się teraz w taksówce, w drodze do Lyddy. Leżał i zdumiewająco plastycznie opisywał im drogę, wspominał nawet o zakurzonej judaszowcu, rosnącym przy wjeździe na tamto zasrane osiedle. Nie wiedzieli, o czym on mówi, ale słuchali jak zahipnotyzowani. Właśnie prosi taksówkarza, żeby się zatrzymał i poczekał gdzieś z boku. A teraz podchodzi do domu otoczonego wysokim murem. Puka do drzwi. Gospodarz nie otwiera, ale wysuwa jedną cegłę z muru... Nie widzę go, ale słyszę i wiem, co ma w ręce, wkładam pieniądze do dziury w murze, a on, o Boże, podaje mi samarkę, już ją mam, jestem znów w taksówce, jedziemy, niech pan rusza, odcinam końcówkę nożykiem modelarskim, Boże, gdzie są sreberka, Tamar, gdzie moje sreberka?!

Tak nagle zawołał i zaczął pocierać ręką o udo, jakby zawijał kawałek papieru, po czym nagle zadrżał i krzyknął:

- Co za jazda, ja już nie mogę!

Zasnął na chwilę, po czym gwałtownie się obudził, stanął na materacu, pełen energii, i zaczął do nich przemawiać: „Kim właściwie są ludzie?” - pytał. Otóż ludzie są niczym, to towar z drugiej ręki, wszyscy śmiertelnie się boją tego, co oryginalne, co

genialne. Ludzkość ma tylko jeden cel - żeby wszystkie co wybitniejsze postaci wykastrować i udomowić. Tak samo jak w państwach i narodach, dzieje się też w rodzinach - zwłaszcza w rodzinach! On sam nigdy nie założy rodziny, nigdy w życiu! Na co mu potrzebna ta góra obłudy? A do tego miałby jeszcze spłodzić dzieci i unieszczęśliwić kolejne pokolenie? Przecież ludzie gotowi są pożreć własne dzieci, żeby im tylko nie zapaskudziły

436

ich nieskazitelnego wizerunku i nie przyniosły wstydu przed znajomymi. Ledwo dyszał, a oczy omal nie wyszły mu z orbit. Jego twarz wyglądała jak zakurzona. Tamar wiedziała, że to już nie jest głód, lecz jego prawdziwy gniew i strach, które teraz, bez osłony narkotyku, zaczęły się uwalniać i tryskać strumieniami na zewnątrz. Kiedy spróbowała podejść i skłonić go, żeby usiadł, odepchnął ją z całej siły, a Tamar upadła na plecy i aż krzyknęła z bólu. Asaf wstał natychmiast, żeby powstrzymać Szaja, ten jednak nie bił jej już więcej, przynajmniej nie rękami: wykrzykiwał, że jest taka sama jak oni, bo próbuje stłamsić jego geniusz, wytresować go i ugłaskać. W miarę jak narastała jego złość, jego słowa stawały się coraz bardziej okrutne i ordynarne. Asaf myślał, że musi przerwać jakoś te tortury, lecz kiedy spojrzał na Tamar, zobaczył, a może wyczuł, że ona zabrania mu się w to mieszać, to prywatna sprawa między nią a Szajem. Zastanawiał się, czy Tamar nie pastwi się teraz nad sobą, czy nie karze się za pomocą słów Szaja tak samo, jak dogryzała sobie w dzienniku.

Nagle Szaj uspokoił się, bez żadnego widocznego powodu. Skulił się w kłębek, położył na materacu, przylgnął do ręki Tamar i pocałował ją, prosząc, żeby mu wybaczyła to uderzenie i wszystko. I płakał serdecznie, bo ona jest dla niego taka dobra, jest dla niego jak matka, zresztą zawsze tak było, chociaż jest od niego młodsza o dwa lata, nigdy jej nie pozwoli odejść, na całym świecie tylko ona go rozumie, czy tak nie było zawsze? Czy nie tak było w domu? Tylko dla niej warto mu było żyć. Wtem usiadł i jak w koszmarnym śnie wstał znowu, zaczął wrzeszczeć na nią, że w gruncie rzeczy chce go zabić, zawsze mu zazdrościła, że jest bardziej utalentowany, że jest większym artystą, artystą totalnym i absolutnym, a ona wie, że

bez narkotyku

437

zostanie zerem, będzie wykastrowany jak ona, bo ona - to przecież oczywiste - w końcu pójdzie na zgniły kompromis sprzeda swoją sztukę za bezcen, pójdzie studiować prawo albo medycynę, wyjdzie za jakiegoś wymoczka, który będzie pracował w kancelarii adwokackiej jak ojciec albo - jeszcze gorzej - przy komputerach. Za kogoś takiego jak ten fiut tutaj.

Kiedy wreszcie zasnął, oboje wyszli na zewnątrz i padli bez siły pod drzewkiem pistacjowym. Siedząca naprzeciwko Dinka wyglądała na tak samo przygnębioną jak oni. Tamar myślała, że zaraz eksploduje. Gdyby to trwało jeszcze sekundę dłużej, wylałaby z siebie wszystko, co jej leżało na wątrobie. Miała na końcu języka, że wyłącznie z jego powodu tu się znalazła, że to przez niego zrezygnowała z wyjazdu do Włoch, a może nawet w ogóle z chóru, zresztą kto wie, czy nie z kariery.

Wszystko się w niej przewraca z nienawiści do niego i tych jego pomysłów. Znała je już od dawna, bo za każdym razem, kiedy miał swój „gorszy okres” albo w czasie kłótni z rodzicami, wpadał do niej do pokoju i nawet nie pytając, czy ma dla niego czas ani czy w ogóle ma ochotę go wysłuchać, zamykał drzwi na zasuwkę i z jakąś niesamowitą, lodowatą furią robił jej wykład, trwało to czasami bitą godzinę.

Przemawiał, wymachiwał rękami, prychał, cytował rozmaitych filozofów, o których nawet nie słyszała, rozprawiał o „szlachetnym egoizmie” i o tym, że w gruncie rzeczy każdy człowiek działa, powodowany tylko i wyłącznie absolutnym egoizmem, dzieje się tak nawet w relacjach między rodzicami i dziećmi, nawet w miłości. I nie przestawał, póki jej nie zmusił, by przyznała, że ma rację, a ona sama boi się przyznać, że tak jest, bo w takim wypadku cały jej ciasny, drobnomieszczański światopogląd by się zawalił. Czasami

438

zaś, zwłaszcza w ostatnim roku, miała poczucie, że mimo wszystko nasiąkła w jakiś sposób tymi jego toksycznymi ideami.

Teraz opowiadała Asaibwi o tych sprawach, które dusiła w sobie, o których nie opowiadała nawet Lei, żeby nie kompromitować Szaja.

-Ja czasami też myślę podobnie jak on o ludziach i o ich egoizmie - oznajmił Asaf ku jej zaskoczeniu. - To przykre, kiedy się pomyśli, że pod paroma względami on chyba ma rację.

- Przykre, tak - potwierdziła Tamar z goryczą.

- I w sumie trudno zupełnie odmówić Szajowi racji. Bo co można mu odpowiedzieć?

- Istnieją trzy odpowiedzi - orzekł Asaf po namyśle.

- Po pierwsze, za każdym razem, kiedy uda mi się pokonać własny egoizm, czuję się nieco lepiej.

- Ale właśnie na to Szaj i jego koledzy filozofowie odpowiedzą ci, że tylko szukasz dla siebie usprawiedliwienia!

- zachnęła się Tamar. - W gruncie rzeczy boisz się działać inaczej niż wszyscy i wolisz czuć się dobrze, bo po prostu boisz się być zły!

Tak - pomyślała w głębi duszy - właśnie w tym rzecz: on naprawdę boi się być zły, jest po prostu zawodowym grzecznym chłopcem. Dlatego tutaj ze mną jest. Nigdy w życiu mnie nie zrozumie.

- Przeciwnie - powiedział Asaf z powagą. - Bo jeśli egoizm jest czymś wspólnym dla wszystkich, to właśnie wtedy, kiedy udaje mi się go pokonać, czuję, że jestem od nich inny, zgadza się?

- Naprawdę? - Tamar uśmiechnęła się, nieco zaskoczona. - No dobrze, to po pierwsze, a co po drugie?

- Druga sprawa to to, co mi powiedziała Teodora, chociaż trochę na inny temat: oczywiście, że są na świecie

439

tacy ludzie, jakim próbuje być Szaj, ale są też inni, tacy na przykład jak ktoś, kto wyciągnął Szaję z tego bagna, prawda? - Utkwił w niej głębokie, wymowne spojrzenie, a jej serce aż fiknęło. - Nawiasem mówiąc - ciągnął dalej Asaf - ona, to

znaczy Teodora, powiedziała, że właśnie dla tych innych ludzi warto żyć.

W tej właśnie chwili naszła ją nieprzyjemna, natarczywa myśl: ciekawe, co powiedziałby Idan o Asafie. Jednak zanim poddała się tej myśli, wraz ze wszystkim, co mogłaby ona w niej wywołać, doszła do wniosku, że znacznie ciekawsze jest to,

jakie Asaf będzie miał zdanie na temat Idana, jeśli w ogóle kiedykolwiek mu o nim opowie.

- A po trzecie? - spytała.

-A po trzecie, ja nie mam dobrych odpowiedzi na takie filozoficzne pytania. Koło mojego domu jest mały kawałek ziemi, gdzie co jakiś czas po prostu muszę pójść. Jest tam takie stare śmietnisko, na którym leży pełno gratów i może z tysiąc butelek. Stawiam sobie te butelki na skale i rzucam w nie kamieniami. Przez godzinę, dwie tłukę dwadzieścia, trzydzieści butelek i to mi pomaga. Oczyszcza mnie. - Zaśmiał się.

- Żebyś to lepiej zrozumiała, każdej z tych butelek nadaję jakieś imię, nie tylko imiona ludzi, ale też myśli, takich, które ty... - zawahał się - które ty nazywasz szczurami... - Tamar obrzuciła go ostrym, pełnym bólu spojrzeniem, poruszona tym wtargnięciem w jej świat, ale zaraz potem ogarnęło ją miłe zaskoczenie (Mamy swoją tajemnicę - pomyślała. - Zaczynamy mieć wspólny sekret, tak jak Lea mówiła o prawdziwych parach...) - I po prostu je tłuczę, jedną po drugiej, to mnie uspokaja aż do następnego razu. - Zaśmiał się przepraszająco. - Ot, taki patent dla wymoczków.

440

- Nie jesteś wymoczkami - zaprotestowała natychmiast, trochę za szybko. -

Zabierzesz mnie tam ze sobą następnym razem? Z chęcią bym teraz rozbiła parę butelek.

Wrócili do środka. Szaj spał. Od czasu do czasu krzyczał przez sen, a jego ciałem targały skurcze, jak gdyby śniło mu się, że ktoś go bije. Tamar i Asaf postanowili spać na zmianę, ale żadnemu z nich nie udało się zasnąć. Podczas dyżuru Asafa Tamar leżała na materacu przykryta cienkim kocem. Oczy miała otwarte i patrzyła na niego. Nie odzywała się, ale koniecznie chciała go widzieć. Przez cały czas. Jak gdyby jego widok, jego zamaszyste, niezdarne ruchy i nieśmiałe uśmiechy, jakie od czasu do czasu jej posyłał, były specjalnym lekarstwem, które musi zażywać, żeby zacząć wreszcie dochodzić do siebie.

Szaj przespał trzy godziny (choć twierdził, że nie zmrużył oka), wstał, połknął cztery mleczne batoniki i położył się znowu spać. Był opryskliwy i chyba żałował swojego wcześniejszego wybuchu, ale nie umiał się zdobyć na przeprosiny. Około

pierwszej w nocy zbudził się, wziął gitarę, wyszedł z nią na dwór i zaczął grać. Asaf i Tamar siedzieli wewnątrz i słuchali. Dla Asafa brzmiało to wspaniale, jednak Tamar słyszała wyraźnie, jak Szaj walczy ze strunami, gubi rytm i rozpaczliwie goni coś, co jeszcze tydzień wcześniej było obecne w jego muzyce. Tamar miała wrażenie, że jej brzmienie stało się płaskie i jakby czegoś mu brakowało. Potem zapadła cisza. Tamar dała znak Asafowi, że trzeba wyjść. Jednak zanim zdążyli wstać, usłyszeli potężny łoskot, trzask łamanego drewna i przeciągły jęk strun. Szaj wrócił sam, popatrzył na Tamar pełnym przerażenia, oskarżycielskim wzrokiem.

441

- Nie mam tego, mówiłem ci. Straciłem na zawsze. Co ja jestem bez tego wart? Padł na materac, zrozpaczony skulił się i lamentował nad sobą monotonnym głosem. Tamar położyła się przy nim, przytuliła się do niego całym ciałem i nuciła mu coś cicho, jakby kołysankę, a on po chwili zasnął, zapewne z przerażenia i rozpacz.

- Nie chcesz wiedzieć, co Lea napisała w tym liście? - spytała później, podczas swojego dyżuru, kiedy siedzieli tuż obok siebie przy śpiącym Szaju, otuleni jednym kocem, aby razem było im cieplej.

- Co napisała? - spytał zakłopotany. Tamar uśmiechnęła się.

- Nie, nie. Chcę, żebyś powiedział, czy jesteś ciekaw. - Jestem ciekaw, pewnie, że jestem, no, co takiego napisała?

Tamar podała mu pogniecioną kartkę. „Tami-Mami -czytał - nie gniewaj się na mnie, ale musiałabym być idiotką, żeby przepuścić taką okazję. Bruce Willis i Harvey Keitel w jednym!!! A swoją drogą, popacz sama i powieć, czy to nie jest ręka Statuły Wolności? PS Nojku potwierdza”.

Asaf nic z tego nie rozumiał. Tamar szturchnęła go ramieniem. Chciała się dowiedzieć, jakie wrażenie zrobiła na nim Lea, a on jej opowiedział, co się działo, kiedy dotarł do restauracji, a wtedy w końcu przypomniał sobie, że jeszcze jej nie powiedział o Teodorze.

Tamar słuchała, tłumiąc okrzyk zdumienia, a kiedy Asaf skończył, poprosiła, żeby opowiedział jeszcze raz, ale żeby bardziej szczegółowo opisał swoje spotkanie z Teodorą i to, co jej zrobili, i jej pierwsze kroki poza domem -jak patrzyła na ulicę,

jaką wtedy miała minę. Tamar

442

wstała i zaczęła chodzić po jaskini od ściany do ściany. Powiedziała, że doprowadzają do szalu myśl, że nie może być teraz z Teodorą, towarzyszyć jej w pierwszych krokach poza domowym więzieniem. A w głębi duszy pomyślała, że jeśli Teo w końcu wyszła, to może jest szansa, że również Szaj zdoła się uwolnić.

- Ale jak to możliwe, że ona ci opowiedziała, jak się spotkałyśmy, ona i ja? I że Lea opowiedziała ci wszystko? A inni? Co ty z nimi zrobiłeś?

Asaf wzruszył ramionami. Szczerze? Jego też to zaskakiwało, za każdym razem od nowa.

- Jesteś czarodziejem. Zobacz, jak skłaniasz ludzi do rozmowy, to wielki dar.

Coś zadźwięczało mu w głowie: Wojownik, Złodziej, Rycerz, Czarnoksiężnik.

Trzema z nich już byłem, brakuje tylko Rycerza (był tym zakłopotany, nie miał pojęcia, jak zdoła kiedykolwiek nim zostać). Nagle Dinka zaszczekała nerwowo, a wtedy Asaf wyszedł z jaskini, ale nic nie zobaczył. Potem już nie wrócili do tej rozmowy.

O drugiej w nocy zaczął się dyżur Asafa i tym razem to Tamar oświadczyła, że i tak nie zaśnie. Wyszli przed jaskinię. Próbowali usiąść tak, a może tak, a może jeszcze inaczej. Wreszcie siedli oparci o siebie plecami i ze zdumieniem odkryli, jak wiele odczuć można nimi wyrazić, jak potrafią się one tulić, rozmawiać ze sobą. I to akurat plecy! Zdawałoby się, najbardziej obojętna część ciała. Wprawilo ich to w zakłopotanie, więc przestali zwracać uwagę na to, co się tam działo, i wrócili do rozmowy o tym, co zajmowało ich teraz najbardziej. Asaf po raz trzeci opowiedział o spotkaniu, jakie odbył w południe w kawiarni z jej rodzicami. Niczego przed nią nie ukrył z wyjątkiem słów, które

443

mogłyby być dla niej zbyt bolesne. Ona z kolei opowiedziała wydarzenia ostatniego roku, próbując mu wyjaśnić, jak to w ogóle możliwe, że dwoje kulturalnych i mądrych ludzi postępuje w ten sposób. Że spisali na straty własnego syna, nie podejmując walki. Wycięli go - i chyba również żal po nim - ze swojego życia.

Opowiedziała wszystko - o tym, jak Szaj się z nimi kłócił, i o odczuciu, jakie zawsze mu towarzyszyło, że oni i on żyją na dwóch osobnych planetach, i o tym, jak mniej więcej dwa lata temu zaczął znikać z domu na całe dni, czasami nie wracał na noc, a kiedy wracał, nic nie mówił. Widziano go w rozmaitych miejscach, a rodzice nie chcieli w to uwierzyć. A potem zaczęły się drobne i większe kradzieże, bo Szaj potrzebował pieniędzy, coraz więcej i więcej pieniędzy na swój towar, i wreszcie ostatnia, potworna scena, kiedy ojciec próbował powstrzymać go przed wyjściem z domu i doszło między nimi do bijatyki.

- No więc ja rozumiem, że, dajmy na to, przez pierwszy tydzień tata był zły i czuł się dotknięty i poniżony. No i słusznie. Ale potem? A mama? Jak to możliwe? I przez cały ten czas, ponad rok, tylko dwa razy zwrócili się do policji, uwierzyłbyś? Dwa razy?! Gdyby im ukradli samochód, wydzwanialiby tam do znudzenia i bez skrpułów uruchomiliby wszystkie swoje znajomości, a tu - chodziło przecież o ich syna! I kiedy policja stwierdziła, że Szaj ukończył już osiemnaście lat, więc jeśli odszedł z domu z własnej woli, nie mogą interweniować, oni przestali w ogóle próbować! - Tamar uderzyła się w czoło otwartą dłonią. - Potrafisz to zrozumieć? Czy twoi rodzice dopuściliby do czegoś takiego?

- Nie - odrzekł Asaf, opierając się wygodniej o jej plecy, i rozmyślał, jak wspaniale by było, gdyby Tamar poznała

444

kiedyś jego rodziców. Zaraz też całe jego ciało wypełniła błoga świadomość, jak dobrze Tamar będzie się u nich czuła, tak jak to było z Nosorożcem, i całkiem wyraźnie zobaczył, jak Tamar przyjdzie do niego do domu, jak pobawi się z Muki i porozmawia w kuchni z jego mamą. Potem wejdą razem do jego pokoju, a on zamknie za nimi drzwi. W tym momencie postanowił usunąć z pokoju kilka wstydliwych przedmiotów, pozostałości z jego wcześniejszego życia, jak na przykład kolekcję potworków Boglins w najróżniejszych kolorach, zwłaszcza koszmarnego Doinka, czy fotomontaż przedstawiający Asafa z rabinem Kadurim, a także wyblakłe plakaty Power Rangers, które miał u siebie, odkąd skończył dziesięć lat.

Tamar poszła zobaczyć, co z Szajem. Nie spał i poprosił ją o wodę. Kiedy wypił,

położył się i patrząc na nią, prosił, żeby mu wybaczyła wszystko, co zrobił i powiedział. Potem zupełnie spokojnie, z mrozącą krew w żyłach trzeźwością umysłu, oświadczył, że jego życie bez gitary nie ma już sensu. Tamar wyjaśniła, że to w ogóle wykluczone, żeby na tym etapie był w stanie grać tak jak kiedyś, ale za miesiąc, dwa odzyska to, podobnie jak wiele innych rzeczy. Szaj pokręcił głową i powiedział, że to tylko jej pobożne życzenia, ale on nie ma już żadnych złudzeń.

- Czemu nie pozwolisz mi tutaj umrzeć? - spytał, a ona starała się nie dać po sobie poznać, co czuje, słysząc takie słowa.

-Jeszcze tego nie rozumiesz, Sherlocku - siliła się na uśmiech - że nie pozwolę ci upaść? Że choćbyś nie wiem co zrobił i jak się wysilał, będę szła za tobą i cię podtrzymam? Jeszcze nie zrozumiałeś, że nie masz wyboru?

445

Dłuższą chwilę patrzyli po sobie w zupełnym milczeniu, którego znaczenie tylko oni potrafili zrozumieć - bez słów, jak zawsze od czasów dzieciństwa, jakby byli bliźniętami, a ich spojrzenia dwoma kluczami do jednego sejfu.

- Naprawdę będziesz mnie ochraniać? -A jak myślisz?

- Że tak. - Szaj westchnął głęboko, jego wychudła pierś podniosła się. Tamar wiedziała, że dał jej wielki prezent, największy, jaki tylko mógł jej dać. - No dobra - zbeształ ją, starając się przybrać szorstki ton - wyłącz te skrzypce w tle i przynieś mi jakiś owoc albo cokolwiek, bo umieram z głodu, i idź do swojego chłopaka, no idź, widzę, że już za nim tęsknisz, ja już tu sobie dam radę.

Tamar wróciła do Asafa i zrelacjonowała sucho, że Szajowi trochę się polepszyło.

Siedzieli jeszcze kilka minut w milczeniu. Tamar czuła, że w miarę jak Szaj dochodzi do siebie, w jej wnętrzu zwalnia się coraz więcej miejsca dla Asafa i dla niej samej, dla wszystkich spraw, o których nie wolno jej było myśleć wcześniej.

Potem opowiedziała mu o Szeli, o jej radości życia, wdzięku i poczuciu humoru, i o jej autodestrukcji. Mówiła prawie godzinę bez przerwy, a Asaf słuchał.

Opowiedziała, jak Szeli przyszła jej pomóc z materacem, jak przyjęła ją do swojego pokoju i że nie bała się nikogo na świecie. Dopiero kiedy o tym opowiedziała, zaczęła w końcu sobie uzmysławiać całą grozę tego, co się zdarzyło.

- Nie ma Szeli - powiedziała ze zdumieniem, jakby dopiero teraz to do niej dotarło. - Nie ma jej i już nie będzie. Na całym świecie nie będzie już tej jednej, niepowtarzalnej osoby, jaką była. Rozumiesz to? Mówię te słowa

446

i sama nie do końca je rozumiem. Dlaczego nie mogę tego do końca pojąć? Powiedz, może coś ze mną jest nie tak? Brakuje mi czegoś?

Ponieważ siedzieli odwrócenii do siebie plecami, Tamar nie widziała twarzy Asafa, ale pomyślała, że jeszcze nie spotkała chłopaka, który potrafiłby słuchać z takim zaangażowaniem i ciepłem. Potem - sama nie zauważyła, kiedy to się stało - Asaf namówił ją, żeby opowiedziała trochę o swoim śpiewaniu. Opisała mu ogromną zmianę, jaka zaszła w jej życiu trzy lata wcześniej, kiedy wymusiła na rodzicach, by ją zapisali do chóru. Jak nagle zaczęła rozkwitać i wreszcie poczuła, że jest coś warta. Mówiła też o pani Halinie, która wierzyła w nią od samego początku i nie przejmowała się jej trudnym charakterem ani tupetem. Asaf odparł, że nie ma pojęcia o muzyce, ale najtrudniej mu zrozumieć, jak ona jest w stanie występować przed publicznością. Tamar zaśmiała się i powiedziała, że jej też za każdym razem wydaje się to czymś niewiarygodnym, ale zaciekawiło ją, dlaczego jego zdaniem to takie trudne. Asaf zastanawiał się dłuższą chwilę. Czekwała cierpliwie.

- Oddać część siebie - powiedział w końcu - oddać coś, co pochodzi z samego wnętrza, ludziom, których się w ogóle nie zna i nie wiadomo, jak na to zareagują...

- Masz rację, właśnie w tym rzecz - powiedziała. - Ale mnie to sprawia również przyjemność, rozumiesz to? Za każdym razem na nowo stawać przed obcymi i próbować ich podbić...

- Rozumiem, ale ja jestem inny. Ja bym tak nie potrafił. - Zaśmiał się cicho, bo wyobraził sobie siebie, jak śpiewa przed ludźmi, a ona przywarła jeszcze mocniej do jego pleców, żeby wchłonąć w siebie drgania jego śmiechu, tak aby żadne z nich się nie zmarnowało. - Bo ja pewnie

447

bym przerywa! po każdej frazie i zastanawia! się, czy wyszło dobrze, czy niedobrze. Czy poszło tak, jak powinno? - Wzruszył ramionami. - Tobie to się nigdy nie zdarza?

- Właśnie tego usiłuję się nauczyć przez te wszystkie lata! - Westchnęła, zdumiona tym, jak Asaf wskazał palcem na sprawy najbardziej skomplikowane, które już od lat ją frapowały, w dodatku tak, że nawet pani Halina nie potrafiłaby tego lepiej ująć. - Bo muszę z czegoś zrezygnować, rozumiesz? Muszę zrezygnować z samokontroli, i z tego idiotycznego krytycyzmu, a jeszcze nie do końca wiem, jak. I kiedy tylko zatrzymam się na chwilę, żeby zastanowić się nad ostatnim dźwiękiem - koniec. Zaraz się zamykam, nieruchomieję i już po mnie.

Asaf gotów był jej słuchać choćby i całą noc, tylko nie rozumiał, jak to możliwe, że potrafi usiedzieć w miejscu, taki spokojny i opanowany, podczas gdy plecy płoną mu żywym ogniem, kiedy niczego bardziej nie pragnie niż przebiec po wierzchołkach wszystkich wzgórz dookoła i krzyczeć na całe gardło, że to się naprawdę dzieje, że całe jego życie aż dotąd było tylko przygrywką, supportem, i że on sam nareszcie zaczyna istnieć. Ona mówiła, a on nie wiedział, czy jest zdrowy, czy chory, całe ciało miał obolałe od tego, co go ku niej popychało. Bolały go nawet zęby, nawet paznokcie.

- Ale kiedy śpiewasz dobrze - spytał, ostatkiem sił starając się nadać swojemu głosowi pozory spokoju i opanowania - jak to jest, jakie to uczucie?

- Oj, to najlepsze, co może być - odparła wesoło Tamar. - Dla mnie to prawie mistyczne przeżycie. To takie uczucie, że wszystko we wszechświecie znajduje się dokładnie na swoim miejscu... - Tak, jak czuję się teraz - pomyślała. - Powiedz, nie chciałbyś kiedyś przyjść na mój recital?

448

- No pewnie. Ale będziesz musiała wszystko mi przedtem wyjaśnić.

- Nie martw się. Przyjdziesz przygotowany.

Chciał ją poprosić, żeby zaśpiewała coś dla niego już teraz. Ale wstydził się, do licha, wstydził się!

Raz po raz jedno z nich wstawało i szło sprawdzić, czy z Szajem wszystko w porządku. To, które zostawało samo, czuło, jak jego ciało tęskni za dotykiem drugiego. Dinka zaszczekała i zaczęła węszyć w powietrzu. Przez cały czas z okolicznych krzaków dochodziły dziwne szmery, lecz Asaf i Tamar byli całkowicie

pochłonięci swoją chwilą, a potem, kiedy już było po wszystkim, nie mogli się nadziwić, jak to możliwe, że byli tak ślepi i głusi na to, co dzieje się wokół, i jak karygodnie zaniedbali swoją straż.

Prawie nieświadomie oparli się o siebie głowami. Tamar spytała, czy jej kolce go nie kłują, a Asaf odparł, że nie, właściwie są miękkie. Wtedy opowiedział jej, jak bardzo był zdziwiony, kiedy ją taką zobaczył, bo wszyscy przygotowywali go na widok długich, bujnych włosów. Tamar spytała, czy taka fryzura mu się podoba, a on odpowiedział, że tak.

- Tylko „tak”? - spytała, na co Asaf odparł, że bardzo i że w ogóle nie ma dla niego znaczenia, jakie będzie miała włosy, bo jest pewien, że tak czy inaczej będzie jej do twarzy. Że jego zdaniem jest naprawdę bardzo piękna. I zamilkł, zdumiony i oszołomiony własnymi słowami.

Dinka znów zaszczekała, tym razem głośniej. Tamar czuła ciężar głowy Asafa na swojej głowie. Ta rozkosz była prawie nie do zniesienia. Niewiele brakowało, by wstała i odeszła, bo co się stanie, kiedy wszystko tutaj się już skończy albo jeśli po opuszczeniu jaskini czar pryśnie?

449

Nie ruszyła się jednak z miejsca, tak że ciepło jego ciała roztopiło w niej ostatnie igiełki lodu, a rozkosz rozeszła się po całym jej ciele. To się dzieje naprawdę - przeszła jej przez głowę niejasna myśl. - Oto moje fantazje właśnie dotyczą rzeczywistości, a mimo to balon nie wybuchł mi prosto w twarz. Asaf spytał, dlaczego tak wzdycha, co się stało, a ona odparła, że nic. Jednak w głębi duszy przemknęło jej dziwne zdanie: „Serdeczne gratulacje, mamy zaszczyt poinformować, że została pani przyjęta do grona ludzi”.

- Przedtem chciałem cię o coś poprosić, to znaczy, zabrakło mi odwagi - powiedział Asaf (i nie mógł uwierzyć, że mówi w ten sposób, jakby miał nie wiadomo jakie doświadczenie).

- Co takiego? Powiedz - głos dochodzący zza jego pleców był łagodny i szczodry.

- Żebyś mi zaśpiewała. -A, o to chodzi.

Nawet się nie wyprostowała, żeby ich ciała się nie rozłączyły. Zaśpiewała mu

zupełnie naturalnie, bez żadnego wysiłku czy chęci, by zrobić na nim wrażenie: Jak jedna samotna gwiazda ma odwagę. - Jej głos wydał mu się inny, a ona nie rozumiała, dlaczego. - Jedna samotna gwiazda -ja bym się nie odważył..." - Oparci o siebie plecami, oboje zamknęli oczy. - „Chociaż właściwie nie jestem sam..." - śpiewała cicho i zdała sobie sprawę, że w jej głosie zaszła jakaś zmiana, nawet od ostatniego razu, kiedy śpiewała na placu Syjońskim, zmiana bardzo subtelna. Jakby gdzieś przepadła jego dziecięca czystość, a zaczęło się coś nowego, czego Tamar nie potrafiła nazwać po imieniu.

450

W połowie piosenki Dinka wstała i zaczęła kręcić się niespokojnie. Zaszczekała kilka razy na wszystkie strony.

- Może w krzakach jest jakieś zwierzę - powiedział Asaf, kiedy skończyła śpiewać. Miło mu było czuć plecami, jak Tamar spokojnie oddycha. Jeszcze jej nie powiedział o swojej pasji fotograficznej, ale jakoś nie miał ochoty mówić o sobie.

- Może weźmiemy latarkę i się rozejrzemy? -Nie, zostań tutaj.

Tamar o czymś sobie przypomniała:

- Dziś wieczorem, kilka godzin temu, w Mediolanie, był ostatni koncert mojego chóru. - I zaraz dodała: - A Adi śpiewała moje solo.

- Zaśpiewaj je tutaj dla mnie.

- Naprawdę? Chcesz?

- Tak. Jeśli ci wystarczy taka mała publiczność. Wstała. Wyprostowała się. Pokazała mu, jak nosi

czarną suknię koncertową, obróciła się dostojnie, ukazując głęboki dekolt na plecach, buty na wysokim obcasie, w których wygląda co najmniej o trzy lata dojrzałej, pogładziła dłonią swoje bujne, misternie ułożone kędzierzawe włosy. Następnie ukloniła się z wdziękiem przed zgromadzoną w sali publicznością, przed siedzącymi na galerii i w bocznych, zdobionych złotem łóżach. Lekko odchrząknęła, dała znak pianiście...

- Chwileczkę - przerwał Asaf, zrywając się na równe nogi. - Ktoś tam jest.

I wtedy to się stało. Szybko jak wypadek samochodowy. Asaf do ostatniej chwili nie

mógł uwierzyć w to, co się dzieje, bo byli tak blisko happy endu, a tu nagle wszystko runęło w gruzach. Przeszła mu przez głowę głupawa myśl: to samo uczucie, jakie się ma, grając w „Węże i drabiny”,

451

kiedy dochodzi się już do cyfry 99 i akurat wtedy zjeżdża się po linie na sam dół, na trzynastkę. Pechową trzynastkę.

Jak operacja wojskowa - pomyślał Asaf sekundę później. Jak koszmar - pomyślała Tamar. Wypadli ze wszystkich stron, z pagórka, zza głazu. Z początku zdawało się, że są ich dziesiątki. Potem okazało się, że tylko siedmiu: sześciu goryli i Pesach. Na samym początku Tamar, ogarnięta jeszcze burzą strachu, zadreślała się głównie myślą, że tamci byli w pobliżu przez cały czas i słuchali, profanując swoją obecnością ich drogie chwile.

Ktoś uderzył Asafa w plecy, ktoś inny przewrócił Tamar. Usłyszeli odgłosy uderzeń i krzyki dobiegające z jaskini, a potem wychynął z niej Sziszko, trzymający brutalnie Szaja, który był zupełnie ogłupiały i przerażony. Krew ciekła mu z nosa.

- Góra Świątyni zdobyta - powiedział Sziszko i spojrzał z nienawiścią na Tamar. - Teraz zajmujemy się Grotą Machpela.

Asaf widział, jak jej twarz się wykrzywia, a ktoś z tyłu znów wepchnął mu twarz w ziemię. Pomyślał sobie, że w końcu oswoi się z jej smakiem.

Pesach miał plan.

- Przypacz się uważnie, mój drogi - powiedział, stając naprzeciw Szaja. - Co mam w prawej ręce, a co w lewej. - Szaj próbował skupić wzrok. Asaf uniósł głowę nad ziemią. Tym razem nie przyciśnięto mu jej z powrotem. Kiedy zobaczył warkocz, zrozumiał, że wszystko stracone. - Coś, co tak bardzo lubisz - Pesach mówił słodkim głosem. - Co da ci największego kopa na świecie.

Tamar wydała głęboki jęk i wcisnęła głowę głęboko w ziemię.

452

- Co to jest? - spytał Szaj słabym głosem, a jego nogi samorzutnie postąpiły krok do przodu. - Pokaż, pokaż.

- W prawej ręce mam pięć centów hery, pięknie opakowane, prosto od producenta. -

Szaj wydał jęk niedowierzania i gwałtownego pragnienia. Jego ręka sama powędrowała do przodu. W okamgnieniu dał się zupełnie otumanić.

- Nie dotykać towaru! - fuknął Pesach. - Teraz popacz tutaj, co mam w lewej ręce? Surprise! Mały, piękny kartonik. Po prostu zajebisty! Wyrzuci cię prosto do nieba! Co ty na to? Od czego chcesz zacząć?

Szaj dyszał ciężko. Jego długa, delikatna szyja wysunęła się do przodu. Jak szyja łabędzia - pomyślała Tamar; który zaraz ma iść pod topór - pomyślał Asaf.

- Bo ja słyszałem - mówił Pesach, przeciągając słowa
- dowiedziałem się z dobrze poinformowanych źródeł, że twoja urocza siostrzyczka urządziła ci tu samodzielnie mały detoks, to prawda?

Szaj kiwnął głową. W świetle księżyca Asaf widział, jak jego twarz znów przybiera szary kolor narkotycznego głodu.

- Więc może ty już w ogóle nie jesteś zainteresowany tym, co mamy ci tutaj do zaoferowania? - spytał Pesach przyjacielskim, mrozącym krew w żyłach tonem i jak iluzjonista zacisnął dłonie na dwóch działkach. Szaj, jak zaklęty, pokręcił przecząco głową i zajęczał gorzko zawiedziony, kiedy porcje narkotyku zniknęły mu z oczu.

- Szaj! - krzyknęła Tamar na całe gardło. - Szaj!

Ten, który ją trzymał, wcisnął zaraz jej głowę w ziemię, jednakże jej krzyk odniósł skutek: Szaj zadrżał, cofnął się o krok i szeroko otworzył oczy. Asaf miał wrażenie, że wtedy ukazał się w nich nagle prawdziwy Szaj.

- Nie - odpowiedział.

453

Pesach jakby z roztargnieniem uniósł rękę nad ucho.

- Nie dosłyszałem.

- Powiedziałem „nie” - jęknął słabo Szaj. - Już z tym skończyłem. Tak myślę.

- Myślisz, że skończyłeś - powiedział Pesach dobrotliwym tonem i podszedł do niego bliżej. - Ale dobrze wiesz, że wcale nie skończyłeś i już nigdy nie skończysz. Bo nie ma takiej siły na świecie, która by cię z tego wyciągnęła. A wiesz, czemu? - Nachylił się i położył ciężką dłoń na wychudzonym ramieniu Szaja. Tamar wręcz poczuła na sobie powiew maskowanej agresji, jaki zaczął wirować wokół jego ciała. Asaf patrzył

na innych, którzy tam stali i przypatrywali się temu widowisku. Widział, jak niemal powtarzają naładowane energią ruchy wielkoluda. - Naprawdę chcesz usłyszeć, czemu nigdy w życiu nie uda ci się z tym skończyć? Bo bez swojej działki jesteś niczym, jesteś kompletne zero. Bez towaru nie pociągniesz nawet jednego dnia. Bez tego nie odważysz się wyjść na ulicę i gadać z ludźmi ani wejść do kafejki, pogadać z kumplami, poderwać dziewczyny. A już pójść z nią do łóżka? Przy twoich kompleksach? Ty mnie nie rozśmieszaj. Chyba tylko we śnie by ci stanął bez działki. No więc ja, Pesach, twój ojciec i matka, twój chłopak i dziewczyna, twój agent i twoja przyszłość, ja ci proponuję: weź, weź po dobroci.

Przez cały czas Szaj słuchał ze spuszczoną głową. Z każdym wypowiedzianym przez Pesacha zdaniem stawał się coraz niższy, jakby ktoś wbijał go młotkiem w ziemię. Kiedy Pesach skończył, Szaj wyprostował się, odrzucił z oczu to, co zostało po jego grzywce, i powiedział: „nie”.

- Szkoda mi cię - powiedział Pesach. - Masz palce Jimiego Hendriksa, ale jak tam chcesz.

454

Zrobił krok do tyłu i dał znak Sziszkowi. Kościsty, ponury mężczyzna podszedł i z całej siły chwycił Szaja za palce jego prawej dłoni, tej, którą szarpie struny gitary. Szaj zawył z przerażenia i próbował uwolnić dłoń.

- Prawdę mówiąc, nie mogę się zdecydować - Pesach podrapał się po głowie - czy pierwszy palec będzie za to rozwalone mitsubishi, czy za Mika, który teraz karmi się jakimś badziewiem na placu Rosyjskim. Co mówicie? -zwrócił się do stojących wokół mężczyzn, którzy patrzyli na niego jak zahipnotyzowani. -A może najpierw połamiemy, a zdecydujemy później?

- Lepiej nie - rozległ się jakiś nowy, ciężki i powolny głos tuż nad jaskinią. Asaf był przekonany, że zwariował.

Sziszko znieruchomiał. Szaj z jękiem wyszarpnął mu rękę i schował za plecami. Goryle nerwowo rozglądali się w prawo, w lewo i w górę. Oglupiona Dinka zaszczekała w niebo, a Pesach cofnął się o krok, stanął między cieniami, tocząc wokół oszalałym wzrokiem.

- Trochę się zaplątałem - rzucił Nosorożec, schodząc z pagórka, tuż nad ich głowami.
- Też sobie miejsce znaleźliście. Już mi nogi zdrętwiały. Czołem, Asaf!

„Asaf z akcentem, rzecz jasna, na pierwszej sylabie.

W ciągu następnych dni, kiedy Asaf przywoływał w myślach te zdarzenia, miał poczucie, że zakończenie powinno wyglądać nieco inaczej. Trochę bardziej dramatycznie. Z kłębamii dymu i ognia, z nadludzką walką na śmierć i życie, i żeby trwało to godzinami...

W rzeczywistości było to niemal rozczarowujące: okazało się, że byli tam również policjanci, dziewięciu funkcyj-

455

nariuszy, w cywilnych ubraniach, którzy już wieczorem porozkładali się dookoła, na dnie wadi, wśród zarośli i traw, i leżeli tam ścierpnięci i rozdrażnieni. Był też oficer w randze podinspektora z wydziału narkotyków, spokojny i chłodny człowiek w okularach, który walczył na wojnie libańskiej w jednym czołgu z Nosorożcem i wyznał potem Asafowi, że w pewnym sensie zawdzięcza Nosorożcowi życie.

Nagrywał Pesacha, kiedy ten próbował namówić Szaja, żeby znów zaczął ćpać.

- Tak, tak, to wystarczające dowody, zdecydowanie - mruzczał beznamiętnie, niczym angielski policjant.

Trwało to nie dłużej niż dziesięć minut. Cały świat stanął na głowie, a potem odwrócił się z powrotem. Pesach próbował uciekać. Mimo swojej olbrzymiej wagi był bardzo zwinny i szybki, trzeba było czterech policjantów, żeby go schwytać. Ale nawet wtedy się nie poddał. Wywiązała się zacięta walka, w ruch poszły pięści, Tamar przypomniała sobie, że Pesach był w młodości zawodowym zapaśnikiem, jednak w końcu policjanci zdołali powalić go na ziemię twarzą w dół i związać mu ręce. Kiedy go podnieśli, wyglądał bardzo mizernie, był wystraszony, przypominał wielki opróżniony balon. Policjanci skończyli zakuwać całe bractwo w kajdanki, posadzili wszystkich parami, plecami do siebie i zabronili im rozmawiać. W czasie szamotaniny z Pesachem zginęła jedna para kajdanków i okazało się, że nie ma go w co zakuć. Tamar weszła wtedy do jaskini, skąd wyniosła nową parę i z zagadkową miną podała je funkcjonariuszom. Jeden z nich spytał:

- A może masz też lornetkę z noktowizorem? Moja się popsowała.

Policjanci weszli do jaskini i rozejrzeli się po jej wnętrzu, próbując sobie uzmysłwić, co się tam działo.

456

Podinspektor zadał Tamar kilka pytań, coś zanotował i sądząc po tym, jak mu zaparowały okulary, był niemal wzruszony.

-A gdyby ci się nie udało? - spytał wreszcie matowym głosem. - Chyba rozumiesz, że wszystko przemawiało przeciwko tobie? Co byś wtedy zrobiła?

- Musiało mi się udać - odparła. - Po prostu nie było innego wyjścia.

Szaj siedział z boku oparty o skałę, zszokowany i cały zlany potem. Tamar podeszła do niego, usiadła obok i ogarnęła go ramieniem. Rozmawiali przez chwilę szeptem.

Asaf słyszał słowa Tamar:

- Dziś w nocy, zaraz. Po prostu zabierzemy cię tam, zapukamy do drzwi i wejdiesz.

- Oni się nigdy w życiu nie zgodzą - odrzekł Szaj. - Widziałaś, nawet mnie nie szukali.

Tamar odparła, że o tym muszą jeszcze porozmawiać, wszyscy razem, o całym tym koszmarnym czasie, ale wie na pewno, że na niego czekają. Szaj roześmiał się i chciał wiedzieć, skąd ta pewność. Tamar dała znak Asafowi, a on pochylił się nad nimi i po cichu opowiedział Szajowi o spotkaniu, jakie odbył w południe w kawiarni. Co im powiedział i jaka była ich reakcja, i że na końcu się popłakali.

- Nie do wiary - mruknął Szaj. - On płakał? Przy ludziach? Naprawdę widziałeś łzy?

Policjanci odeszli, prowadząc przed sobą małą karawanę wściekłych, pokonanych mężczyzn. Nosorożec został z nimi trojgiem. Zaproponował, że odwiezie ich do domu, a wróca tu nazajutrz, kiedy będzie widno, żeby wszystko zabrać. Asaf zmarkotniał. Jak to? Tak się to miało skończyć?

457

Mimo wszystko był w tym również pewien urok - mieszkanie tu razem z nimi, z Tamar, i bolesna codzienność, i nieliczne chwile szczęścia.

Wspięli się na pagórek, Dinka wybiegła przed nich, a Nosorożec prowadził Szaja.

Potem przekazał go do tyłu, Tamar, i siedł obok Asafa. Asaf spytał go, jakim

sposobem zaaranżował to wszystko i skąd Pesach dowiedział się, gdzie ich szukać. Nosorożec odparł, że już od kilku dni, odkąd jakaś dziewczyna z Domu Artystów zmarła w Ejlacie, ludzie z wydziału narkotyków intensywnie rozpracowują Pesacha, skompletowali już na niego piękną teczkę, brakowało im tylko wisienki na czubek tortu, więc kiedy Nosorożec zadzwonił do swojego flegmatycznego kolegi, spotkał się z niemal entuzjastycznym odzewem.

- A dalej poszło już z górki. Dzisiaj po południu ktoś zadzwonił anonimowo do Pesacha, może to nawet byłem ja, i wyjaśnił mu dokładnie, gdzie może znaleźć dwa ptaszki, które mu uciekły z klatki. I wtedy to już była naprawdę bułka z masłem. Księżyc zniknął. W ciemności trudno było cokolwiek dostrzec. Asaf kilkakrotnie próbował powiedzieć Nosorożcowi o Reli, ale nie mógł znaleźć słów. Przechodzili przez gęste krzaki. Słyszać było tylko ich oddechy i świszczące odgłosy dochodzące z płuc Szaja. Asaf spojrzał w bok. Nosorożec wydał mu się nieco bardziej zamyślony niż zwykle. Słowa były już chyba zbędne.

Potem wcisnęli się do jego furgonetki. Wszyscy milczeli. Tylko raz odezwał się Szaj:

- Teraz, na przykład, nie miałbym nic przeciwko jakiemuś dżointowi.

Tamar wiedziała, jak przeraża go myśl o tym, z czym ma się teraz zmierzyć, zupełnie odsłonięty, pozbawiony

458

ochrony narkotyku. Asaf siedział wpatrzony w ciemny krajobraz i myślał: No i już, za dziesięć minut wszystko się skończy, już za pięć, już za minutę.

Ogród przed domem oświetlała tylko jedna latarnia. Tamar wyjrzała przez okno furgonetki. Dinka wyczuła zapach swojego miejsca i zaczęła wiercić się niespokojnie w samochodzie. Natomiast Asaf sposepniał nieco, widząc piękny dom, wypielegnowany ogród i dwa srebrne samochody na parkingu.

Szaj wysiadł i stanął przed furtką. Dinka wyskoczyła za nim i zaczęła hasać po trawniku. Szaj zwrócił się do siostry:

- No co, idziesz? Tamar popatrzyła na dom.

- Idź sam - odparła. - Najpierw ty się z nimi spotkaj. Powinniście porozmawiać sami. Ja się zjawię jutro rano.

Asaf popatrzył na nią w osłupieniu. Nosorożec siedział tyłem do nich i bębnił palcami w kierownicę. Nagle jakby przybyło mu pleców.

- Myślałam... - zaczęła Tamar niepewnie - pomyślałam sobie, że potrzebuję jeszcze jednej nocy w tamtym miejscu. Jeszcze się z nim nie zdażyłam pożegnać.

- Sama? - spytał Nosorożec stłumionym głosem. - Jak możesz tam zostać sama? Zaległa cisza.

- Dinka pojedzie ze mną - wyszeptała Tamar.

- Yyy... Ja... Ja też - powiedział Asaf dziwnie słabym głosem.

Nosorożec wzruszył ramionami. Oparł głowę na rękach, trzymając łokcie na kierownicy. Przez przednią szybę widzieli, jak Szaj mija furtkę i idzie dalej wybrukowaną ścieżką. Wiedzieli, że dopiero teraz wyrusza w drogę powrotną do życia, i wcale nie byli pewni, czy mu

459

się powiedzie. Kiedy stanął przed drzwiami wejściowymi, odwrócił się do nich. Miał wzrok osaczonego zwierzęcia. Asaf i Nosorożec razem pokazali mu podniesione kciuki. Tamar pokiwała zachęcająco głową. Zapukał, lecz drzwi się nie otworzyły. Odczekał dosłownie sekundę, po czym zaraz odwrócił się i zaczął wracać, z wyrazem złości i urazy na twarzy, ale wtedy w domu zapaliło się światło, a zaraz potem następne. Szaj przystanął, gotów w każdej chwili zerwać się do ucieczki. Po chwili zobaczyli, jak drzwi się otwierają. Szaj posłał do środka przeciągłe i wyzute z radości spojrzenie. Następnie wszedł powoli, a drzwi zamknęły się za nim. Asaf słyszał koło siebie stłumiony odgłos, a kiedy zobaczył, że Tamar ma wilgotne policzki, pomyślał, że aż do tej chwili ani razu nie widział, żeby płakała.

-Ja nie płaczę - szepnęła mu na ucho, bojąc się, że teraz to już jest silniejsze od niej.

Asaf dotknął palcem strużki spływającej po jej policzku. - Nie, nie - uśmiechnęła się przez łzy, nadal nie dając za wygraną. - Ja tylko jestem trochę, nie wiem, uczulona na smutek.

Asaf włożył palec do ust.

- To łzy - stwierdził.

Przez całą drogę powrotną Tamar łkała na jego ramieniu i dygocząc, wyrzucała z

siebie całą gorycz minionego miesiąca.

Nosorożec zawiózł ich na przystanek autobusowy na skraju wadi. Pożegnał się i pojechał swoją drogą. Nadal panowała ciemność, ale teraz już nie tak gęsta. Dinka biegła dookoła nich z wysoko uniesionym ogonem. Szli skrajem szosy, a potem w dół po stoku doliny, pomagając sobie w trudniejszych miejscach, szukając pretekstów, by się

460

1

dotknąć albo podtrzymać. Prawie nie rozmawiali. Tamar pomyślała, że jeszcze nie spotkała człowieka, z którym tak dobrze by się jej milczało.

26.11.99

Spis rzeczy

| | |
|--|-----|
| mój cień i ja wyruszyliśmy w drogę... | 7 |
| jak szalony ptak wzbijasz się w przestworza... | 171 |
| za tobą idę na oślep... | 235 |
| jak ta samotna gwiazda ma odwagę... | 303 |
| kochana, pytałem już wszystkich wędrowców... | 361 |
| jak ty, kiedy rozwijasz skrzydła... | 397 |

Książki oraz bezpłatny katalog

Wydawnictwa W.A.B.

można zamówić pod adresem:

ul. Łowicka 31,02-502 Warszawa

tel. (022) 646 01 74,646 01 75,646 05 10,646 05 11

wab@wab.com.pl

www.wab.com.pl

Redakcja: Katarzyna Leżeńska

Korekta: Jadwiga Piller

Redakcja techniczna: Urszula Ziętek

Wiersze opracował Szymon Mucha

Projekt graficzny: Marek Goebel

Fotografia wykorzystana na I stronie okładki: © Michael Wildsmith

Fotografia autora: © Peter Peitsch/peitschphoto.com

Wydawnictwo W.A.B.

02-502 Warszawa, ul. Łowicka 31

tel./fax (022) 646 01 74,646 01 75,646 05 10,646 05 11

wab@wab.com.pl

www.wab.com.pl

Skład i łamanie: Komputerowe Usługi Poligraficzne

Piaseczno, ul. Żółkiewskiego 7

Druk i oprawa: Drukarnia Wydawnicza

im. W.L. Anczyca S.A., Kraków

ISBN 83-7414-221-91 978-83-7414-221-2

Jedna z najlepszych powieści Grosmana.

„Times Literary Supplemc

To odważna wyprawa w sam środek

Jerozolimy, w uliczki,

na których toczy się walka

- i wcale nie jest to palestyńska intifada.

Surowe wejrzenie w hermetyczny świat

wieku dojrzewania w jerozolimskiej

subkulturze.

T, .

Grosman snuje opowieść o poszukiwaniu miłości i tożsamości w stopniowo rozpadającym się świecie i czyni to za pomocą wysublimowanych pisarskich środków.